Antologia Trzynastego Schronu

SKRYPTY Z KRYPTY

POLTERGEIST POLTER.PL
GameExe.pl
GILDIA.PL
Fantasy Book

Zamiast wstępu.

Bo wstępów nikt nie czyta. Czyli jednak wstęp, który bezczelnie udaje że wstępem nie jest. Na początek, jak na prawdziwy beton przystało, opowiadania w uniwersum Fallouta, oraz inspirowane tą wizją postapokaliptycznego świata. Jeśli ktoś nie wie o czym mowa, to się dowie. Jeśli wie, może liczyć na darmowe dodatkowe profity.

Jedynie słusznej definicji postapo nie udało nam się ustalić. Stąd w antologii znalazły się mniej ortodoksyjne, a może nawet całkiem sprzeczne z dogmatyczną wykładnią opowiadania. Te teksty to 11- letni, literacki dorobek Trzynastego Schronu. Przedstawiamy najlepsze, takie które mogą zapewnić czytelnikom zróżnicowane doznania. Z nadzieją, że nie będą to mieszane uczucia.

Trzynasty Schron to serwis internetowy, który od przeszło jedenastu lat przybliża swoim czytelnikom tematykę postapokalipsy. Od samego początku również zachęca swoich użytkowników do przesyłania własnych prac literackich, które przez lata stworzyły obszerny zbiór.

Wybór nie był prosty. Subiektywne upodobania i obiektywne kryteria złożyły się na pasjonującą kompilację utworów, poruszających wiele nurtów postapokalipsy- od kultowej serii gier Fallout, aż po surrealistyczne wizje świata narodzone w umysłach autorów.

Tworzenie tej Antologii, sprawiło nam niejeden problem natury technicznej, dlatego też jeśli podczas lektury natraficie na złe formatowanie, czy podobne temu niedociągnięcia, wybaczcie - kompilowanie takiej ilości tekstu, pisanego w różnych formatach i programach przez 11 lat nie mogło wyjść idealnie. Dołożyliśmy jednak wszelkich starań i poświęciliśmy mnóstwo czasu, by dokument można było wygodnie czytać i poprawnie wydrukować bez dodatkowych zabiegów.

Czytelnikom życzymy dobrej zabawy. Niech dorówna tej jaką mieliśmy my podczas wybierania tekstów. Jeśli macie pytania napiszcie do nas na adres redakcja@trzynasty-schron.net, lub odwiedźcie nasze forum pod adresem http://trzynasty-schron.net/forum.

Warto zajrzeć również do notki o prawach autorskich, umieszczonej na końcu Antologii.

Zespół Trzynastego Schronu

SPIS TREŚCI

Świat Fallouta

- Keldorn - "*Byliśmy Żołnierzami*"....4
- Michał 'Veron' Tusz - "*Zabiłem człowieka*"....13
- Wajuś & Abadon - "*Bohaterowie tacy jak my*"....42
- Adam 'EFC' Turczak - "*Kolejna Podziemna Tajemnica Ameryki*"....49
- Adam 'EFC' Turczak - "*Fallout - Demon Spawn*"....53
- Adam 'EFC' Turczak - "*The Glow: Tam Coś jest*"....62
- Piotr 'Sajdon' Szpakowski - "*Ciężkie jest życie trapera*"....68
- Michał 'Veron' Tusz - "*Ekspedycja*"....73
- Maciej Cierkosz - "*Z życia pechowca*"....137
- Piotr 'Sajdon' Szpakowski - "*Przyjacielska przysługa*"….....139

Lekko nawiązujące do Fallouta

- Piotr 'Sajdon' Szpakowski - "*Nieszczęście chodzi przy ludziach*"....143
- setaneiro - "*Kroniki pustkowi - część 1*"....145
- Łukasz Górski - "*Doprawiając ostatni kęs życia*"....150
- Kwiatmen666 - "*Obłędny rycerz*"....179

W klimacie postapokaliptycznym

- Sałatka - "*Wanna z miedzi*"....183
- wevert - "*Dzieci Boga*"....185
- fmshelby - "*Wiosna 2199 roku*"....190
- Damissimo - "*Postapokalipsa*"....194
- Setuar - "*Przyczyna awarii 2137*"....196
- Setuar - "*Obserwator 2137*"....199
- Setuar - "*Nauczyciel 2137*"....202
- kaznodzieja_nowej_ery - "*Witajcie w ciężkich czasach: Orchid*"....206
- Ordynus - "*Wpół do słoika*"....224
- Janusz 'nie wiem' Zieliński - "*Noc Świra*"....226
- KuroiInuShinu - "*Azyl*"....228
- Exul - "*Dream*"....233
- Kamilos - "*Nadzieja*"....240

Apokalipsa inaczej

- Michał 'mihaugal' Galczak - "*Fałszywy prorok*"....243
- Łukasz 'Uqahs' Mazur - "*Wszyscy nienawidzą króla*"....247

Świat Fallouta

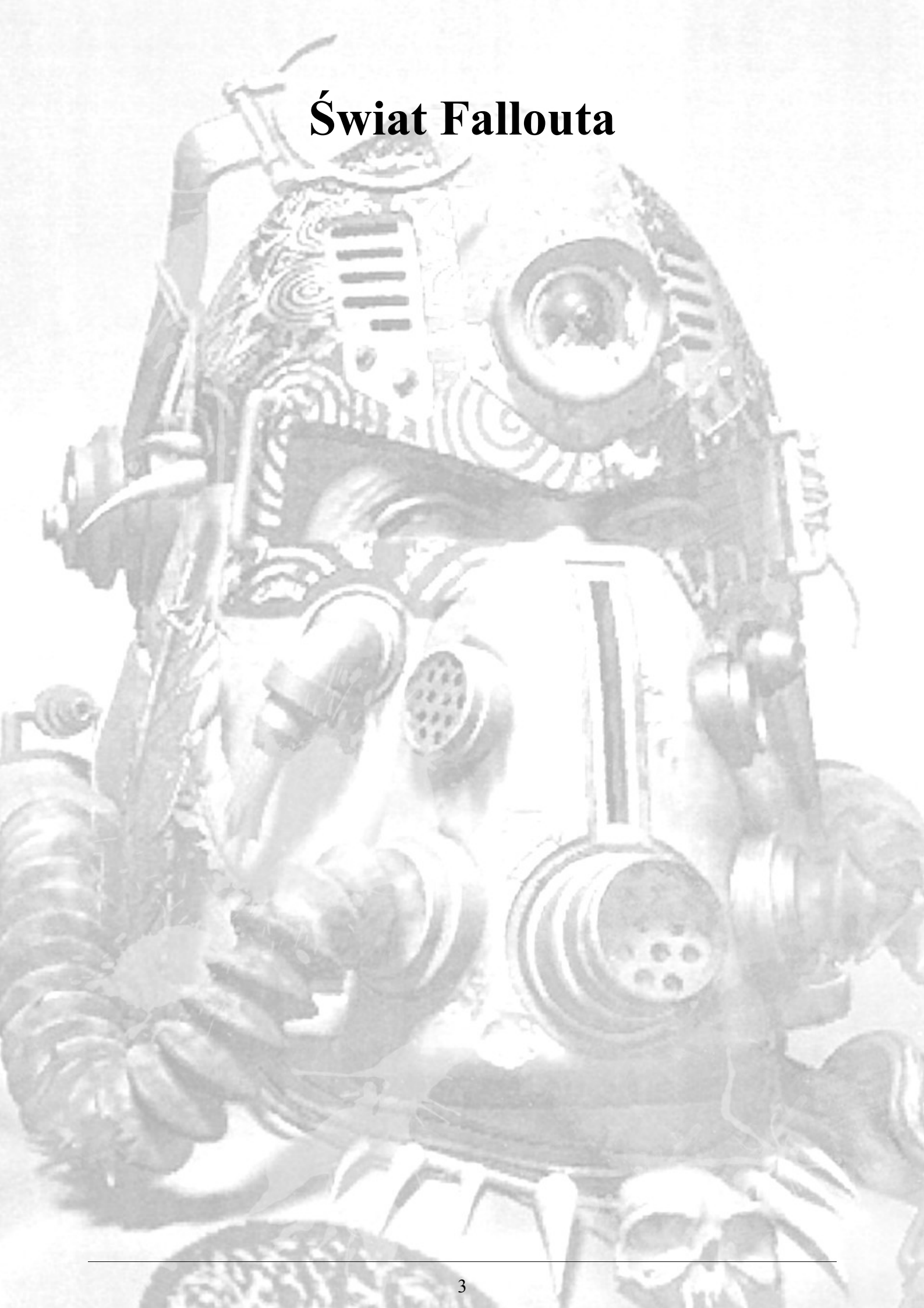

BYLIŚMY ŻOŁNIERZAMI

Od Autora:
Uwaga! Opowiadanie zawiera opisy krwawych scen walk. Z racji tego, że Bractwo Stali jest pozostałością po US Army, niektóre elementy taktyczne, które zostały tu opisane, zostały zaczerpnięte z podręczników taktycznych armii USA.

Hummer zatrzymał się w parku maszyn Bunkra Gamma. Wysiadło z niego pięciu żołnierzy- czterech mężczyzn i jedna kobieta. Prawie wszyscy mieli na sobie zbroje metalowe drugiej generacji. Jedynie dowódca oddziału ubrany był w pancerz środowiskowy.

- Rany! Padam z nóg! - odezwał się jeden z żołnierzy. - Mam dość patrolowania!

- Ja też - dodał drugi.

- Nie jesteście sami - dorzuciła kobieta.

Dowódca oddziału zdjął hełm i zarządził zbiórkę. Kiedy jego ludzie stanęli w szeregu, odezwał się:

- Idę złożyć raport z patrolu generałowi. Wy udajcie się do kwatermistrza sprzedać zbędne rzeczy i na resztę dnia macie wolne. Wszystkie pieniądze jak zwykle mają wrócić do mnie.

- Tak jest!- odpowiedzieli chórem żołnierze. Dowódca spojrzał na jednego z nich, niskiego blondyna z bródką i dodał:

- Mały pamiętaj- KASA DO MNIE- wyraźnie zaakcentował ostatnie słowa- Żebyś mi znów nie przegrał forsy w kości z kwatermistrzem.

- Tak jest. - odparł Mały.

Pozostali cicho zachichotali. Wiedzieli o słabości Małego do hazardu.

- Rozejść się. - na ten rozkaz żołnierze zebrali wyposażenie i udali się w głąb bunkra. Dowódca odetchnął głęboko. Podczas patrolu on i jego oddział musieli walczyć z mutantami i Władcami Zwierząt, przez co zebrało się sporo niepotrzebnego wyposażenia.

"Cholera, ja też muszę iść do kwatermistrza sprzedać ten szmelc" pomyślał. Najpierw jednak obowiązki. Wyszedł zatem z parkingu i udał się do sali odpraw, by złożyć raport generałowi. Bunkier Gamma jak co dzień tętnił życiem. Skrybowie, Starsi, żołnierze... wszyscy mieli na głowie własne sprawy.

Przed wejściem do sali odpraw żołnierza zatrzymał wartownik w pancerzu wspomaganym.

- Siemka Chris! - odezwał się wartownik.

- Cześć Lancelot. Nadal na warcie widzę.

- A tam, nawet mi nie mów. - Chris nie widział twarzy Lancelota, ale słyszał po głosie, że przyjaciel ma wyraźnie dość.

- Dostaję już cholery od ciągłego stania tutaj. Jak tam patrol?

- Tak jak zwykle. Trochę mutantów i Władców Zwierząt. Tych drugich było prościej rozwalić, bo są zdezorganizowani po tym, jak nasi ludzie kropnęli ich imperatora. Na szczęście teraz w walkach nikt nie został ranny, ale samochód lekko ucierpiał. Lalunia ma go naprawić.

- A wy nadal z sobą ten tego?

Chris uśmiechnął się.

- Głupie pytanie. To chyba oczywiste. No dobra, idę do środka, bo generał mnie zabije. Do zobaczenia później.

- Uważaj na siebie.

Chris wszedł do sali odpraw. Za stołem z mapą okolicy stał wysoki, siwiejący mężczyzna ubrany we wspomagany pancerz drugiej generacji. Belki i naramienniki świadczyły, że był to generał. Chris stanął na baczność i zasalutował.

- Starszy Rycerz Chris melduje się z patrolu.

Dowódca spojrzał na niego.

- Witaj Bracie. Jak patrol?

- Dobrze sir. Natknęliśmy się jedynie na paru mutantów i Władców. Żadnych rannych po naszej stronie. Poza tym nikogo więcej nie było.

- Bardzo dobrze. Znaleźliście coś ciekawego?

- Tak sir. Ślady aktywności super mutantów. Duch znalazł ślady prowadzące w kierunku St.Luis. Około 20 mutantów.

- Coś jeszcze Bracie?

- To wszystko sir.

- Odmaszerować.

Chris zasalutował i wyszedł z sali odpraw. Skierował swoje kroki do kwatermistrza, żeby sprzedać zbędne wyposażenie. Po głowie krążyły pytania bez odpowiedzi. Czemu mutanci wędrowali do St. Luis? I dlaczego to odkrycie w ogóle generała nie zaskoczyło? Może dlatego, że rejon Bunkra Gamma, to był rejon wysokiej aktywności super mutantów?

Po sprzedaży zbędnego wyposażenia, Chris udał się do swojej kwatery niedaleko pomieszczeń rekrutów. W końcu był dowódcą oddziału i zasłużonym żołnierzem Bractwa. Dawało mu to prawo do oddzielnego pomieszczenia. Zdjął pancerz i powiesił go w szafie, zostawił tam też swój pistolet pulsacyjny YK32 i amunicję do niego. Następnie poszedł pod prysznic. Ciepła woda ukoiła jego zszargane nerwy i pozwoliła mięśniom rozluźnić się.

Podczas tych dwóch dni patrolu w okolicach Bunkra Gamma bardzo mało spał. "Chyba należy mi się porządna kawa" pomyślał zakręcając wodę. Kiedy odsłonił zasłonę, zobaczył stojącą Lalunię. Jej ksywka bardzo dobrze do niej pasowała. Pochodziła z wioski Brahmin Wood i służyła pod jego rozkazami od samego początku służby w Bunkrze Alfa. Z czasem coś między nimi zaiskrzyło.

Miała długie czarne włosy, duży biust i wspaniały, jędrny tyłek.

- A ty co się tak skradasz? - spytał Chris biorąc w ramiona ukochaną.

- Pomyślałam, że jesteś zmęczony i będziesz potrzebował odprężającego masażu.

Lalunia uśmiechnęła się zawadiacko.

- Oj tak. Potrzebuję go jak nigdy.

Obudziło go pukanie. Zdenerwowany, że nie pozwalają mu się wyspać, usiadł na łóżku i spojrzał na zegarek. Była 5:30 rano. Powoli wstał i podszedł do drzwi.

Za nimi stał żołnierz w metalowym pancerzu.

- Przepraszam, że pana obudziłem sir. Generał chce pana natychmiast widzieć.

- Ehhh - ciężko westchnął Chris - A myślałem, że jako dowódcy oddziału przysługuje mi zaszczyt wyspania się po dwudniowym patrolu, a tu jednak nie. Powiedz mu, że przyjdę za 10 minut. - po tych słowach zamknął drzwi nie czekając na reakcję żołnierza. Podszedł do szafki i zaczął się ubierać.

- Kochanie co robisz? - spytała Lalunia.

- Stary wzywa. Muszę iść. - odparł zapinając suwak pancerza.

Lalunia wstała, nago podeszła do Chrisa i pomogła mu zakładać pancerz.

- Bądź grzeczny. - powiedziała i pocałowała go na pożegnanie.

- Zawsze jestem. - odparł z uśmiechem Chris i zniknął za drzwiami.

- Dobrze, że jesteś Bracie. Mam dla Ciebie zadanie specjalne. - powiedział generał jak tylko Chris zasalutował. - Wczoraj doniosłeś o śladach super mutantów zmierzających w kierunku St. Luis. Jak wiesz, w tym mieście mamy nasz posterunek. W nocy patrol z miasta został ostrzelany przez super mutantów. Na ulicach natychmiast nasi ludzie ustawili barykady. Jednak mutanci bez kłopotu przebijali się przez kolejne. W tej chwili trzy drużyny z posterunku - Sztylet, Szpon i Cień - zabarykadowały się na skrzyżowaniu koło budynku. W walkach poniosły jednak ciężkie straty. Twoim zadaniem jest wspomożenie naszych braci. Udacie się do miasta jeszcze dziś. Jakieś pytania?

- Czego mogą chcieć super mutanci? Przecież tam nie ma nic wartościowego.

- Jest sporo broni i coś, o czym wiedzieć nie możesz Bracie. Pewien tajny projekt Bractwa, który nie może wpaść w łapy super mutantów. To wszystko?

- Tak sir.

- Dobrze. Zbierz oddział. Wyruszacie natychmiast.

Chris zasalutował i odszedł. Teraz już znał odpowiedzi na swoje pytania. Ale czym był ten "tajny projekt"? Jakaś nowa broń? Nie lubił sytuacji gdy nie znał powodu do narażania życia swoich podwładnych. W pomieszczeniach żołnierzy odkrył, że Lalunia już obudziła Byka, Ducha i Małego. Wszyscy zbierali swój ekwipunek.

- Jak miło was widzieć na nogach i gotowych do drogi - zaczął Chris. - Byk skocz do kwatermistrza i kup jeden pancerz wspomagany, spory zapas amunicji - kup najwięcej do Mściciela - i sporo Stimpaków.

- Tak jest! - Byk zasalutował i odszedł.

- Z kim będziemy walczyć szefie? - spytał Mały.

- Z super mutantami. Zaatakowali nasz posterunek w St. Luis.

- No to nie będzie wesoło. - rzekł z nutką sarkazmu Duch.

- Lalunia leć do Byka i przynieście razem wyposażenie do parku maszyn. Czekam tam na was za pół godziny - rozkazał Chris.

- Rozkaz. - Lalunia zasalutowała i poszła za Bykiem.

Pół godziny później cały oddział był już przy Hummerze. Całą zakupioną amunicję złożono w bagażniku - pasy z amunicją do Mściciela, czerwona i zielona amunicja do Jackhammera Małego i strzelby CAWS Laluni oraz masa pasów z amunicją do M249 Chrisa. Tak załadowany wóz wyjechał z Bunkra Gamma i ruszył pełnym gazem w kierunku St. Luis. Miasto Świętego Luisa. Jak każde inne miejsce na Pustkowiach, tak i tutaj było widać ślady III Wojny Światowej. Łuk, który przed wojną był atrakcją turystyczną miasta, został dosłownie zmieciony z powierzchni ziemi. Niektóre bloki nie nadawały się do mieszkania- jedyne co z nich zostało to dwie ściany i podłoga. Jednak część ocalała. Zarówno w centrum miasta, jak i na przedmieściach. St. Luis było nadal zamieszkiwane przez ludzi, dawnych mieszkańców bunkrów.
Lalunia zatrzymała Hummera przed jednym z opuszczonych domów na przedmieściach miasta. Cała piątka wysiadła z wozu.

- No dobra. - Chris odwrócił się do swoich ludzi. - Bierzcie całe wyposażenie, kto ile udźwignie. Musimy przedostać się do centrum. - spojrzał na swojego Pip Boya - Duch, podejdź. - kiedy zwiadowca zbliżył się do dowódcy, ten wskazując mu palcem na mapie trasę, powiedział - Pójdziemy tą trasą. Według zwiadowców jest ona najlepsza.

- Dobra szefie. - odparł Duch. Uzbrojony był w M4, a w plecaku miał cały zapas amunicji.

- Może ja się wam przydam. - Chris usłyszał za sobą. Przestraszony odwrócił się na jednej nodze celując od razu pistoletem pulsacyjnym w źródło głosu. Zobaczył mężczyznę średniego wzrostu uzbrojonego w karabin snajperski DSK-501.

- Jestem Derek.

Chris schował broń do kabury przy nodze.

- Skąd masz karabin?

- Przed wojną służyłem w wojsku. Z powodu rany nogi musiałem przerwać służbę. Byłem snajperem.

- Co ci się stało w nogę? - spytał Byk.

- Granat. Odłamek utkwił tak głęboko, że nie dało się go wyciągnąć.

- Znasz drogę do naszego posterunku w centrum? - spytał Chris.

- Znam. Zaprowadzę was.

- Zgoda. Prowadź.

Wszyscy ruszyli piechotą w szyku bojowym. Z przodu szedł Duch, za nim Derek i Chris, po bokach Lalunia i Byk z bronią gotową do strzału. Pochód zamykał Mały.

- Skąd znasz miasto? - spytał Chris rozglądając się na lewo i prawo.

Im szli dalej, tym budynki były coraz bardziej zniszczone. Musieli przemknąć się między nimi do centrum.

- Urodziłem się tu. Z opowiadań rodziców wiem, że było to piękne miejsce.

- To prawda. Widziałem zdjęcia w bibliotece w Macomb.

Musieli przerwać rozmowę gdyż Duch przystanął i gestem ręki kazał wszystkim kryć się. Bez namysłu wskoczyli za pobliskie krzaki. Czekali. Nagle Chris poczuł jak Lalunia klepie go w ramie i wskazuje kierunek. Ostrożnie wyjrzał zza krzaków. Drogą szedł jeden super mutant uzbrojony w wyrzutnię rakiet. Zanim jednak dowódca zdążył wydać jakieś rozkazy, huknął strzał. To Derek wypalił ze swojego karabinu. Mutant dostał w głowę, ale nie upadł martwy. Jedna rakieta wystrzeliła w kierunku krzaków, ale przeleciała nad głowami żołnierzy. W tym momencie wszyscy

się wychylili i otworzyli ogień. Mutant padł martwy nafaszerowany ołowiem.
Chris doskoczył do Dereka i chwycił za ubranie.

- Ty idioto! Przez ciebie mogliśmy zginąć!

- Przecież jesteście żołnierzami - powiedział Derek i dodał z sarkazmem w głosie - za to wam płacą. Chris cisnął nim na trawnik. Kiedy ten próbował się podnieść, dobiegł i kopnął go w brzuch. Raz. Drugi. Trzeci. Potem znów chwycił za fraki Dereka i podniósł go jak szmacianą lalkę.

- Stanowisz zagrożenie dla mnie i dla moich ludzi - wycedził przez zęby Chris po czym pchnął go. Kiedy upadł, dowódca wyciągnąć pistolet pulsacyjny i wymierzył.

- A moim obowiązkiem jest chronić moich ludzi.

- Chris nie! - krzyknęła Lalunia. - Daj spokój, nie warto. Szkoda impulsu na niego. Chris patrzył na leżącego Dereka, w którego oczach malował się szczery strach przed człowiekiem z bronią energetyczną. Uśmiechnął się wrednie.

- Masz rację Lalunia. - po tych słowach Chris zwrócił się do leżącego Dereka

- JA tu dowodzę. Strzelasz na MÓJ rozkaz albo ja cię zastrzelę. Jasne?

- J...j...j... jasne. - odparł Derek.

Chris schował broń i wszyscy wrócili do marszu. Jednak teraz zaczęli bardziej polegać na mapie w Pip Boyu niż na przewodniku. Był jednak on im potrzebny. Kiedy weszli w miasto rozdzielili się. Jedna grupka szła po prawej stronie ulicy a druga po lewej. Dzięki temu osłaniały siebie nawzajem. Szli, a właściwie biegli na ugiętych nogach i nisko pochyleni z bronią gotową do strzału. Przed każdym skrzyżowaniem zatrzymywali się i Duch sprawdzał, czy są jakieś mutanty czy nie. Czysto. Ruch ręki. Dalszy bieg. Na jednym ze skrzyżowań stała barykada. Było pełno ciał ludzi. To był znak, że zbliżali się do obrońców.
Cała szóstka podbiegła do jednej ze ścian barykad. Chris ostrożnie wyjrzał na drugą stronę. Kiedy z powrotem przykucnął pokazał wszystkim dwa uniesione palce. Wszystko jasne. Dwóch mutantów za barykadą. Gestem ręki Chris odesłał Ducha i Byka na jeden bok umocnień, a sam pobiegł z Lalunią na drugi bok. Derek miał zostać w środku i wczołgać się na górę. Kiedy wszyscy zajęli pozycję, Chris wymierzył w najbliżej stojącego mutanta i wystrzelił. Za nim zaczęli strzelać Lalunia, Byk, Duch, Mały i Derek. Zaskoczeni mutanci zdołali odpowiedzieć ogniem z M249. Wśród hałasu broni Chris usłyszał krzyk Dereka. Dostał. Zajmą się nim później. Jeden z mutantów zaczął uciekać, ale Mały załatwił go z Jackhammera.
Drugi mutant schował się za załomem budynku i strzelał stamtąd.

- Mały! Sprawdź co z Derekiem! - krzyknął Chris - Duch, Byk za mną. Trzeba zdjąć tego mutanta. Duch i Byk puścili się biegiem cały czas strzelając w stwora. Nagle rozległ się strzał z broni snajperskiej. Mutant padł martwy. Wszyscy obejrzeli się w kierunku barykady. To Derek wystrzelił. Okazało się, że dostał w ramię.

- Duch, Lalunia, Byk zabezpieczyć skrzyżowanie - Rozkazał Chris.

- Tak jest! - odparli niemal jednocześnie wymienieni żołnierze i pobiegli na pozycje. Dowódca wrócił do rannego, którym już zajmował się Mały.

- Co z nim? - spytał.

- Kula przeszła na wylot przez ramię - wyjaśnił medyk. - jeden stimpack i po krzyku.

Po tych słowach wyjął z plecaka jednego zwykłego Stimpacka i igiełkę wbił w ranę. Derek krzyknął z bólu, ale po krótkiej chwili stwierdził, że nie czuje bólu. Krwawienie ustało, a ręka wróciła do dawnej sprawności. Wtem na skrzyżowaniu rozległy się kolejne strzały. Znów mutanci. Chris gestem ręki nakazał Laluni, Duchowi i Bykowi odwrót. Cała szóstka zajęła pozycje na barykadzie. Z obu stron ulicy zaczęli wbiegać mutanci. Wszyscy żołnierze Bractwa jednocześnie otworzyli ogień. Duch powalił dwóch mutantów wybiegających zza rogu, ale trzeciemu udało się przedostać i otworzyć ogień. Pociski śmignęły tuż nad Lalunią. Ona odpowiedziała ogniem ze swojego CAWSa. Chris tymczasem wypatrzył największego mutanta. Miał na sobie biały pancerz, a na głowie hełm z rogami. "Dowódca" przemknęło mu przez myśl. Ręką wskazał Derekowi cel. Ten bez namysłu otworzył ogień. Dwa strzały w głowę uśmierciły brzydala. Kiedy padł, reszta mutantów wpadła w popłoch.
Zaczęli uciekać co sił w nogach. - Za nimi! - krzyknął Chris. Wszyscy zeskoczyli z barykady

i ruszyli w pogoń. Na skrzyżowaniu Lalunia schowała się za rogiem ulicy prowadzącej na wprost i dalej strzelała. Duch i Byk zajęli przeciwny róg. Tylko jednemu mutantowi udało się uciec. Czas na przeładowanie broni. Chris w tym czasie spojrzał na Pip Boya. Byli już blisko centrum. Zaledwie 3 przecznice. Z bronią gotową do strzału zaczęli znów biec pochyleni po obu stronach ulicy.
Po 2 minutach ich oczom ukazała się centralna barykada. Dookoła była znów cała masa ciał. Jednak wśród ciał ludzi dało się znaleźć także martwe super mutanty.

- Już są ! - Chris usłyszał krzyk żołnierza na barykadzie. Cała szóstka przedostała się do środka prowizorycznej fortecy.

- Nareszcie jesteście. - powitał ich jeden z trzech żołnierzy w pancerzach wspomaganych.

-Jestem Paladyn Solo, a to Paladyni Max i Stoma. Słyszeliśmy, że mieliście komitet powitalny.

- Tak. - odparł Chris - Na skrzyżowaniu spotkaliśmy paru zielonych. Jak sytuacja?

- Niewesoło. - odparł Paladyn Max - Straciłem prawie całą swoją drużynę w walce. Został mi jeden człowiek.

- Mi zostało 3 - rzekł Paladyn Stoma.

- Ja mam jeszcze 4 - dodał Solo.

- Razem jest nas 14. - zauważył Chris - Niezbyt dużo. Miejmy nadzieję, że szybko przybędą posiłki.
Mam nadzieję, że to, co my przynieśliśmy pomoże wam choć trochę uzupełnić zapasy amunicji i medykamentów. - dodał patrząc na swoich ludzi rozkładających swój sprzęt.

- Sporo tego. - dodał Solo. - A kto to ten ze snajperką?

- Jakiś tutejszy. Dołączył się do nas. Powiedział, że zna miasto dlatego tak szybko jesteśmy.
Chris rozejrzał się po okolicy. Środek barykady był dokładnie po środku skrzyżowania. Poprzedni obrońcy zdążyli już rozstawić 4 wieżyczki, z czego 2 były już zniszczone. Koło niskiego, parterowego budynku Bractwa mieścił się 4 piętrowy budynek z płaskim dachem.

- Derek! - krzyknął Chris do miejscowego snajpera. - Dymaj mi gazem na ten budynek, okop się na dachu i melduj jak coś ciekawego zobaczysz.

- Nie mam radia!

- Jeden z żołnierzy ci da. Ruchy!
Derek wziął radio od jednego z obrońców o pobiegł na dach budynku. Chris rozglądał się dalej. Na północnym krańcu wznosił się zniszczony budynek.

- Byk! Wszystkie miny jakie masz na drogi! A claymore'y do tego budynku na północy!

- Tak jest!

- Duch! Biegiem rozejrzyj się po okolicy! Ale ostrożnie!

- Zrozumiałem! Już mnie nie ma!
Reszta oddziału zaczęła zajmować pozycje na barykadzie. Ranni do tej pory obrońcy uleczyli się dostarczonymi Stimpackami, uzupełnili amunicję i też przygotowali się do walki. Duch wrócił z rozpoznania po godzinie. Biegł, co świadczyło o tym, że ma coś bardzo ważnego dla dowódcy.

- Szefie! - krzyknął wpadając pędem na środek umocnień. Chris przybiegł z drugiego końca barykady. Duch chwilę sapał zmęczony biegiem, ale doszedł do siebie szybko i zaczął mówić:

- Mamy kłopoty. Mutanci się szykują do ataku z każdej ze stron.

- Jasna cholera. - zaklął Chris.

- Co się tu dzieje? - Paladyn Max nagle wyrósł spod ziemi koło nich. Chris opowiedział co usłyszał od Ducha.

- No to zatańczymy.
Chris razem z Bykiem i Lalunią ulokowali się na wschodniej barykadzie. Duch i kilku ludzi z drużyny Sztylet na północnej. Reszta rozdzieliła się na pozostałe barykady. Po godzinie czekania mutanci pojawili się na ulicach. Było ich 8 z każdej strony.

- Czekać aż podejdą bliżej - powiedział Chris. Zbliżali się wolnym krokiem. Widzieli ludzi na barykadach, ale nie strzelali. W końcu zaczęło się. Na zachodniej barykadzie odezwały się strzały. Następnie na północnej i południowej.

- Ognia! - rozkazał Chris.

Lalunia otworzyła ogień z CAWSa trafiając jednego mutanta w tors i powalając go. Wstał, więc strzelała dalej. Byk wyrzucił kilka granatów na drogę. Udało mu się rzucić dość celnie. Zginęło 2 mutantów. "Zostało 5" pomyślał Chris. Otworzył ogień ze swojego M249. Jedną serią trafił najbliższego mutanta w korpus. Pociski rozerwały skórę ofiary ukazując kręgosłup i przecinając na pół. Kolejny mutant, widząc co się stało z jego kompanem, schował się za kontenerem na śmieci i stamtąd strzelał. Na to odezwał się Mściciel Byka. Pociski z taką siłą uderzały w cienki metal, że przebiły go na wylot raniąc mutanta. Ten wybiegł zza osłony na środek ulicy, a tam już zdjęła go Lalunia. W tym momencie koło niej trafiły pociski z kolejnej serii mutantów i usłyszała krzyk Chrisa. Dowódca został ranny w bark. Natychmiast odpowiedziała ogniem. Na barykadzie północnej było łatwiej. Atakujący mutanci dali się wciągnąć w pułapkę. 5 zginęło na minach. Pozostali trzej zostali ciężko ranni, kiedy próbowali ukryć się między ruinami budynku, w którym Byk zostawił claymore'y. Duch załatwił kolejnego mutanta, a pozostali ludzie z drużyny Sztylet wyeliminowali ostatnich dwóch.

Na pozostałych dwóch barykadach poszło gorzej. Co prawda atak mutantów tam też został odparty, ale zginęli 3 kolejni żołnierze. Jednego rozerwał na strzępy mutant, który zdołał wejść na barykadę, a pozostali dwaj zostali podziurawieni seriami z broni mutantów. Po bitwie Mały, medyk drużyny, zajął się rannymi.

- Nie jest dobrze - powiedział Solo siedzący koło Chrisa na ziemi. On również został ranny w walce.

- zginęło 3 kolejnych ludzi. Zostało nas 11.

- Musimy zmniejszyć fortyfikacje. Proponuję zabudować tylko dwie ulice i jedną ścianę naszego budynku.

- Rozsądny pomysł.

- Przy okazji Solo, mam pytanie. Co takiego chcą zdobyć mutanci?

Paladyn myślał przez chwilę. W końcu odezwał się:

- Powinniście wiedzieć, za co przyjdzie wam ginąć. To nowy projekt broni zwany rozbijaczem. Po trafieniu w cel rozbija go na atomy. Chris gwizdnął.

- Niezła broń. Może zrobimy z niej użytek jak będzie trzeba?

- Tylko jak będzie trzeba. Jest dopiero w fazie testów.

Po tych słowach Paladyn Solo wstał i zarządził przebudowanie barykad. Chris także się podniósł i skierował kroki w kierunku budynku Bractwa. Mniejszy teren było łatwiej bronić, ale i zarazem było trudniej. Wróg mógł się zgromadzić w większej liczbie, a wtedy byłoby krucho z nimi. Nadeszła noc. Barykady zostały przeniesione. Teraz jedna z nich przebiegała w prostej linii koło ściany budynku Bractwa stykającej się ze ścianą sąsiedniego budynku, na którego dachu był Derek. Drugą ulicę zablokowano na wysokości drugiej ściany budynku a pozostałe dwie u wylotu na skrzyżowaniu. Takie ustawienie miało zasadniczą wadę - jeśli któryś z mutantów strzeli serią i nie trafi w jednego żołnierza, może trafić w innego. Ale nie było innego wyjścia.

Chris podszedł do Paladyna Stomy, który przez radio kontaktował się z Bunkrem Gamma.

-... a poza tym kończy nam się amunicja i zostało nas 11. - usłyszał fragment rozmowy.

- Musicie wytrzymać. Posiłki są w drodze. Bez odbioru. Paladyn Stoma i Chris spojrzeli po sobie. Obaj byli wściekli. Zamiast wydać rozkaz wycofania się i zabrania broni ze sobą, oni mieli tam siedzieć i czekać aż mutanty wyrżną ich w pień. Chris zerknął na Pip Boya. Była 3:20 w nocy. Jeszcze jakieś 4 godziny do świtu. W tym momencie rozległy się kolejne strzały. Obaj żołnierze Bractwa puścili się pędem na barykady.

Mutanci znów nacierali. Tym razem od wschodu, ale w większej sile. Chris dobiegł do umocnień i położył się z lewej strony. Otworzył ogień ze swojego M249. Posypały się też kolejne granaty rzucone przez Byka. Kilku mutantów zostało dosłownie rozerwanych na strzępy. Nagle rozległ się ogromny wybuch i na barykady i walczących posypał się gruz.

- Snajper nie żyje. - usłyszał Chris. Podniósł głowę w górę. Na dachu, gdzie był Derek, była potężna dziura od wyrzutni rakiet. Ciało snajpera zostało wyrzucone z taką siłą, że znalazło się po przeciwnej stronie ulicy. Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch. Spojrzał natychmiast w tym

kierunku i oniemiał ze strachu. Super mutanci przedarli się przez przeciwną barykadę.

- Dywersja! - ryknął Chris ile miał tylko sił w płucach. Jeden mutant nacierał na niego z rozpruwaczem. Żołnierz przetoczył się w bok unikając trafienia. Usłyszał charakterystyczny dźwięk ostrzy przesuwających się tuż za jego plecami. Wstał na równe nogi i wypalił całą taśmę w potwora. Pociski rozerwały cały tułów mutanta ochlapując strzelca krwią i wnętrznościami.

Paladyni w pancerzach wspomaganych także wyjęli rozpruwacze i ruszyli do walki wręcz, podczas gdy pozostali strzelali dalej do nacierających z drugiej strony mutantów. Stoma spudłował swoim rozpruwaczem. Mutant uderzył go w głowę z taką siłą, że spadł mu hełm. Następnie podniósł go nad głowę i, zginając jedno kolano, zrzucił żołnierza na nie łamiąc kręgosłup. Nawet stojący parę metrów dalej Chris usłyszał paskudny dźwięk łamanych kości. Natychmiast przeładował i wymierzył. Wpakował 3 serie w mutanta zanim go zabił. Kolejny mutant zaatakował Małego i przeciął go wpół rozpruwaczem.

- Nie! - krzyknął Duch i wpakował w mutanta cały magazynek. Chwycił Jackhammera Małego wyrzucając jednocześnie swojego M4. Tymczasem Lalunia dostrzegła kolejnego dowódcę super mutantów. Otworzyła do niego ogień ze swojego CAWSa. Mutant padł trafiony jedną serią w głowę. Atakujący zaczęli się wycofywać. Kiedy walka ustała okazało się, że brakuje także Byka. Duch znalazł jego ciało, a dokładniej to, co z niego zostało. Został rozerwany na strzępy. Jednak znaleziono też w pobliżu kawałki mutanta.

Chris stanął koło zwiadowcy.

- Musiał mu zostać tylko granat - powiedział smutno Duch. - Rzucił się na mutanta i wysadzili się obaj.

- Jego bohaterstwo zostanie zapamiętane. - odparł Chris.

- O ile przeżyjemy.

Ranek był spokojny w St. Luis. Zapewne mutanty z powodu dotkliwych strat w ostatnich bitwach na razie odpuścili. Ale i żołnierze Bractwa ucierpieli. W ostatniej bitwie stracili 3 ludzi. Pozostało ich 8, a posiłków jak nie było, tak nie ma.

Paladyn Max skontaktował się z dowództwem.

- Wyjazd żołnierzy opóźni się. Transporter został uszkodzony. Posiłki dotrą do was jutro. Żołnierz rozłączył się.

- Kurwa! Do jutra to my martwi będziemy a ci nam jeszcze wsparcia nie przysyłają. Chris nic nie mówił, ale także był wściekły. I to bardzo. Poszedł do Laluni, która właśnie sprawdzała stan wyposażenia.

- Jak tam stoimy kochanie? - spytał.

- Niezbyt dobrze. Z amunicją cienko, z medykamentami także. Zostało nam 10 Stimpacków, jeden zestaw pierwszej pomocy i jeden super stimpack.

- Posiłki mają być jutro...

- Boję się, że nie dotrwamy do jutra. Chris objął ją.

- Cóż, przynajmniej zginiemy razem.

Nadeszło południe i nadal był spokój, co poważnie zmartwiło żołnierzy. Chris wysłał Ducha na zwiad. Zmniejszono także barykady. Teraz obejmowały one placyk przed budynkiem Bractwa i kawałek ulicy. Duch wrócił biegiem. Kiedy podbiegł do Chrisa, powiedział zdyszany:

- Szefie.... kłopoty... idzie na nas cała armia... jakieś może 15 mutantów! - po tych słowach zaczął kaszleć.

- Kurwa mać! - warknął dowódca. - Wszyscy do broni! Mamy towarzystwo! Ośmiu żołnierzy porwało broń i ustawili się na barykadach. Chris usłyszał, jak leżący obok niego Duch cicho odmawia modlitwę.

Z północnej ulicy wyszły mutanty. Było ich dużo. Na oko tyle, ile oceniał zwiadowca.

- Za Bractwo! - krzyknął Chris.

- Za Bractwo! - krzyknęli chórem żołnierze i otworzyli ogień ze wszystkiego co mieli pod ręką. Na mutantów posypał się grad kul z Mściciela, M249, CAWS, Jackahammera i plazmy. Ci odpowiedzieli ogniem. Jedna z serii urwała głowę jednemu z żołnierzy drużyny Sztylet. Paladyn Solo w zamian za to potraktował mutanta plazmą prosto w oczy. Z potwora została tylko mokra plama. Jednak on sam został raniony następną serią.

Przed Chrisem wyrósł jak spod ziemi mutant uzbrojony w gaz rurkę. Podniósł go za zbroję z ziemi i cisnął nim w budynek z taką siłą, że żołnierz zrobił wgłębienie w metalowej ścianie. Potwór dopadł do niego i uderzył w plecy rurką. Chris poczuł straszliwy ból jednak zdołał podciąć mutanta. Ten zwalił się na ziemię jak kłoda. Wtedy żołnierz wyjął nóż bojowy i rzucił się do gardła potwora. Ten jednak był silniejszy. Wymierzył jeden celny cios w podbródek. Trafiony. Chris upadł oszołomiony na ziemię. Widział, jak mutant szykuje się do zadania ciosu w głowę. Przed oczami przebiegło mu całe życie. Jego myśli jednak zmąciła seria z CAWSa. Stwór zwalił się na ziemię. Teraz już wiedział. Lalunia go uratowała.

Duch tymczasem strzelał z Jackhammera w nadchodzące mutanty. Jednak jedna z serii urwała mu rękę. Krzyknął z bólu. Przełożył broń do drugiej ręki i zaczął dalej strzelać. Kolejna seria. Kolejna ręka urwana. Nagle przed nim pojawił się mutant. Złapał jego głowę i zaczął ściskać. Po krótkiej chwili kości pękły i spomiędzy palców stwora wyciekła krew i kawałki mózgu.
Kolejna seria mutantów zabiła dwóch ostatnich żołnierzy drużyny Paladyna Maxa. Pozostali przy życiu czterej żołnierze Bractwa schronili się w budynku.

- Naszą jedyną szansą jest Rozbijacz. - powiedział Solo zamykając automatyczne drzwi budynku.

- Powinien być na dole. Jedźmy po niego. Zjechali windą na dół. Stał tam jeden pusty stół. Drzwi na wprost prowadziły do pomieszczenia z komputerem, po lewo - do zbrojowni a po prawo do pomieszczeń załogi posterunku.

- Powinien być w zbrojowni. - powiedział Solo. Lalunia pobiegła we wskazane miejsce. Chris udał się do pomieszczeń rekrutów. Przetrząsnął wszystkie szafki i nic nie znalazł. Wrócił do głównej sali i opowiedział o tym innym. Lalunia w zbrojowni też nic nie znalazła.
W pokoju z komputerem także nic nie było.

- Kurwa mać! - zaklął Chris - Jak to nie ma? Musi być!

- Nie ma! Przeszukałam całe szafki - odparła Lalunia.

- Czyżby wystawili nas na pewną śmierć? - spytał z niedowierzaniem Max.

- Na to wychodzi. - odparł smutno Chris - Cóż, pozostaje nam tu umrzeć.

W tym momencie przez główne drzwi wtargnął mutant. Miał na sobie ciemno-szary pancerz i hełm z rogami. Niewątpliwie był to dowódca. Za nim weszło 2 jego ludzi.

- Proszę, proszę, proszę. Oto ostatnia najdzielniejsza czwórka. - zaczął mutant. - Poddajcie się i oddajcie Rozbijacz to może was oszczędzę. Może. - zaakcentował ostatnie słowo z wrednym uśmiechem na twarzy.

- Po naszym trupie. - odparł Solo.

- Wedle życzenia. - po tych słowach mutant zaatakował Chrisa. Ten wypalił resztę taśmy swojego M249, jednak na potworze nie zrobiło to żadnego wrażenia. Chwycił żołnierza za szyję i cisnął nim. Plecami wybił dziurę w ścianie wpadając do zbrojowni. Lalunia wyjęła rozpruwacz. Mutant ją atakujący spojrzał z lekką drwiną i sam wyjął także rozpruwacza. Zaczęli walczyć. Cięcie od boku. Blok. Atak z góry. Kolejny blok. Cios z prawej. Kolejny blok. Lalunia zaatakowała swoim rozpruwaczem ostrzem do przodu. Udało jej się trafić mutanta i ciężko go zranić. Ten jednak uderzył ją w twarz. Cios był tak potężny, że Lalunia uderzyła plecami w ścianę pomieszczenia żołnierzy. Mutant przycisnął ją do ziemi i przystawił rozpruwacz. Dziewczyna próbowała powstrzymać zbliżające się ostrze. W jej oczach pojawiły się łzy. Płakała. Bała się śmierci. Kiedyś podczas walki ktoś potraktował ją właśnie rozpruwaczem. Pamiętała ten potworny ból wdzierających się w ciało ostrzy. Wiedziała, że w tej sytuacji była bezradna, i to ją najbardziej przeraziło. Ostrze rozpruwacza zagłębiło się w jej klatce piersiowej niszcząc żebra, płuca, serce i dochodząc do kręgosłupa. Śmierć, choć bolesna, nastąpiła szybko.

Tymczasem w sali komputerowej dowódca mutantów przyparł Chrisa do ściany i dusił go. Znów przebiegło mu przed oczami całe życie. Ręce powoli słabły. Nogi także. Mięśnie z powodu braku tlenu odmawiały posłuszeństwa. Potrzebował powietrza, ale nie mógł go zaczerpnąć. Przez zamglone oczy dojrzał w drzwiach jakąś postać. W tym momencie rozległa się seria z Mściciela. Dowódca został przepiłowany nią w pół. Chris razem z bezwładnym ciałem mutanta runął na

ziemię i stracił przytomność.

Oślepiło go jaskrawe światło. Nie wiedział, gdzie jest. Może w raju? Czy tak to wygląda po śmierci? - Żyje doktorze?

- Tak, wyjdzie z tego. Auto Doc poradził sobie ze zgniecioną krtanią.

Chris otworzył oczy. Nad sobą ujrzał twarz doktora z Bunkra Gamma i Paladyna Solo.

- Witamy wśród żywych Paladynie Chris. Solo nie miał hełmu i Chris mógł ujrzeć jego uśmiech.

- Co... się... stało?

- Posiłki przyjechały w porę. - wyjaśnił Paladyn. - Jeden z żołnierzy w ostatniej chwili załatwił duszącego ciebie mutanta.

- Co... z... Lalunią?

- Przykro mi.

Chris nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Jak to? Ona nie żyje? Czemu? Jak to się stało?

- Jak...?

- Rozpruwacz. Okropna śmierć.

Chris usiadł. Nie miał siły się rozpłakać.

- A Rozbijacz?

- Nigdy nie było czegoś takiego. - odparł smętnie Solo.

- Czyli żołnierze zginęli na darmo?!

- Niestety tak. Nie wiem dlaczego.

- Ale ja zaraz się dowiem. - po tych słowach Chris wstał i pobiegł do sali odpraw. Stał tam generał. Na jego widok odezwał się:

- Chris, miło wiedzieć, że żyjesz. Bałem się, że Auto Doc nie da sobie rady.

- Czemu moi ludzie zginęli za rzecz której nie było? - ton żołnierza mówił, że domagał się wyjaśnień. I to zaraz!

- To był test dla ciebie. Zastanawiałem się czy dać ci awans czy też nie. Obrona przyczółka rozwiała wszelkie wątpliwości.

Chris wpadł w furię. Dopadł do generała i jednym ciosem powalił go na stół z mapami, wyciągnął nóż bojowy i wymierzył w głowę generała.

- Test... - wycedził przez zęby. Zamachnął się. Ostrze wbiło się w blat o 1 cm od głowy generała - ... zaliczony.

KONIEC

©2005 Keldorn

ZABIŁEM CZŁOWIEKA

Inspirowane twórczością grupy Queen.

Mamo… przed chwilą zabiłem człowieka. Przyłożyłem mu pistolet do skroni, pociągnąłem za spust. Nie żyje... Wiem, że tak rzadko z tobą rozmawiam, a gdy już zacznę mówić, to o takich rzeczach, które najlepiej przemilczeć. Nie chcę sprawiać ci przykrości, ale nie mam nikogo, przed kim mógłbym się wygadać. Już nie.
Jest późno, mój czas powoli nadchodzi. Odczuwam wszechobecny ból… tak cholernie boli, to całe jebane życie!... Chociaż nie jestem pewien, czy to nie przez prochy… Kurwa! Życie jeszcze się nie zaczęło, a ja już je zaprzepaściłem.
Jednak muszę stawić czoła sobie. I prawdzie, bo to, co się stało, co uczyniłem, zapewne nigdy nie ujrzy światła dziennego. Mamo… nie chcę umierać. Czasami wolałbym w ogóle się nie urodzić…

Moje życie było pasmem niepowodzeń, szerokim jak przedwojenna autostrada. Aż do czasu, gdy jakimś cudem udało mi się zaciągnąć się do wojska. Zabawnie to brzmi - "zaciągnąć do wojska"… To nie było realne wojsko, chociaż to prawda, że byłem żołnierzem - żołnierzem Louisa Salvatore, wówczas mojego idola.
Salvatore był typowym, bezwzględnym i wrednym gangsterem, nie można tego inaczej ubrać w słowa. Prochy, dziwki, whisky - to wszystko było codziennością w jego knajpie przy Second Street. Nie miał co prawda takich obrotów jak inne gangi w Nowym Reno, ale i tak wszyscy go respektowali. Przepraszam… powinienem był powiedzieć "rodziny", a nie gangi.
Nowe Reno. Kupa braminiego gówna na mapie upadłej Kalifornii. Prochy, dziwki, whisky - dokładnie to samo co w barze Slavatore, tyle tylko, że spotęgowane do granic upadłości, niemoralności i bezprawia. Pierdolona dziura… że też przyszło nam tu żyć. Chyba pech jest mi po prostu pisany.
W każdym razie zostałem członkiem rodziny Salvatore. Jak ich przekonałem? Chyba tym, że potrafię się bić. Mason, prawa ręka Salvatore, przyuważył mnie pewnego lipcowego dnia, jak wpieprzyłem jakiemuś dilerowi naprzeciwko meliny Renesco. Dupek… na swoje nieszczęście i mój fart zaczepił mnie i był bardzo nachalny. Tak się złożyło, że Mason akurat wtedy przechodził tuż obok. Odbyłem z nim krótką rozmowę, kazał na siebie zaczekać pod knajpą swojego szefa. Po kwadransie zaprosił mnie do środka. Następna rozmowa była już dużo dłuższa. Opowiedział mi o rodzinie, do której należy. Roztoczyła się przede mną wizja zapanowania nad Reno pod banderą gangu Salvatore. Cóż, nie mogłem się wtedy spodziewać, jak się to wszystko zakończy. Wówczas była to dla mnie ogromna szansa. Każdy człowiek w moim wieku, który jakoś uchronił się przed degeneracją, chciał za wszelką cenę należeć do którejś z rodzin. Może akurat ja nie pragnąłem tego bezwzględnie, ale… męczyło mnie grzebanie trupów na Golgocie dla Emeralda (pierwszego grabarza w Reno). To była moja możliwość na odbicie się za dotychczasową marną egzystencję.
Opróżniliśmy z Masonem trzy butelki. Chyba go do siebie przekonałem, bo powiedział, żebym przyszedł za parę dni - w tym czasie miał "załatwić formalności". Domyśliłem się, że musi obgadać całą sprawę z "panem Salvatore", jak o nim mówił. Słyszałem o nim już dużo wcześniej, ale nie dawałem mu powodu, tak jak z resztą reszcie rodzin, żeby w jakiś sposób mnie zauważył. Negatywnie rzecz jasna.

Tak więc zjawiłem się tam kilka dni później. Mason wyszedł na spotkanie i poinstruował mnie, jak mam gadać z Salvatore. Wtedy zauważyłem, że jeśli ów gangster mógł być metaforą alfonsa, to Mason był jego najwierniejszą dziwką. Brzydziła mnie taka ślepa lojalność, ale wkrótce musiałem wyzbyć się tego przekonania. Stary Salvatore wiele nie mówił, bo miał trudności z oddychaniem, rozkazał mi opowiadać o sobie. Gdy już się odezwał, to pieprzył głównie właśnie o lojalności. Chyba i tym razem zrobiłem dobre wrażenie. Następnego dnia jakiś dzieciak w postrzępionych trampkach i zniszczonych spodniach podbiegł do mnie i wręczył mi kartkę. Miałem się stawić u Salvatore na "ślubowanie lojalności". Na czym polegało? No cóż, najpierw

poszliśmy się uchlać, a później podymać dziewczyny do "Kociej Łapki". Muszę przyznać, że było to całkiem przyjemny dzień…
Byłem więc prawie członkiem rodziny. Nie byłem jednak głupi i wiedziałem, że muszę się spodziewać egzekucji przyrzeczenia lojalizmu złożonego Salvatore - innymi słowy czekało mnie coś do zrobienia. W najśmielszych nawet myślach nie przypuszczałem jednak, że któryś z gangów Nowego Reno odwala aż takie numery. Jak się okazało Salvatore zawarł umowę z rządem. Na jej mocy wymieniali z nimi jakieś chemikalia na broń. O towarze gangsterów nie wiedziałem praktycznie nic i nigdy się nie dowiedziałem więcej niż tego, że sprowadzają go ze wschodu. Zabezpieczenie takiej transakcji było moim pierwszym zadaniem dla Salvatore. Kurwa, jak ja się wtedy bałem! Jacyś goście w potężnych kombinezonach i ze spluwami mojej wysokości już na nas czekali, gdzieś na środku pustyni, w czarnej dupie… Przylecieli ogromnym latającym czymś, a towar ładował za nich najprawdziwszy robot! Gdyby nas wtedy sprzątnęli, nikt by się o tym nawet nie dowiedział.
Jednak najwyraźniej interesy były dla nich bardziej wartościowe. Razem z Masonem i jeszcze dwoma ludźmi patrzyliśmy bez słowa, jak pakują czarne beczki na maszynę i odlatują. Zauważyłem, że i on ma pietra, ale cóż… biznes to biznes. Takie transakcje odbywały się regularnie, zawsze w pierwszy dzień miesiąca, jak się dowiedziałem dotąd miały miejsce trzy podobne spotkania.
Po pierwszej mojej wymianie handlowej na pustyni Mason uświadomił mnie na co zamienili swój towar. Jak się okazało była to broń. Ale za to jaka! Strzelała… czerwonym światłem! Widziałem w akcji najprawdziwszy pistolet laserowy! Mason wycelował w stos skrzynek, w których zabezpieczone były beczki z chemikaliami. Gdy laserowy pocisk dotknął sterty drewna, ta natychmiast stanęła w płomieniach. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Zapytałem wtedy, dlaczego tylko jedna sztuka broni za tyle chemikaliów. Odpowiedź była oczywista - jest cholernie droga. Do tej pory uzbierali trzy egzemplarze, które przetrzymywane były w apartamencie samego Salvatore. W niedługo potem dowiedziałem się, że z jej pomocą rodzina Louisa chce przejąć całkowitą kontrolę nad miastem. Pomyślałem, że z takim uzbrojeniem nie powinno być to trudne, a stary Salvatore zyskał wiele w moich oczach. Stawiał na cierpliwość i na jakość, nie na otwarte wojny czy konwencjonalną, często przestarzałą broń. Jeden jego człowiek z takim orężem mógł rozprawić się zapewne z wieloma przeciwnikami naraz. Na razie jednak Salvatore skupiał się na kompletowaniu uzbrojenia, ja zaś zatrzymałem sobie na stałe Magnuma, którym obdarowali mnie jego ludzie.

Przez następne miesiące wykonywałem czarną robotę dla Salvatore. Do moich rutynowych zadań należała przede wszystkim warta w barze. Czasem w kilku udawaliśmy się na coś grubszego, na przykład ściąganie długów. Zabawa w windykatorów wychodziła nam niezwykle łatwo i przyjemnie. Dłużnicy srali w portki i bez słowa oddawali należną kasę. Najgorszy był ten skurwiel i meliniarz Renesco. Nigdy wcześniej nie spotkałem takiego typa - nie dość, że miał największy dług, to za każdym razem kłócił się z nami, marudził, przeklinał od czci i wiary, nawet, nie wiedzieć czemu, wyzywał od "świętych Nicków". Ale zawsze oddawał szmal. Czasem Salvatore zlecał mu inne zadania - naprawę broni albo załatwienie bardziej wymyślnych prochów. W każdym razie wizyty w jego śmierdzącej przetwarzanymi prochami rupieciarni były niezwykle denerwujące. Prochy… No właśnie. W tym czasie spróbowałem praktycznie wszystkiego, co uważane jest za demoralizujące i nieobyczajne. Najgorszym świństwem był zdecydowanie jet. Dobrze pamiętam moje pierwsze spotkanie z tym gównem. Nakręcił mnie na maksa i, choć trwało to rozczarowująco krótko, było przeżyciem wręcz euforycznym. Już w kilka godzin później zacząłem odczuwać pierwsze oznaki głodu. Pomyślałem wtedy, że muszę to skończyć zanim jeszcze zacząłem. Nie chciałem stać się degeneratem, jakich pełno było na Virgin i Second Street. Od tej pory więcej tego nie spróbowałem. Zdecydowanie rodzina Mordino, inny gang z Nowego Reno, zbijała fortunę na rozpowszechnianiu jetu. Praktycznie wszystkie prostytutki, alfonsi, dilerzy, bezdomni, żule i całe renowskie tałatajstwo leciało na jecie od świtu do zmierzchu. Mały Jesus, syn głowy rodziny Mordino, chodził dumny jak paw, z wyższością i pogardą spoglądając na zaćpanych małolatów. Zachowywał się, jakby Reno należało do niego. Czasami aż żal było patrzeć na staczanie się

społeczeństwa. Dlatego ja jetu nie brałem.

Czas mijał, ja pracowałem dla Salvatore. Poza tym wszystkim, co powiedziałem, oczywiście najważniejsze były tajemne transakcje na pustyni. Cały miesiąc był podporządkowany tej jednej nocy. Na kilka dni przed pierwszym w piwnicach klubu zjawiały się beczki z chemikaliami. Angażowano mnie do pakowania ładunku najpierw do podziemi baru, później na prowizoryczne lawety. Następnie jechaliśmy na pustkowie z Masonem jako dowódcą. We wrześniu jednak Mason złamał nogę i nie mógł uczestniczyć w październikowej transakcji. Ku mojemu zaskoczeniu Salvatore wybrał mnie jako lidera grupy. Nie wiedziałem jeszcze, czym sobie zasłużyłem i przede wszystkim - co on chce przez to osiągnąć, ale wkrótce poznałem jego zamiary.

Sama transakcja przebiegła bezproblemowo. Mimo że bałem się, może nawet bardziej niż zwykle, to jednak nie dawałem tak tego po sobie poznać, jak robił to Mason. Po raz pierwszy nawet zamieniliśmy z obstawą latającej maszyny kilka żartobliwych słów, które nie dotyczyły handlu. Ta wymiana była inna niż dotychczasowe nie tylko z tego względu. Jak się okazało przedmiotem strony rządowej była tym razem jedynie amunicja do laserowej broni, także nie postrzelaliśmy sobie świetlnymi pociskami. Czym prędzej wróciliśmy do Reno. Salvatore nie czuł się wtedy zbyt dobrze, więc przyjął mnie dopiero następnego dnia. Wówczas dowiedziałem się o jego planach wobec mnie.

Wszedłem do pachnącego stęchlizną i naftaliną pokoju Salvatore i stanąłem obok drzwi, czekając. Szef wskazał laską na krzesełko, pozwalając mi usiąść. Po chwili obaj zajęliśmy miejsca przy stole pośrodku pomieszczenia. Salvatore mówił cicho i powoli, co jakiś czas przerywając, by zaczerpnąć powietrza z maski tlenowej.

- Jasonie… Jasonie - wydyszał po kilku minutach przypatrywania się mi. - Spisałeś się naprawdę bardzo dobrze wczorajszej nocy.

- Dziękuję, panie Salvatore - odpowiedziałem z ukłonem.

- Jako nagrodę mam dla ciebie wykonanie bardzo trudnego zadania. Coś, o czym zawsze marzyłeś, prawda?

Nie było to prawdą, ale przytaknąłem.

- To bardzo trudne, ale i bardzo ważne zadanie. Jeśli uda nam się je zrealizować, pozostaną nam do likwidacji jedynie Bishopowie.

- Rozumiem, panie Salvatore, jestem… - zacząłem, ale ten przerwał gestem ręki.

- Na razie posłuchaj. Jak wiesz kompletujemy ludzi i uzbrojenie. Ani Mordino, ani Bishop nie posiadają potęgi nawet zbliżonej do naszej. Wciąż jednak jest ich wielu, dlatego stanowią duże zagrożenie. No i ten nowy narkotyk tych śmierdzieli… Jak on się nazywa, przypomnij mi.

- Jet - odparłem.

- Tak, dokładnie to. Widzisz wykorzystamy to świństwo, żeby wywołać wojnę między nimi a bimbrownikami ze Wschodniej Dzielnicy.

- Z Wrightami?

- Tak - Salvatore kiwnął głową.

- W jaki sposób?

- Ha! I tu zaczyna się twoje zadanie. Musisz przeniknąć do rodziny Wright i osłabić ją od wewnątrz.

Zamurowało mnie. Spoglądałem na staruszka z maseczką tlenową w dłoni, zastanawiając się, czy czasem nie zaczął bredzić z braku powietrza.

- Jak mam to zrobić? - zapytałem.

Salvatore uśmiechnął się.

- Za takie pytanie mógłbyś wylecieć z tego pokoju na zbity pysk. To twoje zadanie, nie zapominaj. A jednak nie wylecisz. Mało tego - podpowiem ci nieco. Ale najpierw…

Salvatore głośno zastukał laską w podłogę. Drzwi do pokoju otwarły się i wszedł przez nie Mason, kuśtykając. Zlany potem zajął miejsce obok swojego szefa, oddychając szybko. Najwyraźniej męczyło go jego obecne położenie, czyli znajdowanie się w totalnej bezczynności, do tego z przetrąconym kulasem.

- Wytłumacz Jasonowi jego zadanie - wyszeptał stary gangster i zaczerpnął powietrza z prowizorycznego respiratora.

- Według naszych informatorów jeden z dzieciaków Wrighta kręci się ostatnio po Virgin - powiedział Mason. - Pan Salvatore obmyślił plan, według którego masz zdobyć jego zaufanie i dojść do Wrightów jak najbliżej. Dzięki temu możliwe będzie wywołanie wojny między nimi a Mordino.

- Jak?

- Zakładając, że młody Wright może… przypadkowo przedawkować jet.

Szybko załapałem, o co chodzi.

- Trzeba będzie kogoś poświęcić - powiedziałem.

- Chyba nie zamierzasz nikogo żałować, prawda? - zapytał Salvatore, odejmując maskę od czerwieniejącej twarzy. - Całe to ścierwo jest plamą tego miasta. Pozbędziemy się ich i przejmiemy całkowitą kontrolę nad Reno. Chcę go całego i chcę tego teraz!...

Salvatore z przeciągłymi świstami wciągał i wypuszczał z płuc powietrze. Mason popatrzył na niego z niepokojem.

- A więc, masz odnaleźć tego młodego Wrighta - kontynuował Mason, rzucając ukradkowe spojrzenia na swojego szefa, - zdaje się, że ma na imię Richard. Znajdź go i przekonaj do siebie. To powinno ci pomóc - wyjął z kieszeni dwie ampułki z jetem i położył na stole.

- Któryś z Wrightów wziął się za używki? - zdziwiłem się.

- Wrightowie to specyficzna rodzina - odparł Mason. - Nie dość, że podobno naprawdę są spokrewnieni, to również jest ich bardzo wielu, podobnie jak Mordino. Nie trzymają się zbyt blisko centrum. Tak jak powiedziałeś, nikt nigdy nie widział, żeby handlowali z dilerami, zawsze zajmowali się produkcją alkoholu. Dlatego pan Salvatore uważa, że przez tego gówniarza można znaleźć się blisko nich. Jeśli faktycznie zaczął ćpać, co jest bardzo prawdopodobne, to on jest obecnie ich najsłabszym punktem.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem

- Sprawdź, jak wygląda ich uzbrojenie, dokładna siła liczebna - mówił dalej Mason, - oraz czy nie zajęli się produkcją narkotyków. Pan Salvatore w to nie wierzy, znając starego Wrighta, ale sprawdzić nie zaszkodzi. Będziesz składał cotygodniowe raporty panu Salvatore a twoje środki pieniężne będą niemal nieograniczone. Zapewne większość pójdzie na prochy, jednak wynik tego zadania jest tego wart. W chwili, gdy Mordino i Wrightowie wykończą się wzajemnie, my niespodziewanie uderzymy w nich siłą naszej nowej broni. Wtedy zostanie już tylko John Bishop, który, z tego co wiemy, jest obecnie zajęty czymś poza Reno.

Ponownie potrząsnąłem głową, zatopiony we własnych myślach.

- Czy wszystko jest jasne? Masz jakieś pytania?

- Wszystko jasne - odparłem bezbarwnie po chwili. Jedynym pytaniem, jakie krążyło mi po głowie, było: dlaczego ja? Ale nie odważyłem się go zadać.

Salvatore chrząknął i wydyszał:

- Liczę na ciebie chłopcze. Nie zawiedź mnie, a nagroda cię nie minie…

To oznaczało, że rozmowa jest zakończona.

- Jeszcze jedno - powiedział Mason, gdy wstałem i zgarnąłem jet ze stołu. - Musisz przestać być Jasonem Taylorem. Wymyśl sobie jakieś imię. Jeśli ktoś dowiedziałby się zbyt szybko, zwłaszcza któryś z Wrightów, że masz z nami powiązania, cała akcja spaliłaby na panewce.

- Skąd wiadomo, czy już tego nie wiedzą?

- Jesteś nowym członkiem rodziny. Wątpię, żeby cię znali. Szybko wyjdzie na jaw, jeśli posiadają taką wiedzę. Wtedy obmyślimy coś innego.

- "A ja co najwyżej zginę…" - pomyślałem i kiwnąłem głową.

- Utrzymaj się przy życiu… i nie rozczaruj nas… - zakończył Salvatore.

Wstałem, ukłoniłem się i wyszedłem z apartamentu wiekowego przestępcy, będącego moim pracodawcą.

Siedziałem w "Dżungli" i oglądałem pojedynki bezmózgich, przeładowanych testosteronem i napakowanych sterydami bokserów. Była sobota, wieczór walk. Piłem piwo i rozmyślałem nad zadaniem od Salvatore. Wszystko było jasne - chcą zaćpać dzieciaka Wrightów i zwalić winę na Mordino, by ci się wzajemnie wytłukli. Pomysł trzeba przyznać był genialny. Istniał jednak drobny

problem. Ja. Nie myślałem o tym, czy podołam tej misji. Chodził mi jedynie po głowie obraz wyimaginowanego, zaćpanego Richarda Wrighta, którego jeszcze nigdy nie spotkałem, i który miał przed sobą prawdopodobnie tylko kilka miesięcy życia. Byłem rekieterem i żyłem w zdegenerowanym mieście, więc skąd te obyczajne myśli? Nie mogłem w ten sposób podejść do mojego zlecenia, musiałem się wyzbyć wszelkich moralnych zachowań i zacząć grać, by osiągnąć cel. W tym momencie zauważyłem Młodego Jesusa wchodzącego do siłowni. Wysoki, postawny, z cwaniackim uśmieszkiem na twarzy i nożem o czerwonej rękojeści w dłoni, którym bez przerwy się bawił. Witał się ze wszystkimi, a raczej to oni przybiegali do niego z wyciągniętymi rękoma. Kilku ochroniarzy obserwowało uważnie wszystkich adeptów młodego przestępcy. Młody Jesus promieniał i tryskał energią. Po chwili zaczął rozdawać jet, czym wzbudził euforię wśród zebranych w "Dżungli" ćpunów. Minutę później już go nie było. Dokończyłem piwo i również wyszedłem. Nie miałem ochoty patrzeć na naszprycowanych, nadpobudliwych narkomanów, którzy na skutek odlotu już zaczęli łapać za krzesła wokół ringu…

Od następnego dnia zacząłem kręcić się po Virgin i Second Street w żulerskich ciuchach, by odszukać młodego Wrighta. Według opisu Masona miał około dwudziestu lat, a wyróżniać miał się czarną chustką, którą zrolowaną wiązał sobie na czole. Ujrzałem go dopiero w środę. Był niskim, drobno zbudowanym chłopakiem o niewinnej twarzy, któremu dałbym co najwyżej szesnaście lat. Kręcił się niby bez celu po uliczce tuż za "Desperados", zauważyłem jednak, że rozgląda się wokół z niepokojem. Ciekawe, czy patrzył tak za dilerem, czy może obawiał się kogoś z Mordino. Kilka chwil potem podszedł do niego ten czarny dupek, Jimmy J. Minutę później młody Wright znikł.

Moja obserwacja trwała prawie dwa tygodnie. Mason dawał mi do zrozumienia, że, jeśli nie Salvatore, to przynajmniej on zażąda wkrótce jakichś efektów. Miałem w dupie, co mówił, ale wiedziałem, że muszę przystąpić do działania. Okazja nadarzyła się dwa dni później.

Jak zwykle siedziałem ukryty w śmieciach między tlącymi się beczkami na tyłach kasyna Mordino, udając ćpuna. Usłyszałem jak ktoś przedziera się przez barachło, którym usłany był asfalt za budynkiem. Poznałem od razu, że był to młody Wright - miał charakterystyczny chód: powłóczył nogami, robiąc przy tym sporo hałasu, dzięki temu jednak mogłem go rozpoznać. Wyjąłem z kieszeni dwa jety. Nagle wstałem i niby przypadkiem wpadłem na niego. Jet wyleciał mi z rąk.

- Kur… sory, stary… - wydyszałem i momentalnie schyliłem się, nie spoglądając mu w oczy.

- Nic się nie stało - odparł młody Wright. - Pomogę ci…

Kucnął i sięgnął po fiolkę z narkotykiem. Spojrzał na nią, później na mnie. Ja udawałem zajętego szukaniem czegoś pod stertą gazet.

- Widzę, że jesteś swój człowiek - powiedział cicho, oddając mi jet i nie spuszczając go z oczu.

Jęknąłem wstając powoli i biorąc jet z jego chudej dłoni. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Obróciłem głowę w lewo i w prawo.

- Chcesz trochę? - mruknąłem. - Mam nie tylko to…

To była prawda, w międzyczasie zakupiłem prawie wszystkie dragi dostępne na ulicach Nowego Reno.

- Nieee… - przeciągnął młody Wright. - Mam już umówione spotkanie z Jimmym…

- Wiesz co, ja bym od niego nie brał towaru - odrzekłem po chwili. - Szczyci się, że ma najczystszy w mieście, ale to gówno prawda. Targuje się razem z Julesem, więc…

- Skąd to wiesz? - zapytał chłopak podejrzliwie.

- Widziałem. Możesz mi nie wierzyć, jak nie chcesz, każdy… sprzedawca mógłby tak powiedzieć. Ale… ja mogę dać ci gwarant…

Oczy mu się rozszerzyły.

- Jaki?

- Weź to - podałem mu dwa jety.

- Tak… za frajer? - zdziwił się.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest ryzyko, jest zabawa, nie?

- Skąd mam wiedzieć, że jest w porządku?
- A co? Boisz się, że umrzesz? Nie rozśmieszaj mnie…
Wiedziałem, że taka zabawa jest niebezpieczna, ale mimo wszystko brnąłem w to dalej. Młody Wright wciąż nie był przekonany.
- Przecież nic nie będziesz z tego miał - powiedział, ale wyczułem niepewność w jego głosie.
- Być może potencjalnego klienta - odparłem, - więc mi się to opłaca. Wszystko zależy już tylko od ciebie.
Wright patrzył na jety tkwiące w mojej wyciągniętej ku niemu dłoni. Wykonał gest, jakby chciał je zabrać, ale nagle wstrzymał się.
- Jimmy nie ściga cię, że mu podbierasz klientów? - zapytał.
- Nawet o mnie nie wie - odrzekłem. - Prochy, oprócz mózgu, zabrały mu wzrok. To stary dupek, tylko patrzeć aż wykituje…
Chłopak uśmiechnął się.
- Racja…
Wyciągnął dłoń i wziął ampułki. Niemal usłyszałem, jak przełykam ślinę.
- Zaryzykuję, co mi tam… Jak mogę cię znaleźć?
- Przyjdź tutaj, a ja sam cię znajdę - odparłem.
Kiwnął głową.
- Tak swoją drogą, jestem Sammy - powiedziałem, gdy odwrócił się w stronę, z której podążał.
- Richard - odrzekł i uśmiechnął się. Po chwili odwrócił się, a ja patrzyłem, jak odchodzi.
- Wiem, Richardzie… - szepnąłem do siebie i z ulgą rzuciłem się na swoje udawane posłanie. Sammy? Skąd mi przyszło do głowy to imię?

To zadziwiające, co ludzie są w stanie zrobić, byle tylko dostać działkę. Richard Wright zjawił się dwa dni później.
- Towar najlepszej jakości - powiedziałem, wręczając mu kolejne dwa jety.
- Zgadza się, tak jeszcze nie odleciałem! - odparł młody Wright.
Gdy dowiedział się o cenie, aż go zatkało.
- To jest prawie trzy razy taniej niż u Jimmy'ego!
Uśmiechnąłem się tajemniczo.
- Widać mam lepsze wtyki.
- Stary… niedługo całe Reno będzie się u ciebie stołować…
Skrzywiłem się.
- Wiesz… powiedzmy, że sam sobie dobieram klientów. Im więcej musiałbym sprzedawać, tym gorszy byłby towar. A tego byśmy przecież nie chcieli, prawda?
- No nie, racja - odrzekł Richard, chowając jet do kurtki.
- Więc… jeśli mogę mieć taką prośbę... nie polecaj mnie nikomu, okej? Wyjdzie to z korzyścią dla nas obu. A zwłaszcza dla ciebie…
- Okej, nie ma problemu, Sammy - Richard klepnął mnie w ramię.
- I tak jest w porządku - odparłem z uśmiechem.
- Do zobaczenia wkrótce.

Jeszcze w tym samym tygodniu złożyłem pierwszy raport do Salvatore. Był zadowolony. Ja zaś dalej robiłem swoje. Spotkania z Richardem stały się regularne. Sprzedawałem mu coraz więcej jetu, którego dostarczał mi Mason. Musiał być naprawdę w dobrej jakości, bo młody Wright zachwalał go sobie przy każdych zakupach. Czasem w ramach promocji dostawał ampułkę gratis, którą zażywał na miejscu, przy mnie. Momentalnie robił się blady, później czerwony i dostawał cholernego spida. Jego źrenice rozszerzały się do granic możliwości. Bałem się tylko jednego - żeby na haju nie wygadał się o swoim dostawcy. Moje obawy okazały się słuszne.
Leżąc pewnego dnia, otulony kartonami, usłyszałem odgłos kroków. Na pewno nie był to Richard. Przez zmrużone oczy dojrzałem dilera Jimmy'ego J. z Second Street, który rozglądał się z wyrazem

wściekłości na twarzy i długim nożem w ręce.

- Gdzie jesteś, skurwielu?... Ja ci, kurwa, pokażę, co znaczy podbierać mi klientów - mruczał pod nosem

W końcu mnie ujrzał.

- Ty! Gdzie jest handlarz z tego zaułka?

Zacząłem coś bełkotać. Jimmy schylił się i złapał mnie za płachtę, w którą byłem odziany.

- Słyszysz mnie? Mów gdzie jest twój diler?!

Pozwoliłem, by głowa opadła mi do tyłu i chrapnąłem.

- Jebany ćpun… - wydyszał Jimmy i rzucił mną o beton. Po chwili odszedł. Richard zjawił się godzinę później.

- Co ty odpierdalasz?! - naskoczyłem na niego. - Wygadałeś się, że ci sprzedaję?!

Dojrzałem strach w jego oczach.

- Nie, Sammy, to nie ja… to nie tak…

- Jeśli nie potrafisz trzymać języka za zębami, to i my nie mamy o czym gadać.

Młody Wright przeraził się.

- Nie, Sammy, proszę! Kurwa, przepraszam cię! To już się więcej nie powtórzy!...

Patrzyłem na niego, dobrze udając złość.

- Przepraszam, Sammy!...

Westchnąłem ze zniecierpliwieniem.

- No dobra, przestań się mazgaić jak jakaś baba - powiedziałem. - Lubię cię, więc pozostaniesz moim klientem. Trzymaj - podałem mu pięć ampułek z jetem.

Richard pokręcił głową z niedowierzania.

- Stary… co to za promocja?

- Lubię cię - powtórzyłem. - Niech to będzie twoją gwarancją, że więcej się nie wypaplasz.

- Jasne - odrzekł Richard, chowając narkotyki, jednego jednak zostawił w dłoni.

- Ale musimy zmienić miejsce. Przyjdź tu pojutrze dokładnie o ósmej wieczorem.

- Amen, bracie - odrzekł Richard, szykując się do zażycia jetu. Wstrzymałem jego dłoń.

- Nie zachowuj się jak ćpun - Richard spojrzał na mnie. Po chwili oblał się rumieńcem wstydu.

- Jasne - powtórzył. - Pojutrze o ósmej.

Odszedł. A ja popatrzyłem za nim z poczuciem, że zaczynam mieć go w garści. "Lubię cię"… Ha, to mi się udało… Hm…

Składając kolejny raport Masonowi i Salvatore zapytałem czy nie znają miejsca, w którym mógłbym przenieść miejsce spotkań z Wrightem. Jeszcze tego samego wieczora Mason pokazał mi pewna ruderę kilka przecznic na wschód od "Dżungli", całkiem blisko dzielnicy rządzonej przez Wrightów. Była to niewielka, stara pakamera, jednak solidna i dobrze zabezpieczona. Na drzwiach i kratach w oknach widać było ślady nieudolnych prób włamania się do środka. Miejsce wydawało się idealne i takie też było - opuszczone, odosobnione, wygodne. Zaprowadziłem tam Richarda rzeczonego dnia.

- Niezła miejscówka - powiedział. - Mieszkasz tu?

- Można tak powiedzieć. Raczej tylko nocuję. Wpadniesz na herbatę?

Roześmialiśmy się razem.

- Jasne, czemu nie?

Rozejrzałem się wokoło.

- Wiesz, mam chyba tylko browar.

- Może być.

Richard usiadł na zniszczonej kanapie pod ścianą, ja oparłem się o stół. W milczeniu sączyliśmy piwo z butelek.

- Słyszałeś, co ostatnio wyczyniał Młody Jesus? - zapytał nagle.

- Co takiego?

- Rozdawał jet pod "Dżunglą". Ot, tak, za frajer.

- Hm, bawi się we mnie, czy jak?

Richard ponownie się roześmiał.

- Wiesz, pomyślałem wtedy o tobie. Mam nadzieję, że nie jesteś jego człowiekiem.

- Nie, daj spokój. Jestem niezależny. Wszyscy Mordino to dupki. Z resztą chyba każda rodzina w Nowym Reno. Każda, która handluje złym jetem.

Musiałem ostrożnie dobierać słowa. Nie wzbudziłem jednak jego podejrzeń.

- To prawda. Żeby każdy tak handlował jak ty, to mielibyśmy tu jebane niebo na ziemi. Z resztą na jecie powinien być umieszczony napis: "wykonano w niebie".

- Skoro tak mówisz. Ale niebo nie jest dla wszystkich - dodałem po chwili.

- A powinno być! - odrzekł młody Wright. - To, co złe chyba już stało się na świecie. Wystarczy spojrzeć na Reno. Teraz każdy powinien zaznać trochę szczęścia. Wiesz jak sobie wyobrażam niebo?

- No?

- Jak wieczny odlot!... - powiedział Richard, wyciągając się na zeżartej przez mole kanapie.

Roześmiałem się.

- No, faktycznie, jest to jakaś wizja.

- Pewnie. Pomyśl sam. Kto nie chciałby żyć wiecznie?...

- Ja bym chyba nie chciał - odparłem po zastanowieniu.

- Tak, ale dlaczego? Właśnie przez to jebane, zrujnowane miasto, przez całe otoczenie. Czy to jest świat, w jakim wyobrażaliśmy sobie żyć? Nie!...

- I myślisz, że jet jest lekarstwem na to całe bagno?

- Nie wiem. Nie wiem. Ja ciągle szukam. Szukam, bo chcę odnaleźć coś takiego, przez co na moment zabraknie mi tchu. Pamiętam moją pierwszą dawkę. To było właśnie takie uczucie. Dlatego na razie zawierzam jetowi.

- Nie boisz się tak brać? - zapytałem. - Że kiedyś weźmiesz za dużo? Albo tak przymulisz, że nie będziesz mógł już przestać?

Richard odpowiedział dopiero po chwili.

- Jestem człowiekiem, któremu tylko jedno w głowie - masz jedno życie, wykorzystaj je, bo jest tyle do zrobienia. Kompromis nie jest dla mnie. Dlatego żyję tak, jak żyję. I dobrze mi z tym.

Spojrzałem na niego i pomyślałem, że ten młody człowiek, niewiele w sumie młodszy ode mnie, mówi mądrze i z sensem. Po raz pierwszy zacząłem odczuwać wątpliwości, co do mojego zadania.

Richard zaczął wpadać odtąd niemal codziennie. Często przesiadywał u mnie do późnych godzin nocnych. Piliśmy, ćpaliśmy i generalnie przyjemnie nam się ze sobą gadało. Jet zażyty na odurzony sporą ilością alkoholu organizm miał zupełnie inne działanie, niż na trzeźwego. Kilka razy za namową Richarda skusiłem się na taką mieszankę. Oj, to był naprawdę niezły odlot…

Jednak Rick, który oświadczył, że najbardziej lubi, gdy tak zwracają się do niego inni, bardziej respektował jet w czystej postaci. Czasem nie mogłem za nim nadążyć, gdy będąc na spidzie zaczął opowiadać jakieś niestworzone historie, zrodzone w jego wyobraźni. Kilka razy przekonywał mnie, bym spróbował, ale odmawiałem. Nie chciałem wpaść, tak jak on powoli wpadał. Nieraz gadaliśmy o tym, ale przekonywał mnie, że ma wszystko pod kontrolą.

- Spoko, Sammy, nie jest ze mną tak źle, jak myślisz - mówił. - Fakt, że bez przynajmniej jednego jeta dziennie byłoby ciężko, ale na razie daję radę.

Ciężko było mi w to uwierzyć. Nie mniej jednak chwile odurzenia były przeplatane takimi z pełną świadomością. Nasze rozmowy dotykały chyba wszystkich kwestii i spraw, o których można było rozmawiać.

- Czasem chciałbym być psem - powiedział kiedyś. - Psy mają zajebiście. Zero zmartwień, pełna wolność… Nawet ruchają, kiedy chcą.

- Stary, w takim razie jesteśmy rasowymi kundlami!

Momentami śmiechu nie było końca.

Wiedziałem jednak, że Richard zmaga się z pewną rzeczą, której rzecz jasna byłem świadom, czyli jego przynależności do jednej z rodzin w Nowym Reno. Często, gdy rozmowa schodziła na te tory i zmierzała w stronę Wschodniej Dzielnicy, on milkł i starał się zmienić temat. Nie naciskałem, udając, że nie wiem, o co może mu chodzić. W głębi duszy było mi jednak głupio i chciałem,

żebyśmy mieli tę kwestię z głowy. Z drugiej strony prawdopodobnie zmieniłoby to w jakiś sposób nasze relacje, a nie chciałem zaprzepaścić wszystkiego, co udało mi się wypracować do tej pory. Czekałem więc. Wreszcie Richard sam poruszył tę sprawę.

- Sammy, powiedz mi, czy ktoś z tej rodziny ze Wschodniej Dzielnicy sprawiał ci kiedyś jakiekolwiek problemy?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Widzisz… nie wiem jak to powiedzieć… Nie wiesz jeszcze o mnie wszystkiego.

Milczałem.

- No więc… - zaczął, ale wyraźnie sprawiało mu trudność wypowiedzenie się. - Ech, kurwa, co mi tam - ja należę do tej rodziny. Nazywam się Richard Wright.

Uniosłem brwi.

- Ta? Nie gadaj… - udałem zdziwionego. - No to… zajebiście!...

- Serio? Nie przeszkadza ci to?

- No co ty? Przynajmniej będę miał wtyki.

Richard uśmiechnął się.

- Niewątpliwie. Uff - odetchnął po chwili, - myślałem, że pójdzie gorzej.

- Dlaczego? A co w tym złego?

- Cóż, niektórym przeszkadza to, że ktoś jest w jakiejś rodzinie.

- A co ja jestem? Mały Jesus? Daj spokój. Sam nie należę do żadnej, więc i mi to wisi, z której ty pochodzisz. No, chociaż Mordino to bym chyba nie zdzierżył.

Roześmialiśmy się. Od tej pory Richard opowiadał mi o rodzinie Wrightów. To, co wiedziałem, potwierdziło się. Zajmowali się produkcją i sprzedażą bimbru, przez pośredników kupowały u nich pozostałe gangi. Nie trudnili się narkotykami. Okazało się, że jest ich prawie trzydziestka plus cała masa strażników. W większości byli ze sobą mniej lub bardziej spokrewnieni, czasami "naturalizowali" pewnych ludzi, czyli werbowali zaufane osoby, wymagając jednak, by przyjęły one ich nazwisko. Głową rodziny był Orville Wright, wiekowy, ale pełen werwy mężczyzna. Dystrybucją zajmował się jego syn Christopher, brat Ricka, nazywany przez wszystkich Chrisem. Benjamin, czyli jak można się było domyślić - Ben, odpowiadał za produkcję alkoholu. Był jeszcze Keith, za którym, jak wyczułem, Richard nie przepadał, prawa ręka ojca Wrighta w sprawach interesów i… ukrywania całego biznesu przed ich matką, Ethyl. Cały dowcip polegał na tym, że była ona święcie przekonana, że jej mąż, a co dopiero jej dzieci!, nie zajmują się tym, czym się zajmują. Mało tego, postawiła sobie za cel oczyszczenie Nowego Reno z wszelkiej maści używek, powołując do życia jakąś organizację o dziwnej nazwie, do której jak na razie należała… tylko ona. Poza tym Wrightowie mieli w swych szeregach ludzi z każdej kategorii profesji - od kowala do lekarza, dosłownie wszystkich.

Zauważyłem, że jedynie Richard nie miał wyznaczonej żadnej funkcji, choć, wedle jego słów, był ulubieńcem swojego ojca. Z jego opowieści wynikało jednak, że nie odpowiada mu ta sytuacja. Może dlatego zaczął stamtąd uciekać? Nie wiem. Nie wiedziałem również, że pod koniec tego tygodnia będzie mi ciężko złożyć raport Salvatore.

Nasze wesołe ćpanie trwało dalej. Czas wyznaczały nam ciche pyknięcia i krótkie syki, odgłosy, jakie wydawał jet podczas jego zażywania. Richard przesiadywał w mojej śmierdzącej komórce praktycznie cały czas. Bałem się, że wkrótce zacznie wypytywać o mojego dostawcę. Ale Rick nie pytał, bo i ja nigdy nie wspominałem o niczym na ten temat. Dostawał towar, więc było mu wszystko jedno. W międzyczasie opowiedziałem mu także prawie całą swoją historię - że mama umarła mi, gdy byłem gówniarzem, że ojciec zapił się niecałe dwa lata temu, o tym, jak trudniłem się grzebaniem trupów i jak spałem z żulami przy kościele. Poza tym, że pominąłem wątek Salvatore, cała reszta była prawdą.

Salvatore był zadowolony z dotychczasowych rezultatów mojego zadania. Był cierpliwy, nie porywczy i zapalczywy jak Mason. Poza tym zdrowo się wkurwił na swojego sługusa, o czym mnie nawet poinformował. Mason omal nie doprowadził wymiany na pustyni do katastrofy - oczywiście swoją głupotą i brakiem jakiegokolwiek dystansu. Salvatore oznajmił mi wówczas, że grudniową transakcję przeprowadzę ja, więc muszę z tego powodu znaleźć chwilę czasu. Nie byłem tym zachwycony.

Któregoś dnia udaliśmy się na spacer po Virgin Street. Spotkaliśmy Julesa, śmierdzącego tanią wodą kolońską, niskiego czarnucha po pięćdziesiątce. Też handlował prochami, ale miał tak zanieczyszczony jet, że aż nie chciało się tego brać do ręki. Głównie sprzedawał go nowoprzybyłym do miasta wędrowcom i kupcom z karawan.

- Siema, Jules - powiedział Richard.

- Ach, witam, witam, panie Wright - ukłonił się nisko. - Co pana do mnie sprowadza? Jak się miewa ojciec?

- Co cię obchodzi, jak się miewa? Wiedz, że dowiedział się już, że próbowałeś kiedyś wcisnąć trochę tego świństwa jego ulubionemu synkowi - wskazał na ampułkę jetu, wystającą mu z kieszeni.

Jules strwożył się.

- Ja… nie… - zaczął się jąkać. - Ja nic…

- Tak, tak, "ty nic". Wierz mi, Jules, gdyby naprawdę o tym wiedział, już dawno nie byłoby cię tutaj.

Odeszliśmy. Obejrzałem się przez ramię. Stary Jules odprowadził nas gniewnym spojrzeniem.

- Po co to było? - zapytałem.

Rick wzruszył ramionami.

- Trzeba się czasem rozerwać, nie? Zabaw się, Sammy, ponuraku…

Nagle wpadł mi do głowy idiotyczny pomysł.

- Znam lepsze zabawy - odparłem.

- Jakie?

- Chodź, zobaczysz.

Weszliśmy w alejkę tuż obok kasyna Mordino. Po tym jak spławiliśmy kilka dziwek i podrzędnych dilerów, poszukałem czegoś ciężkiego. Znalazłem spory kawałek cegły i popatrzyłem na ogromne, świecące, neonowe logo klubu, napis "Desperados". Richard załapał, o co mi chodzi.

- Stary, ale to będzie odjazd, wiesz o tym?

Uśmiechnąłem się.

- Zmarzłem jak diabli, może zrobi się cieplej.

- O, na pewno. Ale poczekaj… jest tu jakaś droga ewakuacji?

- Spoko, znam ten teren. Między budynkami dobiegniemy praktycznie do Wschodniej Dzielnicy.

- Luz. A więc do dzieła?

- Do dzieła.

Richard chwycił kawał blachy i podeszliśmy bliżej wejścia. Mieliśmy sporo szczęścia, obaj bramkarze, którzy zwykle tu pilnowali, musieli wejść do środka. Spojrzeliśmy po sobie. Zamachnąłem się i rzuciłem w logo nad wejściem do kasyna. Rozległ się huk. Litera "R" wydała ostatnie tchnienie i zgasła. Richard wycelował i również rzucił. Miał lepszego cela ode mnie, bo jego blacha ostrą krawędzią walnęła w górny zaczep, którym przymocowana była ta sama litera "R" do muru. Zaczep puścił i nagle neonowy znak przechylił się do przodu, zawisając jedynie na dolnym haku. Hałas jaki przy tym powstał mógł obudzić wszystkie trupy, które zakopałem na Golgocie.

- O, kurwa… - wyszeptał Richard.

- Dobra, spieprzamy stąd!...

Wtedy z baru wyskoczyło kilku potężnych gości z "tomaszkami" w łapach. Rozległy się strzały. Pochyleni uciekaliśmy przed siebie alejką, byle jak najdalej od kasyna. Przedzieraliśmy się przez góry śmieci, co chwila oglądając się za siebie. Oddalony, głuchy łoskot oznajmił nam, że "R" na dobre opuściło napis "Desperados". Strzały jednak nie ustawały. Nagle przy wchodzeniu w zakręt Richard poślizgnął się i przewrócił.

- Sammy!...

Podbiegłem i podniosłem go. Nie mógł dalej uciekać, miał chyba skręconą kostkę. Usłyszałem przedzierających się przez sterty odpadów oprychów Mordino. Rozejrzałem się gorączkowo. Zauważyłem, że w budynku przede mną brakuje piwnicznego okna. Nie myśląc wiele wepchnąłem

tam Richarda. Na szczęście dziura była na tyle szeroka, że Rick spokojnie przez nią przelazł. Ukryłem się w ostatniej chwili. Banda Mordino zatrzymała się tuż przy naszej kryjówce. Zaklęli ze zrezygnowania i odeszli, dysząc ciężko.
My zaś dusiliśmy się ze śmiechu.

- Kurwa! Ale jazda! - wyszeptał Richard.
- Jak twoja noga?
- Boli jak cholera - syknął, - ale… warto było… Co to?!...

Wrzasnął i podskoczył. Usłyszałem pisk szczura. Napadł mnie dziki śmiech. Richard rzucił we mnie pustą puszką.

- Bardzo zabawne…

Kilka minut później jakoś wydostaliśmy się z zapyziałej piwnicy. Prawa noga Ricka spuchła jak balon i wiedziałem, że nie zdoła samemu dostać się do domu. Pomogłem mu więc, łapiąc go wpół, a prawe ramię zarzucając sobie na barki. W ten sposób dokuśtykaliśmy do Wschodniej Dzielnicy. W porównaniu do reszty Reno było tu wręcz sterylnie. Czysto i miło, aż chciało się tu mieszkać. Udaliśmy się do budynku przy dawnej trakcji kolejowej, chyba musiała być to kiedyś stacja. Weszliśmy do środka.

- Co tu się, kurwa, dzieje?! - przywitał nas ochrypły głos ubranego w skórę i łańcuchy, potężnie zbudowanego człowieka.
- Cześć, Chris!... - wydyszał Richard, ciężko siadając na ławeczce w rogu.
- W coś ty się znowu wpakował, Rick? - krzyknął Chris. - Co się stało?
- Ach… przewróciłem się - machnął ręką. - Sammy pomógł mi dotrzeć tutaj. Poznajcie się: Chris to jest Sammy, mój przyjaciel.

Chris szybko obejrzał mnie z góry do dołu i lekko skinął głową. Nie kwapił się z wyciągnięciem ręki, więc i ja tego nie zrobiłem.

- Gdzie byłeś?
- Tu i tam. Nie musisz wiedzieć wszystkiego.
- Dobra, dobra, zobaczymy jak będziesz śpiewał przy mamusi…
- Nie rozśmieszaj mnie - prychnął Richard, - dobrze wiesz, że gdybyś cokolwiek jej powiedział, ona dowiedziałaby się o naszym biznesie…

Chris popatrzył na niego z góry i uśmiechnął się.

- Nic dziwnego, że stary chce cię na swojego następcę. Masz łeb.

Richard wzruszył ramionami.

- Idę do Bena. Chodź, Sammy.

Zachwiał się przy wstawaniu, więc podałem mu rękę.

- Dzięki, stary… - szepnął.

Przeszliśmy przez drzwi do pokoju po prawej stronie. Przywitał nas siedzący za biurkiem mężczyzna przy kości.

- Hej, Rick! Słyszałeś, że… co jest z twoją nogą?!
- Spoko, chyba ją trochę zwichnąłem. O czym słyszałem?
- Nie przedstawisz mnie swojemu kumplowi?
- Ben, to jest Sammy, pomógł mi się tu dostać.
- Och, witam w takim razie - Ben wyszedł zza biurka. Wymieniliśmy uścisk dłoni. - Przyjaciel Ricka jest moim przyjacielem.
- O czym słyszałem?
- Eee, nic takiego. Ktoś zrobił rozróbę w klubie Mordino. Rozwalili im ten napis nad wejściem.

Ben wrócił na miejsce za biurkiem. Spojrzeliśmy po sobie. Od naszej akcji minęła raptem nieco ponad godzina.

- Wieści szybko się rozchodzą - powiedział Richard.
- Wiedziałeś o tym?
- Coś tam obiło mi się o uszy.
- No, podejrzewają, że to początek wojny rodzin w Nowym Reno.
- Naszej też?

- Nie żartuj nawet! Ojciec nie chce o tym słyszeć. Wiesz przecież, że nie mamy broni…
Nagle urwał, spoglądając na mnie.
- Nie przejmuj się. Sammy jest z nami…
Richard skierował się w stronę łóżka w prawym rogu pokoju.
- Nie, Rick, znowu mam spać na dole? - wyjęczał Ben.
- Och, daj spokój. Wiem, że i tak bardziej to lubisz, bo możesz osobiście sprawdzić jakość wyrobu. Lepiej zrobiłbyś mi herbaty…
Ben pokręcił głową i zszedł do piwnicy schodami po drugiej stronie pomieszczenia. Richard walnął się na łóżko.
- Będę chyba spadał, Rick.
Richard poprawił opaskę na czole i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma. Wiedziałem, co to oznacza. Rozejrzałem się wkoło i podałem mu dwie działki jetu. Jedną Richard zużył od razu.
- Sammy, jesteś moim najlepszym przyjacielem…
Uśmiechnąłem się.
- Do zobaczenia.
"To jest Sammy, mój przyjaciel" - te słowa brzęczały w mojej głowie nieustannie tego wieczora. Im bliżej było pierwszego dnia grudnia, tym mniej chciałem wracać do mojego pracodawcy.

A jednak, ten dzień zbliżał się i to nieuchronnie. Salvatore przypomniał mi o nim podczas składania kolejnego raportu. Oznajmił też, że prowokacja, jakiej mam się dopuścić, musi mieć miejsce najwcześniej w styczniu. Wtedy uzbrojenie będzie skompletowane, a "sile rodziny Salvatore nie oprze się nikt w Nowym Reno." Przyjąłem to bez szczególnego entuzjazmu. Prawdę powiedziawszy, miałem już serdecznie dość całej sytuacji. Z drugiej strony wiedziałem, że niewiele mogę zrobić, by ją poprawić.
Nasza przyjaźń z Richardem zacieśniała się. Byliśmy naprawdę zżyci i rozumieliśmy się bez słów. Miałem świadomość, że utrzymuje ze mną kontakt głównie ze względu na jet, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżywałem. Miałem prawdziwego przyjaciela po raz pierwszy w życiu.
Nasza akcja przy kasynie "Desperados" odbiła się dość szerokim echem w całym Reno. Mordino nie wiedzieli, kto był sprawcą, chodziły słuchy, że Duży Jesus wyznaczył pokaźną nagrodę za jego schwytanie. Nie byliśmy zaniepokojeni, ale dla świętego spokoju nie pojawialiśmy się w tamtej okolicy. Mały Jesus nie rozdawał już jetu na lewo i prawo, a jego kasyno zatrudniło kilku kolejnych goryli. Świadomość, że to właśnie my narobiliśmy im takiego bałaganu, było niesamowitym uczuciem.
Ben Wright od razu mnie zaakceptował, jednak Chris wciąż mi nie ufał. Szybko to zauważyłem i starałem się go unikać, nie chcąc sprowadzać problemów ani na siebie, ani na Ricka. Według jego słów zaś nikt w rodzinie nie podejrzewał, że w ogóle cokolwiek bierze, a już tym bardziej, że jest uzależniony od jetu. Ja natomiast ograniczyłem kontakt z Masonem jedynie do spotkań, gdy dostarczał mi prochy. Często brałem większą ilość, by widzieć go jak najrzadziej, zdarzało się, że kazałem mu zostawiać towar u Billa, barmana. Spotkania z Salvatore były niestety koniecznością.

Wreszcie nadszedł pierwszy dzień grudnia. Postanowiłem już wcześniej, że tego dnia nie spotkam się z Richardem. Popołudnie wlokło się niemiłosiernie, a nuda i brak rozmowy, od której stałem się nałogowcem zupełnie jak Rick od jetu, doskwierała mi podwójnie. Odczuwałem wyrzuty sumienia, że muszę go okłamywać. Coraz częściej łapałem się na tym, że rozmyślam nad tym, jakby to było, gdybym nie pracował dla Salvatore.
Powoli nadchodził wieczór, na zewnątrz było już ciemno od kilku godzin. Uznałem, że pora wychodzić, mimo że miałem jeszcze sporo czasu. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Nikt poza Richardem nie wiedział jednak, że tu mieszkam, więc…
- Sammy, musisz mi pomóc - wydyszał Rick. - Chris się wściekł, ubzdurał sobie, że to ja rozjebałem logo knajpy. Musisz zaświadczyć, że nas tam nie było!...
Oblał mnie zimny pot.
- Chodźmy - wyskoczyłem z mieszkania.
Czym prędzej, na ile pozwalał na to stan wciąż bolącej nogi Richarda, udaliśmy się w stronę

Wschodniej Dzielnicy. Po kilkunastu minutach wpadliśmy do starej stacji kolejowej.

- Aha! - krzyknął Chris swoim chropowatym głosem, gdy tylko nas zobaczył. - I wszystko jasne! Byliście tam razem! Co wyście sobie, do ciężkiej cholery, myśleli?!

- Chris, mówię ci, że to nie ja! - odrzekł Richard. - Nie my! Po co mielibyśmy się tam kręcić?!...

- Zamknij się, Richardzie! - przerwał mu brat.

- Nie to ty się zamknij i mnie posłuchaj! To, co mówisz w ogóle nie trzyma się kupy! Gdyby Keith albo ojciec dowiedzieli się, że się tam kręcę, postawiliby na mnie krzyżyk!

- Och, ojciec dowie się, tego możesz być pewien! - Chris złapał się za głowę. - Kurwa!...

- Ale, Chris, jaką masz pewność, że… - wstawiłem się za kumplem, ale starszy Wright przerwał mi jadowitym tonem:

- Ty się nie odzywaj i najlepiej będzie dla ciebie, żebyś więcej się tu nie pokazywał…

- Spierdalaj! - wrzasnął Richard i ruszył do niego z pięściami. - Rozumiesz?! Po prostu się pierdol!!!

Powstrzymałem go jednak. Nie chciałem, by skoczyli sobie do gardeł z własnym bratem.

- To prawda, Rick, tak będzie lepiej…

- Gówno prawda, Sammy!

Richard uspokoił się nieco dopiero po kilku chwilach. Christopher spacerował po pokoju intensywnie myśląc. W końcu zatrzymał się na środku pomieszczenia i oznajmił:

- Muszę pogadać z Mordino. Nie ma innego wyjścia.

Spojrzeliśmy na niego w milczeniu. Zdumienie to za mało, by wyrazić to, co poczułem.

- Tak zrobię - ciągnął dalej Chris, - przeproszę go, może to załatwi nam współpracę z ich rodziną…

- O czym ty, kurwa, mówisz?! Przecież oni nawet nie wiedzą, kto im to zrobił!... - krzyknął Richard, ale Chris go nie słuchał. Już zmierzał w kierunku drzwi. Richard wstał i zagrodził mu drogę.

- Nie zatrzymuj mnie teraz! - powiedział Chris.

- Nie pozwolę ci pójść! Mały Jesus prędzej sprzeda ci kosę niż będzie chciał z tobą gadać!

- Przykro mi, braciszku… - odrzekł Chris i z całej siły kopnął Richarda w jego skręconą kostkę. Rick wrzasnął z bólu i upadł. Zanim go pozbierałem, Chrisa już nie było.

- Idź za nim, Sammy!... Oni go zabiją!

Wybiegłem z budynku i skierowałem się w stronę centrum miasta. W głowie uruchomił mi się zegar, świadomość zbliżającej się transakcji na pustyni była przyklejona do mojego mózgu jak kartka na lodówkę. Wiedziałem, że jeślibym się nie zjawił, konsekwencje mogłyby okazać się dla mnie tragiczne.

Wreszcie dojrzałem Chrisa Wrighta. Szedł szybko, gestykulował i mówił do siebie. Co on sobie myślał? Że tak spokojnie wyjaśni wszystko Mordino? Chyba kompletnie nie znał tutejszych realiów. Obszedł kasyno "Desperados" uliczkami od wschodniej strony. Nagle zatrzymał się. Obserwowałem jak przybiera wyprostowaną postawę. Wziął głęboki wdech i ruszył. Wyjrzałem zza węgła. Mały Jesus sprzedawał prochy kilkunastoletniemu chłopakowi. Był bez swoich goryli. Wezbrała we mnie złość. Chyłkiem podszedłem najbliżej jak mogłem, ukryłem się za kontenerem na śmieci, w którym zapewne mieszkał jakiś żebrak.

Chris zatrzymał się w pewnej odległości od Jesusa. Ten dojrzał go. Spławił dzieciaka i zmrużył oczy. Po chwili na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech.

- Proszę, proszę… czy to nie pan Wright? - powiedział ociekającym jadem głosem.

- Witaj Mały Jesusie, synu Dużego Jesusa. Przybywam w pokoju.

Złapałem się za głowę. W jakim świecie żył ten człowiek?! Mały Jesus, co zrozumiałe, wybuchnął śmiechem. Skrzyżował ręce na piersi i ukłonił się.

- Witaj, wodzu sąsiedniego plemienia. "Dźgający Nóż" pozdrawia "Tchórzliwego Durnia"!...

Młody Mordino śmiał się w głos. Chris spoglądał na niego niepewnie.

- Słuchaj, chcę przeprosić za to, co się stało.

- Czyli za to, że żyjesz? - odparł Jesus, a w jego dłoni błyskawicznie znalazł się nóż.

- Hej, hej, nie chcę żadnych kłopotów - Chris podniósł dłonie w geście poddania i cofnął się

o krok.
Mały Jesus uśmiechnął się złośliwie i strzelił brwiami. Zaczął powoli zbliżać się do Wrighta.
- Dlaczego nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia?...
- Hm, niech się zastanowię… Gówno mnie to obchodzi?
Chris cofając się minął mnie. Dostrzegłem przerażenie w jego oczach.
- Ha, ale mi się trafiło! - syknął Mordino. - Jednego Wrighta mniej…
- Nie chcesz wiedzieć, kto popsuł wasze kasyno?...
- Nie… - odparł Jesus. - Po co, skoro jego trup sterczy już na Golgocie?
Chris był zdezorientowany. Wciąż cofał się, wpatrując się w Jesusa, który właśnie mijał moją kryjówkę. Obserwowałem, jak Chris niebezpiecznie zmierza ku kupce cegieł, o którą niechybnie zaraz by się potknął. Wtedy zza rogu wyskoczył Richard.
- Chris!... - krzyknął.
Na twarzy Jesusa pojawił się grymas wściekłości. Ruszył z impetem na Wrighta. Wtedy wyskoczyłem zza śmietnika i przygwoździłem go do ściany. Aż jęknął. Po chwili dostał dwa strzały w pysk i upadł.
- Uciekajcie! - krzyknąłem.
- O, ty, skur… - Mordino wypluł krew i zaczął szukać noża, który wypadł mu z dłoni w chwili mojego ataku.
Nie myśląc wiele pociągnąłem mu "z kopa", zgarnąłem spomiędzy śmieci jego oręż i szarpnąłem Chrisem, który stał oniemiały. Wciąż patrząc na Jesusa, odwrócił się i zaczęliśmy uciekać. Pomogliśmy Rickowi, który nie mógł biec, uszkodzony wcześniejszym kopniakiem brata. Po kilku minutach byliśmy już bezpieczni.
Chris długi czas siedział za swoim biurkiem i nie odzywał się, chowając twarz w dłoniach. My zaś patrzyliśmy na niego z uśmiechami na twarzach, rozmawiając o ostatnich wydarzeniach i przyglądając się nietypowemu nożowi Małego Jesusa. Nagle brat Ricka wstał i podszedł do nas.
- Przepraszam was, chłopaki - powiedział wyraźnie zawstydzony. - Nie mam pojęcia… co mogę powiedzieć. Naprawdę… nie wiem, co ja sobie myślałem.
Richard uciszył go gestem dłoni.
- Nic nie mów, Chris. Uznajmy, że to się nigdy nie stało.
Brat Ricka zwrócił się do mnie.
- Dzięki za pomoc. Nie musiałeś, a jednak…
W milczeniu uścisnąłem mu dłoń. Wymieniliśmy spojrzenia. Zauważyłem, że było mu strasznie głupio.
- Następnym razem zastanów się, co mówisz - powiedział Richard. - I nie próbuj tak mocno, nie z Mordino.
Tej nocy transakcja na pustyni, na którą o mało się nie spóźniłem, była wyjątkowo udana, a grymas na twarzy Masona, który widział w jakiej jestem formie, był jeszcze bardziej wykrzywiony.
Po wszystkim zapytałem Richarda, skąd u Chrisa w ogóle pojawiły się takie przypuszczenia względem niego. Stwierdził, że musiał palnąć jakieś głupstwo, które jego brat, swoim zwyczajem, zinterpretował dosłownie, mimo że w domyśle było oczywistym żartem. Chris po prostu taki był i trzeba było ostrożnie dobierać przy nim słowa. Po tej akcji jednak zaakceptował mnie jako kumpla Richarda i za każdym razem, gdy pojawiałem się na ich stacji - czyli praktycznie codziennie - witał mnie z uśmiechem.
Mały Jesus prawie przestał pokazywać się na Virgin Street. Bez swojego talizmanu, czyli zdobionego, dodatkowo ostrzonego, zapewne wykonanego na specjalne zamówienie bojowego noża z czerwoną rączką, najwyraźniej czuł się jak bezbronne dziecko. Wszyscy doskonale wiedzieli, że potrafi sprzedać kosę jak chyba nikt inny w Nowym Reno, teraz wyczuwalnie był zagubiony. Gdy już zdarzyło mu się wyściubić połamany nos z "Desperados" chodził w obstawie przynajmniej trzech dwukrotnie większych od niego goryli. Nie odgrażał się jednak i nie rozpowiadał wokół o swojej ewidentnej porażce - nie chciał stracić wizerunku niepokonanego syna wielkiego gangstera, który został wyraźnie nadszarpnięty. Dla jaj zaczęliśmy mu podsyłać ironiczne listy z jego wymalowanymi karykaturami i nożem z czerwoną rękojeścią, których autorem był Rick. Najlepsze było to, że wiedział, albo domyślał się, kto jest ich autorem, ale nic nie mógł z tym

zrobić, by nie rozpętać w Reno piekła, jakim niewątpliwie byłaby wojna rodzin. Na razie ze względu na dystrybucję ogromnych ilości jetu, byłby to dla Mordino samobójczy gol.

Nadszedł dzień wizyty u Salvatore. Już na samą myśl chodziłem wściekły od samego rana. Richard od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Zacząłem ściemniać, że nie czuję się najlepiej i tego typu dyrdymały. Gdy odchodził z mojej pakamery, zacząłem ze złości rzucać wszystkim, co miałem pod ręką. Postanowiłem - to będzie ostatni raport. Kończę z tym.
Na spotkaniu dowiedziałem się, że Salvatore zakupił kolejne egzemplarze laserowej broni, następna transakcja odbędzie się na kilka dni przed grudniowymi świętami, oraz że mogą przystąpić do akcji na początku roku. Nie odważyłem się wystąpić z propozycją rezygnacji - szybko dotarło do mnie, że wydałbym na siebie wyrok. Nie omieszkałem jednak nieco ubarwić swoich historii… A w zasadzie całkowicie ich zmyślić. W nowym świetle Richard Wright wychodził z nałogu, co mogło w znaczący sposób utrudnić i odwlec w czasie realizację planów rodziny. W ten sposób wymigałem się również od uczestnictwa w spotkaniu na pustyni. Salvatore oznajmił mi, że czeka na mój znak. Bez tego nie ruszy dalej. Dało mi to więcej czasu na obmyślenie własnego planu - ucieczki z jego gangu.
Obraz Ricka, który przedstawiłem staremu Louisowi, był nazbyt optymistyczny. Prawda była taka, że Richard pogrążał się w swoim uzależnieniu od jetu. Cztery dawki dziennie były minimum, by jako tako funkcjonował, zdarzały się dni, że brał nawet sześć, siedem działek. Prawie w ogóle nie jadł, czarne jak węgiel oczy wyróżniały się na kredowobladej skórze, górna warga w dziwny sposób zaczęła odsłaniać zęby, wyglądał już naprawdę okropnie. Aż dziw, że nie wzbudził podejrzeń swoich bliskich. Rozgadał się przy tym jak jakiś cholerny orator, czasami słuchając go miałem wrażenie, że mówi od rzeczy. Zacząłem go pytać, czy nie przesadza, co będzie jak dowiedzą się jego starzy, albo jeśli przedawkuje. On jednak wciąż powtarzał:
- Spoko, Sammy, wszystko pod kontrolą. Mówię ci, też powinieneś spróbować. Stary… jest w tym jakaś magia. Coś, co nie pozwala od tego uciec. To jest jak… miłość mojego życia! Mówię ci… zwiąż swoją mamuśkę i odleć razem ze mną… Mała szalona rzecz zwana jet…
Gadał jak ćpun. Jego słowa nie uspokajały mnie, ale nie interweniowałem. Jeszcze niedawno byłem sam jak palec, teraz miałem kumpla… Myślałem, że wiem, co robię, coś jednak zaczęło się sypać…

Po ostatnim spotkaniu z Salvatore długo myślałem, w jaki sposób uwolnić się od niego i przeżyć. Dowiedziałem się, że jakiś lowelas zaciągnął u niego dług i nie wywiązał się na czas. Ukrył się jednak tak dobrze, że ludzie Salvatore za nic nie mogli go odnaleźć. Czyli było to możliwe! Ale zastanawiałem się, czy chcę takiego życia - w ukryciu przed wszystkimi, bojąc się wyjść na ulicę. Poza tym nie miałem pomysłu, jak to osiągnąć.
Postanowiłem jednak działać i po raz pierwszy wykonałem bardzo niebezpieczny ruch - przełożyłem swoje spotkanie z Salvatore. Nie miałem pojęcia jak zareaguje, zwłaszcza, że zrobiłem to przez pośrednika w osobie barmana jego knajpy. Byłem jednak zdecydowany… albo zdesperowany. Wiedziałem, że igram z losem, chciałem jednak uciec od tych ludzi za wszelką cenę.

Minął termin dodatkowej transakcji na pustyni, zbliżały się święta. Richard z tej okazji zmienił opaskę na czoło z czarnej na czerwoną, był jednak w dołku. Dowiedział się, że ktoś z rodziny zaczyna podejrzewać, że być może zaczął ćpać. W rodzinie Wrightów było to jednoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Trudno było w to uwierzyć, ale takie mieli zasady. Orville Wright i jego żona byli zdecydowanymi przeciwnikami wszelkich używek, oczywiście wyłączając działalność alkoholową, o której paradoksalnie matka nie miała zielonego pojęcia. Tak czy siak nie tolerowali żadnej formy narkotyków. Richard zwierzył mi się, że na dniach wyczekuje trudnej rozmowy z ojcem. Od jakiegoś czasu odsunął się od rodziny, w domu pojawiał się okazjonalnie, mimo że posiadał tam swój własny pokój. Nie mogło to ujść uwadze jego krewnym. Poprosił mnie, bym mu towarzyszył.
- Ale Rick, przecież twoi mnie wpuszczą do środka!
- Jakoś damy radę, chcę mieć świadomość, że słyszysz tę rozmowę. To doda mi otuchy.
To były najważniejsze słowa, jakie ktokolwiek kiedykolwiek do mnie wypowiedział.

Dzień rozmowy z ojcem nadszedł w święta. Rick wymyślił, że po prostu poprosi ojca o otwarcie okna, pod którym ja będę przysłuchuiwał się ich konwersacji. I faktycznie, po jakimś czasie usłyszałem chrobot uchylanego lufcika. Do moich uszu doszedł zmęczony głos starszego mężczyzny.

- Richie… Richie… powiem wprost - modlę się, żeby to, co o tobie usłyszałem, było podłym żartem. Gdyby nie powiedział tego Wright, prawdopodobnie już by nie żył. Nie życzę sobie takich insynuacji względem mojego syna. Nie chcę wiedzieć jak jest naprawdę, bo dla mnie prawda jest tylko jedna. Wiesz o tym, synu?

- Tak, tato - odrzekł Richard.

- Powiem tylko tyle… Wiem, życie jest okrutne, życie jest bezlitosne, jesteśmy zezwierzęceni i zdziczali. Życie jest jak uprzykrzająca się dziwka albo pies, który co rano wyje, bo nie znajduje w misce nic do żarcia. Ale życie jest też cholernie prawdziwe… Słuchasz mnie?

- Tak, tato.

- Wiele nie brakuje, żeby je przegrać. Nie chcę, żebyś pewnego dnia obudził się i stwierdził: wszystko zdechło… Wszystkie marzenia, plany, cele. I nie chcę, żebyś zmuszony był się zastanawiać, po co w ogóle żyjesz. Richie, obudź się póki jeszcze jest na to pora, słyszysz?

- Tak, tato - miałem wrażenie, że Richard wpadł w trans.

- Pamiętaj, tylko dobrzy umierają młodo. Lecz jeśli miałbyś być zły, ale dożyć mojego wieku - bądź zły. Tylko przeżyj. Nie ma bowiem nic gorszego na świecie niż strata dziecka. Mówię ci to jako zły człowiek, bo ja jestem złym człowiekiem. Mówię ci to jak ojciec do syna. Zapamiętaj moje słowa, Richardzie - zawsze będziesz dla mnie najważniejszy. Zawsze będę walczył u twojego boku, tę walkę zacząłem zanim jeszcze się urodziłeś…

Po dłuższej chwili usłyszałem Ricka:

- Dziękuję, tato.

Te słowa wypowiedział płacząc.

Po przedłużającym się okresie ciszy domyśliłem się, że Rick musiał opuścić pokój ojca. Skierowałem swe kroki na stację, jednak tam go nie było. Udałem się zatem do mojej pakamery, naszego ulubionego miejsca spotkań. Dotarłem na miejsce i wszedłem do środka. Wtedy zamarłem - Richard purpurowy na twarzy leżał na podłodze. Jego ciałem wstrząsały drgawki, z ust toczyła się piana, oczy niemal wyszły z orbit. Podbiegłem do niego. Przyłożyłem rękę do piersi - serce prawie chciało mu wyskoczyć, oddech miał szybki jak cholera! Wykrzykiwałem jego imię, bez przerwy trzęsąc nim i tłukąc po twarzy. Nagle zamarł. Przestał w ogóle się poruszać. Przyłożyłem ucho do piersi - usłyszałem tylko ciszę. Wpadłem w panikę, nie wiedziałem, co mam robić! Wstałem i podbiegłem do drzwi. Ale po co, do cholery?! Kto mi niby pomoże? Wróciłem z powrotem do Richarda. Z całej siły uderzyłem go w splot słoneczny. Nic. Ponownie. Nabrał powietrza do płuc zachłannym haustem…

- O, kurwa… - Odetchnąłem z ulgą, która odebrała mi resztkę sił. Osunąłem się na podłogę. Richard otworzył lekko oczy i błędnym wzrokiem rozejrzał się po moim mieszkaniu. Zauważył mnie.

- Hej, Sammy… Po co siedzisz na podłodze? - powiedział ledwo słyszalnym głosem.

- Cześć, Rick - wychrypiałem, - w sumie nie mam nic lepszego do roboty…

Richard chciał ruszyć lewą ręką, ale nie potrafił tego zrobić w tej chwili.

- Aha… wiesz… ja… potrzebuję przerwy…

Odwrócił głowę w drugą stronę. Jego prawa ręka powędrowała wyżej wzdłuż ciała i zatrzymała się na czterech pustych ampułkach po jecie.

- Ja także, Rick - powiedziałem do siebie.

Richard po przedawkowaniu dochodził do siebie przez równe pięć dni. Spał niemal przez cały czas, prawie nic nie jadł. Wmuszałem w niego jakieś żarcie, żeby nie wykitował z głodu, ale szło to bardzo opornie. Pozostawał w jakimś dziwnym stanie, w jakimś amoku, bolesnej apatii… nie wiem jak to nazwać. Bełkotał od rzeczy, choć nietrudno było mi się domyśleć, że jego organizm potrzebuje dawki narkotyku. Z sensem zaczął gadać dopiero trzeciego dnia wieczorem. Gdy dotarło

do niego, co zrobił, wyszeptał:

- Kurwa… dzięki, Sammy…

Ja zaś miałem okazję i czas, żeby przemyśleć i uporządkować wiele rzeczy. Obserwując, wcześniej narkotyzującego się, a teraz półprzytomnego Richarda, dotarło w końcu do mnie, że moja misja ma na celu śmierć przyjaciela. Śmierć przyjaciela!... Dlaczego tak późno to sobie uświadomiłem?! Jakim byłem cholernym egoistą!... Zrozumiałem przy tym jeszcze jedną rzecz - muszę się przyznać. Wyznać przed Richardem, kim jestem, całą prawdę o sobie - dla kogo pracuję, co robię, jak dążę ku pogrążeniu jego oraz całej rodziny Wrightów. Ale… czy starczy mi odwagi?...

Tymczasem Richard powoli wstawał na nogi. Przez te kilka dni wziął chyba mniej jetu, niż zdarzało się to wcześniej wciągu jednej doby. Niestety, musiał brać, by w ogóle jakoś egzystować. Moje zapasy prochów skurczyły się do zera, więc zmuszony byłem udać się do ludzi Salvatore. Tak się złożyło, że w ten dzień przypadła także kolej złożenia raportu. Musiałem się dość gęsto tłumaczyć, dlaczego nie pojawiłem się u niego przez tak długi czas. Nie miałem pewności, czy mi uwierzył, ale niespecjalnie mnie to obeszło. Wiedziałem, że moje dni jako człowieka Salvatore są już policzone - przeze mnie. Wiadomość, że kolejna transakcja na pustyni miała się odbyć drugiego dnia stycznia, nie wzbudziła nawet wzdrygnięcia moich ramion.

Wróciłem do swojej szopy. Rick wyglądał już całkiem nieźle, odżył trochę, dzięki ciepłemu żarciu, które przynosiłem od znajomej kucharki, pracującej w małym pubie nieopodal "Rekina". Gotowała nawet dla samego Bishopa, więc po prostu nie mogło ono być złe. Przywitał mnie lekkim skinieniem głowy. Podałem mu jet, który natychmiast zażył.

- Jesteś muchą w jego sieci, wiesz… - powiedziałem cicho.

- Wiem, Sammy - odrzekł Rick - i muszę coś z tym zrobić. Tylko jeszcze nie teraz… Jeszcze nie mam na to siły…

- Cieszą mnie te słowa.

Rick uśmiechnął się blado. To był odpowiedni moment. Przełknąłem ślinę, słysząc głośne kołatanie własnego serca. Zrobiło mi się gorąco, choć dłonie miałem lodowate.

- Rick…

- Może się przejdziemy, Sammy? - wypalił nagle.

Przez moment zaniemówiłem, ale szybko opamiętałem się.

- Jasne, chodźmy. Chłodne powietrze dobrze ci zrobi.

Wyszliśmy na zewnątrz. Rześki, grudniowy wieczór, ostatnia noc roku, uderzyła w nas swym ziąbem. Szliśmy w milczeniu, które nie było dla nas ani trochę krępujące. Myślałem o swoim postanowieniu. Nie wiedziałem, do czego doprowadzi, ale nabierałem przekonania, że jest słuszne. Richard odezwał się dopiero po kilkunastu minutach.

- Wiesz, Sammy, ja mówiłem poważnie.

Spojrzałem na niego.

- No wiesz, o… zerwaniu z jetem. Stary, nie chcę tego jeszcze raz przeżywać.

- Nie wątpię. Ja również.

- Wiesz, każdego ranka muszę patrzeć na coś, co mnie brzydzi, czego nienawidzę. Na swoje odbicie w lustrze. Chcę, żeby to się zmieniło…

- Rozmowa z ojcem cię do tego skłoniła?

Rick skrzywił się lekko.

- Czy ja wiem?... Może trochę. Bardziej to, co działo się później. Naprawdę… nie życzę tego nikomu… Za daleko w to zabrnąłem - dodał po chwili z głębokim westchnieniem.

- Jak dla mnie jest okej, że masz tego świadomość. Możesz liczyć na moją pomoc.

Richard spojrzał na mnie.

- Dzięki, stary, jesteś prawdziwym kumplem.

- A prawdziwi kumple na zawsze pozostaną kumplami - uśmiechnąłem się. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Do naszych uszu dobiegł czyjś głos. Podeszliśmy do podobnej komórki, w której mieszkaliśmy przez ostatnie parę dni. Zajrzeliśmy do środka przez wybitą szybę. Wysoki, czarny gość tańczył przed lustrem, wydzierając się w niebogłosy. W ręce trzymał nóż.

- To Jimmy J. - szepnął Richard.

- Co on wyprawia? - zapytałem, patrząc na dziwne ruchy dilera z Second Street.

- Jest na haju, pojeb jeden…
Obaj spoglądaliśmy na naćpanego czarnoskórego dilera, wykonującego jakieś dzikie pląsy. Nagle zatrzymał się i krzyknął:
- Ty, puszczaj moją kobietę! Mówię ci, oddaj po dobroci!... Szybciej, bo cię zadźgam!
Ruszył na wyimaginowanego wroga, tnąc nożem powietrze. Po chwili wykonał ruch, jakby przeciwnik chwycił i zgiął mu rękę, a dłoń, w której tkwił sztylet, niebezpiecznie zbliżyła się do twarzy. Naćpany J. mocował się z własnym ramieniem. Nagle, jakby nigdy nic, odwrócił się w stronę lustra i… przejechał ostrzem po twarzy. Nie mogłem uwierzyć w to, czego byłem świadkiem!
- O, kurwa!... - szepnął Rick, krzywiąc się z obrzydzenia. Mnie również zrobiło się niedobrze.
- Chodźmy stąd - powiedziałem.
- Racja… niech się potnie, głupi skurwiel.
Wyszliśmy na Second Street. Podszedł do nas typowy uliczny nałogowiec.
- Panowie… - wydyszał, - panowie... zbieram… na jet… Nie kłamię, mówię szczerze, inaczej bym was obraził… Nie patrzcie się na mnie jak na wroga, nie jestem waszym wrogiem… Dosłownie brakuje mi… trzech… trzech, czterech dolców…
Richard przerwał mu:
- Nie mam. Poza tym i tak nie dałbym ci na to gówno.
Żul podniósł ręce w przepraszającym geście.
- W porządku… w porządku… co złego to nie ja… ale… proszę, kup mi wodę…
Richard kazał mu zaczekać. Weszliśmy do małej knajpy naprzeciwko, jakiś punkt schadzek renowskich meneli.
- Sammy… - rzekł Richard, klepiąc się po kieszeniach. - Nie masz piątaka? Chyba jestem bez grosza…
Zapłaciłem za wodę i wyszliśmy. Żul zaczął nam dziękować. Richard ponownie mu przerwał:
- Rzuć to świństwo…
Z ulgą i pewnym poczuciem dumy patrzyłem na tak nagle odnowionego Ricka. Wydawało się to aż niemożliwe, żeby po jednej tylko wpadce z prochami jego mentalność zmieniła się w tak znaczący sposób. Mimo to cieszyłem się. Pół godziny później sączyliśmy piwo w mojej pakamerze. Wtedy też zebrałem się w sobie.
- Richard, muszę ci coś wyznać.
Rick przeniósł na mnie wzrok.
- Wiesz… nie bez przyczyny wpadliśmy na siebie te parę miesięcy temu. Nie jestem tym, kim się wtedy przedstawiłem i za kogo mnie uważasz.
Richard milczał, spoglądając na mnie w nieznany mi dotąd sposób. Westchnąłem i zebrałem się w sobie.
- Po pierwsze nie mam na imię Sammy - zacząłem. - Nazywam się Jason Taylor…

Tego wieczoru przyznałem się do wszystkiego. Opowiedziałem ze szczegółami o całej mojej pracy dla Salvatore, o zadaniu, jakie mi przydzielono, o motywach spotkania z Richardem, o cyklicznych raportach. Dosłownie - o wszystkim. Moja opowieść trwała prawie dwie godziny. Rick nie odezwał się ani słowem, nie przerwał mi nawet jeden raz.
Gdy skończyłem, Richard wciąż milczał. Podniosłem się i sięgnąłem na wysoko umieszczoną półkę, gdzie chowałem broń zabraną od Salvatore. Położyłem rewolwer na stoliku, tuż przed nosem Ricka.
- Możesz teraz zrobić ze mną, co uważasz za słuszne - powiedziałem, choć sam nie wiedziałem dlaczego.
Richard przez zmrużone oczy spoglądał na pistolet. Poprawił opaskę na czole. Odwróciłem od niego wzrok. Ciche pyknięcie i krótki syk oznajmiły, że zażył jet. Machnął głową, uniósł lekko brwi i westchnął.
- Dzięki, Sammy - powiedział po długiej chwili milczenia, wciąż wpatrując się w rewolwer.
Spojrzałem na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Naprawdę, dzięki - powtórzył.
Nie rozumiałem.
- To wymagało naprawdę dużej odwagi - powiedział Richard, przenosząc wzrok z broni na mnie. - Jestem pod wrażeniem… Człowiek Salvatore… hm… nieźle się kryłeś…
Wstrzymałem oddech.
- Daj spokój, przecież cię nie zastrzelę - uśmiechnął się, dostrzegając mój niepokój. Po jego oczach poznałem, że był to uśmiech szczery. - Od tej pory chyba już do nich nie należysz, nie?
- Nie masz żadnych pretensji? - zapytałem ochrypłym głosem.
- Wiesz, pewnie mam jakiś żal, ale… przyjaciołom wiele można wybaczyć.
Z jego twarzy nie znikał uśmiech. Nie był to złośliwy uśmieszek, półgębkiem, jak miał to w zwyczaju choćby Mason. Pomału docierało do mnie, że Richard naprawdę mi wybaczył.
- Słuchaj, z tego, co mówisz wynika, że nie dowiedzieli się o nas aż tak wiele - powiedział.
- W sumie to nawet nie mieli się czego dowiedzieć. Z tego, co mówił Ben przed świętami interes znacznie osłabł. Wszystko przez to - wskazał na pustą fiolkę po jecie. - Ale jedną rzeczą mnie zaciekawiłeś. To, co mówiłeś o tym barterze na pustyni… Może dałoby się coś z tym zrobić. Co sądzisz?
- Ale… co? Nie wiem, co masz na myśli.
Richard wyprostował się.
- Może… wykorzystamy ich plan przeciw nim samym. Mówisz, że ta broń strzela…
- Laserem - dokończyłem.
- No, właśnie… Cholera, aż trudno w to uwierzyć, nie? W każdym razie nie jest ich zbyt wielu, prawda? Mają za to dobrą broń. Z kolei Mordino jest jak psów, ale na stanie mają prawie same dzidy. Więc… jakby dało się ich jakoś sprowokować przeciw sobie, to oni by się powybijali, zamiast wciągać w to moją rodzinę?
- Z Salvatore raczej nie byłoby problemu - odrzekłem. - Wystarczy mój sygnał. Ale jak wyciągnąć Mordino z ich dziupli?
Richard zastanowił się.
- Już wiem - powiedział nagle, - nóż Jesusa! Przecież on jest dla niego jak amulet, jak jakiś skarb!
- Racja - powiedziałem i schyliłem się. Wyciągnąłem spod łóżka zniszczone pudełko, gdzie trzymałem maskotkę młodego Mordino.
- Rick, jesteś, kurwa, genialny!...
Richard pokiwał głową, spoglądając na sztylet z czerwoną rękojeścią.
- Ale co będzie ze mną? - moja euforia nagle opadła. - Jeśli Salvatore odkryje, że cała akcja wyszła ode mnie, szybko zorientuje się, że działam przeciw niemu.
- Ukryjemy cię u mnie - odparł Richard. - Tam się nie zapuszczą, jest nas zbyt wielu.
- A co z resztą rodziny? Mogą nie być skłonni do tego pomysłu.
- Nie muszą o tym wiedzieć. Będziesz mieszkać z Benem, lubi cię i na pewno nie będzie widział w tym kłopotu. Problem może być jedynie z Chrisem… No cóż, trzeba coś wymyślić, żeby go przekonać.
Zacząłem gorączkowo szukać w głowie sposobu ugadania Chrisa Wrighta. Coś mi zaświtało.
- Kolejną transakcję Salvatore przeprowadzają pojutrze w nocy - powiedziałem powoli. - Wystarczyłoby, żeby był on tam z nami i przekonał się na własne oczy, co oni kombinują.
- Myślę, że to starczy - odrzekł Rick. - Sam chętnie to zobaczę…
Siedzieliśmy podminowani, raz za razem powtarzając sobie obmyślony plan działania. Po jakimś czasie zacząłem jednak myśleć o pozytywnej, ale wciąż dla mnie niezrozumiałej reakcji Richarda na całą moją spowiedź. Nie wytrzymałem i zapytałem go wreszcie:
- Rick, mówiłeś serio, że nie masz żadnych ansy?
- Spoko, Sammy - odrzekł, klepiąc mnie po ramieniu. - Masz u mnie duży plus. Gdybyś faktycznie spowodował wojnę gangów, wciągając w nią moją rodzinę, prawdopodobnie gadalibyśmy inaczej… Ale… miałaby być ona skutkiem mojego zaćpania?… Hm, wtedy rozmowa mogłaby być utrudniona - roześmiał się. - Teraz jednak poczekamy aż młot opadnie, z tym, że nie na nas. I wszystko gra.

Nowy rok niósł jak na razie pozytywne perspektywy.

Gdy następnego dnia rano pojawiliśmy się na stacji, była tam pani Ethyl Wright, mama Richarda. Skoro tylko go zobaczyła, pobladła i usiadła na ławce. Chris za to powitał go w osobliwy sposób - zaczął nim trząść i wrzeszczeć:

- Co się, kurwa, z tobą działo?! Matka odchodzi od zmysłów, ojciec wyżywa się na wszystkich, Keith ciągle tu przyłazi, przecież wiesz jak mnie wkurwia! Co ty sobie myślisz?! Gdzie byłeś, do cholery?!

- Spokojnie, spokojnie - odrzekł RIck i wyrwał się z uścisku brata, - przecież nic złego mi się nie stało…

- I co z tego?! Ojciec rozkazał szukać cię po całym mieście! Myśli, że wpakowałeś się w kłopoty i możesz już leżeć w rynsztoku, oblewany przez ćpunów! Matka ma ciśnienie jak pędzący parowóz!...

- Christopher!... - powiedziała pani Wright słabym głosem. Richard podszedł do niej i, usiadłszy obok, przytulił ją. Po chwili jednak wstał i spojrzał na Chrisa.

- Nagle wszyscy zrobili się tacy opiekuńczy. Do tej pory jakoś mało was obchodziłem…

- Richard, ostrzegam cię, uważaj na słowa… - Chris pogroził mu.

- Wsadź sobie tego palca! - odszczeknął Richard. - Za kogo ty się uważasz?...

- Richie, słuchaj brata - przerwała mu pani Wright. - Naprawdę, bardzo się o ciebie martwiliśmy.

- Przepraszam, mamo, nie chciałem sprawić ci przykrości. Wszystko ze mną w porządku. Udaliśmy się z Sammym, moim przyjacielem, na taką małą wycieczkę. Trochę spontanicznie, ale już wróciliśmy. Naprawdę wszystko jest okej - powtórzył.

Pani Wright spojrzała na mnie krótko. Ukłoniłem się, ale nie wiem, czy to dostrzegła.

- Richardzie, zaklinam cię - powiedziała, - informuj nas na przyszłość. Gdyby coś ci się stało… nie wiem, czy przeżyłabym to…

- Mamo… - Rick ponownie usiadł i uścisnął matkę.

Kilka minut później pani Wright opuściła budynek, wcześniej wymuszając na Richardzie obietnicę, by "pojawił się w końcu w domu". Chris siedział za stołem naprzeciwko drzwi wejściowych i taksował brata spojrzeniem. W momencie zamknięcia drzwi za ich matką już nabrał powietrza, żeby zapewne ponownie wygarnąć Rickowi, ale ten uprzedził go:

- Zanim znowu zaczniesz drzeć japę najpierw wysłuchaj tego, co my mamy do powiedzenia.

Zacząłem opowiadać historię, z którą zapoznałem Richarda, choć oczywiście pominąłem całą kwestię związaną z jetem. Podkoloryzowałem też nieco kilka wątków, żeby Chris już na starcie całkowicie nie stracił do mnie zaufania. Przedstawiliśmy też nasz plan na jutrzejszą noc. Christopher niewątpliwie był w szoku, ale był podobnie zaintrygowany co Richard poprzedniego wieczora.

- Zaufam ci, jeśli to, co mówisz okaże się prawdą. Wtedy udzielimy ci schronienia. Inaczej... - przejechał palcem po szyi.

- Dobra, dobra, nie świruj - żachnął się Richard. - Co myślisz o naszym planie? Idziesz z nami?

- Pójdę, ojciec może być tym zainteresowany - odparł Chris. - Chociaż…

- Co?

- Nie jesteśmy gotowi na wojnę. Jeszcze nie teraz.

- Broń?

Chris skinął głową.

- Przecież ojciec wysyłał kogoś, żeby sprawdził tę starą bazę.

- Pritchard. Tak, już wrócił. Stwierdził, że był tam i widział takie rzeczy, że… - machnął ręką. - No, ale zanim zdał relację ojcu poszedł się uchlać i… hm… i zapił się.

Richard prychnął z niedowierzaniem.

- Zapił się?... Na amen?

Chris rozłożył ręce.

- Także na razie nici z poważnej broni. Można jednak spróbować pognębić starego

Salvatore. Ojciec ma do tego łeb, na pewno jakoś wykorzystałby taką wiedzę… Jeżeli jest to prawda…

- Jutro sam się przekonasz - odpowiedział Rick. - Sammy, w jaki sposób do tej pory odbywały się te wymiany?...

Wieczorem następnego dnia udaliśmy się na zachód miasta. Z ludźmi Salvatore zawsze bez strachu podążaliśmy tą samą, prostą jak ćpanie trasą - nikomu nie spieszno było opuszczać Reno, więc nigdy nie zdarzyło się, by ktoś udał się za nami. Teraz po raz pierwszy ekipa wiekowego gangstera miała być śledzona. Mało tego - przez ich człowieka.

Siedząc w jakiejś ruderze przy wylocie z miasta, w końcu ujrzałem ludzi Salvatore. Szli jak zawsze zwartą grupą z bronią w łapach, wszyscy dosłownie schodzili im z drogi. Prowadzili bramina ciągnącego na drewnianych paletach wysokie na półtora metra banie z jakimś świństwem. Ruszyliśmy za nimi, naturalnie zachowując bezpieczną odległość. Jasny punkt przed nami, czyli oświetlona karawana przestępców, wyznaczał nam cel wędrówki. Swoim zwyczajem spojrzałem za siebie - stąd Nowe Reno wyglądało pięknie. Bardzo lubiłem widok łuny zawieszonej nad miastem. Szliśmy w mroku po pustyni już bez mała dwie godziny, gdy nagle na horyzoncie pojawił się pionowy snop światła.

- Co to było? - zapytał Chris. W jego głosie słychać było wyraźną trwogę.

- To znak od kontrahentów - odrzekłem, w tym momencie światło znikło. - Zawsze spotykają się w innym miejscu, a to ich sygnał, dokąd mają się udać ludzie Salvatore.

Mini-karawana gangsterów skręciła w stronę miejsca, skąd dobiegła do nich wskazówka od rządowych handlarzy. Przyspieszyliśmy kroku. Po kilkunastu minutach naszych uszu dobiegły wystrzały z broni.

- Spokojnie - powiedziałem, widząc drżacych Richarda i Chrisa, - to jeden z ludzi Salvatore. Zobaczcie, co teraz się stanie…

Wtedy mrok rozświetliły reflektory, ukazując widok, który już dobrze znałem. Bojąc się, że możemy zostać odkryci w poświecie, pociągnąłem Wrightów na niewielkie wzgórze po naszej lewej stronie. Dotarliśmy do miejsca, skąd dobrze widać było całą scenę - latającą maszynę, ludzi w potężnych kombinezonach i robota. Po chwili ludzie Salvatore podeszli wykrzykując hasło. Po krótkiej rozmowie rozpoczęła się wymiana.

Chris i Rick nie mogli uwierzyć w to, czego właśnie byli świadkami. Kręcili głowami z niedowierzania, obserwując przebieg transakcji bez jednego słowa. Po ponad godzinie barter dobiegał końca. Latająca maszyna wystartowała, wzbijając chmurę kurzu. Po chwili zauważyliśmy, jak Mason i jego towarzysze przypatrują się nowo nabytej broni, tkwiącej jeszcze w skrzyniach. Śmiali się i gadali rozluźnieni. Postanowili ją wypróbować. Wtedy okazało się, że to ja nie jestem gotowy na widok, który zobaczę. Po raz pierwszy bowiem ujrzałem w akcji nie pistolet, ale najprawdziwszy karabin laserowy.

- O, cholera… - szepnąłem.

- Co jest? - zapytał Richard.

- Zmienili przedmiot handlu. Przerzucili się na większy kaliber. Zwijajmy się - dodałem po chwili.

Zaczęliśmy najciszej jak się dało schodzić z górki. Nagle Chris potknął się i upadł. Z jego ust wyrwało się przekleństwo. Zamarłem. Usłyszałem, jak rozmowa gangsterów nagle urwała się. Po chwili dobiegł nas przytłumiony odgłos kroków. Ruszyliśmy przed siebie, co sił w nogach. Usłyszeliśmy krzyki, a po chwili strzały, instynktownie pochyliłem głowę. Wiedziałem, że ludzie Salvatore nie podążą za nami - musieli przecież dotransportować broń do Reno. My jednak biegliśmy co sił w nogach ku widniejącej w oddali łunie miasta, mając w podświadomości potęgę, jaką dysponują. Zatrzymaliśmy się zdyszani dopiero jakieś dwadzieścia minut później. Spojrzeliśmy za siebie - niewielki jasny punkt stale tkwiący w miejscu, dał nam znak, że ludzie Salvatore jeszcze nie wyruszyli.

- No… - wydyszał Richard, - rekonesans mamy za sobą…

- Zauważyli nas - powiedział Chris. - Kurwa! A jeśli nas rozpoznają?

- Wątpię - odrzekłem. - Było ciemno, nic nie widzieli. Wiedzą jednak, że ktoś tam był i że

musiał być to ktoś, kto wiedział o ich sekretnych transakcjach.

- Myślisz o sobie? - zapytał Rick.

Kiwnąłem głową, co w mroku było milczącą zgodą. Szliśmy w ciszy równym, ale szybkim tempem.

- Muszę to sprawdzić - powiedziałem. - Jeśli nie będą mnie podejrzewać, warto, żeby ciągle mieć wtykę u Salvatore.

- Ale… - zaczął Richard, urwał jednak. Wiedział, że mam rację, a ja wiedziałem, że jeszcze przynajmniej raz zmuszony będę do wizyty u starego gangstera.

- Nie musisz - powiedział Chris, - zapewnimy ci ochronę.

- Dzięki, Chris, ale tak czy owak zaryzykuję - odrzekłem. - Teraz chcę dla was jak najlepiej.

Po minucie usłyszałem głos Ricka:

- Kurwa, bądź ostrożny, Sammy…

Następne spotkanie z Salvatore miałem umówione dopiero za trzy dni. Do tej pory siedziałem na stacji Wrightów. Gadaliśmy z Richardem i Chrisem o tym, czego byliśmy świadkami. Zakup nowej broni przez Salvatore nawet dla mnie był zaskoczeniem, co nie napawało moich druhów optymizmem. Chris postanowił, że po moim wybadaniu sprawy z gangsterami z Second Street zdecyduje czy oraz ewentualnie jak i kiedy poinformować Orville'a Wrighta. Sprawa była bowiem poważna, ale jednocześnie dość delikatna. Szybko domyśliłem się, że chodzi o mnie. W końcu ich ojciec mógł nie być zachwycony byłym szpiegiem, odtąd nawróconym, ale do niedawna inwigilującym jego rodzinę.

Richard natomiast postanowił definitywnie zerwać z jetem. Przez te kilka dni jeszcze okazjonalnie brał, ale zauważyłem w nim przemożną chęć uwolnienia się od nałogu. Moje zapasy narkotyku skurczyły się do zera, więc poniekąd był zmuszony znacznie ograniczyć przyjmowanie dawek. Widziałem jednak jak bardzo się z tym męczył - były momenty, że tak silnie zagryzał zęby, że dosłownie zdzierał z nich osłabione szkliwo, drapał się po całym ciele jak opętany. To były tortury, ale starał się im podołać.

Nadszedł dzień wizyty u Salvatore. Udałem się tam wczesnym popołudniem na nogach z waty, ale po pierwszej rozmowie z Masonem odniosłem wrażenie, że nie podejrzewają mnie o szpiegostwo na ich niekorzyść. Salvatore natomiast przedstawił sprawę rozwiązania mojego zadania w sposób czytelny:

- Jesteśmy przygotowani, Jasonie. Atak musi nastąpić w ciągu tygodnia. Bishop ponownie wyjechał z miasta, zabierając ze sobą większość swojego wojska. To najlepszy moment, żeby ich wszystkich wytłuc. Powtarzam ci - atak… w ciągu tygodnia…

Zaniósł się kaszlem.

- Tak jest, panie Salvatore… - odparłem beznamiętnie, zatopiony we własnych myślach.

- Mamy nową broń, pewnie o tym wiesz.

Automatycznie kiwnąłem głową.

- Opracowałem nowy plan - mówił dalej, - gdy… Mordino i Wrightowie będą walczyć, my wkroczymy i… dobijemy ich… Upieczemy ich… jak to się mówi?… na jednym ogniu… wiesz, o co mi chodzi…

- Tak, panie Salvatore.

- Mason przekaże ci wszystkie szczegóły… Teraz wyjdź i przyślij go do mnie…

Wstałem i ukłoniłem się. Na polecenie Masona czekałem na zewnątrz, gdy ten wraz z swym szefem rozmawiał cicho w apartamencie bandyty. Po kilku minutach Mason opuścił pokój Salvatore.

- Wszystko wiesz, Taylor? - zapytał.

Skinąłem głową.

- A więc czekamy na twój sygnał. Pan Salvatore wymyślił hasło, na jakie automatycznie ruszamy do akcji: "jet jest martwy". Zapamiętasz?

Ponownie przytaknąłem.

- Ach, i jeśli potrzebujesz jeszcze jetu, odwiedź Renesco. Możesz odejść.

Opuściłem bar Salvatore i już skierowałem się w stronę Wschodniej Dzielnicy, gdy coś mnie

tchnęło i zawróciłem. Pomyślałem, że Renesco może wyśpiewać Masonowi, że nie pojawiłem się u niego. To mogło wzbudzić poważne podejrzenia. Udałem się więc do meliny "Rakieciarza". Głupie przezwisko… Ćpuny zaopatrujący się u niego zwłaszcza w jet, nadali mu taką ksywę, obracał bowiem niezliczona ilością tego "odlotowego" świństwa. Nie znosiłem go, ale nie miałem wyjścia i musiałem złożyć mu wizytę.
Kiedy tylko wszedłem do środka uderzył mnie smród gotowanych prochów. Dobrze znałem ten zapach, Renesco musiał tutaj "doprawiać" narkotyki, czyli po prostu je rozwadniać, by otrzymywać jak największą ilość. Po mieście wśród dilerów krążyła fama, że z jednego jetu może wykonać nawet trzy i dlatego sprzedaje je za grosze - sam poniekąd byłem dilerem, stąd byłem w posiadaniu takiej wiedzy. Ale nawet rozrzedzony jet był i tak cholernie wciągający. Przez moment nawet zastanowiło mnie to, dlaczego Mason kazał mi przyjść tutaj, przecież wiedział, że Renesco sprzedaje gówno. Doszedłem jednak do wniosku, że komu jak komu, ale człowiekowi Salvatore nie wciśnie byle czego.
Podszedłem do lady, jeśli można tak nazwać kilka desek zbitych w improwizowany kontuar, i zawołałem go. Wyszedł zza parawanu, za którym zapewne eksperymentował z prochami, w zniszczonym, brudnym fartuchu i stałą niechęcią wypisaną na twarzy.

- Czego? - warknął.

- Może grzeczniej? - odpowiedziałem niewiele uprzejmiej. - Pan Salvatore przysłał mnie po jet.

- Tak?... - zdziwił się Renesco. - To znaczy już?

- Co?

- No… mam gotowy tylko jeden. Miały być cztery.

- Dobra, dobra, dawaj ten jeden - nie wiedziałem, o czym mówi, ale odór unoszący się w powietrzu sprawił, że zaczynało mnie mdlić.
Renesco podał mi jet.

- To wszystko? - zapytałem.

- Wszystko - odparł i zmierzył mnie wzrokiem. - Po co wam?… A z resztą… - machnął ręką i udał się z powrotem za zatęchłą, zgniłozieloną kotarę. Schowałem narkotyk do kieszeni i wyszedłem.
Wstąpiłem do swojej pakamery i rzuciłem jet gdzieś między śmieci. "To już nam się nie przyda", pomyślałem. Nie minął kwadrans, a już gadałem z Chrisem i Rickiem na starej stacji we Wschodniej Dzielnicy. Po wysłuchaniu mnie Chris wstał z miejsca i zaczął okrążać swój gabinet.

- Wedle tego, co mówisz, najlepiej byłoby wprowadzić wasz plan w życie właśnie teraz - powiedział, drapiąc się po brodzie.

- Też tak myślę - dodał Richard, - skoro nie ma Bishopa, Mordino i Salvatore mogą wytłuc się nawzajem. Później można by nawet pomyśleć, żeby zadziałać coś z nimi.

- Wasz ojciec już wie? - zapytałem.

- Na razie nie musi - odparł Chris. - To wojna gangów z Virgin Street, my się nie wtrącamy.

- Hehe, wreszcie zaczyna gadać jak człowiek - powiedział Rick z uśmiechem.

- Poza tym ojciec jest teraz w dość marnym stanie i nie wiem, czy coś by do niego dotarło.

- Co się stało? - zapytałem.

- Aaa… - Rick wzruszył ramionami. - Takie tam… małżeńskie sprawy. Wściekł się na mamę, sam nie wiem o co. Leży na wyrku albo łazi i krzyczy ciągle: "małżeństwo to dożywotni wyrok". Szkoda gadać.
Uśmiechnąłem się. Chris usiadł za biurkiem i popatrzył na nas poważnie.

- Jesteście w stanie to zrobić? Tę całą prowokację?
Spojrzeliśmy po sobie z Richardem. Było pewne, że pomyśleliśmy o tym samym - o naszej akcji pod klubem Mordino.

- O to nie musisz się martwić - powiedział Rick.

- Bądźcie ostrożni - zakończył jego brat.
Udaliśmy się do mojej komórki po nóż Małego Jesusa. Rozejrzałem się wokoło.

- Wiesz, nie będzie mi brakować tej nory - powiedziałem. - Ani trochę.
Richard kiwnął głową. Nagle schylił się po coś. Po chwili wyprostował się, w jego dłoni tkwił jet

od Renesco, który zostawiłem tu dwie godziny wcześniej. Spojrzałem na niego z niepokojem. Rick przez moment patrzył się na narkotyk jakby wyłączył myślenie, lecz po chwili opamiętał się. Oddał mi ampułkę.

- Powinieneś to wywalić - szepnął.

Rzuciłem jet na podłogę, ten poturlał się pod łóżko.

- I tak więcej tu nie wrócimy - odrzekłem.

Rick przytaknął. Opuściwszy pakamerę, wyrzuciłem klucze doń daleko za siebie, gdzieś w przepastny mrok zapomnianej dzielnicy Nowego Reno. Richard westchnął.

- Czuję, że czeka mnie ciężka walka.

- Damy radę - klepnąłem go po ramieniu.

- Damy? - Rick spojrzał na mnie żałośnie.

- O tak, będziemy próbować. Teraz mi się nie rozczulaj. Mamy zadanie do wykonania.

- Sammy, musimy to zrobić jutro. Czuję, że zaczynam być na głodzie. Później mogę stać się nie do życia.

- Okej, zrobimy to jutro. Wierzę w ciebie Rick - dodałem po chwili. - Nie zawiedź mnie.

Richard westchnął, ale zupełnie inaczej niż kilka minut wcześniej. Usłyszałem ulgę i determinację.

- Kurwa, życie jest ciężkie… Ale musi trwać… Jak show, nie? Bez względu na wszystko. Nawet na jet.

Wsłuchałem się w miarowy odgłos naszych kroków, przyozdobiony charakterystycznym szuraniem Ricka, który wypełnił otaczającą nas głuchą ciszę. Richard zaś powtarzał cicho:

- Show musi trwać…

Przez kolejne godziny dopracowywaliśmy nasz plan, który ułożyliśmy kilka dni wcześniej. To, co zamierzaliśmy zrobić, mogło zmienić dotychczasowy obraz nie tylko całego mojego życia, ale nawet życia ludzi w Reno. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, ale ufałem, że będzie dobrze. Musiało tak być. Krótkiej drzemki, na jaką udaliśmy się od około drugiej w nocy, praktycznie nie odczułem, ale nie byłem zmęczony. Adrenalina już zaczynała pulsować mi w żyłach. Czas przystąpić do działania.

O szóstej rano, jak to zimą, na zewnątrz wciąż panowała noc. Obudziłem Richarda. Po chwili był już gotów - widziałem, że jest równie podekscytowany jak ja. Udaliśmy się pod kasyno Mordino. W ręce trzymałem list do Małego Jesusa, który napisaliśmy poprzedniego wieczora. Poinformowaliśmy go dokąd i w jakim czasie ma się udać, żeby odzyskać swój nóż. Zastrzegliśmy też, żeby nie próbował wysyłać na miejsce nikogo wcześniej, w przeciwnym razie nie odzyska broni. No i oczywiście, że ma być sam, co było kluczem do zwabienia jak największej liczby ludzi Mordino. Owinęliśmy papier wokół cegły kawałkiem sznurka i Richard cisnął nim w jedno z okien klubu. Brzęk tłuczonego szkła rozdarł ciszę nocy. Zanim któryś z goryli Mordino zdołał wybiec z kasyna, nas już nie było.

Po tym pobiegliśmy na Second Street. W połowie drogi między "Rekinem" a knajpą Salvatore, ułożyliśmy kupkę cegieł. To tutaj będzie za kilka godzin leżeć nóż Jesusa i rozegra się cała akcja. Kilku leżących pod murem pijaków i ćpunów obserwowało nasze pospieszne ruchy przez osłonięte pijacko-narkotyczną mgiełką, przekrwione oczy.

- Nie słyszysz mojego wołania? - krzyknął nagle jeden z nich w naszym kierunku. - Bura suko… Nie słyszysz jak cię przywołuję?...

- Nie drzyj papy, moczymordo - odrzekł mu siedzący tuż obok kompan. - Już dawno wywaliła cię z chałupy… Za twoje chlanie!…

Czknął potężnie.

- Milcz!… Milcz, jak do mnie mówisz… Wszystko, co słyszę z twojej przepitej gęby to tylko "gu-gu" i "ga-ga"…

- Gdybym tylko miał siłę, wybiłbym ci ostatnie dwa zęby, jakie ci pozostały…

Czas przyspieszył. Punkt kulminacyjny zbliżał się coraz bardziej.

Punktualnie w południe udaliśmy się w okolice Second Street. Mimo że do rozpoczęcia operacji pozostały jeszcze cztery godziny, zza kasyna Bishopa zaczęliśmy obserwację miejsca, w którym miała zostać przeprowadzona. Co ciekawe nie zauważyliśmy, żeby kręcił się w pobliżu

jakiś napakowany goryl Mordino. Najwyraźniej Mały Jesus wziął sobie do serca słowa z listu, a być może bardzo zależało mu na tym nożu. W każdym razie ułatwiał nam zadanie.
Jakieś pół godziny przed czwartą zauważyłem, że z knajpy Salvatore wychodzi Mason z jeszcze jednym człowiekiem. Skierowali się w stronę dzielnicy handlowej.

- Rick, pójdę ich sprawdzić. Za dziesięć minut umieść nóż na cegłach i wróć tutaj. Ja będę przy knajpie Salvatore. Na twój sygnał zaczynamy.

Richard skinął głową. Obiegłem spelunę Salvatore od tyłu i pobiegłem w stronę meliny Renesco. Poczułem intensywny smród gotowanych narkotyków - miałem szczęście, że nie zamykał okna. I miałem też nosa, bo ludzie Salvatore udali się właśnie do niego. Skulony pod parapetem usłyszałem ich rozmowę z "Rakieciarzem".

- …był, był - mówił Renesco, - tego samego dnia, gdy zleciliście mi wykonać ten zatruty jet.
Zamarłem w bezruchu.

- Ile sztuk wziął? - usłyszałem Masona.

- Tylko tę jedną, którą zdążyłem przygotować…

- Kurwa! Salvatore miał rację… I nie zjawił się po więcej?

- Nie.

Mason zaklął ponownie.

- Proszę, oto pozostałe trzy - rzekł Renesco.

- W dupę je sobie wsadź! - Mason chyba trzepnął narkotykami o ścianę.

- Ale.. ale…

Nie słuchałem już więcej. Nie zważając na nic pobiegłem w stronę knajpy Salvatore. "Rick, obyś tylko zdążył!", myślałem gorączkowo. Jeśli Mason powie o tym, co usłyszałem swojemu szefowi, wszystko przepadnie. Po chwili byłem już na rogu Second Street. Richard szybko wracał chodnikiem tuż przy "Rekinie". Zauważył mnie. Machnąłem ręką, żeby się pospieszył. Odwróciłem się, zauważyłem w oddali sylwetkę Masona i jego towarzysza, opuszczających melinę Renesco. Spojrzałem na Ricka - czekał już bezpiecznie za kasynem Bishopa. Teraz! Wyciągnąłem pistolet, który na wszelki wypadek zabrałem ze sobą, i wpadłem do baru Salvatore.

- Jet jest martwy! Jet jest martwy na Second! - wrzasnąłem.

Wybiegłem z baru i oddałem dwa strzały w kierunku zbliżających się ludzi Salvatore. Mason i jego towarzysz odruchowo pochylili się. Wbiegłem między budynki. Usłyszałem rumor wybiegających z knajpy żołnierzy Salvatore. Ruszyli całą zgrają w górę ulicy. Obejrzałem się do tyłu. Zauważyłem Masona, który z laserowym pistoletem w łapie podąża za swoimi kompanami. Krzyczał coś, ale pozostali nie słyszeli go i wrzeszcząc spieszyli przed siebie. Pobiegłem w stronę miejsca, gdzie Rick miał zostawić nóż Jesusa. Wyjrzałem zza węgła. Nóż leżał na cegłach. Zauważyłem zbliżających się ludzi Mordino z Małym Jesusem na czele, z drugiej strony nadciągali ludzie Salvatore. Schowałem się za ruderami. Pijaki i ćpuny na widok zbliżających się gangsterów znaleźli siłę, by podnieść dupy z chodnika i uciekać gdzie pieprz rośnie. Adrenalina tętniła mi w uszach. Zaraz się zacznie…
Nagle kroki z lewej i prawej strony ucichły. Usłyszałem zbrojenie pistoletów. Po chwili moich uszu dobiegł głos Małego Jesusa.

- Mason! Wiedziałem, że to wasza sprawka! Oddawaj mi nóż, a nic się wam nie stanie!

- O czym ty, kurwa, mówisz, Mordino?! - krzyknął Mason. Też nie wiedziałem, czyżby Jesus zapomniał, kto mu wtedy spuścił łomot?

- Nie mam czasu na małpie figle! Oddaj nóż i rozejdźmy się w spokoju do domów!

- O czym on bredzi, do kurwy nędzy? - Mason chyba zapytał jednego ze swoich ludzi. - Nie chcemy żadnych wojen! To prowokacja!

- Nie ogłupisz mnie! - wrzasnął Jesus. - Widzę mój nóż! Oddaj go!

Mason podszedł do kupki cegieł i schylił się.

- Chodzi ci o to? Bierz!

Mason zamachnął się i rzucił nóż w kierunku ludzi Mordino. Usłyszałem wrzask. Chyba któryś z nich dostał nożem Jesusa.

- O nie! Rozjebaliście moje kasyno, teraz - my was wyruchamy!

Rozległy się strzały. Zatkałem uszy, bo rumor wymieszanych okrzyków i huków wystrzałów był

ogromny. Obserwowałem lecące z lewej do prawej promienie światła, dziwne, przerażające ludzkie odgłosy dobiegały moich uszu. Śmiercionośna broń ludzi Salvatore zbierała swoje żniwo. Przez moment byłem sparaliżowany przez strach, siedziałem w totalnym bezruchu, z otwartymi ustami obserwując przebieg wydarzeń. Strzały jakby ucichły, lecz powróciły na nowo, wydawało się, ze zdwojoną mocą. Po raz pierwszy przez głowę przemknęła mi myśl, że chyba przesadziliśmy. Po minucie, która trwała zdumiewająco długo, usłyszałem głos Masona:

- Dosyć tego! Spierdalamy! Bierzcie Ala i Robbiego!

Usłyszałem odgłos kroków. Po chwili dochodziły mnie już tylko jęki rannych i konających ludzi Mordino. Odważyłem się wstać. Na drżących nogach podszedł na lewy skraj budynku, zza którego obserwowałem wymianę ognia. Nie byłem przygotowany na widok, który ujrzałem. Leżące wokoło ludzkie ciała tworzyły najbardziej ohydny obrazek, jaki kiedykolwiek zobaczyłem - dziury w brzuchach, przez które wnętrzności wylewały się wprost na asfalt, poucinane kończyny, głowy oddzielone od ciał, a nawet przepołowione w pasie tułowia. To wszystko sprawiło, że nie wytrzymałem i puściłem pawia. Smród nie pozwalał mi oddychać, było mi duszno. Nie mogłem patrzeć na kilkudziesięciu umierających, już bezbronnych ludzi. Zanim uciekłem rozejrzałem się szybko wokoło. Zauważyłem, że wielu ludzi Bishopa również ucierpiało w tym starciu. Najwyraźniej Mordino, widząc potęgę ludzi Salvatore, próbowało ukryć się w klubie "Rekin". No ale Bishopowie nie mogli stać i patrzeć bezczynnie, jak obca rodzina szturmuje ich siedzibę. Zapewne pomyśleli, że to atak na nich, ale gdy wybiegli na zewnątrz… natrafili na lasery Salvatore. Czułem, że znowu robi mi się niedobrze. Zawróciłem i wbiegłem między budynki.

Sam nie wiem, jak dotarłem do bladego jak ściana Richarda.

- Spieprzajmy stąd - wydyszałem. - Nie chcę jako następny gryźć piachu…

Po kilku minutach wpadliśmy na stację. Chris powstał na nasz widok.

- O nic nie pytaj - powiedział Richard. - Daj nam wody… albo nie - przynieś trochę whisky…

Chris bez słowa opuścił pokój drzwiami po prawej. Wymieniliśmy z Rickiem spojrzenia. W jego oczach wciąż dominowały strach i obrzydzenie, ale również pewne poczucie dumy. Podejrzewam, że w moich wyczytał podobne uczucia, bo powiedział:

- Kurwa, Sammy…
- Wiem, Rick…
- Mały Jesus?...
- Nie dojrzałem go. Nóż znikł, może mu się udało…

Oddychaliśmy ciężko, czekając na ulgę w postaci alkoholu.

- Wiesz, co?... - zaczął Rick, poprawiając mokrą opaskę na czole.
- No?
- Jesteśmy mistrzami…

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wrócił Chris, który wręczył nam butelkę i opuścił stację. Wrócił po dwudziestu minutach blady, spocony i przerażony. Do końca wieczoru nie odezwał się ani słowem.

"Masakra." Taką nazwę zyskało to wydarzenie, które na zawsze zapisało się w annałach historii Nowego Reno. Krwawa wojna gangów, której widmo ciążyło nad miastem od długiego czasu, zakończyła się zanim tak naprawdę zdążyła się rozpocząć. Ludzie byli przerażeni. Ćpuny, pijaki, prostytutki, dilerzy, alfonsi - wszyscy znikli z Virgin i Second Street. Jeśli wierzyć plotkom Mordino stracili niemal trzy czwarte swojej renowskiej armii. Z kilkunastoosobowej garstki ludzi Bishopa, których gangster oddelegował do ochrony kasyna, przy życiu zostało pięciu, z czego dwóch z poważnymi obrażeniami. Przywódcy obu rodzin liczyli ogromne straty i prawdopodobnie byli zajebiście wściekli. A Salvatore - jeden trup i jeden ranny. Ha…

Szybko dotarło do mnie, co stary Louis planował względem mnie, Richarda i całej rodziny Wrightów. Chciał przyspieszyć wykonanie planu, bo zorientował się, że zacząłem działać przeciw niemu. Musiałem chyba popełnić jakąś gafę podczas rozmowy z nim. Moja wizyta u Renesco miała dać mu pewność. Ale dała mu ją "Masakra"… Całe szczęście mieliśmy z Richardem trzy ogromne farty: pierwszy, że akurat tego dnia Mason udał się do Renesco w celu egzekucji zlecenia. Drugim darem losu było to, że "Rakieciarz" zdążył wykonać tylko jedną ampułkę zatrutego jetu. Za trzeci ja

dziękowałem Rickowi, a on mnie - za to, że postanowił zerwać z nałogiem właśnie teraz.

Następnego dnia po raz pierwszy widziałem Richarda na takim głodzie. Nie wiedział zupełnie, co ze sobą zrobić. Ja również nie miałem pojęcia. Potrafiłem go uratować, kiedy przedawkował, ale nie umiałem mu pomóc, gdy był trzeźwy. Tak daleko w to zabrnął… Prawdziwa wojna dopiero się zaczęła.
Następne tygodnie były chyba najgorszymi w moim życiu. Zmagałem się z Richardem, który po prostu wychodził z siebie. Nałóg całkowicie opanował go właśnie wtedy, gdy nie brał. Noce spędzałem na pilnowaniu, żeby nie wymknął się po prochy. Za dnia próbowałem wmusić w niego jedzenie. Był wychudzony, blady jak kreda, włosy wypadały mu garściami. Niedługo miał skończyć dwadzieścia lat, a wyglądał na czterdzieści, do tego jakby nic nie robił w życiu poza ćpaniem. Gadał od rzeczy, całe szczęście, że był osłabiony, inaczej wszyscy Wrightowie dowiedzieliby się o jego stanie. Próbował wymuszać na mnie krzykiem dostarczenie mu jetu, jednak jego głos był tak mizerny, że ledwie wydobywał mu się z gardła. Ben udostępnił mi do mieszkania swój barak nieopodal stacji - tam kurowałem Richarda. Odtruwałem go przez równe trzy tygodnie. Byłem wykończony, byłem wrakiem człowieka, jednak nie większym niż mój przyjaciel.
W ostatnim tygodniu stycznia Richard wreszcie przestał odczuwać permanentny głód. Miał jeszcze swego rodzaju "zrywy" - biegał wtedy po pokoju, rzucając tym, co mu wpadło w ręce i drapiąc się po torsie. Nie raz i nie dwa dostałem kawałkiem żelastwa, którego Ben miał tu od diabła. Ale stawało się to coraz rzadsze. Zaczęliśmy rozmawiać, w końcu na temat. Opowiadałem mu, czego dowiadywałem się, gdy leżał nieprzytomny. Wyznacznikiem naszej przyjaźni było to, że nie było nam głupio, gdy rozmowa schodziła na kwestię jego walki z uzależnieniem. Widziałem w jego oczach wdzięczność zmieszaną ze zmęczeniem. Odetchnąłem z ulgą i porządnie wyspałem się dopiero w miesiąc po starcie odwyku. Richard był praktycznie wolny.

Nadszedł luty, powoli szła wiosna. Ludzie ponownie wysypali się na Virgin Street, wciąż rozmawiając prawie wyłącznie o wydarzeniach sprzed miesiąca. Pewnego dnia udaliśmy się z Rickiem na spacer, pierwszy od dnia "Masakry". Obserwowałem go ukradkiem, gdy patrzył z niechęcią na ćpających, młodych i starych, biednych i… jeszcze biedniejszych mieszkańców Nowego Reno. Szliśmy spokojnie, rozmawiając i ciesząc się coraz przyjemniejszą aurą.
Jednak po Reno nie dało się tak beztrosko spacerować. Nieco nieroztropnie przeszliśmy tuż obok kasyna "Desperados". Tak się złożyło, że Mały Jesus akurat z niego wychodził. Krzyknął coś i ruszył w naszą stronę. Nóż z czerwoną rękojeścią błyskawicznie znalazł się w jego dłoni. Z kasyna wybiegło kilku goryli. Pociągnąłem Richarda i wbiegliśmy między budynki. Szukałem miejsca, w którym mogliśmy się ukryć. Nagle Rick krzyknął:
- Sammy, twoja stara komórka!
Strzeliłem kopniakiem w drzwi, które otworzyły się na oścież. Wbiegliśmy do środka, zamykając je ostrożnie. Nasłuchiwałem, czy ludzie Mordino zbliżają się, ale nikogo nie było już słychać. Po kilku minutach powiedziałem:
- Dobra jest, Rick, możemy wracać.
Udaliśmy się w kierunku Wschodniej Dzielnicy. Grupka dzieciaków bawiła się przed wejściem do posesji rodziny Wrightów. Jeden z nich podbiegł do Richarda, który chwycił go i chciał unieść, ale brakło mu sił. Rick kucnął przed młodszym bratem.
- Cześć, McDuffie! W co się bawicie?
- Cześć, Richie! W bitwę na pustyni! Strzelamy do wielkiej latającej muchy! A wiesz, Richie, że tata woła cię do siebie?
- Naprawdę? - Richard wyprostował się. - Ciekawe, czego chce?
- Idź i sprawdź, przecież cię nie zbije - uśmiechnąłem się.
Weszliśmy do domu Wrightów. Tutaj zawsze było mnóstwo ludzi, a ciągła krzątania i nieustanny ruch przyprawić mogły o zawrót głowy. Richard zaprowadził mnie do swojego pokoju i poprosił, żebym na niego zaczekał. Wrócił po prawie pół godziny. Minę miał nietęgą.
- Co jest?
- Nie uwierzysz - usiadł ciężko na kanapie i westchnął. - Ojciec chce mnie jako swojego

następcę. Chce, żebym poprowadził dalej bimbrownię, oczywiście bez wiedzy matuli… Generalnie mam zostać głową rodziny… Hm, myślałem, że Keith obejmie po nim schedę…
Przyjąłem to spokojnie.

- Czy to źle? - zapytałem. - Przecież to zaszczyt…

- Co ty gadasz, Sammy… Czemu tak późno się obudził? Do tej pory mnie ignorował. No… może nie ignorował, ale prawie w ogóle nie słuchał. Pierdolę, nie chcę takiej łaski.

- Rick, o czym ty mówisz?! - wstałem z kanapy. - Sam mówiłeś, że twój brat lepiej się do tego nadaje, a jednak to ty w oczach ojca jesteś najlepszy! O co ci chodzi? Pomyśl trochę…
Richard zamilkł. Odwróciłem się w stronę okna. Nagle do moich uszu dobiegł ten charakterystyczny znajomy odgłos, którego nie słyszałem od wielu dni - ciche pyknięcie i krótki syk… Szybko spojrzałem na Ricka - trzymał w dłoni pustą ampułkę po jecie.

- Rick, do ciężkiej cholery!!! - wrzasnąłem, wytrącając mu fiolkę, która potoczyła się pod szafkę naprzeciw kanapy. Widziałem, jak jego źrenice robią się wielkie jak przedwojenne ćwierćdolarówki.

- Kurwa, Rick, coś ty narobił!

- Spokojnie, Sammy…

- Jak spokojnie?! Jak mam być spokojny?! Obiecałeś mi, do diabła!

- Sammy…

- Skąd to miałeś?!

- Oj, czy to ważne? Nie krzycz tak, bo zaraz wszyscy się zlecą…
Nie mogłem wytrzymać z wściekłości. Zacząłem niemal biegać po pokoju.

- Wyjdźmy stąd… duszno mi - powiedział Richard. Podszedł do okna, otworzył je i wyskoczył przez nie na trawnik. Podążyłem za nim. Przeskoczyliśmy niewysoki płotek i szliśmy milczeniu.

- Rick… ja pierdolę… - odezwałem się w końcu, ale nie potrafiłem znaleźć słów. - Zawiodłeś mnie... no, cholernie mnie zawiodłeś.

- Przepraszam, Sammy… po prostu… nie mogłem się… - nagle przystanął, zgiął się wpół i złapał za klatkę piersiową w okolicy serca.

- Rick? Rick, co ci jest?! - schyliłem się do niego.

- Nie wiem… dziwnie się czuję - jego głos był bardzo słaby. Uniosłem mu twarz - na czoło wystąpił mu pot, białka oczu zalała fala czerwieni.

- Kurwa, Rick, coś ty… - nagle mnie oświeciło. - Skąd wziąłeś ten jet?!

- Znalazłem… w twojej… komórce - Richard zaczął się krztusić i upadł. Wpadłem w panikę.

- Richard, ja pierdolę! - złapałem się za głowę, patrząc bezsilnie na wijącego się w agonii przyjaciela. - Rick, to była pułapka! On był zatruty!

- Sammy… Sammy… - jego oddech stawał się coraz płytszy.

- Richard! - trząsłem nim jak w dniu, gdy przedawkował, próbowałem coś robić, ale nie wiedziałem co. Nie mogłem! Nie było metody na truciznę... Łzy same skapywały mi z oczu.

- Sam-… -my… - wydyszał Richard i znieruchomiał.

Jeszcze przez dobry kwadrans próbowałem wszelkimi sposobami przywrócić go do życia. Bezskutecznie. Siedziałem na ziemi gdzieś między obskurnymi budynkami Nowego Reno i wyłem jak pierdolony, zbity pies. Ryczałem z bezsilności i rozpaczy, ściskając zimną rękę mojego przyjaciela, i chciałem umrzeć. Umrzeć tak jak on!...
Wreszcie przyszła do mnie myśl, że muszę odstawić go do domu. Ale jak? Zapukać i pokazać rodzicom martwego syna? Kurwa!!! Zawlokłem ciało Richarda pod stację Chrisa i oparłem o ścianę. Przechylił się lekko na prawą stronę, głowa mu opadła, wyglądał jakby spał. Zdjąłem mu jego ulubioną opaskę z głowy i po raz ostatni popatrzyłem na niego. Nie potrafiłem powstrzymać kolejnej fali łez. Zapukałem do drzwi i czym prędzej zwiałem. Jak tchórz, jak zabójca… Zupełnie nie jak przyjaciel…
Niewiele więcej pamiętam z tamtego wieczoru. Później dowiedziałem się, że lekarz Wrightów orzekł przedawkowanie narkotyku, najprawdopodobniej jetu. Orville Wright naturalnie zaczął

oskarżać wszystkich o celowe naszprycowanie prochami jego syna - od Julesa i Jimmy'ego począwszy, na Małym Jesusie i Renesco skończywszy. Nic jednak nie mógł zrobić. Nie mógł wywołać wojny gangów, bo nie miał czym walczyć. Ethyl Wright załamała się, zaś Chris i Ben, podsłuchałem to następnego wieczora, zaczęli szukać potencjalnych podejrzanych i, co jasne, rozpoczęli ode mnie. Ale ja stchórzyłem. Nie miałem odwagi przyznać się, jak było naprawdę. Nie potrafiłem powiedzieć, że to ja… ja zabiłem Richarda. Zamordowałem - perfidnie, okrutnie i bezwzględnie… Zabiłem go, mimo że wcześniej dzięki mnie zaczął żyć na nowo.
Jego pogrzeb był najbardziej traumatycznym wydarzeniem w moim życiu. Ukryty między nagrobkami obserwowałem szlochających rodziców, załamane rodzeństwo, wszechobecny smutek, wszechogarniający żal… Golgota nigdy nie widziała takich uczuć i pewnie nigdy więcej nie zobaczy. Na krzyżu przewiązałem opaskę, którą zwykł nosić na czole. Zanim odszedłem wiatr porwał ją z mogiły jednym silnym zrywem Po tym nie miałem już ochoty żyć, ale… bałem się śmierci. Do czasu.
Teraz nieśmiało spoglądam ze swojego grobu, który umieścili niemal w jednej linii z miejscem spoczynku Richarda. Widzę jego bystre oczy i czarną opaskę na czole. Widzę szczery uśmiech, czuję jak poklepuje mnie po plecach. Tak bardzo chciałbym z nim porozmawiać…

Mamo… właśnie zabiłem człowieka, który uśmiercił mojego jedynego przyjaciela…

KONIEC

©2010 Michał 'Veron' Tusz

BOHATEROWIE TACY JAK MY

Gdzieś, na krawędzi zapomnienia, w pewnym zapadłym miasteczku, w jego zaplutej mordowni zwanej "Wyborne Trunki Jerrego" (Choć bez dwóch zdań, bardziej odpowiednia wydaje się nazwa "Sikacze Jerrego") dwóch niepokornych typów kończy właśnie zabijać swoje sumienie resztkami gorzały.

- Ech....

- Taa Frank , to by sie nawed zgazało.

- Ty nic nie rozumiesz - kontynuował wywód Frank.

- To ty mi to wyjaźnij barziej przejszyście.

- Bo mi, widzisz Jeff, chodzi o potomnych i o to...

- Taaak Frank?! Dziesi! Ty Chdzesz założydź rodzine! - ryknął oburzony Jeff - Zozdawisz mie zamego w tej ziurze, a zamemu bedzierz sie uszerał z bandom bachorów na jakiejź farmie i wogle bedziesz hepi! - Nie! Nie! Nie! Ani mi to w głowie. Ja mówię o spadku dla potomnych. O chwale i glorii. Pragnę, aby ludzie mnie zapamiętali, abym był bohaterem opowieści i legend! Ja...

- LUP!!! - powiedział, a raczej zrobił Jeff.

W tej niefortunnej sytuacji rozmowa z człowiekiem pijanym do nieprzytomności (a raczej nieprzytomnym po pijanemu) nie miała jakiegokolwiek, nawet najmniejszego sensu. Frank będąc z natury człowiekiem pragmatycznym (co nie przeszkadzało mu fantazjować i marzyć) a jednocześnie niepozbawionym poczucia niezrozumienia postanowił znaleźć innego rozmówce i skierował wzrok na barmana. Ten widząc, co się świeci wyciągnął zza lady tabliczkę z napisem "Zamykamy", wyprosił ostatnich gości ze swojego przybytku, po czym szybko udał się na zaplecze.

Dzień zapowiadał się raczej przeciętnie, przelotne opady nie wchodziły w grę na spopielonej post-nuklearnym żarem pustyni Środkowej Kalifornii, porywiste wiatry nie przynosiły ulgi (tylko kłuły skórę i oczy ziarenkami piasku), a ciśnienie wyciskało resztki mózgu uszami.

"To dobry dzień do picia" - pomyślał Jaff - "Jak zresztą każdy inny". Jeff będąc prawdziwym profesjonalistą nigdy nie przejmował i nie dziwił się miejscom, w jakich przyszło mu odzyskiwać przytomność po libacjach poprzedniej nocy. Jedyne, co się liczyło, to czy po przebudzeniu będzie mógł jak najszybciej zwilżyć wargi i pokonać kaca czymś mocniejszym. Jednak w tej chwili czul się dziwnie niespokojnie. Powoli do niego docierało. To było jak zwierzęcy instynkt, który przestrzega, ze zbliżają się kłopoty.

Dostrzegł Franka. Stal na skraju przepaści, słońce właśnie wschodziło i w jego świetle chłop wyglądał teraz jak połączenie Mad Max z Mojżeszem. Gdy się odwracał potknął się o kamień i runął z impetem na ziemie. Oczywiście w przeważającej części wciąż był to stary Frank.

- Ach, pustynia! Idealne miejsce dla bohaterów.

- ... - Jeff gapił się tylko tępo.

- Tak Jeff. To początek wielkiej przygody. Dwójka przyjaciół i nieznane niebezpieczeństwa.

- Ty znowu swoje! Nie mam nic przeciwko, ale najpierw muszę się napić. Chodźmy do Jerrego. Tam dokończysz, co chciałeś mi powiedzieć wczoraj.

- Nie możemy wrócić! Już nie ma odwrotu!

Coś, co na początku było tylko dziwnie niepokojącym przeczuciem teraz nabierało dla Jeffa coraz bardziej wyraźnych i całkiem realnych kształtów.

- "On oszalał!" - pomyślał Jeff - "Musze uciekać!".

Obejrzał się wokół i stanął zamurowany. Wokół gdzie nie sięgnął wzrokiem rozciągał się pustynny krajobraz, aż po horyzont. Nie był to jednak ten znajomy krajobraz okolic miasteczka. To była pustynia, co się zowie. Ta, na która spoglądał zawsze, gdy szedł się wysikać za bar Jerrego nad urwisko. Dzika. Ogromna. Pełna niebezpiecznych miejsc i istot, o których wołał zapomnieć. A przede wszystkim sucha. Tak, pragnienie i kac coraz bardziej dawały mu się we znaki.

- Gdzie my jesteśmy?! - zapytał już bardzo zdenerwowany Jeff.

* * *

- Na pustkowiach - Frank patrzył na Jeffa lekko zdziwiony - a gdzie niby możemy być?

- Eee... Hmm... TO widzę - powiedział Jeff. "Ale nie mogę w to uwierzyć" pomyślał.

- I pewnie nie masz nic do picia? A przynajmniej nic, co by mi trochę rozjaśniło obraz sytuacji?

Tak, kac dawał się Jeffowi we znaki bardziej niż przypuszczał. W końcu zazwyczaj zaraz po przebudzeniu wypijał porządny łyk czegoś "na wzmocnienie".

- Mam wodę...

Frank spojrzał Jeffowi w oczy i "chcesz?" ugrzęzło mu w gardle. Gdyby wzrok mógł zabijać Frank leżałby teraz sztywno na piasku i patrzył w niebo niewidzącymi oczyma. Nie dlatego, że wyciągnął Jeffa "gdzieś na pustkowia", nie dlatego, że prawdopodobnie przez niego Jeff zginie w ciągu najbliższych kilku dni (tak mu się przynajmniej zdawało po tym, co słyszał u Jerrego od przejeżdżających i wpadających "na jednego" ochroniarzy karawan), nie... Po prostu żar w jego gardle nie pozwalał swobodnie oddychać, a Jeff jako stary alkoholik doskonale wiedział, że wodą go nie ugasi.

- Czyś ty ocipiał do reszty? Życie ci się znudziło czy jak? - Jeff próbował krzyczeć, lecz z jego ust wydobył się tylko ochrypły szept, podobny do odgłosu stąpania po żwirze.

- Jeff - powiedział najspokojniej jak tylko umiał Frank - spójrz na to z innej strony...wreszcie wyrwałeś się z tej zapadłej dziury... mamy przed sobą tyle możliwości...

- ...możliwości? Chyba chodziło ci o możliwe rodzaje śmierci! - Jeff nadal był bardzo wzburzony

- Nie pomyślałeś o tym, że nawet nie potrafimy się obronić przed głupimi skorpionami?

Zadziwiające, jak palenie w gardle wyostrza umysł na wszelkie niebezpieczeństwa... a może to tylko podniósł się poziom adrenaliny w organizmie Jeffa, gdy dotarło do niego, co się dzieje... kto wie?

- A nawet gdybyśmy umieli to i tak nie mamy czym!

- Wiesz... - zaczął niepewnie Frank - cały czas miałem przeświadczenie, że o czymś nie pomyślałem...

Jeff aż usiadł z wrażenia. "Jak można być takim idiotą" pomyślał. "Czy jest na świecie ktoś głupszy od niego?".

- Wiesz, źle wyglądasz. Może jednak napijesz się trochę wody?

Frank podał Jeffowi manierkę. Ten popatrzył na niego tępo, po czym wziął manierkę i spokojnie wylał jej zawartość na piach. Choć nie było jeszcze południa piasek zdążył się rozgrzać na tyle mocno, że woda odparowywała szybciej niż wsiąkała.

- Aaaa...

Jeff powoli zwrócił się w stronę źródła dźwięku i z przerażeniem stwierdził, że Frank jest blady jak trup i w dziwny sposób porusza ustami nie potrafiąc wydobyć z siebie nic więcej.

- Tak? - spytał zrezygnowany Jeff.

- Toooo... toooo... toooo...

- To co? - spytał zniecierpliwiony.

- To była cała nasza woda - wykrztusił wreszcie Frank.

"No tak" pomyślał Jeff "jednak jest na świecie ktoś głupszy od niego - Ja". Frank w dalszym ciągu patrzył na suchy już piach, który przed chwilą pochłonął cały ich zapas wody. Powoli podniósł rękę i zdesperowanym gestem wskazał Jeffa.

- Ty... ty... ty... ty...

- Nie! - Jeff zerwał się na równe nogi i patrzył gniewnie na Franka - Ty! Ty! Ty! Ty nas w to wpakowałeś! To przez ciebie tu jesteśmy! To tobie zachciało się przygód! Ty... ty... ty... ty... Jeff w zdenerwowaniu zapomniał wszystkie przekleństwa, jakie znał, a znał ich wiele - Ty!

- To ty nie chciałeś mnie słuchać! - Frankowi udzielił się nastrój Jeffa - To ty się zaraz upijałeś jak tylko zacząłem mówić o przygodach! Gdybyś mnie choć raz wysłuchał może teraz byśmy nie stali tu jak durnie i nie wrzeszczeli na siebie nawzajem, tylko obmyślilibyśmy jakiś plan wyprawy!

- Plan wyprawy?! - Jeff kipiał z wściekłości - Ja nigdy bym się nie zgodził na żadną

wyprawę! Nawet nie wiem... właśnie! Może mi wyjaśnisz jak się tu znaleźliśmy, co panie poszukiwaczu przygód?!

- Noo... ten.... to znaczy...

- No gadaj bo cię zaraz chyba uduszę!

Zadziwiające jak wielka jest zdolność człowieka do zmiany barwy skóry. Od białej jak papier, przez wściekle czerwoną, aż do zgniło zielonej.

- Zabraliśmy się z karawaną, po czym się od nich odłączyliśmy zbaczając z głównego szlaku. A propos... mógłbyś zrzucić parę kilo...

- Zaraz zrzucę twój pusty łeb z karku matole!

- Mój pusty łeb?! A kto wylał wodę?!

- Dwie dychy na tego zachrypniętego - powiedział głos oddalony od kłócących się o jakieś piętnaście metrów.

- Stoi - odpowiedział mu inny, równie dziwnie metalicznie brzmiący, co poprzedni. Frank i Jeff usłyszeli te słowa, kłócili się jeszcze chwilę, po czym zamilkli jak na komendę i powoli zaczęli się odwracać w stronę, z której dochodziły te głosy.

- Frank widzisz to, co ja?

- Chodzi ci o te dwie wielkie gadające konserwy? To mam nadzieję, że nie widzę.

Patrzyli tak przez chwilę, oczy robiły im się coraz większe i większe. Zaczęli je przecierać dłońmi, jednak nadal widzieli, to co widzieli.

- Może to z braku wody... albo od słońca? - zastanawiał się Jeff.

- Cassidy, oni chyba jednak nie mają zamiaru się tłuc. Zakład chyba nieważny- powiedziała jedna z konserw.

- Chyba... - w głosie, a raczej brzęczeniu drugiej dało się wyczuć nutkę niepewności- może jeszcze się pobiją.

Dwoje ludzi i dwie konserwy przyglądali się sobie badawczo. Jeff i Frank zaczęli dostrzegać coś więcej poza dwoma topornymi kształtami. Pewne bardzo niepokojące szczegóły. Choćby to, że konserwy miały kształt człowieka, były tylko trochę większe, miały takie żółte szkiełka przypominające oczy owada i jakieś rurki wystające z głowy. Jednak pomimo swojego dziwactwa wyglądały naprawdę groźnie. Z każdą chwilą coraz groźniej, gdy tak stały i wpatrywały się tym swoim lodowatym, pustym spojrzeniem w dwóch gamoniów kłócących się pośrodku pustyni. Gamonie spojrzeli po sobie, po czym jak jeden mąż wykonali "w tył zwrot" i ruszyli "biegiem naprzód marsz byle szybko i daleko". Konserwy patrzyły chwilę, wzruszyły czymś, co od biedy można nazwać ramionami, odwróciły się i poszły. A nasi dwaj "dzielni bohaterowie" pędzili przed siebie, co sił w nogach, nawet się nie odwracając.

* * *

Biegnąc tak już dobre pół godziny, nie zatrzymując się przy żadnej z trzech miniętych oaz, nie zwracając uwagi na radskorpiony i megaszczury, nasi bohaterzy skutecznie i uparcie podążali w sam środek nieznanych obszarów pustyni. W międzyczasie Jeff zdążył już zgubić jednego buta, a Frank swoją czapeczkę. Obaj zdecydowanie stracili gdzieś po drodze rozum. Przynajmniej tak powinno się mówić - w bardzo eufemistycznej formie - o ludziach wbiegających z maksymalną prędkością i okrzykiem na ustach do bazy mutantów. Jeśli dodać do tego kompletny brak obeznania we własnej sytuacji - o braku uzbrojenia nawet nie wspominając - to sytuację można uznać również za tragiczną i beznadziejną.

Jednak strażnik Billy (supermutant oczywiście) nie podzielał tej opinii. Dla niego to wszystko wyglądało po prostu dziwnie i nieprawdopodobnie. Owszem pojawiali się tu już ludzie, też wbiegali z okrzykiem na ustach przez główne wejście. Z tą tylko różnicą, że te okrzyki były prawdziwymi rykami wojennymi, ludzie ubrani byli w zbroje i posiadali czasem naprawdę imponujący arsenał. Wszyscy też kończyli z wielkimi dziurami w całym ciele.

Tym razem było inaczej. Było ich tylko dwóch, nieuzbrojonych, na dodatek wyglądali jak ofiary klęski żywiołowej. Być może dlatego też tym razem "napastnicy" uszli z życiem. Billy był po prostu zbyt zszokowany, aby cokolwiek zrobić. Kilka minut później, we wnętrzu bazy mutantów.

W trzewiach dawnego, przedwojennego browaru, teraz służącego za jeden z garnizonów nowo powstającej armii mutantów.

- Eee szefie? - zapytał nieśmiało Billy

Dowódca supermutantów stał przy barierce, zaraz przy gigantycznej kadzi wypełnionej po brzegi zielonym świństwem. Radioaktywne opary FEV wciągane strumieniem ciepłego powietrza przez dwa wielkie wentylatory umieszczone pod sufitem omiatały jego sylwetkę zieloną mgiełką.

- Ach! Nie ma to jak zapach ciepłych wirusów o poranku - odparł wyraźnie zadumany dowódca.

- Tak szefie, bez... eee... bez dużo zdań - przytaknął Billy. Jak każdy szeregowy żołnierz miał tylko jedno zadanie: walczyć. Myślenie przeszkadzałoby mu w wykonywaniu obowiązków.

- Eee... Ja..

- W dni takie jak ten cieszę się, że jestem mutantem.

- Tak szefie, eee... mutantem...

- Czy Ty też cieszysz się z bycia mutantem? - zapytał odwracając się do strażnika.

- O tak szefie... - Billy wyprostował się dumnie - Billy szczęściarz... szef zaatakować moja...eee... karawana... wybić w pień cała rodzina i... eee... rodzina... a mnie i innych... eee...strażów utopić w tych... eee... kadziach i zamienić w supermutanty - tak szefie... naprawdę szczęśliwy - powiedział z przekonaniem.

- To dobrze. Morale jest najważniejsze - odparł zadowolony dowódca

- A teraz. Czego chcesz?

- Chyba nas... eee... zaatakować szefie.

- Słucham?

- Billy powiedział, że...

- Słyszałem, co powiedziałeś! Ale co to znaczy: "CHYBA nas zaatakowano"?! Chyba łatwo rozpoznać atak? Czyż nie, Billy? - zapytał zirytowany dowódca.

- No... eee... tak szefie. Zazwyczaj... eee... ktoś strzela, albo... eee... - biedny Billy spocił się już cały od myślenia - rzuca sie z nożem... eee... wrzeszczy... eee... o wiecznym odpoczonku i paskudnym zie... eee... zielonym...

- Tak, tak! A więc ktoś strzelał?

- Nie szefie...

- Chcesz więc powiedzieć, że ktoś rzucił się na potężnego uzbrojonego mutanta z samym nożem?

- Nie, nikt sie nie rzucać szefie. Być... eee... nieuzbrojeni.

- Chyba nie doszło do rękoczynu? To były Szpony Śmierci?! Zaatakowały nas?!!!

- Nie szefie, też nie to, ale być za to okrzyki.

- Dobrze, więc co się stało, zabiłeś przynajmniej tych intruzów?

- No... nie szefie.

Dowódca był już coraz bardziej zmęczony tą rozmową. Ukrył twarz w swej wielkiej dłoni i rzucił z ironią i zrezygnowany:

- Aha, czyli ktoś wbiegł do bazy krzycząc, zrobił rundę honorową, po czym wybiegł, nienaruszony?

- Właśnie! Właśnie tak. Ci... eee... dwaj normiacy biec i wrzeszczeć coś o... eee... o jakiś konserwy, potem cichnąć. Stać tak na placu przed wejście i rozglądać sie po okolica z... eee... rozdziawione gemby, a jak mnie zobaczyć, to aż im gały na wierzch wyszły. Po... eee... chwila patrzeć na siebie, odwrócić sie i wybiec... eee... krzyczeć coś jak "OOOAAAaaaaa!!!" - Billy zaprezentował skrzeczący okrzyk - ...pobiec... eee.. na południe - chyba - dodał po chwili.

- Billy?

- Tak szefie...

- Dlaczego nic nie zrobiłeś? Chociaż jedna krótka seria.

- Bać sie...

- Bałeś się?! Dwóch zwariowanych normiaków?!

- Nie! Nie szefie. Bać sie, że zwariować. To, to nie być... eee... prawda. Takie rzeczy się nie... eee... zdarzać. - Billy był już krańcowo wyczerpany, myślenie to jednak trudna sztuka.

- ...nie zdarzają - powtórzył z zadumą dowódca.
W jednej chwili mutant zanalizował całą sytuację. Dwóch normiaków nie stanowi potencjalnego zagrożenia militarnego. Szpiedzy korzystają zazwyczaj z bardziej subtelnych metod infiltracji. Nie, właściwie normiakami nie powinien przejmować się jako takimi, całe zajście również można było uznać za mało istotne z punktu widzenia mutanta planującego światową dominację. Dowódca znów skupił swoją uwagę na Billym.

- Słuchaj - zaczął - jestem skłonny uznać ten incydent za wynik zwykłej halucynacji spowodowanej stresem. Nie przejmuj się nie zwariowałeś, to zupełnie naturalne dla kogoś na tak ważnym i odpowiedzialnym stanowisku - wyprostował się i odwrócił z powrotem w kierunku kadzi

- teraz, jeśli pozwolisz żołnierzu chciałbym powrócić do obmyślania planów.

- Odmaszerować na stanowisko!

- Tak jest - powiedział strażnik i ruszył w kierunku wyjścia.

- Aha i jeszcze jedno - dodał dowódca nie odwracając się - następnym razem gdy znów będziesz miał podobne zwidy - odegnaj je małą serią z miniguna. Tak dla uspokojenia nerwów. Dobrze?

- Zrozumieć szefie.
Choć w tym dniu delikatna struktura umysłu Billy'ego została trochę naruszona, to do końca swoich dni nie miały go już prześladować żadne majaki. Być może jednak nie dano im szansy i dostatecznie dużo czasu, gdyż jak się okazało dalsze życie Billy'ego trwało zaledwie dwie godziny. Przynajmniej tym razem spotkało go coś rzeczywistego. Realni i prawdopodobni byli zarówno uzbrojeni mężczyźni, ich bronie, jak i kule przeszywające potężne ciało mutanta. Jak najbardziej realna i prawdziwa była też jego śmierć.

* * *

Zastanawiające, jak niespożyte siły nagle budzą się w człowieku, gdy ogarnia go kompletna panika, sprawiająca, że jedynym celem w życiu staje się ucieczka - nieważne nawet, przed czym i ku czemu. Najważniejszy jest sam bieg. Jednak człowiek nie został stworzony do sprinterskich biegów długodystansowych. A Frank i Jeff biegli z pełną prędkością praktycznie od rana. Mięśnie ich nóg z braku odpowiedniej ilości "paliwa" zaczęły przetwarzać w energię swoją tkankę. Brak tlenu sprawił, że zaczęły wytwarzać substancje (darujmy sobie szczegóły) zdecydowanie utrudniające im pracę. Jednak panika nie pozwalała poczuć tego naszym bohaterom. Nie zdawali sobie sprawy jak bardzo są wycieńczeni. Jednak natura w końcu musiała wziąć górę nad strachem…
Pierwszy upadł Jeff. Frank zatrzymał się by pomóc towarzyszowi i sam upadł. Obu ogarnęła ciemność.

- Jak pan myśli doktorze, da się uratować ich nogi?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Wpakuje ich zaraz do autodoca i zobaczymy.
Światło. Bardzo jasne światło. Tak jasne, jak pierwszy widok ślepca, który odzyskał wzrok akurat kiedy twarz miał skierowaną wprost na słońce w zenicie. "Pali" pomyślał Frank "pali jak jasna cholera".

- Budzi się.

- W końcu musiał się obudzić.
"Ja nie żyję. Pamiętam opowiadania o jasnym świetle. Tylko gdzie się podział tunel?"

- Proszę spojrzeć doktorze. Drugi też się budzi.

- Jak się czujesz?
"Anioł. Cały w bieli i promienieje blaskiem. To na pewno anioł"

- Gdzie jestem? - spytał Frank.

- Nie bój się, jesteście w dobrych rękach. Staraj się na razie nie patrzeć. Twoje oczy się od tego odzwyczaiły.

- Jak to się odzwyczaiły?

- Hmm… Jakby to…

- Jak to się odzwyczaiły?!

- Po prostu nie używałeś ich przez dwa miesiące.
- Jak... Dwa? Miesiące?!
- Odpoczywaj.
"Gdzie ta cholerna butelka?" zastanawiał się Jeff macając w koło ręką. "Co ja wczoraj piłem? Nawet po paliwie do rakiet tak mnie gały nie napierdalały… no, ale dzisiaj może chociaż wysrać się będę mógł bez obaw. Blizny na dupie po tamtym razie będę miał chyba do końca życia." Pomacał jeszcze chwilę, lecz nic nie znalazł. Przynajmniej nic, co choć trochę przypominałoby w dotyku butelkę gorzały. Zrezygnowany postanowił się zdrzemnąć i poszukać dalej, kiedy już odzyska wzrok.
- Pobudka! Ileż można spać? Już jesteście zdrowi a te łóżka są mi potrzebne. Mam innych pacjentów.
Dwaj nieszczęśnicy otworzyli oczy, rozejrzeli się i obaj równocześnie zapytali:
- Co to wszystko ma znaczyć? Gdzie ja jestem? I kim pan jest?
- To jest klinika a ja jestem lekarzem. A teraz wstawać z łóżek, wam już nie są potrzebne.
Mężczyźni rozejrzeli się dookoła, spojrzeli na siebie nawzajem, na doktora, znów na siebie.
Jeff pomyślał: "W różnych miejscach się budziłem, ale żadne nie było takie czyste… ja też nigdy nie byłem taki czysty…" W końcu Frank się odezwał.
- Jak tu trafiliśmy?
- To już opowie wam człowiek, który was tu przywiózł. Znajdziecie go za tymi drzwiami. No a teraz jazda z łóżek!
Z ociąganiem wstali, rozejrzeli się za jakimś ubraniem i dopiero teraz spostrzegli, że są ubrani w śmieszne niebieskie piżamy.
- Mamy wyjść stąd w TYM? - zapytał Jeff wskazując na piżamę.
- Ale jak już się ubierzecie to macie mi te kombinezony oddać! - rzucił doktor i wyszedł przez drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. Dwie ofermy w niebieskich piżamach wyszły przez drzwi wskazane im przed chwilą. Weszli do długiego korytarza, całego zrobionego z metalu, jasno oświetlonego lampami elektrycznymi. Po obu stronach korytarza były drzwi prowadzące do pomieszczeń podobnych do tego, które opuścili. Wszędzie krzątali się ludzie ubrani na biało.
- Dobrze że już jesteście! Nawet nie wiecie jak jestem wam wdzięczny! Ja i mój towarzysz.
- Kim pan jest? - zdziwił się Frank.
- Za co wdzięczni? - zaciekawił się Jeff.
- Jak to za co? Za tą wspaniałą dywersję w bazie mutantów. Gdyby nie wy, nie wiem czy dalibyśmy im radę we dwóch. Na szczęście strażnik tak zgłupiał, że nie zauważył jak się zbliżyliśmy. Naprawdę nie wiem jak się wam odwdzięczymy.
- Trochę mi w gardle zaschło - powiedział Jeff.
- Oczywiście, oczywiście. Zaraz pojedziemy do miejsca odpowiedniego na rozmowy. W samochodzie mamy jeszcze też kilka buteleczek. Na drogę.
- Idziemy - powiedział Jeff zanim Frank zdążył zaprzeczyć.
"Chyba nic złego nam nie grozi" myślał Frank idąc za Jeffem, podążającym śladami nieznajomego. "W końcu nie przywiózł nas do kliniki, żeby nas zabić". Dotarli do windy (tak się to podobno nazywało, uwierzyli bo nigdy wcześniej nie widzieli ruchomej komórki), wjechali na górę i wyszli na powierzchnię. W blasku słońca ich oczom ukazał się wielki, błyszczący pojazd. Frank od razu zaczął się zastanawiać jak brahminy mogą uciągnąć taką kupę żelastwa. I gdzie są brahminy? Jeff z natury przyjmował do świadomości (w tych rzadkich chwilach, gdy myślał trzeźwo) wszystko co widział i słyszał w sumie bez większych zastrzeżeń.
- Aaaaa! KOONNSSEEERRWAAAAA! - krzyk Jeffa wyrwał Franka z zamyślenia. Spojrzał na pojazd i zobaczył wychodzącą z niego konserwę. Już mieli zacząć uciekać gdy poczuli mocny uścisk na ramionach.
- Spokojnie. To mój przyjaciel, Cassidy. Nosi pancerz bo na pustkowiach bez tego trudno przeżyć - powiedział nieznajomy, podszedł do pojazdu, wyciągnął drugą konserwę i zaczął ją na siebie po kawałku zakładać.
- Oddawać kombinezony! - usłyszeli za sobą. To był doktor. Tymczasem nieznajomy skończył się… hmm… jakby to określić… pakować? w konserwę, sięgnął do otworu z tyłu pojazdu

i wyciągnął stamtąd dwa komplety porządnych traperskich skórzanych ubrań.

- Załóżcie to i oddajcie mu kombinezony bo zaraz je z was pozdziera - powiedział nieznajomy po czym zwrócił się do Cassidyego - Nie rozumiem tego doktorka. Człowiek przepłaca za to leczenie okrutnie a on żałuje kombinezonu. A nie ma to jak ubranko schronowe pod pancerzem. Ech, szkoda, że to po dziadku już się rozleciało.

- Co teraz? - Frank zwrócił się z tym pytaniem do Jeffa, lecz zanim ten zdążył odpowiedzieć wyręczył go nieznajomy.

- Jedziemy się napić.

Nie bez obaw nasi dzielni bohaterowie wsiedli do dziwnego pojazdu, który jak się okazało nie potrzebował zwierząt pociągowych i był o wiele wygodniejszy niż zwykły wóz. Po drodze nieznajomy opowiedział im całą historię z bazą mutantów. Żaden nie uwierzył, że wbiegli tam i wybiegli żywi. Może kiedyś sobie przypomną. Jak zwykle w takich sytuacjach droga minęła im bardzo szybko, nawet nie zauważyli kiedy się ściemniło. Frank zauważył, że pojazd oświetla sobie drogę. Przez chwilę wahał się czy spytać w jaki sposób, lecz uznał, że już go nic nie zdziwi. W końcu się zatrzymali i wysiedli.

To co ujrzeli przerastało ich wyobraźnię. W samym środku pustkowi stał niewielki drewniany bar, jakich pełno (tyle, że w zaludnionych okolicach). Nie zdumiało ich to, że stał na kompletnym odludziu. To, co było dla nich niewyobrażalne stało przed nim. Pośród pojazdów mniej więcej podobnych do tego, którym przyjechali, stało coś dwukołowego, podpartego wysuniętym ze spodniej części prętem. Stało i lśniło. Lśniło jak nic innego na pustkowiach.

- No chodźcie - nieznajomy przyjaźnie klepnął ich po plecach, co prawie ich przewróciło.

- Przepraszam, czasem zapominam, jaką siłę daje ten pancerz. Jak tylko wejdziemy to go zdejmę i dam zarobić temu chłopaczkowi co to się chwalił, że wszystko doczyści.

Ruszyli w stronę baru. Przed samym progiem Jeff spojrzał na szyld. Widniał na nim napis:

Cat's paw - tylko dla członków SHAMO fallout community.

KONIEC

© 2003 Wajuś & Abadon

KOLEJNA PODZIEMNA TAJEMNICA AMERYKI

Są takie miejsca, w których nawet gdy posiada się stu procentową pewność, że w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy i tak odnosi się wrażenie jakby było się przez kogoś obserwowanym. Do takich miejsc na pewno należała także Golgotha, owiane złą sławą cmentarzysko leżące kilkadziesiąt kilometrów na południe od New Reno. Śniło się ono zapewne wielu mieszkańcom tego wyjętego z pod prawa miasteczka w najgorszych koszmarach. Tu trafiali wszyscy "niewygodni", którzy w jakiś sposób narazili się co bardziej wpływowym osobnikom.
Umrzeć tu to zostać zapomnianym na wieki, pomyślał Vincent. No i o ile nie spłynie na niego za moment żadna łaska przyjdzie mu podzielić los pozostałych zakopanych. Będzie miał teraz doborowe towarzystwo. W końcu na pewno większość z tu "obecnych" było za życia mordercami, złodziejami, gwałcicielami, czy też innymi ludźmi o nie do końca anielskich życiorysach.

- Kop, Vince - odezwał się Paulie, jeden z dwóch ludzi wyznaczonych przez Jesusa Mordino do pozbycia się niewygodnego balastu jakim był Vincent.

- No co tak się gapisz? Kop - powiedział drugi z nich, Jose.

Do spełnienia ich prośby przekonał Vince'a przede wszystkim jeden argument, a mianowicie wycelowana w jego plecy dubeltówka. Chwycił za łopatę i bez przesadnego entuzjazmu zaczął kopać dół, w którym już nie długo miało przyjść mu spocząć na wieki. No, przynajmniej do czasu kiedy zupełnie nie zjedzą go robaki, o ile tu w ogóle jakieś żyją. Pewnie tak, jakieś wielkie zmutowane genetycznie dżdżownice.
Swoją drogą to ciekawe czemu w obliczu śmierci, kiedy ofiara i tak wie, że gdy tylko skończy kopać zostanie zabita, daje się jeszcze wrobić w tę harówę. Skoro przed śmiercią nie ma ucieczki, to może po prostu lepiej powiedzieć "pocałujcie mnie w dupę i sami sobie kopcie". Może, ale taki człowiek chyba aż do końca ma cień nadziei, że uda mu się jednak przeżyć. Tak samo i teraz taki płomyk tlił się jeszcze w podświadomości Vince'a.
Paulie i Jose usiedli dwa metry za Vincentem i przyglądali się jego pracy.

- Widzisz, Vince i po co ci to było? - odezwał się Jose - Byłeś przecież tak dobrym pracownikiem, zarobiłeś dla szefa tyle kasy, ale... No właśnie, wszystko przez to małe "ale". Za mało ci płacił, czy jak? Po cholerę urabiałeś go za jego plecami. Myślałeś, że nie wyjdzie nigdy na jaw, że podpieprzałeś drobne prowizje z każdej kasy, która przeznaczona była dla Big Jesusa? Heh, no i kolejny dobry pracownik przez swoją głupotę musi zasilić "reprezentację" Golgothy.

- Kop, kop - ponaglił Paulie - Chciałbym jeszcze zdążyć wrócić do Reno na niedzielną walkę bokserską.

- A kto boksuje w tym tygodniu?

- Jacyś przyjezdni leszcze, ale podobno są nieźli...

Przez ostatnią godzinę, a może i dłużej, Vince wykopał już spory dół. Niestety pracy nie ułatwiali mu Jose z Pauliem. I nie chodziło już nawet o to, że nie zdecydowali się mu pomóc, bo to akurat nie było specjalnym zaskoczeniem. Najgorsze były te ich ploty. Nawijali praktycznie non stop. Momentami Vince miał wrażenie, że ma do czynienia z parą plotkarek, a nie facetami od mokrej roboty pracującymi dla rodziny Mordino.

- ... podobno Angela Bishop jest w ciąży - tu Jose zaśmiał się krótko - Stary John nie wie nawet kto zrobił jej tego dzieciaka.

- Nic dziwnego zresztą - stwierdził Paulie i pociągnął z butelki kilka łyków piwa - Ta mała puszcza się z każdym kolesiem, który się nawinie.

- Po Jet'cie chyba większości jest już wszystko jedno gdzie i z kim. Daje kopa, nie da się zaprzeczyć.

Gdyby Vincent był choć odrobinę odważniejszy mógłby po prostu teraz odwrócić się na pięcie i zatłuc obydwu zajętych rozmową bałwanów. No ale chyba jednak sama odwaga by nie wystarczyła. On chyba nie byłby nigdy w stanie nikogo zamordować. Niestety, dla nich zabijanie było chlebem powszednim. Głuchy, metaliczny dźwięk przerwał jego rozmyślania. Najwyraźniej jego łopata trafiła na jakiś metalowy przedmiot. Czyżby kopał w miejscu, w którym kiedyś już kogoś pochowano?

Uderzył łopatą jeszcze raz kilkadziesiąt centymetrów dalej. Ten sam odgłos metalu uderzającego o metal. He he, na koniec swojego marnego życia wykopał skarb. No bo co by to mogło być jak nie skrzynia.

- No co stanąłeś? Kop - odezwał się Jose.

- Nie mogę, trafiłem na coś zakopanego pod ziemią.

- To znaczy na co? - chciał wiedzieć Jose.

Vince wzruszył ramionami - Nie mam pojęcia, chyba jakąś skrzynię.

Obydwaj oprawcy momentalnie się ożywili, jakby zwietrzyli jakąś zdobycz.

- To wykopuj to - powiedział Paulie i poderwał się z ziemi - Ty, może to jakaś amunicja, albo broń. Ludzie Bishopa też pewnie tu przychodzą i cholera wie co mogliby zakopać. Jak się jednak już chwilę potem okazało wcale nie mieli do czynienia ze skrzynią.

- Co to ma być? - zapytał Paulie.

- Jakiś właz - wysunął teorię Jose.

- Ale do czego?

- A bo ja wiem. Może do jednego z tych legendarnych bunkrów.

- Do krypty? No co ty, na pewno nie.

- No to nie wiem.

- Poza tym ktoś musiał to zasypać już jakiś czas temu, pewnie z parędziesiąt lat. Ciekawe czy dało by radę otworzyć.

Jose wyraźnie miał zamiar się sam o tym przekonać. Chwycił za metalową rączkę i szarpną z całej siły. Jednak nic z tego, klapa ani drgnęła.

- Pomóż mi - syknął.

Paulie złapał obok i razem spróbowali sobie z tym poradzić. I tym razem im się nie udało, ale płyta jakby wreszcie drgnęła.

- Vincent łap z nami i ciągnij z całej siły - nakazał Jose.

W końcu w trójkę, wypruwając z siebie flaki zdołali oderwać klapę, potem poszło już gładko.

- Przepuklina gwarantowana - stęknął Paulie.

- Nie marudź, patrz! - odezwał się Jose.

Za klapą znajdowała się krótka drabinka, prowadząca wprost do jakiegoś ciemnego korytarza.

- Ja cię nie mogę, co to? - zapytał Paulie.

- Nie mam pojęcia. Masz latarkę?

Paulie skinął głową i wyciągnął latarkę z plecaka. Następnie wręczył ją Jose'mu. Ten poświęcił w głąb tunelu, nie wiele jednak mógł zobaczyć z tej perspektywy.

- Ale jaja - powiedział - Może by tam zjeść i zobaczyć co to?

- No nie wiem - powiedział Paulie - A co z eliminacją Vincenta?

- Może poczekać - powiedział Jose - Na razie przydać się może jako mięso armatnie.

- Co masz na myśli?

- No puścimy go przodem, jakby co to on oberwie, a my zdążymy uciec. No dalej, złazimy.

- Eh, no dobra. Słyszałeś, Vince, złaź na dół.

No i jakiż Vincent miał wybór. Niewielki, zdecydował jednak wykonać i to polecenie. Zgramolił się po drabince prosto w dół. Zaraz za nim podreptali Jose z Pauliem. Ten drugi nie spuszczał go z celownika, pierwszy oświetlał drogę latarką. Korytarz był dosyć wąski i bez wątpienia nie krótszy jak kilkadziesiąt metrów. Vince nieco zdezorientowany tą sytuacją szedł przed siebie nawet nie starając się zastanawiać co to za miejsce.

- No dalej, dalej - poganiał z tyłu Paulie.

Kilkanaście metrów dalej natknęli się na jakieś potężnie wyglądające, stalowe drzwi. Podobne do tych jakie Vincent widywał w Vault 8, należącej do Vault City, w którym to też się urodził i mieszkał do dziewiętnastego roku życia. Te spostrzeżenia jednak zachował dla siebie, niby w końcu dlaczego miałby się zwierzać dwóm kolesiom, którzy planują posłać go do piachu? Z resztą to raczej nie była jakaś inna krypta, przynajmniej Vince'owi tak się wydawało.

- No i kupa - mruknął Paulie - Koniec wyprawy.

Jose jednak nie miał zamiaru od razu wracać, nie spróbowawszy jakoś przedostać się dalej.

Rozejrzał się uważnie oświetlając drzwi i ich okolice latarką. W końcu dostrzegł zamontowany tuż przy nich malutki komputerek. Vincent od początku wiedział gdzie on się znajduje, wiedział także jak on działa i do czego może posłużyć. W gwoli ścisłości: może nie wiedział, ale był prawie pewny bazując na swoich doświadczeniach z Vault City.

- Może jakoś tym dziadostwem się da? - zapytał, chyba sam siebie, Jose.

- Nie wiem, nie znam się na elektronice - wyznał Paulie.

Wtedy Vince doszedł do wniosku, że jeżeli ci dwaj jego przyszli oprawcy drzwi otworzyć nie zdołają, na pewno zdecydują się wrócić, każą wykopać mu kolejny dół i zrobią to co już dawno planowali. Jeśli jednak powie im jak skorzystać z terminala to być może opóźni nieco swoją egzekucję. W prawdzie co się odwlecze to nie uciecze, ale do końca pozostaje jakaś nadzieja...

- Ja potrafię je otworzyć - odezwał się niepewnym głosem. Zabrzmiał teraz jakby od kilku godzin nie miał w ustach niczego do picia. No proszę, co za zbieg okoliczności, przecież dokładnie tak było!

Obydwaj spojrzeli na niego nieco zaskoczeni.

- No proszę, nasz "mózg" się odezwał - prychnął Paulie - No ale otwieraj, "mistrzu". Vince miał teraz tylko nadzieję, że to stare żelastwo nadal działa, jeśli nie, może zapomnieć o tych dodatkowych minutach życia, które mógłby zyskać. Ku jego satysfakcji terminal zadziałał poprawnie i drzwi z dosyć nietypowym hałasem podniosły się do góry otwierając całej trójce drogę do dosyć obszernego pomieszczenia. Nim Jose zdecydował się wejść do środka, czy nawet posłać na zwiady Vince'a, poświecił do środka latarką. W centrum stał jakiś potężny komputer, przypominający sporych wielkości regał zbudowany z procesorów. Przy ścianach natomiast rozstawione były stalowe szafki. Jedna z nich była otwarta na oścież, a w środku... o ile wzrok Jose'go nie mylił... To mu wyglądało na miotacz ognia. Ba, wyglądało na to, że jest w nienajgorszej kondycji. Logika podpowiadała, że pozostałych szafkach także mogą znajdować się różne cudeńka. Zwabiony tym widokiem niczym mysz żółtym serem, Jose wszedł do środka i podbiegł do pierwszej z brzegu szafki. Otworzył ją (nie była zamknięta na zamek) i...

- Paulie, chodź tu! - krzyknął - Ale czad!

Paulie popychając Vince'a lufą od strzelby wszedł do środka i podszedł do swojego kolegi. Szafka, przy której stali po brzegi wypełniona była różnego rodzaju amunicją.

- Jak myślisz, co to za miejsce? - zapytał podekscytowanym głosem Paulie.

- Bo ja wiem. Może jakiś stary magazyn wojskowy. Co za różnica.

Otworzył kolejną szafkę, tu znajdowało się sporo pistoletów energetycznych.

- Tak czy siak to wszystko tu jest warte kupę kasy.

- Mordino da nam za to premię - powiedział zadowolony Paulie.

- Ale za nim mu o tym powiemy zabierzemy ze sobą tyle sprzętu ile zdołamy unieść.

- Po co?

- Skąd on ma niby wiedzieć ile tu tego było? Weźmy sobie trochę i opylimy za jego plecami. To jak podwójna premia, a może nawet potrójna. - powiedział Jose.

- Jeden taki co próbował urabiać Mordino jest tutaj z nami - burknął Paulie.

- E tam, on urabiał go regularnie, a my tylko raz. Tak na dobrą sprawę to wcale nawet nie musielibyśmy mu o tym mówić, więc to i tak nasza dobra wola. O to mój plan: pakujemy do plecaków tyle sprzętu ile się da, tymczasowo zasypujemy ten właz, rozwalamy Vincenta i wracamy do Reno z dobrą wiadomością.

- Ok, niech będzie - zgodził się Paulie.

Jose zadowolony pokiwał głową - Ja będę pakował a ty pilnuj pana "sprytnego". Tu jest tyle broni, że lepiej nie spuszczać go z oka. Jak już miałbym wykorzystać tę sytuację, pomyślał Vince, to po prostu wybiegłbym na zewnątrz i zamknął ich tam w środku. Potem nastawił na terminalu godzinę o której drzwi otworzyć mają się ponownie i prysnął gdzieś daleko, najlepiej z powrotem do Vault City. Tak, tam przynajmniej czułby się bezpieczny. Papiery obywatela miasta zostały w prawdzie w jego biurze w New Reno (a tam wolałby nie wracać), ale przecież w końcu na miejscu jest w stanie potwierdzić swoją tożsamość, a i nikt też chyba w VC nie wie o jego współpracy z organizacjami przestępczymi z Reno.

Pewnie nawet zrobiłby dokładnie tak jak właśnie sobie to obmyślił, ale niestety Paulie nie spuszczał

go z oka, a co gorsza z muszki. Obsesyjne wręcz napełnianie plecaków magazynkami i bronią przerwał Jose'mu dźwięk dobiegający z centralnej części tej sali, a dokładniej ujmując z komputera.

- Dzień dobry - rozległ się głos - Proszę o identyfikację.

Lekko przestraszeni w pierwszej chwili Paulie i Jose odetchnęli z ulgą. To tylko komputer...

- Proszę o identyfikację - powtórzył komputer. - Pozostaje 10 sekund do potwierdzenia tożsamości i uprawnień do przebywania na terenie magazynu. Obydwaj, na razie niedoszli, egzekutorzy Vince'a zupełnie olali prośby komputera. Żaden z nich nie miał zamiaru zwracać uwagi na ten cały elektroniczny bełkot. Dopiero, gdy po upływie limitu czasu drzwi, którymi się tu dostali zamknęły się z trzaskiem, zamarli.

- Co jest? - zapytał Jose.

- Ostania szansa na identyfikację - odezwał się komputer - W przypadku nie podania odpowiednich danych rozpocznę proces likwidacji. W świadomość całej trójki zaczynał się wdzierać pewien niepokój.

- O co tu chodzi? - odezwał się Paulie.

- Ostateczny limit czasu upłynął - rozległ się głos komputera. - Rozpoczynam proces likwidacji jednostek nieupoważnionych.

Wtedy ciało Jose'go przeszło szereg silnych skurczy. Został porażony prądem. Wydarł się w niebogłosy i zaczął trząść się niczym mokry pies otrzepujący się z wody. Wszystko to trwało zaledwie pięć sekund. Potem Jose padł plackiem na ziemię. Jego ciało jeszcze trochę podrygiwało, ale on bez wątpienia był już martwy.

Przerażony tym widokiem Paulie rozdziawił szeroko usta i niczym sparaliżowany stał i wpatrywał się w martwe ciało Jose'go. Wtedy za jego plecami rozległ się metaliczny odgłos. Paulie odwrócił się na pięcie i dostrzegł przymocowane do ściany i celujące w niego dwie lufy. Zaraz potem seria strzałów maszynowych posłała go na podłogę. Wokół niego powstała rozległa kałuża krwi.

Vincent skulił się i schował twarz w dłonie oczekując najgorszego, ale nic więcej drastycznego się już nie działo.

- Witam generale Dixon - odezwał się komputer.

Vince powoli opuścił ręce i niepewnie rozejrzał się po sali. Czyżby nic nie miało zamiaru go zabić?

- Witam generale Dixon - powtórzył komputer.

Vincent spojrzał na niego otępiałym wzrokiem - Mówisz do mnie.

- Oczywiście generale Dixon.

Vince oczywiście nigdy w życiu nie był generałem, ani też nie nazywał się Dixon. Nie miał pojęcia dlaczego ten cybernetyczny twór za takowego go ma, ale zwęszył w tej pomyłce swoją szansę na przeżycie.

- Witam. - powiedział.

- W czym mogę służyć generale? - zapytał komputer.

- Ja... - Vince zastanowił się chwilę - Chciałbym stąd wyjść...

- Oczywiście, generale Dixon.

Zaraz potem drzwi otworzyły się ponownie. Vince pełen niepewności i obaw, niedowierzając temu co miału tu miejsce, powili opuścił salę. Gdy tylko był na zewnątrz rzucił się biegiem wzdłuż korytarza. Dopadł drabinki i wdrapał się na powierzchnię. Mimo dużego zmęczenia zaczął biec przed siebie. Zatrzymał się dopiero kilkaset metrów dalej gdy już zupełnie opadł z sił...

KONIEC

© 2002 Adam 'EFC Turczak

FALLOUT - DEMON SPAWN

Arroyo - 10 Maja 2244

Kobieta natychmiast odstawiła pojemnik z wodą, odgarnęła włosy - Twój brat jeszcze z kimś rozmawia.

- Wiesz, że mam to gdzieś.

W tym momencie drzwi otworzyły się i ze środka wyszli wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna i drugi o wiele niższy, w starszym już wieku. Wymienili jeszcze szybko kilka zdań i staruszek udał się w kierunku wyjścia, nie zauważając Tracy.

- Tracy? Co ty tu robisz? - jej brat natomiast nie miał większych problemów z jej dostrzeżeniem.

- Musimy porozmawiać. - odparła Tracy.

- Coś się stało?

- Wolałabym bez świadków.

Jej brat pokiwał głową i zaprosił do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem, Tracy po przeciwnej stronie.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

Tracy tylko potrząsnęła głową.

- Więc o co chodzi?

- Wyjeżdżam z Arroyo - oznajmiła.

- Co? Dlaczego?

Tracy uśmiechnęła się ironicznie.

- Jakbyś nie wiedział, Dex.

- Nadal masz mi za złe, że to ja zostałem Wybrańcem?

- Nawet nie o to chodzi... Chociaż powiedzmy, że nadal nie uważam żeby to było sprawiedliwe.

- Dlaczego?

- Dlaczego tak uważam? - Tracy przysunęła się bliżej biurka - Spójrz prawdzie w oczy, Dex, jestem od ciebie bardziej uzdolniona w każdej dziedzinie. Jestem o wiele zwinniejsza, silniejsza, inteligentniejsza, lepiej potrafię się posługiwać bronią i tak dalej... Myślę, że o tym dobrze wiesz, nie tylko ty zresztą.

- Tracy...

- Nie przerywaj. To ja spędzałam najwięcej czasu z naszym pradziadkiem. On był najwybitniejszym człowiekiem jaki kiedykolwiek chodził po tej planecie. Zawsze pozostanie legendą. Poświęcił ostanie lata swojego życia by nauczyć mnie jak najwięcej potrafił. Poza tym bardzo mnie kochał. Miałam dwanaście lat, gdy umarł i... - tu przerwała na moment - Nie ważne. To ja powinnam zostać wybrana. Jestem pewna, że rozwiązałabym problem G.E.C.K. i Enclave o wiele szybciej i sprawniej niż ty.

- Możliwe - powiedział Dex - Ale Starszyzna miała swoje powody by wybrać mnie.

- Ciekawe jakie?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jak najbardziej.

- Obawiali się...

- Niby czego?

- Spójrz na siebie, Trace, twoja zasada życiowa to "po trupach" do celu. Upraszczając: obawiali się, że twoje działanie może poza ustalonym celem przynieść wszystkim postronnym osobą wiele cierpienia.

- Bełkot przedszkolaka...

Dex nic nie powiedział.

- Zresztą nie ważne. Wyjeżdżam, powód jest dosyć banalny. Mam już dosyć tego miejsca. Odkąd skumaliście się z tymi zasrańcami z Vault 13 wszystko tu zeszło na psy. Za bardzo mi to zaczyna przypominać to cholerne Vault City, miasto pieprzonych sztywniaków.

- Daj spokój, Trace...
- To już postanowione, panie Prezydencie... Chciałam cię tylko o tym poinformować. Nie wiem czy wyjeżdżam na stałe. Na razie pomieszkam tu i tam, wtedy zdecyduję. Zabieram ze sobą wszystkie moje "zabawki" i chciałam cię tylko prosić o przepustkę do magazynu broni. Potrzebuję "pesteczek", którymi je będę karmiła.
- Nie wystarczy ci to co masz?
Tracy spojrzała na niego jak na idiotę uśmiechając się lekceważąco - Nie twój interes. Nie zapominaj, że połowę z tego załatwiłam ja.
Dex niechętnie zmuszony był przystać na jej prośbę. Wiedział, że i tak nie mógłby jej tego zabronić. Wypisał odpowiedni formularz i wręczył siostrze.
- Dzięki - powiedziała udawanym, słodkim głosikiem. Przy wyjściu rzuciła jeszcze - Poinformuj resztę naszej gromadki, niech się nie zamartwiają. Pa.

Klamath - 12 Maja 2244

Samochód Tracy przejechał główną ulicą miasteczka i zaparkował w samym centrum, tuż obok niewielkiej studni. Kilka sekund później jego drzwi otworzyły się i Tracy spokojnie, nie spiesząc się wysiadła ze środka. Jakikolwiek sprawny samochód w dalszym ciągu budził spore zainteresowanie ludności większości miast, więc wokół zebrała się od razu grupka mieszkańców Klamath. Oczywiście najwięcej entuzjazmu wykazywali najmłodsi. Kilku letnie dzieci od razu obległy samochód, a także samą Tracy i zaczęły zadawać jej masę pytań, na które zainteresowana nie miała najmniejszej ochoty udzielać odpowiedzi.
Jeden z mieszkańców, Aldo, miejscowy pijaczyna rzuciwszy okiem na samochód podszedł do jego właścicielki i powiedział - Jakiś czas temu widziałem tu podobny... Przyjechał nim ten koleś, jak mu tam... O, już wiem, Dex. Tracy zmierzyła go pogardliwym wzrokiem i powiedziała.
- Mój, pożal się Panie Boże, brat. A teraz odwal się od samochodu.
Aldo zrobił urażoną minę.
- Przepraszam, nie jestem godzien, co? Ty masz być siostrą tego całego Dexa? Wyobraź sobie, że on zawsze był gotów pomóc choremu, takiemu jak ja i przeznaczyć kilka dolarów na jego leczenie.
Tracy wyraźnie najchętniej zignorowałaby Aldo, ale zdecydowała mu jeszcze tym razem odpowiedzieć.
- Dex to frajer. A teraz spieprzaj.
- Pewnie, ty... Głupia...
Nie dokończył jednak bo Tracy chwyciła go za gardło i zacisnęła dosyć mocno. Aldo złapał za jej rękę i próbował się wyrwać, ale najwyraźniej był o wiele słabszy. Żyły napęczniały mu na skroniach, zrobił się cały czerwony i bezskutecznie starał się złapać choć najmniejszy łyk powietrza. Tracy patrzyła mu głęboko w oczy.
Minę miała niewzruszoną, ale Aldo miał wrażenie, jakby wewnątrz śmiała się lekceważącym, pogardliwym śmiechem. W końcu puściła go, a ten padł kaszląc na kolana. Nie zwracając już na niego uwagi ruszyła w kierunku bagażnika, zdając się nie zauważać przyglądającym się jej zaniepokojonym mieszkańcom. Ze środka wyciągnęła M72 Gauss Rifle i udała się w stronę sklepu pań Buckner. Maida i jej matka Ardin zajęte były właśnie rozmową, a Smiley pił właśnie przy stoliku z Whiskey Bobem.
- Dzień dobry - rzuciła Tracy.
Cała czwórka obróciła się w jej stronę.
- Dzień dobry - odpowiedziała Ardin.
- Szukam niejakiego Smiley'a.
Zainteresowany zmarszczył brwi i wstał od stołu.
- To ja, a o co chodzi?
Tracy uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było sympatii, zdawał się raczej być fałszywy.
- Mój brat, Dex, wiele o panu opowiadał - powiedziała.
- Dex? - zainteresował się Smiley - Ten słynny Dex? Ten, który wyciągnął mnie z tych

przeklętych Toksycznych Jaskiń?
Właśnie ten, pomyślała, ten pieprzony, zasrany Dex.
- Dokładnie - powiedziała jednak.
- I pani jest jego siostrą?
Tracy skinęła głową i podała mu rękę.
- Tracy.
Jej uścisk był bardzo delikatny, dokładnie takiego spodziewał się Smiley po tak pięknej i młodej kobiecie. Moment później jednak dłoń Tracy zacisnęła się bardzo mocno. Smiley aż pisnął. Tracy puściła jego rękę, jakby nigdy nic. Traper spojrzał na nią z niedowierzaniem. Nie spodziewał się tak silnego uścisku po kobiecie, tym bardziej że odniósł wrażenie, że nie był to szczyt jej możliwości. Zachował jednak tę uwagę dla siebie.
Do Tracy podeszła Maida.
- A jak tam Sulik, został tam z wami, czy włóczy się gdzieś sam?
- Sulik? Ten ohydny prymityw? - zapytała Tracy - Wrócił do swojej wioski, mam nadzieję, że już się nie spotkamy. No ale wystarczy tego dobrego.
Na te słowa Tracy uniosła trzymaną w lewej ręce broń i bez wahania wystrzeliła Maidzie w głowę. Pocisk rozniósł jej twarz na strzępy. Nie czekając na niczyją reakcję, Tracy wycelowała w Ardin i potraktowała ją w ten sam sposób. Następny padł martwy Whiskey Bob. Wtedy Tracy przestała strzelać.
Smiley stał oszołomiony. Nie wiedział jeszcze dokładnie co się stało. Ta kobieta praktycznie w ciągu ułamka sekundy zabiła trzy osoby.
- Wiesz, Smiley - powiedziała - Dex zawsze o tobie dobrze mówił. Nienawidzę Dexa, gdyby nie był moim bratem już byłby martwy. Muszę sobie jednak jakoś ulżyć, a najlepszym lekarstwem będzie wypieprzyć w kosmos osobę, o której on dobrze mówił.
To powiedziawszy Tracy wycelowała zupełnie zdezorientowanemu Smiley'owi w klatkę piersiową i nacisnęła spust. Pocisk zrobił w jego ciele ogromną dziurę, a siła odrzutu poniosła go pod same drzwi.
- Done'n'Done, jak mawiał Butch Harris - powiedziała spokojnym głosem - Brakuje mi tych czasów, gdy siedziałam z pradziadkiem nad jeziorem daleko od Arroyo i on opowiadał mi o swoich przygodach. Jeśli jednak teraz mnie widzi, na pewno jest ze mnie dumny. Tak bardzo go kocham. No nic...
Do środka wbiegł Torr i dwóch innych mieszkańców, najwyraźniej zaniepokojonych wystrzałami. Nie zdążyli jednak zobaczyć zbyt wiele, Tracy błyskawicznie pozbawiła ich życia.
- Oni wszyscy są żałośni - mruknęła pod nosem i przeładowała broń. Zaraz potem spokojnym, acz zdecydowanym krokiem opuściła budynek i wszyła na zewnątrz. Wtedy zaczęła strzelać. Kolejne pociski trafiały idealnie, mimo iż wydawało się, jakby strzelała na oślep. Poza tym robiła to z tak niewyobrażalną wręcz szybkością i zwinnością, że wszyscy stali w osłupieniu nie mając nawet większych szans by próbować się schronić. Gdy tylko kończyła się amunicja, kilkoma szybkimi ruchami zmieniała magazynek i ostrzał zaczynał się ponownie. Nie oszczędziła nawet kilkuletnich dzieci stojących przy jej samochodzie. Po kilkunastu sekundach przestała strzelać. Rozejrzała się do koła. W promieniu kilkunastu metrów nie było już nikogo żywego, jedynie zakrwawione ciała licznej grupki mieszkańców.
- O cholera! - jęknął Sajag, właściciel Golden Gecko. Klęczał przy oknie przyglądając się dziejącej się nieopodal masakrze.
- Co jest...
- Idzie tu - stwierdził ze sporą dozą obawy w głosie John L. Sullivan.
- Lepiej odstrzelmy ją teraz, z bezpiecznej odległości - wyszeptał jeden pozostałych mężczyzn. - Nie ma na sobie żadnej zbroi, tylko samo skórzane ubranie... Kto ma broń?
- Ja - powiedział inny. Wysunął lekko lufę przez okno, przymrużył oko i wycelował prosto w serce Tracy.
Rozległ się strzał i moment wcześniej celujący mężczyzna padł na podłogę, z praktycznie zupełnie rozerwaną głową. Pozostali spojrzeli z przerażeniem przez okno. Tracy stała z wycelowaną w ich stronę bronią i uśmiechała się z ironią. Ale jak, pomyślał John, jak to możliwe, że ona tak szybko

zdążyła... Nie dokończył jednak myśli bo kolejny pocisk trafił jego. Wszyscy pozostali natychmiast padli na podłogę nie czekając aż i ich spotka podobny los.
Tracy sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej granat. Zębami wyciągnęła zawleczkę i rzuciła w kierunku okna. Granat wleciał do środka przez powstałą w wyniku jej wcześniejszej ingerencji dziurę w szybie. Tracy spokojnie schowała się za jednym z budynków. Moment później silna eksplozja praktycznie doszczętnie zniszczyła Golden Gecko.
Drzwi do Bathhouse otworzyły się i do środka powoli weszła Tracy. Na pierwszy rzut oka nikogo tu nie było. Obejrzała sobie uważnie jedno pomieszczenie, potem kolejne, kolejne i kolejne. W końcu w ostatnim znalazła pięć osób. Pięć kobiet skulonych przy jednej ze ścian. Na widok Tracy zaczęły płakać i błagać, by nie robiła im krzywdy. Tracy tylko pokiwała głową i zabiła kolejno właścicielkę, Sally, a następnie jej trzy pracownice. Przy życiu pozostała tylko Jenny.
Tracy odłożyła broń na podłogę i podeszła do niej. Ukucnęła i ostrzem odgarnęła jej włosy na bok. Łzy powoli spływały po policzkach Jenny.
- Lubisz swój zawód? - zapytała w pewnym momencie Tracy.
Jenny chlipała nadal i nie miała wyraźnie zamiaru jej odpowiedzieć. Tracy przycisnęła koniuszek ostrza do jej tętnicy szyjnej i powtórzyła pytanie.
- T... Tak - wydukała Jenny.
Tracy pokiwała głową, jakby ze zrozumieniem. - Wiesz, to moje zdanie, ale sądzę że jest trochę monotonna. Nie uważasz?
- T... Tak.
- Hmm... - Tracy ponownie pokiwała głową, a następnie szybkim ruchem wepchnęła Jenny ostrze w tchawicę. Po kilku sekundach wyciągnęła nóż, wyczyściła go o ubranie wijącej się, trzymającej za gardło i obficie krwawiącej Jenny, a następnie zabrała z podłogi broń i opuściła budynek.

Klamath - 13 Maja 2244

Niedługo po zniszczeniu bazy Enclave, drogi Cassidiego i Dexa się rozeszły. Dex wrócił do swoich, a Cassidy... Nie miał najmniejszego zamiaru wracać do tego przeklętego Vault City. Początkowo zamierzał osiąść na dobre w Redding, tam też wyruszył. Zatrzymawszy się jednak na noc w Klamath po długiej rozmowie z Smileym zmienił zdanie. Od tamtego czasu zawsze we dwóch wybierali się na polowania. Okazali się bardzo zgranym duetem i na skórach złotych Gecko udało im się zarobić naprawdę sporo pieniędzy. Z tej ich "spółki" bardzo ucieszyła się również pani Buckner, była o wiele spokojniejsza mając świadomość, że Smiley nie poluje sam.
Cassidy wracał właśnie z Redding, gdzie zwykł sprzedawać skóry. Już z daleka zorientował się, że coś jest nie tak. Im dalej szedł w głąb miasta jego oczom ukazywały się kolejne zwłoki bardzo dobrze znanych mu osób, mieszkańców Klamath. Zatrzymał się dopiero przy zgliszczach Golden Gecko. Rozejrzał się do około. Nie mógł uwierzyć w to co widzi. Nie miał pojęcia co tu się stało. Kto odpowiedzialny był za tę masakrę? W pewnej chwili dostrzegł leżącą na ziemi łuskę. Podniósł ją i przyjrzał się jej dokładnie. 2mmEC... Takich pocisków używano do Gauss Rifle... Ale to bardzo rzadka i cholernie droga broń. Kto mógł... Chyba już wiedział - Enclave. Prawdopodobnie mają jeszcze jedną bazę i... To miała być zemsta? Możliwe.
Wtedy usłyszał w jednym z budynków jakiś łomot. Natychmiast sięgnął po broń. Powoli, po cichu zakradł się pod drzwi. Odczekał chwilę, a następnie kopnięciem wyważył je i wpadł do środka. Chyba nie było tu nikogo. Ale zaraz... Ktoś leżał pod łóżkiem. Cassidy powoli podszedł do niego i schylił się celując w kierunku skulonego mężczyzny.
- Aldo? - zapytał zdumiony.
Aldo spojrzał na niego i po chwili niepewności odetchnął z ulgą - Dzięki Bogu...
- Co tu się, do cholery, stało?
Nie sposób było nie dostrzec w oczach Aldo przerażenia - Czy ona już wyjechała?
- Kto? Jaka ona?
Aldo milczał.
- Cholera, odpowiedz! - Cassidy potrząsnął nim zdecydowanie. To poskutkowało, Aldo

zdawał się ocknąć z tego dziwnego letargu.

- Ta jędza... - wydukał. - Przyjechała tu i... Pozabijała wszystkich.

- O czym ty mówisz? Kto to był?

Aldo zastanowił się chwilę, jakby starał się sobie przypomnieć co takiego dokładnie się wydarzyło. - Przyjechała Highwaymanem, identycznym jak ten Dexa. Średniego wzrostu, zgrabna, brunetka. Weszła do Bucknerów i zaczęła strzelać. Co było dalej nie wiem. Natychmiast ukryłem się tutaj i nie wychodziłem aż od tamtego momentu. Szczerze mówiąc zupełnie już zdrętwiałem.

- Chcesz mi powiedzieć, że jedna kobieta wybiła wszystkich mieszkańców?

- Wszystkich? - zdziwił się Aldo - Nie wiem. Słyszałem tylko strzały i wybuchy, jakby toczyła się tam jakaś wojna. Potem wszystko przycichło, a po kilku godzinach zdawało mi się, że słyszę jak odjeżdża, ale wolałem nie ryzykować i zostać pod łóżkiem.

- Ale jak jedna osoba... Czy ta sobie ta miała na sobie taką stalową zbroję, przypominającą...

- Zbroję? - przerwał mu Aldo - Nie miała żadnej zbroi, jedynie skórzane ubranie. Nic więcej nie wiem, cały czas leżałem tu.

Cassidy usiadł na podłodze. Musiał sobie wszystko to poukładać w głowie, bo jak na razie miał w niej tylko jeden wielki mętlik. No więc od początku. Do miasta przyjeżdża samochodem kobieta ubrana w skórzane ubranie. Wchodzi do jednego z budynków i zaczyna strzelać. Gdy kończy, w mieście nie ma już żywej duszy, za wyjątkiem jej samej i Aldo, który skrył się pod łóżkiem w jednym z domów. Jak to możliwe, że jedna kobieta... Hmm... No dobrze, zaatakowała z zaskoczenia, ale bez przesady. Z zaskoczenia mogła załatwić kilka, góra kilkanaście osób, ale nie całe miasteczko, liczące niecałe sto pięćdziesiąt mieszkańców. Poza tym wyraźnie była bardzo dobrze uzbrojona. A może Aldo przesadza, może wcale nie była sama. Czy można mu wierzyć, przecież on nic tylko bierze te swoje "lekarstwa". Z drugiej strony...

- Mówiłeś, że przyjechała takim samym samochodem jakim jeździł Dex - zauważył Cassidy.

Aldo wygramolił się z pod łóżka i pokiwał głową - Tak. Highwayman, czy jak tam się to gówno nazywa.

- Byłbyś w stanie dokładniej opisać tę kobietę? - zapytał Cassidy.

Aldo zmarszczył brwi - Hm... Nie wiem. Nie mam pamięci do twarzy.

- Ale może zapamiętałeś jakieś szczegóły, jakieś cechy charakterystyczne?

- Chyba nie... Miała ciemne włosy do ramion... Nie, nieco dłuższe niż do ramion. O tak dotąd - pokazał palcem - Zgrabna, całkiem całkiem. Z tym, że jędzowata, nie chciała pożyczyć mi kilku dolców na medycynę. I ten jej wyraz w oczach... Taki... dziwny. Z jednej strony pełny lekceważenia i pogardy, z drugiej pełny nienawiści. I ten wredny uśmieszek, tego nigdy nie zapomnę. Strasznie pewna siebie babka... Zaraz! Ja cię niemogę!

- Co?

- Teraz sobie przypomniałem... No tak! Pewnie! Przez tą medycynę miałem chwilowe zaćmienie pamięci...

- Daj spokój, Aldo, powiedz o co chodzi - ponaglił go Cassidy.

- Wspomniałem coś o Dexie, a ona powiedziała, że Dex jest jej bratem. Ale jak to możliwe, żeby siostra Dexa zrobiła coś takiego?

Cassidy poderwał się na równe nogi. Ciemne włosy, wredny uśmieszek... Opis mało dokładny, ale faktycznie mógłby pasować do siostry Dexa, jak jej tam... Tracy. I jeszcze ten samochód. Nie, to nie możliwe. Nie mogłaby zrobić czegoś takiego. To musiał być ktoś inny. Tak, na pewno.

Obóz Slaver's Guild, 40km od Den - 15 Maja 2244

Highwayman Tracy zaparkował kilkanaście metrów od pola namiotowego. Nim jeszcze wysiadła, przy samochodzie zjawiło się trzech uzbrojonych mężczyzn z charakterystycznymi tatuażami na czołach. Tracy opuściła pojazd i patrząc w boczne lusterko poprawiła nieco uczesanie.

- Kim jesteś i co tutaj robisz? - zapytał jeden z mężczyzn.

Tracy spokojnie obróciła się w jego kierunku i powiedziała - Chcę rozmawiać z Metzgerem. Mężczyzna przyjrzał się jej nieufnie i powiedział - Metzger nie żyje od niemalże dwóch lat.

Tracy pokiwała głową - Tak, tak... Został zabity przez niejakiego Dexa, prawda?

- Podobno.
- To wersja oficjalna... A teraz zaprowadź mnie do Metzgera.
- Już mówiłem...
- Tak, słyszałam - weszła mu w słowo - Oboje dobrze wiemy, że on żyje i że jest teraz w jednym z namiotów. Mam do niego ważną sprawę, więc nie zawracaj mi głowy, tylko prowadź.
Mężczyzna zastanowił się chwilę, a następnie powiedział - Tylko bez żadnych sztuczek.
Tracy nic na to nie odpowiedziała.
- Chodź - mężczyzna zaprowadził ją do największego z namiotów.
W środku siedział łysy mężczyzna bez lewej nogi, podobnie jak pozostali na czole miał tatuaż z logiem Slaver's Guild.
- Witam - powiedziała Tracy.
- Co to za suka? - zapytał podirytowany Metzger - Nie prosiłem, żebyście mi przyprowadzili dziwkę.
- Lepiej licz się ze słowami - powiedziała spokojnie Tracy, mając na ustach ten swój charakterystyczny uśmieszek.
- Czy ktoś mi wreszcie powie co to za pyskata suka?
- Posłuchaj - powiedziała Tracy - Mam do ciebie tylko jedną sprawę, płacę 500 dolarów.
- Płacisz za co?
- Za tatuaż, chcę mieć tatuaż Slaver's Gulid.
- A po cholerę ci on?
- Powiedzmy, że polepszy mi samopoczucie.
- Spieprzaj.
- Dobrze wiem Metzger, że potrzebujesz pieniędzy. Odkąd Dex praktycznie zniszczył Slaver's Guild, przy tym o mało cię nie zabijając, nie przędziecie zbyt dobrze. Poza tym na pewno chętnie byś się zemścił, to w końcu przez Dexa straciłeś nogę. Mogę ci w tym pomóc.
- Jak to?
- O tuż ja również nienawidzę Dexa, a tak się dla mnie przykro złożyło, że jestem jego siostrą.
Metzger zmarszczył brwi.
- Mogę ci go wystawić jak na talerzu, wtedy ty zrobisz swoje. Proszę tylko o tatuaż i o nie zadawanie zbędnych pytań.
Tracy przejrzała się w małym podręcznym lusterku. Tatuaż na jej czole, jej zdaniem, wyglądał doskonale. Schowała lusterko do kieszeni i ruszyła w kierunku samochodu, po drodze omijając zwłoki dwudziestu kilku ludzi Metzgera, a także i jego samego. Zasada była prosta: weź od ludzi co potrzebujesz, a potem, gdy są już bezużyteczni, pozbądź się ich.

Arroyo - 18 Maja 2244

- Proszę, Cassidy, wejdź - zaprosił go do środka Dex.
Gdy byli już wewnątrz, zaproponował jeszcze swojemu gościowi by ten usiadł w fotelu.
- Napijesz się czegoś, może zjesz? - zapytał.
- Nie, dzięki przyjacielu - odparł Cassidy z jakby wymuszonym uśmiechem na twarzy.
Dex usiadł naprzeciwko Cassidy'ego - Jak domniemam jesteś tu w sprawie Klamath. Cassidy pokiwał głową.
- Tak mi przykro - powiedział Dex - To byli moi przyjaciele.
- Tak, moi też. Wiesz już, że to samo miało miejsce w Redding?
Dex zbladł - Nie. Nie wiedziałem, jesteś pewien?
- Owszem.
- Wygląda na to, że czeka nas jeszcze jedna wyprawa.
- Posłuchaj, Dex, kiedy ostatni raz widziałeś Tracy?
Dex zastanowił się chwilę - Jakiś tydzień temu opuściła Arroyo. Czemu pytasz?
Cassidy westchnął - Aldo... Nie chciałem mu na początku wierzyć, to pijaczyna, ale w Redding ocalało pięć osób, z czego dwie widziały sprawczynię całej rzezi. Opis podobny, jak ten Aldo.

Średniego wzrostu brunetka, o charakterystycznym, wrednym uśmieszku, która zajechała do miasteczka Highwaymanem, uzbrojona po zęby niczym armia BOS.

- Mój Boże, Tracy...

- Tego się właśnie obawiałem, ale nadal nie mogę uwierzyć, że ona byłaby zdolna do czegoś takiego.

- Ona jest zdolna do wszystkiego, tylko dlatego to ja zostałem Wybrańcem.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Cassidy.

- Ulubienica naszego słynnego pradziadka. Aż do jego śmierci spędzała z nim cały swój czas. Był on chyba jedyną osobą, którą kochała i szanowała. Nauczył ją ile tylko zdołał, a Tracy była pojętną uczennicą. Nawet bardzo. Miała trzynaście lat, gdy zmarł w sędziwym wieku. Bardzo to przeżyła. Od tamtego czasu praktycznie żyła w samotności zdobywając wiedzę. Uczyła się strzelać, walczyć wręcz, posługiwać bronią sieczną. Uczyła się medycyny, techniki i wielu innych rzeczy. Miała wielu nauczycieli, choć równie łatwo chłonęła wiedzę z książek. Odkąd była mą dziewczynką widać było, że jest wybitna, pod każdym względem. Zawsze powtarzała, że to nasz pradziadek był najinteligentniejszą, najzdolniejszą i najsilniejszą osobą na świecie, ale tak naprawdę ona przerastała go w każdej z tych dziedzin. Do czasu gdy pradziadek żył, plemię wiązało z nią wielkie nadzieje. Zachowywała się w prawdzie dosyć dziwnie, ale bez przesady. Potem szydło wyszło z worka. Tracy była nieobliczalna. To na pewno jakaś choroba psychiczna, bo cóżby innego. Powiem ci tylko, że ona w pojedynkę może być groźniejsza niż całe Enclave. Nie przesadzam. Jej wszelkie predyspozycje są na dużo wyższym poziomie niż przeciętnego, czy nawet nieprzeciętnego człowieka. Problem tkwi w sposobie postrzegania przez nią świata. Ona nie ma sumienia, litości. Wyobraża sobie, że pradziadek patrzy na nią i niezależnie co ona robi on jest dumny. Nie wytłumaczysz jej, że on potępiłby takie zachowanie. Mam wrażenie, że ona mści się na całym świecie za jego śmierć. To moja wina, nie powinienem był pozwolić jej odejść.

- Nie możesz się obwiniać. Skąd miałeś wiedzieć.

- Mogłem to przewidzieć...

- I tak byś jej wtedy nie powstrzymał.

- Może, ale muszę teraz. Nie chciałbym cię narażać, ale...

- Oczywiście, skopaliśmy razem nie jeden tyłek, jestem z tobą.

- Tym razem sprawa jest o wiele poważniejsza...

Modoc - 23 Maja 2244

Tracy uniosła wysoko głowę i z lekko przymrużonymi oczami patrzyła przez moment prosto w słońce. Po kilku sekundach założyła ciemne, błyszczące okulary przeciwsłoneczne i opuściła głowę. W ręku trzymała opuszczoną Gauss Rifle.

- Modoc, co za dziura. - mruknęła. Zaraz potem uśmiechnęła się lekko i zmierzyła wzrokiem znajdujące się przed nią osoby. W centrum tego niewielkiego miasteczka klęczało ustawionych w szeregu pięć osób. Do koła nich trudno było nie dostrzec licznych zwłok.Tracy usiadła na ziemi i po chwili milczenia powiedziała - Pytanie, które za pewne teraz sobie zadajecie brzmi "czy pozwolę wam żyć, czy zabiję jak pozostałych?". Odpowiedź brzmi, "kto wie?". Wszystko zależy od was samych. Jeśli będziecie w stanie mnie przekonać, bym darowała wam życie, tak też się stanie.
Przez cały czas chlipiąca Rose teraz wpadła w histerię. Zaczęła błagać Tracy by ta zostawiła ich w spokoju.

- Ciii. Chyba nie chcesz skończyć jak twój mąż, co Rosie?
Jednak Rose nadal histeryzowała.
Tracy tylko pokręciła głową i wycelowała jej prosto w głowę. Gdy Rose to dostrzegła umilkła nieco.

- Za późno Rosie - powiedziała Tracy - Teraz będziemy mieli coś z gatunku niczym nie popartej, bezsensownej przemocy. Po prostu ty mnie nie przekonałaś.
Oddała jeden strzał, powalając kobietę na ziemię.

- W porządku. - powiedziała - Teraz twoja kolej, Grisham. Na pewno cieszysz się, że twoja córeczka jest teraz bezpieczna z moim bratem. Jeśli jednak chcesz ją jeszcze spotkać na tym

świecie, musisz być bardzo przekonywujący.
Po czole Grishama spłynęło po woli kilka kropli potu. On sam zbladł i z nieruchomiał. Z wielkim wysiłkiem udało mu się unieść rękę i położyć dłoń na klatce piersiowej w okolicy serca.
- Oj, oj, oj. Serduszko? - zapytała Tracy - Mam dziś dobry dzień. Okażę nieco człowieczeństwa i nie pozwolę ci cierpieć.
Zaraz potem rozległ się wystrzał i Grisham padł martwy na ziemię.
W tym momencie na nogi poderwał się jego syn, Davin, i rzucił w kierunku zwłok ojca. Nie przebiegł metra gdy padł kolejny strzał. Tym razem to jego dosięgną pocisk.
Tracy pokręciła głową - Dlaczego wy nigdy nie potraficie trzymać nerwów na wodzy? No nic... Jonny, Balthas, wasza kolej. Niech zacznie który tam chce pierwszy. Wszystko mi jedno.
- Tracy... - usłyszała za plecami.
Na te słowa uśmiechnęła się tylko i pozostając odwrócona plecami powiedziała - Po co się skradasz, Dex? Przecież wiesz, że usłyszałam cię już dawno. Ten twój charakterystyczny sposób chodzenia, zupełnie bez żadnego rytmu.
Dex starał się jak mógł by powstrzymać emocje. Robił wszystko by nie zauważać licznych, zmasakrowanych ciał tak bliskich mu osób. Musiał pozostać twardy, jeśli miał mieć jakiekolwiek szanse z Tracy. Tak czy siak był w o wiele gorszej sytuacji...
- Puść ich, Tracy. - powiedział Dex. Starał się, by tembr jego głosu był w miarę możliwości najbardziej chłodny.
Ku jego zdumieniu Tracy pokiwała głową i powiedziała - W porządku. Możecie uciekać.
W pierwszej chwili zarówno Jonny jak i jego ojciec nadal klęczeli w milczeniu, ale gdy Tracy ich ponagliła szybko poderwali się i w mgnieniu oka zniknęli jej z pola widzenia. Stojący obok Dexa Cassidy spojrzał porozumiewawczo na swego przyjaciela. Dex jednak nie zareagował.
Tracy uniosła się nieco i przyjęła pozycję kucającą. Nadal jednak pozostawała odwrócona do brata plecami.
- Zastanawiam się co masz zamiar teraz zrobić - powiedziała.
- Mógłbym teraz wystrzelić ci prosto w plecy i uwolnić świat od kolejnej paskudnej pluskwy. - wtrącił się Cassidy.
Tracy zaśmiała się krótko - Cassidy. Stary dobry, schorowany Cassidy. Taki jesteś pewny, że byłbyś szybszy?
- Celuję ci prosto w plecy, na pewno byłbym szybszy.
Dex starał się gestami dać mu znać, żeby przestał, ale Cassidy nie zwracał na niego uwagi.
- Chcesz się przekonać? - zapytała.
- Lepiej dla ciebie, żebym nie musiał. Nie ma takiej możliwości, żebyś zdążyła cokolwiek zrobić.
- Czyżby?
Dex dał Cassidy'emu stanowczy znak, by ten zamilkł.
- Jak mogłaś zrobić coś takiego? - zapytał Dex.
Tracy wzruszyła ramionami - No cóż, taką miałam ochotę. Daj spokój, nie jestem w nastroju na przemówienia.
Dex przełknął ślinę. Miał sucho w gardle, mimo iż przed kilkoma minutami wypił dwie butelki Nuka-Coli.
- To już koniec, Tracy. Wiesz, że nie mogę pozwolić ci odejść. - powiedział.
Tracy uśmiechnęła się tajemniczo, choć oczywiście ani Dex, ani Cassidy nie mogli tego widzieć. - Nie możesz mnie też powstrzymać.
- Przynajmniej spróbuję.
- Nie prowokuj mnie, braciszku.
Dex powoli zbliżył się nieznacznie do siostry - Nie możesz mnie zabić. Mimo, że tak bardzo mnie nie nienawidzisz, mimo że pragniesz mojej śmierci, to i tak nie jesteś wstanie mnie zabić.
Tracy milczała.
- A wiesz dlaczego? - ciągnął Dex - Dlatego, że też jestem prawnukiem naszego słynnego przodka. Dlatego, że i ja byłem dla niego ważny. Może nie tak bardzo jak ty, ale jednak.
Tracy wolno i spokojnie wyprostowała się, nadal jednak nie odwracała się twarzą do brata.

- Wiesz, że zdążę zrobić unik, odwrócić się i rozwalić ci głowę, nim ty zdążysz oddać choćby jeden strzał.
Dex uniósł broń - Wiem. Ale tego nie zrobisz.
Tracy zmarszczyła brwi i przez moment stała w milczeniu. W końcu wyrzuciła Gauss Rifle kilka metrów przed siebie.
- Dobrze, teraz połóż się na ziemi i załóż ręce za głowę. Zwiążę cię. - powiedział Dex.
Tracy tylko potrząsnęła głową.
- Tracy...
- Zastanawiam się, czy ty byłbyś wstanie zabić mnie? - powiedziała.
- Chciałbym tego uniknąć. Wiesz, że wszyscy będą chcieli żeby ukarać cię śmiercią. Jeśli pójdziesz ze mną, gwarantuję ci, że jej unikniesz. Zbudujemy dla ciebie coś na kształt więzienia, bardziej przypominającego dom. Tam spędzisz resztę życia.
Tracy roześmiała się. - Zapomnij.
- Proszę...
- Wiesz, jest jeden sposób... - powiedziała - Jest sposób, żeby pradziadek też cię znienawidził.
- Jaki sposób? - zapytał Cassidy.
W tym momencie Tracy sięgnęła za pazuchę kurtki, a następnie odwróciła się na pięcie. Rozległy się dwa strzały. Jeden z broni Cassidy'ego, drugi Dexa.
Pierwsza kula trafiła Tracy w miednicę, druga w okolice serca. Tracy nadal się uśmiechając runęła plecami na ziemię. Jej przeciwsłoneczne okulary spadły obok.
Dex dostrzegł, że nadal jeszcze oddycha i podbiegł do niej. Wtedy dotarło do niego, że został celowo sprowokowany. Tracy nie trzymała niczego w dłoniach, ona wcale nie sięgnęła po broń. Gdyby faktycznie miała taki zamiar uczyniła by to na tyle szybko, że nawet by się nie zorientował.
- Życz mi miłych snów - wyrzęziła, po czym zaczęła krztusić się krwią.
- Tracy...
- Misja została wykonana - powiedziała jeszcze tylko Tracy i jej serce przestało bić. Patrzyła teraz martwymi oczami gdzieś w przestrzeń.
- Nie mogę uwierzyć, że oto jej chodziło.
- O co? - zapytał Cassidy.
- Ona chciała, żeby pradziadek nienawidził mnie tak samo jak i ona. Wyobraziła sobie, że jeśli ja skrzywdzę ją, jego ukochaną prawnuczkę, to... Zrobiła to wszystko tylko po to. Te zabójstwa, nawet ten tatuaż, wszystko to żeby mnie sprowokować.
Dex odwrócił się i ruszył wolnym krokiem w kierunku domu Grishama. Tym czasem nad horyzontem zaczęły zbierać się szare chmury...

KONIEC

© 2001 Adam 'EFC' Turczak

THE GLOW: TAM COŚ JEST

- Tu Marks, jesteśmy na miejscu i przystępujemy do penetracji pierwszego poziomu bazy. - rozległo się niewielkiego głośniczka. Znajdujący się na powierzchni przywódca grupy przez moment milczał, przyglądając się rozłożonym na stoliku planom Ancient Order.

- W porządku - powiedział w końcu do mikrofonu.

- Jake, mamy problemy ze sprzętem - zaczepiła go jedna z krzątających się tu osób.

- Nie teraz - fuknął dowódca grupy i przysunął mikrofon do ust - Więcej szczegółów, Marks. Z głośnika rozległ się trzask, a następnie głos Marksa - Promieniowanie wysokie. Środki ochronne powinny pozwolić nam bezpiecznie pracować około trzech, czterech godzin. Detektory ruchu nie wykryły nic podejrzanego. Zasilania brak, nawet awaryjnego. Prawdopodobnie cały system leży. Jakieś siedem metrów przed nami leżą zwęglone zwłoki. To był chyba człowiek, ale głowy bym sobie uciąć nie dał.

Dowódca, Jake Samms pokiwał głową - No to do dzieła. Załatwcie to szybko i wynośmy się stąd, zanim zaczniemy świecić.

Steve Marks i cztery inne osoby, Dean, Toby, Ray i Susan ruszyli powoli przed siebie.

- Ray? - szepnął Steve.

- Cały czas te same odczyty. Nieco większe promieniowanie na północny zachód.

- Dean?

- Nic. Nic się nie rusza. Spójrz prawdzie w oczy, Steve, to jeden wielki napromieniowany śmietnik, nic więcej.

Przeszli kolejnych kilka kroków. Minęli krater i doszli do windy. Toby wyciągnął z plecaka łom i wkładając w to wiele wysiłku otworzył prowadzące do niej drzwi. Susan weszła do środka i otworzyła znajdujący się w podłodze właz. Następnie przywiązała linę do jednego ze stalowych prętów.

- Poradzisz sobie? - zapytał Steve.

- Kaszka z mleczkiem - powiedziała Susan, obwiązała się liną i spuściła po niej na dół.

Dean pokręcił głową - Czy ona zawsze musi to mówić? Rzygać mi się chce już na samą myśl...

- Zamknij się, Dean - powiedział Ray. - Zawsze ci się coś nie podoba.

- Sam się zamknij - odparł Dean - Już raz...

- Zamknijcie się oboje - przerwał im Steve - Nie zapominajcie dlaczego to robimy. Dla kasy, ogromnej fury pieniędzy, więc skoncentrujcie się na naszym zadaniu.

- Za tą kasę będę finansował leki na chorobę popromienną - mruknął Dean.

- Spokój - powiedział Steve.

Ani Ray, ani Dean już nie powiedzieli już nic więcej, ale chyba żaden z nich nie miał wątpliwości co myśli o nim ten drugi.

Tym czasem Susan zsunęła się na trzeci poziom i zatrzymała tuż przy kolejnych drzwiach. Przymocowała do nich ładunek wybuchowy i uruchomiła zegar. Zaraz potem dała pozostałym znak, żeby zaczęli ją wciągać na górę. Kilkanaście sekund po tym jak dotarła na miejsce rozległ się donośny wybuch, a słup ognia pognał w górę szybu.

- Jeśli tamte drzwi to wytrzymały, ja wypisuję się z tej zabawy - powiedział Dean.

Nie zwracając na niego uwagi, Susan natychmiast ponownie spuściła się w dół i dostała się przez doszczętnie zniszczone drzwi na poziom trzeci. Zaraz po niej czynność powtórzyli wszyscy pozostali. Gdy Steve jako ostatni dołączył do grupy, zaczął od standardowej procedury.

- Ray?

- Raczej nieciekawie - powiedział Ray - Ale jeśli uwiniemy się w dwie godziny nie powinno się nam nic stać.

- Dean?

- A jak myślisz?

Steve spojrzał na niego srogo - Raport.

Dean westchnął, jakby z wyrzutem i powiedział - Totalny bezruch.

- Sprawdziłeś wszystkie opcje?

- Tak - rzucił od niechcenia.

Steve pokiwał głową i nadał kolejną wiadomość przez radio.

- Tu Marks. Dostaliśmy się na trzeci poziom. Promieniowanie... znośne. Nie wykryto ruchu, ani innych śladów życia. Wszystko doszczętnie zdemolowane, kolejne zwęglone szczątki.

- Zrozumiałem. - rozległ się głos Jake'a.

Grupa ruszała powoli przed siebie.

- Śniło mi się to miejsce - powiedział w pewnym momencie Toby.

Ray patrząc to pod nogi, to na trzymane w dłoniach urządzenie, zapytał bez większego zainteresowania - Jak to?

- Mówię poważnie - powiedział Toby - Dwa, czy trzy dni temu śniło mi się identyczne miejsce. Totalna ciemność, głucha cisza i dookoła zwęglone ludzkie ciała. Znajdowałem się tam sam i za Chiny nie byłem w stanie odnaleźć wyjścia. W końcu zaczęło brakować mi powietrza. Na początku to były tylko duszności, potem poczułem się jakby ciśnienie rozrywało mi płuca. Gdy już miałem paść martwy na ziemię obudziłem się zlany potem. Nadal byłem w szoku, ale Deborah zdołała mnie uspokoić.

Dean prychnął - Jeśli masz takie sny, to proponuję rozejrzeć się za jakimś psychiatrą.

- Hej, odwal się - warknął Toby.

- Siedźcie cicho - skarcił ich Steve.

- Jak on nawijał to nic nie mówiłeś. Ja tylko się odezwałem od razu mnie uciszasz - oburzył się Dean.

- Pogadamy o tym jak będziemy na powierzchni, dobra?

- Nie dobra - syknął Dean.

- Nie zapominaj kto w tu jest dowódcą - powiedział Steve.

- Nie zapomniałem. Dowódcą jest Jake.

Steve zmarszczył brwi - Tam na górze tak, tu w dole rządzę ja.

- W takim razie pieprzę takie dowództwo.

- Proszę cię bardzo, możesz się zabierać, droga wolna - odparł Steve.

- Ciiii! - przerwała im Susan - Posłuchajcie.

Obaj zamilkli. Przez kilka pierwszych sekund nic nie było słychać i gdy Dean już miał zamiar się odezwać ponownie, do ich uszu dotarł jakiś dziwny dźwięk. Przypominał nieco szelest, może coś innego.

- Co to? - zapytał Ray.

Dean wzruszył ramionami.

- Na pewno wszystko dokładnie sprawdziłeś? - zapytał na wpół ściszonym głosem Steve.

- Na pewno - powiedział Dean.

Tym czasem "szelest" to ustawał, to pojawiał się ponownie, a za każdym razem zdawał się być odrobinę głośniejszy. Można by odnieść wrażenie, że jego źródło stopniowo zbliża się do grupy.

- A byłbyśłaskaw sprawdzić jeszcze raz? - zapytał Steve.

- Sam sobie sprawdź - powiedział Dean i wcisnął mu urządzenie do rąk.

Nim jednak Steve z niego skorzystał, nadał przez radio - Słyszymy jakiś dziwny dźwięk. Źródło nie znane. Sprawdzimy to i wtedy zamelduję.

- W życiu czegoś podobnego nie słyszałem - szepnął Ray.

Tym czasem Steve skorzystał z opcji "Ruch" na urządzeniu Deana. Faktycznie, nic nie wskazywało. Przełączył na "Detektor funkcji życiowych". Na mini ekraniku pojawił się napis "Skanuję, proszę czekać".

- Wiecie, mam dziwne uczucie, że złażenie tu nie było najlepszym pomysłem. - powiedział Ray.

"Skanowanie zakończone".

- Ty sukinsynu - syknął Steve - Dean, ty cholerny sukinsynu. Sprawdziłeś tylko detektor

ruchu.
- No i co? - zapytał Dean.
-To - Steve podsunął mu urządzenie pod nos.
"Zlokalizowano nieznaną formę życia. Brak jakichkolwiek informacji na jej temat w bazie danych".
- Tam, kilka metrów za tymi drzwiami coś jest - powiedział Steve.
Toby przeładował broń i zapytał - Jeden egzemplarz?
Steve skinął głową - Tak, ale nie wiemy co to takiego.
- Nawet jeśli Deathclaw, skoro jest sam nie będzie problemów z eliminacją.
- Co robimy, Steve? - zapytała Susan.
Marks zastanowił się chwilę - Przede wszystkim zgłoszę to Jake'owi.
- Jake - podszedł do niego jeden z jego towarzyszy - Wszystkie urządzenia nawigacyjne siadły. Jeśli mogę coś zasugerować to zabierajmy się z tej radioaktywnej żarówki jak najszybciej.
- Bardzo cenię sobie twoje sugestie, ale pozwól, że je na razie zignoruję. Za trzy, góra cztery godziny się wynosimy.
- Nigdy nie pracowaliśmy jeszcze w takich warunkach, więc zalecałbym nieco więcej rozwagi w podejmowaniu decyzji.
- O co ci chodzi?
- Dwie godziny, powinniśmy opuścić to miejsce w ciągu dwóch godzin. Maksimum dwóch.
- Jeśli Marks i pozostali uwiną się w ciągu czterdziestu minut to mogę się stąd wynieść choćby za godzinę. Może jednak pozostańmy realistami, zajmie im to dwie trzy godziny. Damy sobie radę.
- Tu Marks - dobiegł jego głos.
- Zlokalizowaliście źródło dźwięku?
- Chyba tak. W pewnym sensie przynajmniej.
- Co masz na myśli? - zapytał Jake.
- Detektory ruchu w prawdzie nic nie wykazują, ale...
- Co "ale"?
- Urządzenie zlokalizowało nieznaną formę życia, siedemnaście metrów przed nami. Mamy zamiar to rozwalić, niezależnie od tego czym jest.
- Dobrze, ale pozostańcie ostrożni.
Steve przełączył podgląd na "Detektor ruchu". W tym momencie dostrzegł przez chwilę drobny punkt, który przesunął się nieznacznie w ich kierunku. Wcisnął szybko "Zaznacz ostatnią pozycję obiektu" i powiedział:
- To coś się tu chyba skrada.
- Zaczynam się czuć coraz bardziej nieswojo. - powiedział Ray.
- Daj spokój, to pewnie tylko Manti - stwierdził Toby.
- Jakby to było Manti, urządzenia nie miałyby problemu z ustaleniem co to za organizm.
- Niekoniecznie - wtrącił się Steve - Nie wiadomo jak daleko mogła posunąć się mutacja. Poza tym to wcale nie musi być Manti, tylko szczur.
- Jakie zwierze wytrzymałoby takie promieniowanie? Tu chyba nawet nie mogłyby żyć te pieprzone ghoule - powiedział Dean.
Toby ruszył powoli, acz zdecydowanie przed siebie.
- Nie zależnie co to takiego, mam zamiar sprzątnąć to z powierzchni globu.
- Osłaniać go - wydał polecenie Steve i wszyscy będąc gotowi do ewentualnej obrony, czy też ataku ruszyli za Tobym.
- Nie znoszę polowań - mruknął Dean.
Wszyscy zmuszeni byli przeczołgać się pod w niewielkim stopniu uniesionymi drzwiami. Zaraz potem jednak szybko stanęli na nogi.
- Nic nie widzę - stwierdził Ray oświetlając wszystko strumieniem z latarki. - Tam na pewno coś jest?
Steve zerknął na urządzenie.
- Tak. I już tylko osiem metrów przed nami. Musiało się zbliżyć, gdy przechodziliśmy pod włazem.

- Albo urządzenie jest walnięte, albo dzieje się tu coś bardzo dziwnego - stwierdził niepewnym głosem Ray.

Z sekundy na sekundę ochota by opuścić to upiorne miejsce rosła coraz bardziej. Wtedy gdzieś z góry ponownie rozległ się ten dziwny dźwięk. Tym razem o wiele głośniejszy i zbliżający się do nich w dużym tempie.

- Rany, Ray, sufit! - jęknął Dean. Nim jednak Ray zdążył skierować strumień światła w górę ciszę przeszył jego głośny wrzask.

Steve zapalił swoją latarkę i wtedy pozostali dostrzegli jakąś dziwną istotę wgryzającą się w jego korpus. Przypominała nieco przerośniętego chrabąszcza.

- Cholera, Toby, zrób coś! - wrzasnął Steve.

Tym czasem Dean rzucił się w kierunku wyjścia. Toby nie zastanawiając się choćby przez moment, wypalił prosto w tamto dziwne stworzenie. Jednak jego ciało okazało się bardzo miękkie i kula bez problemu przeszyła je na wylot i trafiła Raya. Zarówno on, jak i niby-chrabąszcz padli martwi na podłogę.

Susan od razu pochyliła się nad kolegą, by sprawdzając puls i potwierdzić jego zgon.

- Niech cię, Toby, zabiłeś go! - wrzasnął Steve.

Wtedy rozległ się kolejny dźwięk. Tym razem był to jakiś mechaniczny odgłos. Steve, Toby i Susan odwrócili się w jego kierunku. To właz, pod którym nie tak dawno przechodzili zamknął się zupełnie.

- Co jest, cholera, przecież nie ma zasilania - zdziwił się Steve.

Będący już po drugiej stronie Dean zatrzymał się. Patrzył przez chwilę na zamknięte drzwi, a potem ruszył w kierunku szybu z zamiarem wydostania się na górę.

- Spokój, musimy się uspokoić - powiedział Steve i chwycił za radio - Jake, jest źle. Cholernie źle.

- O czym ty mówisz? - rozległ się głos Jake'a.

- To coś zaatakowało Ray'a. Toby starał się mu pomóc, ale zdążył się wypadek. Ray i to pokraczne stworzenie nie żyją.

- O czym ty gadasz?

- Ray nie żyje, Jake. Wszystko trafił szlag.

Po chwili milczenia Jake odezwał się ponownie - Dobra, wracajcie na powierzchnię.

- Na razie nie damy rady - powiedział zrezygnowanym głosem Steve - Drzwi za nami zamknęły się. Spróbujemy je wysadzić i wtedy damy ci znać. A, nie ma też z nami Deana. Prawdopodobnie uciekł, może zaraz do was dotrze, nie wiem. Kończę na razie, będę cię informował na bieżąco.

Steve otarł pot z czoła i westchnął głęboko. Było mu gorąco, nawet bardzo. Susan podeszła do drzwi i zabrała się za umieszczanie ładunku wybuchowego.

W tym czasie Dean wspinał się po linie wzdłuż szybu starając dostać się na poziom pierwszy, a stamtąd na powierzchnię. Spokojnie, powtarzał sobie w myślach, za dwie minuty, góra trzy będziesz na powierzchni. Na razie nie myśl o tym co tam się stało. Nie myśl o tym co z pozostałymi, nie myśl o niczym, tylko o ocaleniu własnego tyłka.

Minął poziom drugi i kierował się ku pierwszemu. Wspinanie nigdy nie było jego mocną stroną, ale jakoś z mozołem posuwał się na przód. W porządku, pomyślał, jeszcze tylko pół piętra. Potem przebiegniesz przez korytarz i liną prosto na górę. Dasz radę, Dean, na pewno. Kropla potu spłynęła po jego czole zatrzymując się u nasady nosa. W takich chwilach żałował, że nie jest lżejszy.

Wtedy z góry dobiegł trzask, potem kolejny. Dean zadarł głowę. Moment później znajdująca się nad nim winda ruszyła. Kierowała się z dosyć sporą prędkością w jego kierunku.

- Jakieś jaja - jęknął. Zaskoczyło go to tak bardzo, że zatrzymał się w miejscu nie próbując nawet w jakikolwiek sposób zareagować. Winda uderzyła w niego i strąciła w dół głębokiego szybu.

W momencie gdy Susan miała uruchomić zegar, nagle w koło zrobiło się jasno.

- Cholera, co znowu - Steve był już zupełnie zdezorientowany. - Oświetlenie? Przecież zasilanie nie działa.

- Lepiej mi powiedz kto je w łączył - odezwał się Toby.

Nie zwracając na nich uwagi, Susan uruchomiła zegar i dała znak, żeby wszyscy skryli się za rogiem w oczekiwaniu na wybuch.

- Ten sen - jęknął Toby - To było ostrzeżenie.

- Pieprzysz głupoty - powiedział Steve i zerknął na urządzenie. W tym momencie mina zrzedła mu zupełnie.

- Steve? - odezwała się Susan - Co jest?

- To niemo że być prawda.

Susan zerknęła na monitor. "Szereg aktywnych obiektów. Dziewiętnaście jednostek cybernetycznych, trzy organizmy żywe".

- Przecież jeszcze przed chwilą poziom był czysty - zdziwiła się Susan.

- Nie wiem skąd, ale za tamtymi drzwiami znajdują się dwa roboty, a z północy kierują się na nas cztery kolejne i dwa organizmy żywe. - powiedział Steve - Tak czy siak musimy się przygotować na piekło.

- Na ile czasu ustawiłaś zegar? - zapytał Toby.

- Piętnaście sekund. - odparła.

I wtedy wszyscy zrozumieli... Od tamtego czasu minęło już więcej niż piętnaście sekund.

Toby wyskoczył za róg, by sprawdzić co się stało.

- O cholercia, drzwi już nie są zamknięte - to były jego ostatnie słowa. Donośny dźwięk strzałów z broni maszynowej przeszył korytarz i Toby padł martwy.

- Tędy - powiedział Steve i razem z Susan ruszyli biegiem w przeciwnym kierunku. Jednak już chwilę później natknęli się na dwa roboty. Jeden z nich natychmiast odpalił w ich kierunku pocisk. Susan zdołała odskoczyć na tyle daleko, żeby przeżyć, Steve miał mniej szczęścia. Tym czasem drugi z robotów zbliżył się do rannej, ostatniej pozostałej przy życiu uczestniczki wyprawy w głąb legendarnego Blasku.

- Proszę o wytyczne - odezwał się robot.

Susan była ranna, a jej stan był na tyle ciężki, że nie mogła nawet myśleć o próbie ucieczki.

- Przyjąłem, komandorze - powiedział robot.

- Komandorze? - zapytała Susan - To tu ktoś jest?

Nie uzyskała już jednak odpowiedzi na swoje pytanie.

- Marks? Marks, słyszysz mnie?! - krzyczał do mikrofonu Jake. - Co tam się dzieje? Marks, odezwij się!

- Jake, minęły już niemal trzy godziny. Najwyższy czas się stąd zabierać - powiedział jeden z jego towarzyszy.

- Nie zostawię ich tam w dole, Waters - syknął Jake. - Wytrzymamy jeszcze jakiś czas.

Waters opuścił zrezygnowany ramiona - Daj spokój, oni już pewnie nie żyją. Nie wiem co tam się stało i chyba nie chcę wiedzieć.

- Zostajemy jeszcze godzinę, jeśli się nie odezwą wracamy.

Waters potrząsnął głową - Proszę cię bardzo, czekaj. Ja i pozostali się wynosimy.

- Niech was szlag! - wrzasnął Jake. Krew pulsowała mu w żyłach ze złości, aż na twarzy zrobił się zupełnie czerwony - Niech wam będzie, wracamy. Ale to ostania nasza wspólna misja, Waters. Pakujcie ten złom!

Oparł się dłońmi o pulpit. Prawdopodobnie właśnie skazał na śmierć swoich najlepszych ludzi. I wszystko to dla nędznych kilku tysięcy dolarów, które i tak przeszły mu koło nosa. Co za parszywy dzień.

- Słyszycie coś? - zapytał w pewnym momencie Waters.

- Nic nie słyszymy, no dalej ruszać się - powiedział ktoś inny.

- Posłuchajcie, coś się zbliża.

- Nic się nie zbliża, do roboty.

Następne co zobaczyli to pocisk rakietowy wyłaniający się z kłębów kurzu. Potem nie widzieli, ani

nie słyszeli już nic więcej.

- Eksterminacja obiektów "Intruz" zakończona - rozległ się skądś metaliczny, donośny głos - Wracamy do bazy, komandorze...

KONIEC

© 2001 Adam 'EFC' Turczak

CIĘŻKIE JEST ŻYCIE TRAPERA

To był normalny dzień. Taki jak wszystkie inne. Nic ciekawego się nie działo. Ci sami ludzie, te same miejsca, towar i kasa. Jak zawsze pożegnałem się z żoną i poszedłem spakować potrzebny mi ekwipunek na polowanie. Adrin powiedziałem, że idę w okolice Toxic Caves. Wszyscy znali to miejsce, ale nikt tam nie chodził. Krążyła jakaś plotka o różnych okropnościach, które można znaleźć wewnątrz i jeszcze nie spotkałem nikogo, kto wrócił stamtąd żywy. A właśnie w okolicach jaskiń zauważyłem niedawno dwa pokaźne stada Geckosów. Chciałem je wytropić i zdobyć kilka skór. Biorąc jeszcze pod uwagę ich ponadprzeciętną wielkość, miałbym z tego całkiem niezły zarobek.
Dopiłem do końca piwo i poszedłem do pokoju. Zacząłem się pakować. Wrzuciłem do plecaka tyko niezbędne rzeczy: flary, Shotguna, trochę amunicji, jedzenie i mój ulubiony nóż myśliwski. Oczywiście nie zapomniałem wziąć kilku skór Geckosów na wymianę. Przy wyjściu z baru jak zwykle zaczepił mnie Whiskey Bob.

- Cześć Smiley! I jak, rozważyłeś moją ofertę? - znowu chciał, abym oczyścił z jaszczurek teren w pobliżu jego bimbrowni.

- Sorry Bob, ale spieszę się. Muszę odwiedzić Vic'a.

- Vic'a? Jeszcze nie wrócił z Arroyo. Podróż w obie strony zabiera mu tylko trzy dni, ale jak go znam, skręcił po drodze na południe i udał się do Den. Mam nadzieję, że pamiętał o tym, aby pogadać z Becky. Słyszałem, że niedawno kupiła sobie nowy destylator i...

- Dobra. I tak na wszelki wypadek sprawdzę u niego w domu. Na razie.

- Smiley! Ale zabijesz te Geckosy? Co?? Zapłacę ci 50$!

- A masz chociaż tyle kasy? Przecież ty zawsze żyjesz na kredyt.

- No jasne. Gdzieś je tutaj miałem...

- Nie Bob, mówiłem ci to już wcześniej, nie interesują mnie twoje pieniądze. Znajdź sobie kogoś innego.

- A żebyś wiedział, że znajdę! I na pewno ten ktoś zrobi to o wiele lepiej od ciebie!

- Dobra, dobra. Zobaczymy....

Na wszelki wypadek zajrzałem jeszcze do domu Vic'a - nadal go nie było. Podszedłem do kredensu i wziąłem dwa magazynki amunicji - i tak nie zauważy...

Udałem się na zachód. Chciałem dojść do Arroyo jeszcze przed zachodem słońca. Później Wracając zahaczyłbym o Toxic Caves. Miałem nadzieję upolować po drodze jeszcze kilka jaszczurek - dodatkowy towar na wymianę. Dzikusy sprzedawały swój magiczny proszek po dość niskich cenach, ale nigdy nie lubiłem płacić im gotówką. Ciekawe, czy zastanę tam Vic'a? Może coś mu się przydarzyło po drodze. Kto wie? Ta niedorajda miałaby problemy z pokonaniem nawet zwykłej mrówki, a co dopiero mówić o Geckosach.
Jak zwykle nie obyło się bez przygód. Po drodze natrafiłem na grupę Radscorpionów. Nie było ich dużo, ale wyglądały na rozwścieczone. Sięgnąłem po swojego Shotguna - jakiś czas temu kupiłem go w Den za dość ciężką forsę. Wyszedłem zza krzaków i dwoma celnymi strzałami posłałem na tamten świat jednego Radscorpiona. Przez chwilę naszła mnie myśl, czy sprzedaż ich ogonów zwróci mi się chociaż za amunicję.
Nagle poczułem dotkliwy ból w lewej nodze. Szybko odwróciłem się i ujrzałem trochę mniejszego Radskorpiona robiącego kolejny zamach swoim ogonem w moją stronę. Strzeliłem trzy razy. Tym razem w ramach zemsty po nogach. Jeden padł martwy na miejscu. Drugi, który stał dalej, stracił tylko dwie odnogi. Wykonał ruch podobny do skoku, jednak potknął się o martwego już Radscorpiona i zanim złapał równowagę, dostał jeszcze dwa strzały w głowę. Krew i kawałki rozwalonego cielska obryzgały mi twarz. Za skałą były jeszcze trzy paskudztwa. Wyjąłem granat. Zawsze miałem przynajmniej jeden ze sobą - przeznaczony na takie właśnie okazje. Odbezpieczyłem, zrobiłem zamach i rzuciłem w ich kierunku. Jedyne co z nich zostało, to kilka kawałków pancerza.
Na wszelki wypadek zażyłem antidotum i założyłem sobie opatrunek na nogę. Zabrałem ogony

i zapakowałem je do plecaka. Trzeba było ruszać - niedługo mogły się tu pokazać wilki, a z nimi lepiej samemu nie zadzierać.

Był już późny wieczór, gdy dotarłem do Arroyo. Mimo, że bywałem tam już wiele razy, znowu musiałem tłumaczyć cel swojej wizyty strażnikowi mostu.

- Witaj dzielny traperze Smiley. Co cię tutaj sprowadza?

- Jak zwykle - potrzeba handlu.

- Aaaa... - strażnik zamyślił się na chwilę - w takim razie możesz przejść.

- Dzięki.

Od razu skierowałem swe kroki do namiotu Hakunin'a. Od mojej ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło. Po drodze bacznie rozglądałem się za Vic'em, jednak nie zauważyłem żadnych śladów jego obecności. Minąłem wielką głowę i skręciłem w lewo. Podszedłem do namiotu ustawionego w samym rogu osady, odchyliłem nieco płachtę i wszedłem. Uderzył we mnie zapach mieszaniny najróżniejszych wywarów, ziół, kadzideł i magicznego proszku. Hakunin stał odwrócony do mnie tyłem i coś do siebie mamrotał.

- Ekhmm... Hakuninie?

- O! Witaj nieustraszony traperze Smiley! Jak tam twój ogród?

- Mój ogród? A, no tak. Mój ogród ma się całkiem nieźle. - nigdy nie wiedziałem dokładnie o co mu chodzi, ale zawsze gdy tak odpowiadałem, wydawał się zadowolony.

- W moim ogrodzie źle się dzieje. Hmmm... Złe nasiona zasiane zostały i złe rośliny z nich wyrosną.

- Aha... - nie miałem zielonego pojęcia o co mu chodziło.

- Pomoc mi potrzebna. Ogród oczyścić trzeba będzie. Może znajdę kogoś odpowiedniego... Hmmm...?

- Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś odpowiedniego Hakuninie.

- Hmmm... Tak. Poproszę o to Wybrańca! Wybraniec niedługo gotowy powinien być. Może on pomoże mi... Hmmm..... Hmm.....

Ten stary świr coraz bardziej zaczynał mnie irytować tym swoim "Hmmm". Nie dość, że miał jakąś dziwną manię na punkcie ogrodów, to jeszcze teraz zaczął mi coś gadać o Wybrańcach. Jak ja nienawidzę takich osad! Te małe społeczności ze swoimi głupimi zwyczajami, przesądami itp. Całe szczęście w Arroyo jest tylko jeden taki dziwak. Kiedyś byłem w Primitive Tribe - spotkałem tam ze dwudziestu takich Hakuninów. W końcu postanowiłem przerwać te jego "Hmmm... Hmm"

- Hakuninie! Może przejdziemy do rzeczy?

- Hmmm.... A, no tak. Mój ogród nigdzie nie ucieknie mi. Tymczasem twój na dalsze próby iść musi. Po mój leczący proszek przyszedłeś? Hmm? - no, nareszcie powiedział coś sensownego.

- Tak.

- Co na wymianę masz? - tym razem zapytał z wyraźną ciekawością.

- Kilka skór, trochę żywność i trzy ogony Radskorpionów.

- Hmmm... Radskorpiony po drodze spotkałeś? Ogony więc świeże są. Hmmm... Widzę, że bez ran nie obyło się. Twój ogród w nie najlepszym stanie jest...

Cholera! Kiedy on skończy z tymi ogrodami? Ale tym razem mogę to jakoś wykorzystać. W końcu dla niego najważniejszy jest stan ogrodu. Chyba nie pozwoli, aby mój ogród był w złym stanie, co nie? Zawsze warto spróbować...

- Tak, niestety jeden zdążył skaleczyć mnie w nogę. Antidotum już zażyłem, ale rana nie wygląda najlepiej. Mój ogród jest w coraz gorszym stanie Hakuninie. Ty się na ogrodach znasz. Czy mojemu pomóc możesz?

Na jego twarzy widać było zainteresowanie i głębokie zamyślenie. Chyba złapał przynętę. Do dziś nie wiem co on miał na myśli mówiąc "twój ogród", ale chyba wtedy po raz pierwszy ten jego "ogrodowy świat" na coś mi się przydał.

- Hmmmm... Hmm.... Twój ogród zawsze w dobrym stanie był. Nie może teraz w ruinę popaść z powodu jednej drobnej rany. To niegodne wielkiego wojownika byłoby. Hmmm.... Myślę, że Hakunin pomóc może ci. Hmmm...

Po jakimś czasie wyszedłem z tego śmierdzącego namiotu zdrowy, z plecakiem pełnym

magicznego proszku i bez niczego na wymianę. Nawet poza namiotem słyszałem to irytujące "Hmmm..." wydawane przez Hakunina. Ostatecznie wyszło na to, że za amunicję mi się zwróci, ale za granat już nie. Cholera! Znowu będę musiał zapierdzielać do Den po ekwipunek.
Przy okazji dowiedziałem się, że Vic był tutaj, ale wyruszył "w celu lepszej pielęgnacji swojego ogrodu" ponad dwa dni temu. W takim razie albo dotarł już do Klamath, albo jeszcze jest w drodze do Den. Tak czy inaczej, teraz moim celem podróży było Toxic Caves, a później wygodne łóżko w sypialni w domu.

Ruszyłem na północ. Później skręciłem na wschód w kierunku Toxic Caves. Po paru godzinach marszu udało mi się wytropić stado Geckosów. Jednak po jakimś czasie moim oczom ukazał się niezbyt ciekawy widok: konkurencja. Trzech traperów siedziało nad dokładnie dziesięcioma martwymi Golden Geckosami. Mieli udane polowanie. Geckosy zostały zabite profesjonalne - ciosami w głowę bez uszkadzania skóry.
Postanowiłem odebrać im łup. Kolesie nie byli z Klamath ani z Den więc nikt nie będzie miał do mnie pretensji. Podszedłem bliżej, aby wybadać ich siły i uzbrojenie.
- Czego tu?? - zapytał jeden z nich. Nie wyglądał na łatwego przeciwnika. Miał potężną budowę, a wiele blizn na twarzy oznaczało duże doświadczenie, albo to, że nie był najlepszy w walce wręcz.
- Niczego. Śledziłem to stado ponad godzinę.
- He he. To się pajacu spóźniłeś!
- Widzę, że odwaliliście całkiem niezłą robotę. - powiedziałem wskazując na najbliższego Geckosa.
- Nooo. Trochę się namęczyliśmy, ale warto było. - mówiąc to popatrzył na martwą jaszczurkę i zaczął kiwać głową.
Na taki właśnie moment czekałem. Odłożyłem na bok plecak, cicho wyjąłem z niego Shotguna i wycelowałem. W tym właśnie momencie traper z którym gadałem obrócił głowę w moją stronę. Nie zdążył nic powiedzieć. Otworzył tylko usta w geście zdziwienia i z takim samym wyrazem twarzy wylądował na ziemi. Następny w kolejce był drobnej postury facet zdzierający właśnie skórę z ostatniego Geckosa. Sięgał już po swojego Dester Eagle, ale po chwili ta sama ręka leżała pół metra dalej. Z przerażeniem na twarzy obrócił w drugiej ręce nóż, zrobił zamach i ..... tak jak jego towarzysz leżał w kałuży krwi z twarzą w piachu. Ledwo zdążyłem przeładować, gdy kątem oka zauważyłem trzeciego trapera biegnącego prosto na mnie. Zrobiłem unik, ale koleś sprawnym ruchem dzidy wytrącił mi z ręki mojego Shotguna. Wyciągnąłem z pokrowca swój nóż myśliwski. Przeciwnik znowu zaatakował. Zrobiłem unik w bok i jednocześnie z całej siły wbiłem mu nóż w bok. Podniosłem swojego gnata i litościwie skróciłem jego cierpienia.
Pozbierałem swoje rzeczy i zabrałem wszystkie skóry. Broni ani żadnych innych rzeczy z ekwipunku przeciwników nawet nie ruszałem. Każdy traper w jakiś sposób oznaczał swoją broń i ulubione przedmioty, a ja nie chciałem mieć żadnych dodatkowych kłopotów.
Mimo, że miałem już kilka dość wartościowych skór i byłem już blisko Klamath, postanowiłem jeszcze pójść do Toxic Caves. Zapadał już zmrok, gdy dotarłem na miejsce. Nietrudno było je znaleźć. Przed wejściem stała ogromna, ale już bardzo zniszczona tablica z napisem: "No TRESSPASSING. Violators will be shot. Survivors will be shot again."
Hmmm.. Kiedyś to musiało tu być coś ważnego. Takie tablice umieszczano tylko w miejscach, do których zwykły śmiertelnik nie miał dostępu. Gdy byłem młody, pewien podróżnik określił Toxic Caves jako "tajny rządowy projekt". Nie znałem i nadal nie znam znaczenia wyrazu "rządowy".
Gdy się go wtedy o to zapytałem, usłyszałem, że ten wyraz już nie ma znaczenia bo Rząd już nie istnieje. O to, czym był Rząd, już się nie pytałem...
Wszedłem do środka. Zapaliłem flarę i rzuciłem w dal. Zobaczyłem beczki. Zardzewiałe, dziurawe beczki, z których wylała się jakaś zielona ciecz.

- Lepiej się tego nie dotykać - powiedziałem sam do siebie - może być radioaktywna, a w nigdzie w okolicy nie dostanę Rad-Away'a.
Szybko przebiegłem po pierwszej kałuży. Po prawej stronie zauważyłem drzwi. Tuż przy nich stały

kalosze. Wziąłem kalosze i nałożyłem. Co do drzwi - wolałem nie sprawdzać, co jest za nimi. Poszedłem dalej. Na końcu korytarza w ziemi było zejście na dół. Wrzuciłem tam flarę i zszedłem. Znowu jedynym urozmaiceniem obskurnych ścian były sterty beczek i kałuże zielonej mazi.
Kilka kroków dalej było rozgałęzienie. Poszedłem w prawo. Nie był to najlepszy wybór. Za rogiem ujrzałem ponad 10 Golden Geckosów. Wszystkie stały w gromadce. Chciałem się wycofać, ale właśnie wtedy jeden z Geckosów mnie zobaczył. Reakcja była natychmiastowa. Cztery jaszczurki szybko odwróciły się i pobiegły w głąb korytarza . Jednak po chwili zorientowałem się, że to nie była ucieczka - pobiegły naokoło i odgrodziły mi drogę powrotną. Byłem okrążony. Przede mną stało pięć jaszczurek, a z lewej cztery. W oddali zauważyłem jeszcze trzy. Sprawdziłem zapas amunicji: do Shotguna miałem cztery naboje i jeden magazynek do starego pistoletu. Na wygranie tej walki nawet nie liczyłem. Rozejrzałem się. Postanowiłem uciec. Trzema susami dopadłem jakiegoś przejścia po prawej. Ujrzałem pusty i wąski korytarz. Odwróciłem się i wyjąłem Shotguna. Oddałem trzy strzały. Padły dwie jaszczurki. Właśnie miałem oddać czwarty strzał, gdy skoczył na mnie zaczajony z boku Golden Geckos. Przewrócił mnie i wytrącił z ręki broń. Upadłem na ziemię. Rozejrzałem się za Shotgunem - wpadł w radioaktywną kałużę.
Silnym kopniakiem odepchnąłem jaszczurkę, wstałem i pobiegłem ile sił w nogach przed siebie. Nie miałem najmniejszego zamiaru czekać na jaszczurki. Korytarz skręcał w lewo. Ostrożnie wyjrzałem za róg. Moim oczom ukazał się niezbyt miły widok - Geckosy, które ukatrupiłem, były zjadane przez pozostałych członków stada. Przebiegłem po wielkiej kałuży i skręciłem w prawo. Ujrzałem windę. Nie działała. Obok były drzwi, jednak te dla odmiany były metalowe. Z niemałym wysiłkiem otworzyłem je i wszedłem do małego pomieszczenia. Był tam zniszczony generator i o dziwo działający jeszcze komputer. Nie potrafiłem się nim posługiwać, więc zostawiłem go w spokoju.

Siedziałem tam pięć dni. Miałem jeszcze trochę zapasów jedzenia, ale nie widziałem żadnej szansy ucieczki - jaszczurki cały czas były w pobliżu. Raz gdy otworzyłem na chwilę drzwi zobaczyłem dwa Geckosy czatujące pod drzwiami. Dzięki temu, że chyba nie spodziewały zobaczyć się mnie w tej chwili, nie zdążyłbym ich zamknąć. Jednak najgorsze było to, że straciłem Shotguna. Wydałem na niego kupę kasy, a mimo to nie miałem się czym wtedy bronić. Miałem jeszcze pistolet, ale z tylko jednym magazynkiem. Przy dużym szczęściu mógłbym tym zabić najwyżej trzy jaszczurki.
Szósty dzień mojego uwięzienia zapadł w mojej pamięci tak dokładnie, że pamiętam niemal każdy szczegół. Siedziałem pod ścianą i starałem się o niczym nie myśleć. Nagle otworzyły się drzwi. W pierwszej chwili pomyślałem, że jaszczurkom w jakiś sposób udało się je otworzyć, ale szybko zorientowałem się, że to nie żaden Geckos. Przede mną stał najzwyklejszy człowiek. Rzeczą, którą szczególnie dokładnie zapamiętałem, było jego ubranie - niebiesko-żółty kombinezon z dużą, żółtą "13" na plecach. W jednej ręce miał pistolet podobny do mojego, a w drugiej jednostrzałową Pipe Rifle. Później dowiedziałem się, że zabrał ją z domu Vic'a. Za jego plecami ujrzałem Sulik'a.
Przybysz podszedł do mnie, ale nic nie powiedział. Odezwałem się pierwszy.

- Cześć. Nazywam się Smiley i jestem traperem. Jak to miło cię tutaj zobaczyć. Siedzę tu uwięziony już od kilku dni i nie jestem w stanie sam się stąd wydostać.
- Cześć. Mi też miło cię spotkać. Sorry, muszę lecieć. Na razie!
- Czekaj!! Chyba mnie tu nie zostawisz?
- Nie??
- Jeżeli mnie tu zostawisz to zginę. Musisz mi pomóc!
- OK. W takim razie nie stójmy tak, tylko chodźmy.
- Czekaj, jak mam się do ciebie zwracać?
- Od niedawna jestem Wybrańcem. Możesz mnie tak nazywać, jeśli chcesz.

Wybraniec zniknął za drzwiami tak szybko, jak się pojawił. Poszedłem za nim. Tuż obok drzwi leżały dwie martwe jaszczurki. Niestety były podziurawione jak sito i ich skóry nie były prawie nic warte. W międzyczasie przybysz naprawił generator i męczył się trochę przy windzie. W końcu dał za wygraną i stwierdził, że będzie musiał tu jeszcze wrócić z "Electronic Locpick". W trakcie drogi powrotnej minęliśmy jeszcze kilka martwych Geckosów.

- Yyy... Ekhm! Wybrańcu?
- Co?
- W jaki sposób pokonałeś te wszystkie jaszczurki?
Prawdę mówiąc do dziś nie za bardzo rozumiem słów, które wtedy wypowiedział:
- Przecież to żaden problem! Mam 90% na Small Guns, czwarty level, 10 Action Points, 2 punkty Healing Rate i jeszcze kilka Stimpacków w plecaku. Staaaaary! Niedługo gdy zdobędę 20 level i będę miał 160% na Big Guns i Bozara w ręku to ja Enclave Patrol będę z łatwością rozwalał, a co dopiero mówić o jakiś tam Geckosach!
Chciałem się go o coś jeszcze zapytać, ale dotarliśmy już do wyjścia.
- OK. Jesteśmy już na miejscu. - powiedział.
- Dzięki stary. Nie wiem jak ty, ale ja wracam do Klamath. Jak będziesz w pobliżu, to wpadnij do mnie.
- OK. Będę pamiętał. Na razie!
I tutaj się rozstaliśmy. Wróciłem do domu. Dopiero wtedy zorientowałem się, że nie mam tych dziesięciu skór Golden Geckosów, które zabrałem od tygodnia martwym już traperom. Od razu domyśliłem się, że musiał ukraść mi je ten Wybraniec, ale nie byłem na niego zły. W końcu jakby na to nie patrzeć, uratował mi życie. Od Adrin dowiedziałem się, że to ona poprosiła Wybrańca, aby mnie odszukał.

Jakiś miesiąc później do miasta przyjechał samochód. Większość mieszkańców pierwszy raz widziała coś takiego, ale nie ja. Nawet nie jeden raz - zawsze gdy byłem w Den, odwiedzałem starego mechanika Smittiego. Pracował nad tym samochodem kilka lat. Zawsze mówił, że go kiedyś sprzeda. Najwyraźniej tak właśnie zrobił...
Z samochodu wyszły trzy osoby: Sulik, Vic i jakiś mężczyzna w Leather Armor. Poznałem go od razu. To był Wybraniec! Podszedł do mnie i znowu nic nie powiedział. Już po raz drugi rozmowę musiałem zacząć ja.
- Witaj. Miło cię znowu widzieć. W czym mogę ci pomóc? - zapytałem.
- Naucz mnie, jak zostać traperem.
- Traperem?
- No przecież nie chodzi mi o trening biegania, posługiwania się bronią i tym podobne niepotrzebne rzeczy. To mi nie potrzebne bo mam 90% na Melee Weapons, 112% na Unarmed i 96% na Outdoorsman co mi w zupełności wystarcza. Chodzi mi o perka Gecko Skinning!
- Gecko Skinning? Chcesz, abym nauczył cię zdzierać skóry z martwych Geckosów? Ale po co ci to?
- No jak to po co? Dla kasy człowieku! Te dziesięć skór Golden Geckosów, które wziąłem sobie od ciebie, sprzedałem po bardzo korzystnych cenach. To jest nawet całkiem niezły interes. Gdyby nie to, że muszę odnaleźć ten głupi G.E.C.K. to bym mógł sobie z tego spokojnie żyć.
- No dobra, jak chcesz, to cię mogę nauczyć...

Od tamtego dnia już go nigdy nie spotkałem. Mimo to, czasami od spotykanych ludzi słyszałem o różnych niesamowitych czynach Wybrańca...

KONIEC

© 2002 Piotr 'Sajdon' Szpakowski

EKSPEDYCJA

Próba wyjaśnienia zagadki.

Rozdział I: Ogłoszenie

"Poszukiwani śmiałkowie do ryzykownej wyprawy w bliżej nieokreślonym kierunku,
lecz jasno określonym celu.
Tylko dla odważnych.
O szczegóły pytajcie u Harolda lub doktora Richarda."

- "Tylko dla odważnych", co? - zamruczał pod nosem niski, brodaty jegomość, spoglądając na pisaną odręcznie kartkę, zawieszoną na tablicy ogłoszeń przy wejściu do The Hub. Odbijała ostre, majowe słońce, rzucając się w oczy z daleka.

- Co wy tam kombinujecie, co Haroldzie? - zapytał głośniej.

- Wpadnij dzisiaj do ratusza, a wszystkiego się dowiesz, Bobby - odrzekł Harold, jak zwykle z uśmiechem na ustach. - A jeśli nawet się nie dowiesz, to przynajmniej wypijesz darmowego drinka - dokończył po chwili.

- He he, masz dar przekonywania, Haroldzie - zaśmiał się brodaty Bobby. - O której?

- Koło szóstej - odrzekł Harold. - Pamiętaj zabrać żonę.

- Po co?

- Żeby miał cię kto odprowadzić do domu. Mamy tego naprawdę dużo...

Bobby oddalił się, rechocząc.

Takie ogłoszenia od kilku dni wisiały w kilku miejscach w mieście i, trzeba przyznać, były obiektem sporego zainteresowania. Zręcznie skonstruowany, zwięzły komunikat i trafnie dobrane słowa przyciągały ludzi wszelkich profesji niczym bramin muchy. Głównym zajęciem Harolda, który specjalnie na tę okazję odrzucił całkiem intratne zlecenie i pozostał w mieście, było w ostatnich dniach udzielanie informacji na temat planowanej przez niego wyprawy. Przez niego i jego dobrego przyjaciela, doktora Richarda Greya.

Doktor Grey był lekarzem w The Hub, powszechnie lubianym i szanowanym, mającym duży autorytet pośród obywateli. Z Haroldem znali się od ponad czterech lat. Wtedy to młody handlarz z The Hub okazał pomoc nieco starszemu od niego, sprawiającemu wrażenie zagubionego lekarzowi, ściągając go do nowopowstałej osady pośrodku trasy między ruinami dawnego Los Angeles a Junktown. Dzięki jego pomocy doktor Grey szybko otrząsnął się i stanął na nogi, odrzucając "demony przeszłości", jak zwykł określać stare zaszłości, i zaczął robić to, w czym był najlepszy - pomagać ludziom. Od tej pory obaj panowie zaprzyjaźnili się, odkrywając w sobie podobny światopogląd, mentalność i sposób postrzegania wielu spraw. Harold, który był już wtedy szefem karawany w The Hub, często wpadał z wizytą do Richarda - oczywiście lekarz zabronił mu tytułowania siebie per "doktor" - na inteligentne rozmowy o wszelkich aspektach życia.

Karawany Harolda działały bardzo prężnie, handlował chyba z wszystkimi miastami i osadami w południowej Kalifornii. Jako jedyny karawaniarz nawiązał nawet kontakt ze zmutowanymi ludźmi z przedwojennego miasta Bakersfield, których normalni ludzie bali się jak ognia, złośliwie nazywając "umarlakami" lub "ghulami", zaś ruiny dawnej metropolii - "Nekropolis" albo "Cmentarzyskiem". A byli to po prostu biedni ludzie, ofiary wojny, tak straszliwie pokarani przez los, szukający spokoju i normalnego traktowania przez pozostałych. Pewnego razu na prośbę Richarda Harold zabrał go tam, by lekarz mógł przyjrzeć się tragicznym efektom promieniowania i wojny. Niestety, ghule były wówczas w podłym nastroju i przepędziły karawanę Harolda.

Rzecz jasna nie wszystko szło tak kolorowo, jak mogłoby się wydawać. Zdarzało się, że karawany były atakowane przez bandytów. Początkowo były to pojedyncze, niewielkie grupy "obdartusów", jak zwykł nazywać ich Harold. Wystarczyło wystrzelić z pistoletu dwa razy w powietrze, a tchórzliwi chojracy szybko wpadali w popłoch i nie stanowili większego zagrożenia. Jednak

z czasem napady zaczęły się nasilać. Harold zorientował się, że na pustkowiu musiała powstać bardziej zorganizowana grupa bandycka, ponieważ ataki postępowały wedle wcześniej ustalonych schematów. Nie były już chaotyczne - "na hura" - ale trąciły zawodowstwem. Ponadto łupieżcy często bywali ubrani w podobny sposób i nosili na torsie wyhaftowaną wielką literę "V", niektórzy mieli tatuaże w takim kształcie. Wtedy to zaczął wynajmować strażników, którzy trzymali pieczę nad bezpieczeństwem ludzi i dóbr.
Czas mijał, The Hub rozwijał się. Angus, założyciel osady, mądry i stanowczy, choć czasem nieco porywczy człowiek, rad był, że powoli przeradza się ona w coraz większe miasto. Cieszył się każdym aspektem życia w The Hub. Sam pomagał nowym mieszkańcom w osiedleniu się, jak i starszym obywatelom w codziennym życiu. Z Haroldem znali się bardzo dobrze, często Angus mówił o młodym karawaniarzu, że to "motor napędowy rozwoju The Hub". Kiedy tylko dowiedział się od niego, że już nie tylko bandyci stanowią zagrożenie dla karawan na pustkowiu, w zupełności poparł pomysł Harolda i doktora Greya.

Na kilkanaście minut przed godziną osiemnastą Harold otworzył drzwi do ratusza miejskiego, jakim był murowany budynek w samym centrum miasta, i stanął w wejściu wyczekując zainteresowanych udziałem w wyprawie. Nie musiał długo czekać na pierwszych ciekawskich. W ciągu kwadransa zebrała ich się ponad trzydziestka. Przybył nawet Angus, doktor Grey nieco się spóźniał. Na sali panował gwar.
Harold już miał zamykać drzwi, gdy drogę przestąpiła mu para młodych, ciemnoskórych ludzi.
- A wy co tu robicie? - zapytał, mierząc ich wzrokiem.
- Jesteśmy zainteresowani udziałem w wyprawie - odrzekł młody chłopak, błyskając śnieżnobiałymi zębami.
- No, i w wielkiej przygodzie zarazem - dodała dziewczyna o wielkich, wyrazistych oczach i czarnych włosach zaplecionych w niezliczoną ilość cienkich warkoczyków.
Harold zaśmiał się krótko.
- Wy? Cholera, to dobre... Dopiero wyskoczyliście z pieluch, a już wam przygody w głowach?! - wskazał im ręką drogę powrotną. - Do domu, ale już!
- Daj spokój, Haroldzie - zaperzył się chłopak. - Mamy już po dwadzieścia pięć lat, nie boimy się, chcemy pomóc...
- Bez dyskusji! - przerwał mu Harold.
- Ale!...
- Nie, Mark! - zakończył, witając człowieka w kowbojskim kapeluszu.
Dziewczyna nie dawała za wygraną.
- Wujaszku... - powiedziała słodkim głosikiem. - Przecież posłuchać możemy, prawda?
- Dobra, dobra, Francine, nie bierz mnie pod włos!... - Harold pogroził jej palcem.
Francine posłała mu promienny uśmiech i zatrzepotała rzęsami.
- No, wujaszku...
- Niech wejdą - dobiegł ich niski, męski głos z prawej strony. Szedł ku nim wysoki, postawny mężczyzna w białym kitlu, uśmiechający się znad okularów. W dłoniach trzymał jakieś papiery. - Od słuchania jeszcze nikomu nic się nie stało.
- No nie wiem, Richardzie - odrzekł Harold. - To, co mogą usłyszeć wcale nie będzie miłe.
- Przecież nie są już dziećmi - odrzekł Richard.
- Coś cię zatrzymało?
- Pani Doubtfire przyszła na konsultację. Ma ciągłe problemy z nogami...
Harold przewrócił oczyma.
- No, no... - powiedział lekarz ostrzegawczym tonem. - Zaczynajmy już - wszedł do ratusza.
Mark i Francine ruszyli za nim, ale Harold zatrzymał ich.
- No dobra, niech wam będzie - powiedział cicho. - Ale po spotkaniu: siusiu, paciorek i spać!...
Mark klepnął go przyjacielsko w ramię i rzekł:
- Wujaszku, jesteś spięty jak wtedy, gdy opiliśmy twojego bramina. Wyluzuj...
I wszedł do środka. Francine posłała mu buziaka w powietrzu i dołączyła do Marka. Harold

pokręcił głową.

- To wcale nie było śmieszne - powiedział cicho. - Biedny Virgil... To rozwolnienie męczyło go całe trzy dni...

Rozdział II: Przetańcz ze mną aż do końca...

Sala ratusza wypełniona była do ostatniego miejsca. Interesanci siedzieli, śmiali się, rozmawiali. Harold podszedł do siedzącego za biurkiem doktora Greya i obaj spojrzeli na audytorium. Przybyło prawie czterdzieści osób. Angus podszedł do nich i szepnął:

- Możemy zaczynać?

Richard skinął głową. Obaj z Haroldem wstali. Angus podszedł do mównicy i rzekł donośnym głosem:

- Proszę o spokój! Witam wszystkich i dziękuję za przybycie w tak licznym gronie. Nie chcę zabierać czasu organizatorom, więc w tej chwili oddaję im głos. Doktorze...

Richard zajął miejsce Angusa.

- Moi drodzy... - zaczął, - wiem, że wielu z was to uznani za odwagę i szanowani za waleczność wspaniali wojownicy, wieloletni strażnicy karawan - na te słowa Harold uśmiechnął się pod nosem, a po sali przebiegł pomruk połechtanej próżności. - Razem z moim przyjacielem szukamy wśród was kilku ochotników, którzy podjęliby się ochrony ryzykownej wyprawy. Zapewne zauważyliście anonsy, które wywiesiliśmy w całym mieście. Będzie to coś w rodzaju wyprawy badawczej, takiej prewencyjnej ochrony dla przyszłości waszych dalszych wędrówek w karawanach. Organizujemy ekspedycję naukową.

- Co ona ma na celu? - zapytał ktoś z końca sali.

- Jak zapewne wiecie - ciągnął dalej doktor - na pustkowiu trzeba się zmagać z wieloma niebezpieczeństwami. Wiem, że ostatnio coraz częściej jesteście atakowani przez bandytów...

- "Vipersi", psia mać... - przerwał mu brodaty Bobby i splunął na podłogę. - Jeśli chcecie rozbić tę bandę kastratów, to ja się piszę!...

Na sali podniósł się gwar, wielu powstało ze swych miejsc, złorzecząc wymienionej przez Bobby'ego nazwie gangu łupieżców.

- Spokojnie, spokojnie! - uciszył ich doktor Grey. - Nie do końca o nich mi chodzi. Chociaż na pewno takie bandy są zagrożeniem, to... Mówię o czymś dużo bardziej niebezpiecznym, co jest skutkiem niedawnej wojny. O czymś, co na większą skalę może całkowicie uniemożliwić podróżowanie w szyku... O czymś nie do końca... *ludzkim*.

Na sali zapadła cisza. Wsparty na długiej strzelbie wysoki mężczyzna z wystylizowaną bródką i w czarnym kapeluszu pociągnął z menażki, którą wyjął zza pazuchy.

- Doktorze - zapytała nieśmiało Francine, - czy chodzi panu o te stwory z Bakersfield?

Doktor spojrzał na Harolda, który odpowiedział na zadane pytanie:

- Nie. Ghule, jak zwykliśmy ich nazywać, są niegroźni. Chyba, że się ich sprowokuje, wtedy potrafią zrobić użytek z broni. Doktor Grey mówił o innych stworach, nazywanych przez nas *mutantami*. W drodze spotkałem się z nimi już kilkakrotnie. Są dużo więksi od ghuli, dużo silniejsi i, z tego co zauważyłem, dużo mniej bystrzy. Tak czy siak potrafią narobić ogromnych szkód w karawanie. Rozumiecie zatem, że sprawa jest poważna.

Doktor Grey powiedział:

- Tak, poważna i bardzo niebezpieczna. Nie zatrzymujemy tu nikogo na siłę, kto nie chce dalej słuchać lub nie jest zainteresowany... Naprawdę do nikogo nie będziemy mieć żalu. Nikogo też nie zamierzamy zmuszać.

W tym momencie kilkanaście osób wstało ze swych miejsc i zaczęło opuszczać salę, potrząsając głowami. Niskim głosem odezwał się siedzący w pierwszym rzędzie mężczyzna z czarną bródką i kapeluszem:

- Dokąd zamierzacie się wybrać?

- To jest, niestety, kolejny problem - odrzekł Harold. - Wiemy tylko, że najwięcej jest ich na zachodzie, północnym zachodzie... Przynajmniej jakiś czas będziemy musieli iść w ciemno.

- Nie wiemy skąd oni pochodzą, chcemy to odkryć - dodał Richard. Kolejnych kilka osób opuściło salę ratusza.

- Dobrze, więc przejdźmy do sedna! - krzyknął brodaty Bobby. - Jaka jest płaca?

Harold i Richard znów spojrzeli po sobie.

- Gwarantujemy jedynie wyżywienie i zapasy amunicji na drogę - powiedział lekarz. - Przykro nam, ale... nie stać nas na zapłatę do jakiej wielu z was jest przyzwyczajonych, czy jaką by sobie zażyczyło.

Na sali znów podniósł się tumult. Do uszu Harolda i Richarda dobiegały słowa: "Kpiny!", "Co wyście sobie myśleli?!", "Strata czasu!". Wielu machało z pogardą rękoma i wychodziło. Lekarz i karawaniarz spodziewali się tego, ale mieli cichą nadzieję, że znajdzie się chociaż garstka takich, którzy poświęcą swój czas w wyższej sprawie. W końcu na sali pozostali jedynie oni, Angus, Mark i Francine, mężczyzną z bródką w pierwszym rzędzie i kilku innych w końcu sali. Doktor Richard westchnął i spuścił wzrok. Jego bystre oczy wyrażały głębokie rozczarowanie. Harold był podenerwowany i mruczał pod nosem coś o śmierdzących tchórzach. Brodaty Bobby, szurając nogami podszedł do niego i rzekł:

- To było do przewidzenia. Szkoda waszego czasu, panowie, bo pewnie i tak niczego nie odkryjecie. Nie w dwie osoby.

Harold mimowolnie zacisnął pięści. Bobby odszedł w kierunku wyjścia, mrucząc do siebie:

- I drinków też nie było...

- Drinków?! - zaperzył się Harold. - Jak ci dam drinka, ty śmierdzący obszczymurze...

- Haroldzie, Haroldzie... - uciszył go Angus. - Cóż, panowie... Ciężko mi cokolwiek powiedzieć. Jestem z wami całym sercem i życzę szczęścia. Tymczasem muszę już iść. Do zobaczenia...

Mer miasta opuścił ratusz. Doktor Grey zaczął zbierać z biurka kartki, które przyniósł ze sobą. Harold spojrzał po sali. Kilka osób wciąż siedziało na swych miejscach. Jedną z nich rozpoznał.

- Ted?

- Witaj, Haroldzie - odrzekł całkowicie siwy, starszy mężczyzna. Wstał z miejsca i prężnym krokiem podszedł do niego. Wymienili energiczny uścisk dłoni.

- Ted, cholera, co się z tobą działo? - zapytał Harold.

- Aaa... - Ted machnął ręką. - Bywało się tu i tam. Właśnie wróciłem z Junktown. Witam, panie doktorze - powiedział w kierunku Richarda.

- Dzień dobry... czy my się znamy? - odrzekł lekarz, patrząc na niego znad okularów.

- Zapewne mnie pan nie pamięta - powiedział Ted, idąc z wyciągniętą ręką w kierunku doktora. - Ted O'Connor. Dwa lata temu udzielił mi pan pomocy. Gdyby nie pan... pewnie wąchałbym już kwiatki od spodu.

- Ach... przykro mi, nie pamiętam - odpowiedział lekarz z lekkim zakłopotaniem, ściskając dłoń Teda.

- Nic nie szkodzi - odrzekł Ted, i oparł ręce na biodrach. - W każdym razie czas spłacić dług, *na mrówczy odwłok*. Oferuję swoją pomoc w waszej wyprawie.

Harold spojrzał na Richarda - lekarz był równie zaskoczony jak i on.

- Cóż... ee, świetnie - powiedział doktor. - Bardzo się cieszę, tylko... w trzech będzie co najmniej ciężko...

- W czterech - powiedział nagle wysoki mężczyzna z bródką, wstając ze swego miejsca w pierwszym rzędzie. - Ja również się zgłaszam.

Harold wyszczerzył zęby i rzekł:

- Hehe, wystarczyło trochę poczekać. Hałastra poszła się uchlać, a prawdziwi wojacy zostali.

- Jestem Vincent Braver - powiedział mężczyzna, ściskając dłonie pozostałym. Robił wrażenie - czarna skóra, w którą był ubrany szeleściła, stukot ciężkich butów roznosił się echem po sali. Rewolwer zachybotał w kaburze, bojową strzelbę zarzucił na ramię - Mówią na mnie Hardy.

- Bardzo nam miło, panie Vincencie - odrzekł doktor Grey, z błyskiem nadziei w oczach. - No, to już jest coś... Może jednak coś się wykombinuje. Haroldzie, ile wyniosłoby zatrudnienie dwójki strażników?...

- To nie będzie konieczne - powiedział Mark, który dotąd rozmawiał cicho z Francine na boku. - Ja i moja siostra również chcemy się na coś przydać.
Harold spiorunował ich wzrokiem.
- Nie patrz tak na nas, wujaszku - odrzekła Francine. - Nie odwiedziesz nas od tej wyprawy.
- Oczywiście, że nie - odrzekł Harold, lekko kpiącym tonem. - Po prostu zamknę was na klucz i nigdzie się nie ruszycie. Nie! - podniósł rękę, gdy Mark chciał mu przerwać. - Nie ma mowy!
- A co, boisz się, że zastrzelimy mutanta szybciej od ciebie? - zapytała Francine.
- Powiedziałem: koniec tematu - zakończył Harold, ale rodzeństwo nie dawało za wygraną:
- Chyba nie chcesz, żebyśmy nazwali cię tchórzem?
- Nie przeginaj...
- Wujaszek Harold znowu boi się...
- Przestań!
- Boi się mutantów?
- Nie, nas!...
- Dobra, już dobra!... - westchnął Harold i pokręcił głową. - Ale będę miał was na oku...
- A więc jest nas szóstka - powiedział doktor Richard, już w zupełnie innym nastroju. - W porządku, zatem...
- Chwileczkę - przerwał mu głos z końca sali. Przy oknie stał krępy mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, z karabinem myśliwskim na ramieniu. Wyjął z ust papierosa, odrzucił i ruszył w kierunku mównicy. - Wpiszcie mnie na listę. Zack Icereef. Traper, podróżnik. Może okażę się przydatny.
Doktor Grey kiwnął głową.
- Witamy w drużynie - powiedział Harold i zwrócił się do Richarda. - I co pan na to, doktorze?
Lekarz spojrzał po wszystkich wyraźnie podbudowany i rzekł:
- Znakomicie. Zatem zapraszam dzisiaj wszystkich do saloonu. Musimy się poznać i obgadać szczegóły wyprawy. Tymczasem muszę zająć się moimi pacjentami. Do zobaczenia wieczorem.
Dla doktora Greya zdrowie jego kuracjuszy zawsze było najważniejsze.

Późnym wieczorem wszyscy uczestnicy ekspedycji spotkali się w barze niedaleko ratusza. Jak zwykle panował tu ruch, klienci przewijali się bez przerwy. Było to jedyne tego typu miejsce w The Hub, więc ludzi było co nie miara.
Doktor Grey, Harold i reszta ochotników zajęli stolik w cichszym końcu obszernej sali lokalu, z dala od wejścia. Harold był oczywiście duszą towarzystwa. Znał tutaj praktycznie wszystkich. Doktorowi Richardowi również kłaniało się wiele osób.
- Jest i Bobby - powiedział nagle Harold, spoglądając w kierunku wysokiej lady baru, - wiecznie nienażarty opoj. Z nim cała nasza wałówka nie przetrwałaby nawet trzech dni. Hej, Leo! - krzyknął w kierunku siedzącego nieopodal niskiego, pomarszczonego, jak zeschły ziemniak staruszka z gitarą w ręku i ogromnym sombrerem na głowie. - Zagraj coś wesołego!...
Staruszek zdjął kapelusz z głowy, ukłonił się nisko i zaczął szarpać struny w żwawym rytmie.
- "Next bomb, next bomb, dropped in my town!..."
- O, to lubię... - powiedział Harold i rozsiadł się wygodnie.
- Co do wyżywienia - powiedział Vincent Braver, zwany Hardym, - czy sami mamy zaopatrzyć się w potrzebny prowiant?
- Nie - odrzekł Harold. - Wszystkim się już zająłem, a dokończę jutro. Po spotkaniu podacie mi rodzaj amunicji do waszych broni. Skompletuję całość. Żarcie też już gotowe. Chyba, że jadasz jakieś wymyślne menu, albo masz dietę - wtedy radź sobie sam.
Ted, Mark i Francine roześmiali się. Hardy uśmiechnął się krzywo - chyba inaczej nie potrafił. Doktor Grey był wyciszony, podobnie Zack Icereef, który w końcu odezwał się po raz pierwszy:
- Ja mam pytanie. Czego tak naprawdę będziemy szukać? Zrozumiałem już, że podążymy za mutantami. Wiem, czym one są, spotkałem je. Ale nie wiem, doktorze, czy pan wie, z czym

przyjdzie nam się spotkać - zwrócił się w kierunku Richarda. - To naprawdę bardzo niebezpieczne stworzenia. Są zdolne złamać człowieka jak zapałkę, a drzewo jak grubszy kijek. W ręce trzymają broń, której przeznaczeniem jest pozostawać na tytanowym stelażu. Czego pan oczekuje?

Doktor Grey zmarszczył czoło i odpowiedział:

- Oczekuję prawdy. Chcę się dowiedzieć skąd one pochodzą, a raczej - co je wytwarza. Jestem prawie pewien, że to zewnętrzny czynnik. To inna rasa, ale nie powstała na drodze ewolucji i nie wydaje mi się, że są bezpośrednim skutkiem promieniowania. Chcę dotrzeć do miejsca, z którego one wychodzą, przyjrzeć się im z bliska i spróbować zapobiec ich mnożeniu. Sam pan powiedział, że są bardzo niebezpieczni. Nie można czekać aż sprawy wymkną się spod kontroli.

- Jaka jest pewność, że to tylko jedno miejsce? - zapytał Hardy, drapiąc się po bródce. - Że nie jest ich kilka, albo że to nie jakaś zorganizowana struktura?

- Wydaje mi się, że jedno - odrzekł lekarz, poprawiając okulary. - Szczegółowo wypytywałem ofiary ataków mutantów na pustyni. Z ich relacji wynika, że następowały mniej więcej z jednego kierunku. Z zachodu. Harold też to potwierdza.

- Zgadza się - odrzekł karawaniarz. - Te przerośnięte żaby przychodzą właśnie stamtąd. Chyba wyczaiły jakiś utarty szlak i zaczynają ciągnąć w kierunku osad. Myślę, że niedługo zajmie im dotarcie do Junktown czy Los Angeles.

- A do tego nie można dopuścić - dokończył doktor Grey.

Przez chwilę uczestnicy ekspedycji ucichli. Grajek Leo zagrał powolne nuty starożytnej pieśni, nucąc pod nosem słowa, które przeszywały słuchaczy niczym pustynny wiatr:

"Death has come so quickly burning rainbow in the skies,
Wanted to be livin', nowadays I want to die,
Angels burned by fire and Great Lord - they're now so small
Dance me to the end of war
Dance me to the end of war..."

Milczenie przerwał Ted:

- Na mrówczy odwłok, co to się porobiło... Pamiętasz, Haroldzie, tę wyprawę, gdy uratowałeś mnie przed bandytami? Zdawało się, że gorszego nie można już przeżyć...

- Oj, trochę optymizmu, Ted - odrzekł Harold z werwą i mrugnął do niego, - będzie dobrze. Przecież od razu nie rzucimy się na pierwszą napotkaną bandę i nie wystawimy się jak do odstrzału. Nie mówię, że wcale do tego nie dojdzie, ale...

- *Oby* do tego nie doszło - wtrącił doktor Grey. - Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

- Nie mniej jednak trzeba się z tym liczyć... - zakończył Mark. Wszyscy spojrzeli na niego. Powoli docierało do nich, z czym przyjdzie im się zmierzyć.

Zbyt długie roztrząsanie mądrych słów młodego człowieka nie było im jednak dane. Do baru wpadło kilka osób z krzykiem na ustach. Wyglądali jakby stoczyli przed chwilą walkę, chaotycznie nawoływali czyjegoś imienia. Powstało ogromne zamieszanie, czuć było, że stało się coś niedobrego. Harold i Richard wstali ze swych miejsc. W końcu dotarły do nich wyszarpane z kontekstu słowa: "Lekarza! Lekarza!".

Doktor Grey błyskawicznie podbiegł do przybyszów.

- Ja jestem lekarzem. Co się stało?

- Coś napadło na naszą karawanę! Są ranni! Mnóstwo rannych! Pomóżcie nam! - krzyknął mężczyzna z zakrwawioną głową.

- Prowadźcie nas! - zadecydował Richard. Przybyli ludzie wypadli z baru. Za nimi pobiegł doktor Grey, Harold i większa część klientów, którzy akurat byli wtedy w lokalu.

Biegli w stronę północnego wejścia do miasta. Po chwili byli na miejscu. To, co zobaczyli przyprawiło ich o dreszcze. Niemal tuzin ludzi leżał bezwiednie na ziemi, niektórzy pomagali sobie nawzajem, wymawiali imiona, przykładali wilgotne chustki do czół, inni krzyczeli, kolejni bez słowa ocierali krew z twarzy. Jeszcze inni w ogóle się nie ruszali, spoczywając bezwładnie tak, jak zostali zdjęci z przyczep. Wokół rannych natychmiast pojawiło się mnóstwo gapiów. Panował ogromny hałas, tumult i panika.

Doktor Grey szybko ocenił sytuację i zajął się najpierw najbardziej poszkodowanymi. Jego sprawne, dokładne ruchy przynosiły im szybką pomoc. Jeden z uczestników karawany znał się nieco na medycynie i starał się pomóc lekarzowi, mimo skręconej kostki. Harold tymczasem starał się rozgonić zebranych, by stworzyć jak najwięcej przestrzeni dla działań Richarda. Po kilkunastu minutach pojawił się Angus. Dopiero wówczas tłum rozproszył się. Jego mocne słowa i donośny głos przywróciły mieszkańców do porządku. Doktor Grey uwijał się jak w ukropie, nie widząc przerażonych oczu Marka i Francine, zszokowanego wyrazu twarzy Teda powtarzającego swoje "na mrówczy odwłok", popijającego nerwowo z piersiówki Hardego oraz spokojnego, choć bladego oblicza trapera Zacka. Po pół godzinie najciężej rannych odtransportowano do szpitala. Niestety, trzech osób nie udało się uratować.
Harold możliwie delikatnie starał się dowiedzieć, co było przyczyną napaści na karawanę. Spytał o to człowieka, który pomagał doktorowi Greyowi. Richard, będący w tym momencie obok rozmawiających, usłyszał dławione płaczem słowa mężczyzny:

- Wielkie, zielone potwory. Trzy razy większe od normalnego człowieka... Na wzgórzach jakieś dwa dni drogi stąd, może nawet więcej, bo uciekaliśmy bardzo szybko... Nie wiem dlaczego... Chyba po prostu znaleźliśmy się w złym miejscu o złej porze. Nie prowokowaliśmy ich, to oni rzucili się na nas, jakby to było dla nich wyjście na spacer... Co to w ogóle jest?!... Co się dzieje?...

Harold i Richard wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że słowa Marka sprzed kilkunastu minut mogą mieć większe znaczenie, niż mogliby przypuszczać.

Klezmer w barze dokończył swoją pieśń, której sens jak cień miał odtąd towarzyszyć ekspedycji doktora Greya:

"Cities totally ruined, people look like living dead
Going through the wasteland 'cause of scenes inside my head
Hating's crawling through me and I did lost even hope
Dance me to the end of war
Dance me to the end of war..."

Rozdział III: Dwudziesty drugi maja

Następnego dnia Harold zajął się przygotowaniem ekwipunku do wyprawy. Na jedzenie, amunicję i sprzęt wydał znaczną część swoich oszczędności, a dzięki znajomościom i wrodzonej charyzmie - nabył znacznie więcej, niż zrobiliby to inni, za tę sama kwotę.
Ted O'Connor, Hardy i Zack Icereef posiadali własną broń, więc na głowie Harolda było jedynie zdobycie naboi. Ted miał na stanie wysłużony rewolwer. Zack - karabin myśliwski ze zmodyfikowaną lunetą. Hardy zażyczył sobie amunicji do strzelby bojowej, rewolweru oraz pocisków o wysokim kalibrze. Na pytanie Harolda o broń, do której miałby ją dostać, odrzekł tylko: "może się przydać".
Sam Harold również posiadał sprawny pistolet. Dla Marka i Francine zakupił dwa pistolety Mausera oraz strzelbę powtarzalną. Wciąż odradzał im udział w wyprawie, jednak wiedział, że mu się to nie uda. Rodzeństwo było zdeterminowane. Byli przestraszeni, ale jednocześnie podbudowani okropnymi obrazami, jakimi ujrzeli poprzedniej nocy. Chcieli bardzo pomóc zwalczyć to zło, którego byli świadkami. Harold rozumiał ich, bo czuł się podobnie, a jego sprzeciw na udział młodzieży w ekspedycji wyraźnie złagodniał.
Doktor Grey od rana doglądał kilku wędrowców, którzy ucierpieli najpoważniej poprzedniego dnia. Na szczęście ich stan znacznie się poprawił i wczesnym popołudniem mogli opuścić jego mała klinikę. On zaś, skupiony i zamyślony, zajął się kompletowaniem swojego wyposażenia.

Wczesnym wieczorem uczestnicy wyprawy spotkali się na krótko w szpitalu doktora Greya, który powiedział:

- Wyruszymy jutro o świcie. Nie chcę wzbudzać niepotrzebnej sensacji, gdy miasto obudzi

się na dobre. Noc będzie naszym sprzymierzeńcem. Harold już mnie poinformował, że dysponuje przenośnym oświetleniem, więc nie powinno być z tym większego problemu... - urwał na moment. - Kto nie czuje się na siłach, jest jeszcze szansa na rezygnację. To ostatni moment.
Spojrzał się po zebranych. Harold przyglądał się Markowi i Francine. Oboje wyprostowali się i nabrali do płuc więcej powietrza, co mogło oznaczać tylko jedno - "Idziemy!". Ich oczy błysnęły, odznaczając się jeszcze bardziej na czarnej skórze. Hardy, stary Ted i traper Zack odważnie patrzyli na doktora Greya. Ten zaś dokończył:

- A zatem do jutra, drodzy państwo. Wyśpijcie się, czeka nas długa i ciężka wędrówka.

Uczestnicy ekspedycji rozeszli się do miejsc spoczynku, milcząc.

Około godziny trzeciej rano Harold kończył przymocowywanie solidnej przyczepy do umięśnionego bramina. Już miał się zabrać za ładowanie ekwipunku do wagonu, jak zwykło się określać takie zestawienie zwierzęcia i pojazdu, gdy zjawił się doktor Grey z torbą lekarską. Bramin poruszył się zaniepokojony nagłym pojawieniem się człowieka.

- Spokojnie, Virgil - Harold poklepał go po potężnym karku. - To tylko przyjaciel...

Zwierzę zmierzyło wzrokiem Richarda i natychmiast się uspokoiło. Lekarz uśmiechnął się i zaczął wraz z Haroldem wrzucać sprzęt do przyczepy. Po kilku minutach pojawili się Ted, Mark i Francine oraz Zack. Hardy nadszedł, gdy wagon był już załadowany. Ciągnął za sobą jakiś długi i ciężki przedmiot, który osadzony był na niewielkim wózku, a raczej stojaku z zamontowanymi kółkami. Wszyscy spojrzeli się na niego, ale jedynie Harold nie miał na twarzy wypisanego zdziwienia, za to uśmiech. Hardy dołączył do grupy i oznajmił:

- Poznajcie moją miłość. Oto Adelaida. Wspaniała M60, która jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Mark i Francine uśmiechnęli się słabo, a Ted aż zagwizdał. Zack Icereef i doktor Grey jak zwykle byli poważni.

- Daj tutaj tę ślicznotkę - powiedział Harold, szczerząc zęby. - Nie pozwolimy przecież, żeby męczyła się chodzeniem.

Po chwili broń była już umiejscowiona na przyczepie.

- Skoro wszystko gotowe, ruszajmy... - zadecydował doktor Grey.

Wtedy nagle ich uszu doszły dziwne odgłosy. Donośny baryton wykrzykiwał groźby i obelgi w kierunku, wyglądającego na bardzo młodego, chłopaka, którego sylwetkę zauważyli biegnącą w ich stronę. Chłopak dobiegł do grupy i wydyszał:

- Proszę, pomóżcie mi!... Ten maniak zaraz mnie zabije...

- O co chodzi? - zapytał Richard.

- Proszę, po prostu powiedzcie, że jestem w waszej karawanie!... - w oczach chłopaka doktor zauważył błaganie.

Tymczasem właściciel donośnego barytonu, korpulentny jegomość z bujną brodą, dobiegł do nich.

- Chodź tu, ty przeklęty bachorze!... - rzucił się z rękoma do chłopaka, który ukrył się za Hardym, najwyższym z obecnych tu ludzi. Doktor Grey powstrzymał napastnika.

- Hola, hola, spokojnie! Co tu się dzieje? Dlaczego chcesz go dopaść, Elliot?

- Och, przecież to pan doktor... - Elliot opamiętał się i nieco uspokoił. - Przepraszam, ale ten drań jest mi winien grubą kasę i ma ją oddać! I to zaraz!

- Nic ci nie jestem winien!... - odrzekł chłopak, jeszcze bardziej skrywając się za Hardym, któremu niebezpiecznie drgał policzek.

- Hej, Elliot, młody właśnie rusza z nami - Harold przyszedł z pomocą Richardowi, odgadując jego myśli. - Jak wróci, dostanie zapłatę i będzie mógł spłacić długi...

- A ja?! Za co mam żyć?! - żachnął się gruby Elliot. - Tobie nigdy kasy nie brakowało, a ja ciągle muszę kombinować!

- Spokojnie - ponownie rzekł doktor Grey. - Jak słyszysz, wszystko zostanie ci zwrócone. Teraz pozwól nam wyruszyć, gdyż już mamy poślizg.

- Tak, tak... - Elliot speszył się. - Dobrze, panie doktorze. Dziękuję. Udanej podróży...

Rzucił jeszcze spojrzenie na młodego człowieka, którego ścigał za rzekome długi, mamrocąc coś pod nosem, i zawrócił na pięcie. Chłopak podszedł do Harolda i doktora Richarda i rzekł:

- Uff, dziękuję... Naprawdę, bardzo mi pomogliście...
- Jasne, a teraz zmykaj do domu - odpowiedział Harold, podchodząc do bramina. - Nie mamy czasu na jakieś głupie żarty.
- Przecież uznaliście mnie za członka karawany - odrzekł zdziwiony chłopak.
Wszyscy spojrzeli na niego jak na idiotę.
- Dla picu, panie kolego - odrzekł Harold powoli, tak, żeby to do niego dotarło. - Uratowaliśmy ci skórę, więc odwdzięcz się i łaskawie się wynoś.
- Wyluzuj, stary - odpowiedział chłopak nonszalancko. - Mogę się wam przydać. Jestem zawodowym saperem. Bomby i miny wprost wpadają mi do rąk rozbrojone.
- Tak, kłopoty również - mruknął pod nosem Ted.
- Dobra, dobra - odpowiedział chłopak, unosząc ręce. - Tę kasę uczciwie od niego wygrałem. Nie ma prawa się o cokolwiek przyczepić...
- Słuchaj, młody - powiedział Harold zniecierpliwiony. - Spadaj stąd, bo cię poszczuję moim bykiem!...
- Haroldzie... - powiedział cicho Richard.
- Przecież nawet nie raczył nam się przedstawić!
- Ach, pardon, ale gafa - młody klepnął się w czoło. - Jestem Morton Carrie Junior. Do usług.
- To imię dostałeś na wyprzedaży garażowej? - zapytał Harold, na co reszta parsknęła śmiechem, nawet Zack i Richard się uśmiechnęli. Młodego Mortona jednak to nie zraziło. A może znowu nie zrozumiał? W każdym razie powiedział:
- Więc dokąd idziemy?
Harold kręcił głową z niedowierzaniem.
- Ile ty masz lat, dzieciaku?
- Dwadzieścia trzy - Morton wyszczerzył zęby.
- I mówisz, że jesteś doświadczonym saperem?
- A jakże!
- Kogo ty próbujesz oszukać, co?
- Przecież mówię prawdę!
- Hardy, choć spuścimy mu lanie, jakie powinien dostać od swojego ojca, albo Elliota!...
- Haroldzie! - zagrzmiał Richard. - Ruszajmy już. Jeżeli Morton tak bardzo chce, niech idzie. Nie widzę przeszkód...
- Ależ, Richardzie!... - zaczął Harold, ale lekarz powstrzymał go jednym ruchem ręki. Podszedł do niego i szepnął:
- Zobaczysz, sam zrezygnuje i to szybciej, niż byś się tego spodziewał.
Harold westchnął i rzucił młodemu Mortonowi pogardliwe spojrzenie.
- Niech będzie i tak - powiedział po chwili.
Morton uśmiechnął się jeszcze szerzej i klepnął Harolda w ramię, gdy ten szedł w kierunku swojego bramina.
- Zobaczysz, jeszcze będziemy dobrymi kumplami...
Harold przymknął oczy i powiedział cicho:
- Bogu dzięki, że nie mam dwóch głów, tak jak ty, Virgil...

Ruszyli. W niedługo po opuszczeniu The Hub zaczęło świtać. Szli dość szybkim marszem w kierunku dokładnie północno-zachodnim. Ustalili to wspólnie po przeanalizowaniu ich dotychczasowej wiedzy z uwzględnieniem ostatnich faktów, czyli ataku na karawanę, której pomogli w mieście. Szli w milczeniu, spodziewając się lada chwila napotkać na hordę mutantów, ale do niczego takiego nie doszło. Czy "na szczęście" nie spotkali?
Doktor Grey jednak przeliczył się co do Mortona Carrie'go Juniora, nazywanego odtąd "Młodym". Gdy tylko dowiedział się on, jaki jest faktyczny cel wyprawy, zbladł, ale nie zarzucił plecaka na ramię i nie uciekł w odwrotnym kierunku. Wprost przeciwnie - miał kolejny powód do bezustannej dyskusji, a raczej monologu, bo jakoś nikomu nie spieszno było wszczynać z nim dysputy. Dla Marka i Hardego był bardzo irytujący, do Richarda i Zacka nie wiele się odzywał - chyba czuł do

nich respekt. Za to bez przerwy próbował nawiązać kontakt z Francine, która najwyraźniej spodobała mu się. Jednak ona nie była nim zainteresowana i trafnymi docinkami gasiła jego zapędy. Ted oraz Harold, który swoim zwyczajem już zdążył się do niego przyzwyczaić, mieli z tego sporo ubawu.
Po prawie dziesięciu godzinach drogi zatrzymali się na krótką przerwę. W ciągu pół godziny nieco odpoczęli, napoili bramina i spożyli posiłek. Był to suchy prowiant oraz zapuszkowana żywność. Richard obawiał się nieco, że dodatkowy członek wyprawy w postaci Młodego może spowodować szybsze wyczerpanie się zapasów, jednak Harold uspokoił go, że wody, jedzenia i amunicji nie powinno im braknąć.
Po postoju ruszyli dalej. Popołudniem ich oczom ukazały się wzgórza. Wyostrzyli czujność, mając w pamięci obrazy sprzed kilku dni. Było jednak pusto, ani śladu pobytu, czy przejścia żadnych żywych organizmów - ludzi, zwierząt ani humanoidów. Wspięli się na szczyt płaskiego pagórka w momencie, gdy słońce schowało się za horyzont. Postanowili rozbić obóz i przeczekać tutaj noc.

Po kolacji doktor Grey otworzył notatnik z czarną okładką i zapisał: "Dwudziesty drugi maja. Pierwszy dzień ekspedycji minął spokojnie. Rozbiliśmy obóz na wzgórzach. Żadnych oznak wędrówek mutantów. Czekamy. Ruszamy jutro z samego rana."
Zamknął dziennik i spojrzał na Harolda, który jakby odgadł jego myśli mówiąc:
- Cieszyć się, czy niepokoić?
Richard zdjął okulary i przetarł oczy.
- Cieszyć, że nie ma ich tak blisko i jednocześnie niepokoić o to samo... - odrzekł i zapatrzył się w dogasający ogień watry.

Rozdział III: Na zachód

Wędrówka postępowała dalej. Przechodzili przez wzgórza, które wcale nie okazały się łatwe do pokonania. Najwięcej trudności sprawiały wąskie ścieżki biegnące pod górę, zwłaszcza dla bramina ciągnącego przyczepę z wyposażeniem. Każdy wziął do ręki swoją broń, by maksymalnie odciążyć zwierzę. Przepaście nie były zbyt wielkie - były to raczej głębsze doliny - tak czy siak stanowiły pewne zagrożenie. Być może człowiek wyszedłby cało z potknięcia się na łagodnym zrębie, ale zwierzę już niekoniecznie, nie wspominając o utracie ekwipunku. Na szczęście udało im się pokonać przeszkody, choć postoje musiały być nieco dłuższe. Przez to ujrzeli opadający stok, a za nim nie kolejne wzgórze, lecz równinę, dopiero wczesnym popołudniem piątego dnia podróży.
W trakcie zejścia z ostatniego pagórka natrafili na coś, co sprawiło, że zmęczenie ustąpiło niepokojowi i podnieceniu. Był to opuszczony obóz, który musiał przez jakiś czas zamieszkiwać człowiek lub grupa ludzi. Wygasłe, bardzo obszerne palenisko otaczały ślady czyjejś niedawnej bytności - porozrzucane kłody, jakby służące do siedzenia czy posiłku, leżące stosy gałęzi, czekające na swoją kolej wrzucenia do ogniska. Coś jednak nie było do końca zwyczajnego w tym widoku - wszystko wydawało się nad wyraz duże.
Doktor Grey, Harold i reszta w milczeniu przypatrywali się tym obrazkom. W końcu odezwał się Ted:
- Myślicie, że nasi wrogowie obozowali tutaj?
- Prawdopodobnie - odrzekł lekarz. - Komu chciałoby się tu przynosić tak ogromne kloce drewna. W ogóle ścinać takie drzewa...
- Albo wyrywać z korzeniami - powiedział nagle traper Zack.
Reszta grupy podeszła do niego. Stanęli w szeregu i szeroko otwartymi oczyma oglądali powalony, wysoki cis, wyrwany z ziemi wraz z ogromnymi kłączami.
- Na mrówczy odwłok... - szepnął Ted.
- Może... - zaczęła słabym głosem Francine - była jakaś wichura?...
Zack podszedł do drzewa i przyjrzał mu się.
- Doktorze, niech pan to zobaczy - powiedział.
Richard podszedł do niego.

- Niech pan spojrzy - powiedział ciszej Zack. - Tego nie mógł zrobić człowiek...
Doktor włożył okulary i przyjrzał się śladom na korze. Były to wyżłobione rowki, które zrobić mogło tylko stworzenie o ogromnych pazurach. Ale czy istniało takie zwierzę? Czy to mogły być... *paznokcie*?
Richard otrząsnął się i spojrzał na skupioną minę Zacka.
- Czekamy? - zapytał lekarz.
Traper kiwnął głową i rzekł:
- Ale nie tutaj.
Doktor Grey zrozumiał i zwrócił się do reszty ekipy:
- Jest prawie pewne, że to mutanci. Najwyraźniej nudziło się im i urządzili sobie małą demolkę. Już półmrok, więc zostaniemy na noc w pobliżu tego miejsca. Rano poszukamy śladów, a potem...
- Doktorze, proszę pozwolić mi odnaleźć ślady teraz, a będziemy mogli ruszyć o świcie - przerwał mu Zack. - Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.
Richard chwilę pomyślał i odrzekł:
- W porządku. Niech i tak będzie...
Harold podszedł do przyczepy i zdjął z niej latarkę.
- Masz, może się przydać - powiedział, wręczając Zackowi lampę.
Traper kiwnął głową i odrzekł, wskazując ręką:
- Rozbijcie tam obóz. Myślę, że sto pięćdziesiąt stóp wystarczy.
Grupa zrobiła jak powiedział. Ognisko już wesoło trzaskało, gdy Zack powrócił.
- Musimy iść na zachód - oznajmił. - Wszystkie ślady na to wskazują. Chyba nie mają w zwyczaju podnosić nóg zbyt wysoko, ziemia jest przeorana ich stopami.
- Zatem ruszamy z samego rana - odrzekł Richard i zaczął zapisywać kolejną kartę swojego dziennika. Dzisiaj zdecydowanie miał co notować.

Rano uczestnicy wyprawy ze zdziwieniem spostrzegli, że nie ma młodego Mortona. Przez kilkanaście minut nawoływali go, szukając w rzadkim lesie, lecz na nic się to zdało. Carrie Junior zniknął.
- Cóż, pewnie ze strachu zabrudził sobie gacie i zrobiło mu się wstyd - powiedział Harold z złośliwym uśmiechem.
- Lepiej teraz niż później - odrzekł Hardy. Doktor Grey kiwnął głową:
- Tak, Hub nie jest daleko, więc powinien trafić bezpiecznie. Później mogłoby być już ciężko.
Ruszyli dalej bez Młodego. Szli teraz równiną, wyschłą, niemal pustynną, z nielicznymi, uschniętymi badylami wbitymi w ziemię, które udawały, że są krzewami. Majowe słońce paliło coraz bardziej, choć na szczęście nie było to jeszcze pełne lato. Jednak perspektywy nie był zbyt optymistyczne - jeżeli taka pogoda utrzyma się przez najbliższe dni, będą zmuszeni wędrować w nocy, a w dzień męczyć się w ukropie.
Poza tym wciąż szukali śladów bytności mutantów, które na nieszczęście znacznie się ograniczyły. Nieliczne tropy wyłapywał gdzieniegdzie Zack, ale były tak słabo zachowane, że człowiek z małym doświadczeniem i nierozwiniętą sztuką przetrwania po prostu by je przeoczył. Step nie dostarczał sposobności do rozpalenia wielkiego ogniska i rozbicia bezpiecznego obozu, toteż doktor Grey był przekonany, że większość czasu mutanci musieli wędrować - zupełnie jak jego ekspedycja. Cieszył się zatem z każdego znaku ich obecności, o jakim informował go traper.

Tempo wędrówki, dzięki równemu terenowi, wzrosło. Mimo dość wysokiej temperatury szło im się dobrze. Dłuższe postoje były nadrabiane szybkim marszem. Pod koniec czwartego dnia od znalezienia obozu mutantów we wzgórzach, ich oczom ukazał się niespotykany dotąd widok. Natrafili na ruiny dawnego miasta. Widok był po prostu smutny - resztki asfaltu, potłuczone płyty chodnikowe, pojedyncze żelbetowe słupy, które kiedyś stanowiły szkielety budynków, a dzisiaj rozpaczliwie wskazywały na niebo, jakby tam chciały jak najszybciej się dostać.
- Myślicie, że to było małe miasteczko? - zapytała Francine, trzymając Marka za ramię

i szerokimi oczyma rozglądając się wokoło. Odpowiedział jej Ted:

- Niekoniecznie. Bomby zmiotły większość tego świata i z ogromnych metropolii uczyniły takie właśnie miejsca. To mogło być kiedyś wielkie miasto, na mrówczy odwłok. Wiem, bo kiedyś sam w takim żyłem.

Doktor Richard zwrócił się do Zacka:

- Myślisz, że możemy tu przenocować?

Traper kiwnął głową i odrzekł:

- Myślę, że tak. Nigdy nie miałem żadnych przykrych niespodzianek rozbijając obóz w ruinach...

- Ja bym się jednak wstrzymał - przerwał mu Hardy - i przeszedł dalej. Tu może być niebezpiecznie.

Wszyscy spojrzeli na niego. Nieco spłoszyło go to nagłe zainteresowanie, odchrząknął i dodał:

- Wierzcie mi na słowo. Jest tu całkiem sporo sposobności do ukrycia i wcale nie musimy być tutaj pierwsi.

- Jak?... Przecież sprawdziliśmy przed chwilą, że teren jest bezpieczny - powiedział Harold, spoglądając na niego zmrużonymi oczyma.

- A więc głosujmy - zadecydował doktor Grey. - Kto jest za noclegiem?

Rękę podnieśli wszyscy oprócz Hardego, który rozłożył ręce i odrzekł:

- Jestem w grupie i z grupą trzymam, ale proponuję trzymanie podwójnej warty.

- W porządku - zgodził się lekarz. - Zatem rozbijamy...

Przerwał mu nagły, przenikliwy wrzask. Wszyscy spojrzeli w kierunku, skąd doszedł ich uszu. W ich kierunku biegł przerażony Morton Carrie. Krzyczał w niebogłosy, machał rękoma. Hardy i Zack automatycznie chwycili za broń. Ted oraz Harold zrobili to samo. Morton dobiegł do nich i rzucił się do doktora Greya. Ten złapał go za ramiona i potrząsnął nim.

- Uspokój się! - zagrzmiał donośnym głosem. Młody wciąż wrzeszczał. - Co się dzieje?!

Z jego bełkotu można było wyłapać:

- Potwory!!! Ratunku!!!

Doktor Richard wyprostował się i utkwił wzrok w półmroku. Młody zastąpił wrzask astmatycznym dyszeniem. Grupa w ciszy wypatrywała zagrożenia. Po chwili ich uszu dobiegło kilka dziwnych trzasków i pisków. Czy tak hałasują mutanci? Każdy z bronią podniósł ją i wycelował. Moment później zza kolumny wybiegły na nich dwa skorpiony. Oba wielkości dużego psa. Richard przymknął oczy, a Ted i Harold roześmiali się w głos. Ted i Zack bez słowa podeszli do przerośniętych zwierząt i w momencie, gdy machnęły na nich ogonami złapali za odwłoki, a stopą przycisnęli szczypce do ziemi. Hardy podszedł do nich i kolbą swojej strzelby roztrzaskał im łby. Po chwili zwierzęta przestały się ruszać.

Doktor Grey spoglądał teraz na Mortona, który blady jak ściana zastygł w bezruchu z szeroko otwartymi ustami.

- Już dobrze? - zapytał spokojnie.

Młody kiwnął głową i przełknął ślinę.

- Co się z tobą działo?

Morton odpowiedział dopiero po chwili.

- Chciałem... chciałem się przydać... - wydyszał. - Być pomocny... Chciałem wypatrzyć zagrożenie, ale... ale...

- Oj, Młody, Młody... - odrzekł Harold i pokręcił głową z politowaniem. Choć widać było, że ruszyły go nieco te słowa. - Powiedz tak naprawdę, ile ty masz lat, co?

- Siedemnaście... - Młody spuścił głowę.

Harold spojrzał się na Marka i Francine, których zaszokowanie po niedawnej akcji ustępowało, a zastąpiła je litość. Doktor Grey tymczasem schylił się i obejrzał ramię Mortona. Ten wzdrygnął się i rzekł:

- Ach, to... nic takiego... Jeden z tych... pająków ze szczypcami mnie drapnął.

- Odwłokiem? - zapytał doktor. Młody kiwnął głową. Richard podszedł do przyczepy i sięgnął do swojej torby. Wyjął z niej różową butelkę. Odkręcił korek i podał Mortonowi.

- Weź dwa łyki i nie więcej - powiedział. - To zapobiegnie ewentualnemu zatruciu.

- To one są... trujące? - zapytał Młody ze strachem.

- A jak myślisz, geniuszu? - odrzekł Harold. - Słyszałeś kiedyś o "nietrujących" skorpionach?

Młody spojrzał na niego z tępym wyrazem twarzy. Po chwili zamknął usta i energicznie potrząsnął głową. Wziął do ust butelkę.

- No właśnie - dodał Harold. - Ja też nie słyszałem jeszcze o myślącej młodzieży o imieniu Morton...

Wszyscy uśmiechnęli się. Richard spojrzał na niego karcąco i powiedział:

- Wystarczy tego gadania. Myślę, że teraz możemy zaryzykować rozbicie obozu w tym miejscu.

Spojrzał na Hardego, który lekko skinął głową. Harold podszedł do Marka i Francine i powiedział cicho:

- Miejcie na niego oko, co? Wiem, że jest uciążliwy i... ale to tylko dzieciak, sami słyszeliście. Nie chcę, żeby sprowadził na nas prawdziwe kłopoty.

- Jasne, wujaszku - odrzekł Mark.

- Poza tym jestem dumny, że nie daliście nogi na widok tych skorupiaków...

Francine spiorunowała go wzrokiem. Harold uśmiechnął się i odszedł. Rodzeństwo podeszło do młodego Mortona, któremu z oczu płynęły teraz łzy wielkie jak grochy.

Rozdział IV: W górach

Po przygodzie ze skorpionami ekspedycja ruszyła dalej na zachód. Młody Morton uspokoił się i nie męczył już wszystkich swoimi wyssanymi z palca opowieściami, choć nadal upierał się co do jednego - że jest zawodowym saperem.

Jedenastego dnia podróży ponownie natrafili na tereny górzyste, które majaczyły w oddali już od kilku dni. Teraz spostrzegli jednak, że gdyby przyszło im zmagać się z nimi, mogliby natrafić na nie lada trudności. Góry były bowiem znacznie wyższe niż te, które spotkali w niedługo po opuszczeniu The Hub, bardziej strzeliste i kamieniste. Zmniejszyła się także temperatura powietrza, co wyszło na dobre podróżującym. Postanowili obejść góry, kierując się na północny-zachód. Niestety, jakiekolwiek ślady obecności mutantów, czy choćby zwierząt, zanikły niemal całkowicie.

Popołudniem natrafili na przeszkodę w ich wędrówce. Stali przed głęboką, okazałą przepaścią, którą od bardzo stromego stoku z lewej strony oddzielała wąska ścieżka. Wędrówka z prawej strony nie wchodziła w grę ze względu na zbyt kamieniste podłoże - bramin Harolda zwyczajnie nie ustałby na nogach. Nie mieli wyboru. Grupa zatrzymała się i naradzała.

- Na mrówczy odwłok, nie ma wyjścia, Haroldzie - mówił Ted. - Każdy bierze swój ekwipunek i idziemy gęsiego.

- A jeżeli ścieżka się zwęzi? - pytał Harold, niecierpliwie spoglądając w dół ogromnej dziury. - Co z wagonem? Virgil też może się nie zmieścić, nie mówiąc o tym, że na pewno się przestraszy. Podobnie zresztą, jak ja...

- Damy sobie radę - odrzekł Hardy. - Zajmiesz się braminem tak, by się nie zląkł. A my...

- Co!? Niby weźmiecie wózek w ręce? - zadrwił Harold.

- Dokładnie - odrzekł Zack. - Kiedyś już tak przechodziłem. Przy odpowiednim nachyleniu powinno się udać. Oczywiście musi zostać maksymalnie opróżniony. Ta dróżka nie jest długa - spojrzał przed siebie. - To raptem jakieś dwieście stóp.

- Poza tym nie zapominaj, Haroldzie, że wózek ma koła, a my mamy rozum - dodał Richard. - Bądź dobrej myśli.

- Aha, dobrej myśli - odrzekł Harold i westchnął. - Przy Młodym też miałem być dobrej myśli...

Członkowie wyprawy zaczęli wyciągać z przyczepy cały ekwipunek. Po kilku minutach pozostało w nim jedynie kilka manierek z wodą, które nie mieściły się już w dłoniach, a które Harold przymocował do prawej ścianki przyczepki. Po tym podszedł do bramina z płachtą. Poklepał go po

obu karkach i bez przerwy mówiąc założył woreczek na głowy. Virgil zadrżał niespokojnie, ale uspokajany głosem swego pana, zaczął za nim powoli dreptać. Pierwszy szedł doktor Grey, za nim Francine i młody Morton, którzy dźwigali ogromne działo Hardego. Następnie Harold i jego bramin, a za nimi Ted i Mark, którzy sterowali torem jazdy przyczepy. Pochód kończyli Hardy i Zack.
Pierwsze trzydzieści stóp przeszli bez przeszkód. Ścieżka była wąska, ale nie na tyle, by wózek nie mieścił się w niej. Harold również spokojnie szedł obok swojego bramina. Jednak już po chwili zaczęły się kłopoty. Mniej więcej w połowie drogi Harold był zmuszony wyprzedzić Virgila i, trzymając worek na jego głowach, iść tyłem. Richard, widząc to, puścił przodem Francine i Młodego, i asekurował karawaniarza. Mark, Zack i Hardy także zaczęli odczuwać zwężenie ścieżki. Ted wyszedł przed wózek. Mark doszedł do samego wózka, jako że najpierw dreptał przy rozdwojonym bolcu, który Harold zakładał braminowi tuż za zadem, i przyciągał go w swoją stronę. Zack szedł po stoku i tylko dzięki dobremu obuwiu nie przechylał się w stronę przepaści. Hardy prawą nogą zsuwał się już w dół, lecz zapierał się własną strzelbą. Obciążenie w postaci ekwipunku dodatkowo sprawiało, że marsz był szalenie niewygodny.

Nagle Hardy natrafił prawą nogą na obluzowany kamień. Krzyknął, łapiąc się koła przyczepy i zawisł. Zack zsunął się z pochylenia i ze wszystkich sił ciągnął wózek do siebie. Mark podskoczył do niego, Ted złapał za prowadnice, zastępując jego miejsce. Bramin Harolda wierzgnął i zaczął przeraźliwie wyć. Wpadł w szał i zaczął machać głowami, chcąc zedrzeć z siebie ciemny worek. Harold robił, co mógł, żeby go uspokoić.

- Richardzie! - krzyknął. - Musimy sprowadzić go do parteru!

- Jak?!

- Ciągnij kark ku ziemi!

Obaj mocowali się z okropnie silnym zwierzęciem. Po chwili bramin ustąpił i ukląkł na przednie kolana. Harold bez przerwy do niego mówił. Richard ostrożnie wyminął ich. Nagle bramin ponownie wierzgnął i trafił Teda w udo. Ted zachwiał się i niebezpiecznie przechylił nad urwisko. Richard doskoczył do niego i w ostatniej chwili pociągnął ku sobie, zapobiegając upadkowi w przepaść.

- Ted, trzymaj wózek! - powiedział.

Lekko zamroczony Ted kiwnął głową. Lekarz obszedł z prawej strony wózek trzymany za burtę przez Marka i Zacka i najszybciej jak mógł podszedł do Hardego. Lewą ręką złapał się wystającego głazu, a prawą podał Braverowi. Ten zawahał się.

- Nie bój się! - powiedział zdecydowanie.

Hardy spojrzał mu krótko w oczy i swoją lewą ręką chwycił Richarda. Przyczepa obsunęła się lekko. Hardy zadrżał, ale Richard go nie puścił. Braver wisiał teraz trzymając się lewą ręką lekarza, a prawą - koła przyczepy.

- Na mój znak puść wózek i złap za ten konar! - wskazał głową wystający z ziemi kikut zeschłego krzewu. Hardy kiwnął głową.

- Teraz!

Hardy puścił oponę. Richard całą swoją siłą przyciągnął go do siebie. Braver zadyndał niebezpiecznie nad przepaścią, ale złapał wystającego korzenia. Doktor Grey pomógł mu wspiąć się na ścieżkę. Po chwili obaj leżeli zmęczeni na dróżce. Usłyszeli rumor wciąganej na ścieżkę przyczepy przez Zacka, Marka i Teda. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Mam propozycję: wynośmy się stąd... - powiedział Harold, przerywając milczenie.

Richard kiwnął głową. Ustawili przyczepę w pozycji wygodnej do marszu - lewe koło jechało po stoku, a prawe po środku ścieżki, przez co wózek był mocno przechylony. Asekurowali go bardzo ostrożnie i zaczęli powoli poruszać się do przodu. Mijali właśnie najwęższy odcinek dróżki. Nagle wszyscy zamarli, gdy z góry zleciało kilka kamieni wielkości ludzkiej głowy. Góra była tutaj niemal pionowa. Zack zapukał lekko w obudowę przyczepy. Spojrzeli na niego, a on przyłożył palec wskazujący do ust. Dreptali niemal w miejscu, nie wydobywając z siebie nawet szeptu.
Richard spojrzał w kierunku, w którym szli. Zostało jakieś sześćdziesiąt stóp. Nagle zobaczył, że ze stoku wystaje ostro zakończona skała, akurat na wysokości jazdy przyczepy. Dojechali do

przeszkody. Za nią ścieżka znacznie się rozszerzała. Zatrzymali się i spojrzeli po sobie. Zack kiwnął ręką tak, by zbliżyli się ku niemu.

- Musimy postawić wózek na sztorc i przenieść go ręcznie - wyszeptał.

Tak zrobili. Richard został w tyle, a Mark i Ted, którzy szli z przodu przyczepy oraz Zack i Hardy z tyłu ostrożnie ustawili ją do pionu. Znaleźli sobie miejsca, za które mogli chwycić.

- Na mój znak podnosimy na dwa cale - szepnął Zack. - Trzy, dwa, jeden...

Podnieśli wózek na minimalną wysokość i zaczęli iść. Posuwali się do przodu dosłownie o pół stopy. W momencie mijania wystającej skały wózek zachybotał, ale zdołali zapobiec jego bardziej niebezpiecznej kołysce. W końcu minęli przeszkodę i zeszli ze ścieżki, za którą czekała już reszta grupy. Ulga odebrała im siły i chęć do rozmowy. Usiedli wokół przyczepy spoglądając na górę i przepaść. Nie mogli uwierzyć, że zdołali ją pokonać.

- Dziękuję, doktorze - powiedział Hardy i pociągnął łyk ze swojej menażki. - Po prostu... dziękuję...

- Ja również - dodał Ted. - Już drugi raz mnie pan ocalił...

Richard kiwnął głową i odrzekł:

- Jesteśmy jedną drużyną, tak?... Musimy sobie pomagać, żeby przetrwać.

Spojrzeli na bramina Virgila, który trząsł obiema głowami, szczęśliwy, że jego koszmar już się skończył. Nie miał pojęcia, jak podobnie czuli się ludzie, z którymi przyszło mu wędrować.

Obóz rozbili nieopodal niebezpiecznej ścieżki, w wyrwie skalnej. Płaski, kamienny teren był niezwykle wygodny. W nocy obudził ich nagły wstrząs. Zerwali się z swych prowizorycznych śpiworów, myśląc, że to atak bandytów lub mutantów. Jednak nikogo nie zauważyli w pobliżu. Nie słyszeli także wybuchów czy wystrzałów. Richard uspokoił grupę:

- Trzęsienie ziemi. To normalne w tych okolicach...

Jego słowa przerwał okropny hałas. Harold podskoczył do spłoszonego Virgila. Wszyscy spojrzeli w kierunku ścieżki, którą pokonali kilka godzin temu. Z góry spadały ogromne kamienie i głazy. Horrendalna lawina schodziła stokiem. Rumor był wielki, mimo że byli w dość znacznej odległości. Trwało to kilkanaście sekund.

- Chyba ktoś nie chce, żebyśmy tu przeżyli... - skwitował Harold. - Najwyraźniej te góry nas nie lubią.

Położyli się pod koce i już bez przygód przespali do rana.

Ruszyli dalej, gdy słońce było już dość wysoko. Mimo przygód i niebezpieczeństw, doktor Grey nie zapominał o celu wyprawy. Ślady mutantów bowiem zanikły, co wcale go nie zadowalało. Szli teraz kamienistą doliną w kierunku północno-zachodnim i nic wokoło nie wskazywało na ich obecność w tej okolicy. Podzielił się tymi wątpliwościami z resztą ekipy.

- Myśli pan, doktorze, że nasza marszruta zmierza w złym kierunku? - zapytał po chwili Ted O'Connor.

- Mam przeczucie, że nie podążamy właściwie - odrzekł Richard. - Cały czas mam wrażenie, że oddalamy się od naszego celu, a nie do niego zbliżamy. Coś nam umknęło, coś przeoczyliśmy. Ale co?...

- Jest jeden plus - powiedział Harold z swoim charakterystycznym uśmiechem. - Może zobaczymy ocean. Chętnie ległbym na plaży i zabrązowił sobie nieco swoją kredowo białą skórę. Hubiacy boją się umarlaków z północy, a sami wyglądają jak topiele...

Jak zwykle jedynie doktor Grey zachował powagę. Szli dalej w milczeniu, które po kilku minutach przerwał niespodziewanie młody Morton Carrie:

- Jak wyglądają ci mutanci? Tyle o nich mówimy, a ja jeszcze żadnego na oczy nie widziałem.

- I lepiej niech tak pozostanie - odrzekł mu Harold. - To chodzące, zielone, bezmózgie yeti. Wielkie jak cholera i równie głupie. Ich łapska są tak długie jak ty jesteś wysoki i grube jak pnie dorosłych drzew, a klaty mają okazalsze od całego Virgila. Wierz mi, nic przyjemnego do oglądania.

- Przemieszczają się w grupach? - zapytał Mark.

- Prawdopodobnie tak - odpowiedział doktor Grey. - Świadkowie twierdzą, że zwykle było ich więcej niż jeden. To pozwala wysunąć pewną teorię - dodał po chwili.

- Mianowicie? - zapytał Harold.

Doktor Richard poprawił okulary na spoconym nosie i odrzekł:

- To potwierdzałoby moje przypuszczenia, że to mogli być kiedyś normalni ludzie. Wskutek jakiegoś zewnętrznego czynnika zmutowali i przeobrazili się w humanoidy, które z człowieczeństwem mają wspólną jedynie wyprostowaną postawę...

- A i to nie zawsze - szepnął Harold do Hardego. - Wszyscy, których widziałem mieli pospuszczane łby, jakby im ktoś pięciokilowe odważniki do bród poprzywiązywał.

- ...i to, że chodzą na dwóch nogach. Natomiast to, że chodzą w grupach... Być może są to całe rodziny. Kiedyś zwyczajne, teraz - przeobrażone.

- To okrutne... - powiedziała cicho Francine.

- Ale co zmienia tych ludzi w potwory? Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć - zakończył lekarz i zatopił się we własnych myślach, pozwalając na to samo pozostałym.

Trzynastego dnia podróży wspięli się na niewielki pagórek, by zobaczyć z pewnej wysokości, gdzie mogą się teraz znajdować. To, co zobaczyli zaparło im dech w piersiach. Życzenie Harolda spełniło się - dotarli do oceanu. Był od nich oddalony o nie więcej niż sześć mil. Pagórek, z którego obserwowali ten niezwykły widok był jednym z ostatnich przed równiną, która dobiegała do samego morza. Kontemplację tego niezwykłego widoku przerwał traper Zack.

- Spójrzcie tam - wskazał ręką na północ, odejmując lornetkę od oczu.

To, co zobaczyli było równie ciekawe jak i samo morze. Był to obóz, w którym z pewnością żyli jacyś ludzie - z ogniska, które otaczały trzy namioty buchał ciemny dym. Nagle zobaczyli, że z jednego z nich wybiega dwójka małych dzieci, a za nią dorosła kobieta. Byli oddaleni o milę, może dwie - wystarczyło zejść ze wzgórza. Doktor Grey chwycił podawaną mu przez Zacka lornetkę, Harold patrzył przez swoją lunetę, zdemontowaną kiedyś ze zniszczonej broni jednego z uczestników jego karawany. Wszyscy spojrzeli na lekarza, po chwili zadecydował:

- Idziemy w odwiedziny.

Rozdział V: Hendersonowie

Ekspedycja doktora Greya zawitała do obozu późnym popołudniem. Dwie dziewczynki, które wesoło bawiły się w dogasającym słońcu, zauważyły przybyszów i pędem skierowały się do jednego z namiotów. Po chwili wyszła z niego kobieta ze strzelbą w rękach.

- Czego chcecie?! - krzyknęła, celując w ich kierunku. Hardy złapał za swoją broń, ale Richard powstrzymał go.

- Proszę się nas nie obawiać - powiedział w kierunku kobiety. - Nazywam się Richard Grey. Jesteśmy grupą badawczą i zbłądziliśmy. Chcielibyśmy uzyskać nieco informacji o naszym położeniu.

- Tak?! A czego niby tak usilnie szukacie?

- Zagrożenia, które może być niebezpieczne dla pani i pani córek - odrzekł lekarz, - a którym nie są bandyci ani dzikie zwierzęta. Proszę nam zaufać. Nie szukamy kłopotów ani ich nie sprowadzamy.

Kobieta zawahała się, chociaż wciąż podejrzliwie patrzyła w kierunku grupy. Broń wciąż była wycelowana w ich kierunku.

- Proszę mi uwierzyć, gdybyśmy chcieli zrobić pani krzywdę, już dawno zrobilibyśmy to. Jestem lekarzem, nigdy nie kłamię.

Kobieta opuściła broń.

- Jest pan lekarzem? - zapytała. - Naprawdę?

- Tak - odrzekł Richard.

Wciąż targały nią wyraźne wątpliwości, ale przemogła się i powiedziała:

- W takim razie... Może umiałby mi pan pomóc...

Richard zwrócił się do Harolda i powiedział cicho:

- Zaczekajcie tu chwilę.

Harold kiwnął głową. Doktor Grey wziął swoją torbę i podszedł do kobiety, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechnął się łagodnie, co i ona uczyniła.

- Pan... - zaczęła.

- Richard Grey - dokończył lekarz. - Proszę mi mówić po imieniu.

- Alice Henderson - odrzekła. - Skoro jest pan doktorem, to... może mógłby pan obejrzeć moje dziecko. Od kilku dni jest strasznie rozpalony, nocami płacze, czasem nawet się dusi. Nie wiem, co mam robić...

- Proszę mi je pokazać - odparł Richard.

Weszli oboje do namiotu. Richard spojrzał w kierunku dwu małych dziewczynek, siedzących po prawej stronie zaraz przy wejściu i uśmiechnął się. Były bardzo podobne do swojej mamy, która podeszła do łóżka przy ścianie naprzeciw drzwi frontowych. Doktor Grey założył okulary i spojrzał na noworodka, którego czerwona buzia odznaczała się na jasnej pościeli. Mały chłopczyk nie spał i z ciekawością przypatrywał się nieznajomemu człowiekowi. Był nad wyraz spokojny. Richard zaczął wykonywać serię rutynowych, fachowych czynności. Po kilku minutach oznajmił:

- To tylko poważniejsze przeziębienie. Dam mu coś na zbicie temperatury i na wzmocnienie. Musi po tym porządnie się wyspać i myślę, że jutro będzie już znacznie lepiej - sięgnął do swojej torby i wyjął mały słoiczek, z którego wyciągnął niewielką białą tabletkę. Rozkruszył ją w dłoni i powiedział do kobiety: - Proszę mu ją dać. Na swoim palcu, wtedy na pewno nie będzie się bał.

Alice Henderson dotknęła palcem języka, a następnie rozkruszonej tabletki i podała dziecku. Mały chłopczyk skrzywił się i zaczął machać rączkami. Matka dała mu jeszcze nieco wody. Nie rozpłakał się i nadal przypatrywał Richardowi.

- Proszę spróbować ułożyć go do snu - powiedział lekarz z łagodnym uśmiechem. - Będę czekał na zewnątrz.

Alice kiwnęła głową z wdzięcznością. Richard wyszedł z namiotu i udał się w kierunku reszty grupy. Po jakimś czasie kobieta wyszła z namiotu i podeszła do członków wyprawy. Za nią dreptały jej dwie córeczki.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedziała w kierunku Richarda, zmieszana obecnością tylu osób. - Już od bardzo dawna Adam nie usnął tak szybko i tak spokojnie.

- Jedyny sposób na podziękę, to mówić mi po imieniu - odrzekł lekarz z uśmiechem. - Chyba się już na to umawialiśmy, prawda?

Alice również się uśmiechnęła.

- Pozwól mi przedstawić uczestników naszej ekspedycji... - zaczął i po kolei prezentował ludzi, z którymi przybył. Na koniec Harold - jak to Harold - kucnął i posłał szeroki uśmiech w stronę dziewczynek.

- A wy jak macie na imię, aniołeczki? - zapytał wesoło. Dziewczynki, które dotąd skrywały się za maminą spódnicą, spłoszyły się i uciekły do namiotu. Wszyscy roześmiali się.

- Na mrówczy odwłok, Haroldzie, chyba nie masz podejścia do kobiet... - skwitował Ted.

Alice odpowiedziała za swoje córki:

- To Mischa i Monica. Niedługo powinien wrócić mój mąż, Woody. Na pewno również okaże panu... to znaczy tobie, wdzięczność.

Richard kiwnął głową i rzekł:

- Tymczasem, moglibyśmy tutaj odpocząć kilka godzin? Mieliśmy już kilka górskich przygód...

Mąż Alice, Woody Henderson, wrócił godzinę później. Zareagował bardzo podobnie do swojej żony, witając przybyszów wycelowaną bronią i szokiem wymalowanym na twarzy. Ta jednak szybko go uspokoiła i przedstawiła gości. Pan Henderson kiwał głową i szybko oddychał, ale wyraźnie uspokoił się dopiero, gdy Alice poinformowała go o interwencji doktora Greya względem ich syna. Wciąż pozostający w lekkim szoku podziękował lekarzowi:

- Bardzo dziękujemy. Już nie wiedzieliśmy, jak mu pomóc.

Richard kiwnął głową ze zrozumieniem.

Wieczorem zasiedli do wspólnej kolacji wokół ogniska, przygotowanej przez Alice. W trakcie posiłku wywiązała się rozmowa. Pytania przeważnie zadawał Harold, który zdawał się być zafascynowany rodziną, mieszkającą na pustkowiu. Wszyscy słuchali, lecz on w szczególności z ogromnym zaciekawieniem, o codziennym życiu Hendersonów, spędzaniu ich dni z dziećmi, zajęciach. W końcu powiedział:

- To zadziwiające, że są na tym świecie ludzie tacy jak wy. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Dlaczego? - zapytał pan Henderson.

- Wiele podróżuję i jeszcze nie spotkałem żadnego osadnika czy koczownika, który tak dzielnie i z uśmiechem znosiłby swój los - odrzekł. - Jesteście naprawdę wyjątkowi.

Hendersonowie uśmiechnęli się.

- Żyjemy jak umiemy najlepiej - odpowiedział Woody. - Mamy siebie, mamy wspaniałe dzieci. Mamy co jeść i gdzie żyć. Naprawdę niczego więcej nam nie potrzeba.

- Tak, po prostu jesteśmy szczęśliwi - dodała Alice i przytuliła się do swojego męża.

Richard przyglądał się im w milczeniu, ale po chwili zapytał:

- A w jaki sposób w ogóle się tu pojawiliście?

- Urodziliśmy się jeszcze przed wojną - odparł Woody. - Później przebywaliśmy w schronie przeciwatomowym pod samą granicą z Meksykiem. Tam się poznaliśmy jeszcze jako małe dzieci. Po wyjściu mieliśmy po siedemnaście lat. Ruszyliśmy na północ i osiedliśmy tutaj.

- Nie myśleliście nigdy o tym, by przenieść się do jakiejś osady?

- Nie. Dobrze nam tutaj - odpowiedziała Alice. - A wiemy od różnych podróżników, że miasta i tereny wokół nich są niebezpieczne. Bandyci, jakieś mutanty... Nie możemy narażać naszych dzieci...

Nagle przerwała, gdyż na te słowa cała ekspedycja zamarła w bezruchu. Co ciekawe Woody też był zdziwiony.

- Czy... powiedziałam coś nie tak? - zapytała lekko wystraszona.

- Powiedziałaś: *mutanty*? - zapytał Harold, patrząc na nią szeroko otwartymi oczyma..

Alice kiwnęła głową i odrzekła:

- Tak, opowiadali o nich członkowie karawany, która przechodziła niedaleko kilka dni temu.

- Czy mówili jak wyglądali? - zapytał doktor Grey

- Tak, że byli wielcy, przypominający ludzi, ale zieloni. I podobno bardzo niebezpieczni, mówili, że mogą z łatwością zrobić krzywdę...

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? - przerwał jej mąż.

- Mówiłam ci o tej karawanie, Woody...

- Ale nie o żadnych mutantach!...

- Spokojnie, na pewno twoja... - odrzekł doktor Grey.

- Jak mogę być spokojny, kiedy właśnie ich widziałem!

Wszyscy zamilkli.

- Kiedy? - zapytał cicho lekarz.

- Dzisiaj - odrzekł Woody. - Widziałem ich, gdy wracałem znad morza. Szli na północ. Dwaj, wielcy i zieloni. Przestraszyłem się nie na żarty, ale gdy dotarłem tutaj jeszcze bardziej na wasz widok i wypadło mi to z głowy.

- Czy byli agresywni?

- Raczej nie, po prostu szli. Skryłem się i obserwowałem ich z daleka. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem - dokończył szeptem.

Harold spojrzał na Richarda, który rzekł:

- To jest cel naszej wyprawy. Szukamy zmutowanych ludzi, którzy sieją spustoszenie w okolicach ruin Los Angeles i The Hub. Ogromnych, zielonoskórych humanoidów i miejsca, z którego pochodzą.

- Ale coś jest nie tak - powiedział Harold. - Dlaczego idą na północ, skoro według naszych danych powinny stamtąd przybywać?

Richard nie odpowiedział, ale odezwał się Woody:

- Myślę, że oni wracali. Rankiem zauważyłem wielkie ślady. Wyglądały jak stopy, ale pomyślałem, że przecież nie ma tak ogromnych ludzi. Były skierowane na południe, ale zbagatelizowałem to. No ale popołudniu wszystko jakby się uzupełniło. Te potwory szły najpierw na południe, a później wracały.
Wszyscy zamilkli.
- W tym wypadku chyba nie będziemy mieli wyjścia - powiedział Woody po chwili. - Będziemy musieli się przenieść.
- Ale gdzie?... - odrzekła Alice cichym głosem. - Sam powiedziałeś, że szli z północy. I oni mówią, że stamtąd pochodzą - wskazała ręką na Harolda i Richarda. - Gdzie chcesz uciec, pytam?! - zdenerwowała się. Usłyszeli płacz dziecka. Alice wstała i weszła do namiotu.
Woody spuścił głowę. Richard spojrzał na niego i rzekł spokojnie:
- Ruszajcie na południe. I to jak najszybciej zdołacie. Myślę, że tam będzie najbezpieczniej.
Woody kiwnął głową w milczeniu.
- Nigdy wcześniej nie natrafiłeś na ich ślady? - zapytał lekarz.
- Nie - odrzekł i westchnął. - A było już tak pięknie...
Richard złapał go za ramię i spojrzał w oczy.
- I będzie. Uwierz w to. Rano pokazałbyś nam te ślady?
Woody ponownie tylko kiwnął głową.
- Po tym przekonaj żonę do opuszczenia tego miejsca. Bardzo cię kocha i posłucha. Teraz po prostu było to dla niej szokiem.
Członkowie wyprawy byli niemniej poruszeni od Woody'ego i Alice. W końcu ujrzeli światełko w tunelu.

Wczesnym rankiem Woody zaprowadził ekspedycję doktora Greya na miejsce pochodu mutantów. Przypatrzyli się śladom. Bardzo przypominały te, które znaleźli na wzgórzach niedaleko The Hub. Wreszcie znaleźli jakieś konkrety. Wrócili z panem Hendersonem do jego obozu. Alice już nie spała, ale była w złym humorze. Szybko podziękowali za gościnę i pożegnali się, ruszając na północ. Na spotkanie z przeciwnikiem. Oby…

Rozdział VI: Nareszcie

"Czwarty czerwca. Mijają dokładnie dwa tygodnie od naszego wyjścia z The Hub. Wierzę, że teraz, gdy w końcu natrafiliśmy na ślady mutantów, ekspedycja ruszy z miejsca w bardziej żwawym tempie. Uciekająca nadzieja zawróciła i uderzyła w nasze głowy ze zdwojoną mocą. Oby szczęście dopisywało tak nam jak i Hendersonom, ostatnim szczęśliwym ludziom na tym świecie."
Doktor Richard zamknął swój notatnik i zapatrzył się w ogień watry. Trzymał wartę po całym dniu bardzo szybkiej wędrówki. Teren nie był najbardziej sprzyjający do marszu, ale nie był też najgorszy, dlatego wyprawa narzuciła sobie ostre tempo. Z gór, które mieli po swojej lewej stronie wiał łagodny, chłodny wiatr, kojący ciała wędrowców, rozgrzane wiosennym, ale mocno grzejącym słońcem.

Trasa była kręta, jako że, za radą Woody'ego Hendersona, podążali tuż obok stoków. Niektóre wzgórza znacznie występowały z szeregu stojących na baczność wierchów, toteż trzeba było je omijać. To w konsekwencji zabierało więcej czasu. Nie chcieli jednak wkraczać w góry, co chyba zrozumiałe po niedawnych przygodach, więc trzymali się zaplanowanego sposobu pokonania tej trasy.
Jeżeli dotąd doktor Grey narzekał na brak śladów bytności mutantów, to teraz nie miał do tego prawa. Zadziwiające było jednak to, jak wiele szkód potrafią wyrządzić zaledwie dwa stwory. Uczestnicy wyprawy natrafiali na coraz częstsze obozy mutantów, a raczej ich zgliszcza. Wyglądały one bowiem, jak po przejściu potężnego huraganu. To, co zobaczyli na wzgórzach niedaleko The Hub było zaledwie przedsmakiem, tego, czego mieli okazję być świadkami tutaj. Potężnie zaorane podłoże, na głębokość przynajmniej jednej stopy, ogromne sosny połamane jak zapałki lub

powyrywane z całym bukietem korzeni, skały ogromne jak bramin Harolda, wyrwane z ziemi i ciśnięte na ogromną odległość lub wbite między drzewa - to tylko najpoważniejsze szkody wyrządzane przez mutantów, a które spotkali na swojej drodze. Robiło to na nich ogromne, piorunujące wrażenie, ale jednocześnie wzbudzało trwogę i prawdziwy strach. I masę pytań, z czego najważniejszym było chyba - czy na pewno są tylko dwa?

Szóstego dnia takiej wędrówki byli zmuszeni zmienić nieco kierunek marszu na północno-wschodni. Natrafili bowiem na strzelisty szczyt, który ogromną przepaścią, jeszcze większą niż ta w pobliżu domu Hendersonów, skutecznie odcinał im drogę obejścia góry od zachodu. Przeszli zatem przez przełęcz pełną zaschniętych, straszących pozostałości wielkich, wiekowych sekwoi, które nie oparły się palącemu wiatru. A grzało tutaj niemiłosiernie - tuż za przełęczą ujrzeli bowiem istne pustkowie, ogromną, gorącą pustynię, która buchała na nich żarem z otchłani swego gorącego gardła. Wydawało się, że chłodny górski wiatr nie chce dotrzeć dotąd w obawie, że się poparzy. Musieli się zatrzymać, bo temperatura była naprawdę nieznośna, w dodatku w środku dnia. Ruszyli dopiero późnym popołudniem i zmuszeni byli do marszu w nocy.
Nad ranem dotarli do kolejnej przełęczy i po krótkiej naradzie zdecydowali, że z powrotem wejdą w góry. Ślady mutantów nie były już tak częste, więc warto było poszukać ich właśnie między wzgórzami. Postój zrobili około południa w cieniu gór na klepisku, które kiedyś mogło być bujnie obrośniętą polaną. Ruszyli po około trzech godzinach. Trasa była tu znacznie prostsza niż w górach, które przyszło im już pokonywać, nawet bramin Harolda mógł wygodnie ciągnąć swój wagonik, toteż tempo, jak na góry, było naprawdę niezłe. Noc spędzili pod gołym rozgwieżdżonym niebem na podobnej polanie, co kilka godzin wcześniej.

Następny dzień rozpoczął się od zdania wypowiedzianego przez Harolda, a które zatrwożyło pozostałych:
- Panowie, będziemy musieli pobawić się w wielbłądów - zaczyna kończyć nam się woda.
Wszyscy spojrzeli po sobie z obawą. Doktor Grey widząc to starał się uspokoić członków wyprawy:
- Spokojnie - powiedział - faktycznie, coraz więcej menażek jest pustych, ale nie ma jeszcze powodu do paniki. Nie mniej jednak musimy lepiej racjonować naszymi zapasami.
- Zostawmy bramina - odrzekł Hardy. - On też pije, a przecież każdy może wziąć swój sprzęt i porcję wody i iść dalej bez wagonu.
Harold spiorunował go wzrokiem.
- A może zostawimy ciebie?! - odburknął. - Też pijesz, a twoja broń, którą ciągnie Virgil, waży więcej niż wszystkie menażki na początku wyprawy!...
- Panowie, panowie… - ostro przerwał tę wymianę zdań Richard. - Nie dość macie problemów?! Kłótnia w niczym tu nie pomoże!
Hardy i Harold patrzyli na siebie krzywo, ale uspokoili się. Po chwili lekarz zarządził wymarsz i ekspedycja ruszyła dalej.

Wędrówka w górach mogła trwać w ciągu dnia. Wiatr chłodził głowy, rozpalone słońcem i emocjami, więc szło się dobrze. Podczas postoju doktor Grey poprosił Zacka Icereefa o pomoc w podzieleniu zapasów wody. Nie zrobił tego rano, bo wiedział, że Harold i Braver mogliby poważnie się pokłócić. Uspokojeni kilkugodzinnym marszem, nie mieli ochoty na przeliczanie. Zatem wspólnie z traperem rozporządzili nimi w najbardziej sprawiedliwy sposób. Tego dnia szli do
późna - ze względu na stosunkowo długi postój, ale i brak odpowiedniego miejsca na nocleg. Na domiar złego w nocy niebo przesłoniły chmury i zaczęło padać do samego rana. Zaiste dziwną jest pogoda w górach…
Ranek przywitał ich ostrym słońcem, jednak wczesnym popołudniem, gdy byli na skraju ogromnego klepiska - można powiedzieć: stepu w górach, powietrze zrobiło się strasznie parne i duszące, i po niecałym kwadransie rozszalała się potężna nawałnica. Ekspedycja musiała przystanąć, gdyż przez ścianę deszczu widzieli raptem na kilka metrów do przodu. Poza tym

grzmoty, potęgowane echem, porządnie wystraszyły bramina Harolda, który odmówił posłuszeństwa i nie chciał iść dalej. Schowali się pod skalną półką i czekali.
Dopiero po ponad trzech godzinach burza ustała. Wspólnie zadecydowali, że zdążą przed zmrokiem ujść jeszcze kawałek drogi. Zack Icereef swoim zwyczajem sprawdzał jaką trasą najlepiej będzie podążyć, reszta zbierała ekwipunek. Po chwili traper przybiegł z powrotem z przejęciem wypisanym na twarzy.

- Doktorze - powiedział cicho, - musi pan to zobaczyć.

Richard poszedł za nim, podobnie jak pozostali. Zaledwie sto stóp od półki skalnej, pod którą przeczekali burzę, za niewielkim pagórkiem droga zaczęła opadać. Na jej końcu, kilkaset metrów niżej zobaczyli ruiny miasta. Pośród resztek ścian ktoś się poruszał. Doktor Grey wziął lornetkę i spojrzał w dół. Z wrażenia zacisnął mocno ręce na urządzeniu. Trzy ogromne, zielone mutanty biegały za sobą między murami, rzucając w siebie kamieniami wielkości ich głów i najwyraźniej dobrze się bawiąc..

- *Nareszcie*!... - wyszeptał tonem pełnym ulgi i podniecenia.. - W końcu ich znaleźliśmy... Kucnijcie wszyscy!...

Członkowie wyprawy na klęczkach starali się dojrzeć, co dzieje się u podnóża góry, na której się znajdowali.

- Co robimy? - spytał Harold, który odjął od oczu swoją lunetę.

- Poczekamy - odparł lekarz. - Teraz już możemy czekać. Poczekamy i poobserwujemy ich.

- A w nocy? - zapytał Ted. - Mogą dać nogę i znów ich zgubimy.

Doktor Grey zwrócił się w stronę Zacka.

- Jak długo zajęłoby nam dotarcie do tych ruin? - zapytał.

Traper rozejrzał się i stwierdził:

- Myślę, że około trzech godzin. - Spojrzał na bramina Harolda i dodał: - Może czterech.

- W porządku - odrzekł Richard. - Dzisiaj zostajemy tutaj i patrzymy. Jutro o świcie zejdziemy tam, ale nie wszyscy. Mark, Francine i Morton - zwrócił się do nich - zostaniecie tutaj z Virgilem. Nie możemy pozwolić, żeby jego obecność wykryła naszą przed mutantami. W razie czego macie broń. I głowę na karku. Zostawimy wam też lornetkę - w razie niebezpieczeństwa, szybko schodźcie na dół.

- Skąd pewność, że dojdziemy tam zanim oni nas nie zauważą? - zapytał Hardy.

- Myślę, że to byli kiedyś ludzie, a zwykli ludzie przeważnie śpią w nocy - odrzekł lekarz i spojrzał w kierunku ruin dawnego miasta. - Zwłaszcza po tak intensywnych zabawach.

Jeden z mutantów uderzał właśnie głową w solidny, betonowy słup.

Resztę dnia doktor Grey i pozostali członkowie jego wyprawy spędzili na obserwacji mutantów. Lekarz miał sposobność do bardziej obfitego zapełnienia swojego dziennika. Przygotowali ekwipunek - a tak naprawdę jedynie broń - i poszli spać, jednak sen tej nocy trwał niezwykle krótko. Być może z powodu podniecenia, które ogarnęło całą wyprawę. Obudzili się, gdy gwiazdy jeszcze mrugały do nich z nieba i zaczęli schodzić łagodnym stokiem w kierunku ruin miasta. Widzieli je dość dobrze w delikatnym blasku ubywającego księżyca, a z każdą następną minutą rosło w ich oczach coraz bardziej. Nie było aż tak zniszczone, jak te, które Harold miał okazję zobaczyć w ciągu swojej kariery karawaniarza. Zachowały się niektóre szyldy dawnych sklepów, a nawet wygasłe neony. Było jednak całkowicie opustoszałe.
Dotarli do miasta, gdy niebo było już blado-różowe. Weszli między ruiny od południowego wschodu i zaczęli obchodzić je od miejsca, w którym kilkanaście godzin wcześniej wesoło bawiła się trójka mutantów. Spojrzeli na zniszczenia, które poczyniły. Nagle doktor Grey zatrzymał pochód i wskazał ręką na północ w głąb ruin. Jakieś tysiąc stóp od nich, na końcu dawnej szerokiej ulicy, zauważyli unoszący się dym z wygasłego ogniska, które mutanci rozpalili wczoraj wieczorem. Trójka stworów spała wokół watry. Szeptem zwrócił się do Hardego i Zacka:

- Co proponujecie? Jakich podejść?

- Rozdzielmy się i idźmy po obu stronach tej alei - odrzekł Hardy, poprawiając swoje ogromne działo na ramieniu, a robił to już od jakiegoś czasu. Zack przytaknął.

- Tak, w razie czego możemy szybko skryć się między ruinami - dodał.

Tak zrobili. On, Richard i Harold poszli prawą stroną ulicy, Ted i Hardy - lewą. Bardzo powoli i jeszcze ciszej zbliżali się do unoszącego się dymu. Wszyscy, oprócz doktora Greya, mieli w dłoniach broń. Przeszli już połowę trasy, gdy nagle Hardy, ponownie układając oręż na barku, potknął się i upuścił ją na ziemię z ogromnym łoskotem. Zamarli w bezruchu i automatycznie spojrzeli w kierunku mutantów. Jeden z nich poruszył się niespokojnie i nagle podniósł wielką głowę. Leżał na brzuchu odwrócony w przeciwną stronę, więc od razu nie spojrzał w tam, gdzie stali uczestnicy ekspedycji, ale już po chwili zaczął wstawać. Wtedy Richard pociągnął Zacka i Harolda ku sobie. Szybko poszli za nim i ukryli się za ścianą. Lekarz spojrzał na Teda i Hardego, który starał się podnieść upuszczoną broń. Zaczął machać ręką, żeby ją zostawił. Ted pociągnął go za barki do tyłu i wspólnie ukryli się w ruinach dawnego sklepu odzieżowego. Działo zostało na ziemi. Czekali w milczeniu, nasłuchując.

Po chwili ich uszu dobiegło szuranie ciężkich nóg po resztkach asfaltowego podłoża. Mutant powoli przemierzał alejkę, najwyraźniej w poszukiwaniu źródła hałasu, który go obudził. Doszedł na wysokość kryjówki ekspedycji i rozejrzał się. Był po prostu ogromny - jego głowa była dwa razy większa od ludzkiej, ręce przypominały młode sekwoje, tors był potężny i wielki jak pół bramina, a stopą mógłby wgnieść człowieka w ziemię. Stał tak i rozglądał się wokoło. Odszedł jeszcze kawałek i nagle... zaczął oddawać mocz. Harold spojrzał na doktora Greya, który tylko lekko potrząsnął głową i wciąż bacznie obserwował mutanta. Po kilku minutach tego przedstawienia Harold nie wytrzymał i szepnął:

- Nawet Virgil nie ma takiego spustu. Co on wydoił - całą rzekę?...

Richard przytknął palec do ust. Mutant skończył i zaczął iść z powrotem w kierunku miejsca, gdzie spali jego towarzysze. Jednak wtedy po raz pierwszy opuścił wzrok ku ziemi i zauważył leżącą broń Hardego. Podszedł do niej. Doktor Grey usłyszał bicie własnego serca, chociaż nie był pewny, czy to aby nie Harolda. Razem z Zackiem patrzyli, co zrobi mutant.

Zielony stwór pochylił się nad bronią i przez długą chwilę przypatrywał się jej z ogromnym zaciekawieniem. Po chwili zaczął badać ją swymi wielkimi niczym okna dłońmi i w końcu postanowił ją podnieść. Wyślizgnęła mu się jednak z rąk i upadła, hałasując przy tym podobnie jak kilka minut wcześniej. Mutant chyba jednak nie skojarzył tych dwóch incydentów i podniósł ją raz jeszcze jakby to było piórko. Niosąc przed sobą na obu rękach powędrował w kierunku śpiących jeszcze towarzyszy. Położył broń na ziemi, usiadł przed nią "po turecku" i zaczął wnikliwie obserwować.

Doktor Grey szepnął do Harolda i Zacka:

- Musimy podejść bliżej, stąd niewiele widać.

- Możemy pójść tyłem tych budynków - odrzekł traper, - wszystko i tak jest zniszczone, w ścianach są dziury. Przejdziemy przez nie.

Doktor Grey kiwnął głową, ale Harold był bardziej sceptyczny:

- No nie wiem. To może być naprawdę niebezpieczne...

- Będzie dobrze - odparł lekarz. - Nie ujawnimy się. Poza tym mamy jeszcze swoją broń. Jeśli ich nie zranimy, to na pewno wystraszymy.

Po tych słowach kiwnął w kierunku Teda i Hardego po drugiej stronie ulicy, pokazując jak umiał najlepiej, by szli okrężną drogą. Zrozumieli i po chwili obie grupki na palcach opuściły dotychczasowe kryjówki, kierując się bliżej miejsca spoczynku mutantów. Szli najostrożniej jak potrafili, byle tylko nie wydobyć najcichszego dźwięku. Grupka doktora Greya wyszła przez ogromną wyrwę we wschodniej ścianie budynku i powoli omijała kolejne przeszkody: połamane meble, zniszczone sprzęty, przewrócone latarnie uliczne i wszechobecne gruzy. Minęli jeszcze jeden niski budynek i szeroki stary magazyn. Na jego końcu była ulica. Doktor Grey wyjrzał zza węgła i spojrzał w lewo. Tuż przy przeciwległym rogu był obóz mutantów. Ten, który znalazł broń Hardego właśnie drapał się po głowie, całkowicie zajęty badaniem działa. Postanowili wejść do magazynu. Cofnęli się nieco i weszli przez drzwi pośrodku budynku. W środku gdzieniegdzie ustawione były jeszcze puste palety, jednak nie stanowiły one takiej przeszkody jak sufit, który swoje miejsce znalazł na podłodze. Po kilku minutach udało im się pokonać istny labirynt zrujnowanego stropu i dotarli do okna mniej więcej w połowie północnej ściany magazynu. Stąd mieli już dobry widok na zielone potwory.

Po kilkunastu minutach obserwacji Zack szepnął:

- Pójdę zobaczyć, co z resztą - i wskazał ręką na okno umiejscowione podobnie, lecz na zachodniej ścianie. Richard kiwnął głową. Harold szepnął do niego, spoglądając to na mutantów, to na skradającego się Zacka:

- I co dalej? Bliżej już chyba nie da się podejść.

- Popatrzymy - odrzekł lekarz. - Tutaj raczej nie wejdą, jest dość nisko i wszystko zawalone. Nie byłoby co niszczyć.

- No tak - powiedział Harold. - Dzień bez zabawy, to dzień stracony.

Po chwili Zack wrócił i rzekł:

- Siedzą na dachu dawnego sex shopu.

Harold pokręcił głową i szepnął:

- Cholera... A my w śmierdzącym magazynie... I to bez dachu...

Obserwowali bawiącego się mutanta przez bardzo długi czas. Wykonywał przy tym przedziwne ruchy - nagle uderzał się w głowę, albo walił pięściami w klatkę piersiową. Badanie broni pochłonęło go jednak całkowicie. Jego towarzysze pogrążeni byli we śnie i całkowicie się nie ruszali.

Nagle ciszę przerwał nagły wystrzał i przeraźliwy ryk, aż Richard, Harold i Zack odruchowo schylili głowy. Mutant, który znalazł działo Hardego, odnalazł spust i postanowił sprawdzić do czego służy. Jednak na swoje nieszczęście trzymał dłoń na wylocie lufy. Wystrzał rozerwał mu ją. Dwa pozostałe mutanty zerwały się na równe nogi, spojrzały na towarzysza i również zaczęły wrzeszczeć, wykrzykując w kierunku postrzelonego: "głupi Matt! głupi Matt!". Mutant nazwany Mattem patrzył się z przerażeniem na krew sączącą się z tego, co pozostało z jego dłoni, pozostałe dwa zaczęły biegać wokół niego. Były przerażone. Mutant Matt zrobił się bladozielony. Jeden z biegających wokół niego zbliżył się ku niemu, rozerwał płachtę, którą był przepasany i próbował zawiązać na okaleczonej ręce Matta. On jednak nie był chętny do współpracy, wykrzykując: "boli! Betty! boli!... domu! domu!... boli!". Betty uderzyła go mocno w głowę i krzyknęła:

- Pomogę! Głupi Matt!...

Matt chyba zrozumiał, zacisnął zęby i pozwolił opatrzyć się towarzyszce. Doktor Grey zauważył, że wyglądała ona dokładnie jak i on - nie było żadnych różnic w anatomii ich nagich klatek piersiowych. Trzeci mutant natomiast zbliżył się do broni Hardego i schylił się ku niej. Matt zauważył to i z rykiem odrzucił go od niej. Błyskawicznie zapomniał o bólu, dysząc wściekle i piorunując wzrokiem kompana. Ten jednak nie chciał oddać działa bez walki i po chwili oba mutanty zaczęły bić się ze sobą. Betty wrzeszczała, ale stała obok - chyba bała się wkroczyć między dwóch taranów. Po chwili jednak złapała za broń i zaczęła z nią uciekać. Przemknęła obok okna, przy którym kucali Richard, Harold i Zack. Chwilę później walczący mutanci z rykiem pobiegli za nią. Lekarz zerwał się na równe nogi i machnął ręką na towarzyszy. W trójkę podbiegli do drzwi. Richard wyjrzał na zewnątrz i po chwili pobiegli w stronę ulicy. Ponownie wychylili się zza węgła, obserwując drogę. Mutantów już nie było, choć jeszcze ich słyszeli.

- Co teraz? - zapytał Harold.

Richard przeżywał wewnętrzną rozterkę. Przecież nie mógł zostawić trójki młodych wędrowców gdzieś na górze, ale druga taka okazja może się już nie nadarzyć. W końcu powiedział:

- Trzeba iść po Teda i Vincenta...

- Już nie trzeba - dobiegł go głos z lewej strony. Był to Ted. Hardy szedł tuż obok niego. - Ładne przedstawienie, prawda? Na mrówczy odwłok! Hardy z wrażenia wybombał całą piersiówkę... Idziemy za nimi?

- Chodźmy - odrzekł Richard. - Młodzi są tam bezpieczni. Wrócimy po nich. Musimy się dowiedzieć dokąd biegną tamci...

Szczęk broni przerwał jego wypowiedź. Richard był pewien, że to któryś z jego kompanów, jednak gdy spojrzał na Harolda, domyślił się, że to żaden z członków wyprawy. Odwrócił się. Przed nimi stało czterech mężczyzn w czarnych strojach ze strzelbami wycelowanymi w ich stronę. Każdy miał na piersi namalowaną na biało literę "V".

- Nie ruszać się! - krzyknął najwyższy z nich, stojący pośrodku i z zaciekawieniem

obserwujący członków ekspedycji. - Rzucić broń!
Tak uczynili. Trójka złoczyńców podbiegł i odebrała ich oręż.
- Ciebie też to dotyczy - dodał bandyta. - Rzuć broń, Hardy...

Rozdział VII: Sekret Hardego

Wszyscy członkowie wyprawy spojrzeli na niego z ogromnym zdziwieniem. Szybko ustępowało ono zrozumieniu. Harold, gdyby nie podniesione ręce, z pewnością skoczyłby do gardła Braverowi. Doktor Grey spuścił wzrok.
- Na początku chciałbym podziękować za przepędzenie tych zielonych dziwolągów - powiedział herszt bandytów. - Nie macie co za nimi biec. Są tępi i będą przed sobą uciekać dopóki nie padną ze zmęczenia. Witam w skromnych progach filii gangu Vipersów. Jestem kapitan Vidall i postaram się ugościć was w należyty sposób.
Po tych słowach przeładował swoją strzelbę i zbliżył się do ekspedycji. Podszedł do Hardego i spojrzał na niego. Braver stał wyprostowany z wściekłym spojrzeniem w oczach.
- Witaj, Hardy - powiedział Vidall. - Minęło trochę czasu, co? Cóż za ironia!... Bez zbędnych ceregieli zapytam: albo stajesz się synem marnotrawnym i wspaniałomyślnie ci wybaczam, albo giniesz z tą swoją hałastrą... Więc?
Hardy milczał wpatrując się w niego. Po chwili odrzekł:
- Wiesz, Vidall, że z tym skończyłem...
Herszt gangu przerwał mu ostrym śmiechem. Jego kompani dołączyli do niego.
- ale... - dokończył Hardy - jak widać nie mam wyjścia.
Rozerwał czarną koszulę i pięścią dotknął wytatuowanej na klatce piersiowej litery "V". Po chwili podszedł do reszty bandytów. Vidall uśmiechnął się tryumfalnie i zaczął przypatrywać się kolejnym członkom wyprawy. Zatrzymał się chwilę przy Tedzie, ale stanął dopiero przy Haroldzie i powiedział:
- Ciebie też znam! Na twoje karawany kilka razy zdarzyło nam się napaść. Cóż za ironia! - powtórzył, a w Haroldzie krew zagotowała się. - Wtedy, dzięki swojej ochronie byłeś górą, a teraz...
- Też będę... Tylko jeszcze o tym nie wiesz... - wycedził przez zęby Harold.
Vidall spojrzał na niego i po raz kolejny roześmiał się swoim przeszywającym śmiechem.
- Kapitanie... - zaczął doktor Grey, nie chcąc bardziej zaogniać sytuacji. - Nie chcemy żadnych kłopotów. Zależy nam tylko na mutantach...
Vidall roześmiał się ponownie, a jego kompani zawtórowali mu drugi raz.
- Na mutantach?! - zdziwił się kapitan. - Komu zależy na mutantach?!
- Jesteśmy grupą badawczą - wyjaśnił Richard. - Chcemy odkryć miejsce ich pochodzenia...
- Miejsce pochodzenia?! - odrzekł zaskoczony Vidall. - Wojna jest miejscem ich pochodzenia. Ot, co - promieniowanie i te wszystkie inne sprawy. I cała zagadka rozwiązana! He he he... A teraz, droga grupa badawczo, powiem wprost: albo staniecie się częścią naszego pradawnego rytuału, albo zostaniecie unicestwieni. Ale... jeszcze jedno mnie interesuje - przerwał i zwrócił się do Bravera: - Hardy, mój stary druhu, jakżeś znalazł się w tej, jak to nazywacie, grupie badawczej?
- Z rekrutacji - odrzekł krótko Hardy.
- Ach... - odrzekł Vidall, kiwając głową i uśmiechając się szyderczo. - W każdym razie, dziękuję, że uraczyłeś nas darmową kolacją. Szczury już nam zbrzydły...
Doktor Grey, Harold, Zack i Ted zbledli. Vidall dostrzegł to i kolejny raz parsknął śmiechem.
- To był żart. Jesteśmy łupieżcami, a nie kanibalami. Moja propozycja jest prosta: dołączacie do nas, albo giniecie.
- Goń się, obdartusie - odrzekł Harold, cedząc słowa przez zęby. - Wolę zginąć niż napadać na niewinnych ludzi.
Vidall podszedł do niego na bliską odległość. Zdawało się, że zaraz między ich spojrzeniami zaczną błyskać iskry.
- Ciebie zostawię sobie na deser... - szepnął. Harold napluł mu w twarz. Vidall otarł się

i pięścią uderzył go w brzuch. Harold zgiął się w pół i upadł.

- Reszta "grupy badawczej" jakiego jest zdania?! - krzyknął. Nikt nie odpowiedział. Vidall podszedł do swoich towarzyszy i stanął tuż przed Hardym.

- Milczenie oznacza zgodę na śmierć - powiedział cicho i dał znak reszcie gangu. Podnieśli broń. Członkowie wyprawy spuścili wzrok.

- Ale dlaczego?... - powiedział doktor Grey. - Co wam z tego przyjdzie? Dlaczego nie możecie nas puścić?

- Jedynie satysfakcja, doktorku - odparł Vidall. - Takie już mamy zasady. Albo jesteś z nami, albo nie ma cię w ogóle. Proste.

- Proste? - odparł Richard. - W świecie zniszczonym wojną? Mało wam było zabijania? Mało wam jeszcze, gdy straciliście rodziny, przyjaciół? Takie są wasze zasady?!

- Tak! Właśnie takie! - krzyknął kapitan Vidall. - A tobie nic do tego. Dalsza dyskusja jest bezzasadna.

Machnął ręką na swoich towarzyszy. Doktor Grey, słysząc szczęk przeładowywanej broni, zamknął oczy. Jednak nie usłyszał wystrzału. Podniósł wzrok i... zobaczył Hardego, przykładającego strzelbę do tyłu głowy Vidalla. Reszta gangu celowała już w niego.

- Ręce do góry - powiedział cicho Hardy.

- Nie wiesz, co robisz, głupcze... - zaczął Vidall, ale Hardy szturchnął go lufą w potylicę.

- Ręce! - krzyknął.

Vidall rzucił broń i podniósł ręce w górę. Reszta gangu, wyraźnie zdezorientowana, zupełnie nie wiedziała, co robić.

- Teraz puścisz ich wolno - rzekł Hardy.

Vidall pokręcił głową i odrzekł:

- Teraz... zginiesz!

Bandyta błyskawicznie odwrócił się i chwycił za broń Hardego. Zaczęli się szamotać. Vidall krzyknął:

- Zabić ich!!!

Członkowie gangu wycelowali w stronę Richarda, Teda i Zacka. Zanim wystrzelili, członkowie wyprawy padli na ziemię. Leżący Harold z krzykiem na ustach rzucił się na jednego z bandytów. Złapał go w pół i powalił na glebę zanim ten się zorientował. Rozległy się kolejne strzały, ale z przeciwnej strony. Doktor Grey podniósł głowę i zauważył w oddali trzy sylwetki. Po chwili ktoś pociągnął go za koszulę. To był Zack. Lekarz zorientował się i szybko wstał. Chwilę później leżał już z nim i Tedem za rogiem magazynu. Wyjrzał za mur. Dwaj bandyci byli martwi. Harold tłukł trzeciego po głowie kolbą jego własnej broni, siedząc na nim okrakiem. Hardy wciąż mocował się z Vidallem. Z drugiego końca uliczki nadbiegali Mark, Francine i Młody. Po chwili rozległ się strzał. Hardy i Vidall przestali się ruszać.

Richard podbiegł do Bravera i herszta bandytów, który na nim leżał. Ściągnął z Hardego zwłoki kapitana Vidalla.

- Nic ci nie jest? - zapytał lekarz.

Hardy potrząsnął głową przecząco i dźwignął się na łokciach. Harold zszedł z bandyty, którego okładał i krzyknął:

- Nie!? No to zaraz będzie!

Rzucił się na Hardego. Richard powstrzymał go.

- Hej! Hej! Już po wszystkim! - krzyczał. Mark i Zack podbiegli i również starali się powstrzymać wściekłego Harolda, który wił się jak wąż, wrzeszcząc:

- Pieprzony bandyto! Zabiję cię!!!

- Haroldzie!!! - wrzasnął doktor Grey.

- Nie!!! Tym razem nie odpuszczę! - krzyczał Harold. - Od początku czułem, że coś z nim nie tak! To dlatego nie chciał nocować wtedy w gruzach! Wiedział, że mogą tam czaić się jego dawni kumple!...

- Haroldzie!...

- Nie! Nie masz pojęcia, ile straciłem przez takich jak on! Ile wycierpiałem! Ile nieszczęść

musiałem oglądać!...

- Haroldzie! On się zmienił! - powiedział Richard. - Skończył z tym!...

- Oni nigdy się nie zmieniają! - przerwał mu Harold, który nieco opadł z sił. - Są jak ich tatuaże - na zawsze! I bandytą też jest się na zawsze!... Do końca życia!...

- Ted!... - powiedziała nagle Francine, zakrywając usta dłonią.

Wszyscy spojrzeli na Teda, który celował z rewolweru w Hardego. W oczach miał łzy, a na twarzy wymalowała mu się wściekłość. Oddychał bardzo szybko i kręcił głową.

- Zabiliście moją żonę!... I syna!... Teraz już pamiętam... Byłeś wtedy z nimi... I ten... - wskazał głową na ciało Vidalla. - Nie daruję ci tego, rozumiesz?... Nie daruję...

Pociągnął za kurek, ładując pistolet. Wtedy Richard klęknął przed jego lufą, osłaniając własnym ciałem leżącego Hardego.

- Niech pan mnie nie powstrzymuje, doktorze... - szepnął Ted.

- Słuchaj, jeżeli chcesz go zastrzelić, to musisz najpierw zabić mnie! - krzyknął lekarz.

Ted zamarł. Harold uspokoił się całkowicie.

- Ręczę za niego własną osobą!... - szepnął Richard. - Wierzę, że nie jest bandytą. Sam to udowodnił, nie widzieliście tego? Jeżeli on jest zły, to ja również!...

Ted wpatrywał się w niego w milczeniu. Po chwili opuścił broń. Doktor Grey wstał i odwrócił się w stronę Vincenta Bravera. Podał mu rękę i pomógł się podnieść. Nastała cisza, którą przerwał Hardy:

- Panie doktorze - wychrypiał. - Jeżeli taka jest ich wola, niech mnie zabiją. Ta wyprawa miała być zadośćuczynieniem... Moją pokutą za wszystkie złe rzeczy, które uczyniłem... - wyjął z kabury rewolwer i wręczył Haroldowi. - Oddaję się całkowicie pod waszą wolę... - po ostatnich słowach spuścił głowę.

Richard spojrzał na Harolda, który tępo spoglądał na broń Hardego. Rozejrzał się wokoło, popatrzył na martwe ciała bandytów. Spojrzał na Bravera i oddał mu pistolet. Bez słowa odwrócił się i odszedł na kilka kroków. Francine podeszła do niego i przytuliła go. Ted rozpłakał się. Doktor Grey wyszeptał:

- Chodźmy stąd... Mark, gdzie jest bramin?

- Przywiązaliśmy go zaraz przy wejściu do miasta - odrzekł Mark. - Obserwowaliśmy wasz pochód z góry - klepnął ręką lornetkę, wiszącą na jego szyi. - Oni pojawili się znikąd - wskazał ręką na bandytów - chyba z jakiegoś budynku. Czyhali na odpowiedni moment. Nie mogliśmy czekać i czym prędzej do was zeszliśmy. Dałem swój pistolet Mortonowi. Tylko, że... zostawiliśmy wózek na górze. Nie było już czasu... Wzięliśmy jedynie trochę amunicji i torbę pana doktora.

Doktor Grey kiwnął głową. Zack podszedł do niego i powiedział:

- Może mieli tu jakąś kryjówkę. Kilku łyków wody bym nie odmówił, a po nasze zapasy chyba jednak nie będziemy wracać.

Richard spojrzał na Hardego.

- Wiem, gdzie mogliby uwić gniazdo. Idźcie za mną - odrzekł Braver.

Zgarnął swoją broń z ziemi i ruszył między ruiny budynków. Doktor Grey podniósł okulary z ziemi i poszedł tuż za nim, zostawiając pole bitwy bez jednego spojrzenia. Pozostali uczynili podobnie, choć Ted i Harold byli nieobecni myślami.

Kryjówkę łupieżców znaleźli szybko w starej wytwórni konserw. Wyglądało na to, że musieli obozować tu już dość długo, gdyż sprawiała wrażenie użytkowanej od kawałka czasu. Znaleźli sporo różnego rodzaju amunicji oraz zapuszkowaną żywność. Był też hydrant. Doktor Grey sprawdził najpierw zdatność spożycia wody licznikiem Geigera. Wszystko było w porządku. Nabrali tyle, ile zdołali unieść. Ruszyli, gdy odpoczęli po pełnym przeżyć poranku dwudziestego trzeciego dnia podróży.

Przez ten czas prawie w ogóle nie odzywali się do siebie. Każdy na swój sposób przeżywał ostatnie wydarzenia. Harold bez przerwy spacerował, Ted płakał, wpatrując się w zniszczone zdjęcia swoich bliskich, Hardy siedział samotnie w kącie. Doktor Grey starał się zaopiekować młodym Mortonem, który pierwszy raz w życiu miał w ręku broń i jeszcze się trząsł. Mark i Francine jakoś dawali radę, ale byli wyciszeni.

Opuścili miasto północną stroną, starając się iść śladami trójki znajomych mutantów. Z początku nie było to trudne, lecz po jakimś czasie trop zaczął się zacierać. Stanowiły go jedynie nieliczne ślady krwi zranionego mutanta Matta, gdyż wiatr zdołał przysypać piaskiem znaki ich pochodu. Po dwóch godzinach marszu odnaleźli broń Hardego i pozostałości bytności mutantów, które wskazywały, że udały się na wschód. Nie było to zachęcające, ale nie mieli wyjścia i musieli zmienić kierunek marszu. Hardy długo kontemplował nad swoim działem i w końcu postanowił zabrać je ze sobą, mimo że nie miał już do niego amunicji - została w wózku, który porzucili. Sporo naboi pozostało jednak w magazynku - najwyraźniej mutanci wystraszyli się broni i postanowili ją porzucić, nie pociągając więcej za cyngiel.

Popołudniem ślady krwi nasiliły się, a do nosów członków wyprawy doszedł w pewnym momencie dziwny, duszący zapach. Po kilku minutach spostrzegli jego źródło - był to mutant Matt, leżący martwy w wyschłej kałuży swojej krwi.

- Na mrówczy odwłok... - powiedział pod nosem Ted.

Widok był naprawdę osobliwy. Oto stali nad ponad trzymetrowym, leżącym na brzuchu gigantem. Głowę miał przekręconą w prawo. Twarz była oblepiona piaskiem zmieszanym z krwią. Mutant wyglądał jakby dostał jeszcze przed śmiercią kilka potężnych razów w głowę.

Doktor Grey z największym zainteresowaniem i ostrożnością oglądał mutanta, notując w swoim dzienniku wszelkie godne uwagi szczegóły. Dotykał go w różnych miejscach, wyjmował ze swojej torby różne przyrządy i butelki z roztworami, którymi skrapiał ciało Matta. Pozostali byli nie mniej ciekawi niż on.

- Ile on może ważyć? - zapytał Harold, oglądając zranione ramię stwora.

- Myślę, że nie mniej niż trzysta kilogramów - odrzekł Richard.

- Ale z bliska wydaje się być mniej zielony, prawda? - zapytała Francine.

- Zgadza się, skóra jest raczej szara, albo stalowa - kiwnął głową lekarz. - Zielony jest jakby odcieniem. Choć nie jestem pewien, czy to nie na skutek śmierci...

Przerwał, gdyż z jego torby, którą przysunął bardzo blisko mutanta, zaczął wydobywać się dziwny dźwięk.

- To licznik Geigera - powiedział Richard, wyjmując urządzenie. - Nie wyłączyłem go. To znaczy, że Matt jest napromieniowany. I to przynajmniej na cztery, albo pięć radów.

- Czy to dużo? - zapytał Ted.

- Stosunkowo niewiele, jak na tak potężne stworzenie - odrzekł lekarz i sięgnął ponownie do torby. Wyjął prostokątne, bordowe etui i rozpiął je. Wydobył skalpel.

- Tylko mi nie mów, że będziesz go kroił!... - powiedział Harold ze zniesmaczoną miną. Richard spojrzał na niego i uśmiechnął się. Spróbował wbić specjalistyczny nóż w okolice nerek, ale twarda jak kamień skóra stawiała bardzo duży opór. Członkowie wyprawy stali zbici w grupie w milczeniu obserwując poczynania swojego lidera. Po kilku próbach doktor Grey zaprzestał i obszedł mutanta dwa razy. Spojrzał na resztę ekipy i rzekł:

- Musimy go odwrócić.

- Ja się na to nie piszę... - odrzekł Harold, podnosząc ręce. - Nie namówisz mnie, nie tym razem.

Hardy podszedł do lekarza i powiedział:

- Czy nie zostaniemy napromieniowani przez kontakt z nim?

- Raczej wątpię, a jeżeli nawet to w nieszkodliwym stopniu - odrzekł doktor Grey.

Ted, Zack i Mark podeszli do mutanta. Richard wepchnął lewą rękę Matta pod jego ciało najgłębiej jak mógł i powiedział do Hardego:

- Vincencie, czy możemy użyć twojej broni?

Hardy podał działko lekarzowi, który obszedł zwłoki i kolbę broni umiejscowił pod ciałem na wysokości brzucha.

- To będzie na zasadzie dźwigni. Na mój znak pchamy do przodu.

Członkowie wyprawy podeszli do lekarza i ustawili się w szeregu przed ciałem mutanta.

- Uwaga: trzy, dwa, jeden, teraz!...

Doktor Grey pociągnął broń do góry, a reszta pchnęła mutanta. Dzięki podłożonej ręce z drugiej

strony, zręcznie obrócił się on na plecy. Kosztowało to ich jednak niemało wysiłku.

- Uff, ponad czterysta kilo... Z pewnością - wysapał doktor Grey i przyjrzał się mutantowi.

Z frontu Matt prezentował się jeszcze okazalej. Potężny tors, przypominający przód czołgu, cały ubabrany był w piasku. Podobnie jak zmasakrowana twarz, która podczas okręcania mutanta odwróciła się w stronę stojących opodal Harolda, Francine, zasłaniającą twarz dłonią, i bladego jak ściana Mortona, który na ten widok nie wytrzymał, odbiegł na kawałek i zwymiotował.

Doktor Grey zajął się badaniem głowy Matta. Po kilku chwilach jednak pokręcił ze zrezygnowaniem głową i zbliżył się do nagiej klatki piersiowej stwora. Próbował wbijać skalpel w ciało, ale i tutaj skóra była skrajnie odporna na ostrze skalpela. W końcu z impetem wbił nóż w bok mutanta. Zrobił to z taką mocą, że Francine aż krzyknęła, a Młodemu zrobiło się niedobrze po raz wtóry. Pozostali też mieli nietęgie miny i odsunęli się od lekarza na pewną odległość. Richard natomiast pochłonięty był rozcinaniem twardej skóry Matta. Wykonał nacięcie na około dwa cale szerokości i rozwarł je palcami. Przez chwilę mocował się z ciałem mutanta, ale w końcu dał za wygraną. Pot lał mu się z czoła.

- Nie dam rady z tej strony - powiedział, ocierając twarz rękawem. - Jedyne miejsce, które może być na tyle delikatne, aby dostać się do niego to genitalia, ale...

- Nie, nie, nie! - przerwał mu Harold. - Oszczędź nam tego, dobrze? Niech sobie... spoczywa w spokoju!

- Ale, Haroldzie, mogę nie mieć już takiej okazji zbadania tak zmutowanego człowieka... - zaczął lekarz, ale takim tonem, jakby sam nie był do końca przekonany, co do swojej racji.

- Trudno! Trudno!... - Harold był zniecierpliwiony i zdeterminowany. - Idziemy stąd, już dosyć się naoglądaliśmy! Kto jest "za"?

Mark i Francine ponieśli ręce.

- Masz mój głos - odrzekł Ted.

- I moje dwa... - dodał słabym głosem młody Morton.

- Widzisz, jesteś przegłosowany! - powiedział wyraźnie uradowany Harold. - Spadamy stąd...

Richard kiwnął głową i po raz ostatni przypatrzył się wielkiemu, martwemu ciału mutanta Matta. Po chwili wspólnie uzgodnili kierunek podróży i ruszyli dalej. Doktor Grey miał teraz dość materiału do analizy i głowę pełną pytań.

Rozdział VIII: Starzy znajomi

Szli dalej na północny wschód. Obóz rozbili nieopodal koryta wyschłej rzeki u stóp pojedynczego pagórka. Ruszyli o świcie następnego dnia. Krajobraz powoli się zmieniał. Z górzystego przechodził na równinny, choć pojedyncze wzgórza jeszcze gdzieniegdzie się trafiały. Step sprzyjał wędrówce, ale nastroje niespecjalnie, toteż tempo nie było zawrotne.

Każdy miał powody do dumania i pogrążony był we własnych myślach. Harold i Ted nie odezwali się ani słowem do Hardego od incydentu w ruinach miasta. Harold teraz w ogóle niewiele mówił. Z reguły odpowiadał na pytania, samemu nie wszczynając rozmowy. Było to zupełnie nie w stylu młodego karawaniarza, może dlatego, bez jego nieustannej gadaniny, czas znacznie się dłużył. Często za to szeptał coś do swojego bramina, Virgila.

Doktor Grey natomiast, zwykle wyciszony, teraz pochłonięty był analizą krótkiego badania martwego mutanta i zatopiony we własnych myślach czasem nie słyszał nawet pytań rzucanych przez przyjaciół w jego kierunku. Niemal bez przerwy coś notował, obliczał, rysował. Swoimi wnioskami podzielił się w końcu wieczorem, dwa dni po napotkaniu na ciało mutanta Matta. Wywiązała się wtedy rozmowa właśnie o nim.

- Ciekawe, co mogło stać się przyczyną jego mutacji? - zastanawiał się Harold. - Jeśli z normalnego człowieka stał się takim wielkim stworem. I do tego głupim jak but...

- Nie takim znowu głupim - powiedział Richard, odrywając wzrok od notatek. - W końcu kobieta mutant, Betty, wpadła na pomysł zabrania broni, prawda? Moim zdaniem instynkt samozachowawczy pozostał, ale resztki, nazwijmy to, "ludzkiego" myślenia od czasu do czasu dają

o sobie znać.

- Co pan tak ciągle oblicza, panie doktorze? - zapytał młody Morton Carrie po chwili.

- Staram się obliczyć jak bardzo mutacja zmieniła człowieka w takie monstrum - odparł Richard. - Procentowo. I jeżeli się nie mylę, to wychodzi na to, że mięśnie stanowią ponad trzy czwarte jego struktury.

- Wcale się nie dziwię - odrzekł Harold. - Byle słabeusz nie rzuci kamieniem wielkości połowy bramina...

- Czynnik mutagenny musiał zmienić strukturę komórkową - ciągnął dalej lekarz. - Nie wiem, czy to zauważyliście, ale on bardzo szybko zaczął się rozkładać. Z zewnątrz co prawda skóra była bardzo twarda, co sugerowałoby wysychanie ciała, ale taki proces trwa naprawdę bardzo długo. W środku zaś jego organy były już w zaawansowanej fazie rozkładu. Zapach - dodał, wyjaśniając pytające spojrzenia reszty wyprawy.

- Hmm, to w takim razie po co rozwalili mu łeb? - zapytał Hardy.

- Myślę, że to właśnie resztka myślenia ludzi - odrzekł doktor Grey. - Choć okrutna - pozostali prawdopodobnie nie chcieli, żeby dłużej się męczył, albo nie chcieli, żeby ich dłużej męczył. Domyślili się, że nie przeżyje i przyspieszyli jego śmierć.

- A dokąd się udali? - traper Zack spojrzał na lekarza.

- Do domu, jak krzyczał Matt - odpowiedział Richard. - Jeżeli napotkamy ich ślad, doprowadzą nas do miejsca, gdzie się zrodzili... nie, raczej powinienem powiedzieć: gdzie powstali.

- Dobrze, tylko, co wtedy? Hmm?... - zapytał retorycznie Harold.

Ruszyli następnego dnia z samego rana. Na początku mieli mały problem z obraniem kierunku podróży. W końcu zdecydowali się iść swobodnie, tak jak zrobiliby to mutanci - możliwie najprościej i najwygodniej. Na ten pomysł wpadł oczywiście doktor Grey. Tak zatem zrobili - wybierali ścieżki niewkraczające zbyt we wzgórza, ani niewybiegające na gorący step. Przyniosło to rezultat już po dwóch godzinach marszu - napotkali znajomo rozoraną wielkimi stopami ziemię i trzymali się tego śladu przez cały dzień, idąc w szybkim tempie. Kierunek pochodu zmienił się z północnego na północno zachodni.

Dwudziesty szósty dzień ekspedycji rozpoczął się bardzo wcześnie. Pogoda nieco się zmieniła - słońce nie grzało już tak bardzo jak dotąd, niebo przysłoniły chmury i zaczął wiać lekki, orzeźwiający wiatr z zachodu. Wyprawa narzuciła sobie ostre tempo, które opłaciło się na godzinę po południowym postoju. Schodzili wtedy z bardzo rozległego wzgórza, łagodnym stokiem po jego zachodniej stronie, gdy nagle traper Zack, idący jak zwykle na czele, zatrzymał pochód i przywołał do siebie doktora Greya. Para znajomych mutantów, byłych towarzyszów nieżyjącego Matta, spacerem podążała tą samą ścieżką, co ekspedycja, kilkaset metrów przed nią.

- Świetnie - powiedział Richard, spoglądając na mutantów przez lornetkę. - Teraz nie możemy stracić ich z oczu.

- Chyba nie przejęli się śmiercią swojego kompana - dodał Harold, mrużąc oczy, by lepiej dostrzec mutanty, które szły jeden za drugim.

- Możliwe, że o nim zapomniały - odrzekł doktor Grey. - Wydaje się, że to, przez co zmutowali, ma bardzo duży wpływ na mózg człowieka...

- A jeśli zapomnieli, gdzie mają iść? - zapytał Mark. - I wywiodą nas gdzieś na pustkowie?

- Jeśli nawet ich mentalność jest teraz na poziomie zwierząt, to wciąż pozostał instynkt - odparł lekarz. - A on nie pozwoli im zginąć. Chodźmy.

Ruszyli dalej, ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi mutantów. Choć po kilkunastu minutach marszu zorientowali się, że tylko potężnym hałasem mogliby tego dokonać. Betty i jej towarzysz nie mieli bowiem w zwyczaju oglądania się za siebie. Ich wzrok skierowany był cały czas przed siebie, czasem jedynie wymieniali między sobą kilka zdań. A raczej prawdopodobnie dwuwyrazowych równoważników zdań, bo nic nie wskazywało na to, żeby zwiększyli swoją inteligencję po zaledwie trzech dniach. Szli tak praktycznie cały dzień, schodząc ze wzgórza. Pod wieczór, gdy słońce było już za horyzontem, a pagórek zamienił się w step, upstrzony gdzieniegdzie pojedynczymi wyschłymi drzewami, zaczęło się jednak coś psuć w ich relacjach. Członkowie

wyprawy z daleka spoglądali jak coraz ostrzej ze sobą rozmawiają. Betty wskazywała ręką w kierunku północnym, zaś jej towarzysz na zachód. Po chwili doszło do rękoczynów. Mutanci wymienili kilka razów, krzycząc coś do siebie. W końcu uspokoili się, przeszli jeszcze kawałek i tak jak stali, tak też położyli się na ziemi i prawdopodobnie usnęli. Ekspedycja również postanowiła rozbić obóz w miejscu skąd mieli dobry widok na oba stworzenia.
Następny dzień rozpoczął się od kolejnej kłótni mutantów. Tym razem trwała ona znacznie dłużej, choć do wymiany ciosów nie doszło. Po prawie pół godzinie towarzysz Betty najwyraźniej machnął na nią ręką i zaczął po prostu iść przed siebie. Ona zaś, po chwili namysłu udała się za nim, jednak bez przerwy coś krzyczała i pokazywała ręką na północ. On jednak szedł uporczywie na zachód. I szedł bardzo szybko. Członkowie ekspedycji musieli niemal truchtać, by dotrzymać im kroku - oczywiście kilkaset metrów za nimi. Najgorzej znosił to bramin Harolda, który wyraźnie męczył się w okropnym upale, który powrócił rozgrzewając głowy wędrowcom. Doktor Grey jednak kategorycznie zadecydował, że zdają się całkowicie na to, co postanowią mutanci i prowadził pochód wraz z traperem Zackiem. Szli zaś po popękanym, gorącym stepie. Zdawało się, że niedługo wchłonie on wędrowników w swą nieprzebraną otchłań. Ukrop był nie do wytrzymania. Tego dnia zużyli najwięcej wody w ciągu jednego dnia od momentu opuszczenia The Hub.
Mutanci jednak, a w zasadzie towarzysz Betty, byli uparci i brnęli dalej. Zatrzymali się, gdy mrok był na tyle gęsty, że nawet ekspedycji trudno już było ich dojrzeć. Doktor Grey odetchnął z ulgą, gdy oba mutanty padły na ziemię i pogrążyły się we śnie. Reszta ekipy uczyniła podobnie.

Kolejny dzień przywitał ich chłodnym, orzeźwiającym wiatrem od zachodu i następną kłótnią mutantów. Tym razem towarzysz Betty musiał już zrobić jej dużą krzywdę, gdyż ta przez długi okres czasu nie podnosiła się po jego uderzeniu. W końcu jednak wstała i z opuszczoną głową udała się za swym kompanem. Trzymała się cały czas za brzuch. Richard czuł jednak, że jej wędrówka nie będzie trwała długo. Nie mylił się.
Około południa tego parnego dnia członkowie ekspedycji zauważyli majaczące w oddali niewielkie, zarośnięte drzewami wzgórze. Po około godzinie dotarli pod nie śladami mutantów. Dosłownie śladami, gdyż zauważyli na ziemi plamy krwi. Z Betty najwidoczniej było coraz gorzej. Weszli na wzgórze. Byli na szczycie, kiedy to się stało. Zobaczyli stąd jak towarzysz Betty stoi nad nią leżącą i ogromnym głazem w rękach bije ją po klatce piersiowej. Członkowie wyprawy zamarli. Betty próbowała się jeszcze bronić, ale po kilku chwilach odpuściła. Przestała się ruszać. Jej towarzysz odrzucił kamień na bok i przez moment patrzył się na nią. Zaraz potem ruszył na zachód, znikając między drzewami i kolejnym rosnącym wzgórzem.
Traper Icereef już zaczął schodzić po łagodnym stoku, gdy Richard powiedział:
- Zack, poczekaj.
Zatrzymał się bez słowa i spojrzał na lekarza.
- Odczekajmy chwilę, aż ten drugi odejdzie - rzekł doktor Grey. - Chcę dokładniej przyjrzeć się martwej Betty.
- No nie, jeszcze ci mało po tym pierwszym? - zapytał Harold z niesmakiem wypisanym na twarzy.
- Nie musicie tego oglądać - odparł Richard. - Tak będzie nawet lepiej - bardziej się skupię, gdy będę sam. A chcę to zrobić, bo jej twarz i głowa jest na pewno mniej uszkodzona niż Matta.
- A czy będziemy wiedzieć jak iść dalej? - zapytał Ted.
- Myślę, że będziemy musieli się cofnąć - odrzekł lekarz. - Betty ciągle pokazywała na północ, a ja jakoś jej bardziej wierzę. Tamten jej nie słuchał, my posłuchamy.
Po tych słowach odczekali kilkanaście minut, obserwując z dala teren. Betty leżała samotnie, na wznak, rozpostarta u stóp obu wzgórz. W końcu doktor Grey postanowił, że udadzą się do niej. Zeszli łagodnym stokiem i po chwili byli już przy niej.
- Miejcie oczy otwarte - powiedział i podszedł do martwego mutanta. Pozostali oddalili się i nieco rozproszyli. Harold i Ted zajęli się chudnącym w oczach braminem karawaniarza. Mark, Francine i Morton odwrócili się plecami do doktora, byle tylko nie spoglądać na to, co robi. Hardy i Zack zdawali się pełnić wartę - Braver w miejscu przejścia ostatniego z trójki znajomych mutantów, Icereef zaś ze wzgórza, z którego schodzili.

Doktor Grey poprawił okulary na nosie. Miał teraz okazję naprawdę blisko przyjrzeć się martwemu mutantowi. Wykonał te same badania, co Mattowi, ale dłużej i dokładniej. W końcu postanowił rozciąć martwą Betty. Tym razem udało mu się. Członkowie wyprawy jak jeden mąż odwrócili głowy. Richard natomiast pochłonięty był egzaminowaniem wnętrza zmutowanej Betty. Trwało to dobre trzydzieści minut, gdy nagle bramin Harolda poruszył się niespokojnie.

- Co jest, Virgil?... - zapytał Harold, który chyba zdrzemnął się, oparty o zwierzę.

Virgil wstał na równe nogi i zaczął wyć. Wszyscy patrzyli jak Harold próbuje uspokoić bramina, ale widocznie sobie nie radzi. Ted i Zack doskoczyli do niego, Richard przerwał swoje czynności. Nagle bramin wyrwał się z uchwytu trzech mężczyzn i ruszył w stronę Hardego.

- Virgil, stój! - krzyknął Harold, ruszając za nim.

Hardy spojrzał się na bramina i gdy ten był blisko chciał pchnąć go tak, by się przewrócił. Zwierzę było jednak znacznie silniejsze i odtrąciło Bravera. Nagle Virgil uspokoił się i zapatrzył przed siebie. Harold podbiegł do niego.

- Hej, staruszku, co jest? - szeptał Harold, gładząc go po obu głowach. - Czego się tak przestraszyłeś? Powiedz staremu kumplowi, co cię tak....

Okropny wrzask nie dał mu dokończyć. Zza drzew wyłonił się jedyny ocalały z trójki mutantów i z wściekłością ruszył na stojących obok siebie Harolda, Hardego i Virgila. Bramin również zawył i pognał w kierunku mutanta. Harold zamarł w bezruchu. Hardy przeładował ogromne działo i wycelował w mutanta.

- Nie w Virgila! - krzyknął Harold.

Hardy czekał, patrząc na mutanta. Ten złapał bramina, uniósł go nad głowę i rzucił o pobliskie drzewo.

- Nie!!! - wrzasnął Harold i krzyknął do Hardego: - Strzelaj!

Hardy pociągnął za spust. Seria z karabinu poniosła się echem po lesie. Nie trafił. Mutant z rykiem ruszył na niego. Hardy pchnął Harolda i obaj padli na ziemię. Mutant minął ich i również się przewrócił, potykając o konar. Wstał i akurat spojrzał w kierunku Richarda, który zszokowany i zakrwawiony stał nad ciałem Betty. Mutant wydał z siebie okropny ryk i pognał w jego stronę.

- Doktorze!... - krzyknął Ted, który stał najbliżej.

Richard podbiegł do niego. Mutant ponownie się przewrócił. Ted stanął przed Richardem i wyjął broń.

- Niech pan ucieka! - krzyknął.

Wycelował w kierunku mutanta i strzelił kilka razy. Stwora tylko rozsierdziły strzały O'Connora. Podbiegł do niego i trzepnął nim tak potężnie, aż Ted odleciał na kilka metrów w górę i uderzył w drzewo. Padł nieprzytomny. Richard spojrzał na mutanta, ten na niego. Potwór wrzasnął i ruszył w kierunku lekarza. Huk wystrzału ponownie rozdarł powietrze. Tym razem to Zack wypalił do mutanta ze swojego karabinu myśliwskiego. To już zrobiło wrażenie na zielonym stworze. Zachwiał się i spojrzał na klatkę piersiową, z której sączyła się krew. Dotknął rany i z przerażeniem popatrzył na zakrwawioną dłoń. Zack przeładował i wystrzelił ponownie. Mutant dostał w brzuch. Rozległ się szczęk przeładowywanej broni z lewej strony. Hardy stał ze strasznie wykrzywioną miną i wielką bronią gotową do użycia. Mutant spojrzał na niego i obrócił się. Nie zdążył jednak dać nawet kroku, gdy Hardy pociągnął za spust. Seria z działa dosłownie rozpruła mutanta, pozbawiając go połowy torsu. W końcu zrobiło się cicho.

Widok był przerażający, a zapach trudny do zniesienia. Po stoku płynęła rzeka krwi z ciała zabitego towarzysza leżącej nieopodal Betty. Harold klęczał przy swoim braminie. Hardy wpatrzony był w swoją broń. Zack podszedł do płaczących jak dzieci Marka i Francine i półprzytomnego Młodego.

Doktor Grey otrząsnął się z szoku i podbiegł do Teda. Żył, był bardzo blady.

- Ted, słyszysz mnie? - zapytał lekarz.

- Tak... - szepnął O'Connor słabym głosem.

- Nie martw się. Jakoś z tego wyjdziesz...

Ted przerwał mu.

- Nie muszę... Dług spłacony...
Richard przez chwilę nie wiedział, o czym mówi i patrzył się na niego bez słowa. W końcu zrozumiał.
- Nie mów tak - powiedział cicho. - Wykaraskasz się. Nie mogę stracić najodważniejszego z moich strażników...
- Niech pan... powie Braverowi... - jego głos słabnął - nie mam żalu... Po tym, co zrobił dzisiaj... i parę dni temu... nie mogę mieć...
Richardowi wzruszenie odebrało głos. Skinął jedynie głową.
- Maggie, już wracam...
Doktor Grey zamknął mu oczy i otarł łzy z swojej twarzy.

Rozdział IX: Na pustyni

Morale wśród uczestników ekspedycji doktora Greya było niskie. Jeszcze przed wyruszeniem zarówno on, jak i Harold ostrzegali i byli świadomi, że nie wszyscy mogą powrócić z niej żywi. Jednak tak naprawdę nie chcieli dopuszczać do siebie tej myśli. Nikt nie chciał. Teraz jednak wszystko się odmieniło. Starli się z brutalną rzeczywistością, twardym, bezwzględnym pustkowiem. I mutantami.
Na feralnym wzgórzu spędzili jeszcze kilka godzin. Pochowali Teda O'Connora i bramina Harolda, Virgila, który również nie przeżył. Groby kopali gołymi rękoma i kolbami swych broni.
Harold prawie załamał się po śmierci swego przyjaciela. Richard odkąd poznał Harolda widział go zawsze razem z Virgilem. Byli zżyci i naprawdę się rozumieli. Może to dziwne mówić w ten sposób o zwykłym zwierzęciu, jednakże młody karawaniarz bardzo przeżył odejście swojego bramina.

Ruszyli dalej późnym popołudniem, obierając po naradzie kierunek północno-wschodni. Okrążali pechowe wzgórze od północy. Nie było trudne do obejścia, lecz trudne do zniesienia po ostatnich wydarzeniach. Członkowie wyprawy nie odzywali się prawie w ogóle - tylko w razie potrzeby. Obóz rozbili u stóp wzniesienia przy jego bardziej stromym stoku.
Kolejny dzień powitał ich okropnym gorącem, buchającym na nich od wschodu. Wkraczali na szczerą pustynię, lity i bezlitosny step. Wiedzieli, że będzie to najtrudniejszy etap ich podróży. Byli zmęczeni i przygnębieni, zapasy wody kurczyły się w szybkim tempie, jakby pustkowie podstępnie i niezauważalnie opróżniało im manierki, a na dodatek nie wiedzieli, jak długo będą się musieli z nim zmagać. Nie napawało to optymizmem, ale, chcąc nie chcąc, szli dalej.
Tego dnia doktor Grey przyjrzał się swoim notatkom. Miał znacznie więcej materiału do analizy po zbadaniu zwłok mutanta Betty. Jednak to, czego został świadkiem podczas studiowania jej ciała, czasem było tak nielogiczne, że miał spore kłopoty z pojęciem na jakiej zasadzie funkcjonują te istoty. I przede wszystkim - co je w takim stopniu zmieniło? Chciał podzielić się swymi uwagami z pozostałymi, ale zauważył, że audytorium byłoby w tym momencie mało uważne i na razie skupił się na wyciąganiu wniosków dla siebie.
Wędrówka postępowała. Czas dłużył się niemiłosiernie w wycieńczającym upale. Lekki wiatr nie dawał orzeźwienia, ale na szczęście nie potęgował ukropu. Góry wciąż jeszcze majaczyły w oddali i zdawało się, że pustkowie czuje przed nimi respekt, nie pozwalając sobie na wykończenie maszerujących po nim ludzi. Był to zdecydowanie najdłuższy dzień podczas ich wyprawy.

Nadszedł trzydziesty dzień podróży. Doktor Grey wiedział o tym dokładnie i powoli tracił nadzieję, że po tak długim okresie wędrówki uda im się natrafić na coś więcej niż tylko kilka mutantów gdzieś na pustyni. Owszem, materiał zgromadzony podczas jego badań był ciekawy, ale tak naprawdę niewiele dawał. Jedynie kilka informacji na temat ich anatomii, która okazywała się niezwykle podobna do ludzkiej. Natomiast nic o pochodzeniu.
Rankiem tuż przed wyruszeniem w dalszą podróż podzielił się tą refleksją z pozostałymi. Po chwili milczenia Harold powiedział:
- Nie możemy teraz zrezygnować. Nie po tym wszystkim. To byłoby nie w porządku wobec

Teda i Virgila.

- Haroldzie, ja naprawdę... *nie wiem*, co mamy robić... - odrzekł Richard i spojrzał na niego ze zrezygnowaniem. - Gdzie iść? I czego tak naprawdę szukać?...

Harold patrzył na niego, nic nie mówiąc. Po chwili zwrócił się do pozostałych:

- Kto chce teraz przerwać i zawrócić?

Nikt się nie odezwał.

- A kto chce iść dalej i szukać aż do skutku?

Wszyscy podnieśli ręce. Harold spojrzał na Richarda:

- Nie pozwólmy, żeby ich śmierć była daremna.

Doktor Grey kiwnął głową i uścisnął przyjaciela.

- Dziękuję - szepnął mu do ucha.

Po chwili ruszyli dalej.

Ta rozmowa, krótka, ale jakże znacząca, tchnęła nowego ducha w uczestników ekspedycji. Zdawało się, że nawet pogoda uśmiechnęła się do nich i odegnała na trochę upał, przykrywając niebo chmurami i popychając do pracy lekki wiatr. Step nie był już tylko płaską drogą donikąd - pojawiały się wyschłe drzewa, ogromne kamienie, martwe krzewy. Może i niewiele, ale zawsze jakieś urozmaicenie. W oddali zauważyli także pojedynczy, strzelisty szczyt. Zdecydowali, że to będzie ich punkt docelowy.

Na powrót zaczęli rozmawiać i pytać doktora Greya o rezultaty jego badań. Teraz miał on już pole do popisu. Opowiedział im o swoich wnioskach, nie ukrywając szczegółów, czym wprawił w zniesmaczenie pozostałych członków wyprawy. Zwłaszcza Harolda, który, gdy dowiedział się, że jego przyjaciel sprawdził nawet, czy mutant-kobieta Betty była naprawdę płci żeńskiej, nie mógł powstrzymać się od komentarza:

- Richardzie! Jezu... - brakło mu słowa. - Nie wierzę! Po prostu nie wierzę!

- W co nie możesz uwierzyć? - zapytał lekarz z uśmiechem. - Chciałem sprawdzić wszystkie możliwe aspekty i wydobyć jak najwięcej...

- Ale jakim kosztem? - przerwał mu Harold. - To już podchodzi pod nekrofilię!...

Wszyscy roześmiali się. Richard spojrzał na niego karcąco i odrzekł:

- Mogę ci powiedzieć jedynie tyle, że jeśli uda nam się znaleźć źródło ich pochodzenia i je zniszczyć, to najprawdopodobniej przeżyjemy tę rasę.

- To znaczy... - zaczęła Francine - że są...

- Bezpłodni - dokończył doktor Grey, - dokładnie tak. W zasadzie tylko po sposobie ich zachowania można rozróżnić jakiej płci byli przed poddaniem na czynnik mutagenny.

- No... to jedno pocieszenie... - powiedział Harold. - Przynajmniej ich rozmnażanie mamy z głowy. Czas zająć się resztą mięśni...

- Naturalne rozmnażanie - dopowiedział Richard. - Wciąż pozostaje to, co ich zmienia.

- Czego jeszcze dowiedział się pan, doktorze? - zapytał Mark.

- Cóż, zbadałem ich anatomię - odparł lekarz. - Jest bardzo podobna do ludzkiej, choć znacznie większy procent stanowi tkanka mięśniowa. Betty była bardziej napromieniowana niż Matt, co może świadczyć o tym, że teren, po którym i my stąpaliśmy, był radioaktywny.

- A nam to nie zaszkodzi? - spytał młody Morton.

- No cóż... - odrzekł Richard i uniósł brwi. - Ryzyko zawodowe. W każdym razie posiadam odpowiednie medykamenty na wypadek silnej choroby popromiennej. Nikt jak na razie nie wykazuje jej objawów.

- Oj, Młodego nie byłbym taki pewny - powiedział Harold, wpatrując się w Mortona. - Czasem ze strachu robi się zielony, jak tamta trójka...

Pośród członków wyprawy ponownie wybuchł śmiech.

- Haroldzie... - powiedział Richard i pokręcił lekko głową. - Jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego? - zapytał Harold.

- Jest to chyba to coś, co mutuje - odrzekł doktor Grey, ściągając okulary i pocierając nos. - Krew natleniona jest znacznie bardziej brunatna niż ludzka.

- To ta, która płynie w tętnicach? - spytał Hardy.

- Tak. Natomiast ta, która płynie żyłami jest wręcz czarna - odpowiedział lekarz.
- O czym to świadczy? - zapytał Zack.
- Sądzę, że czynnik mutagenny jest obecny w ich organizmie w ogromnej ilości i może być cały czas jest aktywny. To może oznaczać, że jest bardzo silny i może mieć wpływ na człowieka nawet bez bezpośredniego kontaktu z nim. To znaczy - wyjaśnił, widząc miny pozostałych, wyrażające niezrozumienie - że wystarczy przebywać, na przykład, w jednym pomieszczeniu, gdzie będzie duże stężenie tego czynnika, i może to również może doprowadzić do wystąpienia mutacji.
Przez chwilę słychać było tylko odgłos marszu.
- A to oznacza, że musimy być bardzo ostrożni - dokończył.

Po tym jakże przełomowym dniu, gdy sprzyjały im i nastroje, i teren, i aura, nadszedł kolejny, dużo mniej optymistyczny. Słońce znowu wyciskało z nich siódme poty, szli po szczerym, wznoszącym się stepie, a góra w na horyzoncie zdawała się bardziej oddalać niż zbliżać. Mało tego, około południa Morton Carrie zakomunikował, że zapas jego wody wyczerpał się. Wspomógł go traper Zack, który przyzwyczajony był do podobnych wędrówek, choć i on przyznał się doktorowi Greyowi, że tak wyczerpującej podróży jeszcze nie doświadczył.
Późnym popołudniem, gdy słońce przesłoniły delikatne obłoki, dające choć złudzenie chłodu, a wzgórze w ich oczach zdawało się większe niż kiedykolwiek wcześniej, zerwał się bardzo silny wiatr. Ekspedycja musiała się zatrzymać. Wzbita chmura pyłu uniemożliwiła im dalszy marsz, wpychając drażniący piasek w oczy, nosy i usta. Musieli to przeczekać, przykrywając głowy wierzchnimi okryciami, zbici w jedną grupę głowami do siebie. Na ich szczęście burza nie była tak silna, żeby porwać człowieka, jednak podczas swego godzinnego trwania prawie całkowicie wyczerpała ich fizycznie. Nie ruszyli się z miejsca już do rana.
Następnego ranka członkowie ekspedycji spostrzegli, że góra, do której dążyli od dwóch dni, jest znacznie bliżej niż wczoraj. Zaiste, dziwy dzieją się na pustyni! Richard podejrzewał, że to rozgrzane powietrze zmyliło ich wzrok, choć wydawało się to wbrew logice działania fatamorgany. W każdym razie Zack oszacował, że powinni dotrzeć do wzgórza najpóźniej popołudniu.

Po kilku godzinach marszu pustynny step zamienił się w kamienisty. Dotarli do góry nawet wcześniej niż przewidywał Icereef. Sprawiała co najmniej dziwne wrażenie, jakby powyżej pewnej wysokości nie była... *do końca naturalną*. Skała w dziwny sposób odbijała promienie słoneczne, przypominała sztuczną, a nie wytworzoną przez naturę. Bardzo stromo wybijała się z podłoża i pięła intensywnie w górę. Było to co najmniej osobliwe zjawisko.
Zaczęli obchodzić górę od południa w kierunku zachodnim. Po kilkunastu minutach marszu nagle Morton Carrie zatrzymał cały pochód.
- Co się stało? - spytał Richard.
- Spójrzcie tam - powiedział cicho Młody, wskazując ręką na ziemię.
Członkowie ekspedycji wytężyli wzrok, ale jedynie Zack dostrzegł to, co widział Morton.
- Zabezpieczenia... - powiedział traper.
- Masz na myśli... miny? - Harold spojrzał na Mortona, który tylko pokiwał głową. - No, to masz szansę się wykazać. W końcu upierałeś się, że jesteś saperem.
- Bo jestem!... - zaperzył się Młody. - Zaraz to udowodnię.
Podciągnął spodnie i już ruszał w kierunku pułapek, gdy doktor Grey chwycił go za ramię.
- Poczekaj - powiedział - nie możemy ryzykować. Obejdziemy jakoś inaczej te zabezpieczenia...
- Dam sobie radę... - odrzekł Morton, ale lekarz przerwał mu:
- Nie. Nie będę ryzykował życia kolejnego członka ekspedycji i to w dodatku tego, który wcale się do niej nie rwał...
- Pan nie rozumie - odparł Młody, kręcąc głową. - Tutaj jest ich znacznie więcej, to pewne. Można je po prostu wysadzić.
Członkowie wyprawy spojrzeli na niego pytająco.
- Jeden wybuch spowoduje drugi i tak do skutku - wyjaśnił Morton.
- Słuchaj, Richard, może chłopak ma rację - powiedział Harold. - W końcu jako jedyny z nas

dojrzał te bomby i to z całkiem daleka.
Doktor Grey zawahał się, ale po chwili odrzekł:
- Dobrze, jak zamierzasz to zrobić.
- Podejdę tam i poszukam min - odpowiedział Młody. - Zobaczę jakiego są typu i w jakiej są od siebie odległości. Później zdecydujemy, co robić.
- Bądź ostrożny - powiedział Richard i klepnął go w ramię.
Młody ruszył w kierunku pola minowego. Patrzyli jak ostrożnie podchodzi, wręcz skrada się, do punktów na ziemi, przeciera je delikatnie ręką i oznacza je kupkami kamieni. Trwało to dobrych kilka minut, które dla pozostałych bardzo się dłużyły. W końcu wrócił, cały zlany potem.
- Uff... - otarł czoło. - Zrobione...
- Masz jaja, Młody - rzekł Harold. - Nie ma co...
- Dobrze, jak je teraz zdetonować? - spytał doktor Grey.
- Na początek odsuńmy się - powiedział Morton.
Odeszli kilkanaście metrów do tyłu, po czym Młody rzekł:
- Teraz trzeba trafić w jedną, najlepiej taką pośrodku.
- Czy ktoś ma karabin z lunetą? - zapytał Hardy.
- Ja mam - odrzekł Zack. - Dacie radę mnie podsadzić?
Hardy i Harold wzięli go na ramiona, Mark asekurował z tyłu. Zack wycelował, ale Morton zdążył jeszcze powiedzieć:
- Będzie trochę huku...
Icereef strzelił. Potężny wybuch wstrząsnął ziemią. Harold zachwiał się i poleciał na plecy, zrzucając Zacka wprost na Marka. Hardy przewrócił się. Po chwili nastąpił kolejny wybuch, i kolejny. Miny eksplodowały jedna po drugiej, wzbijając w powietrze masę kurzu, kamieni i ziemi, które opadały na uczestników wyprawy. Wszyscy zakryli głowy. Kawalkada ustała po około minucie.

Uczestnicy ekspedycji wstali i zaczęli się otrzepywać. Po opadnięciu kurzu Młody rzekł:
- Pójdę sprawdzić, czy na pewno mamy drogę wolną...
Doktor Grey i reszta ekipy znów obserwowali go z daleka. Rozglądał się uważnie po ziemi rozoranej wybuchami, stąpając ostrożnie jak wcześniej. Po chwili kiwnął ręką w ich kierunku. Richard westchnął z ulgą i powiedział:
- Chodźmy...
- Skubany Młody - rzekł Harold. - Prawdę mówiąc nie wierzyłem, że...
Jego słowa przerwał jeszcze jeden wybuch. Doktor Grey patrzył, jak na zwolnionych obrotach, jak ciało Młodego leci w górę i bezwładnie opada, po chwili uderzając w ziemię z głuchym łoskotem. Harold złapał się za głowę, Francine rozpłakała się, wszyscy byli w szoku. Richard podbiegł do leżącego na plecach Mortona. Chłopak nie miał obu nóg...
- Morton... - lekarz nie umiał znaleźć słów. Przytulił go do piersi. - Przepraszam... Tak bardzo cię przepraszam...
- Saper... myli się... raz... tak? - Młody oddychał bardzo szybko. Jego ciałem wstrząsały nagłe drgawki. Z nosa i głowy płynęła mu krew. - Ale... byłem dzielny... prawda?
- Tak, Morton, byłeś... - Richard nie powstrzymywał łez.
- Byłem... po raz pierwszy w życiu...
Po chwili doktor Grey przytulał już do siebie odważnego, ale martwego Mortona Carrie.

Rozdział X: Mariposa

Richard płakał jak dziecko, gdy chowali Młodego. Jak bardzo niepotrzebna była jego śmierć!... Wyrzucał sobie, że zgodził się na jego udział w wyprawie. Dlaczego wtedy nie odmówił? Dlaczego?!
- Richardzie, nic już na to nie poradzisz!... - mówił do niego Harold. - Gdyby nie on wszyscy teraz leżelibyśmy tam i zdychali...

- Zginął przeze mnie!... - jęknął lekarz.
- Nie! W słusznej sprawie! - krzyknął Harold. - Podobnie jak Ted i Virgil! Ryzyko było wpisane od początku w tę podróż, dobrze o tym wiedziałeś i wiesz to nadal! Jutro to mogę być ja albo ty!...
Doktor Grey utkwił wzrok w stromym stoku, wyrastającym pionowo z podłoża.
- Chodźmy, niedługo zacznie się ściemniać...

Szli dalej. Doktor Grey nie odzywał się, co chwila spoglądając w kierunku dolnej części góry, obok której przechodzili. Harold obserwował go ukradkiem z zatroskaną, ale i zaniepokojoną miną. Nagle po jakimś kwadransie lekarz zatrzymał pochód. Podszedł do stoku i ukląkł. Rozgarnął dłonią piasek. Pozostali zebrali się wokół niego. Ziemia, którą przeczesał palcami była wilgotna. Spojrzał się na swoją ekipę.
- Co tu się dzieje? - spytał bardziej siebie niż innych.
Zaczął badać dłońmi samą górę. Odgarnął z niej pył, a po chwili zastukał. Wydała dziwny dźwięk, przypominający metal.
- Mówiąc szczerze: zdębiałem - powiedział Harold. - Żeliwna góra?
Richard był równie zdziwiony jak on. Ponownie pochylił się ku ziemi i jego uwagę zwróciło coś jeszcze. Było to niewielkie zardzewiałe kółeczko, wbite w skałę, średnicy co najwyżej dwóch cali. Przyjrzał się mu i dojrzał wyżłobiony na nim rysunek. Ikona przedstawiała motyla z umieszczoną na jego skrzydłach wielką literą "M".
- Spójrzcie na to - powiedział, wskazując na znalezisko. Pozostali podchodzili do dziwnego przedmiotu, przypatrując się mu. - Czy ktoś ma pojęcie, co to może być?
Jedynie Zack Icereef nie potrząsnął głową.
- Nie wiem co to, ale chyba domyślam się, co oznacza ten symbol - powiedział.
Wszyscy spojrzeli na niego. Traper odetchnął i rzekł:
- Dawno temu, gdy wybuchła wojna, wędrowałem z moim ojcem. Byłem młody, miałem jakieś siedem, może osiem lat. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, dlaczego ludzie tak panikują. Ojciec wytłumaczył mi to, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy na horyzoncie grzyb atomowy. Zrozumiałem, że musiało wydarzyć się coś strasznego. W kilka dni po wojnie ruszyliśmy w poszukiwaniu schronienia przed promieniowaniem. Dzięki mapie wiedzieliśmy, gdzie możemy natrafić na miasta, które mogły zostać zniszczone, i omijaliśmy je szerokim łukiem. Nocowaliśmy pod gołym niebem, pośród żywych jeszcze wtedy lasów i rzek. Pewnego dnia spotkaliśmy pewną grupę ludzi.
- Wyglądali na żołnierzy, niektórzy poubierani byli w ogromne skafandry i trzymali w rękach większe działa niż broń Hardego. Było też kilkanaście zwykłych, cywilnych osób. Zaoferowali nam pomoc. Wydawali się uprzejmi. Przystaliśmy na to, żeby wraz z nimi poszukać bezpiecznego miejsca do życia. Ich liderem był starszy gość, miał żonę i syna, mniej więcej w moim wieku. Przedstawił się jako Maxwell, albo Maxson, już nie pamiętam.
- Tak więc szliśmy wraz z nimi. Nie mówili dokąd idą, a ojciec nie pytał. Po dwóch dniach na naszą grupę napadli bandyci. Żołnierze w tych ogromnych zbrojach szybko sobie z nimi poradzili, ale żona dowódcy dostała jakimś przypadkowym strzałem, rykoszetem. On sam nie wyglądał nawet na podłamanego, i nic nie przeszkodziło mu w tym, żeby zostawić własną żonę, matkę jego syna, tak po prostu na pustyni, na pożarcie sępom. Wiedziałem, że mojemu ojcu bardzo się to nie spodobało, ale trzymał język za zębami. Ich potęga była ogromna. Bronie strzelające... nie wiem... laserem? Ciężko powiedzieć... W każdym razie wtedy zrobiły na nas wrażenie, ale wcale nie pozytywne.
- Tej nocy, gdy zatrzymaliśmy się na postój, usłyszeliśmy razem z ojcem jak ten Maxson rozmawia z synem. Mówił tak okropne rzeczy, że do dzisiaj ciarki przechodzą mnie po plecach. Pamiętam to dobrze. Mały płakał po matce, a ojciec pocieszał go słowami: "To była tylko kobieta. Ty jesteś najważniejszy, ty musisz przeżyć. Nikt inny. Gdy dotrzemy do schronu, założymy wspólnie bractwo żołnierzy. Przywrócimy porządek i ład temu światu. Będziemy Bractwem Stali, bo jesteśmy twardzi jak stal i niezniszczalni jak nasza stalowa broń." Wtedy dzieciak powiedział: "Ale ja tęsknię za mamą..." Jego ojciec na to: "Milcz! Milcz, bo zostawię cię jak twoją matkę, albo

tych zdrajców w Mariposie. Pamiętasz, co oznacza to słowo?" "Motyl", odrzekł dzieciak, połykając łzy. "Właśnie, *motyl*, a motyle, to zwykłe owady - słabe i nic nieznaczące jak twoja matka, albo tamci, splugawieni, nie warci wspominania ludzie. Ty masz być twardy jak stal. Zawsze."

- Jeszcze tej samej nocy ojciec obudził mnie i czym prędzej opuściliśmy tę grupę. Często zastanawiałem się, czym jest owa "Mariposa". Chyba w końcu znalazłem odpowiedź...

Doktor Grey patrzył na niego w skupieniu.

- Chcesz powiedzieć, że Mariposa ta jakiś obiekt wojskowy, baza militarna? - zapytał.

- Bardzo możliwe - odrzekł Zack. - I bardzo możliwe, że właśnie na nią patrzymy...

- Sugerujesz, że to... ta góra? - spytał Harold, spoglądając ponad siebie.

- To możliwe - odpowiedział Richard. - Baza wojskowa to zbyt istotne miejsce, by ot tak widniało na mapie i żeby każdy mógł ją sobie pooglądać. Z pewnością tajne bazy były ukrywane, podobnie jak krypty, nie tylko w celach bezpieczeństwa, ale i zachowania tajności.

- A więc musi być do niej wejście - powiedział Mark.

- Skąd pewność, że to właśnie cel naszej wyprawy? - spytał Hardy. - Po co samemu pchać się w niebezpieczeństwo?

- Spokojnie, pozbierajmy wszystko w jedną całość - powiedział doktor Grey i zaczął spacerować w prawo i w lewo. - Wiemy, że mutanci pochodzą głównie z północy i północnego-zachodu. Wiemy też, że właśnie tam, patrząc od strony The Hub, jest miejsce, w którym właśnie przebywamy, a więc ta góra i mamy dużą pewność, że jest to stara baza wojskowa o nazwie Mariposa, opuszczona przed laty przez grupę żołnierzy. Załóżmy, że te aspekty łączą się - Richard dał im pomyśleć, czekając. Po chwili wyjaśnił dalej: - Zastanówcie się, gdzie indziej - państwo, rząd, wojsko - mogliby trzymać tak szkodliwe dla człowieka czynniki? Od zawsze tak było w tym kraju, już na szmat czasu przed wojną. Jeżeli założymy, że tutaj przetrzymywany był ten czynnik, to sprawa wydaje mi się klarowna.

- Według mnie to trochę naciągane... - odrzekł Hardy.

- Nie pozostaje nam nic innego jak sprawdzić, żeby rozwiać i twoje, i nasze wątpliwości - powiedział doktor Grey.

- A co z tymi ludźmi, o których mówił Zack? - spytała Francine.

Richard spojrzał na nią, próbując sobie przypomnieć.

- No, z tymi zostawionymi przez żołnierzy - dodała. - Przez to Bractwo... Stali, czy coś...

- Ach, tak - Richard kiwnął głową. - No cóż, jeśli udałoby nam się ich znaleźć, być może jakoś pomogliby nam. W końcu mutanci to zagrożenie również dla nich.

- Ale skoro twierdzi pan, że mutanci właśnie stąd pochodzą, to skąd możemy wiedzieć, że już nie rozprawili się z tymi ludźmi? - rzekł Mark.

Doktor Grey rozłożył ręce.

- Pozostaje nam jedynie to sprawdzić - powtórzył.

- Chyba jeszcze o czymś zapomnieliśmy - powiedział Harold.

- Tak?

- Skoro już tutaj natrafiliśmy na miny, to czego możemy się spodziewać w środku, o ile w ogóle uda nam się odnaleźć wejście? - zapytał.

Richard westchnął i odrzekł:

- Może tym razem dopisze nam szczęście...

Ruszyli dalej wzdłuż stoku, niezmiernie ostrożnie wypatrując jakichkolwiek ukrytych zagrożeń. Na szczęście na nic podobnego już nie natrafiali. Doktor Grey obserwował szczyt, notując coś i myśląc intensywnie. Co jakiś czas natrafiali na żeliwne symbole z wyżłobionym motylem i literą "M". Po około godzinie podłoże ponownie uległo zmianie. Było twarde, wręcz ubite prawie idealnie równo, *nienaturalnie*, sztucznie. Po kilku minutach skała, z której zbudowana byłą góra przeszła w murowaną ścianę, wykonaną z jasnych cegieł. Wszyscy spojrzeli po sobie. Zrozumieli, że są już blisko.

Kilka metrów od miejsca, w którym ujrzeli ceglany mur, zobaczyli coś jeszcze. Było to wysokie, metalowe ogrodzenie, wbijające się w ścianę. Podeszli do niego. Zack zatrzymał pochód i wyjrzał zza węgła. Momentalnie się cofnął.

- Jest... - szepnął.
- Wejście? - spytał Richard.
Zack skinął głową i dodał:
- I strażnik...
- Mutant?
Traper ponownie kiwnął głową. Hardy spojrzał na swoje działo i rzekł:
- Tym razem już nie będzie tak łatwo. Nie mam już amunicji.
Doktor Grey spojrzał na niego i powiedział:
- Myślicie, że udałoby nam się go schwytać?
Zapadła głucha cisza.
- O czym ty mówisz? - spytał Harold. - Schwytać takie monstrum? A ja myślałem, że to mnie zaczyna już odbijać...
- Mówię poważnie - odparł lekarz. - Jeżeli jest pojedynczy, to dlaczego nie spróbować?
- Prosta kwestia: po co? - odrzekł Harold.
- Bo jest żywy. Może udałoby nam się uzyskać od niego jakieś informacje.
Harold pokręcił głową. Zack wyjrzał za mur i powiedział:
- Jest sam. I chyba dopiero co wyszedł z bazy, wejście wydaje się być otwarte. Ale jak to zrobić?
Richard rozejrzał się wokół siebie. Chwycił za lornetkę. Po chwili rzekł:
- Zwabilibyśmy go tam. Jest tam chyba jakaś strażnica, ale pusta. Ty, Vincencie, wszedłbyś na nią i spróbował uderzyć go w tył głowy swoją bronią.
Po kolei patrzyli przez lornetkę w kierunku, który wskazywał doktor Grey.
- To może się udać - powiedział Zack. - Tylko musimy jak najciszej się tam dostać.
Tym razem Richard wyjrzał zza muru. Dojrzał mutanta po przeciwległej stronie szerokiego placu. Przyglądał się czemuś pochylony i odwrócony do niego plecami. Nie było na co czekać.
- Teraz, szybko wzdłuż ogrodzenia! - powiedział cicho lekarz. - Głowy nisko!...
Ruszyli na kuckach jeden za drugim tuż przy metalowej, grubej siatce. Obserwowali mutanta, który spokojnie klęczał nad czymś szarym i szturchał to palcami. Nagle wstał.
- Richard!... - szepnął Harold.
Członkowie wyprawy zamarli. Hardy wziął do ręki kamień, wstał i rzucił z całej siły przed siebie. Kamień poszybował nad mutantem i uderzył w ogrodzenie po drugiej stronie. Hałas zwabił stwora, który podbiegł do płotu.
- Szybko!... - szepnął Richard.
Pochyleni, ponownie czym prędzej zaczęli przemieszczać się wzdłuż ogrodzenia. Mutant zniknął im z oczu za wrakiem starej ciężarówki pośrodku placu przed wejściem do bazy. Po chwili doszli do końca płotu, który skręcał w prawo. Szli dalej nad ogrodzeniem. W końcu dotarli do wejścia na plac. Była tu niewielka strażnica i opuszczony szlaban. Zgromadzili się tuż za nią. Doktor Grey wyjrzał zza lewego rogu portierki. Mutant podchodził właśnie do znaleziska, które studiował wcześniej. Pochylił się i ponownie zaczął je badać. Lekarz zwrócił się do reszty:
- To chyba dobry moment. Vincencie, podsadzimy cię. Uważaj, żeby cię nie dojrzał i żebyś nie spadł. Dach tej pakamery nie wydaje się zbyt pewny.
Hardy kiwnął głową i oddał broń Markowi. Zack i Harold spletli ręce, tworząc schodek, tak by mógł on łatwiej dostać się na strażnicę. Po chwili był już na górze. Mark podał mu broń. Richard powiedział:
- Dobrze, teraz my. Ja i Harold spróbujemy go tutaj zwabić. Mark i Francine, wejdźcie do środka i nie ruszajcie się. W razie czego celujcie mu w głowę.
Rodzeństwo zgodnie kiwnęło głowami i oboje weszli do otwartej na oścież strażnicy.
- Zack, stań za ścianą i miej broń w pogotowiu. Haroldzie, jesteś gotów?
Harold rozłożył ręce i rzekł:
- Do dzieła...

Richard i Harold wstali i podeszli do szlabanu od strony placu. Zobaczyli mutanta. Harold krzyknął:

- Hej, zielonomordy!
Mutant obejrzał się i dojrzał obu przyjaciół. Wstał. Richard krzyknął:
- Chodź do nas! Mamy coś dla ciebie!
Mutant patrzył się na nich, najwidoczniej nie rozumiejąc, skąd zjawili się tutaj ludzie. Richard dał krok w kierunku strażnicy, pociągając Harolda. Po chwili mutant ruszył w ich stronę. Przyspieszył. Richard podszedł do strażnicy. Harold również, wyciągając z kieszeni pistolet. Mutant podbiegł do portierki. Harold wycelował w niego z broni. Ten nagle zatrzymał się, tuż obok wejścia do strażnicy.
- No!... Wiesz, że to robi krzywdę, prawda? - Harold zakołysał bronią. Mutant spojrzał na niego i tkwiący w jego dłoni pistolet. Doktor Grey kątem oka dojrzał Zacka z gotową do użycia strzelbą i powstającego Hardego.
- Mądry, zielony... - powiedział cicho Harold.
- Teraz! - krzyknął Richard.
Hardy, który klęczał na dachu strażnicy zamachnął się i zdzielił mutanta w tył głowy kolbą swojej broni. Stwór zachwiał się i złapał za potylicę. Hardy zamachnął się ponownie i uderzył go drugi raz. Mutant runął nieprzytomny na ziemię.
- Szybko, musimy go obezwładnić! - powiedział Richard i sięgnął do swojej torby. Po chwili wyjął z niej grubą linę. Zack posiadał podobną. Wraz z Hardym i Markiem skrępowali mutantowi ręce na plecach. Wspólnymi siłami obrócili stwora i, klęczącego, oparli go o strażnicę.
- Cholera, myślałem, że pójdzie trudniej... - wysapał Harold.
Doktor Grey otarł pot z czoła i przyjrzał się mutantowi. Ponownie sięgnął do swojej torby i wyjął niewielką przezroczystą butelkę. Odkręcił i przyłożył mutantowi do nosa. Stwór od razu się ocknął, wzrok miał nieprzytomny, oczy zaszły mu łzami.
- Co to? - spytał Harold.
- Sole trzeźwiące - odparł lekarz. - Przez jakiś czas pozostanie oszołomiony. Trzymajcie broń w pogotowiu.
Hardy przeładował strzelbę i wycelował w głowę mutanta. Zack uczynił podobnie. Harold i Mark trzymali pistolety w dłoniach. Mutant zaczął wydawać dziwne dźwięki. Charczał i krztusił się. Po chwili kichnął potężnie i spuścił głowę. Doktor Grey kucnął, aby zrównać swój wzrok z oczyma zielonego potwora. Mutant podniósł je i rozejrzał się. Szarpnął rękoma, ale więzy trzymały mocno. Zrozumiał, że jest na łasce obcych mu ludzi. Richard spoglądał intensywnie na mutanta. Ten wymienił z nim spojrzenie.
- Czy mnie słyszysz i rozumiesz? - spytał lekarz.
Mutant kiwnął głową.
- Nie chcemy cię skrzywdzić, chyba że sam do tego doprowadzisz - mówił dalej Richard. - Chcę ci tylko zadać kilka pytań. Rozumiesz?
Mutant ponownie spojrzał dookoła, zatrzymując wzrok na strzelbach Hardego i Zacka, i kiwnął głową.
- Czy wewnątrz jest was więcej? - spytał doktor Grey.
Mutant przytaknął.
- Czy to jest baza wojskowa o nazwie Mariposa?
Stwór ponownie kiwnął głową twierdząco.
- Czy tutaj znajduje się coś, co zmienia takich ludzi jak my w takich jak ty?
- Czym niby różnimy się od siebie poza wyglądem? - odpowiedział mutant bardzo niskim głosem. Doktor Grey osłupiał, pozostali również. Przez chwilę nikt się nie odezwał, wszyscy byli w szoku.
- Czemu tak nagle zaniemówiłeś? - spytał mutant ponownie. - Dziwisz się, że możesz się z nami dogadać?
- Z nami?
- Ze mną i moim ojcem.
Nikt niczego nie zrozumiał.
- Tak, dziwię się - odrzekł po chwili Richard. - Do tej pory spotkałem podobnych tobie z dużym ubytkiem inteligencji. Jak to się stało, że ty ją zachowałeś?

- Nie wiem - odpowiedział krótko mutant.
- A jak w ogóle zostałeś zmieniony?
- Wirusem.
- Co to za wirus? - zapytał lekarz, marszcząc czoło.
- FEV - wirus wymuszonej ewolucji. Tak, tak, ojcze... - dodał szeptem.
- Co to diabła takiego? - wyrwał się Harold. - Słyszałeś o tym?
- Niewiele - odrzekł RIchard, - jeszcze kiedy przebywałem w krypcie. Wiem, że rząd maczał w tym palce. Miała to być odpowiedź na broń biologiczną innego kraju. Ale nie znam działania tego wirusa...
- Widzisz za to efekt - przerwał mu mutant.
Richard spojrzał na niego i rzekł:
- Mówiłeś, że jest was więcej. Ilu?
- Wystarczająco, żeby sobie z wami poradzić - odrzekł mutant gniewnie i szarpnął nadgarstkami. - Po co nas nachodzicie? Jesteście tym całym bractwem, tak? Chcecie na nowo przejąć bazę? Nie uda wam się. To nasz dom, mój i ojca, i będziemy go bronić...
- Nie, nie jesteśmy tymi, za kogo nas uważasz - powiedział Richard i zbliżył się do mutanta. - Pochodzimy z zupełnie innego miejsca. Twoi... bracia i siostry atakują nas, czyli niezmienionych ludzi. Chcemy tego zaprzestać. Dlatego zawędrowaliśmy aż tutaj...
- Moi bracia, powiadasz... - odparł mutant i uśmiechnął się krzywo. - Chodzi ci chyba o tych głąbów, których stąd wyrzuciliśmy wraz z ojcem, bo rujnowali nasz dom. Swoją głupotą i bezmyślnością. Oni mnie nie obchodzą, niech robią co chcą. Nie chcę, by niszczyli to, co osiągnęliśmy. Zresztą w środku znajdziesz ich jeszcze całe mnóstwo - roześmiał się.
Doktor Grey przysunął się jeszcze kawałek i powiedział po chwili:
- Po co to robisz?
Mutant wykonał dziwny tik głową i przewrócił oczyma.
- Dla siebie... - odparł i spojrzał się głęboko w oczy Richardowi. - I na cześć mojego ojca, doktora Paula von Feldena, który poświęcił swoje życie nauce, a został zbesztany i zamordowany. Tak kontynuuję jego wielkie dzieło.
Lekarz wstał i spojrzał z góry na mutanta.
- To bardzo egoistyczna postawa... - odparł Grey - ...panie von Felden. Zabijcie go.
Hardy przeładował strzelbę. Harold spojrzał ze zdziwieniem na Richarda.
- Ale co on zrobił? - zapytał.
- W głównej mierze to on sprowadził na nas mutantów - odpowiedział Richard. - Jako jedyny z nich zasłużył sobie na śmierć. Jeżeli nie chcesz, nie musisz tego robić.
Harold przez chwilę zmagał się z sobą. W końcu przeładował swój pistolet i wycelował w mutanta. Doktor Grey odwrócił się. Usłyszał głos Hardego:
- Na mój znak: cel... pal!

Rozdział XI: Richard Moreau

Richard oddychał szybko. Był zdenerwowany. Nie - był wściekły z powodu tego, co usłyszał. Wściekły i wstrząśnięty zarazem. Rzucił okiem na martwego mutanta, syna zabitego niegdyś naukowca von Feldena i powiedział:
- Ruszajmy do środka.
- Nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł - odparł Harold. - Tak, wiem, jesteśmy już u celu, ale... sam słyszałeś, jest ich tam więcej. A jeżeli są do tego tak inteligentni jak ten, to dodatkowo z całą górą mięśni mogą chyba stanowić... potencjalne zagrożenie, co? No i ten jego ojciec...
- Jego ojciec nie żyje - odrzekł doktor Grey, - a on zwariował. Haroldzie, musimy dowiedzieć się, co ich mutuje. Jeśli nie spróbujemy, to można przyjąć, że ta wyprawa całkowicie nie miała sensu.
- Przecież powiedział co - to "FVE", czy coś tam - Harold nie dawał za wygraną.
- Ale wciąż nie wiemy jak to działa, czy skutki mutacji można odwrócić, albo czy da się to

wszystko zniszczyć, żeby zapobiec dalszemu mnożeniu się mutantów - odpowiedział Richard. - Rozumiesz mnie? Nie możemy teraz się poddać!...
Harold odrzekł dopiero po chwili:
- Rozumiem cię, Richardzie. Ja tylko chcę *przeżyć*.
Doktor Grey i Harold wymienili długie spojrzenie.
- Panowie, nie chcę wam przeszkadzać, ale chyba mamy uciekinierów - powiedział nagle Hardy, wskazując ręką na potężne drzwi umieszczone w ceglanym murze tuż u podnóża góry. Do tej pory uchylone, rozwarły się i z środka z wolna zaczęli wychodzić mutanci, prawie trzymetrowe, zielone stwory, efekty zemsty i osobistych, bezsensownych pobudek. Sprawiali wrażenie wystraszonych, patrzyli pustym wzrokiem wokół siebie, nic nie rozumiejąc. Było ich co najmniej dwudziestu.
Uczestnicy ekspedycji ukryli się za wrakiem ciężarówki, kilkanaście stóp od strażnicy, obserwując wędrówkę mutantów. Broń mieli w pogotowiu, ale czuli, że nie będzie ona potrzebna. Patrzyli jak mutanci strachliwie, jeden za drugim podchodzili do południowej strony siatki otaczającej plac przed wejściem do bazy. Dotarli do szlabanu i strażnicy i z przerażeniem w oczach spoglądali na zwłoki mutanta von Feldena. Strach na ich twarzach jednak ustępował jakby innemu odczuciu - członkom wyprawy wydawało się, że to ulga. Mutanci przekroczyli opuszczony szlaban i wyruszyli na pustynię.
Harold westchnął i przerwał milczenie:
- Może wejdźmy tam w nocy? Jeśli nawet jacyś zostali w środku, to może będą spać...
- Dobry pomysł - odrzekł Richard. - Odpoczniemy i udamy się tam nocą. Przyda nam się chwila oddechu.
Był to zdecydowanie dzień pełen wrażeń.

Wieczór przyszedł szybko. Członkowie wyprawy siedzieli wokół niewielkiego ogniska, jakie udało im się rozpalić z kilku uschłych gałęzi. Nie wzniecali zbyt dużego ognia, by w razie pojawienia się mutantów, szybko je ugasić, nie narażając się na ujawnienie. Obserwowali wejście, niewiele mówiąc. Doktor Grey, swoim zwyczajem, notowałby coś zapewne, rozmyślał, analizował, ale siedział ze splecionymi dłońmi, smętnie spoglądając w tlący się ogień. Harold patrzył na niego z ukosa. W końcu przerwał milczenie:
- Mieliśmy sporo szczęścia, że złapaliśmy akurat tego mutanta, prawda? Każdy inny prawdopodobnie nie wymówiłby poprawnie nawet jednej sylaby...
Mark i Francine pokiwali głowami. Hardy i Zack milczeli. Doktor Grey wciąż zapatrzony był w ogień. Harold próbował wydobyć choć słowo z przyjaciela:
- Richardzie, a co wiesz o tym... eee... wirusie?
- Wiem tylko, że z założenia miała być to groźna broń biologiczna - dokończył Richard i westchnął. - . Czytałem, że jeszcze przed wojną jakieś informacje wyciekły do opinii publicznej, chyba były z tego powodu zamieszki. W całym kraju panowała plaga, wprowadzono kwarantannę. Ludzie oskarżyli rząd o rozpowszechnianie epidemii. Przecież to bez sensu, ale... nie powstrzyma się mas...
- Tak, zwłaszcza mas zielonych, wielkich potworów... - dokończył cicho Harold, ale Richard przerwał mu:
- *Ludzi*, nie potworów. To byli zwykli ludzie, którzy wcale nie chcieli stać się tym, czym się stali. Niewinni, tak bardzo skrzywdzeni wbrew własnej woli. Niesprawiedliwie...
Harold zamilkł. Przypatrywał się doktorowi Greyowi, który mrużył oczy i kręcił lekko głową, jakby chciał odgonić od siebie złe myśli.
- Zostali potraktowani tak bardzo niesprawiedliwe - powiedział cicho Richard. - Zupełnie jak ja...
Lekki wiatr zatrzepotał płomieniami w niewielkiej watrze. Doktor Grey westchnął i zaczął mówić, sam z siebie. Nikt mu nie przerywał, każdy słuchał tak uważnie jak jeszcze nigdy w życiu...

- Nigdy nie opowiadałem wam skąd pochodzę. Nawet tobie, Haroldzie. Po prostu kiedyś spotkaliśmy się, zabrałeś mnie do Hub i jakoś się potoczyło. Nie pytałeś, nie mówiłem. Wolałem,

żeby tak było. Wolałem być Richardem Greyem, prostym lekarzem, który chce pomagać. Ale prawda jest inna. Zupełnie inna. Nie, nie jestem bandytą, ale dawno temu, niesłusznie, posądzono mnie o coś, czego nie zrobiłem. O czym nie śmiałbym nawet pomyśleć. Przez co musiałem udać się na wygnanie i zmienić nazwisko.

- Kiedyś nazywałem się Richard Moreau. Mieszkałem w Krypcie o numerze identyfikacyjnym osiem. Bardzo dobrze pamiętam dzień, w którym tam trafiłem. Przepiękny, jesienny dzień, zdawało się, że jeden z ostatnich tak ciepłych i słonecznych w tym roku. Miałem chyba szesnaście lat. Pamiętam jak tamtego popołudnia po raz kolejny na przestrzeni kilku dni zawyły syreny. Gdyby nie moja mama pewnie wzruszyłbym na to ramionami i zlekceważył to, jak moi rówieśnicy, ale ona od razu odnalazła mnie i zmusiła do udania się do schronu. Wielu moi przyjaciół wtedy zginęło, ale mnie udało się przetrwać. Dzięki mojej mamie.

- Mieszkaliśmy w Krypcie Ósmej przez ponad czternaście lat. Bywały gorsze i lepsze dni, jak to w społeczeństwie. Było nas bardzo wielu, ale staraliśmy się żyć jak najbardziej normalnie. Dużo o tym myślałem, o życiu w zamknięciu, w takich samych strojach. Gdzie w tym normalność? To raczej więzienie. Według naszego Nadzorcy jednolite uniformy miały za zadanie zapobiegać szerzeniu się zawiści. Cóż, nie oglądając świata przez tak długo, można faktycznie zwariować, nawet z zazdrości o ubranie. Niektórych spotkał taki los. Tak, Nadzorca nie był głupi, ale cwany. Z czasem coraz bardziej zaczął nadużywać darowanego mu stanowiska, choć nie bezpośrednio. Mówił to, co ludzie chcieli usłyszeć, dlatego mu wierzyli. Zauważyłem to, ale jeszcze wtedy nie wiedziałem, jaki w tym jego cel. Sam natomiast w międzyczasie zostałem praktykantem u Medyka Schronu, doktora Sayera.

- Doktor Sayer był wielkim człowiekiem i wspaniałym lekarzem. Mimo wrodzonej skromności, miał duże poważanie pośród mieszkańców Krypty. Nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafił. Zaufał mi, choć czasami do tej pory zastanawiam się, dlaczego wybrał akurat mnie. W jakiś sposób wiedział, że nie boję się widoku krwi, lubię pomagać innym. W każdym razie miałem szczęście, że to akurat u niego mogłem się uczyć i jego zastąpić. Prowadziliśmy razem badania nad nowymi sposobami leczenia. Doktor Sayer był geniuszem, naprawdę wielkim umysłem. Niestety zmarł, niecałe osiem lat po naszym wejściu do schronu. Zdążyłem już jako jego pomocnik wyrobić sobie jakiś szacunek i ludzie zaakceptowali mnie jako Medyka. Po kilku tygodniach zgłosiła się do mnie młoda, piegowata dziewczyna i zdecydowanym tonem oświadczyła, że chce zostać pielęgniarką. Pomyślałem, czemu nie? Tak nawiązała się moja znajomość z Susan.

- Czas mijał, życie w schronie biegło dalej swoim niespiesznym rytmem. Jednak ludzie zaczęli coraz głośniej pytać o to, kiedy opuścimy Kryptę. Niektórzy wiedzieli, że promieniowanie nie trwa wiecznie, dzielili się tym z innymi. Powstawały domysły, w końcu plotki. Wszystko zmierzało w kierunku buntu. Nadzorca widział to i starał się ich uspokoić, ale powoli przestawał nad nimi panować. Temperament ludzi południa kraju dawał o sobie znać. Kroplę, która przepełniła czarę, przyniósł pewien zimowy dzień, kilka dni przed Nowym Rokiem. Okazało się, że jedna z krypt została otwarta. Ile było w tym prawdy? Nie mam pojęcia. Jedynie Nadzorca i Rada Krypty mieli dostęp do takiej wiedzy i odpowiednich danych. Czułem jednak, że coś w tym jest, bo niecałe dwa tygodnie po rozpowszechnieniu się tej informacji Nadzorca ogłosił na zebraniu wszystkich mieszkańców schronu, że rozpoczynają się przygotowania do opuszczenia Krypty. Tak się stało na początku lutego, dwa tysiące dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

- Dzięki specjalnemu urządzeniu, zwanemu Generatorem Ekosystemu Cudownej Krainy, wyznaczeni ludzie zaczęli szukać na powierzchni odpowiedniego obszaru do zasiedlenia. Okazało się, że promieniowania nie było prawie w ogóle w okolicy Krypty Ósmej, dlatego też wspólnymi siłami zaczęliśmy budować na zewnątrz nowe miasto, nasze miasto. Ludzie byli szczęśliwi, że w końcu zostawiali za sobą życie w zamknięciu. Pracy było mnóstwo, ja również miałem pełne ręce roboty. W końcu na budowie nietrudno o jakiś uraz. Susan starała się jak mogła najlepiej. Nauczyła się wielu rzeczy i była bardzo pomocna. Staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Ludzie zaczęli gadać, że stworzyła się para z dwójki lekarzy. Chcieliśmy wyprowadzić ich z błędu, ale i tak nie słuchali. My jednak wiedzieliśmy swoje. To były moje najpiękniejsze dni.

- Vault City zostało oficjalnie otwarte pierwszego grudnia. Była huczna zabawa, wszyscy

byli zadowoleni, ulga zdawała się przepełniać powietrze. Każdy kto chciał przenosił się do szybko powstających domów. Ja jednak nie opuściłem schronu. Miałem tam całe wyposażenie, nie było sensu. Toteż przyjmowałem chorych w moim starym gabinecie. Jak się okazało nie wyszło mi to do końca na dobre. Pewnego letniego dnia, kilka miesięcy po otwarciu miasta, stałem się mimowolnym świadkiem rozmowy. To był Nadzorca i dwóch jego najbliższych kompanów. Oni jako jedyni nie byli radzi z opuszczenia Krypty. Bez przerwy tam przebywali. Czasem ich widywałem, jak pochłonięci cichą rozmową wędrowali na powierzchnię, chyba tylko po to, żeby robić dobrą minę do złej gry. Właśnie wtedy dowiedziałem się, jakie są prawdziwe zamiary Nadzorcy. Miał świadomość, że traci władzę nad ludźmi, którzy na domiar złego dla niego, zaczęli coraz głośniej mówić o utworzeniu demokratycznej społeczności. Sami zaczęli już nawet budować ratusz. Nadzorca nie mógł się z tym pogodzić. Powiedział, że prędzej zdechnie niż zrzeknie się swojego stanowiska, i że utrzyma go za wszelką cenę, choćby miał się posunąć do użycia siły. Bądź co bądź, nadal był opiekunem wszystkich tych ludzi. A chciał zostać tyranem. Słyszałem i rozumiałem to dobrze. Na moje nieszczęście, on mnie wtedy zobaczył. Uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic i coś zagadał, ale miał świadomość, że ktoś trzeci wie o jego planach. Czego zapewne się także domyślał, to że nie pozostanę na to obojętny. I miał rację.

- Wiele rozmawiałem na ten temat z moimi pacjentami. Wręcz zachęcałem ich do tego, żeby przeprowadzić w Vault City demokratyczne wybory, by ludzie wybrali sami swojego reprezentanta, lidera. Dumnie nazywali się obywatelami miasta, więc wpajałem im, by uchwalili prawo, jakiś cień konstytucji, by żyli tak jak przed wojną. Jedyną osobą, której powiedziałem całą prawdę, była Susan. Przyznawała mi rację i wspierała. Gdy ratusz był już ukończony, ale wciąż pozostawał pusty, bo stał tak naprawdę dla nikogo, ludzie zaczęli tłumnie walić do drzwi Nadzorcy. Poznawali jednak jego prawdziwą twarz. On sam prawie spanikował, ale zaczął działać. Niestety na moją niekorzyść...

- Pamiętam to jak dziś. Był dwudziesty trzeci października, dokładnie piętnaście lat po Wielkiej Wojnie. Jak co dzień udałem się do mojego gabinetu. Na miejscu czekało jednak na mnie kilku ludzi, wzbudziło to we mnie niepokój. Posłusznie udałem się z nimi na powierzchnię. Zaprowadzili mnie, ku mojemu zdziwieniu, do domu Susan. Tam czekał Nadzorca i jej zapłakani rodzice. Spytałem, co się stało. Odpowiedzieli mi, że Susan nie żyje. Oblał mnie zimny pot... Wpadłem do domu i podszedłem do jej łóżka. Leżała bez ruchu... Sprawdziłem jej puls... Była martwa... Blada, bezbronna... Byłem w szoku, ale to pamiętam... Nadzorca podszedł do mnie i spytał, czy domyślam się jak mogła umrzeć. Spojrzałem na jej usta - były wręcz fioletowe. Wyglądało to na zatrucie. Zapytał zatem, co robiłem tej nocy. Zabrakło mi słów... Podejrzewali mnie? Czy ja mógłbym coś zrobić Susan, mojej przyjaciółce, mojej bratniej duszy?! Nadzorca oświadczył, że są świadkowie, którzy widzieli mnie wczoraj wychodzącego stąd o późnej porze. Oczywiście, odparłem, przecież była chora już od kilku dni. Opiekowałem się nią. Nadzorca zasugerował więc, że *celowo* zaaplikowałem Susan zbyt dużą dawką silnego lekarstwa. Nie wytrzymałem! Po co w ogóle miałbym to robić? Po co, do ciężkiej cholery?! Może, by wyeliminować swoją przyszłą konkurencję, odrzekł Nadzorca. Nie rozumiałem. Matka Susan przypomniała mi, że jej córka nosiła się z zamiarem opuszczenia Krypty. Jego zarzuty były tak niedorzeczne, że aż śmieszne. W końcu zaczęło do mnie docierać. Za dużo o nim wiedziałem i za dużo wobec niego działałem. Chciał się mnie pozbyć, kosztem Susan... A jej matka... nie wiedziała wszystkiego. Chciałem jej wytłumaczyć, że wspólnie chcieliśmy to zrobić, że i dla nas przyszedł czas na opuszczenie schronu, założenie szpitala w rozrastającym się mieście, ale Nadzorca przerwał mi i rozkazał mnie aresztować. Nie wiedziałem, co robić... Wpadłem w szał, chyba... zemdlałem...

- Obudziłem się w pokoju dla więźniów w Krypcie. Przetrzymywali mnie tam sam nie wiem jak długo... Byłem półprzytomny... Nic się dla mnie nie liczyło, wciąż przed oczyma miałem piegowatą buzię mojej Susan... Zamordowanej Susan... Przyszedł czas na proces, sędziował rzecz jasna Nadzorca. Dał mi dwie możliwości: albo przyznam się do winy i zostanę wygnany z miasta, albo zginę. Z początku nie chciałem się przyznawać, nie chciałem dawać mu tej satysfakcji. Śmierć była dla mnie nieważna. Ale on dyskretnie uświadomił mnie, że moja chorowita matka też mogłaby przypadkowo przedawkować medykamenty. Nie mogłem do tego dopuścić. Zgodziłem się na wygnanie. Tej nocy widziałem moją mamę po raz ostatni. Powiedziałem jej, że nie zabiłem Susan.

Wierzyła mi. Powiedziałem jej o wszystkim, co wiedziałem i poprosiłem, żeby wytłumaczyła to rodzicom Susan. Później była już tylko cisza i moja ostatnia noc w Krypcie Ósmej.

- W eskorcie kilkunastu strażników zostałem wywieziony na pustynię. Zapewne na rozkaz Nadzorcy pobili mnie i zostawili na pastwę losu. Nie chciałem się poddawać. Ruszyłem dalej na południe. Błąkałem się po nieznanych mi terenach, głodny i wyczerpany. W końcu natrafiłem na karawanę. Zawieźli mnie do miasta zwanego Redding. Pomógł mi tamtejszy lekarz, gdy dowiedział się, że zajmuję się tym samym. Przedstawiłem się jako Grey, to nazwisko mojej matki. Tak już pozostało. Nie zostałem tam jednak zbyt długo. Chciałem znaleźć się jak najdalej od przeklętego Vault City. Wędrowałem więc sam, lub w karawanie. Koczowałem w obozach z obcymi mi ludźmi, albo spałem pod gołym niebem. Sam nie wiedziałem dokąd chcę dojść. Szukałem czegoś, ale sam nie wiedziałem czego. Czy to był spokój? Czy ukojenie bólu? Pomagałem innym, gdy tylko mnie o to poprosili, a nawet czasem, gdy tego nie chcieli. Żyłem z dnia na dzień, tak naprawdę nie chcąc żyć. Trwało to bardzo długo, za długo.

- Moja tułaczka trwała ponad cztery lata. Cztery długie, wyczerpujące, przepełnione cierpieniem lata. Wtedy poznałem ciebie, Haroldzie. Pamiętasz nasze rozmowy, prawda? Tchnąłeś we mnie optymizm, wiarę w spokojne, normalne życie. To było jak wiosna, która wtedy właśnie się zaczynała. Odrzuciłem demony przeszłości. Przywiozłeś mnie spod Junktown do The Hub. Mając prawie trzydzieści sześć lat rozpocząłem nowe życie dzięki tobie. Będę ci za to dozgonnie wdzięczny...

- Taka jest moja historia...

Rozdział XII: W bazie

"Dwudziesty trzeci czerwca. Wchodzimy do środka. Boże, jeśli istniejesz..."
Richardowi pomysłu i chęci do dokończenia. Zamknął dziennik i schował do swej lekarskiej torby.

- Ruszajmy... - powiedział cicho.

Zaczynało świtać. Ich postój nieco się przedłużył, grupa była bardzo zmęczona, wyczerpana ponad miesięczną, morderczą wędrówką. Teraz, gdy prawdopodobnie dotarli wreszcie do celu, wstępowały w nich nowe siły, ale mieli świadomość, że są one na wykończeniu, że to ostatni taki zryw. Nie wyobrażali sobie powrotu, nie myśleli o nim. Skupili się na chwili bieżącej.
Ekspedycja doktora Greya podeszła do otwartych na oścież drzwi wejściowych do bazy wojskowej. Mieli sporo szczęścia, że mutant von Felden postanowił zaczerpnąć powietrza właśnie wtedy, gdy dotarli do góry. Zauważyli bowiem, że drzwi posiadają cyfrowy zamek kodowy. Jego obejście wydawało się niemożliwe, a wyważenie potężnych, tytanowych drzwi, o grubości co najmniej półtorej stopy w ogóle nie wchodziłoby w rachubę. Minęli próg i weszli do wewnątrz.
W środku było chłodno, zdawało się, że klimatyzacja wciąż działa. Szli wąskim, zaciemnionym korytarzem. Po przejściu kilkunastu metrów spostrzegli kamerę, skierowaną w ich stronę. Zamarli w bezruchu, ale najwidoczniej była nieaktywna, gdyż nie uruchomił się żaden alarm. Skręcili w lewo i weszli do oświetlonego przedsionka. Ściany bazy były wykonane z jasnego marmuru. Ich blask uderzał w oczy tak intensywnie, że uczestnikom ekspedycji dłuższą chwilę zajęło przystosowanie się do nowych warunków. Przeszli jeszcze kawałek i natrafili na osobliwe pomieszczenie. Po obu jego bokach oraz na przeciwko wejścia zauważyli cztery przejścia. Trzy z nich wydawały się zablokowane przez półprzezroczystą warstwę jakiejś dziwnej materii, żółtej i jasnoczerwonej. Jedynie to z lewej strony było dezaktywowane. Nad przejściem widniał napis "Kwatery ochrony".

- Co to może być? - spytał półszeptem Mark.

Richard i Harold znali odpowiedź.

- To pola siłowe - odpowiedział lekarz. - Pamiętam takie z krypty. Blokowali nimi dostęp do zapasów pożywienia i broni.

- Tak, a ja pamiętam sposób na ich obejście - dodał Harold. - Chyba, że nie zamierzamy przez nie przechodzić, skoro to tutaj jest otwarte - wskazał ręką w lewo.

Doktor Grey spojrzał na nie i na tabliczkę wiszącą nad nim. Zmarszczył brwi.

- Nie byłoby rozsądne od razu wpadać w ręce żołnierzy - rzekł. - Spróbujmy najpierw przez któreś z tych.
Dwa przejścia na wprost członków wyprawy były zablokowane żółtym polem siłowym. To z prawej - czerwonym.
- Tym nie przejdziemy - powiedział Harold, wskazując na czerwone pole. Podszedł do jednego z przejść na wprost. Kucnął i przyjrzał się futrynie. - Zwykle otwierało się je kartą magnetyczną. Ale jest tutaj taki mały... Zaraz... Nie, nie ma... Dziwne...
- Czego nie ma? - spytał Richard.
- Zwykle był tutaj niewielki transformator - odrzekł Harold. - On emitował cienką stróżkę lasera, a później sensory rozprowadzały go po specjalnej futrynie. Ale tutaj jest inaczej. Jest schowany. I zaplombowany. Jest to lepiej zabezpieczone, musieli je usprawnić.
- A w tamtym? - powiedziała Francine, wskazując na prawe drzwi.
Harold podszedł do przejścia z czerwonym polem siłowym. Przyjrzał się futrynie i po chwili uśmiechnął.
- Jest - powiedział. - Zuch dziewczyna... Słuchajcie, macie może pusty magazynek?
- Tak, ja mam - odparł Zack i podał go Haroldowi.
Harold wziął magazynek, odchylił lekko osłonę transformatora, przyłożył opróżnioną część broni tuż obok emitowanej wiązki lasera i pchnął. Nagle krzyknął i odsunął się. Nastąpiło zwarcie i pole siłowe znikło. Harold spojrzał na swoją dłoń. Była dość mocno poparzona.
Doktor Grey błyskawicznie zareagował. Wyjął z torby srebrną puszkę, wstrząsnął ją i spryskał ranę Harolda białą substancją. Chwilę później owinął dłoń bandażem.
- To pomoże - powiedział. - Ale umówmy się, że nie będziesz już tego próbował, okej?
Harold odetchnął z ulgą i odrzekł:
- Przypomnij mi, żebym ci podziękował, jeśli przeżyję...
Uczestnicy ekspedycji uśmiechnęli się.

Doktor Grey jako pierwszy przeszedł przez otwarte przejście. Kolejne pomieszczenie było podobne do tego, które opuszczali. Pod wschodnią ścianą, naprzeciwko wejścia, było ustawionych kilka nieaktywnych konsoli komputerowych. Skręcili w lewo. Spostrzegli, że pokój był od północy przedzielony ścianą. Nie było jednak pola siłowego. Widniało ono dopiero na kolejnej północnej ścianie. Doktor Grey podszedł do terminali. Były wyłączone. Wspólnie przeszli do odgrodzonego pomieszczenia na północy. Tutaj jeden z komputerów pracował. Richard podszedł do niego i uderzył w klawisze. Ekran zamigotał i rozświetlił się.
- Umiesz to obsługiwać? - spytał Harold.
- Pracowałem na takich w Krypcie Ósmej - odparł lekarz, wpatrując się w monitor. - Mam nadzieję, że jeszcze coś pamiętam...
Poprawił okulary i zaczął nad wyraz sprawnie przeszukiwać zasoby komputera. Pozostali ustawili się za nim i przyglądali. Doktor Grey szybko czytał i wyświetlał kolejne strony, wypełnione różnego rodzaju informacjami.
- Nie ma żadnych planów tego kompleksu - powiedział. - Ani obrazu z kamer...
- Może... akurat na tej maszynie jest to niemożliwe - rzekł Mark.
- Słusznie, nie mamy dostępu - odparł lekarz i ponowił przeszukiwanie. Przeglądał dane o przeznaczeniu bazy, jej historii, broni, a nawet robotach. W końcu chyba znalazł to, czego tak naprawdę szukał. - Jest coś o tym wirusie - powiedział. - Wypełnione nici DNA... usunięte geny recesywne... powiększone aksony i dendryty... przecież to niemożliwe...
Doktor Grey wyglądał na zdumionego. Pozostali niewiele rozumieli z tych słów.
- Co to wszystko oznacza? - spytał Harold.
- Najprościej mówiąc - odparł lekarz - tak wyglądałby człowiek idealny, pozbawiony wad genetycznych, o ostrych zmysłach i szybkich odruchach. Zaraz... RNA przekazuje więcej informacji... to naprawdę niemożliwe! - powtórzył. - Dziwię się, że w ogóle coś takiego zostało kiedykolwiek wynalezione! Za pomocą tego wirusa można by wytworzyć idealną populację...
- A może idealną armię? - zasugerował cicho Mark.
Doktor Grey spojrzał na niego i skinął głową w milczeniu.

- W każdym razie chyba jednak coś im nie wyszło - rzekł Harold z wątpiącą miną.
Doktor Grey zastukał w klawisze. Nagle monitor zamigotał, jak podczas uruchamiania i zrobił się czarny. Richard próbował na nowo go włączyć, ale nie udało mu się.
- No cóż, przynajmniej nieco się rozjaśniło... - skwitował.
- Doktorze, niech pan spojrzy - powiedział Hardy, który próbował czegoś dojrzeć poprzez żółte pole siłowe na północnej ścianie. - Czy tam aby ktoś nie leży?
Członkowie wyprawy podeszli do niego. Dojrzeli, że tuż za rogiem wystają czyjeś nogi. Były jednak znacznie większe, niż normalnego człowieka.
- To mutant? - spytał Harold, nie wiedząc w zasadzie do kogo skierować to pytanie.
- Możliwe - odparł Richard.
- A co on tam robi? - spytała Francine.
Doktor Grey zmarszczył czoło i pomyślał. Po chwili odrzekł:
- Cóż, skoro tamten obszar jest tak odizolowany - wskazał na pole siłowe, - to być może tam trzymane są eksperymenty von Feldena.
- Może niech lepiej tam pozostaną - powiedział Harold, spoglądając na ranną dłoń. - Przynajmniej ten jeden kłopot mniej.
- To prawda - westchnął lekarz. - Myślę, że nic tu po nas. Wracamy. Spróbujemy przejść przez pokój ochrony.
Opuścili pomieszczenie i udali się do pokoju z czterema przejściami. Stanęli przed dezaktywowanym wejściem do "Kwater ochrony". Jeden za drugim, skradając się tuż przy ścianie, weszli do pomieszczenia. Spostrzegli, że było ono wypełnione piętrowymi pryczami. Przy każdym łóżku ustawiona była szafeczka. Po środku pomieszczenia stał stół i kilka krzeseł. Nagle idący na przedzie Zack zatrzymał pochód. Przyłożył palec do ust i wskazał ręką na ostatnią pryczę tuż przy opuszczonych drzwiach. Spał na niej mutant. Leżał na brzuchu, głową odwrócony w stronę ściany. Wszyscy przygotowali broń. Hardy, który zostawił swoje działo na zewnątrz bazy, przeładował strzelbę bojową. Na palcach podeszli do drzwi, celując w mutanta. Doktor Grey już sięgał do przycisku otwierającego przejście, gdy mutant chrapnął i odwrócił głowę. Przez chwilę oszołomiony patrzył nieprzytomnie na obcych ludzi. Nagle ryknął. Uczestnicy ekspedycji pociągnęli za spusty swych broni. Głowa mutanta przestała istnieć. On sam znieruchomiał. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wtedy coś małego i czarnego wypadło z ogromnej dłoni zielonego stwora i poturlało się w kierunku doktora Greya.
- Uwaga! - krzyknął Hardy i szybko złapał czarną kulkę. Zamachnął się i rzucił w przeciwległym kierunku. Kulka odbiła się od ściany i wybuchła, wydając dziwny dźwięk, przypominający buzowanie prądu elektrycznego. Świetlówki nad miejscem wybuchu rozpadły się w drobny mak.
Wszyscy zamarli, zszokowani tym widokiem, ale i nieprawdopodobnym refleksem Bravera.
- Co to było?! - krzyknął Harold.
Hardy oddychał szybko.
- Wyglądało na granat - powiedział, wstając, - ale... nie wybuchł normalnie.
- To był granat pulsacyjny - wyjaśnił Richard.
Pozostali spojrzeli na niego. O znajomość broni jego akurat nie podejrzewali.
- Skąd to wiesz? - spytał Harold.
- Przed chwilą o tym czytaliśmy - odparł lekarz - w komputerze we wschodnim pomieszczeniu. Warto zwracać uwagę na takie rzeczy.
- Jak one działają? - spytał Hardy.
- Emitują silne pole magnetyczne i, mówiąc prosto, unieruchamiają wszystkie działające urządzenia elektryczne w swoim zasięgu. Gratuluję refleksu, Vincencie. Jego wybuch mógłby uszkodzić drzwi tak, że nie udałoby się nam przez nie przejść. Dobra robota.
Hardy uniósł brwi.
- Trochę nieświadomie - powiedział i spojrzał na trapera Zacka, który zaczął obszukiwać ciało mutanta. - Co ty robisz, Icereef?
- Taki sprzęt może być pomocny - odrzekł.
Mark podszedł do szafki stojącej przy pryczy zabitego mutanta. Otworzył ją i wyjął dwa granaty

pulsacyjne.

- Macie rację, poszukajmy, może być ich więcej - powiedział doktor Grey.

Członkowie wyprawy zaczęli przeszukiwać schowki przy pryczach. W sumie udało im się znaleźć sześć takich granatów.

- Dobrze, teraz broń w gotowości - rzekł Richard. - Idziemy dalej.

Grupa ustawiła się po obu bokach futryny. Doktor Grey nacisnął na płaski przycisk zwalniający. Drzwi zachrobotały i podniosły się. Spojrzeli za nie. Było pusto. Na kuckach przeszli przez przejście i ponownie skradając się tuż pod ścianą szli jeden za drugim. Było bardzo cicho. Nic nie wskazywało na obecność kogokolwiek. Na przeciwległej ścianie zobaczyli ogromny napis "Poziom 1" tuż nad dwoma dziwnie wyglądającymi urządzeniami.

Doszli do wejścia do pokoju po prawej stronie. Przeczytali tabliczkę informacyjną - "Sterownia. Tylko upoważniony personel". Zack spojrzał na doktora Greya, który kiwnął głową. Po chwili traper wychylił się ostrożnie zza węgła.

- Nikogo nie ma - szepnął.

- Wejdźmy tam - odparł doktor Grey.

Po chwili wszyscy byli w środku pomieszczenia. Nie było zbyt przestronne, posiadało dwa wyjścia. Przeciwległe było zablokowane przez żółte pole siłowe. Pośrodku stał komputer, podobny do tego z pokoju na wschodzie. Doktor Grey podszedł do terminala.

- Znów mamy szczęście - powiedział po chwili.

- Dlaczego? - spytał Harold.

- Do tego komputera trzeba się zalogować - odparł lekarz, - czyli mieć odpowiednie hasło. Na szczęście jest odblokowany. Zobaczmy... "Zabezpieczenia"... Dezaktywuj wszystko, tak... "Monitoring"... "Pola siłowe"... Zostawimy włączone... "Roboty"...

- Roboty?... - szepnęła Francine.

- Coś czuję, że te granaty mogą naprawdę nam się przydać - powiedział Harold.

- Wyłącz... - mówił dalej lekarz. - Okej, nic więcej tu nie ma. Nie jestem pewien czy to się odnosi tylko do tego poziomu, czy do całości. Musimy być ostrożni. Chodźmy dalej.

Wyszli ze sterowni i skręcili w prawo. Spojrzeli na urządzenia umieszczone pod tablicą z napisem "Poziom 1". Zaparło im dech w piersiach.

- Niesamowite... - powiedział lekarz.

Oglądali właśnie dwa prawdziwe roboty. Miały około pięciu stóp wysokości. Na ich szczycie widniały przezroczyste kopuły, które przykrywały żywe organy, przypominające ludzkie mózgi. Dwie rurowate kończyny, jakby macki wystające z pozłacanego korpusu dzierżyły po karabinie. Kilka diod migało im na przednich panelach. Niewielki ekranik tuż pod kopułą wyświetlał napis: "Stan gotowości. Oczekiwanie na rozkaz". Doktor Grey przyglądał im się z niezwykłą uwagą i zdumieniem na twarzy.

- Niesłychana technologia - powiedział. - Nie myślałem, że te informacje są prawdziwe, ale wychodzi na to, że to autentyczny cyberorganizm...

- Co to znaczy? - spytał Mark.

- To znaczy, że ten robot jest sterowany przy pomocy ludzkiego mózgu - rzekł Richard. - To już nawet nie jest sztuczna inteligencja. To coś znacznie bardziej zaawansowanego... Nie myślałem, że kiedykolwiek spotkam coś podobnego.

- Richardzie, podejdź na moment - powiedział Harold stojący wraz z Zackiem obok zablokowanego żółtym polem siłowym przejścia po prawej stronie pomieszczenia. - To również jest niesamowite... i przerażające.

Uczestnicy ekspedycji podeszli do nich. Za polem siłowym zauważyli kilkunastu martwych mutantów, leżących w bezładzie, jakby śmierć przyszła na nich nagle i bezboleśnie.

- Co tu się stało?... - spytała Francine, zasłaniając usta.

- Nieudane eksperymenty von Feldena - odparł doktor Grey i pokręcił głową. - Biedni ludzie...

- Tu jest winda - powiedział nagle Hardy, wskazując ręką.

Podeszli do odgrodzonego ścianą przejścia do elewatora. Stanęli przed rozsuwanymi drzwiami. Doktor Grey nacisnął przycisk w kształcie strzałki skierowanej w dół. Drzwi otwarły się. Weszli do

środka i spojrzeli na panel informacyjny:

"Poziom 1. Kwatery ochrony. Kwatery cywilów. Sterownia. Wyjście
Poziom 2. Kwatery oficerów. Zbrojownia. Szpital
Poziom 3. Kwatery naukowców. Sala zebrań. Dostęp do: Poziom 4, Kadzie"

- Dokąd teraz? - powiedział Harold, spoglądając na Richarda.

- Zastanówmy się - odrzekł lekarz. - Chcemy się dowiedzieć o mutacjach. Chyba możemy sobie odpuścić poziom drugi. Skierujmy się od razu na trzeci.

Pozostali wyrazili aprobatę.

- Gotowi?

Doktor Grey nacisnął przycisk na poziom trzeci. Winda ruszyła, jadąc powoli. Wskazówka na panelu informującym o jej pozycji wolno opuszczała "jedynkę", zbliżając się do cyfry dwa. Po chwili elewator zatrząsł się. Wyraźnie zaczął zwalniać.

- Co jest? - zapytał sam siebie Richard. - Czy ktoś nacisnął dwójkę?

Nikt nie przytaknął. Hardy, który stał tuż przy drzwiach przeładował strzelbę i odwrócił się przodem do nich. Winda stanęła. Drzwi otworzyły się.

Nikt nie zdążył wypowiedzieć nawet słowa, gdy rozległa się seria z karabinu automatycznego. Prawie wszyscy padli na podłoże. Mutant stojący na zewnątrz windy z wrzaskiem opróżniał magazynek, celując prosto w jedynego stojącego, Hardego. Kule zniszczyły świetlówkę w windzie. Richard z furią uderzał ręką w przycisk z wymalowana cyfrą trzy. Drzwi w końcu zamknęły się. Zrobił się półmrok.

Hardy zachwiał się i przewrócił do tyłu. Zsunął się po podziurawionej jak sito ściance windy. Doktor Grey złapał go za dłoń. Hardy ścisnął ją mocno. Wstrząsały nim drgawki. Patrzył na rany we własnej klatce piersiowej. Zakasłał i wypluł mnóstwo krwi. Spojrzał na Richarda. Po chwili Vincent Braver, zwany Hardym, przestał oddychać.

Rozdział XIII: Zły sen

- Doktorze... - jęknął ktoś obok półprzytomnego Richarda. Lekarz przez moment nie wiedział gdzie jest i co tutaj robi. Miał wrażenie, że przebudził się z koszmaru i jak zwykle siedzi w wygodnym fotelu w swoim gabinecie w The Hub. Pracował do późna, miał zwyczaj usypiać jeszcze w pracy. Ale zły sen trwał nadal.

- Doktorze... proszę... - Richard poznał ten głos. To był traper Zack. Leżał tuż obok martwego Hardego. Lekarz spojrzał na niego. Miał przestrzelone lewe ramię. Szybko sięgnął do swojej niezastąpionej torby i wyjął potrzebne medykamenty. Przemył ranę i założył opatrunek.

- Reszta cała? - zapytał cicho Richard.

- Chyba tak... - odparł Harold. - Mark? Francine?

- Nic nam nie jest - odrzekła dziewczyna, podobnie jak brat błyskając przerażonymi oczyma w zaciemnionym elewatorze.

Winda zatrzymała się na poziomie trzecim i stała tam już kilka minut. Doktor Grey jednak zablokował ją i nie pozwolił drzwiom na rozsunięcie się. Spojrzał na ciało Hardego.

- Wyciągnijmy go stąd... - szepnął.

- Niech pan poczeka - powiedział spocony i biały na twarzy Zack. - Oni mogą tam być. Rozsuńmy te drzwi ręcznie...

- Dobry pomysł - rzekł Harold. Razem z Markiem złapali za skrzydła drzwi i pociągnęli każdy w swoją stronę. Uchyliły się. Na zewnątrz było pusto. Pociągnęli jeszcze mocniej. Harold wychylił głowę i rozejrzał się.

- Możemy wychodzić - powiedział.

Wynieśli ciało Hardego na zewnątrz windy. Jego broń spoczęła obok niego. Doktor Grey ściągnął z siebie kurtkę i przykrył nią twarz Bravera. Chwilą skupienia oddali mu cześć.

Harold wyjrzał za róg dobudówki, którą otoczone było wejście do windy. Droga prowadziła na

wprost i w lewo. Postanowili pójść prosto, jako że już stąd widać było koniec korytarza. Szli jak zawsze - jeden z drugim, chyłkiem, na palcach. Doszli do pustego, niewielkiego pomieszczenia po ich lewej stronie. Stał tam rozległy stół, zaśmiecony kolorowymi papierkami i rozgniecionymi puszkami po napojach. Rozglądali się po nim z zainteresowaniem. Nagle Zack schylił się i podniósł z ziemi jakiś przedmiot.

- Ładunek wybuchowy - powiedział. - Sprawny i gotowy do użycia.

- No tak, w końcu to "pokój zabaw" - skwitował Harold.

Opuścili pomieszczenie i udali się w stronę długiego korytarza, który zauważyli wychodząc z windy. Hol był naprawdę długi, sterylny i jasny jak cały kompleks. Doprowadził ich do bardzo rozległej hali. Była ogromna, aż dziw, że podziemna baza zdołała pomieścić w sobie tak wielką przestrzeń. Na przeciwległej ścianie zauważyli namalowanego ogromnego motyla, a pod nim słowo "MARIPOSA". Na prawo od herbu bazy wojskowej było przejście.

Obchodzili halę od strony, z której przyszli, czyli od zachodu. Nagle wszyscy zamarli. W korytarzu, na wschodzie pojawił się robot, taki sam, jakie widzieli na pierwszym poziomie bazy.

- Padnij!... - szepnął Mark.

Członkowie wyprawy zareagowali od razu. Obserwowali z daleka patrolującego robota. Powoli przesuwał się on do końca korytarza. Obrócił się w ich stronę i rozejrzał się po hali. Najwidoczniej nie zauważył ekspedycji. Zawrócił i schował się za rogiem.

- Teraz, szybko! - powiedział Richard.

Wstali i podbiegli do wystającej ściany, stanowiącej przejście do pokojów mieszkalnych naukowców, jak widniało na tablicy informacyjnej. Stanowiła ona odgrodzenie od hali i tworzyła krótki korytarz do kwater. Oparli się o mur.

- Ten komputer na pierwszym poziomie zdjął zabezpieczenia, ale zdaje się, że tylko tam - powiedział Harold.

Doktor Grey kiwnął głową i westchnął.

- Chyba wiecie, co chcę wam powiedzieć... - rzekł cicho.

- Wiemy - odparł Harold i nie wiedzieć czemu uśmiechnął się. - Chcesz się dostać do korytarza, którego strzeże ten robot...

Richard spojrzał na niego.

- Dostrzegłem... tam jest przejście do laboratorium, czy... jak to nazwać. Te "Kadzie". Jest tabliczka wskazująca.

- Też ją zauważyłem, przyjacielu - odrzekł Harold. - Tylko jak go załatwić...

- Mamy przecież te granaty elektryczne - powiedział Mark. - Może zrobimy z nich jakiś użytek?

- Poczekajmy i poobserwujmy go jak długi jest jego cykl przejścia korytarza - rzekł Zack. - To przecież maszyna. Jest raczej powtarzalna.

- Słusznie - odparł doktor Grey. - Jeżeli się to sprawdzi, możemy nawet spróbować rzucić granatem w ciemno. Mamy ich kilka.

- Ale jak to się uzbraja? - zapytał Harold.

Zack wyciągnął granaty z kieszeni. Obejrzeli je dokładnie i zauważyli po środku jasnozielony przycisk.

- Myślę, że trzeba to wcisnąć przed rzutem - powiedział traper.

- Dobrze, a więc do dzieła - rzekł Richard.

Doktor Grey wychylił się zza węgła i poczekał na mechanicznego strażnika. Zaczął liczyć czas. Jego patrol odbywał się dokładnie w ten sam sposób, co kilka minut wcześniej. Dla pewności lekarz powtórzył pomiar jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem wynik był bardzo zbliżony, niemal identyczny. Gdy robot schował się w korytarzu Richard szepnął:

- W gotowości!...

Ustalili, że Mark rzuci granatem. Kilka sekund później Richard powiedział:

- Uwaga!...

Robot pojawił się w przejściu. Po chwili zawrócił.

- Teraz!

Mark wychylił się i rzucił z całej siły w stronę chowającego się za rogiem robota. Padł na ziemię.

Granat uderzył w ścianę, wydał z siebie dźwięk, słyszany przez nich już wcześniej, i rozpadł się. Rozległ się pojedynczy strzał. Po chwili zauważyli strzelające zza węgła iskry. Odczekali kilka chwil.

- Powinien już powtarzać swój patrol - powiedział doktor Grey. - Myślę, że jest uszkodzony.

Wstał, a za nim reszta jego ekspedycji. Ostrożnie udali się w kierunku korytarza na wschodzie. Gdy dotarli na miejsce zauważyli robota w nienaturalnej pozycji, z kopułą z ludzkim mózgiem pochyloną do przodu. Przedziurawiony pancerz iskrzył się, a karabin, który dzierżył w mechanicznych mackach miał skierowany na wprost. Zack podszedł do niego na krok i szturchnął go kolbą swojej broni. Robot zachwiał się i przewrócił.

Odetchnęli z ulgą i zaczęli obchodzić robota. Nagle wydał on z siebie dziwny dźwięk. Ekspedycja zatrzymała się. Robot nagle wyprostował się i szybko obrócił w lewo. Zatrzymał się i wycelował w Marka. Rozległ się strzał. Mark padł na ziemię. Francine krzyknęła.

- Padnij! - wrzasnął Harold i pociągnął stojących obok niego Richarda i Francine ku ziemi.

Zack przyłożył strzelbę do kopuły na szczycie robota i wystrzelił kilka razy. Wrzasnął z bólu i upuścił broń, jej odrzut ugodził go w zranione ramię. Ludzki mózg w robocie został rozerwany. Maszyna zakręciła się wokół własnej osi i przełamała się, upadając na podłogę, przygniatając strzelbę Zacka i rozlewając wokoło czarną maź. Tym razem już na pewno został unicestwiony.

Doktor Grey podpełzł do Marka, który trzymał się za udo. Mocno krwawiło.

- Przytrzymajcie go! - zwrócił się do Harolda, Zacka i Francine. - Muszę wyjąć kulę. Mark, to będzie bolało, weź to - włożył mu do ust kilka owiniętych w bandaż drewienek, służących do badania gardła. Pozostali trzymali go za ręce i nogi.

Mark patrzył się z przerażeniem, jak siedzący na nim okrakiem doktor Grey rozrywa mu zakrwawione spodnie. W dłoniach trzymał ogromne szczypce. Lekarz przemył mu nogę oraz narzędzie pracy i zatopił je w ranie. Mark wyprężył się i wrzasnął z bólu, po chwili zemdlał. Doktor Grey wyciągnął kulę i odrzucił ją na bok. Ponownie zdezynfekował udo Marka, zabandażował i zabezpieczył je, podał mu sole trzeźwiące. Chłopak ocknął się.

- Już dobrze... - szeptała mu do ucha jego siostra, - już dobrze...

Richard odetchnął i wytarł ręce w sterylną szmatkę. Spojrzał na półprzytomnego Marka.

- On nie da rady iść z nami dalej - rzekł. - Musi wracać.

- Ale jak? Przecież na drugim poziomie stoi zielony gnój i czeka na jadącą windę - spytał Harold.

Doktor Grey nie odpowiedział. Zrobił to Zack.

- Ja sobie z nim poradzę - wydyszał.

Pozostali spojrzeli na niego. Traper pokazał im wiązkę dynamitu, którą najwidoczniej zabrał z "Pokoju zabaw" na tym poziomie.

- Podrzucisz to? Jak? - zapytał karawaniarz.

- Razem z sobą - odparł krótko Icereef.

Doktor Grey zaczął gwałtownie kręcić głową.

- Nie! Żadnej kolejnej śmierci! Nie zgadzam się!...

- Nie ma innego wyjścia, doktorze - przerwał mu Zack.

- Nie!!!

- Doktorze, brałem to pod uwagę od samego początku tej ekspedycji. Jeśli będzie trzeba, to zginę w imię słusznej sprawy. Nie boję się. Nikt inny nie może tego zrobić... Ani pan, ani Harold, ani rodzeństwo. Tylko ja nie spanikuję. Moja broń jest zniszczona, a ja jestem ranny, mogę się już nie wylizać. Wy musicie żyć... żeby zapobiec dalszemu tworzeniu się tych potworów. Zniszczcie to wszystko. I żyjcie... Tylko ja mogę to zrobić...

Doktor Grey patrzył na niego przez łzy. Po chwili jednak wytarł je i kiwnął głową.

- Niech będzie.

Razem z Haroldem złapali Marka za ramiona i wspólnie zaczęli iść w stronę windy. W głowach mieli kompletne pustki. Dotarli na miejsce znacznie wcześniej niż się spodziewali. Oparli Marka o ścianę. Zack podszedł do otwartej windy. Był blady, ale zdecydowany. Odwrócił się w stronę stojących Harolda, Francine oraz Richarda i powiedział:

- Udam martwego. Może mutant wyniesie mnie na zewnątrz. Odpalę ładunek, gdy będę daleko od windy.
Wszedł do elewatora. Spojrzał w oczy doktorowi Greyowi.
- To był zaszczyt.
Uderzył w przycisk z numerem dwa. Drzwi zamknęły się.

***

Winda ruszyła do góry. Zack położył się na podłodze twarzą ku ziemi. Po chwili elewator zatrząsł się i zwolnił. Drzwi otwarły się. Od razu rozległy się strzały, które ugodziły w ściankę windy. Mutant wydał z siebie pomruk zdziwienia i wszedł do środka. Chwycił leżącego Zacka i jedną, ogromną łapą podniósł go do góry. Po chwili upuścił go z powrotem na ziemię i obrócił się do wyjścia. Zack poczuł nagły przypływ adrenaliny. Błyskawicznie podniósł się. Uderzył w przycisk z napisem trzy i wybiegł z windy, nim drzwi się zamknęły. Mutant nie spostrzegł go. Stał zdezorientowany. Zack podbiegł do ściany z lewej strony przybudówki wokół windy. Nie mógł jej opuścić ze względu na zagradzające mu drogę pole siłowe. Szybko ustawił najmniejszą ilość czasu na detonatorze ładunku. Winda ruszyła na dół. Zack krzyknął coś w kierunku mutanta. Ten wycelował w niego i wystrzelił całą serię pocisków, godząc prosto w tors trapera. Icereef osunął się na ziemię, pozostawiając na białej ścianie pionowy ślad krwi. Mutant podszedł do niego i nachylił się, by zbadać, co mały człowieczek trzyma w dłoniach. Ładunek eksplodował. Pozbawiony głowy i większej części torsu zielony potwór upadł, przygniatając rozszarpane ciało Zacka.

***

Potężny wybuch wstrząsnął sufitem, pod którym klęczeli Richard, Harold, Mark i Francine. Wiedzieli, że Zacka już nie ma, że poświęcił się dla nich, by mogli opuścić bazę. Jednak trzeba było się upewnić.
Harold i doktor Grey podeszli do windy, która właśnie zjechała na ich poziom. Weszli do niej. Wydawała się nienaruszona. Harold nacisnął przycisk z numerem dwa. Po chwili drzwi otwarły się. Spojrzeli przez nie. Panował straszny odór. Wszędzie było mnóstwo krwi i strzępów porozrywanego ciała mutanta. Spod jego ogromnego cielska wystawały jedynie nogi trapera. Przyjaciołom zaszkliły się łzy w oczach. Nie zwrócili już większej uwagi na niemal nienaruszoną konstrukcję bazy w miejscu wybuchu i migotające pole siłowe. Wrócili na poziom trzeci.
Mark doszedł już do siebie. Francine właśnie pomagała mu wstać. Na słowa doktora Greya o jego powrocie na powierzchnię zareagował gwałtownie. Harold i Francine próbowali go uspokoić, ale nie dawało to większych rezultatów. W końcu zareagował Richard.
- Mark, przepraszam, że muszę tak to ująć, ale będziesz stanowił dla nas ciężar - powiedział spokojnie. - Zrozum. To dla twojego, ale i naszego dobra. A może przede wszystkim dla naszego. Postaw siebie na naszym miejscu. Chciałbyś zmagać się jednocześnie z mutantami, robotami i rannym partnerem, którego trzeba osłaniać? Teraz każdy chroni siebie, jest nas mało.
- Niech i moja siostra idzie ze mną - powiedział.
- Nie, Mark - odparła Francine. - Muszę pomóc wujowi Haroldowi i panu doktorowi.
Harold nie zaprotestował, a Mark chyba zrozumiał. Oddał mu swoją broń. Siostra rzuciła mu się na szyję.
- Bądź ostrożny - szepnęła, połykając łzy.
- Masz odblokowane przejście do poziomu pierwszego - powiedział Harold. - Uważaj na siebie. Niedługo się spotkamy.
Mark wszedł do windy i rzucił w ich kierunku ostatnie spojrzenie. Po chwili winda ruszyła.

Harold, Francine i doktor Grey udali się do korytarza na wschodzie. Obeszli zniszczonego robota i doszli do miejsca, gdzie hol zakręcał w prawą stronę. Usłyszeli dziwny, mechaniczny

dźwięk. Domyślili się, co to może być.

- Jest jeszcze jeden - szepnął Harold. - Macie jeszcze granaty? Ja mam dwa.

- Ja też - odrzekła Francine.

- Było sześć... Jeden musiał zostać przy Zacku.

- Ale dlaczego robot nie ruszył do nas, gdy rozwalaliśmy tamtego? - spytała dziewczyna.

- Myślę, że jest zaprogramowany, żeby czegoś strzec - odpowiedział doktor Grey. - To może być dostęp do laboratorium.

- No cóż, tak czy owak musimy go unieruchomić - odrzekł Harold i wyjął z kieszeni granat. - Gotowi?

Richard i Francine kiwnęli głowami i kucnęli opodal wraku zniszczonego wcześniej robota. Harold wcisnął przycisk na granacie, pochylił się i wystawił dłoń za róg, by przeturlać oręż w stronę robota. Gdy jednak to zrobił, rozległa się seria z karabinu automatycznego. Harold cofnął rękę i spojrzał na parę siedzącą opodal.

- Rzuć to! - krzyknął Richard.

Harold zorientował się, że wciąż dzierży uzbrojony granat. Rzucił przed siebie. Granat wybuchł po dobiciu się od ściany. Światła nad nimi przestały działać.

- Cholera! - krzyknął karawaniarz. - Nic wam nie jest?

- Nie... - odparł doktor Grey, wstając. - Trzeba odwrócić jego uwagę.

Harold przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu drugiego granatu.

- Gdzie jest?... - zaczął, ale zaraz spostrzegł, że ten przeturlał się pod ścianę naprzeciwko. Musiał mu wypaść z kieszeni. Był teraz w zasięgu pola widzenia robota.

- Masz te - powiedziała Francine, podając mu dwa granaty. W tym czasie doktor Grey oderwał kawał części ze zniszczonego wcześniej strażnika.

- Zrobimy tak - rzekł. - Ja rzucę to, żeby skierować jego uwagę w drugą stronę, a w tym czasie ty podrzucisz mu granat.

Harold kiwnął głową. Kucnął tak jak chwilę temu, chwytając w dłoń granat. Richard stanął obok niego.

- Gotowy? Odbezpiecz...

Harold uzbroił granat. Richard rzucił przed siebie kawał blachy. Rozległy się strzały. Harold rzucił granat. Po chwili usłyszeli znajomy dźwięk wybuchu broni pulsacyjnej. Strzały ustały. Doktor Grey wychylił się zza węgła. Robot był zniszczony.

- Droga wolna - powiedział.

Harold zgarnął spod ściany leżący granat i podeszli do windy. Richard nacisnął przycisk ze strzałką skierowaną ku dołowi. Nic się jednak nie stało. Lekarz uderzył ponownie w guzik. Po chwili walnął się w czoło otwartą dłonią.

- Przecież to też jest urządzenie elektryczne - rzekł cicho i przetarł twarz. - Niszcząc robota, zniszczyliśmy też windę.

Harold potrząsnął głową z niedowierzaniem. Francine powiedziała:

- Ale są jeszcze te... pokoje naukowców. Może tam też jest jakaś winda?

Richard westchnął.

- Nic innego nam nie pozostaje.

Ruszyli z powrotem. Przeszli halę z ogromnym motylem i doszli do korytarza, nad którym tablica głosiła: "Kwatery naukowców". Upewnili się, że przejście jest możliwe i weszli do kolejnego holu. Minęli kilka poodgradzanych od siebie, obszernych pokoi i doszli do końca korytarza. Wyjrzeli za róg. Nic nie stało im na przeszkodzie. Zauważyli windę. Harold uśmiechnął się do Francine. Doktor Grey nacisnął guzik, obok którego napisane było "Do poziomu czwartego". Weszli do windy i zjechali na dół.

Na poziomie czwartym na szczęście nie czekały ich żadne niespodzianki. Rozejrzeli się wokoło. Po lewej stronie widniało zablokowane przejście do "Kwater starszych naukowców". Na prawo zauważyli bardzo długi i szeroki korytarz. Zaczęli ostrożnie iść holem. Doszli do zakrętu w prawo. Postanowili jednak rozejrzeć się w pomieszczeniu oznaczonym tabliczką "Kontrola kadzi. Bazy danych. Tylko upoważniony personel". Nie było zablokowane ani polem siłowym, ani nawet

drzwiami. Weszli do środka. Po przeciwległej stronie zauważyli ogromny, przeszklony otwór. Ich uszu dobiegł jakiś szum. Minęli kilkanaście komputerów, podobnych do tych, jakie widzieli na poziomie pierwszym. Szum nasilił się. Doszli do szyby i zamarli.
Widok był przerażająco imponujący. Trzy ogromnej wielkości balie, wypełnione zielonkawą substancją otaczały podest. Był on rozgałęziony w trzy strony. Pośrodku stało mechaniczne ramię o zasięgu dokładnie do gigantycznych kadzi. Zauważyli również klatki nad każdą z monstrualnych bek. Metalowe boksy były umieszczone w zawieszonej pod stropem sieci prowadnic i miały dostęp do każdego miejsca w ogromnej hali. Jedna z żeliwnych alejek chowała się pod nimi. Pozostałe skierowane były na północ do "Laboratorium I" oraz na zachód. Nie mogli jednak dojrzeć, jak oznaczone było to pomieszczenie. Na ścianie po prawej stronie widniało kilka monitorów. Wszędzie było mnóstwo porozwieszanych kabli i kilka kamer.

Minęło kilka minut zanim otrząsnęli się z wrażenia. Nie wyobrażali sobie, że człowiek jest w stanie wybudować coś tak fatalistycznego. Doktor Grey podszedł do konsoli na swego rodzaju piedestale. Zdawało się, że ten komputer jest sterującym. Pracował bez przerwy, diody migotały na nim, wydawał ciche piski. Richard stuknął w klawisze. Nic się jednak nie stało. Poruszał niewielką dźwignią - też nic. Zauważył kluczyk. Umieszczony był w stacyjce z napisem "Włącz/Wyłącz". Przekręcił go. Dopiero teraz monitor się rozjaśnił. Zaczął przeglądać zasoby, jednak do większości nie miał dostępu. W końcu natrafił na opcję "Przeszukiwanie zapisów". Doktor Grey wybrał z krótkiej listy nazwisko Maxson. Komputer zaczął głośno odtwarzać zarejestrowany głos.
Mowa kapitana Maxsona była wyraźna i spokojna, czasami aż za bardzo, zwłaszcza, gdy wspominał o mordowaniu naukowców. I mimo tego, co mówił Zack, czuło się, że nie był to do końca zły człowiek. Na pewno chciał dobrze dla swych podwładnych, rodziny, przyjaciół, a żeby tego dokonać musiał robić to, co czynił. Zabił von Feldena Seniora w słusznej sprawie, to samo uczynił z pozostałymi. Być może Zack przesadził nieco w jego opisie, być może usłyszał wyrwane z kontekstu słowa i zinterpretował je po swojemu, w końcu był wówczas tylko dzieckiem. Tego doktor Grey, Harold i Francine już nigdy się nie dowiedzą.
Żołnierz powiedział tylko jedną rzecz nieco innym, jakby błagalnym, łamiącym się głosem: "Czym ja się stałem?". To pytanie mógł sobie wtedy zadać każdy uczestnik ekspedycji, ten, który żył lub który żyłby. Niewątpliwie wyprawa zmieniła ich życie, a wielu go pozbawiła. Na twarzach jej żyjących członków malowało się takie właśnie pytanie: kim zostaną lub zostaliby ci, którzy odeszli, po jej zakończeniu?

Doktor Grey próbował odtworzyć inne dzienniki, jednak zapiski naukowców nie otwierały się, a pamiętnik Paula von Feldena Juniora, uruchomiwszy się jedynie na moment, po chwili zamilkł i zniknął z listy. Lekarz ominął opcję uruchomienia alarmu i wybrał jeszcze polecenie: "Uruchom procedurę", jednak zaniechał i tego, gdyż na monitorze wyświetliło się kilkanaście zakodowanych pozycji do wyboru. Nie chcąc czynić niczego pochopnie, rzekł:
- Poszukajmy zejścia do tego pomieszczenia - wskazał na szybę, za którą malowały się ogromne kadzie z zielonkawym płynem. - Tam jest rozwiązanie i cel naszej ekspedycji.
Opuścili pokój kontrolny wyjściem na południu i skierowali się w lewo. Długi korytarz rozgałęział się w prawo po kilkunastu metrach. Postanowili na razie udać się prosto, gdyż już widzieli przed sobą koniec holu. Doszli do drzwi wejściowych do pokoju, nad którym widniał podświetlony na czerwono napis "ŚCIŚLE TAJNE". Niemal naprzeciwko pomieszczenia umiejscowiony był rozległy gabinet. Na ścianie widniała odręcznie nabazgrana inskrypcja "Paul von Felden Jr". Tuż pod nim leżała roztrzaskana tabliczka z prawowitym dowódcą bazy wojskowej Mariposa - "Kpt. R. Maxson". Obeszli zaniedbany pokój. Doktor Grey podszedł do biurka i szybko przejrzał kilka pozostawionych na nim papierów. Nie znalazł w nich jednak niczego wartościowego. Po chwili zaś zrzucił je blatu, odsłaniając wyryte w powierzchni metalowego mebla złowrogie słowa: "Zabić Kpt Maxxona".
Opuścili kwatery dowództwa i skierowali się do pokoju oznaczonego tablicą "ŚCIŚLE TAJNE". Nie był obszerny, był zaciemniony, sprawiał wrażenie pozostawionego i opuszczonego, jakby nikt dawno tutaj nie zaglądał. Wyróżniał się tu komputer, ustawiony naprzeciw wejścia i trzy otaczające

go roboty. Dwa z nich były identyczne jak strażnicy, których spotkali poziom wyżej. Jednak jeden był kompletnie różny, choć jego osłona również miała złotawy kolor. Był mniejszy, posiadał dużą "głowę", osadzoną na stosunkowo cienkiej, zakrzywionej rurze. Rura zaś łączyła się z podstawą, z której wystawał ostro zakończony pal, przypominający bagnet. Wydał im się mechanicznym, *zabijającym* kwiatem.
Ich widok, a zwłaszcza owego nowego robota, zatrwożył członków wyprawy, jednak maszyny wydawały się nieaktywne.
- Zaczekajcie - szepnął Richard do Harolda i Francine.
Doktor Grey zaczął powoli iść ku konsoli. Jego przyjaciele wstrzymali oddech. Skradał się na palcach, nie wydobywając najcichszego szmeru. W końcu dotarł do robota najbliżej niego, jednego z dwóch z kopułą z ludzkim mózgiem. Pomachał dłonią przed słabo jarzącą się czerwoną lampką, chyba sensorem ruchu. Nagle szturchnął robota. Francine wpiła się paznokciami w ramię Harolda. Doktor Grey wyprostował się i skinął do nich ręką.
- Wydaje się, że są wyłączone - powiedział już normalnym głosem.
Harold i jego ciemnoskóra podopieczna podeszli do Richarda, który już stał przy terminalu.
- Ciekawe, jakie też tajemnice skrywa w sobie ten komputer - powiedział cicho.
- Oby takie, jak zniszczyć to ustrojstwo - odparł Harold, rozglądając się dokoła. Zaiste *niepokojącą* była atmosfera tego pokoju.
Doktor Grey zaczął stukać w klawisze. Co chwilę jednak jego wysiłki niweczył krótki, przenikliwy dźwięk.
- Potrzebujemy hasła - powiedział nagle. - Akustycznego, czyli jakiegoś wypowiadanego słowa. Jakieś propozycje?
- Może... "spadajmy stąd"? - odrzekł Harold.
- Mutant - powiedział głośno doktor Grey.
Komputer wydał z siebie znajomy piskliwy odgłos, a na ekranie pojawił się napis: "Błąd. Brak dostępu".
- Paul von Felden - kontynuował lekarz.
Znów błąd.
- FEV.
Nic.
- Mariposa - zasugerowała Francine.
- Nie, to też nie - odrzekł doktor Grey. - Może nie tędy droga... Spróbujmy inaczej: zemsta.
Ponownie błąd.
- Hmm... ojciec.
- Czekaj, a co było napisane na tym biurku? - spytał Harold po kolejnym dźwięku sygnalizującym niewłaściwe hasło.
- "Zabić kapitana Maxsona".
- Hasło poprawne. Dostęp do wszystkich opcji możliwy. Witam, doktorze von Felden - powiedziała maszyna.
Harold wyszczerzył zęby.
- Hehe, ma się ten łeb, co? - powiedział uradowany.
Doktor Grey zaczął przeszukiwać zasoby komputera. Po kilku minutach powiedział:
- Są. Eksperymenty von Feldena.
Uruchomił zarejestrowany dziennik, podobny do tego w pokoju kontrolnym. Niski głos, bardzo podobny do zmutowanego, jaki usłyszeli kilka godzin temu od jego właściciela zanim został zgładzony, powrócił do nich ze słowami:
"Ja, Paul von Felden Junior, syn wielkiego naukowca, bestialsko zamordowanego przez żołnierzy wojska amerykańskiego, niniejszym zaczynam prowadzić ten dziennik ku potomności i pamięci tego, co zamierzam uczynić. Prace mojego wspaniałego ojca, tak potrzebne ludzkości, zostały kompletnie niezrozumiane. Ja zamierzam w jego imieniu i ku jego czci kontynuować badania, które rozpoczął..."
Szum i trzaski przerwały nagle zarejestrowaną wypowiedź. Po kilku chwilach powróciła. Głos von Feldena znacznie bardziej przypominał ten, który mieli okazję już usłyszeć.

"Pierwszy eksperyment z użyciem wirusa przeprowadziłem na sobie. Nie zraził mnie okropny ból. To dla ojca. Stałem się nieznośnym dla oka potworem i zapewne pozostali również tacy będą. Ale w niczym to nie przeszkadza. To dla ojca! Wystarczyło zaledwie kilkanaście mililitrów dożylnej aplikacji. Zobaczymy, co stanie się po zwiększeniu dawki. Żona doktora Andersona będzie moim kolejnym obiektem. Poświęcenia są nieuniknione, nawet te przymusowe..."
Ponownie na moment nagranie ucichło, oddając miejsca krótkim, rwanym sygnałom. Wyglądało to tak, jakby ktoś edytował zarejestrowana wcześniej większą porcję materiału, wybierając wedle uznania konkretne fragmenty.
"Dziecko Andersona dołączyło do swej matki. Najwyraźniej byli za słabi, tato. Po aplikacji wirusa na sobie, skupię się na innych obiektach, tych wyglądających na zdrowsze i bardziej wytrzymałe..."
Podczas kolejnej ciszy Richardowi wydało się, jakby jeden z robotów nagle poruszył rurowatą kończyną. Wbił w niego wzrok na kilka chwil, ale ten ani drgnął. Nagranie było w bardzo słabej jakości, ledwo można było usłyszeć słowa mutanta.
"...kolejny eksperyment. Skrzyżuję zwierzę znalezione na zewnątrz bazy z żoną doktora... jakby wyglądała z głową szczura... ha ha ha, dobre, prawda tato?..."

- Cholerny szaleniec!... - powiedział cicho Harold.
- Do czego on dążył? - zastanawiał się doktor Grey. - Po co mu to było?
- "Dla ojca" - zacytował przyjaciel usłyszane wcześniej słowa.

"Jestem silniejszy i potężniejszy od każdego ze znanych mi stworzeń, ojcze. Ludzie są niczym wobec mojej siły i inteligencji. Dlaczego jednak inni jej nie dziedziczą, ojcze? Wyobrażam sobie armię mych nadinteligentnych sobowtórów. Nawet kapitan Maxson drżałby przed nami, ojcze. Tymczasem nieudane eksperymenty do skasowania lub wygnania. Pozostanie nas jedynie garstka..."
Kolejna cisza w nagraniu była jak dotąd najdłuższa, ale po niej nagranie było najczystsze i najbardziej wyraźne, choć z początku ucięte.
"...zabezpieczona, miny rozstawione przy południowym wyjściu ewakuacyjnym, tak jak rozkazałeś. Masz rację, uwięzieni z poziomu pierwszego zostaną przeznaczeni do konsumpcji. Chyba został znaleziony sposób na zwiększenie ich inteligencji. To twój pomysł, ojcze, większe dawki. Pomyślę nad twoją sugestią eksperymentów na przybyszach. Wkrótce kapitan Maxson odczuje naszą zemstę. Pomścimy cię, ojcze..."

Nagle doktor Grey poczuł jak coś zimnego dotyka jego dłoni. Odwrócił się i zobaczył jednego z robotów, który podjechał do niego i próbował sięgnąć go mechanicznymi mackami.

- Co się... - nie dokończył. Pisk Francine rozdarł ciszę tajnego pokoju. Robot w kształcie kwiatu nagle z impetem podjechał do ściany i przygwoździł bezbronną dziewczynę..

- Puszczaj ją, bydlaku! - wrzasnął Harold, podbiegając do robotą i tłukąc go bronią Marka. Richard ruszył na ratunek. Drugi żółty robot złapał go jednak za kostki. Lekarz runął na ziemię.

- Haroldzie, uważaj! - krzyknął.

Harold nie usłyszał. Wciąż uderzał kolbą strzelby po kopule tego odmiennego, na którym nie robiło to żadnego wrażenia. Francine była unieruchomiona. Tymczasem kolejna maszyna podpełzła do karawaniarza i owinęła swoje kończyny wokół jego kolan. Odciągnęła Harolda do tyłu, przewracając go na podłogę i pozbawiając oręża. Richard również nie mógł się uwolnić. Robot wlókł go po posadzce w stronę Francine. Zdołał sięgnąć karabinu.

- Wal w tamtego! - Harold pokazał w stronę robota trzymającego w uchwycie dziewczynę.

Richard niewiele myśląc pociągnął za spust. Kula utkwiła w robocie, który skierował sensor w stronę lekarza. Nagle z powrotem odwrócił się i wbił wystający z podstawy pal prosto w brzuch Francine. Harold wrzasnął. Richard również. Dziewczyna zatrzęsła się i wypluła brunatną krew na kopułę robota. Ten wyciągnął oręż z ciała Francine i upuścił ją. Runęła bezwładnie na podłogę. Obaj przyjaciele szlochali, krzycząc z bezsilności. Roboty ponownie zaczęły ich zaciągać tym razem w jedno miejsce pośrodku sali.

- Haroldzie, granaty! - ryknął nagle Richard.

Harold sięgnął granatu.

- Odpalaj, szybko! - krzyknął.
- A co z nami?!

Roboty ustawiły się obok siebie, unosząc Harolda i Richarda za nogi w górę. Ten z wbudowanym bagnetem stanął przed nimi szykując się do egzekucji intruzów.

- Szybko, bo zginiemy! - wrzasnął lekarz.

Harold już się nie zawahał. Nacisnął przyciska na granacie i z całej siły rzucił nim o podłogę. Granat eksplodował. Roboty wypuściły z macek Harolda i Richarda. Zakręciły się wokół własnej osi. Nagle wszystkim maszynom eksplodowały kopuły i przestały się ruszać. Światło w bazie zgasło całkowicie.

Richard ocknął się. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk, choć mogło być to jedynie w jego wyobraźni. Gdy otworzył oczy, z powrotem było jasno. Harold klęczał nad martwym ciałem Francine. Łzy obficie skapywały mu po twarzy wprost na zaplecione w warkoczyki, czarne włosy dziewczyny. Lekarz podszedł do niego i objął. Obaj przyjaciele płakali jak dzieci.

- To wszystko moja wina!... - łkał Harold. - Moja sakramencka wina... Po co ja się zgodziłem, żeby z nami poszli?... Po co?...

Richard milczał. Brakowało mu słów, by wyrazić ból jaki odczuwał. Był załamany, podobnie, jak jego kompan. Harold spuścił głowę. Nagle jednak wstał. Tak energicznie, że doktor Grey popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Musimy jak najszybciej odnaleźć wejście do tych wielkich beczek - powiedział zdecydowanie, ocierając łzy z twarzy. - Nie mamy na co czekać. Mark jest ranny, może mu się pogorszyć... I musimy stąd zabrać ich ciała. Richardzie, słyszysz mnie?

Doktor Grey spoglądał na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Wstawaj, przyjacielu, nie ma czasu do stracenia!

Richard kiwnął głową. Wstał i szybko podszedł do komputera.

- Może tutaj coś będzie - powiedział, pospiesznie uderzając w klawisze. - Jak się tam dostać, albo... Mój Boże... - nagle przerwał.

Harold podszedł do niego i spojrzał na monitor. Wyświetlany był podgląd z kamery umieszczonej w ogromnej hali z kadziami wypełnionymi mutagennym wirusem. Kamera obracała się w poziomie ukazując im ogromna halę w niemal całej okazałości. Nagle oczom młodego handlarza ukazał się widok, który zmroził mu krew w żyłach. W klatce zawieszonej na pewno kilka metrów nad ziemią, tuż obok dźwigu ustawionego przy ogromnej bani, zauważyli dwoje żywych ludzi.

Richard i Harold spojrzeli po sobie.

- Myślisz, że może być ich tutaj więcej? - zapytał karawaniarz.

- Oby nie - odrzekł lekarz. - Trzeba ich uratować. Koniecznie - dodał i ponownie zaczął przeszukiwać dane w terminalu. Nagle krzyknął uradowany:

- Jest plan! Zaraz, zaraz... Tak! To zaraz obok! Chodźmy!

Obaj podbiegli do wyjścia z tajnego pokoju. Spojrzeli jeszcze na ciało Francine.

- Niedługo wrócimy, słoneczko - szepnął Harold.

Richard pociągnął go za ramię i opuścili gabinet. Skierowali się w prawo, a następnie w lewo w wąski korytarz. Doszli do jego końca, gdzie znajdowała się winda. Sprawiała wrażenie zaniedbanej. Nie była oznaczona żadną informacją na temat tego, dokąd prowadzi. Doktor Grey nacisnął czerwony przycisk na ścianie. Drzwi elewatora rozsunęły się. Obaj weszli do środka. Zauważyli, że posiada ona jeszcze jedno wejście, na przeciw tego, z którego właśnie skorzystali. Obok niego, na panelu były dwa przyciski - jeden oznaczony strzałką w dół i jeden z namalowanym symbolem, przypominającym głośnik. Harold spojrzał na Richarda i westchnął.

- Gotowy? - zapytał.

Doktor Grey skinął głową. Harold nacisnął przycisk ze strzałką. Drzwi powoli zasunęły się. Winda zatrzęsła się i ruszyła w dół z cichym warkotem. Jechali tak nią kilka chwil w milczeniu, gdy nagle Harold zapytał:

- Skąd wiedziałeś, że granat nie wyrządzi nam szkody?

Doktor Grey wzruszył ramionami i uśmiechnął się blado:

- Nazwijmy to instynktem - odrzekł.

Harold skinął głową. Winda trzęsła się i warczała. Po chwili karawaniarz, spoglądając na podłogę,

ponownie się odezwał:

- Wiesz, tylko raz podczas tej wyprawy poczułem prawdziwy strach.

Lekarz spojrzał na niego. Harold podniósł wzrok i skierował na przyjaciela.

- Wtedy, gdy powiedziałeś, że nie wiesz, co dalej robić - rzekł. - Czy iść, czy wracać? Czy szukać dalej, czy odpuścić? Właśnie wtedy, trzydziestego dnia naszej podróży.

- Nie rozumiem... - zdziwił się Richard. - Co było w tym tak szczególnego, że tak dobrze to zapamiętałeś? I czym cię tak przestraszyłem, bo jak mniemam to właśnie ja byłem powodem twojej trwogi.

- Wtedy po raz pierwszy usłyszałem od ciebie słowa "nie wiem" - odrzekł Harold. - Nigdy wcześniej tego nie powiedziałeś...

Doktor Grey zrozumiał go i był mu ogromnie wdzięczny. Wyciągnął dłoń i powiedział:

- Przyjaciele, choćby... nie wiem co!... - uśmiechnął się.

Harold skinął głową i wyszczerzył zęby. Wymienił z nim uścisk dłoni. Winda głuchym turkotem oznajmiała, że kończy swój bieg. Po raz ostatni zatrzęsła się i zatrzymała.

Rozdział XIV: Fabryka mutantów

- Czemu się nie otwierają? - spytał Harold po dłuższej chwili oczekiwania.

Richard wzruszył ramionami.

- Może trzeba nacisnąć któryś z tych przycisków - wskazał na panel.

- Ale który? - zastanowił się Harold. - Ponownie ten ze strzałkami?

Doktor Grey spojrzał na oba guziki na ściance windy. Nagle zrozumiał.

- Tu znów potrzebne jest hasło - powiedział, - tak jak przy tym komputerze. Widzisz, tu jest namalowany głośnik. Trzeba wcisnąć i powiedzieć. Spróbujmy - Richard zbliżył się do panelu i pomyślał: - Mmm... Paul von Felden.

Drzwi elewatora pozostały zamknięte.

- Jak to było... Aha: zabić kapitana Maxsona.

Zero reakcji.

- Zemsta.

Nic.

- Mariposa.

I ponownie nic. Próbowali tak przez kilka minut. W końcu Harold zdenerwował się i uderzył pięścią w przyciski.

- Otwieraj się, cholerny złomie! - krzyknął.

Winda zatrzęsła się lekko, drzwi zachrobotały i powoli zaczęły się rozsuwać. Harold spojrzał na Richarda.

- Widać nie trzeba było daleko szukać... - nie dokończył zdania.

Nagle coś z ciemnego korytarza błyskawicznie wyciągnęło go z windy i zaczęło szybko przemieszczać się w stronę widocznego w oddali bladego światła. Lekarz nie zdążył nawet krzyknąć. Harold wybiegł za nim.

- Richardzie, Richardzie!

- To jest robot! - dobiegł go głos doktora.

Harold nie stracił głowy. Biegnąc wyciągnął z kieszeni ostatni granat pulsacyjny. Richard unieruchomiony przez ogromną, czarną maszynę z kilkoma mechanicznymi odnóżami i wielką kulą, będącą chyba jej mózgiem, upstrzoną mnóstwem kolorowych diod, pojawił się w świetle lamp. Znajdował się na łączeniu metalowych chodników z wysięgnikiem pośrodku, który wcześniej widzieli z góry zza przeszklonego otworu w centrum kontroli kadzi. Robot trzymający lekarza, zatrzymał się na moment i skierował się w prawo.

- Rzucaj! - krzyknął Richard. - Już!!!

Harold zamachnął się. Granat poszybował i wylądował dokładnie w wyciągniętej ręce lekarza. Richard uzbroił ładunek i rzucił pod nogi czarnemu robotowi. Granat eksplodował. Maszyna

wydała z siebie przeraźliwy pisk i rozpadła się niemal na pół, rozlewając wokół siebie gęstą, atramentową ciecz. Doktor Grey z dymiącą czupryną wydostał się z objęć robota. Harold podbiegł i pomógł mu wstać.

- Uff... to się nazywa przeżycie... - powiedział.

- Uważaj!... - krzyknął Richard i pociągnął go ku ziemi. Ogromne, mechaniczne ramię pośrodku skrzyżowania chodników nagle świsnęło im nad głowami. Odczołgali się na bezpieczną odległość. Dźwig wykonywał chaotyczne ruchy we wszystkie strony.

- Co jest?! - krzyknął Harold.

- Ładunek magnetyczny z granatu musiał uszkodzić tego żurawia - powiedział Richard. - Musimy go wyłączyć, bo dalej nie przejdziemy... Ale jak?...

- Hej!... - dobiegł ich głos zza ściany z lewej strony.

- Co to było? - spytał Harold. - Też to słyszałeś?

- To muszą być ci ludzie, których widzieliśmy na górze - odrzekł i krzyknął w kierunku skąd dobiegł ich głos: - Hej! Wiecie jak to wyłączyć?!

- Komputer pod ścianą! Pospieszcie się!

Richard spojrzał w prawo. Faktycznie, stał tam terminal. Wyglądał na podniszczony, ale zauważyli migające diody na konsoli. Doktor Grey obserwował przez moment zwariowane, mechaniczne ramię. Gdy znalazło się odpowiednio daleko schylił się i podbiegł do komputera. Harold wstrzymał oddech. Richard na kuckach zaczął stukać w klawisze terminala. Dostrzegł opcję "Kontrola ramienia". Wybrał ją i odruchowo złapał za dźwignię tuż obok konsoli. Żuraw nagle znieruchomiał.

Richard i Harold odetchnęli w tym samym momencie. Doktor Grey po chwili prób ustawił ramię w pozycji wyjściowej. Harold podszedł do niego.

- To się nazywa prawdziwe przeżycie! - powiedział z wyraźną ulgą na twarzy.

- Spróbujmy ich stamtąd ściągnąć - odrzekł i spojrzał z powrotem do komputera. - Ile tu jest opcji do wyboru... To istna fabryka mutantów!... - Po chwili znalazł to, czego szukał. - Chyba mam: "Kontrola klatek". Podejdźmy do nich.

Obeszli nieruchomy dźwig i podeszli do jednej z trzech ogromnych kadzi. Tuż nad nią dostrzegli klatkę, a w niej dwoje uwięzionych ludzi, mężczyznę i kobietę.

- Słyszycie nas? - zapytał lekarz.

- Tak! - odrzekł chłopak. - Pomóżcie nam, zabierzcie nas stąd!

- Zrobimy, co w naszej mocy! - powiedział Richard. - Ale jak się tu znaleźliście?

- Wędrowaliśmy z północy - powiedziała dziewczyna, bardzo ładna blondynka, - złapały nas te zielone stwory i przyprowadziły tutaj. Proszę, wydostańcie nas stąd!

- Dobrze! - odparł lekarz. - Znalazłem w tym komputerze opcję kierowania tymi klatkami. Spróbuję sprowadzić was bezpiecznie na ziemię.

- Swoją drogą, dzięki za podpowiedź! - dodał Harold z uśmiechem.

Chłopak pokazał mu wyciągnięty kciuk.

- Harold będzie mnie instruował - powiedział doktor Grey i skierował się ku terminalowi. Harold ustawił się przy zachodniej alejce w taki sposób, by widzieć i jego, i uwięzioną parę. Alejka wiodła do białych drzwi z napisem "Laboratorium II".

- Spokojnie, Richardowi można zaufać jak nikomu - rzekł z uśmiechem.

- Umie to obsługiwać? - zapytał chłopak.

- Cóż, wyłączyć to dziadostwo potrafił, więc i z wami da sobie radę - odparł. - A tak między nami, to jak mogę się do was zwracać?

- Nazywam się Tom Lincoln - odrzekł chłopak. - A to jest Sarah. Proszę was, pospieszcie się! To zielone w beczkach dziwnie na nas działa...

- Co się dzieje? - spytał Harold, spoglądając, jak Richard przestawia puste klatki znad innych bań z płynnym wirusem.

- Ja mam zawroty głowy - odparła Sarah, - a czasami drgawki na całym ciele. Tom już kilka razy wymiotował...

- To nieciekawie... - mruknął Harold. - Richardzie, długo jeszcze? Miałeś rację, to ustrojstwo z kadzi działa nawet bez bezpośredniego kontaktu z człowiekiem.

- Jeszcze moment! - odpowiedział doktor Grey.
- Słuchajcie, jak długo tu przebywacie? - zapytał karawaniarz.
- Od wczoraj rana - odpowiedział Tom. Nagle ich boks zachybotał się. Oboje krzyknęli.
- Spokojnie! Spokojnie, już wiem jak to działa! - powiedział doktor Grey. - Haroldzie, kontroluj bieg tej klatki!
Harold patrzył jak metalowy kojec obiega w powolnym tempie prawy brzeg kadzi. Wyjechał nad alejkę, przy której stał Harold. Zatrzymał się. Coś trzasnęło i klatka zaczęła się opuszczać na grubym łańcuchu. Wtedy nagle wszystkie lampy w ogromnej hali zamigotały i zgasły. Harold spojrzał na Richarda. Był oświetlony blaskiem monitora i gorączkowo uderzał w klawisze. Po chwili światło ponownie zaświeciło się. Klatka z Tomem i Sarą znieruchomiała.
- Dlaczego ona nie jedzie? - spytał Harold. - Richardzie?
- Coś jest nie tak - odrzekł lekarz. - Ten komputer w ogóle nie reaguje na polecenia!...
Ich uszu dobiegł wrzask dziewczyny. Kojec z uwięzioną parą poszybował z powrotem w górę i ze znacznie większą szybkością wrócił na swoje poprzednie miejsce.
- Richard, ratuj ich!!! - krzyknął Harold, łapiąc się za głowę.
Tom i Sarah wrzeszczeli w niebogłosy. Doktor Grey zaczął z bezsilności walić pięściami w komputer. Nie miał nad nim żadnej kontroli. Tymczasem klatka zakołysała niebezpiecznie ponad kadzią. Powoli podjechała do bani. Nagle urwała się z mocującego łańcucha. Sarah i Tom z głuchym wrzaskiem, wciąż uwięzieni w boksie, wpadli do zbiornika, rozbryzgując przy tym znajdującą się w nim ciecz. Harold patrzył na to z otwartymi ustami. Z szoku wyrwał go dopiero Richard.
- Haroldzie, wytrzyj to, szybko!
Harold spojrzał na swoje ręce i koszulę, które ubrudzone były w gęstym, zielonkawym płynie. Podczas upadku uwięzionej pary nieco mazi musiało wypaść z kadzi wprost na niego.
- Ależ to chłodne!... - powiedział karawaniarz, strzepując ciecz z odzieży. - Cholera, mam nadzieję, że to się nie zabrudzi - wskazał na poparzoną dłoń, o której prawie całkowicie zapomniał. Bandaż przesiąkł zielonym płynem.
Richard odruchowo sięgnął do swojej torby, której jednak nie było.
- Poczekaj, musiałem zostawić ją w windzie - pobiegł w kierunku korytarza, na końcu którego znajdował się elewator.
Harold w tym czasie spojrzał na gigantyczny zbiornik. Było mu tak strasznie żal tych młodych ludzi. Mimo cichego warkotu klimatyzacji w górnych częściach pomieszczenia, panowała tu przygniatająca cisza. Nagle poczuł, że kręci mu się w głowie. Usiadł na metalowej podłodze. Po chwili usłyszał stukot kroków Richarda. Lekarz wrócił i szybko zabrał się za zranioną dłoń przyjaciela. Oczyścił miejsce poparzenia i obszar wokoło rany. Założył opatrunek. Harold zrobił się blady jak ściana.
- Haroldzie, co się dzieje? - zapytał lekarz.
- Ale mam kręćka... - odparł cicho. - Nie czuję się najlepiej...
Nagle obrócił się na bok i zwymiotował. Richard poklepał go po plecach. Odciągnął i ustawił w pozycji siedzącej, opierając go o barierkę. Wyciągnął z torby strzykawkę i założył na nią igłę.
- Co to...?
- Coś o podobnym działaniu do adrenaliny - odrzekł. - Dojdziesz do siebie za moment. Ja spróbuje dostać się tam - wskazał ręką na szczyt kadzi - i zobaczę, czy tych ludzi da się jeszcze uratować.
- Wiesz... to chyba naprawdę jest szkodliwe... - jęknął Harold. - Uważaj...
- Będę ostrożny - odrzekł Richard i wbił strzykawkę w jego ramię. Harold odetchnął i skinął głową.
Doktor Grey wstał podszedł do kadzi. Z lewej strony umiejscowione w niej były schodki, które tworzyły drabinę w górę i dół. Richard obejrzał je dokładnie i zaczął po nich wchodzić. Harold czuł, że siły powoli mu wracają. Dźwignął się, ale jeszcze nie mógł wstać. Bez słowa, głęboko oddychając, obserwował wspinającego się lekarza.

Richard dotarł do szczytu zbiornika i spojrzał do środka. Zielonkawa ciecz mieniła się

w nim, pozostając w ciągłym ruchu, jakby coś bez przerwy mieszało ją na dnie kadzi. Po Sarze i Tomie nie było śladu.

- Nie ma ich! - krzyknął w kierunku Harolda. - Spróbuję wziąć nieco tego płynu do probówki i schodzę!

Harold podniósł się, wciąż obserwując doktora Greya. Nagle skierował wzrok wyżej i zauważył kogoś machającego do niego rękoma. Znajdował się za szybą, przez którą obserwowali wnętrze hali z poziomu czwartego bazy. Wytężył wzrok.

- Mark? - szepnął.

Czarnoskóry chłopak pokazywał w swoje prawo, najwyraźniej coś krzycząc.

- Co on...? - zaczął Harold i spojrzał w tamtym kierunku. Zauważył jak mechaniczne ramię uniosło się i zaczęło obracać z ogromną szybkością. Nagle wystrzeliło w kierunku kadzi, na której stał doktor Grey.

- Richardzie!!!

Lekarz obrócił się, ale było za późno. Żuraw łupnął w niego. Richard zachwiał się i zdążył tylko krzyknąć:

- Harold!...

Po tym wpadł do zbiornika. Harold wrzasnął i podbiegł do kadzi. Chciał się na nią wdrapać, ale brakło mu powietrza. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Kucnął obok wielkiej bani. Zauważył leżące na podłodze rozbite okulary lekarza. Chwycił je.

- Richardzie!...

Stracił przytomność.

Rozdział XV: Epilog

Mark leżał na jednej z prycz w pokojach mieszkalnych ochrony na poziomie pierwszym. Czekał już od kilkudziesięciu minut w okropnym smrodzie rozwalonego opodal mutanta, rozmyślając nad wszystkim, co przeżył przez ostatnie godziny. Zraniona noga rwała go niemiłosiernie, postanowił zmienić pozycję. Wtedy nagle światło w bazie zgasło. Przestraszył się i odruchowo sięgnął po broń, ale po chwili przypomniał sobie, że przecież oddał ją Francine. Zaczął szybko oddychać. Kilkanaście sekund później oświetlenie zadziałało na nowo. Nagle czerwone lampy nad każdym z wejść do pokoju zamigotały na czerwono i przez bazę przeszedł krótki, bardzo głośny dźwięk. "Alarm", pomyślał. Oby nic im się nie stało. Nie może tu tak siedzieć, przecież czuje się już lepiej! Musi zejść na dół i im pomóc.

Dźwignął się na pryczy i wstał z niemałym trudem. Pokuśtykał, co sił w nogach do windy, wszedł do niej i nacisnął przycisk z numerem trzy. Na poziomie trzecim skierował się od razu w stronę wielkiej hali z motylem na ścianie. Przeszedł ją po przekątnej i wszedł do korytarza, który wcześniej patrolował robot strażnik. Zauważył mnóstwo krwi. Poczuł, że jego własna odpływa mu z twarzy. Po chwili jednak skojarzył, że jest to właśnie jego krew. "Doktor Richard mnie tu operował...", pomyślał i odetchnął z ulgą. Minął wrak robota i skręcił w prawo za róg. Aż upadł z wrażenia na widok, który zobaczył! Kolejny... W jego wyobraźni zaczęły się tworzyć wizje hord mutantów ujeżdżających piekielne maszyny z rurowatymi kończynami. Podszedł do windy, nacisnął przycisk ze strzałkami skierowanymi w dół. Nic się nie stało. Próbował dalej i dalej, ale żadnej reakcji. Czuł, że zaczyna go ogarniać panika. "Spokojnie, tylko spokojnie, przecież ich tu nie ma..." Postanowił poszukać gdzie indziej, tylko gdzie?

Opuścił korytarz i znalazł się z powrotem w wielkiej hali z motylem. Naprzeciwko zauważył kolejne przejście. No tak, przecież stamtąd rzucał do robota! Udał się w tamtym kierunku. Noga zaczęła krwawić. Skręcił w lewo, minął "Kwatery naukowców". Jest winda! Uderzył w przycisk, po chwili przyjechała. "Gdzie teraz?", myślał gorączkowo. Minął pokoje mieszkalne po lewej stronie. Nagle światło w bazie ponownie zgasło. Gdy hol rozświetlił się, zauważył coś dziwnego na wprost od niego. Przeszedł przez drzwi do pomieszczenia oznaczonego "Kontrola kadzi. Bazy danych". "Co to jest?", pomyślał, spoglądając na ogromne okno, za którym widniała hala jeszcze większa od tej poziom wyżej. Podszedł do szyby i zamarł z wrażenia. Jednak trwało to krótko. Nagle zauważył

na dole wujka Harolda. Leżał przy barierce i patrzył ponad siebie. "Może mnie zauważy!...", zamachał rękoma wrzeszcząc w niebogłosy:

- Tutaj!, Wujaszku, tutaj!

Ale nie reagował. Wciąż patrzył nad siebie. Tylko na co? Po chwili uzyskał odpowiedź. To doktor Richard wspinał się po tej wielkiej beczce. Zajrzał do środka i krzyknął coś w kierunku Harolda. Nagle Mark zauważył, że jakieś urządzenie pośrodku chodnika, przypominające dźwig, zaczęło wykonywać dziwne ruchy. Obracało się coraz szybciej i szybciej. Przecież za chwilę uderzy w doktora! Ponownie zaczął krzyczeć i machać rękoma. W końcu wuj Harold go dostrzegł.

- Tam! Tam!!! - pokazywał na mechaniczny dźwig, który chyba oszalał!

Harold spojrzał w tamtym kierunku. Krzyknął coś do doktora, który wyprostował się i odwrócił. Wtedy dźwig uderzył w niego. Mark patrzył jak doktor Grey z przerażeniem w oczach wpada do zielonego płynu wewnątrz ogromnej beczki. Złapał się za głowę.

- Mój Boże... Mój Boże!... - jęknął.

Trzeba ich ratować! Jak się tam dostać? Opuścił pomieszczenie i poszedł w lewo. Zauważył przejście w prawo oraz pokój oznaczony "ŚCIŚLE TAJNE" naprzeciw niego. Och, jak chciałby nigdy się w nim nie znaleźć!...

Rozpacz odebrała mu wszelkie siły. Patrzył na zastygłą w bezruchu twarz swojej ukochanej siostry, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Płakał jak jeszcze nigdy w życiu. Już więcej się do niego nie odezwie, nie uśmiechnie, nie zażartuje z wujka Harolda. Jej oczy już nie zabłysną zdecydowaniem i energią, której zawsze była pełna. To było ponad jego siły...

Otrząsnął się po dłuższej chwili, przypominając sobie nagle widok wpadającego do kadzi doktora Richarda. To wszystko jego wina... To wszystko to był jego pomysł! Ale nie wujaszka... Musi go uratować!

Po raz ostatni przytulił do siebie siostrę, podobnie jak ona jego, gdy opuszczał trzeci poziom bazy. Miał świadomość, że widzi ją po raz ostatni. Nie da rady wynieść i jej, i wujka Harolda. Z trudem wstał i opuścił pokój. Nie zauważył, że obok schnącej krwi Francine, pozostawił mnóstwo własnej. Instynktownie skierował się naprzód do korytarza, który zaprowadził go do zniszczonej windy. Nacisnął przycisk i czekał. Winda jechała w górę długo. Bardzo długo. Chciałby, żeby znalazła się tu jak najszybciej, żeby odgonić sprzed oczu przerażoną, martwą twarz siostry. Nie chciał jej takiej oglądać. Łzy same płynęły mu z oczu. Nie kontrolował tego.

Winda podjechała. Po kolejnych, jeszcze dłuższych minutach zatrzymała się na dole. Ale drzwi się nie otwarły. Mark naciskał guziki, ale nic się nie działo. Jak to się otwiera? Otwieraj się!

- OTWIERAJ SIĘ!!! - wrzasnął z bezsilności i rozpaczy.

Drzwi otworzyły się. Wypadł z elewatora i najszybciej jak mógł pobiegł do wątłego światła na końcu korytarza. Mechaniczny dźwig ugrzązł w ścianie po lewej stronie. Tuż pod nim znalazł wujka Harolda.

- Wujaszku, wujaszku, słyszysz mnie? - mówił gorączkowo.

Harold nie reagował.

- Wujaszku!... Proszę...

W końcu Harold poruszył głową i wymamrotał.

- Richard?...
- Nie, to ja Mark! Musimy stąd uciekać...
- Mark?... Ratuj Richarda... On... jest tam...
- Nie, on nie żyje! Proszę, ocknij się!...
- Nie... nie żyje?... To niemożli...

Ponownie stracił przytomność.

Mark sam nie wiedział jak udało mu się zawlec bezwładne ciało wujka na pierwszy poziom bazy. Wyszli na zewnątrz. Było gorące, letnie południe. Mark z Haroldem na ramieniu szedł przed siebie, sam nie wiedząc dokąd. Nie wiedział jak daleko zajdzie w ten sposób. Tracił siły w szybkim tempie. Próbował opatrzyć sobie ranę, ale nie wiedział jak. Krwawił bardzo mocno.

Czuł, że jego koniec jest blisko. Zlany potem i umazany piaskiem zaczął uderzać Harolda po

twarzy.
- Wujaszku... wujaszku...
Harold przebudził się.
- Richard?...
- Nie, wujaszku... Słuchaj... musisz iść dalej sam... ja już nie dam rady - wysapał Mark.
- Tak... muszę iść...
- Musisz... *obiecaj, że przeżyjesz...*
- Tak...
- Obiecaj... dla Francine...
Mark padł twarzą w piasek pustyni. Harold jęknął jeszcze:
- Francine...
Zemdlał.

***

Harold ocknął się. Zdziwił się, że maszeruje na klęczkach. Gdzie on jest? Rozejrzał się wokoło. Przed nim i za nim byłą jedynie pustynia. Spojrzał na zaciskane w dłoni, zniszczone okulary doktora Greya. Ponownie stracił świadomość ale, choć sam o tym nie wiedział, posuwał się dalej. W nielicznych przebłyskach przypominały mu się jakieś sceny. Roboty, ogromne balie wypełnione czymś zielonym, dwójka uwięzionych ludzi i Richard, jego przyjaciel, ten genialny lekarz i wspaniały człowiek. Richard, wpadający do kadzi z mazią, uderzony dźwigiem, bezwładny, przerażony...

- Haroldzie! Haroldzie, ocknij się!
- Richard?...
- Nie, to ja John Carlow. Pamiętasz mnie? Wędrowaliśmy razem.
- Carlow... tak pamiętam...
- Hej, co ty robiłeś sam na pustyni? Nie mogę tego pojąć, mówiłeś, że na razie zawieszasz wędrówki, że idziesz na urlop.
- To cholernie długa... cholernie zła historia...
- Zła? Ale co się z tobą stało?
- Nic... Zginąłem...
John uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- Jesteś niemożliwy...

Harold nie wiedział jak długo jedzie, ale wiedział, że jedzie w karawanie. Karawanie starego przyjaciela. Jednak po jakimś czasie czuł jakby przez skórę, że zaczyna się dziać coś niedobrego. Usłyszał strzępek rozmowy.
- Nic mnie nie obchodzi, że to twój kumpel - mówił ktoś niskim głosem. - Albo go odizolujesz, albo wylatuje z karawany, a on razem z nim.
- Przecież nic złego się nie dzieje! - oponował Carlow.
- On się robi *zielony*! - krzyknęła jakaś kobieta. - Według ciebie nie ma w tym nic złego?! Nie chcę, żeby moje dzieci, albo ja złapały to od niego!
Harold zadrżał na całym ciele.
- Dobrze - odparł Carlow po chwili - sam się nim zajmę.

- Haroldzie, słyszysz mnie?
Harold kiwnął głową.
- Słuchaj... jak to ująć... coś się z tobą dzieje. Nie wiem z czym się zetknąłeś i nie pytam, ale ludzie nie chcą cię w karawanie. Boją się, że ich pozarażasz.
- Co proponujesz? - spytał pusto Harold.
- Odłączam swój wagon i zabieram cię do Hub. Chyba masz tam swój dom, prawda?

Harold przytaknął.

- Pomogę ci tylko w taki sposób. Nie jestem tam mile widziany... wiesz, mam parę długów. Dalej będziesz musiał radzić sobie sam.

Harold ponownie skinął głową. Carlow chciał odejść, ale zatrzymał go.

- Tak?

Harold wyciągnął sinozieloną dłoń.

- Dzięki, John. Równy z ciebie gość.

Karawaniarz uścisnął ją bez krzty zawahania. Kiwnął głową i odszedł. Harold spojrzał na swoje ciało. Było sinozielone, tak jak i jego dłoń. Łzy stanęły mu w oczach. Momentalnie zamrugał powiekami, gdy poczuł pod nimi piekący ból. Oddał się całkowicie bezwolnej rozpaczy. Żalu, którego nie mógł ukoić nawet płaczem. I myślom o nieudanej ekspedycji, jego i Richarda, którego okulary wciąż obracał między *mutującymi się* palcami.

Nie wiedział jeszcze, że do czasu dotarcia do The Hub straci oko i zmieni się całkowicie. Nie mógł się spodziewać, że mieszkańcy miasta zareagują na jego widok z tak wielkim wstrętem, że zaczną wyzywać go od "ghuli" i "umarlaków", nawet ci, którzy go wcześniej znali i darzyli sympatią. Nie miał pojęcia, że będzie wyśmiewany i jeszcze długo przyjdzie mu się spotykać z przejawami obrzydzenia, a nawet agresji. Dopiero po latach *normalni* ludzie zaczną darzyć go szacunkiem za to jakim jest człowiekiem, a nie za to jak wygląda. A przez cały ten czas będą mu towarzyszyć twarze Teda, Mortona, Hardego, Zacka, Marka, Francine i wpadającego do kadzi doktora Greya. Richarda...

***

Mechaniczne ramię ugrzęzło na dobre w twardej ścianie, powodując ogromne przeciążenia w instalacji elektrycznej bazy wojskowej Mariposa. Raz po raz światła migotały, sygnalizując załączanie i wyłączanie generatorów prądu. W końcu dźwig dał za wygraną. Oderwał się od podstawy pośrodku łączenia alejek i z impetem uderzył w górną część kadzi z płynnym wirusem. Lampy zgasły ponownie. Cios był tak potężny, że ogromna balia przechyliła się i zaczęła opadać. Zatrzymała się dopiero na murze, środkową częścią opierając o metalowy chodnik. Mnóstwo płynnego wirusa rozlało się po hali.

Coś poruszyło się wewnątrz kadzi. Po chwili okropnie zmieniona, ludzka ręka sięgnęła do krawędzi bani. Z największym trudem i jękiem coś, co kiedyś było bystrym naukowcem i świetnym lekarzem, podźwignęło się i z hukiem wypadło na metalowy chodnik. Doktor Grey cały oblepiony był płynnym wirusem. Nie widział na oczy. Chciał je przetrzeć dłońmi, ale nie czuł ich. Czuł tylko okropny ból, wszechobecne, porażając cierpienie.

Spróbował zamrugać oczyma. Nagle coś zauważył. Jakieś pionowe pręty. To chyba barierka. Musi leżeć na boku. Poczuł, że może wstać. Widział tylko na jedno oko, ale to mu wystarczało. Zauważył przechyloną kadź i pełno zielonkawej mazi wokół niego. "Gdzie jest Harold?", pomyślał. Przecież musi tu gdzieś być...

Chciał go zawołać, ale nie mógł. Rozglądał się jedynym sprawnym okiem, skupiając przy tym całą wolę, aby wydobyć z siebie głos.

- Haroldzie!... - powiedział. Ale zupełnie nie poznał brzmienia swojej mowy. Była dziwnie niska, charcząca, *zmutowana*.

Postanowił, że wstanie. Skoro już się dźwignął, to i może to mu się uda. Ale nie dał rady. Jak to możliwe, że rozgląda się wokoło? Chciał odwrócić się na bok, ale nie zrobił tego całym ciałem - zrobiło to tylko jego *oko*. Było umiejscowione na długim mięśniowym włóknie i spoglądało na ciało jego właściciela, a raczej to, co z niego zostało. Wcale się podniósł. Ogromna, bezkształtna breja w kolorze ludzkiej skóry, leżąca bezwładnie na żeliwnym chodniku, i niewielka głowa na jej szczycie - oto był widok z oka, które nie miało już miejsca w oczodole. Ręce nie miały palców, nogi były zrośnięte, a w brzuchu znajdowała się obrzydliwa dziura.

Richard patrzył na to z przerażeniem, z paniką, z trwogą! Nie docierało to do niego. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. Znów poczuł ten nieznośny ból. Przeszywał mu całe ciało. Był torturą, mordęgą!... Nie zniesie tego dłużej!

- Umieram...

Rozdział XVI: Mistrz i Ghul

...

KONIEC

© 2010 Michał „Veron” Tusz

Z ŻYCIA PECHOWCA

Są na świecie tacy ludzie, którzy zawsze mają pecha. To oni stanowią mięso armatnie dla bohaterów, wciąż mają kłopoty, mało zarabiają, jedzą marne żarcie, żony ich biją, a czarne koty masowo wbiegają pod koła. Do takich ludzi niestety należę i ja. Dlaczego? Aby na to odpowiedzieć musiałbym przytoczyć całą historię swojego życia. Skoro jest na to miejsce i czas - to zaczynam!
Urodziłem się w małej wiosce pośrodku wielkiego kanionu - Arroyo. Wychowywałem się w rodzinie przeciętnych dzikusów i teoretycznie nie miałem prawa oczekiwać od życia niczego innego jak tylko ciągłego ganiania za małymi i uciekania przed dużymi gekonami. Ja jednak wyróżniałem się wśród tych prymitywów jednym - MIAŁEM AMBICJE. Chciałem zostać bohaterem, przemierzyć wzdłuż i wszerz cały świat, zabijać potwory, ożenić się, nakręcić film po... - ups, tego akurat nie chciałem:)

Aby moje marzenia się spełniły musiałem stworzyć ku temu okazję. Wiadomo jest, że ludzie potrzebują bohatera wtedy, gdy dzieje się coś złego. W wiosce nic specjalnie złego się nie działo - raz na tydzień kogoś zjadały gekony, a od czasu do czasu była mała rozróba ze slaversami - ot, nic czym można by się przejmować. Postanowiłem więc, że pomogę losowi. Wrzuciłem do studni, z której piliśmy wodę starożytną truciznę, którą kupiłem od handlarza, niejakiego Vica - nazywała się "mydło". Nie potrafiła nikogo zabić, ale spowodowała że roślinki zaczęły gnić, brahminy źle się czuły, a przywódczyni naszej wioski dostawała czkawki (prócz tego współplemieńcy narzekali na "sraczkę").

Brahminy i roślinki to jedno, ale czkawka przy której z ust przywódczyni wylatują bąbelki! Ktoś musiał coś z tym zrobić! Rzecz jasna jako ochotnik zgłosiłem się ja. Niestety przywódczyni uparcie twierdziła, że to nie ja jestem wybrańcem, że przepowiednia mówi inaczej, ple ple ple - też mi argumenty! Niestety nie mogłem ich obalić i na wyprawę po przedmiot, który miał zneutralizować moje "mydło", niejaki GECK wyruszył ktoś inny. Wkurzyłem się na moich pobratymców i wyruszyłem z wioski w poszukiwaniu zemsty. Postanowiłem, że najpierw zemszczę się na tej wstrętnej wiedźmie, która nie chciała zrobić ze mnie bohatera, a później pozbędę się wybrańca. W mojej głowie zaświtał świetny plan.

Dołączyłem się do gildii Slaverów, zdradziłem im lokację Arroyo i już miałem się tam wybrać z delegacją złożoną z moich kolegów z obrzynami i pałkami, gdy mój pech znowu dał o sobie znać. Pojawił się bowiem ON - wstrętny bohater, pragnący zakończyć działalność gospodarczą mojego zakładu pracy. W osobie owego herosa rozpoznałem "wybrańca". Niestety, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić leżałem na ziemi ogłuszony przez jakiegoś dzikusa z kością w nosie, a mój pracodawca już nie żył. Chciałem się zemścić, jednak wiedziałem, że z tym "wybrańcem" nie wygram - nie dość że sam wyglądał na twardziela, to jeszcze miał przy sobie do pomocy jakiegoś dzikusa, szalonego barmana, mutanta, sklepikarza, zombiego... całą piep... świtę.

Co więc ja, biedny niedoszły bohater miałem zrobić? Kupiłem sobie czarny, skórzany płaszcz, shotguna i wyruszyłem na północ w poszukiwaniu przygód. Po zabiciu setki skorpionów, gekonów, mantisów i innego pustynnego śmiecia zatrzymałem się w Modoc - uroczej wiosce pośrodku pustyni, spotkałem tam piękną dziewczynę, zakochałem się w niej i już zacząłem myśleć o ożenku, już myślałem, że szczęście wreszcie się do mnie uśmiechnęło, gdy... znowu pojawił się ON, nasz znajomy - bohater. Wstrętny przystojniaczek, oczarował moją dziewczynę i gdy jej ojciec przyłapał ich na... khe khem - "wybraniec" wziął z nią ślub. To niemalże doprowadziło mnie do obłędu! Nie potrafiłem go zabić, i już myślałem czy nie strzelić sobie w łepek, gdy wpadł mi do głowy pewien wspaniały pomysł. Przypomniało mi się stare przysłowie - JEŚLI NIE MOŻESZ KOGOŚ POKONAĆ - DOŁĄCZ DO NIEGO!!!

Wziąłem więc shotguna w łapy i ruszyłem za "wybrańcem". Teraz podążam za nim dzień

i noc i jeśli tylko zaczyna się jakaś rozróba, wyskakuję zza kamieni i pomagam mu się rozprawić z przeciwnikami. Przynajmniej on tak myśli - w rzeczywistości jeden na trzy strzały, niby chybiając, kieruję w jego stronę. Niestety - twardy ma skurczysyn pancerz, a do tego tak trudno trafić. Ale kiedyś, obiecuję, załatwię drania!

KONIEC

©Maciej Cierkosz

PRZYJACIELSKA PRZYSŁUGA

[Nie jest tak źle. Nie panikuj. Ten ból zaraz minie. Nie jest tak źle. Nie jest tak źle. Nie jest..... kurwa!! Jak to nie jest źle? Jest zajebiście źle! Ja pierdolele! Nic nie czuję! I co do kurwy nędzy robią nade mną ci ludzie w białych kitlach?? Kurwa, co ja tu do cholery robię?]

- Spokojnie żołnierzu, wyciągniemy cię z tego - usłyszałem czyjś głos z prawej.
- Wyciągnęliście wszystkie? - padł inny głos, ale tym razem z lewej.
- Tak, Generale. Łącznie 27 kul. Cale szczęście pancerz zatrzymał około 100 pozostałych.
- Dobra robota. Pozszywać, a później proszę o pełny raport.
- Tak jest, Generale!

[Ostatnie co pamiętam to twarz mutanta. Tak, twarz mutanta. To był mutant z uśmiechem na twarzy (o ile w ogóle można to było nazwać uśmiechem). I jeszcze ten dziwny dźwięk... Jakby uruchamianej maszynerii. Jakiegoś silnika. Ale nie takiego samochodowego - to był cichy pomruk. I świst. Tak, najpierw ten pomruk, a później świst. Co było później, nie pamiętam... Ale jak to się zaczęło? A, no tak, teraz sobie przypominam. Wyświadczyłem przysługę. Przyjacielską przysługę...]

A wszystko zaczęło się tak normalnie. Był poranek. Jak zwykle do baraku wparował pułkownik Kerigan i w swój ulubiony sposób urządził nam pobudkę. Zrzucił trzech "losowo wybranych" żołnierzy z łóżek, a potem na cały głos wydarł się mówiąc, że dzisiaj możemy spać o dziesięć minut dłużej. Chyba tylko dlatego, że pułkownik zawsze odprawiał swój "rytuał" dziesięć minut przed pobudką.
Wstałem, ubrałem mundur i udałem się do jadalni. Znowu było jakieś paskudne żarcie, ale niestety nie mieliśmy zbyt dużego wyboru. I tak jak na te czasy, były to dość niezłe warunki. Wtedy właśnie podszedł do mnie Spoter. Gdybym wtedy wiedział, w co mnie koleś wpakuje, to bym mu normalnie jaja na miejscu urwał. Ale na moje nieszczęście - nie wiedziałem...

- Cześć Leks!
- Cześć Spoter. Co nowego tym razem nowego wykombinowałeś? - jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby zagadał do mnie nie mając w tym jakiegoś konkretnego celu.
- Znasz mnie stary na wylot. I to właśnie dlatego cię lubię!
- Dobra dobra. Daruj sobie te gadki. Przejdź do rzeczy.
- Potrzebuję kogoś, kto zamieniłby się ze mną na lot.
- A gdzie tak bardzo nie chcesz lecieć?
- Do New Reno...
- Uuuuuu.... Po ostatniej bijatyce, którą tam urządziłeś, na cmentarzu Golgotha przybyło kilka nowych grobów. Rozumiem, że nie jesteś tam mile widziany...
- Stary! Oni to by mnie chyba zarąbali na miejscu, jeżeli bym się tam teraz pojawił!
- No wiesz, gdybyś nie próbował okraść rodziny Bishopów, to nie było by problemu.
- Przecież przyłapali mnie przez czysty przypadek! To nie moja wina! Skąd mogłem wiedzieć, że w tym samym pokoju gdzie był sejf, żona Bishopa urządza sobie regularne orgie??
- Przecież jesteś żołnierzem Enclavy - nic by ci nie zrobili. Przecież nie musiałeś tak spierdalać przez całe miasto strzelając na oślep za siebie...
- Wiem, ale gdy zauważyli mnie grzebiącego przy sejfie, to nie mieli miłych min. A wiesz, że byłem wtedy po cywilu.
- Hmmm....
- A wracając do tego lotu. Może ty byś się ze mną zamienił? Słyszałem, że lecisz do Den, a że mam tam pewien interes do załatwienia...
- Nie.
- Co? Jak to nie? Oj, stary! Daj spokój! Przywiozę ci kilka butelek tej dobrej Whiskey.

Rzuciłem na niego pełne podejrzliwości spojrzenie. Jego pomysły nie zawsze były dobre, a za

przemycanie alkoholu do bazy, groziła surowa kara. W każdym razie, jeżeli sam chciał nadstawiać za mnie dupy, to ja mu tego nie zabronię.

- Ale ty za nie zapłacisz?

- No jasne. Nawet nie policzę ci za przewóz - uśmiechnął się szeroko.

- Dobra. Z kim lecę?

- Z Mifem.

- No, przynajmniej będę miał dobrego pilota. A właśnie, znowu dostawa dla Salvatore?

- Tak, to co zwykle, ale tym razem jest tego trochę więcej. Aha, odlatujesz za dwadzieścia minut. Na razie!

Szybko dokończyłem jeść, odstawiłem tacę i udałem się do windy. Zjechałem na dół i poszedłem do zbrojowni. Były tam już tylko trzy pancerze: mój, Spotera i Werda.

Werd zginął razem z dwójką innych podczas patrolu. W pobliżu ich ciał odnaleziono ślady trzech ludzi, mutanta, jednego Deathclaw'a i.... samochodu. Pancerze pozostałych dwóch były tak zniszczone, że do niczego się już nie nadawały, tylko Power Armor Werda był w nienajgorszym stanie. Chyba dlatego, że zginął od pojedynczego strzału z Plasma Rifle prosto w oczy. Teraz jego pancerz czekał na nowego właściciela...

Ubrałem się, wziąłem broń i trochę więcej amunicji - tak tylko na wszelki wypadek. Pojechałem windą na górę i pobiegłem do hangaru. Mif już wyprowadził Vertibirda.

- Cześć Leks. Widzę, że jednak Spoterowi udało się z kimś zamienić - po jego tonie głosu zorientowałem się, że tak jak większość z nas, miał już dość towarzystwa Spotera.

- No, tym razem mu się udało - powiedziałem, jednocześnie szeroko uśmiechając się. Nałożyłem hełm, wszedłem do Vertibirda i dałem znak do włączenia silników.

Poczułem silne wibracje. Wystartowaliśmy. Oczywiście pionowo w górę. Już po chwili z dużą prędkością lecieliśmy nad pustynią. Po jakimś czasie daleko w dole ujrzałem pięć malutkich punkcików.

- Widzisz ich? - usłyszałem w słuchawce zamontowanej w hełmie głos Mifa.

- Aha. Jeden z naszych patroli?

- Tak, teraz wysyłają piątki. Pierwszy raz od wielu lat w ciągu jednego miesiąca straciliśmy aż trzy trójki.

- Tajemniczy gość z samochodem?

- Tak. Nadal go szukają. Ostatnio nawet ktoś połączył się z reaktora w Gecko z naszą bazą. Generał podejrzewa, że to był ten sam koleś. Wysłał już jeden oddział, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

- I co?

- Nie wiem, z tego co słyszałem, straciliśmy z nimi kontakt radiowy kilka dni temu. Ostatni komunikat nadali, gdy już byli prawie na miejscu... O, już widać New Reno.

Daleko w oddali widać było ślady cywilizacji. Rysy budynków w wyraźny sposób odznaczały się na tym pustkowiu. Przybliżaliśmy się bardzo szybko. New Reno nie było dużym miastem, jednak największym, jakie znałem. Najbardziej charakterystyczną rzeczą w tym mieście jest ogromy szyld, wiszący nad ulicą z napisem: "NEW RENO The biggest little city in the world".

Oczywiście New Reno znane jest z zupełnie czego innego. Jet, prostytutki, kasyna, bandy przestępców, no i jeszcze walczące ze sobą cztery rodziny mafijne: Wright, Salvatore, Bishop i Mordino.

Obok miasta w oddali widać było Golgothe - cmentarz. Leżeli na nim ci, którzy przeszkadzali w tym mieście i nie tylko...

- Tutaj poczekamy - powiedział Mif wskazując na płaski teren pod nami.

- O której jesteśmy umówieni?

- Ludzie Salvatora mają się tu zjawić o północy.

- OK. Idę po robota i wyładuję skrzynie.

Po dwóch godzinach użerania się z tą głupią maszyną, udało mi się wreszcie wyładować

cały towar i ustawić skrzynie w jako takim ładzie. Niebo zaczynało robić się czerwone - zbliżał się zachód słońca. Rozejrzałem się dookoła. Nigdzie nie było żadnych śladów życia. Jedynie w oddali stało kilka uschniętych drzew. A poza tym pył i kamienie.

Dokładnie o północy przybyli ludzie Salvatore. Czekaliśmy na nich przed Vertibirdem. Było ich trzech. Wszyscy w Metal Armorach. Jeden z nich wyglądał na boksera - wielokrotnie złamany nos i naprawdę potężne ręce. Drugi był drobnej postury i miał twarz cwaniaka. Trzeci - z charakterystyczną blizną na czole, wyglądał na najważniejszego w drużynie.

- Macie towar? - zapytał się mnie koleś oznaczony przeze mnie jako "trzeci".

- My ZAWSZE mamy towar - odpowiedziałem - a czy wy macie czym zapłacić?

- Salvatore nigdy jeszcze nie oszukał Żołnierzy Enclavy - odpowiedział - oczywiście, że mamy.

- Dobra. Każe robotowi załadować skrzynie.

W tym właśnie momencie usłyszałem szmer. Zza sterty skrzyń wyłoniła się jakaś postać. Był to mężczyzna ubrany w Power Armor. W rękach trzymał Bozara, a za jego plecami stał ogromny mutant. W oddali zauważyłem jeszcze rysy sylwetek dwóch ludzi i..... ogromnego Deathclawa.

- Kim jesteś i czego tu chcesz intruzie? - zapytałem

Nie było żadnej odpowiedzi. Popatrzyłem na przybysza. Jego pewna mina i jeszcze dziwny wyraz twarzy mutanta nie wróżyły nic dobrego. Coraz mniej mi się to podobało.

- Radzę ci stąd odejść. To nie twoja sprawa. Odwróć się i zapomnij, że nas kiedykolwiek spotkałeś.

I właśnie wtedy na przekór moim słowom mężczyzna zrobił krok naprzód. Za jego plecami można było wyczuć nagłe poruszenie. No cóż, zrobiłem to, co każdy prawdziwy żołnierz Enclave zrobić powinien - wycelowałem i zacząłem strzelać. Gdybym wtedy wiedział, jaki będzie tego efekt, na pewno postąpiłbym w inny sposób (czyt.: spierdalałbym ile sił w nogach).

Ludzie Salvatore też nie stali bezczynnie. Posypał się grad kul. Pierwszą ofiarą był Mif. Wystarczyła jedna seria Bozara i pilot leżał na ziemi wąchając kwiatki od spodu. Jako drugi padł mięśniak od Salvatore. Jakiś dzikus z kością w nosie jednym ciosem młota rozwali mu głowę. Mutant z diabelskim uśmiechem na twarzy zaczął siać z Miniguna we wszystkie strony. Rzuciłem się za skrzynie i zacząłem strzelać przez ramię na oślep. Po chwili strzały ustały. Wychyliłem głowę i zobaczyłem coś, czego nie zapomnę do końca życia. Rózne części ciała "cwaniaka" były porozrzucane w promieni kilku metrów. Jego głową bawił się najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie Deathclaw.

- Ja pierdole! Kto to kurwa jest?! - to był głos tego kolesia z blizną. Leżał kilka metrów dalej z krwawiącą ręką.

- Nie mam pojęcia, ale z tego co wiem, rozwalił trzy nasze oddziały.

- Co to w ogóle jest do prostytutki biedy?!

- Kurwy nędzy - poprawiłem go odruchowo.

Siedzieliśmy tak może z trzydzieści sekund, ale wydawało się, że minęło kilka godzin. W tym czasie zdążyłem przeładować broń, sprawdzić zapas amunicji i stimpaków. Do rąk wziąłem dwa załadowane "Orzełki" i wyjrzałem zza skrzynie. Obracając głowę zamiast pustej przestrzeni, której się spodziewałem, natknąłem się na czyjąś nogę. Spojrzałem do góry - to był ten mutant. Stał nade mną i się uśmiechał. W rękach dzierżył Miniguna. Lufa skierowana była prosto we mnie. Tuż obok stał dzikus, Deathclaw, jakiś grubas i jeszcze przybysz z Bozarem. Odłożyłem swoją broń, podniosłem się i spokojnie spojrzałem prosto w oczy mutanta.

Działko Miniguna zaczęło się powoli obracać...

KONIEC

©2002 Piotr 'Sajdon' Szpakowski

Lekko nawiązujące do Fallouta

NIESZCZĘŚCIE CHODZI PRZY LUDZIACH

Było południe. Promienie palącego słońca odbijały się od piasku oraz skał, boleśnie rażąc oczy. Stanąłem w cieniu uschniętego drzewa i spojrzałem na skuloną przede mną postać. Obdarte ubranie i oparzenia sprawiały, iż mężczyzna z tej odległości wyglądał jak obleczony wyschniętą skórą szkielet. Prawdę mówiąc, zaimponował mi. Po trzech dniach, spędzonych w takim upale bez żadnej wody, miał jeszcze siły na ucieczkę.

- Nie! Zostaw mnie! Odejdź stąd! - wykrzyczała wychudła postać tarzająca się po piaszczystej ziemi. - Czego ty ode mnie chcesz?

Głupiec. Nie potrafił zrozumieć, że nadal posiadał coś, na czym mi zależało. Nadszedł czas, aby go uświadomić. Przybliżyłem się o jakieś pół metra i lekko przechyliłem głowę.

- Nie patrz tak! Nie podchodź! Zbliż się jeszcze, a cię zabiję!

Posłałem pełne litości spojrzenie kulącej się teraz przede mną postaci. Trochę mi go było żal. Przyłączyłem się do niego prawie dwa miesiące temu. Na początku był bardzo przyjazny - jak każdy. Dzielił się ze mną z trudem zdobywanym jedzeniem, przykrywał się jednym kocem w zimne, pustynne noce. Przez jakiś czas taki stan rzeczy odpowiadał mu całkowicie i zdawał się być naprawdę bardzo szczęśliwy. Kilka razy mu nawet pomogłem, ale nie był tego świadomy. Problemy jak zwykle pojawiły się, gdy dotarliśmy do większego skupiska ludzi. Wtedy nastały "wypadki". Długo tam nie zagościł. Po trzech dniach musiał uciekać przed kilkoma poszkodowanymi osobami. Postanowił przyłączyć się do karawany. A ja? Nie mogłem przecież zostawić swojego niedawno poznanego przyjaciela. Ruszyłem razem z nim. I właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć...

Zaczął się domyślać. W końcu każdy odkrywa prawdę. Jedni wcześniej, inni później. Z moim ostatnim przyjacielem spędziłem ponad rok. On chyba jednak wiedział od dłuższego czasu, zanim na zawsze się rozstaliśmy. Za bardzo się do mnie przywiązał. To jest ta okropna wada ludzi - gdy się do czegoś przyzwyczają i to polubią, to później obawiają się nawet samej myśli o utracie swojej ukochanej rzeczy. Kiedyś spotkałem człowieka, który zorientował się, zanim zdążyłem do niego podejść. Gdy tylko mnie zobaczył, wziął nogi za pas. Szkoda, że nie udało mi się go dogonić...

Zrobiłem kolejny krok naprzód.

- Zostaw mnie w spokoju! Czego ty chcesz?!

Kolejny krok.

- Ostrzegam cię! Wiesz, że nie będę się wahał!

Uśmiechnąłem się lekko i zrobiłem minę w stylu "przecież doskonale wiesz, że ci się nie uda". Kiedy w końcu ten człowiek zrozumie, że mnie nie można tak łatwo zabić? Przecież już próbował. Raz nożem, później tasakiem. W akcie desperacji rzucił nawet dynamitem, ale to nie był za dobry pomysł. Mnie oczywiście nic się nie stało, ale przez przypadek zabił jednego z członków karawany, z którą wtedy podróżowaliśmy. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby człowiek tak szybko uciekał...

Zrobiłem następny krok.

Mężczyzna wyciągnął zza pleców swego srebrnego Magnum kaliber 44. Ten sam rewolwer, który czyścił, oliwił, rozbierał i składał w każdej wolnej chwili. Ten sam, który pomógł mu ujść z życiem z niejednej barowej awantury... Była to jego jedyna broń, której używał tylko w krytycznych sytuacjach. Teraz mężczyzna leżał dwa metry przede mną. Powoli wyciągnął rękę. Wycelował prosto w moją głowę i po krótkiej chwili wahania wystrzelił. Potem drugi raz. I trzeci, czwarty, piąty... Pięć strzałów i ani jeden nie trafił. Pomiędzy każdym kolejnym robił coraz większą przerwę.

- Nie! Nie! Przecież to nie możliwe! Jak udało ci się uniknąć kul?! Ty... przecież nie mogłeś... Powiedz mi, za co!? Za co do cholery TY mnie spotkałeś?! - z przerażeniem w głosie i wyraźnym niedowierzaniem na twarzy człowiek wypuścił z rąk broń i skulił się jeszcze bardziej.

Podszedłem do niego i położyłem na ziemi jeden nabój. Kaliber 44. Zawsze, gdy spotkałem nowego przyjaciela, zabierałem mu jeden pocisk z jego broni. Trzymałem go właśnie na taką okazję.

Zrozumiał. Nie było dla niego ratunku. Ucieczka nie miała już żadnego sensu. Przegrał i pogodził się ze swoim losem. Wziął nabój do ręki i pokiwał ze zrozumieniem głową. Nie miał żadnego wyboru. Dałem mu jedyną szansę na rozstanie się ze mną. Raz na zawsze. Bez większego pośpiechu odwróciłem się i z poczuciem spełnienia dobrego uczynku ruszyłem prosto przed siebie.

Po chwili usłyszałem huk. Tak, to był ostatni celny strzał oddany przez mego przyjaciela. Odwróciłem się bez większego pośpiechu. W oddali na ziemi leżało bezwładne ciało martwego człowieka. Tak jak u każdego, komu podarowałem ostatnią szansę, mężczyzna umarł z wyrazem dziwnej ulgi i szczęścia na twarzy.

Dziwne, niektórzy ludzie twierdzili, że to przekleństwo, skaza, jakiś wybryk natury bądź nienaturalnej mutacji. Ja jednak uważam, że to dar. Wspaniały dar, który jest całym moim życiem. To jemu zawdzięczam swoje imię, pod którym jestem znany. Ci, do których się przyłączałem, zawsze po jakimś czasie zaczynali mnie tak nazywać. Były różne wersje, ale najbardziej spodobało mi się określenie mojego pierwszego przyjaciela: "Pechowy Pies". Nie mam zbyt wiele wspólnego ze zwykłym kundlem, ale... Czyż to nie piękne imię?

Z zadowoleniem zamerdałem ogonem i ruszyłem na południe. W stronę głównego szlaku handlowego. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak tylko znaleźć sobie nowego przyjaciela...

KONIEC

© Piotr 'Sajdon' Szpakowski - 10 września 2002

KRONIKI PUSTKOWI - CZĘŚĆ PIERWSZA

"A lifetime ago, with frozen eyes they closed the door.
Suddenly I realized what locks are for.
No trusting them anymore, lights - are - out."
Sonata Arctica - The Cage

ROZDZIAŁ I - SEN

Oko, szara skóra, szare białko i ciemna powieka. Tylko źrenica wyróżniała się swoją nienaturalną barwą brązu. Delikatny odcień odznaczał się na tle mrocznego tła. Jednak po głębszym przyjrzeniu na źrenicy odmalowywał się obraz. Nagle znikąd pojawiło się drzewo a wraz z nim rozłożyste gałęzie. To oko na coś patrzyło. Czy tylko na drzewo?
Dlaczego ja to widzę? Co mam przez to rozumieć? - usłyszał głos w duchu.
Nagle obraz rozmył się zasnuty tajemniczą mgłą.

Ktoś leżał. Nie wiedział kto. Pewnym można być tylko tego, że postać ta była ranna. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna odziany w zielony, potężny pancerz z dziwnym logiem na płycie barkowej leżał skulony na kamiennej wypolerowanej posadzce trzymając się obiema rękoma za brzuch. Znak wydawał się znajomy, ale... nic więcej. Deja vu, najpewniej... Mężczyzna uniósł rękę i zniszczoną rękawicą zasłonił przed kimś twarz.
Błysk i znów mgła... Co tym razem?

Szedł przez miasto, Niedawno musiało stać się tu coś strasznego, bowiem większość budynków zamieniła się w kompletną ruinę. Wszędzie wokół niego leżały porozrzucane rzeczy. Od kawałków ciuchów, przez jakieś urządzenia po zabawki i kawałki gruzu. Ale dlaczego to wszystko było czerwone? Dlaczego widzę wszystko na czerwono!? Lustro. Mam pomysł - pomyślał. Mężczyzna podszedł powoli do niego i już miał się w nim przejrzeć, gdy szklana tafla pękła rozsypując się na setki drobnych kawałków. W sekundę później głowę przybysza przeszył potworny pisk. Chwytając się za uszy podniósł wzrok i zauważył jak setki ludzi pojawiających się znikąd przechadza się między zniszczonymi budynkami. Dorośli, dzieci, starcy... Otaczała ich delikatna szara poświata, która niczym mgła pokrywała całe ich ciało delikatnie rozmywając się i rozpraszając w wyniku najmniejszego ruchu. Widział setki zamglonych postaci ciągnących za sobą smugi szarej mgły. Nagle jeden z mężczyzn pojawił się przed nim i przeszedł przez jego ciało, by za chwilę przeniknąć przez ścianę budynku. Zaskoczony rozejrzał się wokół i niczym w słabym spektaklu zauważył setki postaci przechodzących(!) przez ściany i siebie nawzajem. Mężczyzna krzyknął, ale nic nie było słychać. Z jego gardła nie dobył się żaden odgłos.
I nagle przypomniała mu się twarz tego starca... pozbawiona cienia emocji, zimna i bezbarwna...
Pisk...

ROZDZIAŁ II - PRZEBUDZENIE

Co się ze mną stało? Gdzie jestem? - zapytał w myślach. Samotny i ranny ocknął się w nieznanym mu miejscu, co jednak nie było nie było najgorsze. Najbardziej bolała go świadomość, że... nic nie pamiętał.
Walcząc z potwornym bólem głowy prawą dłonią chwycił się za czoło badając czy wszystko z nią w porządku. Mimo, że wyczuł krew wiedział, że nie stało się nic poważnego i po chwili spróbował się podnieść. Z wielkim trudem, stękając z wysiłku z trzęsącymi nogami ustał niemal wyprostowany i omal znów nie upadł oślepiony przez niespodziewany błysk słońca. Zasłonił twarz dłonią i rozejrzał się wokół.
Omal nie krzyknął, gdy zobaczył leżące parę metrów od niego ciało. Zorientował się, że mężczyzna

nie żyje po poszarpanym ubraniu na klatce piersiowej i pokrwawionym pistoletem leżącym tuż obok trupa. Miał on na sobie zielonkawy uniform z wyszytą na klatce piersiowej podobizną... hej, o znał skądś ten znak. Natychmiast przypomniał sobie skąd. Ten dziwny sen...

- Co tu się do diabła stało? - zdziwił się słysząc własny głos.

Dopiero, gdy ten pierwszy raz otworzył usta zrozumiał jak bardzo chciało mu się pić. Rozejrzał się, jednak wokół nie widział nic poza tamtym ciałem... Wokół znajdowało się jedynie jakieś wyschnięte drzewo, trup I leżąca obok broń oraz resztki jakiegoś drewnianego wozu. A wokół morza złotego piasku. Nieznajomy usiadł zrezygnowany i podparł głowę ramionami.

- I co mam teraz zrobić? - pomyślał smutno. - Nie mam jedzenia, wody, żadnej broni i nic nie pamiętam. Ech... co ja takiego zrobiłem? Nie wiem nawet gdzie jestem. Czemu to wszystko wokół wygląda tak cholernie podobnie? Co mam ze sobą zrobić?

- Póki istnieją gwiazdy, zawsze jest jakaś nadzieja.

- Co? - mruknął rozglądając się wokół. - Chyba się przesłyszałem... , ale to wcale nie jest takie głupie. Tylko skąd ja w ciągu dnia wezmę gwiazdy?!

Mężczyzna przetarł zabrudzoną twarz dłonią w poszarpanej rękawicy o głośno wypuścił z siebie powietrze jakby chcąc to wszystko z siebie wyrzucić.

- A co mi tam. - wzruszył po chwili nieznacznie ramionami i chwiejnym krokiem podszedł do ciała, a następnie przeszukał je.

Nic. Nie było w nim nic poza butelką RotGut'a... Butelką?!

- Co to RotGut? Ehhh... Nie ważne co jest w środku i jak to się nazywa... To JEST PŁYNNE! - Uśmiechnął się przebiegle i jak wygłodniały drapieżca rzucił się na szklany pojemnik. Nie zastanawiał się wiele, gdy wychłeptał duszkiem całą zawartość butelki. Po chwili zrozumiał swój błąd.

- Aaa! Mo.. j..e.. GARDŁO! - krzyknął i krztusząc się opadł na kolana walcząc z atakiem kaszlu. Co tam do cholery było?! - wrzasnął w myślach.

Wciąż kaszląc, na kolanach podpełzł do najbliższego pnia. Leżał pod nim tak długo, aż gardło przestało go palić żywy ogniem.

- Pierwsze co zrobię, to znajdę najbliższy bar, znajdę kolesia co to produkuje i go zabiję... - pomyślał wściekły leżąc.

Rozkoszował się w myślach planując co zrobi temu handlarzowi za nie umieszczanie ostrzeżenia pod nazwą trunku, lecz po chwili większa część złości mu przeszła. W końcu nie chciało mu się już pić. Zresztą nie czuł też gardła i wiedział co to RotGut. Teraz jednak za nic nie chciało mu się wstać i zrobić cokolwiek. Coś podświadomie pchało go ku działaniu, lecz w końcu wrodzone lenistwo wzięło górę nad potrzebą działania.

- Co z tego, że nic nie pamiętam, nogi i dupa mnie bolą. Nigdzie nie idę. - mruknął krzywiąc się.

Zamknął oczy i zaczął zastanawiać się co powinien teraz zrobić. Najpierw się prześpi, to pewne. Ale co później? Nie pamiętał swojego imienia, nie wiedział skąd pochodzi i czemu się tu ocknął. I co do cholery robi tu to ciało? Zastanawiał się nad przyszłością, gdy nagle zawładnęła nim senność. Zsunął się niżej układając się wygodnie i oparł głowę o wystający korzeń.

Leżał tak przez dłuższą chwilę na wpółprzytomny. Nie mógł zasnąć, bo coś uwierało go w prawy bark. Ziewnął otwierając przy tym usta jak szpon śmierci widzący człowieka i przyrzekł sobie, że gdy tylko się obudzi zajmie się tym, i po chwili zasnął.

Oko, znów ten sam widok... Szara skóra, czerwona źrenica, a w niej odbijające się drzewo. O co chodzi? Nagle obraz znika i pojawia się widok śpiącego pod starym konarem żebraka. Podarte i poszarpane ubranie świadczyło, że musiał być w drodze od kilku dni. Widział burzę ciemnych, zakurzonych włosów opadających na ucho i oczy człowieka. Mężczyzna mimo, że młody i wysoki był nieźle wychudzony. Co on też musiał przejść? Miał zakrwawione lewe kolano i krew na twarzy. A ten sposób w jaki się położył. Od razu widać było, że śpi po raz pierwszy od jakiegoś czasu. Też sobie znalazł miejsce na sen... - nieznajomy skomentował to w myślach. Nagle zaswędziało go lewe ramię i odruchowo podrapał się. Co?! Leżąca postać podrapała się dokładnie

w to samo miejsce marudząc coś pod nosem! Co jest?! Czy widział samego siebie?!
Spocony i zdyszany obudził się niemalże wstając na równe nogi. Czy to możliwe? Jak mógłby we śnie widzieć samego siebie?
Wstrząśnięty i zdezorientowany podjął decyzję, że jak najszybciej stąd odejdzie. Nie ważne gdzie. Musi stąd odejść...
Ponownie przeszukał leżące obok ciało, podniósł pistolet i sprawdził ile ma kul.
Prawie cały magazynek. Poza tymi paroma pociskami znajdującymi się w klatce tego gościa.
Szybko schował broń do kieszeni, butelkę umieścił w drugiej i pochylił się by zawiązać sznurowadło. Nagle szklane naczynie wypadło mu z kieszeni i poturlało się niemalże pod same wyschnięte drzewo. Stękając ze złości i zmęczenia mężczyzna poszedł w kierunku "uciekiniera" i pochylił się by go podnieść. Okazało się, że butelka leżała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie on sam wcześniej spał. Zbieg okoliczności - pomyślał, podniósł naczynie i ponownie je schował.

- A co to? - mruknął widząc nagle mały, zielonkawy przedmiot z wystającymi kablami i lekko przerysowanym wyświetlaczem. Zresztą obudowa też nie była w najlepszym stanie. - Czy to ty mnie uwierałeś?

Nie zastanawiając się długo wziął to "coś". Nie wiedział co to jest, ale być może uda mu się to gdzieś sprzedać czy chociaż wymienić. Schwycił małe urządzenie w palce i przypadkowo wcisnął jeden z guziczków. Wyświetlacz rozbłysnął na chwilę mieniąc się falą kolorów i po chwili ustabilizował się ukazując oczom mężczyzny zaskakujący widok. Mężczyzna, aż krzyknął widząc to, co pokazało mu urządzonko.
Na wyświetlaczu widniała jego podobizna, a tuż pod nim napis "Znajdź i pomóż".
Lecz nie to go zdziwiło najbardziej. Zaskakujący dla mężczyzny był fakt, że tuż obok zdjęcia mieścił się dokładny opis nieznajomego i jedno imię. Nathan.

ROZDZIAŁ III - CIEMNOŚĆ

- Czy... czy tak mam na imię? - zapytał cicho. - Czy to ja?

Nie wiedział czemu ten widok tak nim wstrząsnął, ale w imieniu tym było coś, co podświadomie kazało mu nie wyrzucać urządzonka. Chciał to uczynić, gdy tylko zobaczył to imię, ale palce same zacisnęły mu się na wyświetlaczu. Nie miał siły tego puścić. Ale jak "to" się nazywało? Z lekkimi wątpliwościami obniżył wzrok na przedmiot i głośno przeczytał jego nazwę.

- PipBoy 2000. A więc tak się nazywasz?

Dziwne, ale ta nazwa coś mu mówiła. Zastanawiał się nad tym chwilę, lecz nie mogąc nic wymyślić wpadł we wściekłość.

- NIE! - wrzasnął tak głośno jak tylko pozwalało mu spalone gardło. - Ta niewiedza jest wkurzająca! Jeśli zaraz nie stanie się nic co nie wróci mi pamięci, tak jak tu stoję, przyrzekam, że jak tylko kogoś spotkam, przygrzmocę mu tak w pysk, że to on zapomni kim jest!

Nie wiedział tego, ale wypity duszkiem RotGut zaczynał już działać. Zresztą nie tylko to zaczynało mu dokuczać. Po raz pierwszy od nie pamiętał kiedy zaczynało mu burczeć w brzuchu. Trza by cosik na ząb wrzucić. - pomyślał oblizując spierzchnięte od słońca wargi. Nagle wpadł mu do głowy dziwny pomysł. Z wykrzywioną grymasem złości twarzą odetchnął głęboko i jakby w transie nacisnął przycisk "Mapa". Ekran zabłysł i po chwili ukazał jego położenie i najkrótszą trasę do najbliższej osady.

- Nie wiem, czy to dobrze ale zaczyna mi się to urządzonko podobać. - mruknął ironicznie i skierował się w stronę, którą wskazywał mu komputerek.

Zachodził już mrok, a nieznajomy wciąż nie mógł znaleźć nic co nadawałoby się do zjedzenia. Wprawdzie szukał co najwyżej godzinę, co spowodowane było nagłą i niespodziewaną niemocą, ale do tego nie przyznawał się nawet w myślach. Idąc w kierunku wskazywanym mu przez PipBoy'a do tej pory znalazł jedynie dwie jaskinie i pozostałości jakiegoś starego ogniska, najpewniej po jakimś handlarzu.

- Sam piach i palące słońce - pomyślał z przekąsem. - A do tego... tej wioski pozostało jeszcze 112 km...

- Na jakie zadupie ja trafiłem!?

Pomimo początkowej wściekłości powoli zaczął przyzwyczajać się do swojej sytuacji. Wprawdzie nie podobała mu się świadomość utraty pamięci, ale po pewnym czasie doszedł do trochę bardziej optymistycznych wniosków. No, bo w końcu nie wiadomo co kiedyś robił, ani co widział. Może nawet to dobrze, że o czymś zapomniał. Kto wie, co zbroił w przeszłości. Wiedziony tą myślą szedł z lekkim uśmiechem wymyślając coraz to nowe historie ze swojej przeszłości. W końcu znudziło mu się to, gdy wystraszyło go burczenie własnego brzucha. Na dodatek zaczynał go już także boleć. Jedną ręką otaczając żołądek szedł coraz wolniej, w końcu zaczął zataczać się o własne nogi i niemal raz się o nie przewrócił. Nie chciał tego przyznać, ale jeśli nie wydarzy się cud, to będzie koniec...

- *To twoja zasługa...* - przed oczami mignęła mu jakaś kobieta.

- Co? - mruknął rozcierając oczy.

- *Pamiętaj, nie możesz zrobić im krzywdy. To misja pokojowa.*

- *Za niebywałe zasługi walcząc w naszej sprawie zostajesz odznaczony...*

Co się z nim działo? Potwornie wystraszony pojawiającymi się znikąd głosami rozglądał się wokół sprawdzając, czy to nie jakiś dziwny żart.

- *Zdrajco! To twoja wina!* - zobaczył stojących przed nim ludzi krzyczących na niego. Zobaczył też samego siebie jak klęczał patrząc się krzywo na tłum. Na swojej umorusanej od błota i krwi twarzy dostrzegł słaby uśmieszek. Nagle jeden z mężczyzn wystąpił z tłumu i krzycząc coś niezrozumiałego z całej siły rzucił w niego kamieniem. Nieznajomy zobaczył jak w spowolnionym tempie kamień leci wprost w jego głowę, lecz on nie wykonuje najmniejszego ruchu. Nie zamierzał się przed nim bronić! W chwilę później pocisk trafił go w szczękę powalając bez przytomności na ziemię.

Nieznajomy stęknął i rzucony niewidzialną siłą padł na plecy. Walcząc z potwornym bólem próbował wstać, ale nie miał siły. Na dodatek z prawej strony dobiegł go jakiś dziwny, stłumiony szmer.

- *To ty sprawiłeś, że stał się cud. Gdyby nie ty...*

- *Dlaczego musisz wszystko niszczyć? Gdziekolwiek się nie pojawisz ktoś musi ucierpieć!*

- *Nathan! Jak dobrze, że cię widzę!*

- *ODEJDŹ I NIGDY WIĘCEJ SIĘ TU NIE POKAZUJ!* - ktoś na niego krzyknął.

Usłyszał także coś więcej. Ten ktoś płakał... Przez niego?

Nieznajomy klęcząc chwycił się za głowę starając się opanować napływające znikąd wizję. Czuł, że zaraz głowa mu pęknie od ich nadmiaru...

Nagle dobiegający z daleka szmer zamienił się w jeszcze dziwniejszy, chichy klekot. Co to było?

Mrużąc oczy odwrócił głowę w tamtą stronę i zobaczył trzy cienie zbliżające się powoli do niego. Ale to nie byli ludzie... na pewno nie.

- A więc co? - pomyślał.

Niestety dowiedział się szybciej niż by tego chciał. Była to trójka dużych i dziwnych stworów ze szczypcami z przodu i długim, wygiętym ogonem na zadzie. Mężczyzna był pewien, że kiedyś je już widział. Coś podświadomie mówiło mu, że musi się bronić.

- Jedzenie... - szepnął słabo i sięgnął do kieszeni wyjmując wcześniej załadowany pistolet. Wycelował w zbliżający się powoli cień i pociągnął za spust.

- Mam nadzieję, że tego się nie zapomina. - mruknął i jedną ręką trzymając się za brzuch, wciąż klęcząc wystrzelił.

Potworny huk zalał jego uszy przenikając do samego mózgu powodując lekki szok. Lecz ku jego zaskoczeniu stwór, w którego wystrzelił podskoczył nagle jak oparzony, po czym padł na ziemię w drgawkach.

- Krytyczny? - zapytał sam siebie, ale sekundę później zorientował się, że sam nie wie co to znaczy. Cholerna amnezja!

Nie zauważył nawet jak przez ten moment zawahania dwa pozostałe stwory rozdzieliły się

zaczynając go okrążać, biegnąc coraz szybciej do niego i kłapiąc ogromnymi szczypcami. A on nie mógł zrobić nic. Walczył ze samym sobą o wykrzesanie tej resztki siły, która pozwoliłaby mu się obronić.

- Nie chcę zginąć jako pożywienie. - mruknął i po chwili dodał krzycząc: Już wolę paść z wyczerpania! - ostatnim zrywem podniósł broń i niemalże wrzeszcząc wystrzelił w nadchodzącego z prawej strony klekoczącego potworka. Odrzut sprawił, że ręka mimowolnie wystrzeliła mu w powietrze, a palce puściły pistolet pozwalając mu spać tuz obok. Padając wyczerpany za ziemię usłyszał przeraźliwy pisk i jakby odgłos łamanego szczypca. Nie zabił, ale przynajmniej trafił.

Kaszląc z wycieńczenia zdołał jeszcze odwrócić się na plecy i ujrzeć jak dwa stwory spokojnie się do niego zbliżają. Jeden pełen siły, drugi bez jednego ze szczypiec. Uśmiechnął się słabo widząc to. Podchodziły spokojnie jakby delektując się tym łatwym zwycięstwem klekocząc coraz głośniej. Nagle jeden z nich machnął ogonem i z niebywałą szybkością skoczył z uniesionym niebezpiecznie ogonem na odsłoniętą klatkę mężczyzny. Nieznajomy uniósł słabo rękę w rozpaczliwym geście obrony i poczuł nagle potworne uderzenie w prawą pierś. Jego siła rzuciła nim o ziemię jak szmacianą lalkę i obezwładniła na dobre. Zaczęło mu ciemnieć przed oczami. Delikatna, szara mgła zasłoniła mu spokojnie oczy. Mężczyzna ostatni raz słabo kaszlnął i odpłynął w krainę nicości. Tuż przed tym usłyszał w głowie ostatni głos.

- Czy ty zawsze musisz się poświęcać? Kiedyś doprowadzi cię to do... nie, nie chcę tego mówić. Ale proszę cię, nie idź!

- Wiesz, że muszę... Nie dali mi wyboru.

- To ty sprawiłeś, że stał się cud. Gdyby nie ty... to oni...A teraz odchodzisz... - ktoś zaczął płakać.

- Muszę i ty też musisz mi to wybaczyć. Ja jestem jednym z nich. Zrobiłem co się da i teraz muszę za to zapłacić. Wiedziałem w co się angażuję pomagając wam. Ale wiedz, że tego nie żałuję. Żegnaj i żyj długo. - dało się usłyszeć, że ostatnie słowa powiedział z zawahaniem i niepewnością.

- Nathan!

Mężczyzna obrócił się nieugięty i ostatkami sił nieznajomy zobaczył, że to był on sam. A więc naprawdę mam na imię Nathan - pomyślał odpływając w ciemność i po raz ostatni wypuścił z siebie powietrze. Nie zdążył już zobaczyć, a raczej poczuć jak dwa stworki bawią się jego ciałem szturchając je radośnie kończynami i uderzając w nie ogonami klekocząc przy tym donośnie.

- Na pustkowiu życie nie ma żadnej wartości. Nie ważne jak się nazywasz, ani kim jesteś. Pustynia nie zapomni upomnieć się o twą duszę. Pamiętaj o tym... bracie.

KONIEC

© 2007 setaneiro

DOPRAWIAJĄC OSTATNI KĘS ŻYCIA

A post-nuclear horror story

We wrześniu i październiku jesienne wichry morskie znad Channel Islands wdzierają się do południowej Kalifornii i, nie napotkawszy przeszkód w postaci żadnej szaty roślinnej, docierają czasem aż do wypalonych ruin, które kiedyś były miastem Phoenix. W okolicach olbrzymiego leju, pozostałego po podziemnej bazie wojskowej, wicher wpada w cyrkulacje i porywa tony radioaktywnego pyłu, nagromadzone tam w postaci osadu tak grubego, że 170 lat jakie upłynęły od Wojny nie zdołały wygasić promieniowania. Tworzące się niekiedy radioaktywne burze nie trwają dłużej jak kilka - kilkanaście godzin, ale mają rozmach wystarczający by sięgnąć przedmieścia Necropolis 450 km na północ, zamieniając w kłębek drgających, świecących tkanek każdą nierozważną istotę, która zdążyła już zapomnieć o skutkach Wojny.

Pośrodku szalejącej nocą radioaktywnej zamieci, około 100 km na północny zachód od jarzącego się krateru, stoi samotnie wielka, piętrowa posiadłość, zbudowana z białego, piaskopodobnego tworzywa, jakiego użyto wiele lat temu do stworzenia Vault City. Wzniesiony na niewielkim wzgórzu hermetyczny, prosty, choć imponujący budynek trwa niewzruszenie wśród wichury, oferując swym mieszkańcom pewną ochronę przed nieprzyjaznym żywiołem. Przez okno z metalplastiku Jesse Gomez obserwował rdzawoczerwone kłęby pyłu przewalane przez wicher na tle brunatnego nieba. Mógł sobie niemal wyobrazić ryk burzy, którego nie słyszał przez całkowicie szczelną konstrukcję domu. Jedynym odgłosem był cichy szum szybu wentylacyjnego, sięgającego umieszczonego na parterze olbrzymiego zbiornika tlenowego. No tak, była jeszcze muzyka.

Jesse niechętnie odwrócił się od okna i obrzucił wzrokiem wypełnione ludźmi pomieszczenie, zwane szumnie przez gospodarza "salą balową". W rogu wielki głośnik chrypiał jakiś starożytny przebój punk rockowy, tak zniekształcając słowa, że młody biznesmen nawet nie zadawał sobie trudu by odszyfrować treść piosenki. Pod ścianami stały długie stoły zawalone resztkami jedzenia i butelkami portlandzkiej whisky, a ściślej rzecz biorąc butelkami po portlandzkiej whisky. Przyjęcie dla uczczenia sześćdziesiątych urodzin gospodarza Jebadiah H. Campbella dobiegło już końca. Jesse nie spodziewał się, że Campbell dożyje sześćdziesiątki; szczerze mówiąc nie spodziewał się, że stary druh dożyje pięćdziesiątki, kiedy dziesięć lat temu zostawiał go na pewną śmierć na pustkowiach Nevady. Wiadomość o jego ocaleniu kilka lat temu zaskoczyła młodego przemysłowca. chociaż nie tak bardzo jak to zaproszenie. No cóż, Jesse wzruszył ramionami, w ciągu ostatniej dekady wiele się zmieniło w życiu ich obu. Jesse nie był już tym młodziutkim, żądnym przygód gnojkiem, z którym Campbell poszukiwał złóż uranu w Nevadzie. Dzięki odkryciom, jakich wspólnie dokonali, Gomez był właścicielem największych kopalni uranu na wschód od Broken Hills i biznesmenem którego znano i darzono respektem na całym obszarze tego, co zostało z zachodniego wybrzeża. Campbell też się ustatkował, zbił majątek, za który wybudował ten dom, został wartościowym i szanowanym obywatelem Nowej Republiki Kaliforni. Musiał się z Jessem liczyć, więc młody przemysłowiec nie obawiał się pułapki. Zapewne Jeb postanowił zapomnieć o starych sprawach i zaprosił go, licząc na wspólne interesy w przyszłości. Jesse pociągnął łyk z trzymanej w dłoni szklanki. A jednak, ilekroć łowił wzrok gospodarza czuł się nieswojo. Duże, bladoniebieskie oczy Campbella miał wyraz dobrodusznej pobłażliwości, ale Jesse widział u niego to samo spojrzenie, kiedy ten strzelał do mutantów w Nevadzie.

Rzucił okiem na zegarek. Był to antyczny złoty "olex", jak wynikało z na wpół startego napisu na kopercie. Elektroniczne cacko sprzed Wojny kosztowało Jessego małą fortunę, ale doszedł do najstarszego wniosku świata - swoją wyjątkową pozycję w społeczeństwie należy w każdy możliwy sposób podkreślać. Dochodziła dziesiąta. Większość gości, kelnerów i hostess odwieziono godzinę temu do Los Angeles, zanim burza zdążyła się rozpętać. Od kiedy San Francisco nawiązało kontakt z resztą świata, prognozy Hubologów stały się najpewniejszym źródłem informacji meteorologicznych. Jesse zastanowił się po co Campbell wybrał taką parszywą noc na przyjęcie. Może chciał dodać imprezie nastroju, pomyślał wykrzywiając wargi w grymasie,

który od biedy można by uznać za uśmiech.

Oprócz niego w sali balowej było dziesięć osób. Wszyscy byli dosyć trzeźwi, zapewne też wszyscy zastanawiali się dlaczego dostąpili zaszczytu przenocowania w rezydencji Campbella. Jesse nie miał na to wcale ochoty, w L.A. czekali na niego wspólnicy i kochanka; jeśli miał rozmawiać ze Starym o interesach wolałby to zrobić na neutralnym gruncie. Wszyscy czekali teraz w milczeniu, aż gospodarz wróci ze swym służącym z gabinetu. Jesse potarł skronie; był zmęczony podróżą i przyjęciem, a muzyka zaczęła przechodzić w jego mózgu w jednostajne dudnienie. Miał nadzieje, że Campbell wróci jak najszybciej i wyłączy to cholerstwo.

Dwóch gości spośród zaproszonych przez Starego znał. Jednym był stojący obok niego gruby mężczyzna w tunice wysokiego urzędnika NRK. Nazywał się Anthony Jefferson i sprawował urząd sekretarza wice-prezydenta Republiki. Jesse słyszał, że Tony i Campbell mieli ze sobą niegdyś na pieńku z powodu pewnego zezwolenia na budowę fabryki plazmy; tym bardziej zaskoczyła go jego obecność na jublu. Tłusta twarz polityka poczerwieniała i ogólnie sprawiał wrażenie jakby za dużo wypił, ale Jesse wiedział, że sekretarz jest zbyt przebiegły by się upić w tak niepewnej sytuacji. Zamienili ze sobą kilka zdań, starając się wybadać powód dla jakiego poproszono ich by pozostali, ale żaden z nich nie był skory do zwierzeń na temat swojej wspólnej przeszłości z gospodarzem.

Drugim był niski, chudy, ubrany na biało człowieczek, któremu siwe postrzępione włosy i grube okulary nadawały wygląd roztargnionego naukowca. W istocie, był to Jackson Blauberg, tytułowany profesorem, choć nie istniał już żaden uniwersytet mogący nadać mu stopień. Znany był w całej Kalifornii jako wybitny badacz przedwojennej technologii; szczególny rozgłos nadały mu eksperymenty z bio-implantami, o których to doświadczeniach opowiadano różne mroczne historie. Profesor wydawał się dość podenerwowany, co oznajmiał światu skubiąc wystarczająco już postrzępiony krawat.

Pozostali tworzyli barwną zbieraninę, choć Jesse nie mógł odgadnąć co mogłoby ich łączyć z Campbellem i sobą nawzajem. Pod przeciwległa ścianą stało dwóch oficerów Bractwa Stali. Nie mieli na sobie pancerzy wspomaganych (pewnie zostawili w czołgu, wyszczerzył się do siebie Jesse), a jedynie galowe pancerze, pozwalające na rozpoznanie rangi. Jeden był paladynem; wielki, twardoszczęki sukinsyn o imponujących siwych wąsach i romańskich rysach twarzy. Piwne oczy, pozbawione ciepła właściwego tej barwie, lustrowały otoczenie z zamarłym w nich wyrazem pogardliwej wściekłości. Drugi, w randze rycerza, był niższy i szczuplejszy. Krótko ostrzyżone włosy miały kolor słomy, a zielone oczy patrzyły spod półprzymkniętych powiek łagodnie, choć badawczo. Obaj byli ostentacyjnie uzbrojeni, co w postnuklearnej Kalifornii było rzeczą normalną; sam Jesse miał przewieszony przez plecycombat shotgun.

Obok nich, na kanapie z geckowej skóry przycupnęła ładna, drobna dziewczyna. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat; marchewkowe włosy ocieniały niedbale przystrzyżonymi kosmykami bladą, szczupłą twarz. Szmaragdowe oczy patrzyły na pozostałych gości z wyraźnym znudzeniem - Jesse zauważył, że częściej od innych spoglądała na mały, srebrny zegarek na przegubie. Ubranie i wygląd wskazywały na znaczny majątek; młody biznesmen przypuszczał, że mogła być w jakiś sposób spokrewniona z gospodarzem.

Ostro kontrastowała z nią druga kobieta, oparta o metalową szafę z holodyskami. Była mniej więcej w wieku Jessego, miała około trzydziestki. Brudny skórzany pancerz i ogorzała, poznaczona bliznami twarz nasuwały skojarzenie z pustynną bandytką, nie takie znowu karkołomne założenie, jeśli wziąć pod uwagę przeszłość Campbella. Była wysoka, muskularna i ogólnie sprawiała twarde wrażenie. Ciemne, związane w koński ogon włosy nie miał połysku właściwego rudym kosmykom dziewczyny, a czarne oczy spoglądały z ostrożną bezwzględnością wielokrotnie szczutego drapieżnika. Kojarzyła mu się z wielkim czarnym kotem, żyjącym przed Wojną; widział kiedyś takiego na starym holodysku przyrodniczym. Kiedy na nią patrzył, zwróciła twarz w jego stronę i Jesse uznał, że gdyby nie blizny i złamany nos, byłaby całkiem atrakcyjna.

Na środku podłogi, naprzeciw otwartego szybu wentylacyjnego, siedział po turecku dzikus z północy, pochodzący z jednej z tych niezliczonych, rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych wiosek, których mieszkańców Wojna zepchnęła do poziomu barbarzyństwa. Był półnagi, imponująca muskulatura czyniła go potężniejszym nawet od paladyna z Bractwa. Łysą głowę miał poznaczoną tatuażami i przyozdobioną kościaną biżuterią; całokształtu dopełniał olbrzymi żelazny

młot, który dzikus trzymał na kolanach. Pomimo groźnego wyglądu barbarzyńcy, jego twarz miała pogodno-obojętny wyraz fatalisty, który nie zaprząta sobie głowy troskami o przyszłość.

W kącie pokoju kulił się na wysokim taborecie czarnowłosy, myszowaty chłopak, którego Jesse zapamiętał jako jednego ze służących podczas przyjęcia. Miał na sobie proste ubranie z włókien zmutowanej kukurydzy i sprawiał wrażenie permanentnie wystraszonego. Może zresztą sprawiało to sąsiedztwo stojącego pod oknem mężczyzny, na widok którego i Jessego chłód chwytał za serce. Wysoki, śniady mężczyzna miał na sobie ciemny płaszcz i fedorę nasuwające skojarzenie z gangsterem z Nowego Reno. Był dobrze zbudowany i sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł przeskoczyć od leniwego rozluźnienia do zwartej gotowości. Jesse nie potrafił określić rysów twarzy mężczyzny, gdyż ilekroć spoglądał w jego oblicze, wzrok przyciągały niesamowite oczy nieznajomego. Wzrok paladyna z Bractwa Stali był typowym dla wojskowego, butnym, pogardliwym spojrzeniem, miażdżącym wszystko co nie nosiło munduru i nie salutowało na jego widok. Ale oczy gangstera żarzyły się spod ronda fedory jak dwa lodowate węgielki; dwa sztylety zimnej nienawiści, które nawet oficera zmusiły do odwrócenia wzroku. Jesse uważał się za twardego faceta, który niejednego już wysłał do Krainy Wiecznego Świecenia, ale od tego mężczyzny wolał się trzymać tak daleko jak to możliwe.

Zwrócił uwagę na ostatnią osobę w pomieszczeniu i tym razem to jego oczy zapłonęły lodowatą nienawiścią. Olbrzymi super-mutant stał przy drzwiach sali, gapiąc się w okno oczami barwy i rozmiarów jajek sadzonych. Muskularne, zielone ciało napinające skórzaną uprząż dziwoląga było zdolne zgnieść stalowy stół do wielkości konserwy. Jesse nienawidził super-mutantów od czasów gdy te cholerne dranie z Broken Hills robiły wszystko by uniemożliwić jemu i Campbellowi złamanie ich monopolu na handel rudą uranu. Z ciał atakujących ich i poszatkowanych przez ich laserowe strzelby mutantów można by ułożyć stos wysokości hubiańskich zbiorników wodnych. Nie miał pojęcia dlaczego Stary zaprosił to ścierwo i modlił się tylko, żeby super-mutant nie odwrócił się do niego tyłem, kusząc go do wpakowania całego magazynka w szerokie jak atrapa jego thunderbirda plecy.

W korytarzu rozległy się zbliżające się kroki i chwilę później do sali wkroczył gospodarz z nieodłącznym służącym. Kamerdyner Starego był wiecznie milczącym, zmutowanym ghulem, o dziwo nie cuchnącym tak strasznie jak reszta jego pobratymców. Campbell podszedł do głośnika i wyłączył chrypiący horror; następnie stanął na środku pomieszczenia, dając znak gościom by skupili się przed nim. Dudnienie w uszach Jessego wcale nie ucichło, przeciwnie draństwo nasiliło się jeszcze. Zanotował w myślach by poprosić gospodarza o jakiegoś procha. Póki co stanął przed Starym by wysłuchać co jubilat ma do powiedzenia gościom, których uznał za słuszne zatrzymać po imprezie.

Jebadiah Campbell był krępym, mocnym mężczyzną, który niejedno w życiu przeżył. Przez długie lata młodości był najemnikiem, potem pracował na własny rachunek, poszukiwał złóż minerałów, prowadził ciemne interesy, chodziły słuchy, że był kiedyś pustynnym bandytą. Lata przygód przyniosły mu pokaźny majątek, który zainwestował w kilka kopalń i fabryk w NRK. Pomimo upływu dziesięciu lat i uspokojenia trybu życia, nie sprawiał wcale gorszego wrażenia niż kiedy podróżował wraz z Jessem. Nadal wyglądał sprawnie i silnie, a jego rysy miały wyraz zwodniczej łagodności drzemiącego lwa. Jesse czuł się dość niepewnie w przedłużającym się oczekiwaniu aż pierdziel rozpocznie przemowę.

- Przyjaciele - zaczął Campbell tonem przywódcy partyjnego, ale coś w jego głosie kazało Jessemu powstrzymać się od kpin. - Wierzę, iż mogę tak was nazywać, gdyż wiele razem przeszliśmy. Znam was wszystkich od dawna, jednych dłużej, innych krócej, ale wszyscy odegraliście niebagatelną rolę w moim życiu i dlatego poprosiłem was byście pozostali po tym, jakże udanym przyjęciu. - Jessemu zdawało się, że wodniste oczy Starego patrzą cały czas na niego, ale pewnie wszyscy mieli podobne wrażenie.

- Miło mi, nie, jestem wprost szczęśliwy, że mogę was powitać ponownie, tym razem w intymniejszym gronie. - Dobrotliwy uśmiech rozlał mu się na twarzy. - Cieszę się, goszcząc tak znamienite osobistości jak pan sekretarz Jefferson, profesor Blauberg oraz lord paladyn Attianni wraz ze swym walecznym towarzyszem, rycerzem Sobolewskim. - Wymienieni kiwnęli oszczędnie głowami. - Nie mniej cieszy serce starego widok dawnych przyjaciół i kompanów: mojego

pustynnego kwiatu Nadji, dzielnego myśliwego Thonka, szlachetnego mutanta Oriona oraz mego drogiego przyjaciela Jessego Gomeza, którego sukces grzeje moje serce. - Jessemu nie podobała się ta dobrotliwość, stanowczo mu się nie podobała. - Na końcu chciałbym powitać pana Vincente Santino z Nowego Reno, z którym onegdaj łączyły mnie niezapomniane interesy.

- Cóż jest milszego od spotkania po latach? - Gangster rozciągnął wąskie wargi w kpiącym uśmiechu. On nie mówił, on warczał. Campbell skwitował to uprzejmym grymasem.

Oczy obecnych zwróciły się na jedyną osobę, której nie powitał jeszcze gospodarz.

- Najbardziej jednak, zechciejcie mi to wybaczyć, raduję się na widok mojej ukochanej córki marnotrawnej, z którą tak długo nie miałem kontaktu, mej pięknej Daphne. - Więc to była ta sześcioletnia smarkula, o której Stary opowiadał Jessemu przy ognisku po niebem Nevady! Marchewkowowłosa dziewczyna nie wydawała się zbytnio zachwycona perspektywą powrotu w ramiona stęsknionego ojca; szczerze mówiąc Jesse na próżno szukał w jej znudzonych, porcelanowych rysach podobieństwa do Campbella. Najwyraźniej podobna myśl przemknęła przez głowę Tony'emu, bo nachylił się i szepnął mu do ucha głupi komentarz. Tymczasem Stary ciągnął dalej.

- Wiedzcie moi kochani, że nie żywię do was urazy, jak niektórzy mogliby sądzić. Było, minęło, jak mawiają. - Więc nie on jeden miał coś na sumieniu względem Campbella! Wygląda na to, że staruszek urządził wieczorek pojednawczy, zapraszając ludzi, którzy go kiedyś przewalili. To by pasowało do tego pierdziela: wyciągnąć rękę w chwili gdy nikt się tego nie spodziewał. - By uczcić tak wyjątkowe spotkanie w dniu moich sześćdziesiątych urodzin - kontynuował gospodarz - przygotowałem coś specjalnego, niespodziankę. Wybaczcie mi na chwilę, kiedy udam się po nią do gabinetu. - Campbell skłonił się i sięgnął po tacę z kieliszkami, którą przygotował ghul. - Zanim to nastąpi, chciałbym byśmy wznieśli toast tym przednim winem, z którego dawno temu słynęła nasza kochana Kalifornia - wszyscy, nie wyłączając Oriona i Thonka, wzięli po kieliszku i unieśli do góry.

- Za przyjaźń - uśmiechnął się Stary.

Wznieśli toast, po czym gospodarz przeprosił raz jeszcze i wyszedł wraz ze służącym na korytarz. Jesse przetrawiał przemówienie Campbella, podczas gdy dudnienie w jego uszach narastało. W pewnym momencie stało się tak silne, że pochylił się, przyciskając rękę do skroni. Nagle przez monotonne łupanie przedarł się krótki, urwany wrzask.

Wszyscy w sali spojrzeli po sobie, po czym jak na bezgłośną komendę wybiegli na korytarz. Nie ulegało wątpliwości, że wrzask dobiegł z gabinetu Starego. Wpadli do niewielkiego pomieszczenia, omal się nie przewracając w wąskich drzwiach. Ciszę przerwał krótki okrzyk Daphne, która jako ostatnia weszła do gabinetu.

Campbell leżał na podłodze w kałuży krwi, wbijając martwe oczy w sufit. Przez całą szerokość jego gardła biegło zębate rozcięcie, które omal nie oddzieliło głowy od reszty ciała. Poza tym w gabinecie nie widać było śladów walki; nie było też nigdzie narzędzia zbrodni, a tym bardziej sprawcy. Ponury gangster Santino przecisnął się do przodu. Uklęknął przy zwłokach i przyłożył dwa place do tętnicy Starego.

- Toż przecież gołym okiem widać, że nie żyje - wymamrotał wstrząśniętym głosem profesor Blauberg.

Santino zignorował naukowca. Klęczał przez kilka sekund i dopiero potem odjął palce.

- Martwy w stu procentach - oznajmił obojętnie, wstając i otrzepując kolana. - Zawsze lepiej się upewnić, panie starszy.

Goście stłoczyli się wokół ciała swojego gospodarza.

- To miała być ta niespodzianka?

- Faktycznie, tego się nie spodziewałem.

- A to feler, westchnął seler.

Jakoś nikt nie wydawał się być szczególnie zasmucony nagłym zejściem gospodarza. Jesse zerknął na Daphne. Dziewczyna była zszokowana, ale niespecjalnie zrozpaczona śmiercią ojca. Musiało ich naprawdę niewiele łączyć. Młody biznesmen przeniósł wzrok na trupa. Spróbował wzbudzić w sobie współczucie, ale bez powodzenia. Cóż, gdyby miał mu kiedykolwiek współczuć to przede wszystkim nie byłby zrobił dziesięć lat temu tego, co omal nie doprowadziło do śmierci Starego.

Przyjrzał się śmiertelnej ranie. Coś w jej kształcie wydało mu się znajome, ale nie mógł skojarzyć co.

- Nikogo nie interesuje, kto to zrobił? - Zapytał podniesionym tonem by przekrzyczeć komentarze. Oczy wszystkich wpatrzyły się w niego. - Przecież wszyscy byliśmy w sali balowej - dodał.

- Tak? A gdzie się podział ten ghul-służący? - Zauważył przytomnie Sobolewski.

- Oczywiście! - Warknął wściekle lord paladyn. - Nie można ufać takiemu zmutowanemu ścierwu, a do tego jeszcze brać toto na służbę! - Oczy Attianniego spotkały się ze ślepiami Oriona. Oficer jakby trochę stracił rezon.

- To…znaczy, te cholerne ghule, IM nie można ufać…! Żyją, cuchnące dranie, jeszcze od Wojny… Kto wie co może się przez te 170 lat uląc w tych ich chorych mózgach.

- Rad jestem - zahuczał uprzejmie super-mutant - że przedkłada pan mutacje wywołane w sposób sztuczny, przez wirus FEV, nad naturalne mutacje spowodowane przez radioaktywny opad podczas Wojny, sir. To niewątpliwie istotny krok w ewolucji stosunków dyplomatycznych między Bractwem Stali a super-mutantami, od czasu gdy pański dziad i ojciec ścigali mój lud przez pustkowia Kolorado.

- Zapewne nie miało to nic wspólnego z pewnym zmutowanym świrem, który dziewięćdziesiąt lat temu zamierzał utopić resztki ludzkości w wirusie FEV i panować nad światem pełnych takich jak wy? - Wtrącił złośliwie Jesse.

- Dość! - Uciął ostro Attianni, zanim Orion zdążył odpowiedzieć. - Stosunki polityczne obgadamy sobie następnym razem przy herbatce, teraz mamy tu morderstwo, które trzeba wyjaśnić!

- Czy aby na pewno nas obchodzi kto… pożegnał od nas pana Campbella? - Zapytał delikatnie Jefferson. - Z przemowy naszego nieodżałowanej pamięci gospodarza wysnułem wniosek, że nie byli mu państwo bliżsi niż ja.

Lord paladyn urósł na kilka centymetrów.

- To morderstwo popełnione w Nowej Republice Kaliforni! - Zagrzmiał z godnością. - Do mojego obowiązku jako prominentnego przedstawiciela Bractwa w NRK należy wykrycie i ukaranie sprawcy!

- Wydawało mi się, że generał Maxson zrzekł się swego czasu jakichkolwiek ingerencji Bractwa w politykę i sprawy wewnętrzne Republiki - głos Jeffersona mógłby zmrozić sorbet.- Co prawda, to prawda - bąknął Sobolewski i skulił się pod spojrzeniem swojego dowódcy.

- W co ingeruje Bractwo… - zaczął Attianni surowo.

- Na Boga, poszukajmy tego gnijącego śmiecia kamerdynera - przerwała mu znudzonym głosem Nadja. - Jestem ciekawa dlaczego rozwalił starego pierdziela.

Miała osobliwie zmysłowy, szorstki głos, zachrypnięty przez lata życia na pustyni. A może to przez tę szeroką bliznę z prawej strony jej szyi...

- Może mi nie wierzycie, ale ja naprawdę chcę się dowiedzieć kto i dlaczego zabił mojego ojca - rzekła cicho Daphne.

Przez moment panowało milczenie. Przerwał je suchy baryton Santino:

- Doskonale. Dowiedzmy się więc. Musimy przeszukać całe piętro i parter, nie mógł uciec z domu. Ruszajmy dupy.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś wybierał cię na dowódcę - postawiła się zadziornie bandytka.

Santino spróbował wypalić jej mózg wzrokiem. Najwyraźniej odniósł pewne sukcesy, bo Nadja cofnęła się gwałtownie, uderzając plecami o ścianę.

- Dziewczyna ma rację! - Zarządził Attianni głosem ostrym jak katana. - Jako lord paladyn Bractwa Stali przejmuję dowództwo. Są sprzeciwy?

Ostentacyjnym gestem położył palce na spuście miniguna. Stojący za nim Sobolewski zdjął z pleców strzelbę laserową. Sprzeciwów nie było.

- No i świetnie - oficer podciągnął w uśmiechu stalowosiwe wąsy, odsłaniając żółte zębiszcza.

- Wy też słyszycie to dudnienie? - Zaryzykował Jesse.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

- Chyba dochodzi z parteru - stwierdził niepewnie Blauberg.
- Powinniśmy się więc rozdzielić i spenetrować jednocześnie piętro i parter.
- Dobrze myślicie, kruczowłosy! - Zagrzmiał Attianni. - Jak wam tam było na nazwisko?
- Jesse Gomez, sir - Jesse nie oczekiwał, że lord paladyn wydestyluje sarkazm z jego głosu. Oficer nie sprawił mu zawodu.
- Doskonale! Se?or Gomez, weźmiecie… pana… Jeffersona i zbadacie prawe skrzydło; Santino i Blauberg zajmą się prawym… - Spojrzał na gangstera jakby spodziewał się sprzeciwu, ale ten tylko obdarzył go pogardliwym uśmiechem.
- Dobrze… My dwaj i panna Campbell zejdziemy na parter z prawej strony, Orion - wy weźmiecie Nadję i dzikusa i zrobicie to samo od lewego skrzydła. Jakieś pytania?
- Mogę dostać jakąś broń? - Skorzystał z propozycji Tony Jefferson.
- Prędzej byście siebie zastrzelili - odrzekł z obraźliwą uprzejmością Attianni. - Se?or Gomez ma broń i chyba potrafi się nią posługiwać, hm?
Jesse miał już dość protekcjonalności oficera.
- Strzelam równie dobrze co pan, sir, a może i lepiej. W Nevadzie skasowałem kilka tuzinów takich jak ten tu - spojrzał na Oriona.
Super-mutant nie zareagował na zaczepkę.
- I proszę nie zwracać się do mnie per se?or. Jestem Amerykaninem.
- Jak my wszyscy - zakpił Blauberg i do Jessego dotarł bezsens własnych słów.
- Może powinniśmy zsynchronizować zegarki czy coś… - zapytała nieśmiało Daphne.
Jesse rzucił okiem na tarczę swojego olexa. Wskazówki były na godzinie dwunastej i nie ruszały się. Rzucił niewymyślne przekleństwo pod adresem przedwojennego szmelcu. Jednak nie on jeden miał problemy. Daphne, Blauberg, Attianni i Sobolewski patrzyli z konsternacją na puste tarcze swoich zegarków i pukali w nie ze złością. Żaden chronometr nie działał.
- Uuuu… - Gangster nie miał zegarka albo nie przejmował się utratą poczucia czasu.
- Cóż - nie tracił rezonu Sobolewski - zegarki zegarkami, a najistotniejszy jest i tak celny argument w pewnej dłoni. Nie ma co się przejmować. - Twarze pozostałych mówiły mu, że mają na temat nieco odmienne zdanie.
- A więc - zakomenderował niegramatycznie Attianni - ruszajmy. Jak ktoś dorwie ghula, niech wystrzeli w sufit czy coś w tym stylu.
- Nie podniecaj się tak, paisan - mruknął Santino, poza tym rozkaz przyjęto w milczeniu.
Grupy Attianniego i Oriona wyruszyły jako pierwsze. Jesse obserwował je, dopóki nie dotarły do odległych schodów po obu stronach piętra, po czym zdjął z ramienia shotgun i ruszył korytarzem w prawo, zamierzając sprawdzić każde pomieszczenie na trasie. Jefferson podreptał za nim, Santino i Blauberg skierowali się w przeciwną stronę.
- Sądzisz, że to ten służący? - Wysapał tłusty sekretarz, gdy sprawdzali kolejny z rzędu pokój gościnny.
- A kto inny? - Mruknął Jesse zaglądając profilaktycznie pod łóżko.
- Bo ja wiem? Może ktoś się włamał?
- W taką burzę? Musiałbyś zeżreć więcej RadX-ów niż ważysz, a do tego mieć ze sobą armię do sforsowania drzwi. - Jesse przyjrzał się podejrzliwie kredensowi. - Tu nawet okna są jak fortece. Czysto - zarządził.
Wyszli na korytarz. Drzwi zasunęły się za nimi z sykiem. Sprawdzili już ponad połowę prawego skrzydła i zbliżali się do schodów. Wtedy zgasło światło. Stali przez chwilę w ciemności.
- Siadł generator? - Powiedział niepewnie Jesse.
- To dlaczego w sali i w gabinecie się pali?
Jesse odwrócił się. Pośrodku korytarza ciemność rozpraszały dwa prostokąty światła z otwartych drzwi.
- Pewnie mają osobne zasilanie - teraz, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do zmiany oświetlenia, okazało się, że korytarz pogrążony był w półmroku, w którym mógł swobodnie dostrzec kształty przedmiotów, a nawet szarą plamę schodów na końcu piętra.
- W gabinecie widziałem latarki - powiedział. - Skoczę po nie, ty tu poczekaj.
- Sam i bez broni?! - Pisnął Jefferson.

- Nic ci nie grozi, Tony. Sprawdziliśmy całe piętro od gabinetu do tego miejsca. Nikt się tam nie mógł ukryć. A jak teraz razem pójdziemy do gabinetu, to będziemy musieli przeszukiwać wszystko od początku, hm? Jak coś zobaczysz przed sobą to krzycz. Szybko biegam.

- Ja też - wymamrotał przestraszony Jefferson.

Jesse klepnął go po ramieniu i ruszył szybkim krokiem w stronę plamy jasności. Przelotnie pomyślał, że monotonne dudnienie znalazło sobie wygodną niszę w mózgu, gdzie tkwiło, nie zwracając na siebie uwagi. Wszedł do gabinetu i zamiast: "O, są latarki", pomyślał: "Gdzie do ciężkiej cholery jest ciało?!".

Na środku gabinetu czerwieniła się krwawa plama, poza tym nie było śladu po martwym gospodarzu. Nie było również czerwonych tropów, świadczących o tym, że ktoś ciągnął gdzieś ciało. Jebadiah H. Campbell, poszukiwacz przygód w stanie wiecznego spoczynku, po prostu zniknął. Jesse gapił się na pustą podłogę, a myśli galopowały przez jego głowę z prędkością stada braminów ściganych przez szalonego rzeźnika. Nie ma ciała, gdzie jest, ghul je walnął, gdzie je zabrał, przecież sprawdziliśmy piętro, był po drugiej stronie, albo Campbell żyje i to była gigantyczna ściema, nie, przecież Santino sprawdzał, Santino jest w nim w zmowie, ale po co, może faktycznie ghul wrócił po ciało i zabrał je jakimś tajnym przejściem, a może to wcale nie ghul go zabił, może nikt go nie zabił, gdzie do diabła są te cholerne zwłoki…

Zgarnął machinalnie cztery latarki z półki. Ktokolwiek zabrał ciało musi jeszcze być w tym domu. Jeżeli będą kontynuować poszukiwania to MUSZĄ coś znaleźć. Cholera, nie powinien był zostawiać Tony'ego samego. Wyszedł z gabinetu.

Spojrzał w głąb korytarza, zaklął i płynnym ruchem ściągnął shotguna z ramienia. Oczy przyzwyczaiły się do półmroku na tyle, że w miejscu, w którym zostawił Jeffersona bez trudu dostrzegł zarys grubego ciała leżącego nieruchomo na podłodze i olbrzymi kształt podnoszący się znad niego. Wielka, barczysta, ciemna, nie do pomylenia z niczym innym sylwetka super-mutanta.

Jesse krzyknął wściekle i wywalił serię w stronę mrocznej sylwetki. Trzy wystrzały przedarły się ostrym trzaskiem przez rytmiczne dudnienie, ale pociski chybiły celu. Zanim Jesse zdążył zarepetować broń, super-mutant rzucił się w jego stronę i zniknął nagle w jednym z ciemnych pomieszczeń. Młody przemysłowiec skoczył za nim w mrok, co mogło okazać się jego ostatnim pościgiem w życiu, gdyby przeciwnik zaczaił się przy wejściu. Pokój jednak był pusty.

- Kurwa!! - W jednym okrzyku Jesse zawarł całą swoją wściekłość, przerażenie, zagubienie, frustrację i wyczerpanie. Wyciągnął latarkę z kieszeni, snop białego światła przeczesał niewielkie pomieszczenie, załamując się w ciekaw sposób na emalii pisuarów i muszli klozetowych. Jeżeli tajne przejście istniało w kiblu, to dom musiał być nimi pocięty jak kopiec termitów. Wyszedł na korytarz klnąc pod nosem i oświetlił leżące ciało.

Twarz Tony'ego Jeffersona była nierozpoznawalną maską stopionego mięsa, tłuszczu i kości. Plamy cuchnącej spalenizną mazi, która kiedyś była jego mięśniami twarzy, widniały na tunice i podłodze wokół. Poza tym nie było innych uszkodzeń czy ran. Tony oberwał plazmą i to z bliskiej odległości.

Za plecami Jesse usłyszał ciche sapnięcie. Odwrócił się na pięcie, atakując światłem latarki jak szablą. Biało-fioletowa halogenówka wyłowiła z mroku młodą, skąpo ubraną, ostrzyżoną na jeża kobietę. Dziewczyna zmrużyła oczy oślepiona silnym światłem. Jesse skoczył ku niej i cisnął nią o ścianę, wydobywając ciche piśnięcie ze zduszonych płuc intruzki.

- Coś za jedna - głos wydostał się ze ściśniętego gardła jak warkot motocykla.

Dziewczyna była przerażona widokiem zwłok i, zapewne, wyrazem jego twarzy. Jesse rozluźnił się trochę, ale za to wycelował shotguna w wątrobę nieznajomej. Jefferson nie był jego przyjacielem, ale w tej chwili gotów był rozwalić kobietę, gdyby miał choć cień podejrzenia, że miała coś wspólnego z jego śmiercią.

- Kim jesteś? - Powtórzył łagodniej, z prawie ludzką intonacją.

- N-nazywam się… Melody… - dziewczyna nie spuszczała wzroku z wylotu lufy.

- Doskonale, Melody. Co tu robisz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć z lewej strony dobiegł ich tupot czterech stóp. Jesse pchnął młodą kobietę na podłogę obok trupa i skierował snop światła w stronę hałasu. Z półmroku wyłonili się

Santino i Blauberg; Włoch trzymał w rękach wysłużonego tommy guna.

- To on - wrzasnęła dziewczyna. - To on zabił tego człowieka, widziałam jak podnosił się znad zwłok! - Melody wyciągnęła drżący palec w stronę nadbiegających.

Obaj stanęli osłupiali. Jesse zorientował się, że kobieta celuje smukłym palcem w Blauberga.

- Kto kogo zabił? - Warknął Santino. - I skąd wytrzasnąłeś tę laskę?

Jesse bez słowa rzucił mu jedną z latarek. Przybysz z Nowego Reno oświetlił resztki Jeffersona i gwizdnął przeciągle. Następnie przyjrzał się Melody i zmrużył ślepia.

- Ta suczka była na imprezie. Jako hostessa.

Młody biznesmen przyjrzał się dziewczynie. Nie był tego pewien, ale wierzył gangsterowi, który przez całe przyjęcie stał pod ścianą i obserwował wszystkich swoimi strasznymi oczami.

- Więc kto niby zabił polityka? - Włoch wypowiedział ostatnie słowo jak obelgę.

- Ten ubrany na biało - Melody zdążyła się już opanować i spoglądała na mężczyzn tak pewnie jakby to ona była uzbrojona po zęby.

Blauberg popatrzył na nią ze szczerym zdumieniem, a Santino parsknął.

- Profesorek był cały czas ze mną; ręczę za niego swoją fedorą. Wykombinuj coś lepszego, siostro. Tak w ogóle, to dlaczego zostałaś po balandze?

- Nie mam ochoty się powtarzać, więc może od razu wytłumaczę to waszym przyjaciołom - dziewczyna wskazała głową coś za ich plecami.

Odwrócili się. Od strony schodów zbliżała się szybko plama światła, w której prędko rozpoznali pozostałych gości. Attianni i Sobolewski trzymali w rękach wojskowe flary, Orion miał na wielkim łbie coś w rodzaju lampy górniczej. Cała gromadka stłoczyła się nad zwłokami.

- Co tu się stało? - Lord paladyn nie dał nikomu zapomnieć, kto tu dowodzi.

Jesse zrelacjonował krótko wydarzenia, kończąc na oskarżeniu Blauberga przez Melody.

- To niemożliwe - dodał. - Jestem pewien, że widziałem super-mutanta nad ciałem. Uciekł drań, gdzieś tu musi być tajne przejście i to niejedno. - Jesse wślepiał się z nienawiścią w Oriona.

- Nie jestem jedynym super-mutantem w Kalifornii, jak niektórzy pewnie by chcieli - odrzekł spokojnie gigant. - Biorąc pod uwagę pańskie znalezisko - zwrócił łeb w stronę Melody - można przypuszczać, że w rezydencji jest więcej nieproszonych gości.

- Tony zginął od plazmy - młody przemysłowiec wskazał oskarżycielsko karabin plazmowy, który mutant ściskał w pokrytych brodawkami łapskach.

Orion uśmiechnął się łagodnie.

- Panie Gomez, strzał z tej broni stopiłby nie tylko twarz nieodżałowanego pana Jeffersona, ale również jego czaszkę, mózg i ścianę za nim. Pan Jefferson został zabity z pistoletu plazmowego, inaczej nie byłby w tak znakomitym stanie. Jesse zauważył kątem oka, że Santino szuka czegoś pod płaszczem.

- Poza tym - kontynuował niespiesznie olbrzym - mam równie dobre alibi co profesor Blauberg, a nawet lepsze, gdyż mogą za mnie poświadczyć dwie osoby.

- Wielki Orion był cały czas z Thonkiem. - Rozległ się obcy głos. Obecni rozejrzeli się i dopiero po kilku sekundach uświadomili sobie, że to odezwał się dzikus, po raz pierwszy tego wieczoru.

Nadja skinęła tylko głową.

- Cholera - zaklął cicho gangster. Odwzajemnił pytające spojrzenie dziewięciu par oczu. - Miałem pistolet plazmowy, ale musiał mi wypaść - pokazał pustą kaburę na biodrze.

- To ty tak twierdzisz - Nadja położyła dłoń na srebrnej kolbie swojego desert eagle'a.

- Mogę zapewnić, że pan Santino był przez cały czas ze mną, tak jak i ja z nim. - Zwrócił się do wszystkich Blauberg. - Podważanie prawdziwości naszych słów sugerowałoby spisek między nami, co jest założeniem absurdalnym.

- Racja - przytaknął Włoch. - Pierwszy raz w życiu widzę profesorka na oczy, jak i was wszystkich. Przykro mi to mówić, ale najbardziej podejrzany jesteś ty, Gomez. Byłeś z nim sam na sam, mogłeś mi wcześniej zwinąć giwerę, no i jak udowodnisz, że nie jesteś w zmowie z tą laską? - Płonące węgielki przewiercały Melody na wylot.

- Bzdura! - Warknął osaczony Jesse. - Tony Jefferson był moim bliskim znajomym; gdybym chciał go załatwić, zleciłbym to dawno temu takim jak ty, Santino. - Oparł się o ścianę i opuścił

zmęczone powieki. - Znajdźmy najlepiej tego przeklętego ghula i wyduśmy z niego dlaczego zabił tych ludzi i co zrobił z ciałem Campbella.

- Eee… wiesz, Gomez, nie sądzę, żeby to był służący - odparł Sobolewski.

Jesse otworzył oczy.

- Jak to?

- Znaleźliśmy ghula.

Jessemu bardzo nie podobał się ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa.

Wielki salon był jedynym oświetlonym pomieszczeniem na parterze. Na skromne umeblowanie składało się kilka metalowych kanap i stołów, poza tym pod ścianami ciągnęły się regały z holodyskami i antycznymi książkami. Ścianę naprzeciw drzwi zdobił sztuczny kominek, grawerowany w fantazyjne wzory. Teraz jednak uwaga zebranych koncentrowała się na podłodze przed kominkiem. Część dywanu była zrolowana, odsłaniając wejście do czegoś w rodzaju ciemnej piwnicy, choć Jessemu kojarzyła się bardziej z katakumbami. Klapa była otwarta i odsunięta na bok. Na niej leżało zielono-różowe, pomarszczone ciało ghula kamerdynera. Leżał na plecach, a w zmutowane serce miał wbitą metalową nogę od krzesła. Dudnienie było tu wyraźnie głośniejsze i nikt nie miał wątpliwości, że dochodziło z katakumb… piwnicy, czy czego tam.

Melody nachyliła się nad martwym ghulem i zdarła mu z ucha pozłacany kolczyk. W drodze na dół opowiedziała swoją historię. Nie musiała to być wcale prawda, tym niemniej brzmiało wiarygodnie. Dziewczyna była zawodową złodziejką. Zatrudniła się jako hostessa na przyjęciu u Campbella, a kiedy całą służbę odwieziono do L.A., ona zaszyła się w jednym z pokoi, mając nadzieję obrabować starca. Właśnie wyruszała na łowy, kiedy - jak twierdziła - stała się świadkiem morderstwa Jeffersona. Jesse był pewien tego co widział i uważał, że relacja złodziejki była następstwem szoku, tym niemniej obserwował uważnie Blauberga.

- Sądzicie, że… to co zabiło wszystkich trzech… ten, kto to zrobił… że to wyszło stamtąd? - Daphne wypowiedziała drżącym głosem myśli wszystkich.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Sobolewski stojąc na krawędzi włazu i próbując dostrzec coś w dole. - Na pewno tu jest głośniejsze.

- Co jest głośniejsze? - Zainteresowała się Melody.

- Dudnienie… - Mruknął Jesse, również starając się przebić wzrokiem ciemność szybu.

Złodziejka spojrzała na niego dziwnie, otworzyła usta i powiedziała zalęknionym męskim głosem:

- To podziemny schron, wybudowany tuż po Wojnie z metalowych odpadów i innych śmieci.

Dziewięć par oczu wlepiło się w nią ze zdumieniem, a ona sama obejrzała się za siebie.

Z za pleców kobiety wyszedł chudy, myszowaty chłopak, o którym Jesse zdążył na śmierć zapomnieć.

- Pan Campbell mi opowiadał - dodał tonem wyjaśnienia.

- Czekaj no! - Attianni przyskoczył i złapał przerażonego chłopaka za kołnierz. - Jesteś służącym Starego! Pamiętam cię z przyjęcia - wylałeś mi whisky na pancerz - wskazał oskarżycielskim gestem niewidoczną plamę na napierśniku. - To pewnie ty zabiłeś pierdziela i jego kamerdynera, co?! Chciałeś zwiać z jego forsą, przyznaj się gnojku!! - Oficer potrząsnął młodym służącym jak królikiem.

- Nienienienienienien… - Wybełkotał chłopak.

- Może dzieciak nam coś powie, jeżeli postawi go pan na ziemi, sir - zwrócił się łagodnie do przełożonego Sobolewski.

Lord paladyn zerknął na niego groźnie, ale wypuścił myszowatego służącego. Chłopak klapnął na ziemi i przyglądał się ze strachem nielitościwym twarzom.

- Nienie b-byłem s-stałym s-służacym p-pana C-campbella - wyjąkał. - Z-zatrudnił mnie dopiero dziś w-wieczór, z uwagi na starą z-znajomość z moim ojcem. Nazywam się S-stephen McNee i p-przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z tymi m-morderstwami.

- To gdzie byłeś przez cały ten czas? - McNee skulił się pod spokojnym głosem Santino.

- Tuż za wami - wyszeptał. - Po prostu nie zwracaliście na mnie uwagi…

Obecni spojrzeli po sobie. Fakt, wszyscy byli tak wybitnymi indywidualnościami, przekonanymi o swojej racji i zajętymi kłótnią z innymi, równie pewnymi swego, że świadomość istnienia

nieśmiałego, niepozornego chłopaczka nie miała szans do nich dotrzeć.

- Chryste, ten szczeniak nie byłby w stanie zabić nawet nudy, zejdź z niego, Attianni - mruknęła Nadja.

Oficer spojrzał na bandytkę ze wściekłością, ale nim zdążył coś powiedzieć zachrypiał Blauberg:

- Dlaczego Campbell opowiedział ci o tym… schronie?

- Pan Campbell oprowadził mnie po całym domu - odparł Steve. - Powiedział, że będę dla niego pracować, mimo tego co był kiedyś między nim a moim staruszkiem, więc chciał mi wszystko pokazać. Teraz to już nieistotne - dodał ze smutkiem.

- My zdecydujemy co jest istotne - rzekł naukowiec. - Co dokładnie wiesz o tych piwnicach?

Niedoszły służący wzruszył chudymi ramionami.

- Pan Campbell powiedział, że te katakumby były tu zanim wybudował swoją posiadłość. To podobno czyjaś kryjówka, wyryta i umocniona śmieciami niedługo po Wojnie. Nie mówił po co mu to piwnica. Może trzymał tam kosztowności czy pieniądze…

- Seeerio…? - Melody wbiła wzrok w ciemną czeluść.

- Albo suszoną kukurydzę - zakpił Santino.

- Demony. - Oświadczył Thonk. - Campbell zadawał się z duchami i uwięził je w tej dziurze.

Thonk widział ducha nad ghulem-śmierdzielem, kiedy tu wszedł - skinął głową, aż zadźwięczały kościane ozdoby. Blauberg parsknął nieprzyjemnym śmiechem, a Attianni zmarszczył krzaczaste brwi.

- Nie gadaj głupot, tępy dzikusie. Cokolwiek czy ktokolwiek jest odpowiedzialny za tę jatkę, jest draniem z krwi i kości i zdechnie jak drań z krwi i kości - odbezpieczył miniguna.

- Metalowy generał nie widzi demonów, bo jest ślepcem - odparował bez gniewu barbarzyńca. - Ale Thonk widział. I one widziały jego - po potężnych ramionach dzikusa przebiegł ledwie dostrzegalny dreszcz.

- Coś tam musi być - Orion wsłuchiwał się w dudnienie. - W każdym razie jakaś maszyna. Generator czy coś innego.

- I super-mutanty, które wszystkich zabiły - w głosie Jessego nie było cienia wątpliwości.

- To możliwe - zgodził się olbrzym. - Jest duże prawdopodobieństwo, że ten kto popełnia te zbrodnie ukrywa się na dole. Może zechce pan to sprawdzić? - Jajka sadzone przybrały kpiący wyraz.

- Tak, sprawdźmy to - Daphne wpatrywała się jak zahipnotyzowana w mroczny szyb. W jej głosie pobrzmiewało podekscytowanie i strach. - Muszę wiedzieć co to za dźwięk. Stanęła na krawędzi włazu.

- Proszę tam nie wchodzić - ostrzegł ją Attianni. - To niebezpieczne, a pani nie ma przeszkolenia.

- Więc chodźcie ze mną - odrzekła i zwinnie jak żmija wsunęła się do szybu.

- Cholera jasna! - Zgrzytnął zębami lord paladyn. - Sobolewski, Gomez - za mną! Santino, obejmujecie dowództwo na powierzchni. Zrozumiano?

- Si, signore - wyszczerzył się szyderczo gangster - to dla mnie wielki honor, że mnie pan raczył wybrać, sir.

Oficerowie zsunęli się pierwsi, dopiero za nimi poszedł Jesse. Szyb był płytszy niż się spodziewał, toteż nieoczekiwane spotkanie stóp z podłogą zaowocowało gwałtowną rezonacją kręgosłupa. Stękając z bólu pokuśtykał za znikającymi za zakrętem opancerzonymi postaciami. Krótki korytarz kończył się rozwidleniem, po Daphne nie było ani śladu. Attianni klnąc jak szewc ruszył lewą odnogą, Sobolewski podążył za nim. Jesse chcąc, nie chcąc musiał pójść samotnie prawym korytarzem.

Dudnienie było tutaj znacznie głośniejsze niż na górze, Jesse ledwie słyszał własne myśli. Każde nawoływanie rozpływało się o kilka kroków przed nim w monotonnym hałasie, więc przestał zdzierać gardło. Krążek oślepiająco jasnego światła latarki wyławiał z ciemności fakturę ścian. Były zbudowane z przeróżnych śmieci, skrawków metalu, resztek maszyn, rur, plastikowego szmelcu; wszystko to sprasowane pod własnym ciężarem. Słowem, typowe tuż powojenne

budownictwo.

Katakumby okazały się prawdziwym labiryntem; już po drugim rozwidleniu Jesse wyjął zapalniczkę i zaczął osmalać rogi ścian na skrzyżowaniach. Miał nadzieję, że oficerowie Bractwa Stali wpadli na podobny pomysł. Daphne nie mogła się bardzo oddalić, ale głupia dziewczyna, w amoku odnalezienia źródła tajemniczego dudnienia, miała kilka okazji, żeby skręcić w inny korytarz niż Jesse i - prawdopodobnie - którąś z nich wykorzystała. Podziemia wydawały się opuszczać w dół, młody biznesmen nie miał pojęcia czy zbliża się do źródła hałasu czy też oddala: odbijane wielokrotnym echem dudnienie zdawało się dochodzić zewsząd. Kilkakrotnie podręczne światło ujawniało potężne cienie, wyglądające jakby należały do super-mutantów, ale Jesse nie był pewien czy wyobraźnia nie wycina mu numerów. To, że wpadł na Daphne, było dziełem przypadku. W mrocznym, hałaśliwym labiryncie mogli błądzić obok siebie do następnej Wojny. Zamiast tego, na którymś kolei skrzyżowaniu, nadepnął jej na nogę, wywołując nieoczekiwany pisk bólu i strachu, towarzyszący wściekłemu kopnięciu, wymierzonemu tam gdzie mężczyzna z reguły ma wrażliwe miejsce, a on akurat miał kolbę shotguna. Oświetlił jej twarz latarką. Dziewczyna była potargana i brudna, w marchewkowych włosach miała pajęczyny. Już nie wydawała się taka chętna do penetracji tajemniczych katakumb. Jesse westchnął i pomógł jej wstać.

- Co teraz? - Zadała pytanie najpewniejszym głosem, jakim dysponowała. - Poszukamy źródła tego dudnienia? - Zapytała tonem, który mówił: "wyprowadź mnie z tych cholernych lochów i pozwól mi wziąć prysznic!"

Jesse ulitował się nad nią.

- Nie. Wyprowadzę cię teraz na górę, modląc się, żeby te dwa trepy z Bractwa też się nie zgubiły.

Dziewczyna kiwnęła głową i wzięła od niego latarkę. Wracali po śladach nadpalonych przez Jessego, omiatając jasnym światłem boczne odnogi korytarzy. Byli już niedaleko wyjścia, gdy w jednym z nich Jessemu mignęła twarz Attianniego. Krzyknął do niego, ale oficer nie usłyszał go wśród wszechobecnego dudnienia. Zaklął pod nosem, wyrwał Daphne latarkę i podążył szybkim krokiem wąskim korytarzem. Tak, to na pewno Attianni. Ale dlaczego, do diabła, nie zwraca uwagi na światło latarki? Oślepł czy jak? Zbliżył się do oficera i stanął jak wryty.

To była rzeczywiście twarz lorda paladyna. Tyle, że pod tą twarzą nie znajdowała się reszta ciała. Odcięta głowa Attianniego była nabita na wystający ze ściany i zagięty do góry pręt. Na twardym obliczu żołnierza zastygł wyraz przerażenia, przekrwione, zszokowane oczy były wywalone białkami do góry jak w tanim horrorze, a rozwarte usta i podbródek czerwieniły się od szybko krzepnącej krwi.

Jesse usłyszał za sobą dziewczęcy okrzyk przerażenia. Daphne przylgnęła do niego, gapiąc się w szoku na martwą głowę oficera. Odwrócił ją od makabrycznego widoku i ruszył szybko z powrotem, ciągnąc pannę za sobą. Teraz był pewien, że tajemnicze cienie nie były wytworem jego wyobraźni. Miał ochotę jak najszybciej wyleźć z tej piwnicy. W ekspresowym tempie dotarł do drabinki i wepchnął po niej Daphne, prosto w ręce czekających na górze towarzyszy. Sam wdrapał się zaraz po niej.

- Znaleźliście coś? - Zapytał z ciekawością Blauberg.

- Tak - odwarknął - łeb Attianniego nadziany na wystający ze ściany pręt. - Popatrzył po minach stłoczonych dookoła włazu ludzi. - To nie żart, do cholery! Dajcie mi wyleźć z tego włazu, zanim to co odcięło mu głowę zabierze się za mój tyłek!

Poczuł się znacznie bezpieczniej, kiedy stanął na górze.

- Sobolewski nie wrócił?

- A widzisz go tu gdzieś?

- Szlag by go trafił… trzeba będzie po niego wrócić.

- Zuch. Brawo.

- Idziesz ze mną cwaniaku.

- A takiego. Ja mam podobno dowodzić akcją na powierzchni. Weź mutka.

- Nie ufam mu za cholerę!

- To zabolało.

- Dobra, ja pójdę. Pod warunkiem, że Orion będzie z nami. Przy jego wielkiej spluwie czuję

się bezpieczna.

- Romantyczka…

- Palant.

- Może byście tak ruszyli tyłki, dopóki jest jeszcze co ratować?

Jesse, Orion i Nadja zeszli do katakumb. Wybrali korytarz, którym posuwali się wcześniej obaj oficerowie. Super-mutant szedł pierwszy, oświetlając korytarz przed sobą swoją lampą górniczą. W wielkich łapskach trzymał karabin plazmowy, gotowy zmieszać z błotem, i to dosłownie, każdego nierozważnego potwora, jaki mógłby na nich wyskoczyć z przodu. Jesse posuwał się drugi, znacząc co jakiś czas ścianę zapalniczką. Pochód zamykała Nadja, grożąc tajemniczej ciemności trzymanym w wyprężonej ręce kalibrem .44. Pantera - tak się nazywał wielki czarny kot, z którym kojarzyła się Jessemu bandytka. Czujna, spięta, gotowa do ataku. Piękna czarna pantera.

- Na co się gapisz?

- Och, po prostu ubezpieczam tyły… - zerknął krzywo przed siebie - przody wyglądają na wystarczająco zabezpieczone. Wiesz, że do twarzy ci z tą giwerą?

- Wiem. A tobie byłoby do twarzy z małą dziurką między oczami.

- Doprawdy, nie sądzę…

- Cicho! - Zatrzymała się nagle, łowiąc wyczulonym pustynnym słuchem jakieś, niesłyszalne dla niego, odgłosy. Dziwił się, jak może usłyszeć cokolwiek w tym hałasie. - Coś jest w tym korytarzu - wskazała palcem ciemną alejkę. - Duże, głośne, niezgrabne - uśmiechnęła się złośliwie - żołnierz Bractwa Stali.

- Skoro tak twierdzisz… - gigantyczny super-mutant ruszył flegmatycznie wąskim korytarzykiem. Silna lampa na jego głowie oświetlała bez problemu walące się ściany, niski sufit i celującego do nich Sobolewskiego.

- Tak myślałem, że ktoś mnie uratuje - rycerz opuścił strzelbę. - Trochę się tu pogubiłem.

- Attianni… - zaczął Orion

- Wiem.

Jesse przyjrzał się ciekawie Sobolewskiemu. Wiedział z doświadczenia, że żołnierz po śmierci dowódcy zachowuje się dwojako. Albo uważał dotychczas przełożonego za Boga i widok jego zwłok wstrząsa całym jego światopoglądem, prowadząc w prostej linii do szoku i otępienia, albo przez całe życie traktował go jako upierdliwego sukinsyna, który miał to szczęście, że był nad nim kapkę wyżej w hierarchii; wtedy śmierć dowódcy przyjmowana jest wzruszeniem ramion, a czasem nawet ze skrytą ulgą.

- Nie myślałem, że drania w końcu coś dopadnie.

Sobolewski należał do drugiej grupy.

- Obejrzymy tę głowę? - Zapytała z nadzieją Nadja.

- Nie jesteśmy tu na zwiedzaniu - zaprotestował stanowczo Jesse. - Bierzemy co trzeba w troki, wynosimy się stąd i nigdy nie wracamy. - Zignorował zawiedzione spojrzenie bandytki. - Oczywiście, o ile nas coś po drodze nie wykończy.

Nic ich nie wykończyło. Za to na górze odkryli brak Santino i Daphne.

- Poszli do kuchni, po baterie do latarek - Melody pomagała im wyjść z szybu - te, które były w twoich, ciągnęły ostatnią parą.

- My zostaliśmy, żeby nikt was nie zatrzasnął na dole. - Wyjaśnił profesor Blauberg.

Jessemu przebiegł dreszcz po ramionach, kiedy wyobraził sobie, jak wspina się drabinką i zastaje zamkniętą klapę. Lampa Oriona zamigotała i zgasła.

- Czy te baterie są uniwersalne? - Zagrzmiał z ciemności szybu.

- Poczekamy, zobaczymy.

Czekali dziesięć minut.

- Coś długo - zauważył niespokojnie Blauberg.

- Powinieneś był pójść tam z nimi - Melody zwróciła uwagę Steve'owi McNee.

- Przecież opisałem im dokładnie drogę, poza tym to niedaleko. Coś im się musiało stać - odparł służący.

- Trzeba ich poszukać - Jesse miał dość szukania kogokolwiek.

Ruszyli korytarzem, tnąc zasłonę mroku światłem jedynej ocalałej latarki. Skręcili w jedną

przecznicę, potem w drugą, aż w końcu biało-fioletowy blask ogarnął dwie skulone na podłodze postaci. Santino leżał na plecach, przód płaszcza i marynarki miał poszarpany i skrwawiony. Po przeciwnej stronie korytarza przycupnęła Daphne. Skomlała cicho, tuląc się do ściany. Blauberg przykucnął przy gangsterze, Nadja objęła ramieniem dziewczynę, bezskutecznie starając się ja uspokoić.

- Żyje - oświadczył profesor.

- Pewnie, że żyję - Santino podniósł się ze stęknięciem. - Ale straciłem diabelnie dobrą marynarkę.

- Co cię zahaczyło? - Pytanie padło z wysokości prawie ośmiu stóp, co ułatwiało rozpoznanie ukrytego w ciemności autora.

- Żebym to ja wiedział. Znaleźliśmy w kuchni przeklęte baterie i właśnie wracaliśmy, kiedy coś… wielkiego przemknęło przez korytarz i ciachnęło mnie czymś w rodzaju… szponów - przycisnął dłoń do zakrwawionej klatki piersiowej. Na szczęście bydlę chybiło… czymkolwiek było.

- Demon… - podsunął zabobonnie Thonk.

-Deathclaw….- wyszeptał nie mniej zabobonnie McNee.

- Cokolwiek - człowiek z Nowego Reno zignorował komentarze. - Co z dziewczyną?

- Chyba źle - bandytka podniosła zafrasowaną twarz. - Sami zobaczcie.

Jesse uklęknął przy młodziutkiej Campbellównie. Odsunęła się od niego ze strachem, jakby była w ciężkim szoku. Jasna twarz była całkowicie bezmyślna. Próbował do niej mówić, ale nie zrozumiała ani słowa. Potrząsnął Daphne. W jej pięknych, szmaragdowych oczach nie było cienia świadomości. Skowyczała dziko, śliniąc się i próbując się wyrwać.

- Dostała świra - stwierdziła Nadja.

Profesor Blauberg odsunął Jessego i obejrzał dokładnie Daphne.

- Diagnoza niezbyt naukowa, acz trafna. Chciałbym móc powiedzieć, że to tylko efekt szoku, ale chyba dziewczyna postradała zmysły. I to na dobre.

- Szkoda laski - zauważył Santino, trzymając się za pierś. - Niezła sztuka była.

Jesse przyjrzał się Daphne ze współczuciem. Ładne rysy dziewczyny zniekształcał ten charakterystyczny skurcz, jaki widuje się u niedorozwiniętych. Campbellówna nie miała najwyraźniej pojęcia co się wokół niej dzieje; spoglądała na wszystkich z przerażeniem, wydając nieartykułowane piski.

- Dobrze, że ja tego nie zobaczyłem - rzekł Włoch. - Cokolwiek to było, musiało wyglądać strasznie.

- Nic nie zauważyłeś? - Jesse wątpił, by cokolwiek mogło być straszniejsze od tego człowieka.

- Nie, tylko… - zawahał się, wzruszył potężnymi ramionami - to coś śmierdziało jak mój stary. - Splunął na podłogę

- To był twój stary?

- Nie, idioto! - Płonące węgielki wbiły się ze złością w przerażonego Steve'a - Mojego staruszka dawno posłałem do Piekła i mam nadzieję, że się tam solidnie smaży. To coś po prostu cuchnęło jak mój padre, wódką i spaghetti. To mało śmieszne - warknął, widząc uśmieszki.

- Przynajmniej wiemy jakiego zapachu się wystrzegać. - Stwierdziła niewinnie Melody.

- Coś nas próbuje tu wyrżnąć - przypomniał towarzyszom Jesse. - Załatwiło Starego, jego służącego, Tony'ego, Attianniego, teraz próbowało skosić Santino i doprowadziło małą do obłędu - zabrakło mu palców.

- Co robimy?

Ze zdziwieniem spostrzegł, że wszystkie spojrzenia kierują się na niego. Chrząknął z namysłem.

- Przede wszystkim żadnego kowbojowania, a'la świętej pamięci lord paladyn. Do niczego dobrego to nie prowadzi. Nie wyjdziemy stąd, dopóki burza nie ucichnie, inaczej napromieniujemy się zanim zdążymy powiedzieć "radioaktywność". Poza tym drzwi są i tak zabezpieczone przed próbą otwarcia w taką pogodę. A' propos, kto ma klucz do drzwi? - Modlił się, żeby otrzymać odpowiedź.

- Ja! - McNee z dumą wyciągnął z kieszeni prostokątny kawałek czerwonego plastiku.

Westchnienie ulgi przetoczyło się przez korytarz. Pilnuj go jak oka w głowie, mały, inaczej pożałujesz, zjedzą cię żywcem zanim umrą tu z głodu.

- Musimy wycofać się na górę, do sali balowej i poczekać do rana. Zgodnie z prognozami, burza rozwieje się około świtu. - Ciągnął Jesse.

- Mamy tu czekać do świtu? - Zaprotestowała Nadja. - Te… bestie zeżrą nas przed trzecią!

- To nasze jedyne wyjście, MUSIMY przeczekać.

- Do dupy!

- Błyskotliwa riposta. Ktoś ma lepszy pomysł, poza wyłażeniem w sam środek radioaktywnej zamieci? Tak też myślałem. Zabierajmy się stąd - rozejrzał się niespokojnie. - Zamkniemy się w sali balowej, a raniutko przedrzemy się do wyjścia.

Rejterada na górę przypominała zbrojny odwrót zdziesiątkowanej armii. McNee podtrzymywał obłąkaną Daphne, reszta szła wokół nich celując latarkami i bronią w otaczającą ich ciemność. Przy schodach stracili Oriona. Gigant zamykał pochód, omiatając mrok za sobą noktowizyjnym celownikiem swojego karabinu. Na szczycie schodów zorientowali się, że Orion zniknął, więc Jesse i Sobolewski zeszli ostrożnie na dół.

Wielki super-mutant leżał kilka metrów od schodów jak rzucona bezwładnie szmaciana lalka, z potężnym karkiem złamanym niczym sucha zapałka. Na zielonej, martwej twarzy olbrzyma nie było widać bólu ani gniewu, cokolwiek go dopadło, skręciło mu kark zanim zdążył się zorientować. Mężczyźni wrócili pospiesznie na górę, nie mając zamiaru ryzykować spotkania z czymś co było w stanie zabić gigantycznego mutanta jak dziecko i doprowadzić Daphne do szaleństwa.

Dalszy odwrót przebiegał pod znakiem lekkiej paniki. Jesse ściskał spluwę w spoconych dłoniach, a przed oczami miał tylko przybliżający się z każdym krokiem prostokąt światła z sali balowej. Dopadli drzwi jak bram raju i dopiero w środku spostrzegli się, że zgubili Blauberga. Nawoływania na korytarzu nie przyniosły rezultatu, przeszukali nawet, z duszą na ramieniu, kilka najbliższych pomieszczeń, ale profesor przepadł jak kamień w wodę. Wracając do bezpiecznej sali balowej, Jesse poczuł egoistyczną ulgę, że nie musi szukać dalej naukowca; cokolwiek się z nim stało, jest już poza zasięgiem ich pomocy. Nadja nieco popsuła mu humor.

- Drzwi się nie chcą zamknąć - zakomunikowała, dusząc raz za razem przełącznik.

- Co ty - Sobolewski odepchnął ją od drzwi i zaczął gmerać przy zamku. - Niech cię szlag! - Kopnął z furią framugę - bezpiecznik się przepalił!

- Mogło być gorzej - zauważył Jesse - mogły się zatrzasnąć i wtedy musielibyśmy koczować na korytarzu albo w gabinecie.

- Przynajmniej jesteśmy wszyscy razem. - Santino oparł się ciężko o ścianę, przyciskając dłoń do zakrwawionej piersi. Mięśnie twarzy mu drgały, stalowe oczy zasnuły się cieniutką mgiełką. Ból musiał być silniejszy niż gangster początkowo twierdził. - Jesteśmy w stanie rozwalić wszystko, co będzie się chciało wepchnąć przez te drzwi albo przez szyb wentylacyjny.

Melody przyjrzała się ciemnej niszy w ścianie.

- Szyb jest za wąski dla czegoś, co bez problemu zabiło takich byków jak Attianni czy Orion.

- Demony nie mają kształtu ani ciała - pouczył ją beznamiętnie Thonk. Mogą się przecisnąć przez najmniejszą dziurkę i zabić nas wszystkich. Ale Thonk się nie boi duchów - wyprostował się dumnie. - Thonk ma ochronne tatuaże i amulety…

- Thonk ma nasrane! - Warknął McNee. Był na granicy załamania nerwowego. Ułożył na kanapie kwilącą bez sensu Daphne i teraz chodził w tę i z powrotem po przestronnej sali.

- Daj klucz - polecił mu Santino.

- Co? - Odpowiedział nieprzytomnie.

- Klucz do drzwi wejściowych. Połóż go na stole. Nie mam zamiaru ryzykować, że jakiś mutant czy demon wtranżoli cię razem z naszym jedynym kluczem.

Steve zaczął przeszukiwać kieszenie, jedną, drugą, trzecią… lodowaty strach chwycił wszystkich za serca; jeśliby zgubił ten cholerny klucz, to najpierw by go rozszarpali i rozwlekli po całym korytarzu, jak żaden potwór by nie potrafił - a potem musieliby przeszukać całą drogę do katakumb z nosem przy ziemi i bronią przy boku. Niemiła perspektywa. Kojąca mgiełka spłynęła na dusze więźniów, kiedy McNee wyciągnął z którejś z kolei kieszeni niewielki, czerwony

prostokąt i rzucił go na stół. Melody usiadła w zamyśleniu na fotelu.

- To coś w rodzaju zemsty zza grobu, nie? - Popatrzyła na współtowarzyszy. - Każdy z was miał przecież coś na sumieniu.

- O czym ty mówisz?

- No, słyszałam co nieco na przyjęciu i potem, kiedy Jesse szwendał się po katakumbach. Strzępy rozmów, komentarze, mruczenie pod nosem. Wszyscy chyba mieliście powody, by życzyć staremu Campbellowi jak najgorzej i vice versa. To wygląda, jakby zaprosił was tutaj, żeby się zemścić.

- I w charakterze zemsty zarżnął się jako pierwszy? - Zapytał sarkastycznie Santino.

- Niekoniecznie. Może to, co chciał na was nasłać wymknęło mu się spod kontroli cokolwiek to jest.

Potwory…

- Super-mutanty…

- Duchy…

- Stary Santino…

- Bardzo śmiesznE…

- Deathclawy…

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na McNee'a. Ten skulił się z przyzwyczajenia, ale powtórzył:

- Deathclawy. Jestem prawie pewien, że widziałem… jednego czy dwa, podczas naszej ucieczki… odwrotu - dodał pod miażdżącym spojrzeniem Sobolewskiego. - Obrzydliwe bestie - wstrząsnął się.

- No, świetnie. Mamy już cały bestiariusz z tych cholernych katakumb. - Santino skrzywił się z bólu. - Nadal nie wierzę w te bzdury o zemście.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wyrządziłeś żadnej krzywdy Campbellowi? - Melody patrzyła na niego badawczo.

Gangster z Nowego Reno nie odpowiedział. Zakasłał i splunął czarną krwią.

- Gargh… - Oświadczył Sobolewski. Przełknął ślinę, gdy wzrok wszystkich obecnych skupił się na nim. Wbił spojrzenie w jakiś punkt ponad oknem.

- Szesnaście lat temu Campbell penetrował na zlecenie Bractwa jedną wioskę… Właściwie to nie była wioska, tylko coś w rodzaju permanentnego obozowiska - wiecie, kupa namiotów, banda brudnych zbieraczy, żyjących ze sprzedaży przedwojennego szmelcu znajdywanego na pustkowiach. No i… było podejrzenie nielegalnego handlu bronią… przerzucania giwer i ekwipunku do Kolorado, dla tamtejszych bandytów. Więc, Campbell miał to sprawdzić, ale coś niemrawo mu szło, zwiad się przedłużał… Dowództwo zaczęło się niecierpliwić, oparli się na poszlakowych dowodach i rozkazali spacyfikować wioskę. Widowiskowo, z przestrogą dla innych. Bractwem dowodził wtedy generał Stanford, był z niego niezły kawał skurwiela… No to posłano kompanię Attianniego, a mnie razem z nią. - Urwał na moment. - Potem okazało się, że Campbell miał w tej wiosce jakąś kobietę czy przyjaciół, porobił sobie, znaczy się, znajomych… Stanford profilaktycznie oskarżył go o zdradę i wydał zaoczny wyrok śmierci, coby mu nie strzeliło do głowy się mścić. No i nie słyszeliśmy o nim przez ładne parę lat aż w końcu osiadł tutaj, w NRK… Potem to zaproszenie …

- Co zrobiliście w tej wiosce? - Melody przysiadła na brzegu stołu.

Rycerz milczał przez chwilę.

- Spaliliśmy wszystko. Ludzi, namioty, sprzęt. Tych, którzy próbowali uciekać wyłapano i zdekapitowano. Głowy zatknęliśmy na włóczniach, i ustawiliśmy wokół resztek wioski.

- Attianni dostał za swoje - mruknęła Nadja. - Nabito mu głupi łeb na pal. Ciebie pewnie tu spalą.

- Hej, dzięki…

- To by miało sens - odezwał się Jesse. - Tony Jefferson odmawiał Campbellowi jakiegoś zezwolenia na budowę fabryki plazmy w NRK. Stary stracił w końcu na tym sporo szmalu. No i nie muszę przypominać jak skończył Tony.

- No, proszę. Więc jest tu pewna fantazja, każdy ginie tak jak na to zasłużył - Melody zdawała się być zafascynowana.

- A coś ty taka wesoła? - Syknął McNee. - Wątpię, żeby Stary zaplanował własną śmierć czy swojego służącego. Sama powiedziałaś, że to się wymknęło spod kontroli, uważasz, że tobie nic nie grozi, bo nic mu nigdy nie zrobiłaś?

- A ty coś zrobiłeś? - Odpowiedziała pytaniem.

Chłopak zmieszał się.

- Ja, nigdy… Mój staruszek znał go od dziecka. Byli przyjaciółmi, ale postrzelił go lata temu na polowaniu… w biodro. Campbell obraził się na niego śmiertelnie i nie odzywał się do niego, aż do jego śmierci. I tyle.

- Fakt, pierdziel utykał odkąd go znam.

- Też bym się obraziła.

- Pewnie zatrudnił cię na dzisiejszą noc, żeby się zemścić. - Rozładowała atmosferę Melody.

- Co?!?

- Zemsta przechodzi z ojca na syna. Nie mógł dosięgnąć twojego ojca, więc postanowił dopaść ciebie.

- Ale to było niechcący! Mój staruszek postrzelił go przez przypadek!

- To bez znaczenia - przerwał mu grobowym głosem Sobolewski. - Ciekawe co zrobili mu Blauberg i Orion. - Profesor naraził mu się swoimi eksperymentami z Przedwojennymi wszczepami biologicznymi. - Poinformował go Jesse. Rozsiadł się na fotelu i wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę nuke strike'ów. Zapalił i kontynuował. - To była parę lat temu głośna historia… w pewnych sferach. Campbell był tradycjonalistą, nie podobało mu się, że Blauberg dokonuje eksperymentów na ludziach, z których wiele skończyło się śmiercią ofiary… pacjenta. Próbował storpedować badania profesora, co niemal mu się udało. - Wypuścił dym. - Podobno dla niego Blauberg był jak zły czarnoksiężnik - szalony naukowiec krojący ludzi na kawałki i skazujący ich na śmierć w męczarniach. Blauberg parował jego oskarżenia, twierdząc, że dokonuje legalnych eksperymentów dla dobra całego postnuklearnego świata. NRK przymykała oczy na wszystkie jego… nieudane doświadczenia, bo w zamian otrzymywała prawo wyłączności do jego sukcesów. Połowa dzisiejszej inżynierii bio-cybernetycznej to technologia Bractwa Stali, druga połowa jest efektem badań Blauberga.

- No i?

- No i Campbell stał się w swoich działaniach tak upierdliwy, że profesorek postanowił dać mu nauczkę. - Wyszczerzył zęby w niewesołym uśmiechu. - Porwał mu ukochanego psa i… poeksperymentował na nim. Kiedy z biedakiem skończył, psina przypominała skrzyżowanie żaby z odkurzaczem, chodziła na trzech nogach, miała oczy na tyłku i sikała nosem. - Jesse pokręcił głową.

- Campbell musiał zwierzaka odstrzelić, ale nie próbował się mścić. Być może tylko do dzisiaj… O Orionie nic nie wiem, ale Campbell nigdy nie lubił super-mutantów. Pewnie czymś mu podskoczył.

- Pora na kolejne wyznanie - złodziejka popatrzyła na Santino.

- To ma być Klub Anonimowych Winowajców? - Gangster wydawał się bledszy niż wcześniej i chwiał się na nogach. Jesse nie sądził, by stracił aż tyle krwi.

- Nie - Melody przekręciła głowę jak papużka. - My znamy swoje imiona.

Włoch wzruszył z trudem ramionami.

- Próbowałem go zabić dawno temu w Nowym Reno. To były interesy, nawet ucieszyłem się, kiedy przeżył. Nie wiem po co tu przyjeżdżałem.

Melody patrzyła pytająco.

- Trucizna. O przedłużonym działaniu, łatwo ją wprowadzić do krwiobiegu. Paskudna suka… - Urwał nagle, a w jego okrutnych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Odsłonił wilcze zęby w uśmiechu, w którym nie było cienia radości.

Jesse załapał jako pierwszy.

- Tam na dole… nie miałeś zginąć.

- Nie. - Santino obnażył klatkę piersiową. Dwie podłużne pręgi były prawie czarne, ciało wokół rany miało nienaturalny, seledynowy kolor. - To potrwa kilka godzin. Trucizna jest oparta na zmodyfikowanej, "cywilnej" wersji wirusa FEV. - Usiadł ciężko na parapecie.

- Doprowadza do szybkich mutacji narządów wewnętrznych, nie naruszając systemu nerwowego. - Uśmiech nie opuszczał jego twarzy. - Inaczej mówiąc, bebechy ci gniją, a ty czujesz to do ostatniej chwili.

- Zaraziłeś tym Campbella?

- Drań miał dostęp do antidotum. I raczej nie trzyma tego teraz w chacie.

- Więc…

- Do rana będę martwy - gangster bawił się wyjętą skądś srebrną zapalniczką, nie patrząc na pozostałych. - Ciekawa rzecz. W Nowym Reno używaliśmy do tego specjalnego kastetu, nazywaliśmy go Szponami Deathclawa. Mało oryginalnie, przyznaję. Zastanawia mnie jak mnie zarażono tutaj.

- Jeśli nie ma szans, żebyś przeżył, to może skrócić ci cierpienia - Nadja sięgnęła po pistolet. Tommy gun wyrósł w owłosionych dłoniach Santino, zanim bandytka zdążyła dotknąć kolby swojej giwery. Niesamowite oczy gangstera patrzyły jasno i paląco poprzez mgiełkę bólu.

- Nie jestem kulawym braminem, siostro. Doczekam końca na moich warunkach, jasne Zdechnę tu wijąc się z bólu, ale nie pozwolę się odstrzelić. - Osunął się pod ścianę, nie spuszczając wzroku z Nadji.

- A ty? Co przeskrobałaś, że cię tu zaprosił?

Wzruszyła ramionami.

- Byłam jego kochanką. Dawno temu. Ale potem go zostawiłam i zostałam tym czym jestem.

Jesse spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Wydałby na ciebie wyrok, tylko dlatego, że go kiedyś rzuciłaś?

- A czemu nie? Steve'a chciał zabić za pierdołowatość jego ojca.

- To idiotyzm! - Wydarł się McNee. - On sam nie żyje, nie ma żadnego spisku, po prostu coś wylazło z tych cholernych piwnic i zaczęło wszystkich mordować! Dlaczego chciałby mojej śmierci?! Nic mu nigdy nie zrobiłem - dodał płaczliwie. - To niesprawiedliwe.

- Thonk też nie wie czemu Campbell chciałby śmierci Thonka. - Odezwał się dzikus. - Campbell wiedział, że Thonk zrobił to co musiał, bo tak każą jego bogowie - dotknął z namaszczeniem jednego ze swoich kościanych amuletów.

- A co konkretnie Thonk zrobił? - Melody wydawała się świetnie bawić tą sytuacją.

- Plemię Thonka mieszka daleko na północy - barbarzyńca wydął wargi - dużo, dużo strzałów z łuku stąd. Campbell przybył kiedyś, żeby polować na mithki…

- Co to u diabła są mithki? - Zapytał zdziwiony Sobolewski.

- Rodzaj goulghanów - wyjaśnił Thonk i zanim rycerz zdążył otworzyć usta ciągnął dalej - wziął Thonka na przewodnika i razem upolowali mnóstwo dużo mithków - zmrużył oczy z rozkoszy. - Było wielkie święto w wiosce Thonka, ale szaman powiedział, że była pełnia - Thonk pokiwał smutno głową - a Thonk i wódz, i wszyscy z plemienia Thonka zapomnieli. A podczas pełni bóg-bestia domaga się ofiary z obcego człowieka. Plemię Thonka nie prowadziło wtedy wojny i nie miało jeńców, więc Thonk powiedział, że złoży w ofierze swojego przyjaciela Campbella. Więc Thonk i szaman pojmali go i przywiązali do świętej skały, żeby bestie mogły go zjeść…

- Jakie bestie? - Zainteresował się Sobolewski.

- A coś ty taki postnuklearny zoolog? - Zapytała ostro Nadja.

- Ale Campbell uciekł i bóg-bestia był zły - Thonk nie zwracał uwagi na sprzeczkę. Dużo nieszczęścia na wioskę Thonka. Ale Thonk dzisiaj na uczcie powiedział Campbellowi, że mu wybacza.

- Co mu wybacza?? - Oczy Nadji rozszerzyły się do rozmiarów bransoletek. - To, że uciekł, bo nie chciał być złożony w ofierze przez bandę brudnych, głupich dzikusów, którzy mienili się jego przyjaciółmi?? Nic dziwnego, że chciał cię zabić. Na dole jest wystarczająco dużo bestii, żeby cię rozszarpać!

Thonk popatrzył na nią z urazą.

- Bogowie są najważniejsi i Campbell powiedział Thonkowi, że to rozumie, i że jest mu przykro, że wtedy uciekł.

Melody parsknęła z politowaniem. Rzuciła okiem na kanapę.

- A co z tą małą?

Daphne już się uspokoiła i teraz śliniła się przyjaźnie, popatrując na towarzyszy bez śladu zrozumienia w oczach. Kiedy zorientowała się, że wszyscy na nią patrzą, kwiknęła cicho i wtuliła się w skórzane oparcie.

- Słyszałem - McNee zająknął się, kiedy wzrok obecnych skupił się na nim. Nie był przyzwyczajony do bycia w centrum uwagi. - Słyszałem - powtórzył - że uciekła z domu jak miała dwanaście lat. Jej matka była przekonana, że porwały ją deathclawy albo bandyci i oszalała z rozpaczy. Skończyła w psychiatryku, chyba jeszcze tam siedzi. Cóż… - zerknął na rudą dziewczynę, która z zapałem próbowała odgryźć sobie nos.

Przez chwilę panowała cisza.

- To niemożliwe - oświadczył Santino. - Nie można doprowadzić kogoś do obłędu ot, tak - strzelił słabo palcami.

- Do wczoraj myślałem, że wiele innych rzeczy jest niemożliwych - Jesse wpatrzył się ponuro w szalejącą za oknem burzę.

- Najwyraźniej to, co zobaczyła - to, co zaatakowało Santino, było tak przerażające Sobolewski urwał. - Cholera, zupełnie jakby wszystko sobie dokładnie zaplanował. Poza jednym…

- A może on żyje? - Melody skrzyżowała ręce na biuście - przecież ciało zniknęło.

- Łeb miał prawie odcięty od reszty - zaprotestował gangster z Nowego Reno. - Sprawdziłem go jeszcze, był martwy jak wypatroszona iguana.

- Pewnie masz w tym doświadczenie, co? - Zapytała złośliwie złodziejka. - Chyba została nam jeszcze jedna opowieść.

Jesse zapalił kolejnego papierosa. Opowiedział im. Miał wenę, więc opowiadał ze szczegółami, rozwlekle, jakby snuł bajkę przy ognisku. Opowiadał o swojej przyjaźni z Campbellem, o tym jak Stary uratował mu życie, jak szukali razem złóż uranu w Nevadzie, jak odpierali ataki super-mutantów i bandytów. O tym jak znaleźli wielkie złoża, na których stoją dziś jego kopalnie i co zrobił, żeby nie dzielić się nimi z towarzyszem. Gdy skończył nikt się nie odzywał. Jesse zignorował ich oskarżycielskie spojrzenia i zapalił jeszcze jednego szluga. Uważali się za lepszych od niego, bo ten chciał zabić Campbella przez nakazy swojej religii, a tamten, bo to były "tylko interesy". Miał ich gdzieś. Zdradził towarzysza dla pieniędzy i swojej przyszłości, nie czuł się wcale gorszy od pozostałych hipokrytów, którzy wystawili Starego do wiatru.

Melody otworzyła usta, ale zgasił ją spojrzeniem. Daphne zagaworzyła coś cicho i uwaga więźniów skupiła się na niej.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to cholerne dudnienie doprowadziło małą do szału - Nadja splunęła ze złością. - Nie idzie tego gówna wytrzymać. Wlewa się uszami, nosem, nawet przez pieprzone cebulki włosów.

- O jakim dudnieniu mówicie? - Zapytała zirytowanym głosem Melody.

- Jak to o jakim dudnieniu! - Warknął wściekle Jesse. - A co ty słyszysz, anielskie dzwoneczki?

- Ja nie…

Przerwał jej nieludzki wrzask bólu i przerażenia i następujący po nim szaleńczy, podły rechot. Jessemu włosy uniosły się na głowie, a jądra schowały do brzucha. Przypomniały mu się wszystkie stare horrory jakie oglądał na holodyskach, ale nawet na nich aktorzy nie byli w stanie wydobyć z siebie takich dźwięków. Bolesne, niesamowite wycie dochodziło gdzieś z głębi domu; w porównaniu z męczarniami o jakich świadczyło, obdzieranie ze skóry byłoby nie bardziej drażniące od łaskotek.

Wszyscy spojrzeli po sobie, a Daphne zaskowyczała ze zwierzęcego przerażenia.

- Jezu Chryste…- Sobolewski zrobił się nagle religijny.

- Blauberg? - Spytała drewnianym głosem Nadja.

Pobladły pod tatuażami Thonk skinął głową.

- Demony się nad nim pastwią.

Potworny ryk i obłąkańczy śmiech przetoczyły się ponownie przez salę.

- Musimy go ratować! - Sobolewski odbezpieczył swoją strzelbę.

- Gdzie chcesz iść? - Osadził rycerza Jesse. - To dochodzi z szybu wentylacyjnego, Blauberg może być wszędzie.
Rzeczywiście, nieludzkie odgłosy rezonowały po metalowym szybie i rozchodziły się po sali. Nie było sposobu ustalić gdzie jest ich źródło.
- Nie sądzę, byśmy mogli mu pomóc. - Powiedziała beznamiętnie złodziejka.
- Racja - przytaknął jej Jesse. - Do rana zostało pięć, sześć godzin, przeczekajmy je tu. Rankiem opuścimy to przeklęte miejsce, jak tylko burza przejdzie.
- Ucichnie kiedy pierwszy kur zapieje? - Zakpiła Melody.
- Co to jest kur? - Zapytał cicho McNee.
- Gatunek kota jak sądzę - Sobolewski podrapał się słomianowłosej głowie.
- Nie, nie, to jest chyba spokrewnione z gadami… Rodzaj jaszczurki…
- Ależ skąd, widziałam zdjęcie na holodysku…
- Żył pod ziemią, prawda?
"Kogo, kurwa, obchodzi co to był kur?!?", chciał wrzasnąć Jesse, ale zrezygnował. Do rana tu zwariują, jeśli nie będą starali się rozładować napięcia, choćby takimi głupimi dyskusjami. Młody przemysłowiec odnalazł wśród resztek w połowie pełną (w zasadzie był w nastroju, żeby powiedzieć "w połowie pustą", ale starał się myśleć pozytywnie) butelkę whisky i usiadł na fotelu, z silną determinacją dotrwania tu do rana.
Minęły dwie, może trzy godziny. Za oknem wciąż przewalały się tony brunatnoczerwonego, radioaktywnego pyłu - jedynego w tej chwili źródła światła na pustkowiach. Po tej stronie okna Jesse stłukł z rozmachem butelkę. Ostry dźwięk nie wywarł wrażenia na otępionych wielogodzinnymi, strasznymi wrzaskami więźniach. Santino siedział na podłodze, wpatrując się błyszczącymi gorączką oczami w przeciwległą ścianę. Nie wydał z siebie żadnego odgłosu bólu, ale blada jak ściana, spocona twarz drgała niezależnie od jego woli. Melody, oparta o stół, patrzyła niespokojnie w półmrok za drzwiami. Nadja wyciągnęła się na kanapie i zdawała się drzemać, trzymając w dłoni odbezpieczony pistolet. McNee chodził po sali jak niedźwiedź ogarnięty chorobą klatkową. Zagryzał wargi i szeptał coś do siebie bezgłośnie. Sobolewski rozkręcał i skręcał z powrotem wyjęty nie wiadomo skąd pistolet. Thonk przysiadł po turecku na środku podłogi i z beznamiętną miną fatalisty czekał na śmierć. Przerażona dobiegającymi z szybu krzykami i śmiechem, Daphne skuliła się w rogu pokoju i bełkotała coś, bawiąc się pokrwawionymi palcami w podartych rękawiczkach...
- Długo tu jeszcze do rana? - Zachrypiała złodziejka.
- Trzy, cztery godziny - Jesse spojrzał z irytacją na zepsuty zegarek - czy coś koło tego.
- Mam wrażenie, że coś tu po nas przyjdzie. Niedługo. - Melody nie była już taka beztroska.
- Myślałam, że uważasz się za bezpieczną - mruknęła Nadja nie otwierając oczu. - Przecież jesteś tu przez przypadek, nic nie grozi, no nie?
- Jak tu będę z wami tkwić, to co tu wpadnie, nie będzie wybierać - odpowiedziała nieskładnie złodziejka.
- Wpadanie tu będzie ostatnim błędem w życiu tego czegoś - Sobolewski czyścił po raz setny lufę pistoletu.
- Demony nie są żywe - uświadomił go Thonk.
- Zamknij się. Poza tym - rycerz zerknął na młodą kobietę - gdzie chcesz iść?
- Gdziekolwiek. Jestem złodziejką, miałam splądrować ten dom. Poszukam sypialni, czy czegoś w tym stylu.
- I uważasz, że tam cię nic nie dopadnie?
- To poluje na was. Mnie zostawi w spokoju jak długo będę się trzymać od was z daleka.
- To zjeżdżaj, nikt cię nie zatrzymuje - warknął cicho Santino.
Melody przyjrzała mu się badawczo.
- Tym lepiej. Zginiecie tu wszyscy, a ja nie mam zamiaru do was dołączać.
Podniosła się i podeszła do szybu wentylacyjnego.
- A to, na wypadek, gdyby przyszło wam do głowy opuszczać dom beze mnie. - Zwinęła błyskawicznym ruchem klucz ze stołu i wsunęła się do szybu.
Do zebranych dotarło to dopiero po kilku sekundach.

- Kurwa mać!! - Zawył McNee. Rzucił się do szybu, ale nie miał szans się przez niego przecisnąć. - Zdechniemy tu teraz, na pewno, kurwa, zdechniemy tu!

- Oczywiście - odrzekł Thonk spoglądając z niesmakiem na histeryzującego chłopaka. - Ale żmija-złodziejka też - dodał pocieszająco.

- Musicie ją dorwać - stwierdził obojętnie Santino.

- Co to znaczy "wy"? - Syknęła Nadja.

- W tym stanie nawet syfa bym nie złapał. - Przepełnione cierpieniem, ale wciąż straszne oczy gangstera zwróciły się na kobietę. - Poza tym JA tu na pewno zdechnę, więc mi wszystko jedno.

- Może tu wróci...

- A jak ją po drodze szlag trafi? - Sobolewski nie był taki pewny. Musimy ją znaleźć póki jeszcze żyje i odzyskać klucz, do diabła z nią.

Podszedł do Steve'a.

- Gdzie są sypialnie?

Służący wybełkotał coś niezrozumiale. Sobolewski trzasnął go w twarz i powtórzył spokojnie pytanie. McNee popatrzył na niego nagle otrzeźwiony.

- Na parterze.

- Co za idiota umieszcza salę balową na piętrze, a sypialnie na parterze?

- Ten, który zaprasza i morduje swoich gości, dając się przedtem samemu zabić.

- Gdzie dokładnie są sypialnie? Potrafisz opisać drogę? - Indagował chłopaka Sobolewski.

Steve miał fenomenalną pamięć albo łgał ze strachu. Opisał dokładnie trasę do obu sypialni. Jedna była tuż przy schodach, po prawej stronie parteru; druga pośrodku, w pobliżu salonu.

- Zapamiętasz Gomez? Musimy się podzielić. Dwójkę z nas służący zaprowadzi do bardziej oddalonej sypialni, pozostała dwójka znajdzie tę przy schodach. - Rycerz szybko się wczuwał w rolę dowódcy. - Złodziejkę musimy znaleźć w którejś z nich. Mamy nad nią przewagę, bo znamy drogę - prawdopodobnie będziemy na miejscu przed nią. Po prostu poczekamy na sukę.

- Aha. No pięknie, a jak damy sobie znać, że ją znaleźliśmy? Będziemy się ganiać po całym parterze, aż coś nas w końcu capnie? Raz już ten numer przerabialiśmy. Sobolewski zmarszczył brwi. Na to nie miał odpowiedzi.

- Są… jest system dzwonków - powiedział nieśmiało jak zwykle McNee. Wskazał na niewielki stolik przy drzwiach.

Jesse podszedł do stolika i zmiótł z blatu szkło, konfetti i rzygowiny. Oczom wszystkich ukazała się sporych rozmiarów konsoleta z planem rezydencji. W niemal każdym pomieszczeniu znajdował się przycisk z lampką. Służący podszedł do konsolety i zaczął wyjaśniać:

- To jest coś w rodzaju systemu komunikacyjno-alarmowego. Campbell nigdy nie założył intercomu, podobno są jakieś problemy z łącznością, przez ten klimat, burze i wiecie. No to kazał zamontować coś takiego - wskazał palcem na niewielki dzwonek umieszczony w rogu sali, pod sufitem. - W każdym pokoju jest dzwonek i przycisk przy drzwiach, który go uruchamia. Wtedy w sali balowej i w salonie, tam jest podobne ustrojstwo, rozlega się brzęczyk i świeci lampka w pomieszczeniu, o tu, na planie, z którego nadano sygnał. Jeśli ktoś stąd chce włączyć alarm w jakimś pomieszczeniu, po prostu naciska odpowiedni guzik na konsolecie. Sypialnie są tu i tu. Ten kto znajdzie złodziejkę, po prostu zaalarmuje centralę, to znaczy pana Santino, który zapewne się stąd nie rusza, a on włączy odpowiedni dzwonek w drugiej sypialni. Cała filozofia - spojrzał na pozostałych. Wpatrywali się w niego z nabożnym zdumieniem.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Mówiłem przecież. Campbell mnie oprowadził i wszystko mi opowiedział. Przygotowywał mnie do pracy.

- Zupełnie jakby chciał, żebyśmy to wszystko wiedzieli, kiedy rozpocznie się… polowanie - powiedział cicho Sobolewski. - No nic! - Przybrał dziarski wyraz twarzy. Biorę ze sobą Thonka i Steve'a, ty pójdziesz z Nadją. Wyjął z kieszeni flarę.

- To moja przedostatnia. Przyda wam się - rzucił ją Jessemu. Popatrzył niepewnie na Santino. - Dasz sobie tu radę sam, tylko z Daphne?

Gangster obdarzył go budzącym niepokój spojrzeniem błyszczących, niesamowitych ślepiów.

- Rozwalę wszystko, co przejdzie przez te drzwi. - Podciągnął tommy guna na kolana i wykrzywił się w bolesnym uśmiechu. - Pod warunkiem, że przedtem nie umrę. Tę konsoletę - spojrzał w bok - dałoby się toto opuścić w dół? Nie zamierzam już nigdy wstawać. - Wisielczy humor był najwyraźniej jego drugą naturą. Wesołek z tego Santino!
McNee pomajstrował coś przy nodze stolika i całość zjechała na dół, zrównując się z podłogą. Santino podczołgał się z wysiłkiem do konsolety i uchwycił broń tak pewnie, jakby tryskał zdrowiem.
- Spadajcie już. Im prędzej ją dorwiecie, tym lepiej dla was.
- Powodzenia, Sobolewski - mruknął Jesse ładując shotguna.
- Dave.
Popatrzył na niego ze zdziwieniem. Fakt, odkąd się poznali, zwracali się do siebie po nazwisku. Okoliczności nie sprzyjały bruderszafcikowi.
- Jesse - wyciągnął rękę do oficera. Uścisnęli sobie dłonie. Wzruszające, nie ma co.
Zamknął z metalicznym trzaskiem komorę spluwy. Rzucił okiem na leżącego pod oknem gangstera. Wyglądał gorzej z kwadransa na kwadrans.
- Trzymaj się tu, Vin - rzucił.
- Santino - uśmiech gangstera był niemal sympatyczny.
- Mogę dostać pistolet? - Steve wskazał laserową giwerę, którą Sobolewski miał zatkniętą za paskiem.
Rycerz popatrzył na niego przez chwilę, po czym niedbałym gestem wręczył mu broń.
- Jakby przyszedł ci do głowy jakiś głupi pomysł, to pamiętaj, że jestem za tobą i mam większą spluwę.
Nie tracili więcej czasu. Po wyjściu z sali Jesse i Nadja skierowali się w stronę prawych schodów, Sobolewski, Thonk i McNee poszli w przeciwnym kierunku. Jesse i Nadja szli szybko, w milczeniu, tnąc mrok ostrym światłem latarek. Nie licząc dudnienia, które przywykli już uważać za stały element klimatu, panowała cisza; nie dochodziły ich okropne wrzaski, które przypisywali torturowanemu Blaubergowi. Dotarli do schodów, zeszli ostrożnie na dół, ubezpieczając się nawzajem. Na paterze skręcili w prawy korytarz; Jesse przepowiadał sobie w głowie instrukcje służącego. Z odnalezieniem właściwego pomieszczenia nie mieli jednak problemu, biło z niego słabe światło, rozpraszając delikatnie mrok korytarza. Zgasili latarki i podsunęli się do otwartych drzwi sypialni najciszej jak potrafili. Bandytka wsunęła ostrożnie głowę do pomieszczenia. Dała mu znak ręką, więc Jesse wynurzył się spoza jej pleców, celując shotgunem do środka sypialni.
Na stoliku pośrodku pokoju stała świeca, rzucając słaby poblask na ściany i umeblowanie sypialni. Komoda przy ścianie naprzeciw drzwi była odsunięta, obok niej, odwrócona do ściany, klęczała Melody. Jesse chciał wejść do środka, ale Nadja złapała go za rękę.
- Ona się nie rusza - szepnęła napiętym głosem.
Złodziejka rzeczywiście klęczała nieruchomo, przed czymś co mogło być ukrytym za komodą sejfem.
- Ja już nie dam rady - sapnęła cicho, ściskając nieświadomie przedramię Jessego.
Spojrzał na nią. Twarda bandytka miała mięśnie napięte do granic możliwości, nawet w mdłym świetle świecy widział, że krew odpłynęła z jej twarzy. Znajdowała na granicy wyczerpania nerwowego. Była przyzwyczajona do otwartej walki twarzą w twarz, do potyczek z karawanami i wojskiem NRK. Wykańczała ją świadomość istnienia niewidocznego i śmiertelnie niebezpiecznego przeciwnika, który bez problemu mordował jej towarzyszy.
Jesse dotknął uspokajająco jej ramienia, uwalniając się z uścisku. Przeszedł szybkim krokiem przez sypialnię, przykucnął obok Melody i spojrzał w jej twarz.
Była martwa.
Nadja podeszła powoli z drugiej strony. Przyjrzeli się złodziejce. Nie miała żadnych widocznych ran, na jej spokojnej twarzy zastygł wyraz łagodnego zaskoczenia. Prawą dłoń trzymała na zamku szyfrowym sejfu. Musiała umrzeć natychmiast, zanim zdała sobie z tego sprawę. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Jessego. Popchnął ją lekko. Melody osunęła się na dywan, wlepiając martwe, zdziwione oczy w Nadję.
Jesse obejrzał dokładnie nieżywą złodziejkę i nagle zaczął chichotać. Nadja spojrzała na niego jak

na szaleńca, a on rzucił okiem na sejf i jego chichot przeszedł w rechotanie. Widząc wzrok bandytki spróbował się opanować, ale nie dał rady. Krztusząc się ze śmiechu wskazał na dłoń Melody. Nadja oświetliła ją latarką.
Na palcu wskazującym złodziejki widniała niewielka, okrągła plamka krwi. Bandytka skierowała latarkę na sejf. Teraz wyraźnie zobaczyła wystającą z okrągłej tarczy zamka szyfrowego małą, ostrą igłę. Zerknęła na rechoczącego Jessego i też się roześmiała. Leżeli na podłodze wijąc się w histerycznym, przepełnionym ulgą śmiechu. Opadło z nich całe napięcie, strach przed niewidocznym, zabójczo skutecznym wrogiem. Zatruta igła w zamku. Jakież to banalne! Zamiast mrożącej krew w żyłach, tajemniczej śmierci - najstarszy błąd w sztuce złodziejskiej! Gdyby ktoś im zwrócił teraz uwagę, że nabijanie się ze zgonu towarzyszki jest niestosowne, prawdopodobnie nie zrozumieliby o co chodzi.

- Je.. jednak nie była t…taka dobra - wykrztusiła poczerwieniała Nadja. Jesse pierwszy raz widział jak się śmieje i uznał, że jej do twarzy. Pokiwał głową, szczerząc się głupio.
Nagle uśmiech zamarł mu na ustach.

- A co z kluczem?

Śmiech Nadji umilkł jak ucięty nożem. Jak na komendę przyskoczyli do trupa i zaczęli go obszukiwać. Kieszenie, paski, fałdy ubrania… niedużo tego było. Co chwila wymieniali nerwowe spojrzenia nad zwłokami. Już? Masz go? Szlag by to!
Nadja odepchnęła go brutalnie od ciała i zaczęła zdzierać z Melody ubranie. W ciągu kilkunastu sekund uszła z niej cała radość, była teraz dzikim zwierzęciem walczącym o przetrwanie. Wetknęła martwej złodziejce dłonie do ust i między uda, przeszukała każdy detal jej ciała i ponownie odzienia. Klucza nie było.

- Ukryła go gdzieś zanim zabrała się do sejfu - stwierdził Jesse.

Rzucili się na meble. Wyrzucali holodyski z półek, przekopywali kanapy, przerzucali z kąta w kąt sterty drobiazgów, wywalali szuflady, zrywali broń ze ściany, przewracali szafki i stoliki. Nagle nad ich głowami zabrzęczał dzwonek. Spojrzeli po sobie.

- Mieli dzwonić jak ją znajdą - Jesse spojrzał na rozebranego trupa na podłodze. - Nie mogli jej znaleźć - stwierdził inteligentnie.
Dzwonek wciąż brzęczał.

- To alarm - zaskoczyła w końcu Nadja.

Wypadli na korytarz. Biegnąc co sił w nogach i dziobiąc ciemność zapaloną latarką, Jesse zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia dokąd zdążają. Okazało się jednak, że bandytka miała znakomitą orientację w terenie. Opierając się tylko na opisie Steve'a, pewnie mijała kolejne korytarze i pomieszczenia, oddalając się coraz dalej od wibrującego dźwięku dzwonka. Dobiegli do pokoju, z którego docierały głośne przekleństwa i biało-fioletowe błyski latarki.
Jesse wpadł do sypialni pierwszy, potykając się o coś w progu. To ocaliło mu życie, bo czerwony promień lasera wypalił dziurę w ścianie tuż nad jego głową. Poderwał się i wycelował broń i latarkę w światło przed sobą. Oświetlił mierzącego do niego z pistoletu laserowego McNee'a, który z przerażeniem wrzasnął:

- Nie strzelaj! Nie wiedziałem, że to ty!

- Opuść broń - rozkazał Jesse, nie przestając celować do służącego.

Steve rzucił pistolet na podłogę i cofnął się pod ścianę. Nadja weszła do pomieszczenia i zapaliła flarę. Na progu leżało spalone ciało ubrane w resztki na wpół stopionej zbroi Bractwa. Bandytka kucnęła nad zwęglonym truchłem. Podłoga i framuga były osmalone, nie sposób było zlokalizować źródło ognia. Jesse spojrzał pytająco na przerażonego służącego.

- Pułapka - wybełkotał McNee. - Wszedłem pierwszy, tak jak mi kazał, a kiedy on przechodził przez próg, z dołu wystrzelił ogień.

- Ale na ciebie "pułapka" nie zadziałała, co? Tylko on się spalił? Akurat Sobolewski i akurat w tym miejscu? Bo Campbell przewidział, że Sobolewski będzie tędy przechodził, więc zamontował tu pułapkę, która miała spalić akurat jego? Bo on spalił tamtą wioskę? - Nadja wypluwała kolejne zdania z coraz większą złością. Ciemne, dzikie oczy patrzyły wściekle z okrutnej twarzy. Smukłe, umięśnione ciało było maksymalnie napięte, wyciągnięte sztywno ręce ściskały desert eagle'a wymierzonego w głowę myszowatego służącego. Po raz kolejny

przypomniała Jessemu drapieżnego kota, gotowego w każdej sekundzie skoczyć na swoją ofiarę. Stanął między nią a Stevem, ryzykując śmierć na miejscu. Nadja nie opuściła broni.

- Dlaczego mam uwierzyć, że nie ty go zabiłeś? - warczała. - Ta sypialnia jest bliźniaczo podobna do tamtej. Te same meble, to samo uzbrojenie na ścianach, pewnie taki sam sejf za komodą. Ale na ścianie nie ma miotacza ognia, jak tam. Przypadek? Nie sadzę. - Jej głos zaczął przybierać paranoiczne tony. - Wiesz co sądzę? Sądzę, że ty go sfajczyłeś i ukryłeś gdzieś miotacz. Tu czy tam - machnęła bronią skłaniając obu mężczyzn do panicznego kucnięcia - bez różnicy.

- Nadja - zaczął Jesse najbardziej uspokajającym tonem na jaki potrafił się zdobyć - to nie ma wielkiego sensu, chyba przyznasz. Sama powiedziałaś, że chłopak nawet nudy nie potrafiłby zabić, pamiętasz? I zgadzam się z tobą, to pierdoła - zignorował urażone spojrzenie McNee'a. - Poza tym, po co miałby zabijać Sobolewskiego? I gdzie schowałby miotacz ognia? Zacięty wyraz twarzy Nadji nie zmienił się nawet o jotę, ale Jesse wiedział, że przetrawia to co przed chwilą powiedział. Zwrócił się do stojącego pod ścianą chłopaka.

- A co z dzikusem?

- Szedł ostatni. Kiedy buchnął płomień był na korytarzu, potem go nie widziałem.

- Może to on go spalił? - bandytka uparcie szukała winnych.

- Prędzej wezwał swojego boga ognia - uśmiechnął się ponuro Jesse. - Wątpię czy on zna inną broń niż ten wielki młot, który przy sobie dźwiga.

- Na pewno dopadły go deathclawy - oświadczył drżącym głosem Steve. - To właśnie do nich strzelałem.

- Jakie deathclawy? - Nadja rozejrzała się ostentacyjnie dookoła.

- Wpadł tu jeden. Wielki, paskudny bydlak. Zaraz po tym jak pułapka spaliła Sobolewskiego. Trafiłem go kilka razy i uciekł. Potem myślałem, że wraca, więc mało cię nie zabiłem… - McNee zwiesił ze skruchą głowę.

- To się nie trzyma kupy - mruknął Jesse. - Ani twoja wersja, ani jej teoria. Jesteś pewien tego deathclawa? Było ciemno. - Wzrok chłopaka wystarczył mu za odpowiedź.

Zanim zdążył coś powiedzieć rozbrzęczał się dzwonek. Wgapili się w niego ze zdziwieniem.

- Czy Santino się bawi tymi dzwonkami?

- Przynajmniej jeszcze żyje...

- Może to Thonk dotarł do drugiej sypialni?

- I odkrył trupa Melody? Rewelacja.

- Znaleźliście ją?

- Ją tak, klucza nie.

- Cholera, zdechniemy tu...

- Cisza!

- Dobra, chodźmy do tamtej sypialni. Może dzikus znalazł klucz.

- Szczeniak idzie pierwszy, nie ufam mu.

- No i dobrze, przynajmniej nie będę szedł na końcu.

- ...

- OK, ja pójdę na końcu. Chodźmy już!

Poszli. Szybko, sprawnie, prowadzeni przez Nadję. Łatwo odnaleźli drugą sypialnię, wparowali do niej z bronią jak dobry, zły i brzydki.

Thonk znalazł klucz.

- Był pod łóżkiem. Thonk pomyślał, że Jesse i Nadja znaleźli żmiję-złodziejkę, ale ona schowała gdzieś czerwony amulet. Więc Thonk zaczął go szukać i… - urwał pod morderczymi spojrzeniami Jessego i Nadji - znalazł...?

- Dawaj klucz - Jesse wyrwał dzikusowi bezcenny kawałek plastiku. - Skąd się tu w ogóle wziąłeś?

Barbarzyńca spuścił głowę.

- Thonk uciekł. Kiedy piekielny płomień pochłonął metalowego rycerza, Thonk się przeraził i zaczął uciekać przed siebie. Nabił sobie guza - wskazał na opuchnięte czoło, ale, nie widząc współczucia, kontynuował: - Bogowie czuwali nad Thonkiem i pozwolili mu dobiec do światła. Tu znalazł amulet i nacisnął guzik, jak mu kazano.

- Dobry Thonk - mruknął zdenerwowany Steve. - Możemy już wracać na górę? Proszę...

- Przestań się mazać - zwróciła się w jego stronę Nadja. - Jak...

Dalsze jej słowa przerwał ten sam nieludzki wrzask i głośny huk. Wrzask nie niósł się tym razem poprzez szyb wentylacyjny, dochodził z korytarza, z któregoś z pobliskich pokoi. Huk pochodził z pomieszczenia, w którym stali i był odgłosem wystrzału z pistoletu typu Desert Eagle, kaliber .44. McNee spojrzał ze zdumieniem na czerwoną dziurę po lewej stronie swojej klatki piersiowej i osunął się bez słowa na ziemię. Nadja patrzyła rozszerzonymi z przerażenia oczami to na jego zwłoki, to na błękitny dymek unoszący się z lufy jej pistoletu.

- Ja… ja nie chciałam… OK? To przez ten wrzask… Podskoczyłam i sam wypalił… Serio! Nie chciałam gnojka zabić… - Zginął przez przypadek… - Jesse patrzył ponuro na trupa chłopaka.

- Klątwa - szepnął Thonk. - Thonk wie.

- Zamknij się - odrzekł machinalnie Jesse. Może i klątwa, cholera wie. Wszyscy tu zginą?

Wstrząsnął się na odgłos kolejnego wrzasku. Z jego gardła wydobył się nieartykułowany warkot. Wślepił się wściekle w półmrok za drzwiami i wyszedł na korytarz.

- Dokąd idziesz? - Nadja i Thonk byli tuż za jego plecami.

- Zobaczę, co się tak drze - w głosie młodego biznesmena pobrzmiewała zimna determinacja. - Wy wracajcie z kluczem na górę.

- Nie puścimy cię same… - wzrok Jessego trzasnął ją po twarzy jak nahajka.

- Pójdę tam sam - wycedził przez zęby. - Wolę zginąć natychmiast albo rozwalić to kurestwo niż czekać aż zabije mnie jakaś klątwa czy inne badziewie. Wy wrócicie na górę i NIE BĘDZIECIE mnie szukać, jeśli nie wrócę. Czy to jest jasne? - Jego oczy były w tej chwili niemal tak straszne jak stalowe węgielki Santino.

Nadja skinęła wolno głową i zawróciła w stronę schodów. Thonk podążył za nią. Nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Czerwony amulet? - Rzekł pytająco.

Jesse rzucił mu klucz. Poprawił chwyt na shotgunie i ruszył w stronę rozlegających się z równomierną częstotliwością wrzasków i śmiechu. Dudnienie zlało mu się w uszach z tętnieniem własnej krwi. Dotarł do pomieszczenia, z którego dochodziły potworne odgłosy. Oblizał wargi z potu i wziął głęboki wdech. Shotguna umieścił pod pachą, tak by móc z niego strzelać jedną ręką; latarkę wyciągnął przed siebie jak tarczę z oślepiająco białego światła. Pewnym, szybkim krokiem wszedł do pokoju. I stanął jak przyklejony do dywanu.

Przez kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund wpatrywał się z chorobliwą fascynacją w rozgrywającą się przed nim scenę. Nie potrafił oderwać oczu od potwornego widoku, jaki wyławiało z ciemności światło latarki. Powinien krzyczeć albo wymiotować, ale system oddechowy i trawienny zamarły w nim; był w stanie tylko wgapiać się z przerażeniem i niedowierzaniem w źródło nieludzkich odgłosów. W końcu z wysiłkiem uniósł zbrojne ramię. Pojedynczy huk uciął kolejny, wzbierający dopiero, szaleńczy wrzask. Odwrócił się i skierował w stronę schodów. Szedł jak otępiały, nie zwracając uwagi na grożące mu, być może, niebezpieczeństwo. Nie pamiętał jak doszedł do sali balowej, do świadomości przywróciły go dopiero utkwione w nim, nieruchome oczy Santino. Pomyślał, że gangster nie żyje, ale ten mrugnął i, jakby odgadując jego myśli, uśmiechnął się z trudem. Nadja poderwała się na jego widok.

- Bogom dzięki, że żyjesz! Słyszeliśmy strzał… Potem ciszę… To znaczy ciągle jeszcze, kurwa, dudni, ale już nie ma tych wrzasków… Chciałam iść po ciebie, ale pamiętałam co mówiłeś… i w ogóle - plotła bez sensu, najwyraźniej szczęśliwa z jego powrotu. Mózg Jessego ledwie rejestrował jej słowa.

- Blauberg? - Głos Santino brzmiał, jakby ktoś tarł papierem ściernym o jego struny głosowe.

- Tak.

Nadja chciała o coś zapytać, widocznie nie usatysfakcjonowana enigmatycznością jego odpowiedzi, ale słowa zamarły jej w gardle, gdy napotkała wzrok Jessego. Cofnęła się do kanapy, mamrocząc coś pod nosem i usiadła nie patrząc w jego stronę. Rozejrzał się po sali. Santino był na granicy śmierci, Thonk siedział niewzruszenie na podłodze, obłąkana Daphne bełkotała do siebie, skulona w swoim kącie. Czerwony amulet leżał znowu na stole, zdając się kpić z ludzi, którzy nie mogli zeń

skorzystać. Podszedł wolno do stołu.

- Czekamy do rana i wynosimy się stąd. W ciężką cholerę. - Słowa zabrzmiały tak słabo, że nie przekonały nawet jego.

Jesse oparł się o stół. Próbował zamknąć oczy, ale ilekroć zmrużył powieki, powracał ten sam widok. Blauberg siedzący w półpłynnej kałuży własnej krwi i wnętrzności, z rozciętym brzuchem i wyprutymi na wierzch włóknami nerwowymi. Jackson Blauberg z jednym okiem wyłupionym, zwisającym na policzku na wydartym nerwie wzrokowym i obraną ze skóry lewą ręką. Profesor Jackson Blauberg, z wyrazem dziecinnej radości na twarzy krojący się zardzewiałym skalpelem kawałek po kawałku i wybuchający co chwila to szaleńczym wrzaskiem bólu, to obłąkańczo radosnym śmiechem.

Jesse nie liczył upływających godzin. Przestały go obchodzić. Santino siedział nieruchomo, od czasu mrugając powiekami, jakby chciał dać znać towarzyszom, że jeszcze żyje. Gangster wydawał się o połowę chudszy, był blady jak ściana, o którą się opierał, a żyły miał nabrzmiałe i grube jak rzemienie. Thonk tkwił w tureckim siadzie jak spetryfikowany; ciężkie powieki miał opuszczone do połowy. Nadja wgapiała się tępo w burzę. Nawet Daphne umilkła i próbowała przewiercić oczami ścianę. Poczuł nagle, ze zaschło mu w gardle. W ciągu ostatnich kilku godzin pił tylko whisky, teraz i to się skończyło. Rozejrzał się po stołach. Na jednym z nich leżał spory, postnuklearny arbuz, o przyjemnym, fioletowym odcieniu i łupinie twardej jak gąsienica czołgu. Podszedł do niego chwiejnie i sięgnął po nóż, który nosił zawsze przypięty na goleni. Palce znalazły tylko owłosioną łydkę i pustą pochwę. Jesse znieruchomiał. Z miejsca zapomniał o pragnieniu. Myśli, dotąd snujące się leniwie pod czaszką, naraz ruszyły stampedo. Już wiedział, dlaczego rana ma szyi Campbella wydała mu się znajoma. Jego nóż, ciężka szeroka broń, miał po latach używania charakterystyczną szczerbę na ostrzu. Ta szczerba powodowała, że każde nacięcie pozostawiało z jednej strony lekko falisty kształt, jakby toporną falbankę. Rana Campbella miała właśnie taki kształt. Nie skojarzył tego wcześniej, bo nie mogło przyjść do głowy, że ktoś ukradł mu nóż z pochwy na nodze i zamordował nim Starego. Cholera, nawet teraz to wydawało mu się nieprawdopodobne. Chyba że… Bzdura! Jesse mógłby zabić Campbella, pod warunkiem, że cierpiałby na okresowe przebywanie w dwóch miejscach na raz, połączone z zanikami pamięci. Zachwiał się na nogach pod nagłym naporem nieprawdopodobnych myśli. Zaczął kojarzyć fakty, które nie dawały mu spokoju. Zegarki, ghul, Melody, Blauberg, super-mutanty, duchy, deathclawy… Wnioski nasuwały mu się tak szokujące, że automatycznie wypierał je z mózgu. Poczuł na sobie czyjś palący wzrok. Spojrzał i napotkał płonące gorączką oczy Santino. Gangster odsłonił zęby pozieleniałe od gnijących dziąseł. Chciał coś powiedzieć, ale z gardła wydobył mu się jedynie cichy charkot. Jesse wbrew sobie podszedł i kucnął obok konającego.

- Jak leci? - Głos Santino był tak słaby, jakby dobywał go z płuc już tylko siłą woli.

- Do dupy.

- Błyskotliwa riposta - spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. Przełknął z wysiłkiem ślinę. - Umieram.

- Widzę.

- Nie, umieram w tej chwili... za moment.

- Widzę.

- Wiesz, pod koniec życia sporo myślałem - tym razem udało mu się osiągnąć coś w rodzaju uśmiechu - i ty chyba też.

Jesse nie odpowiedział.

- Blauberg… zabił się sam, prawda? Pokroił się?

Popatrzył badawczo na umierającego gangstera.

- Skąd wiesz?

- Mówiłem ci, że sporo myślałem. Nie jestem tępym karkiem z Nowego Reno. A ty co wymyśliłeś?

Młody przemysłowiec milczał.

- No, dalej… Nie będę się śmiał.

- Sądzę, że to ja zabiłem Campbella.

Ku jego zaskoczeniu Santino nie okazał zdziwienia. Pokiwał z aprobatą głową.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie - sardoniczna twarz gangstera przybrała poważny wyraz. - Idź tam, gdzie mnie wtedy znaleźliście… z Daphne. Idź sam, najlepiej nie bierz ze sobą nawet broni. Pamiętaj, jeśli będziesz sam, nic nie grozi. Kiedy już będziesz na miejscu… - urwał, zmęczony długą przemową. Zamknął oczy i Jesse sądził przez moment, że umarł. Jednak po chwili gangster otworzył swoje straszne, wycieńczone oczy i ciągnął dalej: - Przeszukaj dokładnie wszystko dookoła. Podłogę, kosze na śmieci... Wiesz czego masz szukać?

- Chyba tak.

- Jasne, że tak… Cwany z ciebie chłopak… Nie wyjdziesz stąd żywy, ale może przynajmniej załapiesz o co biega, hm? - Gangster odkaszlnął sucho. Popatrzył Jessemu prosto w oczy. Jego szare ślepia były wciąż przerażające, czaiła się w nich gorączka, okrucieństwo, ostra inteligencja, ale chyba i cień przyjaźni.

- Twardziel z ciebie, Gomez. Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Rozwalilibyśmy całe Nowe Reno próbując się nawzajem zabić.

Jesse skinął tylko głową, nie wiedząc co odpowiedzieć. Napięta twarz Santino rozluźniła się.

- Arrivederci, meksykańcu.

- Adios, makaroniarzu.

Jesse odruchowo odnalazł i ścisnął twardą dłoń gangstera. Odwrócił wzrok, żeby nie widzieć wdzięczności malującej się wbrew woli Santino na jego twarzy. Trzymał jego dłoń dopóty, dopóki nie poczuł jak wiotczeje i opada. Spojrzał w mroczne oblicze mafioso. Stalowe oczy Włocha, straszne nawet po śmierci, patrzyły nieruchomo w podłogę i gdzieś poza nią. Zamknął je.

- Paisan kopnął w kalendarz? - Dobiegł go ostry głos Nadji. Skrzywił się i podniósł.

- Schodzę na dół.

- Idę z tobą - Nadja wstała na równe nogi.

- NIE! - Sam się zdziwił tonem swojego głosu. Bandytka popatrzyła na niego ze zdumieniem, nawet Thonk wyrwał się ze swojego letargu.

- Nie. - Powtórzył łagodniej. - Nic mi nie grozi, uwierz. Schodzę na dół, sam. Niedługo wrócę.

- I tak wszyscy są martwi - grobowy bas Thonka był równie pocieszający jak komunikat sprzed 170 lat o zbliżających się szybko nad Stany Zjednoczone grupie obcych obiektów latających.

- Zamknij się - warknęli chórem. Nie wydało im się to zabawne.

Jesse sprawdził giwerę. Pomimo słów Santino wolał nie schodzić na dół bezbronny. W końcu nie był pewien… Nadja obserwowała go, jakby ważyła w sobie jakąś decyzję. W końcu podeszła do niego i z wahaniem pocałowała go w usta. Jej wargi były twarde i smakowały pustynią. Radioaktywną, gorącą pustynią, pełną szkieletów, przedwojennego złomu i dzikich mutantów. Jej pocałunek napełnił go jednak otuchą. Uśmiechnął się i wyszedł w mrok.

Doszedł bez kłopotów do miejsca, w którym kilka godzin?… dni?… wieków?… temu znaleźli nieprzytomnego Santino i obłąkaną Campbellównę. Wszystko w ogóle szło mu bez problemów. Jeżeli jego przypuszczenia się potwierdzą, wielka, ciemna rezydencja nie będzie groźniejsza, niż domek babci w Redding. Rzeczywistość okaże się znacznie bardziej przerażająca.

Zaczął przeszukiwać podłogę, omiatając ją posuwistymi ruchami latarki, sprawdził jeden, i drugi kosz na śmieci. Zaczął już podejrzewać, że Santino i on się mylili, kiedy nagle, na kuchennej podłodze, jego dłoń natrafiła na metalowy przedmiot. Serce stanęło mu w piersi. Podniósł znalezisko do góry i obejrzał je w świetle latarki. Był to ciężki, żelazny kastet, zakończony dwoma zagiętymi, zakrwawionymi nożami. Szpony Deathclawa. Jesse starał się nie dotknąć zatrutych ostrzy; przyjrzał się jednak uważnie rękojeści broni. Szorstki, metalowy uchwyt był poznaczony rdzawymi, świeżo zaschniętymi plamkami krwi. Oprócz nich, na rękojeści było kilka skrawków czarnego jedwabiu. Malutkie kawałki delikatnych, czarnych rękawiczek Daphne.

Osunął się na ziemię i drżącymi rękami objął głowę. Teraz, kiedy się upewnił, najbardziej nieprawdopodobne kawałki mozaiki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Jesse myślał jasno jak nigdy dokąd, w ciągu kilku sekund dotarło do niego wyjaśnienie ostatnich wydarzeń. Nie było potworów, demonów ani deathclawów. Nie było krwiożerczych, podstępnych super-mutantów. Przez cały czas w domu nie było nikogo poza nimi. Zabijali się nawzajem.

Z nagłym uśmiechem sięgnął do tylnej kieszeni, pewien tego co tam znajdzie. Kiedy wyciągnął

dłoń, leżał na niej niewielki krążek metalu. Bateria do jego zegarka. Skąd się tam wzięła? Sam ją wyjął. Skurwysyn Campbell naprawdę chciał się na nich zemścić. Pożądał zemsty tak bardzo, że gotowy był nawet oddać za nią życie, byleby tylko mieć pewność, że nikt nie przeżyje jego rewanżu. Dlatego urządził przyjęcie w czasie burzy, podczas której nikt nie mógł opuścić posiadłości. Dlatego opowiedział Steve'owi tyle o swoim domu. I dlatego zorganizował to cholerne dudnienie! Nie miał pojęcia, co je emitowało. Coś co Campbell umieścił w podziemiach, jakaś maszyna, a może thonkowa magia. Bez różnicy. To dudnienie zahipnotyzowało ich wszystkich. Ogłupiło, poddało ich jego woli. Melody… Melody nie słyszała żadnego dudnienia. Jej się nie Stary spodziewał, do niej nic nie miał. Miała rację, twierdząc, że jest tu nadprogramowo. Cały czas nic jej nie groziło, bo ogłupiona dudnieniem i zaprogramowana przez Campbella podświadomość gości nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia. Wyszłaby z tego z życiem, gdyby nie jej głupota i arogancja. Samo dudnienie jednak by nie wystarczyło. Pełniło tylko rolę wyzwalacza, egzekutora zapisanych głęboko w podświadomości ofiar komend. Nieuchwytne dla ludzkiego ucha zmiany natężenia czy częstotliwości prowadziły do uwalniania się zakodowanych w niedostępnych dla świadomości partiach mózgu poleceń. Te rozkazy musiały być wcześniej wydane, podyktowane do nieświadomego, zahipnotyzowanego mózgu. Wspólny toast.

Obrazy zmieniały się głowie Jessego jak w dziecięcym kalejdoskopie. Toast zaprawionym narkotykiem winem. Sparaliżowani goście, gapiący się przed siebie niewidzącymi oczami. Uśmiechnięty jak słodka trucizna Campbell, dyktujący każdemu z osobna jego instrukcje. Ofiary wyjmujące baterie z zegarków, by nie mogli zauważyć czasu, jaki pochłonęła cała operacja. On sam, maszerujący jak kukła do gabinetu Campbella i podrzynający mu na jego własne polecenie gardło, pozbywający się gdzieś narzędzia zbrodni i wracający do nieświadomych jego nieobecności gości. Wierny jak pies ghul-kamerdyner, ukrywający ciało swego pana w tajnym przejściu i zabijający się na otwartej klapie do katakumb. Blauberg, wyjmujący gapiącemu się tępo w ścianę Santino pistolet plazmowy zza paska i maszerujący przez cały korytarz, żeby zabić osamotnionego Jeffersona; Santino, przekonany, że widzi przy sobie cały czas profesora. Melody, dostrzegająca prawdziwego zabójcę, ale nie upierająca się przy swoim, niepewna swoich racji. Sobolewski, odcinający promieniem lasera swojemu dowódcy głowę i zatykający ją na pręcie. Daphne, tnąca Santino znalezionymi w kuchni, zatrutymi pazurami i wpadająca w obłęd. Orion, skręcający sam sobie potężnymi łapskami kark, ponosząc odpowiednią karę za jakieś nieznane Jessemu przewinienie. Blauberg, odłączający się od grupy i patroszący się własnoręcznie godzinami, w zemście za "eksperymenty" na psie Campbella. Steve McNee, zdejmujący ze ściany sypialni miotacz ognia i palący Sobolewskiego żywcem; wrzucający broń… gdzie? Do szybu wentylacyjnego, gdzie nikt nie sprawdzał? Thonk, pędzący co sił w nogach, byle dalej od miejsca zabójstwa. Nadja, pociągająca niechcący za spust, akurat wtedy, kiedy miała broń zwróconą w stronę Steve'a. Wszystkie rozkazy były już tam, w środku, po prostu zostały w odpowiedniej chwili uwolnione przez dudniącą maszynę, tak to musi być maszyna i to inteligentna, żeby wiedzieć kiedy zmienić ton dudnienia.

Potwory… Podświadomość podsuwająca więźniom w momencie kontaktu z rzeczywistością obraz ich największych lęków. Demony Thonka, deathclawy Steve'a, jego super-mutanty, padre Santino. Każdy, kiedy miał okazję dostrzec co się naprawdę dzieje, widział, czuł i słyszał to, czego najbardziej się bał i nienawidził. Czyhające na każdym rogu zagrożenie, projekcja ich własnych, najsilniejszych fobii. Ciekawe co zobaczyła Daphne, że ją tak strasznie przeraziło… Może nic, może jej obłęd też był zakodowany i nie wymagał dodatkowego bodźca...

Co Campbell przeznaczył im? Towarzyszowi, który zostawił go na pewną śmierć, przyjacielowi, który złożył go w ofierze dzikim bestiom, kobiecie, która go kiedyś odrzuciła? To nieistotne, Jesse roześmiał się radośnie. Teraz już zna jego sekret, szkielet jego zemsty. Tego pierdziel nie przewidział, nie sądził, że znajdzie się ktoś na tyle inteligentny, żeby rozwikłać zagadkę. Rozwiązanie jest banalne. Wystarczy sobie zatkać uszy, zalepić, jak Ulissess kuszony przez syreny. Wróci do pozostałych przy życiu współwięźniów, ogłuszą się na zabójcze dudnienie, a rano, kiedy burza będzie już tylko wspomnieniem, otworzą pieprzonym kluczem pieprzone drzwi i opuszczą tą pieprzoną rezydencję. Wygrali, kurwa jego mać, wygrali!

Wtedy właśnie, poprzez dudnienie, które nabrało w jego umyśle nowej barwy, nowego odcienia,

doszedł go śmiech. Nieprzerwany, histeryczny, przepojony dziką radością i potwornym przerażeniem śmiech obłąkanej dziewczyny. Nie miał wątpliwości skąd dochodzi.
Drogę do sali balowej przebiegł w niecałą minutę, prowadzony instynktem i odgłosem niesamowitego, szaleńczego chichotu, lejącego się jak górski potok, bez żadnej przerwy na nabranie tchu. Wpadł do pomieszczenia, kopiąc leżącego na podłodze srebrnego desert eagle'a.
Daphne siedziała na parapecie i zaśmiewała się obłąkańczo, patrząc na podłogę, gdzie, niczym kochankowie, leżały splecione w śmiertelnym uścisku dwa martwe ciała.
W nieruchomych oczach Nadji zastygła szaleńcza furia, ciało miała wyprężone w sztywny łuk. Silne, muskularne kończyny owijały się wokół potężnego ciała Thonka, paznokcie orały mięśnie ramion, a białe, ostre zęby sięgały gardła. Na twarzy dzikusa malowała się wciąż ta sama fatalistyczna obojętność, której nie mogły zakłócić nawet zęby bandytki zatopione głęboko w jego krtani. Thonk zginął od kłów dzikiej bestii. Martwe brązowe oczy spoglądały bez lęku w twarz nadchodzącej śmierci. Potężne ramiona obejmowały Nadję jakby czułym uściskiem, miażdżąc jej klatkę piersiową, łamiąc żebra, gniotąc płuca. Jesse klęknął nad zakrwawionymi ciałami, starając się dociec przyczyny śmierci bandytki. Daphne, jakby odgadując jego myśli, przestała się śmiać i odezwała się niespodziewanie z obłąkańczą wesołością:

- Pękło jej serce…! - Przekręciła głowę popatrując na niego spod oka i zachichotała.

Jessego tknęło przeczucie tak straszne, że nawet się go nie przeląkł. Spojrzał na stół. Był pusty. Kucnął nad zwłokami i z wysiłkiem rozgiął palce wielkiej dłoni Thonka. Tak jak się spodziewał, olbrzymia garść była pełna zmiażdżonego plastiku. Barbarzyńca umarł, ale wcześniej, posłuszny zakodowanemu w jego mózgu nakazowi, zniszczył bezcenny czerwony amulet. Ich jedyny klucz do bram więzienia. Bilet na wolność. Haust powietrza dla tonącego, dawka jetu dla głodującego ćpuna, zimny kompres dla gorączkującego i co tam jeszcze.
To była klątwa. Perfekcyjnie zaplanowana, przemyślana w każdym szczególe, poczęta w genialnym i szalonym mózgu klątwa, z którą nikt mógł walczyć. Ani on, ani Santino, ani nikt inny. Każdy z więźniów zginął dokładnie taką śmiercią, jakiej pomysł zrodził się w chorym, przepełnionym żądzą zemsty umyśle gospodarza. Jego córka zmieniła się w obłąkane, popiskujące, śliniące się beztrosko zwierzątko. Nieświadomość własnej sytuacji była jej błogosławieństwem. Ale Jesse wiedział, że pozostał jeszcze on. Że wyznaczono mu najdłuższą i najpowolniejszą śmierć. Nie było mu pisane pogrążające w błogiej nieświadomości szaleństwo, ani gwałtowny morderczy szał zakończony szybkim zgonem. Dziesięć lat temu pozostawił Campbella w szybie opuszczonej kopalni, uciekając z mapą pokreśloną znakami wskazującymi lokalizacje złóż uranu, które uczyniły go bogatym. Dziesięć lat temu pozostawił towarzysza w głębokim, niedostępnym szybie opuszczonej kopalni, skazując go na powolną śmierć z głodu, pragnienia, a w końcu z utraty powietrza. Nie miał pojęcia, jak udało mu się stamtąd uciec, ale wiedział, że jemu się taka sztuka nie powiedzie.
Spojrzał w okno. Świtało. Kłęby czerwonawego, niosącego śmierć pyłu były coraz rzadsze, coraz wolniejsze. Burza cichła, za kilkadziesiąt minut ustanie zupełnie, a palące słońce znów skąpie pustkowia w gorącym blasku. A on będzie siedział tu i cieszył się tym widokiem, podziwiał surowe piękno radioaktywnej pustyni z wnętrza swojej wielkiej, hermetycznej, luksusowej złotej klatki, bez jedzenia, bez picia, z kończącymi się zapasami tlenu. Jeśliby przycisnął twarz do okna mógłby dojrzeć swojego wielkiego thunderbirda zaparkowanego przed posiadłością, pełnego zapasów wody i pożywienia, z zimnym silnikiem rwącym się do drogi. Mógłby biegać po swoim więzieniu, licząc na to, że znajdzie gdzieś zapomnianą paczkę sucharów czy karton skwaśniałego mleka, a może nawet, Boże jedyny, zapasowy klucz, schowany głęboko w którymś z sejfów. Ale był pewien, że nic takiego nie znajdzie. To nie była gra, Campbell nie zamierzał dawać mu szansy. Poświęcił własne życie, żeby dopełnić zemsty, więc nie ryzykowałby, że ostatnia ofiara wymknie się śmierci.
Naturalnie, jego wspólnicy w Los Angeles mogli się zaniepokoić jego przedłużającą się nieobecnością. Mogli zorganizować ekipę poszukiwawczą, mogli odnaleźć tę rezydencję, mogli sforsować drzwi, mogli nawet uczynić to wszystko na tyle szybko, żeby w środku znaleźć coś więcej niż tylko posiniałe z braku tlenu zwłoki, leżące na podłodze w pokoju pełnym trupów. Tak, jego przyjaciele mogli go jeszcze uratować. Wszystko mogło się jeszcze wydarzyć, prawda? Mógł pozwiedzać olbrzymi dom, poprzeglądać holodyski i czekać na śmierć. Mógł zgwałcić i zjeść

patrzącą się na niego z wyrazem wesołego debilizmu na twarzy Daphne, a potem siedzieć w bezruchu na kanapie oszczędzając tlen, nie dzieląc go z inną osobą, delektując się każdym łykiem. Mógł poderżnąć sobie gardło skorupą butelki i pożegnać świat wykrwawiając się na podłodze.
Zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Miał przed sobą całe życie. Wypuścił dym i uśmiechnął się do Daphne, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

KONIEC

© Łukasz Górski lipiec - 2002
(ostateczna wersja: sierpień 2005)

OBŁĘDNY RYCERZ

"The Pain is here - to tell me that I'm still alive!
Alive! Alive to fight another day..."
Hatebreed, "The Most Truth"

Co dzień marzę o tym by położyć się spać i po przebudzeniu odkryć, że znajduję się... gdzieś indziej nawet, jeśli miałaby to być czeluść z huczącym ogniem, czy wielki kocioł z wrzącym olejem. Wtedy wiedziałbym przynajmniej, że jest to miejsce, do którego zawsze pisane mi było trafić. Piekło i tak pewnie okazałoby się rajem po tej... nędznej parodii egzystencji, z którą każdego dnia próbuję się zmierzyć. Wiem, że te nieliczne chwile, kiedy jestem w stanie samodzielnie myśleć, znajdujące się na cienkiej granicy między snem a jawą, za chwilę miną. Już czuję nadchodzące przebudzenie - jak zwykle, prowadzi ze sobą swego paskudnego kumpla, koleżkę, którego i ja dobrze znam - ze wszystkich stron - gdyż jest on także 'mym' towarzyszem... Przebudzenie wiedzie, bowiem Ból. Ten sam, który właśnie przemierza drogę od koniuszków palców u stóp do czubka głowy, by w końcu powrócić i zatrzymać się w okolicach żołądka i klatki piersiowej... Po porannym ataku jestem już w stanie poczuć chłód wilgotnej, kamiennej podłogi. Otwieram oczy. Zamazany obraz wyostrza się nieco po dłuższej chwili, więc mogę ujrzeć me więzienie. Próbuję usiąść, lecz drżenie całego ciała, którego do tej pory nie zauważyłem, zwala mnie z powrotem na ziemię. Po chwili dociera do mnie, że już trzy dni jestem bez dawki... Znając życie zaraz zjawi się ten gruby skurwiel - Rodriguez - w towarzystwie kilku cyngli z ciężką bronią i rzuci mi pod nogi jakiś ochłap, który ma mnie trzymać przy życiu póki...

- Nie słyszysz jak do ciebie mówię, Kerry?! - Kiedy on tu przylazł? Nadludzkim wysiłkiem podnoszę głowę i spoglądam w tłustą mordę tego gnoja, która aż sama prosi się o to, by jej przygrzmocić.

- Niestety słyszę cię doskonale śmieciu... A teraz daj mi działkę!

- Ooh, czyżby malutki Kerruś się niecierpliwił? Oczywiście tatuś da mu cukierka - ale nie od razu! Grzeczne dzieci nie jedzą słodyczy przed obiadkiem.

Jeden z ludzi tego szczura rzuca mi w twarz kawałem zimnego, niedopieczonego mięcha. Nie ma to jak codzienna dawka składników odżywczych. Kiedy ja dokonuję najbardziej heroicznego czynu na jaki mnie w tej chwili stać, Rodriguez z sarkastycznym uśmiechem wbija we mnie swoje chciwe, obleśne spojrzenie a jego ludzie rechoczą... Rechoczą patrząc jak z olbrzymim trudem siadam i opieram się o ścianę. Ich rechot przechodzi w cichy, szyderczy śmiech, gdy podnoszę bezkształtny ochłap do ust. Po tym jak pierwszy kęs znajduje się w żołądku muszę przez chwilę zwalczać wymiotny odruch. Staram się nie słyszeć cyngli, zamykam oczy i zaczynam jeść. Przełykam to świństwo kawałek po kawałku - tak jak zawsze - pokrzepiając się myślą, że z każdym łykiem jestem coraz bliżej uzdrowienia... Bliżej zbawienia... Bliżej uzyskania działki... W końcu połykam resztkę mięsa i spoglądam wyczekująco na Rodrigueza.

- Dobry piesek, taaak dobry. Przysporzy dziś panu dużo pieniążków.

- Dawaj...

- O tym mówisz? - Stary szczur unosi w górę strzykawkę wypełnioną ciemnobrązowym płynem. W jednej chwili zrywam się z ziemi i rzucam na bydlaka! Potężne łańcuchy jak zwykle zatrzymują me dłonie 'tuż' przed jego twarzą. Przez chwilę miotam się jak zwierze w klatce. Widzę jak on i jego ludzie rechoczą, lecz nie słyszę ich. Jedyne dźwięki, jakie do mnie dochodzą to szum mej własnej krwi i głos, który każe mi zabić. Zabić! ZABIĆ! By tylko móc wstrzyknąć w siebie boską substancję i w końcu ulżyć skatowanemu ciału! Szał znika równie szybko jak się pojawił a podłoga trzęsie się, gdy zwala się na nią me ciało...

***

Jak zwykle - dałem się podejść... I z ogromnym, paraliżującym bólem obudziłem się w klatce przy arenie - jak zwykle. Rodriguez zawsze stosował ten trik gdy zbliżał się dzień walki - najpierw dwa, trzy dni postu od wszystkiego, a później prowokacja i strzykawa z potężnym środkiem nasennym. Śmieć wie, że gdyby dopuścił mnie zbyt blisko siebie zginąłby w męczarniach - i ma cholerną rację! Myśl o zabijaniu tej opasłej świni dodaje mi sił. Łapię za kraty i podnoszę się na klęczki. Przez chwilę walczę z potężnym zawrotem głowy, któremu oczywiście towarzyszy Ból.

- Może przestaniesz się w reszcie modlić i założysz pancerz?! Szef zaraz przyjdzie, więc rusz dupsko!

- Nie słucham go... Na arenie kilku, punków toczy właśnie walkę z Vhaav'em. Takim jak oni wydaje się, że jeśli mają dziesięciokrotną przewagę liczebną i kilka kolczastych łańcuchów to zabiją nawet szpona śmierci. Vhaav obrywa, ale wygląda na to, że... nie chce walczyć. Publiczność klnie i buczy na bestię, lecz ona niewzruszona przyjmuje ciosy nawet wtedy, gdy powalają ją na piach i dopadają z nożami... Nie do wiary... To już naprawdę koniec... Czyżby stary weteran po dwóch latach krwawych walk - właściwie rzezi, których dokonywał na wrogach - podjął decyzję zakończenia tego marnego żywota? To niemożliwe... Patrzę na obrzydliwą publiczność, która domaga się rozrywki, która domaga się krwi, ale nie takiej, jaka popłynęła dziś z Vhaav'a. Oni chcą by krwi towarzyszył strach, niepowstrzymana agonia. Chcą śmiać się z cierpienia i obsranych spodni zabijanego stworzenia. Widzę jak trzech uzbrojonych cyngli podchodzi do zmasakrowanego ciała włochatego stwora. Jeden z nich oddaje kilka kontrolnych strzałów w jego głowę, po czym wywlekają ciało poza arenę. Kiedy przechodzą obok mojej klatki mogę poczuć zapach krwi i zauważyć setki drobnych ran i kilka zwisających kawałków mięsa. Kilka zwisających... ochłapów... Nagle strażnik, który mnie pilnował, wyskakuje znienacka od strony areny i poganiaczem bydła uderza w twarz. Palący ból na chwilę odbiera mi wzrok...

- Nie słyszysz, co do ciebie mówię bydlaku?! Zakładaj zbroję i płaszcz!

Zaraz, co on powiedział? Zbroję? Oglądam się za siebie i faktycznie widzę mój napierśnik... Ten sam, który miałem na sobie podczas Odwrotu! Obok niego leży purpurowy płaszcz... Stary purpurowy płaszcz Wybrańców Mistrza. Mój płaszcz... Dzisiaj... Ten dzień nastąpi dzisiaj. Vhaav podjął decyzję po dwóch latach. Ja jestem tutaj już sześć... I nigdy nie było lepszej okazji do ucieczki niż szansa, którą mam tym razem... Myśli kotłują się w głowie, gdy zakładam stalowy napierśnik oraz karwasze i nagolenniki - wszystko podbite skórą bramina. Cały komplet jest nieco zniszczony przez czas, ale z pewnością wystarczy bym posłużył się nim do zdobycia wolności - w ten czy inny sposób. Gdy zakładam płaszcz, w dziury na prawym ramieniu wsuwają się kolce naramiennika.

- Już prawie zapomniałem jak wygląda mutant idący do walki. Gdy zobaczyłem cię tak ubranego przed sześcioma laty wiedziałem, że 'muszę' mieć coś takiego w swoim zwierzyńcu. - Paskudna morda Rodriguez'a taksuje mnie swymi wyłupiastymi oczyma, gdy ten uśmiecha się pykając cygaro.

- Dlaczego akurat dzisiaj?

- Ano, dlatego przyjacielu, że... psycho... - Na dźwięk tego słowa moim ciałem targa dreszcz. - ...podrożało. - Mam świetnych speców, którzy robią prochy dla moich pupilków - twoje przysmaki też od nich pochodzą - lecz pewne półprodukty potrzebne do tworzenia tego typu wojskowych stymulantów drożeją z dnia na dzień. Środki mutagenne za to... można znacznie taniej stworzyć, gdy posiądzie się odpowiednią wiedzę i sprzęt. Wiedzę i sprzęt, które są w moim zasięgu.

- Pozbywasz się mnie, tak? - Staram się być spokojny.

- Biznes jest biznes Kerry - nawet takie głupie bydlę jak ty to rozumie. Poza tym gdybym chciał trzymać cię tu dużej to i tak nie dałbym rady, bo takie... wynaturzenia jak ty są niewrażliwe na efekty środków mutagennych. Z resztą, jeśli próbowałbym faszerować cię czymś innym niż twoim syfem zdechłbyś mi w kilka, najwyżej kilkanaście dni.

- I zakułeś mnie w pancerz, bo chcesz mi ułatwić śmierć, tak? - Pytam z ironicznym uśmiechem.

- Nie bądź głupi! Dałem ci twój stary sprzęt abyś podczas swej ostatniej walki wyglądał jak

prawdziwa groza z zachodniego wybrzeża, a nie jak strzęp tego, czym byłeś dawniej... Dzisiaj masz się, choć starać wyglądać godnie.

- Po co? Nawet, jeśli wygram, i tak mnie zabijesz.

- Zgadza się! Ale jeśli ja - albo jeszcze gorzej - jeśli 'widownia' uzna, że wyglądasz jak jebany ćpun a nie gladiator, to nie ograniczę się do jednej kulki w łeb.

Groźby nie robią na mnie najmniejszego wrażenia, ale mam go dość. Zbroja dodała mi wigoru i pewności siebie, ale nie jest w stanie zaspokoić głodu...

- Daj mi cholerną działkę a dostaniesz takie przedstawienie, że nawet ty będziesz miał pełne gacie strachu! - Rodriguez wydaje z siebie cichą serie skrzeków, co jest jego odpowiednikiem śmiechu.

- Nigdy nie miałem wątpliwości, że takie właśnie będzie twoje ostatnie życzenie. A jako iż byłeś moją ulubioną maszynką do robienia forsy to 'nawet' je spełnię.

W końcu bydlak wyjmuje strzykawkę i wrzuca ją przez kratę do celi. Coś jeszcze mówi, ale poza leżącą przede mną 'trucizną' nic już nie ma znaczenia. Kiedy ją podnoszę ma ręka drży a łzy same cisną się do oczu. Po chwili opanowuję się i odnajduję żyłę. Gdy wstrzyknąłem sobie psycho... wszystkie zawroty głowy, drgawki, ciarki i cholera wie, co jeszcze zamilkły. Wyjątkiem był Ból - on w prawdzie przestał męczyć ciało, lecz zaczął szeptać memu umysłowi... Chciał bym podzielił się nim z innymi. Z każdą istotą, która znajdzie się w zasięgu ręki... i woli. Krata podnosi się. Wstaję i zakładam kaptur, po czym ruszam na środek areny gdzie, jak zawsze, oczekuje mnie wbity w ziemię Mord. Niejednokrotnie przyglądałem się jak wnosiło go tutaj dwóch ludzi - dwóch słabych ludzi, którzy powinni zginąć. Moje palce dotykają owiniętej specjalną, tkaniną rękojeści i zamykają się na niej. Płynnym ruchem wyszarpuję ogromny miecz z ziemi i wywijam potężnego młyńca, co powoduje, że efekt narkotyku zostaje dodatkowo pobudzony. Na ten widok ludzie siedzący na bezpiecznych, zbudowanych pięć metrów nad ziemią, trybunach wytrzeszczają oczy i wzdychają z podziwem - wszyscy widzieli jak miecz był wnoszony przez dwóch mężczyzn i nie wyobrażali sobie kogoś, kto mógłby go sprawnie używać. Przynajmniej ci z nich, którzy nie widzieli mnie wcześniej - dla ponad trzymetrowego supermutanta, przez całe życie szkolącego się w walce wręcz, Mord jest spełnieniem marzeń - choć imię to nadałem mu na długo po jego otrzymaniu. Dzisiaj jednak, ma on ostatecznie udowodnić mi, że na nie zasługuje. Dzisiaj - kiedy wiem już dokładnie, co należy zrobić...

KONIEC

© 2007 Kwiatmen666

W klimacie postapokaliptycznym

WANNA Z MIEDZI

Wanna z miedzi. Leżąc obserwuję zaśniedziały, powoli korodujący, podziurawiony czasem brzeg. Przez ubytki w stopie do wewnątrz wdziera się wiatr, akompaniuje mu ciche pohukiwanie. Wdziera się jednak dużo natarczywiej niż udaje się to słonecznym promieniom, próbującym przełamać niezniszczalną blokadę nieba, niezłomnego teraz, doświadczonego apokalipsą.
Spoglądam w dół. Moje ciało od niepamiętnych czasów nie doznało takiej przyjemności. Przyjemności z bąbelkami, pianą i ciepłą wodą. Przyjemność okupioną wyrzeczeniami, które powzięte nieświadomie, miałyby kolosalne konsekwencje.
"Miałem lat tylko pięć, gdy ojciec powiedział, że kiedyś czeka na mnie śmieeeerć...", zawył obok ustawiony gramofon. Płyty sprzed wojny, muzyka mojej młodości rozbrzmiała kaskadą lekkich, rockowych dźwięków. Do głowy nachalnie, bez zapytania o moją opinię, również nie o chęci, powróciło wspomnienie zmarłej żony.

- Tak mi doprawiają, sukinkoty, nawet teraz! - czasem nie potrafię się powstrzymać i mówię do siebie na głos. W tym świecie nikt już nie może obrzucić nikogo mianem frustrata.

Kątem oka, gdzieś po mojej lewej stronie dostrzegam parę ludzi, krzątających się w pobojowisku, oplątanych w łachmany, podarte koszule, pozszywane spodnie, starających się jakoś przynależeć do tej nieprzyjaznej rzeczywistości.
"Nerwy moje uzbrojone, wciąż myślałem, że zaoponować mogęęę..."
Paradna sztuka, która wygląda jak dowcip o upodabnianiu się psa i właściciela. Mimo wszystko, na chwilę czas ich pracy staje w miejscu, w momentalnym bezruchu spoglądają w moją stronę. Dziś jednak jestem tu królem, zarobiłem na to. Mogę się wysławiać, jak tylko mi się podoba.

Wanna z miedzi. Mam wrażenie, że prześwity w materiale starają się powiedzieć to samo, co natrętne myśli. Nie mogę oderwać od nich wzroku, w mojej głowie symbolizują brak. Pustkę. Jestem królem bez swojej damy. Niech to szlag. Choroba nie wybiera, mówili.
"Nic nie może być zrobione, mówi, a ja czuję, że we łzach toooonę..."

Wanna z miedzi. Czy chciała mi przekazać coś więcej? Czy już cały rok tułam się po ojczyźnie, aby trafić właśnie w to miejsce? Nie wiem. Rdza na rantach. Mimo woli zaczynam wspominać próżność ludzi poprzedniego świata. Wspominam materializm, wspominam wykupywanie miejsc w szpitalach, korupcyjne rezerwowanie kolejek do operacji. Rdza na sercach. Rdza w duszy. Rdza na sumieniu, wszędzie korozja.
"Miłości stracona, za nic mam cię, ja tylko bossa wciąż udawać chcę! Ył je!"
Rdza tak czerwona, jak kolor jej ulubionych butów. Gdyby tylko...

- Kurwa! - trzasnąłem zaciśniętą mocno pięścią o jeden z brzegów, usłyszałem chlapnięcie, z małego palca sączy się teraz drobna stróżka krwi. Brzeg okazał się być ostry.

- Proszę uważać na rdzę! - głos chłopaka z lewej strony. - Czy coś się stało? Trzeba pomóc?

Dzięki pierwszemu fragmentowi wypowiedzi obrazy sprzed wojny docierają do mnie jeszcze wyraźniej. Nie ma niczego, co mogłoby mi pomóc. Nie, stop.

"Dwadzieścia lat, zmieniłem zdanie me, o śmierci więcej nie myśleć chcęęęęee!"

- Jak masz na imię? - pytam zainteresowanego.

- Dominik, proszę pana.

- Powiedz mi jeszcze, ile masz lat?

- Siedemnaście.

Odczekuję chwilę, po czym dziękuję mu za wszystko. Wanna z miedzi. Choć teraz już można śmiałoby określić ją mianem wiekowej, dziękuję mu za tak doskonałe przygotowanie. Życzę powodzenia i odmawiam większej ilości przysług, a on się oddala. Zastanawiam się, czy tak właśnie mógłby wyglądać teraz mój syn. Do tej pory starałem się o tym nie myśleć, ale emocje wygrywają, gardło ściska się niemiłosiernie, aż do wyciśnięcia drobnych łez. Nie wiem jak mógłby teraz wyglądać, zmarł ponad pięć lat temu. Zabity przez paru renegatów, pod moją krótką nieobecność. W wieku dziesięciu lat za szczery uśmiech na twarzy i okazywanie radości w tym bezgranicznie bezsensownym świecie. Tutaj można być tylko ponurym. Czy z przymusu czy przez

konkretny powód. Nie jesteś ponury, nie masz szans. W zasadzie niczym się to nie różni od czasów przedwojennych.
"Czterdzieści lat, smutki koję, więcej śmierci się nie bojęęęęeee!"

Obok miedzianej wanny położyłem tylko maleńki nożyk. Oddałem wszystkie swoje ubrania. Wszystko na co pracowałem cały ostatni rok. Całą żywność i przedmioty co dziennego użytku porozdzielałem pomiędzy ludzi, którzy przygotowali dla mnie tę kąpiel. Ostatnią kąpiel w moim życiu...

KONIEC

© 2010 Sałatka

DZIECI BOGA

Słońce grzało niemiłosiernie, jakby chciało wypalić każdą, najmniejszą nawet oznakę życia. Wokół siebie nie widziałem żadnej rośliny, nic tylko skały i piasek. Wlokłem się, noga za nogą, po skalistej równinie, monotonnej jak tkanina obrusu. Nawet kamienne wieżyce, wystające gdzieniegdzie z płaskiego terenu, wyglądały, jakby były częścią regularnego wzoru.
Nagle jednak ta monotonia została złamana. Na horyzoncie zamajaczyło coś, co wyglądało jak ciemna kreska. Przetarłem oczy, zalane szczypiącym potem, żeby lepiej się przyjrzeć. z tego, co wiedziałem, miał być to Las - wielkie zbiorowisko kamiennych iglic. Gdzieś tam znajdowała się osada - jedna z niewielu na Skalistym Pustkowiu. Poprawiłem paski plecaka, wżynające się w skórę i ruszyłem szybciej, poganiając zmęczone nogi do nieco większego wysiłku. Do Lasu dotarłem popołudniu. Na szczęście, Skalne Pustkowia nie były prawie że dotknięte promieniowaniem, więc nie musiałem martwić się sprawdzaniem co chwilę odczytów z licznika, ani omijać gorących stref. Głównym zagrożeniem były tu niesamowite anomalie pogodowe, takie jak tornada, ale na szczęście żadne nie zechciało się na mnie napatoczyć. Właśnie trąby powietrzne (i oczywiście słońce, które zdawało się mieć tu tylko jeden cel - nie dać żyć nikomu) były powodem, dla którego osiedla musiały powstawać w osłoniętych miejscach, takich jak to, które miałem przed sobą. Gdybym miał trochę więcej czasu, pewnie zająłbym się podziwianiem grzybów i iglic, z których największe miały po kilkanaście metrów wysokości. Ale akurat w tej chwili były dla mnie po prostu kolejnymi kamieniami.
Wchodząc między kolumny wyciągnąłem z kabury, którą noszę z tyłu na pasku, stary, wysłużony pistolet. Facet, który w mieście leżącym daleko na wschodzie opowiadał mi o tym miejscu wspomniał, że nie tylko ludzie korzystają ze schronienia, jakie daje kamienny las. Osada miała leżeć niezbyt głęboko, więc zdziwiłem się trochę, ze nie napotkałem żadnego strażnika, czy łowcy. Chociaż, tak na dobrą sprawę, to nie wiedziałem, czy jakiekolwiek z żyjących tu zwierząt nadawało się do jedzenia przez ludzi. Ale, z drugiej strony, po Katastrofie nasze żołądki zdołały przywyknąć chyba do wszystkiego.
Zdając sobie sprawę z tej nienaturalnej wręcz pustki, poczułem ukłucie niepokoju z tyłu głowy. Machinalnie podrapałem się po rozczochranych, dawno niestrzyżonych włosach. Poszedłem przed siebie, ostrożnie stawiając kroki. Pod grubymi podeszwami butów skrzypiał piach, który musiał pochodzić z zerodowanych iglic. Teraz dopiero zauważyłem, jak dziwne i pokręcone kształty przyjmują te kamienne kolumny. Cienie, rzucane przy powoli zachodzącym słońcu, jeszcze bardziej potęgowały paskudne wrażenie, które zaczęło spływać z potylicy wzdłuż kręgosłupa. Potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się tego odczucia. Pomyślałem, ze coś jest chyba naprawdę nie tak, skoro zaczynam bać się cieni. I, że zdecydowanie pora szybko znaleźć bezpieczne miejsce i porządnie odpocząć.

Na domy natknąłem się zupełnie niespodziewanie. Stanąłem na brzegu sporej niecki, w której leżała osada. Większość zabudowań przypominała kształtem wigwamy, czy igloo, ale zbudowane z kamieni, połączonych jakąś zaprawą. Kilka było budynkami z prawdziwego zdarzenia, chyba jeszcze sprzed Katastrofy. Zauważyłem jednak, ze nawet wśród tych kopczyków, które wyglądały, jakby usypano je z gruzu, wiele miało porządne, stalowe drzwi, a obok stały lampy, widać, gdzieś w okolicy musiał znajdować się generator, może mieli też coś na kształt elektrowni wiatrowej. Zacząłem się zastanawiać, skąd tyle sprzętu w takiej osadzie, położonej z dala od Obszarów Centralnych. Przyszły mi na myśl dwa najbardziej prawdopodobne rozwiązania - albo zajmowali się „wykopaliskami", jak nazywano przeszukiwanie starych, mniej lub bardziej zniszczonych miast, bunkrów i stacji, w nadziei na znalezieni czegoś przydatnego, albo byli po prostu rabusiami - a to oznaczało dla mnie duży problem, bo mało kto pogardziłby licznikiem Geigera, kompasem, bronią i kilkoma innymi przydatnymi przedmiotami.
Zajęty rozmyślaniami dopiero po chwili zauważyłem, że coś jeszcze nie pasuje w tym obrazku. Nie zauważyłem nigdzie żywej duszy. Zaraz poczułem to samo mrowienie, które męczyło mnie, gdy wszedłem do Lasu. Coś tu było cholernie nie tak. Mimowolnie sięgnąłem bronią w stronę pistoletu,

który schowałem chwilę wcześniej, nie chcąc witać się z mieszkańcami z bronią w ręku. Nagle ktoś wyłonił się zza jednego z tych starych, solidniejszych budynków. Kimkolwiek byli mieszkańcy, najwyraźniej nie podzielali moich obiekcji, co do powitań, bo tym, co najbardziej rzucało się w oczy w sylwetce nieznajomego, była lśniąca stalą strzelba. Wycelowana wprost we mnie.
Solidnie zbudowany facet, trzymający tę giwerę przybliżał się powoli, cały czas trzymając mnie na muszce. Ręce miałem rozstawione szeroko, pokazując mu puste dłonie, nie chciałem go niczym sprowokować. Ruchem lufy kazał mi zejść na dół, po pochyłej ścianie niecki. Nie była zbyt stroma i już po chwili byłem na dole. Zbliżył się jeszcze o parę kroków i nagle, zupełnie niespodziewanie rozluźnił się i opuścił broń. Przez chwilę nie wiedziałem co robić, zupełnie mnie zaskoczył.

- Podróżny? - zapytał.

Przez chwilę miałem ochotę odpowiedzieć nieco złośliwie, bo kim innym mógłbym być, komornikiem? Ale szybko zreflektowałem się, przypominając sobie, że ten człowiek, w przeciwieństwie do mnie wciąż ma w ręku broń.

- Tak. Ale chyba niezbyt mile widziany...

- Takie czasy - przerwał mi w pół słowa. - Chodź - wskazał jeden z solidnych budynków.

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, o co właściwie chodzi, ale postanowiłem nie zadawać pytań póki co, za to uważnie obserwowałem otoczenie. Facet poprowadził mnie do wskazanego wcześniej budynku i otworzył jego drzwi wklepując kod w klawiaturę na ścianie obok. No nie ma co, niezłe środki bezpieczeństwa tu stosują... ciekawe, przeciwko czemu?
Weszliśmy do przedsionka, w którym nie było praktycznie nic, oprócz betonowych ścian i starej, rozpadającej się drewnianej szafy. z głębi budynku dobiegał przytłumiony gwar, jakby rozmawiało ze sobą wiele osób. Pomyślałem, ze to dziwne, że w jednym domu mieszka ich tak wielu.

-Poczekaj tu chwilę - powiedział mój przewodnik. Posłuchałem, bo co innego miałbym zrobić?

Przysunąłem się tylko do drzwi, którymi wyszedł. Miałem nadzieję, że uda mi się usłyszeć coś ciekawego, ale niestety zawiodłem się. Nawet jeżeli człowiek, który mnie przyprowadził, mówił coś w środku, to zagłuszył go szum wielu głosów, z których nie byłem w stanie wyciągnąć niczego konkretnego. Zostało tylko czekać.

Szedłem ostrożnie, z pistoletem w ręce. Tym razem nie obciążał mnie ciężki i nieporęczny bagaż, miałem przy sobie tylko broń, trochę jedzenia i mój nieodłączny ekwipunek: licznik, cienką i bardzo wytrzymałą linkę, którą zabrałem dawno temu jakiemuś włamywaczowi, po tym, jak wyrzuciłem go przez okno domu, w którym akurat nocowałem, i kilka innych drobiazgów. John, facet, który przywitał mnie wczoraj wieczorem w jakże miły sposób twierdził wprawdzie, ze za dnia nie powinno być tu żadnych kłopotów, ale nie byłem przekonany. Cała ta sprawa była cholernie poplątana....
Mieszkańcy osiedla wytłumaczyli mi przez noc, co doprowadziło do tego, że przyjezdnych wita się celując do nich ze wszystkiego, co jest akurat pod ręką. i pewnie bym nie uwierzył, gdyby nie to, czego doświadczyłem razem z nimi.
Zaczęło się od zniknięć. Ci, którzy oddalili się pojedynczo, albo zamarudzili gdzieś po zmroku.
Poszukiwania, nawet te prowadzone przez najlepszych łowców, nie dawały rezultatu. Ginęli wszyscy - mężczyźni, kobiety, dzieci. Ludzie zaczęli poruszać się w większych grupach, na noc zamykać w domach. Tak przy okazji - mieszkańcy rzeczywiście zajmowali się wykopaliskami. Znaleźli niedaleko bunkier i magazyn, stamtąd mieli generatory i wiele innych przydatnych rzeczy. Niestety, nic z tego nie zdołało im pomóc.
A potem zaczęły się powroty.
Mogę zrozumieć, ze ludzie znikają - z powodu takich bandytów chociażby. Ale żeby wracali później do swoich domów i zachowywali się jak opętani? Mieszkańcy osady mówili mi o „pustych oczach”, cokolwiek by to miało znaczyć. i że nocami ci, którzy zaginęli, wracają. a kto im otworzy drzwi, ten znika tak samo. Zupełnie nie chciało mi się w to wierzyć.
Wtedy usłyszałem pukanie do drzwi. Nie jakieś głośne walenie, czy próbę wywarzenia. Po prostu pukanie. a John zaprowadził mnie w głąb budynku, gdzie, jak się okazało mieli monitor,

podłączony do kamery na zewnątrz (W miasteczku było kilku zdolnych techników. Ale, z tego, co mówili, większość z nich zniknęła). i wtedy ich zobaczyłem.
Poruszali się dziwnie, jakby sztywno. w pierwszej chwili myślałem, że są po prostu zaćpani, ale sytuacja do tego zupełnie nie pasowała. Widziałem, jak wysoki facet w niebieskim kombinezonie próbował wpisać bez powodzenia kod do drzwi. John wytłumaczył mi, że pozmieniali wszystkie. Miasteczko wyglądało, jak w starym filmie o zombie, jeszcze sprzed Katastrofy, który miałem okazję kiedyś obejrzeć. Taka kompletnie surrealistyczna wizja - banda sztywniaków chodzi między domami, a mieszkańcy kryją się przed nimi. Ale jedna rzecz mi nie pasowała. Zapytałem Johna, dlaczego ich po prostu nie przepędzą. Odpowiedział, że ludzie stąd nie chcą z nimi walczyć. Boją się, ale mimo wszystko to wciąż ich krewni, czy przyjaciele. Chociaż tak obcy.
Obserwowaliśmy ich jeszcze przez chwilę, kiedy zdarzyła się najdziwniejsza rzecz podczas tego nocnego czuwania.
Do kamery podeszła dziewczyna ubrana w niebieską sukienkę. Nie za praktyczny strój, tak moim zdaniem, zwłaszcza w środku Skalistych Pustkowi. Ale tym, co najbardziej przyciągało wzrok w jej postaci były długie, kasztanowe włosy. Choć brudne i poplątane, to widać było, że kiedyś (całkiem niedawno przecież), musiały być piękne. Zajęty obserwacją, dopiero po chwili zorientowałem się, że patrzy wprost w obiektyw. Zupełnie jakby wiedziała, że też na nią patrzę. Zrobiło mi się nieswojo.

- To Lisa - odezwał się stojący obok John - córka naszego najlepszego poszukiwacza - tak mówili tu na tych, których ja nazywałem archeologami - poszedł za nią po tym, jak zaginęła - ciągnął dalej - ale w końcu ona wróciła, a on nie.

Nie zdążyłem się zastanowić, co mogło się stać z ojcem Lisy, bo w tym samym momencie odezwała się ona. Wprost do małego mikrofonu przy kamerze. Wszyscy zamarli, więc domyśliłem się, że coś takiego zdarza się po raz pierwszy.

-Wędrowcze - głos był zniekształcony przez głośniki - jesteś tam, prawda? Wiem, że przeszedłeś sam przez Pustkowie. On ciebie potrzebuje - za nic nie mogłem się domyślić, o kogo jej chodziło.
A dziewczyna kontynuowała:

- Kazał nam cię zaprowadzić do siebie. Pokażemy ci drogę. On czeka. - Po tych słowach Lisa zamarła w bezruchu. w budynku panowała cisza i czułem jak skupia się na mnie wzrok wszystkich, którzy siedzieli w zasięgu głosu wydobywającego się z głośników...

Kiedy nie zanosiło się na to, żebym wyszedł, Lisa powiedziała, gdzie mam się udać, zanim odeszła razem z resztą „opętanych" przed świtem. Reszta nocy zeszła mi na dyskusjach z Johnem i innymi wpływowymi ludźmi z osady. Wniosek z tych obrad był taki - nikt nie wie, kim jest „On", ani czego ode mnie chce. Ale pierwszy raz mieszkańcy mieli choć ślad tego, gdzie znikają ich bliscy. a mnie ta sprawa po prostu zaciekawiła, taki już jestem, że z własnej woli pakuję się w największe kłopoty w okolicy.
Chcieli wysłać ze mną kilku ludzi, ale przekonałem ich, ze lepiej, żebym ruszył sam. Ze mnie najwyraźniej nikt nie zamierzał robić zombiaka. a przynajmniej miałem taką nadzieję.

Szedłem według wskazówek, które przekazała mi Lisa i rzeczywiście, punkty orientacyjne zgadzały się. Ale to wcale mnie nie uspokajało. Cały czas myślałem o tym, co się tu dzieje. i czego znów ktoś ode mnie chce.
Nie poszedłem dokładnie tą drogą, jaka mi wskazano, bo nie zamierzałem włazić ewentualnemu wrogowi prosto w ręce. Dlatego do miejsca, które mi wskazano, dotarłem zupełnie z innej strony. w pierwszej chwili nie zauważyłem tam nic. Lisa nie powiedziała, czego mam się spodziewać, opisała po prostu jak dotrzeć. Pozornie teren, który obserwowałem kryjąc się za szczególnie dorodnym skalnym grzybem nie różnił się niczym od reszty Kamiennego Lasu. Może tylko większym zagęszczeniem bijących w niebo iglic. Postanowiłem podejść jeszcze bliżej. Wtedy dał znać o sobie mój licznik Geigera.
Wycofałem się szybko. Pomyślałem, że może nie bez powodu wskazano mi taką, a nie inną drogę. Zacząłem ostrożnie iść po obwodzie koła wyznaczanego przez sterczące kamienie, badając okolicę

licznikiem. w końcu, po kilku próbach, udało mi się znaleźć ścieżkę, która wydawała się być wolna od promieniowania.
To, co znalazłem, gdy wreszcie dotarłem do celu, wziąłem w pierwszej chwili za dziurę w ziemi. Dopiero, gdy przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem stalowe płyty, częściowo przysypane ziemią. Po dokładnym zlustrowaniu otoczenia podszedłem dokładnie zbadać znalezisko, mając nieśmiałe przeczucie co do tego, co tam zobaczę. i rzeczywiście, nie myliłem się - rozsuwane stalowe drzwi, starego typu. Bunkier. Zdziwiłem się tylko, że nikt z miejscowych nie wpadł na to miejsce wcześniej.
Drzwi otworzyły się nagle, gdy tylko podszedłem bliżej, gwałtowny ruch przestraszył mnie tak, że niemal nacisnąłem spust pistoletu. Ale dalej był tylko korytarz, rozjaśniony nikłym blaskiem lampek w suficie. Otwarte przejście wyglądało jak zaproszenie, ale nie bardzo chciało mi się wchodzić tam nie wiedząc, czy droga powrotna nie zamknie się za mną równie niespodziewanie. Wyszukałem jeden z odłamków skalnych, który wyglądał na solidniejszy i umieściłem go w szynie prowadzącej drzwi. Miałem nadzieję, że to wystarczy. Później wszedłem korytarzem w głąb ziemi, słysząc tylko blaszane echo swoich kroków. Po chwili do tych dźwięków dołączył zgrzyt - moja blokada przy wejściu na szczęście zadziałała.
W pewnym momencie w ścianach po bokach zaczęły pojawiać się drzwi, ale mimo starań, nie udało mi się otworzyć żadnych. Pozostało tylko iść przed siebie. Korytarz prowadził całkiem głęboko, w swoich podróżach nie trafiłem jeszcze w takie miejsce. Bywałem w głębszych bunkrach, ale one miały zwykle po parę poziomów, połączonych windami i rzadko kiedy były tak rozległe. Wejście zostawiłem już daleko za sobą.
Za kolejnymi z bocznych drzwi była szyba. Spojrzałem przez nią i niemal odskoczyłem, przestraszony i zdziwiony.
Przez szkło patrzyła na mnie Lisa. Dopiero po chwili zorientowałem się, ze w tamtym pomieszczeniu jest też kilka innych osób. Więc to tutaj...
Najpierw myślałem, ze może mnie nie widzą, bo szyba z ich strony nie jest przeźroczysta. Później jednak zauważyłem, że wszyscy stoją bez ruchu. a ich oczy…, ich oczy rzeczywiście były puste. i to właśnie było w całej sytuacje najbardziej obce. Nawet nie kable, które wystawały im gdzieś z pleców i znikały w maszynerii wbudowanej w ścianę, ale te czarne kule w oczodołach. Wtedy, wczorajszej nocy byłem tak przejęty, że nie przyjrzałem się twarzy dziewczyny. a teraz, chociaż szczerze chciałem, nie byłem w stanie odwrócić wzroku.
W końcu przemogłem się i doskoczyłem do drzwi, starając się znaleźć jakikolwiek sposób, by je otworzyć. Nic z tego. Wreszcie odsunąłem się kilka kroków i ściskając pistolet w obu rękach, wycelowałem w szybę.
Ogłuszający huk (echo niosło się straszliwie) niestety nie przyszedł w parze z dźwiękiem pękającego szkła, którego oczekiwałem. Kula zrykoszetowała od kuloodpornej szyby i uderzyła w przeciwną ścianę. Zacisnąłem dłonie i w bezsilnej złości kopnąłem w ścianę. Postacie w pomieszczeniu niczym nie zareagowały na mój wybuch.
Zrezygnowany ruszyłem dalej korytarzem, zdecydowany dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś się mną bawił, a ja nie zamierzałem na to bezkarnie pozwalać.

Centrum kompleksu (tak przynajmniej myślałem o tym miejscu) było rozjaśnione dla odmiany łagodnym, niebieskim światłem. Było to koliste pomieszczenie, wzdłuż ściany biegła galeryjka z poręczną, a w centrum znajdował się głęboki szyb. Przez jego środek biegł jakby rdzeń, rozświetlony różnokolorowymi lampkami. Wyglądało mi to na największy komputer, jaki kiedykolwiek widziałem...
Obszedłem całość wkoło. Nie było żadnego innego wyjścia. Więc to tu miałem przyjść. Tylko po co?
Odpowiedź przyszła po chwili. z rdzenia wysunął się jakby rozkładany most. Kolejne zaproszenie. Wszedłem na niego z pewnymi obawami, w dół było ładnych kilka metrów. Podszedłem do tej niesamowicie skomplikowanej maszynerii. Ledwie byłem w stanie cokolwiek tam rozpoznać, a na elektronice znam się nawet całkiem dobrze... Na tyle dobrze, żeby zorientować się, do czego służy

przyrząd podobny kształtem do słuchawek, zamocowany na wstającym stojaku. Chwyciłem go i nie do końca pewnie założyłem na głowę. Emitery mogą robić przykre rzeczy z mózgiem. Ale byłem zdeterminowany, żeby dowiedzieć się czegokolwiek i w jakikolwiek sposób.
Korzystanie ze sprzętu takiego jak emitery sprawia bardzo... dziwne wrażenie. w pierwszej chwili wydaje się, że cały świat wali ci się na głowę. Później, że tylko wiruje wokół własnej osi. a dalej... to nie jest tylko dźwięk, czy obraz. Raczej odczuwanie. Emitery myślowe oddziaływają bezpośrednio na mózg. Widziałem wcześniej takie w książkach, a raz miałem okazję obcować bezpośrednio, więc choć trochę byłem przygotowany i zdołałem jakoś poskładać w całość komunikat, który płynął do mnie z superkomputera...
Czy raczej supermózgu. Bo to nie był zwykły komputer. Powoli docierało do mnie, że to jakaś superświadomosć, działająca na zupełnie innym poziomie niż ja..., czy jakikolwiek inny człowiek. i to on stał za zniknięciami mieszkańców miasteczka.
To było jak hodowla, czy fabryka. Ci ludzie mieli stać się zalążkiem nowego pokolenia, czy nawet nowej rasy. Przystosowani do życia po katastrofie, odporni na promieniowanie, łączący najlepsze cechy biologii i techniki.... Wszystko to zalewało mnie potężną falą odczuć. Ta... istota, bo trudno mi było myśleć o niej, jako o maszynie, mogła naprawdę to zrobić!
Na razie próby były jednak... niezadowalające. Przynajmniej po części. i nie chodziło nawet o całkowite ubezwłasnowolnienie nowych ludzi, bo na etapie prób zostało to uznane za wręcz naturalne. Ale u obiektów pojawił się chociażby światłowstręt i kilka innych, niepożądanych cech. Komputer zrzucił to na karb słabej jakości surowca.
A później jego roboty zwiadowcze dały mu znać o mnie. Wędrowcu przemierzającym samotnie tereny, na które nawet karawany zapuszczają się rzadko. i uznał, że ktoś taki musi być wyjątkowy i może być przydatny. Jako doradca, pomocnik i prekursor nowych ludzi. Tych, którzy zasiedlą tę ziemię wreszcie jako swoją. Tych, którzy nie będą musieli się kryć, ani...
Obiekty! Surowiec! Zerwałem z głowy słuchawki emitera. Wizja, jaką przede mną roztaczała ta maszyna była czymś wręcz oszałamiającym. Ale nie mogłem się przekonać do tego, żeby o kimkolwiek myśleć w kategoriach „obiektu”. Robiłem w życiu różne rzeczy. Ale zawsze ludziom, choćby było to strzelanie w plecy.

- Przykro mi stary - powiedziałem stojąc na galeryjce przy ścianie pomieszczenia i posyłając pocisk za pociskiem w delikatną elektronikę - ale chyba po prostu myślimy inaczej...

Później biegłem, mając tylko nadzieję, ze roboty będące na wyposażeniu bunkra bez swojego mózgu nie będą skłonne do ścigania mnie. Zatrzymałem się tylko na chwilę. Spojrzeć przez szybę na ciała, w które maszyneria przestała ładować życiodajną energię.

- Szkoda, ze nie mogliśmy porozmawiać normalniej - szepnąłem w kierunku nieruchomej twarzy Lisy. To miejsce skrywało niewątpliwie jeszcze wiele zagadek, ale nie mogłem się zmusić, żeby zostać tam choć chwilę dłużej.

KONIEC

© 2010 Wevert

WIOSNA 2199 ROKU

Wiosna 2199r nadeszła do Warszawy niezauważalnie, oczy świata skupione były na zabliźniających się ranach i powszechnie oczekiwanym zakończeniu wojny. To wszystko można było przeczuć, po niemal siedemdziesięciu latach ziemia brała kolejny oddech, wciąż nieco dławiąc się nagłymi uderzeniami tlenu. Skrzecząc wyraźnie walczyła by wydać z siebie kojący krzyk, niczym długo wyczekiwane dziecko.
Normalne o tej porze roku ataki malarii dziesiątkowały okoliczną ludności, chordy zdegenerowanych łupieżców wygrzewały się w słońcu sącząc napoje niepewnego pochodzenia z zardzewiałych puszek. Każdy był już zastraszony, nie zostało już nic co można było by ukraść i spożytkować. Grupy składały się głównie z młodzieńców urodzonych w najgorszych latach wojny. Wzorowi mordercy, kwiat Polskiej myśli anarchistycznej dowodzony był przez emerytowanych żołnierzy dawno zapomnianych armii Polskich i Czeskich. Większość z nich walczyła jeszcze przed utworzeniem guberni wschodnioeuropejskiej. Część odeszła sama nie wytrzymując psychicznie lub fizycznie trudów kolejnych potyczek, jeszcze inni często kalecy lub naznaczeni okrutnymi znamionami byli wyrzucani jako nieprzydatne nikomu jednostki. Można by pomyśleć że to właśnie ci przeklęci "dowódcy" tworząc bojówki wpoili w młodzież nienawiść i okrucieństwo.

Nic bardziej mylnego, to właśnie weterani wciąż potrafili odczuwać honor dumę i patriotyzm. Podobnie jak ich podwładni pamiętali jedynie wojnę z tą różnicą że jeszcze sprzed koalicji Argentyńsko-Meksykańskiej. W ich sercach tliła się niezmiennie wiara, mieli się z czym utożsamiać jednocześnie byli ogromnie szanowani, pełnili rolę nauczycieli i autorytetów zyskując zaufanie. Jako jedyni potrafili zapanować nad tym bezwładnym tłumem wyschłych serc. Dzięki nim ludzie mieli jeszcze choć pozory prywatnej własności - nie wynikało to z dobroci, ale jasnym było że jeśli pozbawi się człowieka podstawowych warunków do życia to za miesiąc nie będzie kogo ponownie ograbić.

Głodne Biesy tak właśnie byli nazywani przez mieszkańców warszawy, było widać że przydomek przyjęli z pewną chorą dumą. bez przemyślenia cieszyli się groźnym wydźwiękiem, "głodne dlatego że nikomu nie odpuścimy, biesy bo wzbudzamy strach" to słowa często słyszane nad paleniskami, przy których szykowane były młode pokolenia.

Jacek ze znudzeniem obserwował to wszystko ze swojego hamaku zawieszonego między kościelnymi organami a prętami wystającymi ze ściany zrujnowanego bloku, uliczka była wąska. Miejsce na zawieszonym 2 metry nad asfaltem płótnie było idealne do obserwacji. To tu, a właściwie dwieście metrów dalej przy dawnym sklepie mięsnym miał swoją kwaterę. Teraz absolutnie nie odczuwał ochoty na siedzenie w "domu". Przecież to wiosna a temperatury już osiągały 40 stopni, w krytym blachą pomieszczeniu było zwyczajnie zbyt gorąco na wypoczynek.

Wkrótce jednak ten niewysoki chłopaczek o szpakowatej twarzy energicznie zeskoczył na ulicę, był zdegustowany chmarami much nie wiedzieć czemu pragnących dzielić z nim obserwatorium. Otwierając zardzewiały scyzoryk w kieszeni pewnym krokiem wyruszył w stronę Alei Jana Pawła. Przecisną się między "biesami", gardził nimi, uważał ich za pozorantów opóźniających nadchodzący nowy porządek. Gardził ale i bał się jednocześnie, byli absolutnie nieprzewidywalni, tym razem jednak udało się dotrzeć do sklepu bez żadnych zaczepek.

Ten stary magazyn nazywano sklepem dla zachowania pozorów normalności,
tymczasem budynek ten był złodziejską speluną, można tu było kupić fanty za inne "zdobycze" po horrendalnych cenach. Jacek miał ze sobą jedynie zestaw grzebieni który znalazł zakopany przy jednym z dawnych zakładów fryzjerskich. Co prawda taka zdobycz nie była bez wartości, wszędzie kręcili się szabrownicy, trudno było wykopać coś nie zwracając na siebie uwagi. Konstantyn - właściciel sklepu znał dobrze Jacka, z niezbyt zadowolonym wyrazem twarzy przyjrzał się grzebieniom, ewidentnie bardziej zainteresowało go posrebrzane pudełko. Wprawnym ruchem wrzucił "fant" do wielkiego kartonu i wydał Jackowi szklankę wina owocowego z tacką sucharów. Jacek został przy barze - nie przepadał za stałymi bywalcami "sklepu", "jeszcze by się taki przysiadł, lub co gorsza zaczął gadać" pomyślał odwracając głowę w stronę Konstantyna. Łysy

człowiek z długim zakręconym wąsem i ogromnym kolczykiem wyczuł spojrzenie młodego klienta, został w ten sposób zobowiązany do rozpoczęcia rozmowy

- Jak tam sprawy?

- Wiesz butelki i butelki, wyzbierałem już wszystkie w okolicy, jutro przyniosę ci dwie ostatnie kraty. Później będę szukał za miastem

- Co z tymi... no wiesz... biesami ?

- Mnie się nie czepiają na co im ja i moje butelki, Tobie się dziwię, stoją pod sklepem i psują interes

- A co ja mogę? blisko centrum, szczeniaków tu nie wypuszczają... choć ostatnio...

- No właśnie słyszałem...

Jak na zawołanie w tej chwili uchyliły się drzwi od sklepu. Jakiś wyrostek z długimi dredami i twarzą podobną do kreta wpadł rzucić okiem za wolnymi stolikami. Nie omieszkał też opluć tabliczki "Zakaz Palenia". Splunięcie było by mniej efektowne gdyby nie fakt że najwidoczniej w drodze zgubił obydwie górne jedynki, jedna dwójka zresztą była prawdopodobnie wstawiana.

- Szybciej OŚLE, co się rozglądasz ? mówiłem, jak nie będzie miejsc to sobie zrobimy!

Następnie słychać było śmiech. Śmiech charakterystyczny bo przypominający odgłosy wydawane przez dzikie świnie z nadejściem wiosny. Wszyscy wiedzieli zaraz kogo ujrzą . Oto do sklepu wgramolił się łysy grubasek nikczemnego wzrostu, na oko metr sześćdziesiąt. Fałdy skóry z tyłu głowy i wielki goły brzuch napęczniały jak średniowieczna armata to znaki rozpoznawcze Karoleczka. Kiedy to ogromne byle przypominające bardziej guźca niż człowieka pojawiał się w „sklepie” nikomu nie było do śmiechu. Kiedyś jeden przyjezdny nie znający lokalnych obyczajów parskną śmiechem na jego widok. Biedak ugotował się w wielkim garze krupniku uprzednio należycie oprawiony.

Karoleczek oprowadzał właśnie nowych rekrutów "wyschłych" - grupę dziewczynek bo na pewno jeszcze nie kobiet, najstarsza musiała mieć w okolicach piętnastu lat najmłodsza jedenaście. Po przygotowaniu miejsca - ucharakteryzowane na zabójczynie choć ewidentnie wystraszone panienki usiadły na metalowych krzesłach. Szczerbaty wyrostek najwidoczniej przyprowadził je do miasta z okolicznych wiosek gdzie miał swój rewir, w Warszawie rządził Karoleczek, tu miał zwierzchnictwo nad wszystkimi przyjezdnymi. Jak nazywał się przybysz trudno powiedzieć, cały czas nazywany był OSŁEM - możliwe że to jego prawdziwa ksywka.

Na stoliku pojawiło się szybko wiadro wina, Jacek oderwany od rozmowy obserwował wszystko ostrożnym spojrzeniem. Doświadczeni "wyschli" nie bawili się w niepotrzebne uprzejmości, wiedzieli że równie dobrze jutro mogą być martwi, nie odczekali nawet jak wino zacznie działać a już ściskali opięte skórzanymi spodniami uda nowicjuszek nierzadko również wędrując dłońmi po ledwie zaokrąglonych dekoltach. Kobiety u "wyschłych serc" mogły odbywać służbę bez najmniejszego problemu, jednak były ubierane jak prostytutki i tak je traktowano, one godziły się na to, wojna sie kończyła - to pewne ale czy skończy się za rok czy za 5 tego nikt nie wiedział. Należenie do "wyschłych serc" zapewniało względne bezpieczeństwo i pewną lecz chorą jak całe ówczesne społeczeństwo - stabilizację

Jacek niedbale odsuną tacę, i zgarną miedziaki należne mu z zwrot butelki. Jego uwaga skupiona była na jednej z przyprowadzonych nowicjuszek. Rudowłosa bardzo szczupła dziewczyna z pogiętymi okularami zakrywającymi wielkie zielone oczy nijak wpisywała się w otoczenie. Siedziała na wprost, zza stołu widział jedynie białą twarz o dość wyraźnych rysach i dżinsową kurtkę z pokaźnych rozmiarów sztywnym kołnierzykiem. Wiedział, że wyschłym nie należy się przyglądać. Jedno krzywe spojrzenie może być potraktowane jako obelga lub szukanie zaczepki. Niejasne natomiast było dla niego czemu nie może oderwać wzroku, zwrócił się więc ponownie do Konstantyna:

- pssst... Co to za mała ?

- Ta ruda z? Oj ładna jest, ale uważaj. Ona nie dla Ciebie

- Czemu? wiesz że chyba przypomina mi Jolkę ... chciał bym z nią pogadać.

- Raczej nie pogadasz, to Czeszka, i z całym szacunkiem dla twojej siostry, Jolka się do niej nie umywała.

- Cholera... masz rację.

Spojrzał ponownie na dziewczynę, czytała "Czerwone oko" książka ta od lat była przekazywana z pokolenia na pokolenie jako dzieło niezwykłe. Dla młodzieży zamkniętej w okrutnych czasach wojny była wręcz biblią, natomiast gra w Neuroshime bezkonkurencyjną formą rozrywki. Nagle źrenice rudowłosej Czeszki rozszerzyły się a wargi zaczęły drgać niemal niezauważalnie. Po chwili wielkie oczy zaszkliły się a na twarzy można było dostrzec grymas cierpienia. Jedno spojrzenie na OSŁA i wszystko zaczynało się rozjaśniać - jego szczerbaty uśmieszek był wielce wymowny. Jacek domyślił się błyskawicznie że OSIOŁ korzystając z ukrycia za jakie służył ogromny stół wetkną swoją pokrzywioną łapę w spodnie dokładnie między udami dziewczyny.

Jacka poniosło, dopiero zobaczył rudowłosą piękność a już poczuł że jest mu niezwykle bliska, miał wrażenie że jest za nią odpowiedzialny. Spojrzał porozumiewawczo na Konstantyna który domagał się właśnie zapłaty od Karoleczka. Właściciel sklepu uchwycił ten wzrok w locie. Bez słowa zostawił dłużnika i udał się na zaplecze. Jeszcze jedno spojrzenie na Czeszkę - nie szukała pomocy była pogodzona z losem, podobnie jak OSIOŁ starał się ukryć swoje zachowanie tak ona usiłowała ukryć poniżenie które ją spotkało. Nie było sensu czekać na impuls lub dogodną sytuację wzrok Jacka prześledził resztę sali, był szabrownikiem ale na tak nieznaczną skalę że nie zjednał sobie przyjaciół w tym zawodzie. Był zwyczajnie traktowany jako "zbir drugiej kategorii". Wyjątkiem był Tomasz, żwawy starzec nieznanego pochodzenia, jego pomarszczoną twarz zdobiła długa siwa grzywa, odstające uszy zasłaniały posklejane włosy opadające na ramiona. Mówił niewiele, nie skarżył się na los, "polował" na wschodnich rubieżach i to była jedyna sprawa jaka go interesowała. Czasem wymieniał kilka słów
jakby wymuszając kolejne dźwięki. Zwyczajowo zwracał się do Jacka lub Konstantyna , pozostałych unikał jak umiał. Tego dnia akurat był w sklepie, siedział na drugim końcu baru, smętnym wzrokiem przyglądał się Jackowi, delikatnie skinął głową, wiedział co dzieciak kombinuje. Młody szabrownik nie specjalnie liczy na pomoc starca, cóż można oczekiwać od człowieka, który już dawno przekroczył sześćdziesiąty rok istnienia, dodatkowo człowieka który nigdy nie przejawiał jakiegokolwiek zainteresowania sprawami innych.

Posiłki okazały się skromne, Konstantyn postawiony przed wyborem - biznes czy niezbyt zażyła przyjaźń, oraz Tomasz stroniący od kłopotów staruszek. Jacek żył tu już osiemnaście lat, był znudzony nijakim egzystowaniem. Poczuł że stoi przed szansą na odmianę również własnego losu, że to właśnie ten dzień.

Wstał delikatnie i udał się w stronę drzwi, nie zwracał na siebie uwagi. Dopiero przy stoliku „biesów” przyspieszył krok. Poczuł jak adrenalina dodaje mu odwagi, jak napinają się mięśnie i zaciskają szczęki. Już nie myślał był zdeterminowany na konkretny cel. Nagle energicznie kopnął nogę krzesła OSŁA.

Na podłodze rozpłynęła się krew niczym woda ze zbitego naczynia . Dredy zakryły głowę łupieżcy, która efektownym hukiem zapoznała się z fakturą wykładziny. Młodzieniec w furii chciał poprawić efekt silnym kopniakiem w żebra OSŁA, niespodziewanie jednak poczuł brutalny opór na wysokości swojej kostki . OSIOŁ poderwał nogę Jacka do góry i z umieszczonej przy pasku kabury wyciągną ogromną barrette 92FS natychmiast przykładając ją do skroni młodzieńca.

Było by już po sprawie, gdyby nie Konstantyn. Barman chcąc uniknąć podejrzenia po opowiadaniu się po którejś ze stron wystrzelił z dubeltówki prosto w sufit baru, rozdźwięk wystrzału przerwał krzyk:

-Płacić albo wyjazd z knajpy !

Chciał coś jeszcze powiedzieć ale w tejże chwili widownia oprzytomniała z pierwotnego szoku. Karoleczek poderwał się i niezwykle celnym rzutem, za pomocą wiadra wytrącił strzelbę z rąk barmana. Dziewczyny poderwały się w popłochu kierując kroki do wyjścia, jedna jedyna rudowłosa ze spodniami opuszczonymi do wysokości kolan zwinęła się w rogu i zaskoczonym

wzrokiem obserwowała rozwój wypadków. Pozostali bywalcy przyglądali się bez większego przejęcia "młody zginie na terenie baru to barman go pochowa" nie mniej nie więcej a właśnie tyle przebrnęło przez zapijaczone głowy.

Jacek skorzystał z zamieszania, sprytnym rzutem przez ramię wytrącił berette i położył z powrotem OSŁA na ziemię. Trzymał go jak największy skarb, nawet gdy widział kontem oka że Karoleczek nadbiega z odsieczą. Czekał na cios w naprężony grzbiet. Trudno powiedzieć co było większe, złość czy szok kiedy zamiast ciosu doczekał się skowytu zarzynanego prosiaka. Nie miał czasu na zastanowienia skoro ciosu nie otrzymał to trzeba bić OSŁA, w ciągu kilku sekund z pomocą nadbiegł rozwścieczony Konstantyn. Bili wspólnie jednego z głodnych biesów zupełnie obojętni na konsekwencje tego czynu. Kiedy uznali że delikwent przestał oddychać oprzytomnieli, z przygotowanymi gardami szukali wzrokiem kolejnych przeciwników. Nikogo takiego nie było.

Bar wyglądał jak po wybuchu w ‘96, zniszczone meble, zakrwawiona podłoga, wybite szyby. Widać w odpowiednim momencie wszyscy klienci zmyli się wszelkimi wolnymi drogami nierzadko nie płacąc a nawet zabierając to i owo ze sobą na pamiątkę. Przy barze siedział starzec, siwe kosmyki opadały jak zwykle na ramiona , roztaczał wokół baru chmurę dymu z palonego cygara. W lewej ręce trzymał szklankę Jack’a Daniels'a z lodem. Na pytające spojrzenia Jacka i Konstantyna odpowiedział:

- To na rachunek Karoleczka, wczoraj zwiną mi sprzed oczu piękną lampę, nie obrazi się

- Tak, rozumiem, nie obrazi... - Odpowiedział Konstantyn niespokojnie zerkając na leżący obok Tomasza nóż do filetowania i gigantyczną kałużę krwi która nie miała żadnego widocznego źródła.

Tomasz kontynuował

- Proszę nie mówmy o tym, mogę sobie dolać? Jackuuu chyba ktoś czeka na ciebie przy szafie.

Jacek spojrzał na wskazane miejsce stała Rudowłosa piękność, zdążyła się ubrać jak należy, obok niej na podłodze zwijała się inna z rekrutowanych. Jakaś blondyna z roztrzaskaną czaszką, zupełnie jak w biegu ktoś podłożył by mu nogę. Jacek spojrzał niepewnie na Czeszkę, podał jej książkę "Czerwone oko" wymoczoną równomiernie w wszechobecnej posoce.

- Czytałem - powiedział wychodząc z nią na ulice. A była już prawdziwa wiosna. Wiosna 2199 roku.

KONIEC

© 2010 fmshelby

POSTAPOKALIPSA

Co ja tu właściwie robię? Dlaczego akurat ja musiałem przetrwać? Może to przeznaczenie? Może przeznaczeniem było to, że musiałem widzieć sceny, których nigdy widzieć nie chciałem i nigdy widzieć nie chciałbym? Może przeznaczeniem było to, że widziałem upadek dotychczasowego porządku rządzącego światem? Odkąd rozpoczął się ten armaggeddon w myślach szukam odpowiedzi na te pytania, które będą mnie męczą odkąd udało mi się schronić i będą męczyć zapewne jeszcze długi czas.

Około pół roku temu nadszedł decydujący moment ogólnoświatowego konfliktu - zapadła decyzja o użyciu broni atomowej. Niemal od razu po zapadnięciu decyzji postanowiono zrealizować ten plan... Około pół roku temu... "Około"... Odkąd spadły bomby nikt z nas nie liczył dni mijających w ciemnym schronie wojskowym. Zresztą nie mieliśmy jak liczyć. Saszka starał się robić to za pomocą zegarka, ale gdzieś w okolicach piątego dnia zupełnie się pogubił. Musieliśmy przesiedzieć jak najdłużej się dało w "Schronie Wojsk ONZ Sierra Bravo 24". Z 12 żołnierzy, którzy się
schronili przeżyło nas 5: ja, Saszka, Francuois, dr. Wojtas i Petzu.

Kilka miesięcy później zmuszeni byliśmy opuścić schron, z powodu kończących się zapasów. Decyzja o opuszczeniu schronienia była trudna, z powodu panującego na zewnątrz silnego promieniowania i braku jakichkolwiek urządzeń pomiarowych. Kilka tygodni wcześniej 3 ochotników postanowiło wyruszyć na zewnątrz w poszukiwaniu cywilizacji, nie wrócili do dnia dzisiejszego. Wiedzieliśmy, że wychodząc ze schronu ryzykujemy śmierć w męczarniach, lecz zostając ryzykowaliśmy śmierć głodową.

Do Radomia, czyli największej jednostki operacyjnej w okolicy, było około 40 kilometrów. Trasa ta zajęła nam 2 dni. Jakimś cudem udało nam się dotrzeć bez urządzeń nawigacyjnych, orientując się na tej pustyni jedynie po ocalałych pamiątkach przedwojennej cywilizacji, co dziwne wiele budynków ustało mimo silnej fali uderzeniowej. Lecz nie to jest najdziwniejsze. Mimo, że stosunkowo niedawno siła atomowa pokazała swoją moc na tym terenie, to my nie odczuwaliśmy objawów choroby popromiennej. Jedynymi objawami wyjścia na zewnątrz była silnie łuszczący się naskórek. Myślę jednak, że to jest spowodowane silnym słońcem.

Sam Radom nie przypominał dawnego "Radomia". Pamiętam jeszcze to miasto z dnia "Wielkiej Mobilizacji" - wielkie, nowoczesne, tłoczne. Teraz jest to wymarła ruina. Z lotniska wojskowego i dawnych koszar nic nie zostało, w tym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że naszym jedynym ratunkiem są ocalałe sklepy i centra handlowe. Musieliśmy znaleźć w nich jak najwięcej żywności, środków medycznych i ubrań na dalszą drogę w pustkowia.

Poszukiwania zapasów ciągnęły się godzinami, zmęczeni przeszukiwaliśmy kolejne półki sklepowe, lecz w jednym sklepie doszło do zaskakującej sytuacji. Przeszukując sklep spożywczy "u Jacka" nagle otworzyły się drzwi od zaplecza, z których wyszedł wysoki mężczyzna. Ubrany był w brudne i podarte ubrania, w ręku trzymał rewolwer. Krzyknął "Wynocha stąd", po czym od razu oddał strzał, raniąc Francuoisa w ramię. Francuz z krzykiem upadł na ziemię. Ja niewiele myśląc wyciągnąłem swój pistolet i oddałem w kierunku napastnika trzy strzały, dwa z nich celne, śmiertelnie raniące przeciwnika. Rannego towarzysza musieliśmy opatrzyć i zanieść w bezpieczne miejsce na jakiś czas. Naszym nowym schronieniem stał się stary salon meblowy. Szyld kiedyś składał się z 5 liter układających się w napis ODEON, lecz wybuch uszkodził go zostawiając jedynie OD i N.

Trzy dni później byliśmy świadkami najbardziej nieprawdopodobnej sytuacji, jaką w życiu widzieliśmy. Kiedy dr Wojtas zmieniał opatrunek rannemu, po zdjęciu starego zauważył, że rana całkowicie się zagoiła, a kość zrosła. Jeszcze tydzień po tym zdarzeniu Doktor chodził i powtarzał w kółko, że zastanawia się jak mogło się takie coś zdarzyć i że wykracza to poza jego dotychczasową wiedzę medyczną.

Dwa dni po tym zdarzeniu wyruszyliśmy w dalszą podróż w nadzieji na spotkanie resztek cywilizacji. Poszukiwania nam utrudniał fakt, iż od dnia apokalipsy nie otrzymaliśmy żadnych informacji o tym, jak duży obszar został zniszczony i gdzie ewentualnie możemy szukać

jakiegokolwiek ratunku. I wędrujemy już tak przed siebie jakieś dwa miesiące, nie spotykając nikogo na swojej drodze, omijając opuszczone wsie, uzupełniając swoje zapasy w zniszczonych stacjach benzynowych i sklepach spożywczych, śpiąc w ruinach domostw, coraz bardziej zmieniając swój wygląd pod wpływem promieniowania...

KONIEC

© *2010* Damissimo

PRZYCZYNA AWARII 2137

Był analitykiem II klasy. Zajmował się przetwarzaniem danych dostarczanych z laboratoriów. Jego praca była dosyć prosta - przez sześć dni w tygodniu odwiedzał wszystkie laboratoria, zabierał z nich dyskietki z wynikami badań, notatkami i różnymi uwagami lekarzy i innych naukowców, wracał z dyskietkami do podziemnego pomieszczenia, które nazywali serwerownią, uruchamiał agregat prądotwórczy i komputer, kopiował dane, tworzył kopie bezpieczeństwa i przystępował do właściwej pracy, czyli przetwarzania danych.

Znał wszystkie szczegóły związane z tą pracą. Pasjonowała go. Szczycił się, że poznał całą dostępną wiedzę na temat sprzętu komputerowego funkcjonującego w Inkubatorze, i jako jeden z nielicznych wiedział co oznacza słowo "serwerownia". Doszedł do takiej wprawy w przetwarzaniu danych z laboratoriów, że całą pracę zaplanowaną na osiem godzin wykonywał przez cztery, może pięć godzin - dzięki czemu miał trochę czasu na intensywną lekturę różnorodnych materiałów o tematyce informatycznej zawartych na ocalałych dyskach CD, oraz czas na prowadzenie popieranej przez przełożonych działalności polegającej na odzyskiwaniu zawartości częściowo uszkodzonych nośników CD. Miał wiele osiągnięć na tym polu, i od kilku dobrych tygodni, pracował nad odzyskaniem zawartości jednego z całkowicie nieoznaczonych dysków. Oficjalnie, na razie nie udało mu się nawet ustalić co mniej więcej zawiera ten dysk. Natomiast faktycznie tą informację postanowił zachować dla siebie, być może na zawsze. To, co odkrył, nie pozwoliło mu już normalnie pracować i zachwiało jego lojalnością wobec przełożonych oraz wyzwoliło niesamowitą ochotę na lekceważenie elementarnych zasad bezpieczeństwa bezwzględnie obowiązujących na terenie serwerowni.

Procedury związane z obsługą sprzętu komputerowego i przetwarzaniem danych laboratoryjnych były bardzo rygorystyczne. Przed uruchomieniem komputera musiał dokładnie sprawdzić czy wilgotność i temperatura w pomieszczeniu są na odpowiednim poziomie, musiał skontrolować poziom tak cennego oleju napędowe w zbiorniku agregatu prądotwórczego, musiał sprawdzić wszystkie kable zasilające, sprawdzić styki wtyczek, dokładnie obejrzeć wnętrze komputera, odkurzyć wentylatory... Do jego obowiązków należało podjęcie decyzji, czy warunki pogodowe pozwalają na bezpieczne uruchomienie sprzętu - w sytuacji, gdy mogła nadejść burza z piorunami używanie komputera było całkowicie zabronione. Po przebrnięciu przez długą listę czynności wypisanych w instrukcji uruchomienia, i gdy wszystko dokładnie opisał w dzienniku pracy sprzętu, miał prawo uruchomić agregat. Później musiał skontrolować napięcie i częstotliwość. Dokładnie nie wiedział o co akurat w tym chodzi, gdyż po prostu sprawy typowo elektryczne nigdy go nie interesowały. On tylko potrzebował prąd do zasilania komputera. Według instrukcji jedna wskazówka miała być na "220V", a druga na "50Hz". Ponadto, już po uruchomieniu komputera, musiał jeszcze sprawdzić, czy wszystkie wentylatory pracują, czy nic się nie dymi albo podejrzanie nie dźwięczy. Teoretycznie temu wszystkiemu powinien przyglądać się strażnik, dla pewności i świętego spokoju... Taka była procedura, która naprawdę zapewniała dobre - i co najważniejsze - bezawaryjne funkcjonowanie komputera. Tak naprawdę, to od momentu znalezienia drugiej kopii tego edukacyjnego dysku CD, to nie poświęcał już czasu na przegląd sprzętu, tylko od razu uruchamiał agregat i komputer. Nie tracił czasu, gdyż ten dysk CD i wiedza w nim zgromadzona pochłaniały cały jego zdrowy rozsądek.

Dzisiaj, po raz pierwszy w swojej wieloletniej historii pracy zawodowej, tworzenie kopii bezpieczeństwa dyskietek i rutynowe przetwarzanie danych postanowił odłożyć na później. Miał przecież całe osiem godzin... Jeszcze przed całkowitym uruchomieniem komputera i zakończeniem wczytywania systemu operacyjnego udało mu się prawie całkowicie uspokoić sumienie. Prawie, gdyż znał wagę swojej pracy jako analityka klasy II. Uśmiechnął się, i w tym uśmiechu zawarł całą potęgę swoich intuicyjnych zdolności na polu gromadzenia, przetwarzania i zabezpieczenia danych. Tak wiele czasu już pracował w tej branży, że czasami odnosił wrażenie że płynie przez często

całkowicie niezrozumiałe dla niego rzędy i kolumny cyfr lub liter. Potrafił nad nimi zapanować, potrafił je uporządkować, przejrzeć ich strukturę, zmodyfikować i w ostateczność sporządzić serię raportów w formacie PDF, które - miał głęboką nadzieję - ktoś przeglądał i potrafił dzięki nim popchnąć stan badań do przodu. Bardzo, bardzo rzadko cokolwiek drukował - papier był zbyt cenny. To on wdrożył format PDF do systemu obiegu raportów, przedtem analitycy kombinowali na różne sposoby, np. zrzuty ekranu, aby zachować raporty w wersji elektronicznej. Ponadto praktycznie nie było kwartału, w czasie którego nie wprowadził poprawek w istniejącym oprogramowaniu, lub nie napisał od podstaw jakiegoś pożytecznego narzędzia. Był w tym po prostu dobry.

Potwierdzili to jego przełożeni, obdarzając go zaufaniem i dużą swobodą w korzystaniu z bibliotek, sprzętu, a nawet w umożliwieniu kontaktów z wyspecjalizowanymi handlarzami nośników danych, którzy dosyć często pojawiali się w Inkubatorze. Skończyło się na tym, że osiem godzin spędzał w serwerowni całkowicie sam, bez nadzoru strażnika, a przypadkowe zrządzenie losu doprowadziło go do sukcesu w rekonstrukcji zawartość dysku CD.

Gdy odsuwał dyskietki na bok, aby zrobić miejsce dla myszy, nie myślał o swoim lekceważeniu dla pracy. Wiedział, że później spokojnie zdąży wykonać to co należy do jego obowiązków. Zrobi te analizy. Sprawdzi sprzęt, wypełni dziennik. Zdąży. Martwiło go coś innego - fakt, że od jakiegoś czasu nie myśli poważnie o ulepszaniu warsztatu pracy. Kilka pomysłów krążyło mu po głowie, ale postanowił odłożyć je na później..., kiedy ostatecznie ustali przeznaczenie programu, kiedy pozna wszystkie tajemnice w nim zawarte, oraz wyzwoli się spod jego wpływu. Jakaś cząstka świadomości mówiła mu, że stał się niewolnikiem, że nie potrafi już logicznie myśleć, że sam pakuje się w problemy, że to się źle skończy...

Klikając właściwą ikonę po raz kolejny usłyszał wewnętrzny głos ironicznie mówiący, że się stacza, że zachowuje się jak dziecko, że żaden naukowiec, żaden badacz, żaden głupiec ani nawet szaleniec nie powinien poddać się władzy tego programu. Mógł przecież zawiadomić przełożonych o kolejnym sukcesie w jego autorskiej metodzie ratowania starych dysków CD. Otrzymałby kolejną pochwałę, nagrodę. Ale wtedy już ktoś inny, może nawet cały zespół ludzi, rozpocząłby badanie wiedzy przez niego odkrytej. A to co znalazł było zbyt wielkie, zbyt potężne, i zbyt niebezpieczne, aby narażać spokój i zdrowie psychiczne innych ludzi. Wolał przebrnąć przez to sam, i po dokładnym zbadaniu tej wiedzy najpierw ocenić, czy może ona wypłynąć na świat.

Zrobił tak, ponieważ uważał że ludzie wciąż nie byli gotowi na przyswojenie tej wiedzy. Wszędzie dookoła były widoczne ślady wojny zniszczone miasta zarastały chwasty, nowe osady były brzydkie i pełne brudu, ludzie starali się nie umrzeć z głodu lub chorób, i wciąż nie mogli się między sobą dogadać. Nawet Inkubator nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Miastem, wciąż tylko dyskutowano o sposobie podniesienia cywilizacji. Rozmawiano, planowano, projektowano... Podejrzewał, że władze tych dwóch ośrodków nigdy nie dojdą do porozumienia, gdyż dla Miasta cywilizacja oznacza narzucenie barbarzyństwa i technicznych ograniczeń dla Inkubatora. Trwali więc już od kilkunastu lat, otoczeni legendami i prostymi kłamstwami, nie wierząc w możliwość współpracy i starając się dzięki pewnej izolacji nie przeszkadzać sobie nawzajem.

Wybierając jedną z pozycji w "menu" programu podświadomie czuł, że to co znalazł u jednego z handlarzy nośników danych pozwoli mu odkryć przyczynę wybuchu wojny, jej przebieg i przyszłe skutki dla ludzkości. Był to przecież rodzaj programu edukacyjnego, o nieznanym mu dotychczas wyglądzie, działaniu i sile przekazu. Gdyby ktoś go zapytał, czym jest ten program, to po chwili wahania mógłby odpowiedzieć, że jest rodzaj żywego dokumentu opisującego przyczyny i skutki wojny, że jest to forma interaktywnego przewodnika po świecie o którym opowiadali handlarze narkotyków przybywających z odległego południa. Tamten świat - świat handlarzy z południa - był całkowicie inny niż jego, był z pewnością dużo cieplejszy, dużo

brutalniejszy i tak jak zawsze, całkowicie nierealistyczny i pozbawiony sensu. Był jednak pewien, że to ta sama wojna stworzyła świat w którym żył.

Odsunął od siebie wszystkie myśli, nawet te o pustym żołądku i delikatnym, ale powoli narastającym smrodzie smażonej izolacji jednego z kabli. Kolejną lekcję czas zacząć. Dwudziesty siódmy poziom. Cholera, amunicja się kończy.

KONIEC

© 2004 Setuar

OBSERWATOR 2137

Opowiadanie o człowieku który rozpoczął nową epokę. Epokę, w której ludzie potrafiący czytać i pisać umierali nie tylko z powodu chorób lub starości.

1.

Obserwacja samochodu Nauczyciela nie stanowiła większego problemu. Biegnąc spokojnym krokiem dobrze wytrenowanego człowieka poruszał się po wertepach ze średnią prędkością około 5 kilometrów na godzinę. Nawet jeżeli Toyota Nauczyciela wyprzedzała go o spory kawałek drogi, w końcu i tak wracał na jej trop. Pozostawiali ślady i nie ukrywali się. Poza tym przez ostatnie 3 tygodnie był to jedyny samochód który spotkał. Był, gdyż dzisiaj, w okolicach leżącego przed nim miasteczka, znalazł świeże ślady innego pojazdu. Zanotował ten fakt i więcej o tym nie myślał. Miasteczko jak każde inne, szare, częściowo zburzone lub rozebrane. W środku jednego z budynków był Nauczyciel, a Antoni spokojnie obserwował całą sytuację z zarośniętego świeżymi chwastami wzgórza.

W tym świecie każdy kogoś obserwował. Wszyscy byli podejrzliwi i ta wzajemna podejrzliwość tak naprawdę nikomu nie pomagała - wymuszała tylko konieczność utopienia ogromnych środków w budowę umocnionych schronisk w pobliżu skrzyżowań lepszych dróg, w pobliżu ocalałych mostów lub masztów radiowych. Nieufność zmuszała ludzi do poświęcania cennego czasu na naukę - żałosne - umiejętności przydatnych w czasie wojny, i nie pozwalała na szerszą współpracę pomiędzy skupiskami ludzi. Szkoda, że szczególnie dużą nieufnością i niewiarą obdarzano dobre wiadomości. Dobre wiadomości zawsze były traktowane jako szczególnie podejrzane. Złe wieści przenikały do umysłów bardzo łatwo. Przestrogi, legendy, opowieści o mordercach, bandach czy agresywnych dzikich zwierzętach. Takie nowiny zadziwiająco łatwo zapadały w umysły. W Miasto i w zadania Jego wysłanników nigdy do końca nie wierzono. Nawet przestrzeganie Tradycji kończyło się gdy tylko ludzie z Miasta znikali z oczu. Miał dużo czasu, aby o tym wszystkim myśleć. Charakter misji i jej przebieg zmuszały do takich przemyśleń.

Misja Antoniego była szczególnym wyrazem niewiary i nieufności. Otrzymał zadanie sprawdzenia jaką trasą porusza się Nauczyciel i jeżeli się uda - ustalenie położenia Miasta. Czuł się trochę jak zdrajca - miał śledzić człowieka o ogromnej wiedzy i możliwościach, człowieka który pochodził z Miasta i miał władzę skierować Jego potęgę w dowolne miejsce kraju. Potęgę nauki, medycyny lub wojska, w zależności od sytuacji. Miał śledzić otoczonego szacunkiem wysłannika Tradycji. Miał śledzić tego Człowieka jak jakiegoś złodzieja czy szpiega, i w ten sposób dawać wyraz najgłębszej niewiary, i być może - głupoty - ludzi zamieszkujących kraj.

Rada miasta, z którego pochodził Antoni, uznała, że pomimo informacji przenoszonych przez Tradycję misja Nauczyciela nie jest do końca dla nich jasna i zrozumiała. Oczywiście, głośno nikt nie podważył celu w jakim On podróżował, ale nieufność coraz mocniej dawała o sobie znać. Nieustannie oczekiwano od nich - często cierpiących na głód zwykłych wieśniaków - wsparcia dla Miasta w postaci młodych i zdolnych ludzi A to Miasto znali tylko z Opowieści i szkiców. Nie wszyscy z tych wieśniaków byli na tyle naiwni i ciemni, aby we wszystko wierzyć - wielu podejrzewało, że Miasto jest czymś całkowicie innym niż mówią Nauczyciele, Medycy lub Tradycja. Gdyby Ich słowa były prawdą, to coś tak potężnego nie potrzebowałoby pomocy od zwykłych i prostych ludzi.

Chęć poznania prawdy, a raczej rozwiania niepewności, przeważyła rozterki i misja Antoniego rozpoczęła się.

2.

Wyruszył za Nauczycielem dokładnie 22 dni temu. Szedł lub biegł, nocował pod gołym niebem lub w opuszczonych budynkach, w wolnych chwilach robił szczegółowe notatki i mapy okolic które przemierzał. Jego bezpieczeństwo było najważniejsze - miał pozwolenie na powrót

w każdej chwili. Same notatki i jego spostrzeżenia były dostatecznie cenne i z pewnością nikt nie zarzuciłby mu tchórzostwa. Przecież nie dowiedzą się, że jedynym jego problemem było zdobywanie pożywienia. Nie wahał się kraść, ale równocześnie uważał aby nie doprowadzić mieszkańców samotnych gospodarstw do śmierci głodowej. Mogło się przecież okazać, że za jakiś czas będzie tędy wracał. Doprowadzenie ich do śmierci mogło się skończyć jego śmiercią w przyszłości. Na szczęście tylko głód był jego przeciwnikiem - ani razu nie spotkał żadnych bandytów, zwyrodnialców czy dzikich zwierząt większych niż króliki. Nauczyciel jeździł według ściśle określonego schematu i łatwo było go znaleźć, a ludzie których spotykał najczęściej z różnych powodów nie byli zainteresowani rozmową lub on sam wolał ominąć ich z daleka. Obawiał się chorób. Widząc jakiegoś obdartego, utykającego człowieka z zasłoniętą twarzą od razu schodził mu z drogi, i tylko z bezpiecznej odległości pozdrawiał go ręką.

Perspektywa powrotu do domu była bardzo kusząca - gruby plik notatek i szkiców z podróży będzie bardzo cenny dla rady z jego wioski. Dzięki tym zapiskom poznają lepiej świat i być może obalą kilka całkowicie nieuzasadnionych przesądów. Antoni już teraz wiedział, jak wielkie poruszenie wywoła jego powrót.

Ponownie spojrzał na leżące w płytkiej dolinie miasteczko. Z tej odległości widział tylko małe punkciki symbolizujące ludzi na placu. Przy samochodzie nastąpiło małe poruszenie - pewnie zaczęli zbierać się do wyjazdu. Zsunął się głębiej do małego zagłębienia i zaczął sznurować buty. Wkrótce Nauczyciel wyjedzie, najprawdopodobniej w kierunku północnym. Nie musiał wyjmować lornetki, aby poznać przebieg wydarzeń na placu. Jeżeli skończył swoją pracę z dziećmi, to teraz zabiera daninę i żegna się z najważniejszym człowiekiem z miasteczka. Jeden z ochroniarzy siedzi na samochodzie, drugi pilnuje Nauczyciela, trzeci może nawet być na jakiejś wieży lub dachu domu i uważnie rozgląda się po całej okolicy. Po całej okolicy - dzięki narkotykom lub potężnej lornetce lustrował wszystko dookoła. Właśnie dlatego Antoni tak rzadko używał lornetki - przypadkowy odbłysk światła mógł niepotrzebnie wzbudzić podejrzenia. Sprawdził po raz kolejny buty, ubranie, plecak i czapkę. Żadnych kleszczy czy innych robaków, nie chciał ryzykować zachorowania przez zwykłe głupie zaniedbanie. Podniósł plecak i ponownie zastanowił się nad jego ciężarem. Oprócz wielu niezbędnych w czasie wędrówki rzeczy miał w nim schowany pistolet. Doskonały, przedwojenny pistolet, i dwie paczki naboi. Leżał na samym dnie i przynajmniej nie przeszkadzał mu w wędrówce. Nigdy nie był potrzebny, i tylko obowiązek zwrotu broni po powrocie spowodowały, że jeszcze go nie sprzedał lub wyrzucił. Postanowił, że naboje gdzieś zakopie (lub sprzeda) przed samym powrotem do rodzinnej wioski - w końcu co to za bohater który nigdy nie strzelał...

Uśmiechnął się i rozpoczął powolny, spokojny marsz w kierunku drogi którą najprawdopodobniej pojedzie Nauczyciel. Drobne kilka kilometrów aby okrążyć miasteczko. Nie przegapi śladów kół, do zmroku pozostało jeszcze wiele czasu, ma co jeść i pić. Pogoda jest ładna. Będzie dobrze.

3.

Samochód zatrzymał się kilka kilometrów od wioski, na prostym odcinku drogi. Wysiedli. Jeden z ochroniarzy nie okazał po sobie zdziwienia, gdy dostał polecenie założenia małej miny na środku drogi. Westchnął tylko ciężko, gdy dla zmylenia musiał pozostawić zapalniczkę kilka metrów za miną. Zachęta, odwrócenie uwagi, skierowanie myśli na inne tory. Założył minę jak najlepiej potrafił, i nie powiedział słowa o prawdopodobnej bezużyteczności ładunku, który z pewnością już dawno stracił swoje właściwości. Tak długo już podróżowali, nawet data ostatniego badania technicznego umieszczona na małej blaszce z boku miny była wytarta.

Nauczyciel patrząc na zakładanie miny nie podzielił się swoimi podejrzeniami w stosunku do mieszkańców miasteczka. Nie podzielił się swoim zmęczeniem, znudzeniem i poczuciem utraty sensu dla swojej pracy. Nie zapytał, czy widzieli coś podejrzanego, czy poczuli coś dziwnego. Gdyby zapytał, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nie szkoda mu było ładunku wybuchowego. Też podejrzewał, że jest już nieaktywny. Może dlatego więcej nie myślał o tym zdarzaniu. Mina - zgodnie ze swoim przeznaczeniem - za około 24 godziny

przegnije i już nikomu nie zrobi krzywdy. Tą drogą przez dwa dni nikt nie powinien podróżować - tak mówiła Tradycja. Dwa dni, w czasie których nikt nie mógł opuścić miejsca w którym przebywał Nauczyciel, ani nawet wykorzystywać tą samą drogę.

Odjechali. Jeżeli jakiś człowiek będzie ich śledził, to na własne życzenie wdepnie w kłopoty. Zginie - i jak zawsze do tej pory - szlak oraz cele podróży Nauczyciela pozostaną tajemnicą.
Wszyscy w tym świecie byli podejrzliwi, i wszyscy mniej lub bardzie łamali prawa Tradycji. Prawa przeznaczone dla mieszkańców Miasta, i prawa narzucone reszcie ludzi. Nauczyciel odrzucając podstawowe zasady bezpieczeństwa nie uznał za stosowne zatrzymać się na dłuższy postój w okolicach tego miasteczka. Nie chciał sprawdzać, czy rzeczywiście ktoś będzie ich śledził, czy tylko zmęczenie podsuwa mu ponure podejrzenia.

4.

Antoni w jednej chwili zapomniał o zapalniczce. Zapomniał o wszystkim z wyjątkiem banalnej wiedzy medycznej z dziedziny pierwszej pomocy. Nie słyszał swojego wrzasku, nie czuł bólu, i nawet szok nie przeszkadzał mu zrozumieć, że utrata jednej nogi jest po prostu śmiertelna. Odwrócił głowę, nie chciał patrzeć na kawałki mięsa i kałużę krwi. Miał jeszcze kilka minut, może nawet mógłby napisać parę słów. Czując narastający spokój i rozleniwienie rozejrzał się dookoła. Samochodu oczywiście nie było nigdzie widać, ptaki jeszcze nie krążyły nad jego głową, tylko jakiś człowiek którego też nie powinno tutaj być z daleka mu się przyglądał. Pewnie usłyszał wybuch, zobaczył błysk lub obłoczek jasnego dymy, i teraz zastanawiał się czy to była pojedyncza mina... Albo czekał, aż umrze. Zresztą i tak nie mógłby pomóc, za mało czasu i on też był śmiertelnie chory, na trąd albo coś jeszcze gorszego.

5.

Trędowaty po zjedzeniu części zapasów z plecaka Antoniego zajął się przeglądaniem obrazków z instrukcji obsługi pistoletu. Czytać nie potrafił. Prawdziwy problem tkwił w pogodzie. Był jasny, ciepły, niemal letni dzień. Dlatego, gdy nadeszła noc, trędowaty nie musiał rozpalać ogniska i notatki przetrwały.

KONIEC

© 2004 Setuar

NAUCZYCIEL 2137

Opowiadanie o Nauczycielu, który postanowił zlekceważyć Zasady i zachować wątpliwości dla siebie. Tym działaniem dał początek wydarzeniom, które nie są przedmiotem tego tekstu.

1.

Później rodzice przenieśli swoje dzieci na strych domu. Ułożyli je na starych szmatach, przykryli kocami. Jeden z nich przygotował strzykawkę i zdezynfekował nad płomieniem świecy grubą igłę. Butelkę z ciemnym płynem położył obok na tacy. Za kilka godzin - gdy zaczną się budzić - będzie gotowy. Zastrzyki są lepsze niż powrozy. Może droższe, ale przecież nie będą oszczędzać. Nie w takiej chwili.

Dzieci leżały nieruchomo. Po raz kolejny ktoś inny zadecydował o ich losie. I tym razem nie mogły protestować. W zamian za to po raz kolejny przekonają się, ze ich rodzice wykazują zadziwiające zdolności organizacyjne w celu zaspokojenia ich "dobra". Tym razem wszystko było lepiej przygotowane - teraz już nie będzie błędu sprzed kilku lat który, doprowadził do dzisiejszej sytuacji. A szczególnie stanu mieszkańców, pomiędzy którymi na próżno szukać nastoletniej młodzieży. I stanu pobliskiego cmentarza z zarastająca chwastami alejką niewielkich grobów.
Dzieci były zabezpieczone. Podjęto ryzyko problemów, które mogą wyniknąć z przedawkowania narkotyków. Oni się z tym pogodzili. Rozpoczęto teraz przygotowania do przywitania łowcy, który sam siebie nazywał Nauczycielem.

2.

Tyle razy oglądał już podobne miasteczka. Z biegiem lat wszystkie upodabniały się do siebie. Mieszkańcy dbali tylko o kilka ulic, część domów, kościół, jakiś większy budynek, który akurat był w centrum i niejako "pod ręką". Wszystko inne z upływem czasu szarzało, pokrywało się brudem i podlegało naturalnej degradacji. Mieszkańcy nie mieli siły i ochoty na czyszczenie ulic, na sprzątanie narastającego bałaganu. Gdy nastały spokojniejsze czasy ludzie myśleli raczej o sobie, niż o porządku na ulicach.

Coś go jednak zastanowiło. Przez moment nie mógł ustalić, co takiego odróżnia to miasteczko od innych. Dokładniej obejrzał krajobraz za brudnymi szybami. Teoretycznie wszystko było takie samo jak wszędzie, albo prawie takie samo. A jednak - ulice były minimalnie szersze, co umożliwiałoby minięcie się dwóch samochodów, oraz nigdzie nie widział opuszczonych budynków, które mogłyby grozić niespodziewanym zawaleniem. Były zamiast nich stosy nieszkodliwych gruzów. Ktoś - dla bezpieczeństwa - wyburzył ruiny. Ciekawe. O ile rozumiał celowe zburzenie rozpadających się domów, to w ogóle nie mógł zrozumieć, dlaczego zadano sobie tyle trudu, aby utrzymywać porządek na drogach. Przecież nie mają tutaj kilku samochodów! Niemożliwe. Może mają zaprzęgi konne, albo jakieś wozy, do których zaprzęgnięte są krowy. Faktycznie, widział po drodze kilka krów. Nawet teraz, po drugie stronie placu, dwie krowy skubały jakieś zielsko. Tylko dlaczego te cholerne krowy tak ryczą... Cholera, starzeję się.

Odwrócił głowę w stronę z której dobiegało do niego ryczenie, tylko nie krowy, a jednego z dzieciaków siedzących w pierwszym rzędzie na świeżo umytej, ale gnijącej podłodze.

3.

- O co pytałeś, chłopcze? - Nauczyciel sprawiał wrażenie troszeczkę zdezorientowanego - Zamyśliłem się nad jedną sprawą i nie słuchałem zbyt dokładnie.

- Pytałem, dlaczego te domy na zdjęciach są takie wysokie?

Chłopiec przez moment był nadzwyczaj odważny. Wykrztusił z siebie pytanie jednym tchem i skulił na podłodze w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Wcale nie! - ktoś z tyłu - chciałeś zapytać, dlaczego ma pan taki głupi wyraz twarzy!

Dzieci zaryczały ze śmiechu, a piegowaty krzykacz schował się za plecami innych. Głupkowate uśmiechy, kretyńskie żarty, śmiechy w kątach, przedrzeźnianie i lekceważące ziewanie. To wszystko wyobraził sobie i zrozumiał, że nie potrafi już zapanować nad małym tłumem. Mógłby spróbować, mógłby zacząć jeszcze raz, ale... po co?

- Dobra, wszyscy jesteśmy zmęczeni - udało mu się przekrzyczeć harmider - zarządzam pięć minut przerwy.

- Ale my nie mamy zegarka...

- Wiem. I nic mnie to nie obchodzi. Czarni wam powiedzą.

4.

Wracały do sali powoli, z pewną niechęcią. Siadały pozornie bez żadnego porządku. Nauczyciel doskonale wiedział, że to nie jest takie proste i dzieciaki zawsze siadają w określonym porządku. We wszystkich wioskach, miasteczkach, zapadłych dziurach czy nawet w pojedynczych rodzinach które samotnie odwiedzał w swojej karierze przekonał się, że dzieci zawsze siadają w ściśle określonym porządku. Z przodu siadają słabsi fizycznie, niedowidzący lub pogardzani przez innych. Z tyłu zawsze siadają silni fizycznie i pewni siebie. Miejsca z tyłu - obojętnie jakby nie spojrzeć - zabierali silni. Silni fizycznie, umysłowo, posiadający te dwie cechy równocześnie lub ci, którzy potrafili przewodzić grupie. Z przodu mogli siedzieć nawet wybitnie uzdolnienie i wyjątkowo bystrzy, ale rzadko posiadający wyobraźnię i pewną społeczną zaradność. Co z tego że potrafił czytać i pisać, jak któregoś dnia przypadkowo, podczas prac w polu czy warsztacie, odmrozi sobie ręce lub ulegnie innemu wypadkowi? Rzadko się zdarzało, aby geniusze dożywali osiemnastego roku życia. Uzdolnione kierunkowo jednostki, które nie posiadały umiejętności przewodzenia innym i stworzenia grupy która będzie umiała ich ochronić, nie miały prawa bytu w tym środowisku. Wybitnie uzdolnieni pojawiali się, takie było podstawowe założenie pracy nauczyciela. Znaleźć geniusza, zanim - nie potrafiąc się dopasować do środowiska - utraci swój geniusz. Utraci go w sposób brutalny, po zetknięciu z ponurą rzeczywistością ciężkiej codziennej pracy, utraci go w sposób głupi - od zakażenia po jakiejś bójce lub pogryzienia przez psa, albo utraci swój geniusz na własne życzenie - zamykając się w sobie, tłamsząc go w zarodku i upodabniając się do rówieśników. Szukał właśnie te dzieciaki, które miały zadatki na naukowców, na naukowców o wąskich zainteresowaniach i nie przygotowanych do przetrwania. Nie szukał tych, które były uzdolnione wszechstronnie lub posiadali charyzmę lidera. Jak pokazywała praktyka oni sami dawali znać o sobie. I wtedy byli gotowi sami dotrzeć do Miasta, albo Miasto docierało do nich. Do nich nie wysyłano Nauczycieli, tylko Przywódców. I w zależności od okoliczności przywódcy docierali do nich w otoczeniu doradców, lub poprzedzała ich grupa Czarnych.

Patrzył na dzieci wchodzące do sali i siadające na podłodze. Wiedział, że siadają w określonym porządku. Ten porządek można było wyjątkowo łatwo rozpoznać. Kilku z przodu, kilku z tyłu. Grupa pomiędzy. Nawet nie musiał się zbyt dokładnie przyglądać. Doświadczenie opowiedziało mu historię ich życia. Niemal dzień po dniu mógł odtworzyć ich życia. Życia jakich setki, tysiące. Życia skazane na ciężką pracę i brak marzeń. I doświadczenie wielu lat pracy z podobnymi dziećmi nakazało odrzucić uprzedzenia i jeszcze raz każdemu z nich się przyjrzeć. Każdemu należy się szansa. Nawet takim matołom.

Na dłuższą chwilę zatrzymał się przy oglądaniu dziecka siedzącego z boku, przy samym wejściu. Przyszło jako ostatnie, i teraz przygarbione siedziało na podłodze. Ręce i twarz miało owinięte jakimiś szmatami. Nie widział nawet jego oczu. Chory na trąd. Albo coś jeszcze gorszego. Ale z pewnością nie było to zaraźliwe jeżeli pozwolono mu chodzić po miasteczku. Dziecko ani razu się nie odezwało, ani razu nie poruszyło się, nie drgnęło z większego zainteresowania lub nie wierciło się z nudów. Po prostu siedziało, patrzyło i słuchało. Takie było całe jego życie. Siedzieć cicho i w spokoju oczekiwać na kawałek chleba i kubek wody. Nauczyciel znał wiele takich dzieci, widział je bardzo często, ciche, milczące i słabe jak to tutaj, oraz ciche i milczące po śmierci - leżące z dala od osad ludzkich i skazane na gnicie w samotności. Ale jeszcze nigdy nie widział chorego dziecka, które przyszłoby wysłuchać jego Opowieści. Przecież Opowieści Nauczyciela skierowane były do żywych, zdrowych, silnych i mądrych dzieci. Chorzy nigdy nie mieli i nigdy

nie będą mieli prawa wstępu do Miasta, więc nie mają po co przychodzić na Opowieści. I rzeczywiście chore dzieci nigdy nie przychodziły, wolały kręcić się w okolicach rodziców szukając litościwego gestu, lub myszkować po chwilowo opuszczonych domach. To dziecko, niewątpliwie nieuleczalnie chore, przyszło posłuchać o Wielkiej Przeszłości, o Wielkiej Nauce, o tym wszystkim co niosły jego Opowieści. To dziecko przyszło posłuchać o tym wszystkim, z czym nigdy nie będzie miało okazji się spotkać.
Za długo na nie patrzył. Dźwignęło się z podłogi i wyszło z sali.

"Może później je odszukam. Jak nie zapomnę." - Nauczyciel popatrzył na półotwarte gęby i zasmarkane nosy. Bez przekonania rozpoczął trzecią część Opowieści.

5.

Tyle razy opowiadał już trzecią część. Tyle razy już pokazywał zdjęcia, fragmenty książek i uzupełniał je tymi samymi słowami. Staranie opracowana dawka informacji, którą miał przekazać dzieciom. Gdyby choćby jedno z dzieci wykazało specyficzny rodzaj zainteresowania, polegający na dostrzeżeniu pewnych sprzeczności i próbie ich wyjaśnienia, mógłby przejść do kolejnego etapu polegającego na dokładniejszym zbadaniu potencjału naukowego tego dziecka. Szkoda że tak rzadko miał okazję to robić. Słysząc swoje beznamiętne słowa i automatycznie pokazywane zdjęcia starał się wczuć w umysły tych dzieci i zrozumieć co teraz myślą. Przypuszczał, że jest dla nich całkowicie obcy, może nawet jest kimś niepotrzebnym i bezsensownie opowiadającym o całkowicie niezrozumiałych dla nich sprawach. Opowiadał bajki. I oni słuchali tych bajek, bo taka była tradycja i tak kazali rodzice. Słuchali bo musieli, a nie dlatego że ich to interesowało. Dla nich Miasto było taką samą bajką jak poranek bez głodu skręcającego brzuch.

Był jednak Nauczycielem i opowiadał. W trzeciej części Opowieści przekazywał określone fakty z drugiego tygodnia po Wojnie. Wszystkie jego słowa były jak wyuczona na pamięć i nikomu już niepotrzebna modlitwa. Co z tego, że dzieci słuchały, jak nic nie rozumiały i nawet nie miały pojęcia jak mało rozumieją. Zdawał sobie sprawę z dużo gorszej sprawy - te dzieci już spisał na stracenie, co było fundamentalnym zaprzeczeniem jego misji. Kiedy ta myśl dotarła do niego nawet się nie zdziwił. Po prostu pogodził się z tym. Podobnie jak dzieciaki siedzące na podłodze pogodziły się ze swoim losem.

6.

Po raz ostatni obrzucił wzrokiem słuchaczy. Wiedziały, że będzie zaraz kończył Opowieści i już zaczynały się niecierpliwie kręcić. Postanowił nie przedłużać i jak najszybciej opuścić to miasteczko. Niesłuszne obrzydzenie do dzieci przelało się na niego samego. Wiedział, że jest niesprawiedliwy, że mógłby poświęcić więcej uwagi, że mógłby ciekawiej opowiadać, że mógłby wiele zrobić dla nich, aby pobudzić ich uśpione lub stłamszone umysły. Postanowił jednak bezdusznie zastosować procedury i po raz kolejny odejść samemu. Żadne dziecko nie zaskoczyło go absolutnie niczym. Żadne dziecko nie miało tego błysku w oku. Mógł odjechać w spokoju i nie zawracać sobie więcej głowy. Wiedział, że szybko zapomni. Musiał zapomnieć, aby jutro lub za kilka dni z czystym umysłem poprowadzić kolejne Opowieści. Już w innym miejscu, z innymi dziećmi, z innymi myślami i innym nastawieniem. Sam już nie wiedział co go irytuje w tym miasteczku i jego mieszkańcach. Czy była to tępota dzieci, czy była to podejrzliwość rodziców, lekceważące uśmiechy burmistrza, a może zbyt szerokie ulice lub fakt, że po raz pierwszy w jego karierze na Opowieści przyszedł ktoś nieuleczalnie chory, a on - Nauczyciel - nawet nie spojrzał mu w oczy. Podejrzewał, że ma po prostu zły dzień i lepiej go zakończyć, zanim nie wydarzy się coś naprawdę złego Wyszedł z pomieszczenie nie patrząc na nikogo i nawet nie zostawiając swojego wpisu w Księdze Wizyt.

7.

Burmistrz stał kilka metrów przed samochodem. Przed nim leżał pakunek z daniną mieszkańców. Plastikowy, dwudziestolitrowy baniak z benzyną robił wrażenie. I gdyby nie ten baniak to Nauczyciel nawet nie podszedłby do niego.

- Zbieramy się do odjazdu - Nauczyciel nie wyciągnął do niego ręki na pożegnanie i nie spuszczał z burmistrza badawczego wzroku - Nie będziemy Was więcej kłopotać.

- Ależ...

- Lepiej nic nie mów. Nie wiem co tutaj się dzieje, i szczerze mówiąc nic mnie to nie obchodzi. Wyjeżdżam.

- Przygotowaliśmy kilka drobiazgów, które mogą Wam się przydać w drodze. To dary od całej społeczności...

- Wezmę tylko benzynę. - nieznacznie wskazał palcem na baniak i jeden z Czarnych podszedł aby go zabrać. Kiedy szedł, lufa karabinu nawet nie drgała. Ochroniarz zatrzymał się, czekając aż Nauczyciel skończy rozmowę. - Resztę możecie zachować.

- Nauczycielu - burmistrz wykrztusił trochę przez zęby, nigdy nie lubił prosić - czy Miasto przewiduje wizytę Lekarza w tej okolicy?

- Nie wiem, człowieku. Może. - odwrócił się plecami i powoli odchodził - Dbajcie o ciężarne kobiety, dzieci są bezcenne.

Wsiadając do samochodu poczuł ulgę. Możliwe, że coś tutaj poszło nie tak, że coś przeoczył i wyszedł na idiotę, ale powoli coraz mniej go to interesowało. Teraz musieli tylko dotrzeć do schroniska gdzie zostaną przez dwa dni, zanim nie ruszą do kolejnego miasteczka. Dwa dni spokoju, w czasie którego uzupełni notatki i prześle raport o swojej pracy. Na razie nie miał po co wracać do Miasta.

Gestem zakończył rozmowy ochroniarzy i zaczął przygotowywać się do kilkugodzinnej podróży w samochodzie jadącym po resztkach asfaltowej drogi. Tymczasowo odsuwał od siebie niepokojące wspomnienia z miasteczka, wspomnienia związane ze zbyt głupimi dziećmi, zbyt cwanym burmistrzem, zbyt zaciekawionym chorym na trąd i zbyt szerokimi ulicami. Dlatego właśnie nie odpowiedział na formalne pytanie jednego z Czarnych. Też uważał, że zespół medyczny niepotrzebnie traciłby tutaj czas.

8.

Otępione narkotykami nie słyszały odjeżdżającego samochodu Nauczyciela. Nie słyszały również westchnień ulgi i głośniejszych rozmów rodziców. Odjechał. Teraz wszystko znowu wróci do normy, do szarej rzeczywistości mozolnego realizowania marzeń rodziców.
Dzieci, które nie zdradziły sekretu otrzymały jako pochwałę solidne porcje słodyczy. Rodzice mieli ten dzień wolny od pracy. Te na strychu - dzień wolny od nauki. A trędowate pożegnało się z nadzieją na wizytę lekarza.

KONIEC

© 2004 Setuar

WITAJCIE W CIĘŻKICH CZASACH: ORCHID

Dla Magdy

Płacz dziecka. Tym razem nie był denerwujący, niespodziewany, wybijający z równowagi. Był jak najbardziej oczekiwany. Głośny płacz nowo narodzonego człowieka, który jeszcze nie rozumie czym jest smutek i ból, czym jest ciężka praca, czym jest walka o przetrwanie. Czym jest życie na pustkowiach, jedyne jakie otrzymał i jedyne jakie będzie mógł wykorzystać. Ale nikt w małym i ciemnym pokoju nie zaprzątał sobie tym głowy, kobieta leżąca na łóżku w końcu mogła odetchnąć po tytanicznym wysiłku jaki musiała wykonać, a mężczyzna, uśmiechnięty, trzymał w rękach swoje małe, czerwone od płaczu i krwi dziecko, i nie potrafił się nim nacieszyć, patrzył na nie z dumą i radością, jakby było ono największym darem dla ludzkości. Kiedy podniósł je trochę wyżej i lepiej mu się przyjrzał, ucieszył się jeszcze bardziej.

- To chłopiec.

- Podejdź, pokaż mi go. - odpowiedziała uśmiechnięta kobieta.

Mężczyzna podszedł do niej i oddał małego w jej ręce, a sam przysiadł obok i z zadowoleniem obserwował swojego syna. Matka przytuliła dziecko do twarzy umazując policzek krwią, ale nie przejęła się tym. Trzymała go blisko siebie i szeptała mu słowa ukojenia do małego ucha. Niemowlę, z powodu jakiegoś nieznanego uczucia, przestawało płakać, obejmujące je ramiona i ciepło bijące z tej osoby sprawiały, że mogło czuć się bezpiecznie. Dziecko wtuliło się w policzek matki wyrażając tym samym swoje uczucia. Właśnie w tej chwili cała trójka odnalazła spokój, spokój, którego poszukiwała i którego potrzebowała. Spokój, którego na pustkowiach zawsze brakuje.

***

Chłopiec siedział przed domem i strugał gruby, drewniany kij, tak jak nakazał mu ojciec. Prawdę mówiąc, nie lubił tego. Było z tym dużo nudnej roboty, której nie chciało mu się wykonywać. Poza tym wiedział, że będzie musiał iść z nim na polowanie. Nie lubił polowań.

Bał się na nie chodzić, wciąż pamiętał kiedy ta "pieprzona jaszczurka" prawie zabiła jego ojca. Choć on sam mówił potem, że to nic takiego i, że z pewnością nic by się nie stało, chłopiec pamiętał jak on wtedy wyglądał. Twarz zniekształcona w grymasie potwornego przerażenia, szeroko otwarte, przestraszone oczy i rozwarte, okropnie krzyczące usta. Chłopiec słyszał ten krzyk w nocy, w swoich snach i widział jak gruba gałąź, która wtedy była ułamana, jest teraz prosta i zdrowa. Nie spada na plamiaka, a ten w morderczym szale rozszarpuje brzuch ojca, wyrywa wnętrzności, bryzgająca krew trafia na małego chłopca, który nie wie co zrobić i patrzy na tę okropną scenę, jak jaszczurka wyciąga w zatrzaśniętym pysku długie i czerwone organy wewnętrzne, nagle przestaje, odwraca się powoli i zauważa go, po czym naskakuje i na niego - sen się kończy. Teraz nie śni się tak często, jak wtedy, ale o takich snach trudno zapomnieć. Szkoda, że ojciec tego nie rozumie i zabiera go często ze sobą. Mówi, że to ważne, że jego może kiedyś nie będzie i kto wtedy zaopiekuje się domem i matką? Jeśli coś mu się stanie, to nikt im nie pomoże, będą zdani na siebie, dlatego chłopiec musi umieć zdobywać jedzenie. Ale po co, przecież dom zbudowany jest blisko szlaku karawan, przecież tu odpoczywają, tu czasem nocują i płacą za to, przecież właśnie przez to, że dom jest tak blisko zbudowany tego cholernego szlaku, mają więcej kłopotów niż pożytku. Ile razy już, bandyci próbowali ich stąd przegonić? Gdyby mieszkali bliżej lasu, byłoby bezpieczniej i chłopiec nie musiałby chodzić na te głupie polowania. No tak, ale wtedy skąd brałby pieniądze na jedzenie, jeśli karawany nie robiłyby tu sobie przystanku? Mógłby wyruszać z nimi do miasta i brać pieniądze za pomoc. A czemu mieliby mu płacić, skoro nie umie ani polować, ani strzelać? Raczej braliby go ze sobą i po prostu się nim opiekowali, niżby on opiekował się nimi. No to coś by wymyślił. To dobrze, ale do czasu aż nic nie wymyśli, mieszka w domu ojca i jego będzie się słuchać i będzie chodzić na polowania razem z nim.

Chłopiec uderzył ze złości kijem w ziemię i rzucił swój nożyk przed siebie. Nie chciał tam iść. Nie chciał zabijać.
Sięgnął po książkę leżącą obok niego. Brudne, brązowe, lekko podarte strony świadczyły o jej wieku, który z pewnością przekraczał wiek jego matki, a nawet ojca. Chłopiec nie wiedział, co oznaczają te śmieszne małe czarne znaczki, na które jej właściciel, wędrowny kupiec, mówił litery. Rodzice chłopca też tego nie wiedzieli, ale on się tym nie przejmował. Nieważne było, co one oznaczają, jego interesowały tylko obrazki. Właściwie interesował go tylko jeden obrazek. Ręcznie narysowany obrazek fioletowego kwiatu, który kształtem przypominał trochę gwiazdę. Dwa boczne płatki były największe i rozchylone, zasłaniały drobne części pozostałych trzech płatków, jednego górnego i dwóch dolnych. Każdy z nich był odrobinę pochylony do przodu, jakby kwiat czegoś nasłuchiwał lub zapraszał. A w samym jego środku znajdował się rozwarty woreczek, pełen małych ciemnoczerwonych kropek, z którego wystawał krótki języczek, tak jakby owy kwiat żartował z czegoś, był rozbawiony. Chłopiec lubił patrzeć na ten obrazek, zawsze sprawiał, że nieważne co by się nie działo, poprawiał mu humor. Często do niego mówił, mając nadzieję, że mu odpowie, pomoże, złapie za rękę i wciągnie do książki, do swojego świata, pełnego zadowolonych kwiatów, w którym nie trzeba chodzić na polowania, i w którym nie trzeba ryglować drzwi w nocy, w którym można spokojnie spać, w którym nikt ze sobą nigdy walczy. Ale kwiat nie chciał go tam zabrać.
Nie winił go. Wiedział do czego zdolni są ludzie. Domyślał się, że pewnie i kwiat o tym wiedział i choć bardzo go lubił, to pewnie nie mógł mu pozwolić na to, żeby trafił do jego świata. Mimo wszystko, w niektórych chwilach, bardzo rzadko gniewał się na niego z tego powodu. Niektóre sytuacje, o których nie lubił myśleć, wymagały ingerencji kwiatu, ten jednak, wciąż nic nie robił, w niczym nie pomagał, jakby ignorował jego prośby. Choć takie myśli szybko mu przechodziły - rozumiał, że jako człowiek nie ma prawa prosić go o pomoc - to jednak czasem miał mu to za złe przez długi czas. Przecież on był inny od reszty ludzi, on nie chciał polować, nie chciał zabijać, chciał żyć. Po prostu żyć, nie robić nikomu na złość, nie robić nikomu krzywdy, nie robić nic, co uznane byłoby za coś złego. Po prostu żyć.

Drzwi domu zaskrzypiały - obwieściły posępnie, że ojciec wychodzi. Chłopiec szybko wstał i podbiegł do miejsca, w którym po jego rzucie wylądował nożyk.

- Mówiłem ci, że nie masz się bawić, tylko masz naostrzyć kij. - powiedział stanowczo ojciec.

- Ostrzyłem. Nie mogłem go przenieść przez jedno miejsce i mi wyskoczył. - od bąkał niepewnie chłopiec.

- Ach tak? To pokaż mi kij, zobaczymy czy w ogóle się za to wziąłeś.

Chłopiec podszedł do kija ze spuszczonymi rękami i głową. Wziął go do ręki i sam najpierw mu się przyjrzał. Nie wyglądał bardzo źle, ale wiedział, że ojcu się nie spodoba - Proszę. - podał mu przyszłą broń.

- No cóż - odpowiedział oglądając kij - chyba masz szczęście, twoja wymówka wydaje się być prawdopodobna. Daj mi nóż, sam z nim skończę.

Ojciec ostrzył kij przez jakiś czas w ciszy.

- Zastanawia mnie, czemu tak nie lubisz polowań. Kiedy ja byłem mały, bardzo lubiłem wybierać się z ojcem do lasu.

- Nie wiem.

- I w tym problem. Bo ja też nie wiem.

Chwila ciszy.

- Boisz się tam chodzić? Przecież wiesz, że tamto to był przypadek.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Ja po prostu nie chcę zabijać.

Ojciec westchnął i odłożył nożyk - Nikt nie chce. No, może oprócz tych pieprzonych najeźdźców, nie mów mamie, że powiedziałem pieprzonych. I sam też nie powtarzaj. Nikt nie chce zabijać. Ale trzeba to robić.

- Czemu?

- Już ci mówiłem. Musimy coś jeść.

- Możemy jeść rośliny.
- No, możemy. Ale musimy jeść też mięso.
- Czemu?
- Bo mięso jest zdrowe. Spójrz na plamiaki, czy one jedzą rośliny?
- Nie wiem.
- Nie, one też polują, na mniejszych, na większych. Jeśli plamiaki muszą jeść mięso, to i my musimy.
- Plamiaki to zwierzęta.
- W pewnym sensie ludzie to też zwierzęta. Tylko trochę mądrzejsze. No, ale pomyśl, gdybyś stanął teraz oko w oko z głodnym plamiakiem, to czy on powstrzymałby się, przed zaatakowaniem cię?
- Nie wiem. - odparł chłopiec, chociaż tak naprawdę znał odpowiedź.
- Nie. Zjadłby cię w try-miga, bo jesteś taki mały i chudy - ojciec dał mu kuksańca - Plamiak nie myśli czy zada tobie ból, czy nie. To zwierzę i jeśli chce jeść, to będzie jeść. Plamiak nie będzie się zastanawiał czy jesteś ładny, czy nie, rzuci się na ciebie bez litości. Dlatego nie powinieneś martwić się ich losem, bo one nie martwiłyby się twoim. Tak to już jest na świecie, każdy dba o siebie. A jeśli się nie przystosujesz, to nikt się tobą nie zaopiekuje. Dlatego kiedy mnie ani mamy nie będzie, będziesz musiał umieć o siebie zadbać. Rozumiesz?
- Chyba tak.
- Cieszę się. No, to chodź, kij jest gotowy. Może w lesie znajdziemy któryś z tych twoich fikuśnych kwiatów.
- Nie wydaje mi się. Szukałem za każdym razem i żadnego nie było. Ale kto wie? - w odpowiedzi było tylko pół prawdy. Jedyną rzeczą jaką chłopiec lubił w polowaniach, było właśnie poszukiwanie kwiatu. Za każdym razem jego serce napełniała nadzieja, że go odnajdzie i choć jeszcze nigdy mu się to nie udało, nie poddawał się, wierzył, że on gdzieś tam na niego czeka, i że w końcu go spotka.

***

Wschodzące, poranne Słońce zaczęło oświetlać las. Zielone drzewa oblały się złotem, ale wewnątrz wciąż było ciemno i granatowo, światło nie potrafiło przedostać się przez gęstą sieć martwych gałęzi. Choć las nie był duży - wszak chłopiec za dnia przychodził się tu bawić razem z dziećmi przejeżdżających karawan i znał go już dość dobrze - wciąż był niebezpieczny, szczególnie o tej porze. Znajdujący się w pobliżu góry, pełno w nim było jaskiń i grot, w których mieściły się gniazda i kolonie różnej maści zwierząt, głodnych i zabójczych. Chłopiec wiedział, że nie będą zapuszczać się głęboko w las, o tej porze to o wiele bardziej niebezpieczne niż za pełnoprawnego dnia. Mimo to, był przestraszony.
Próbował nie myśleć o zwierzętach, o niebezpieczeństwie, o możliwej śmierci, wolał rozglądać się za orchideą, która nie jest mu w stanie nic zrobić i która może mu tylko pomóc. Powtarzał sobie, że musi wytężać wzrok i patrzeć na ziemię, w ten sposób na pewno ją znajdzie, bo mocno wątpił, że jej może tam po prostu nie być. Nie przyjmował takich myśli do świadomości, były zbyt niedorzeczne i głupie; jak może jej tam nie być, skoro jest nawet opisana w książce przez ludzi, którzy byli od niego o wiele mądrzejsi i wiedzieli więcej od niego. Przecież on jej potrzebuje, to niemożliwe żeby jej po prostu nie było. Nie, ona jest tam na pewno, najwidoczniej chłopiec szuka jej zbyt nieudolnie. Musi jej szukać tak, jak ojciec, który szuka teraz zwierzyny.
Był spięty, ale nie w stopniu, który utrudnia poszukiwania, wytężał wszystkie swoje zmysły do granic możliwości, jakby próbował zademonstrować znaczenie słowa skupienie. Stąpał bardzo ostrożnie i cicho, omijając starannie wyschnięte gałęzie, które pod naciskiem mogłyby zdradzić jego położenie. Spojrzał na syna niezadowolony, widział zbyt wiele błędów w jego zachowaniu i bardzo chciał zwrócić mu na nie uwagę. Już miał to zrobić, kiedy usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się szybko, jednocześnie ściskając mocniej swoją broń. Nie było za nim absolutnie niczego. Pewnie jakaś ułamana gałąź.

Kiedy chłopiec usłyszał ten sam szelest, serce zabiło mocniej, szybciej i głośniej. Zamknął oczy, zacisnął zęby i zaczął sobie powtarzać, że wcale tego nie słyszał i nic tam nie ma, a nawet jeśli jest, to nic mu nie zrobi, bo ochroni go ojciec. W głowie lekko szumiało, potężne uderzenia serca w klatkę piersiową sprawiały, że chłopcu zdawało się, że trzęsą jego ciałem. Czas ciągnął się powoli i ospale - jakby zmęczony swoim dotychczasowym rytmem postanowił odpocząć. Dopiero lekki powiew wiatru przyniósł ukojenie, usłyszał jak ojciec cicho wzdycha z ulgi, znaczyło to, że nie ma się czego bać. Otworzył oczy i zaczął przeklinać sam siebie, że stchórzył, a nie - tak jak ojciec - gotował się do walki. Powiedział sobie, że następnym razem już nie stchórzy. Ruszyli dalej.
W miarę upływu czasu, w lesie zaczęło się powoli rozjaśniać, dzień wstawał powoli i leniwie, ale nad wyraz skutecznie. Chłopiec pozostawiając poszukiwania jaszczura ojcu, przyglądał się ziemi, wypatrując swojego kwiatu. Niestety, jak zwykle nigdzie go nie było. Na początku lekko podekscytowany myślą o znalezieniu go, teraz, jak zwykle po takim czasie poszukiwań, zapał go opuścił i przestał przyglądać się ziemi z takim pietyzmem i przejęciem. Kiedy wcześniej skanował ziemię milimetr po milimetrze, teraz obrzucał ją pobieżnym spojrzeniem i dawał sobie spokój. Co jakiś czas trochę denerwowało go jego własne zachowanie i wracał do skanowania, lecz trwało to zazwyczaj bardzo krótko i nie było tak dokładne jak poprzednio. Tłumaczył to sobie tym, że cierpliwość też ma swoje granice, a kwiat pewnie po prostu nie chce go widzieć, albo znajduje się w zupełnie innej części lasu i woła go, bezskutecznie.
Polowanie trwało już trochę czasu i dało się to odczuć. Chłopiec chodził wolniej, mniej ostrożnie, a kij zaczynał się robić coraz bardziej niewygodny i niepotrzebny. Zdenerwowany spojrzał na ojca, który był o wiele bardziej wytrwały od niego i jakby bardziej skupiony niż poprzednio.
Nagle poczuł to, co jego ojciec poczuł o wiele wcześniej. Zapach krwi.

- Uważaj, jaszczur jest w pobliżu - wyszeptał ojciec - rozglądaj się powoli i dokładnie. Będzie nam go łatwiej podejść, jeśli jeszcze je. Trzymaj się blisko mnie.

Chłopiec wcale nie miał ochoty się od niego oddalać, więc rozkaz ten nie miał najmniejszego sensu. Był zbyt przestraszony, żeby go teraz opuścić. Wizja napotkania jaszczura, który był większy od niego i z całą pewnością miał zakrwawiony pysk i pazury, była dla niego czymś strasznym, odrażającym. Ale wiedział, że w końcu do tego dojdzie, zapach krwi był coraz mocniejszy.

- Jest. - powiedział ojciec wskazując na podłużną, żółtą sylwetkę poplamioną gdzieniegdzie jasnymi, brązowymi plamami.

Jaszczur, gdyby stanął na tylnych nogach, z pewnością byłby wzrostu chłopca. Ale teraz siedział i rozszarpywał jakąś zwierzynę, przez co sięgał najwyżej do kolan i wydawał się być mniej groźny. Mimo to, chłopiec już teraz nie dałby się nabrać, ta jaszczurka w chwili zagrożenia potrafi stanąć na długich tylnych łapach, aby wydać się groźniejszą i w momencie zdziwienia przeciwnika plunąć jadem prosto w oczy. Bez szybkiej pomocy doświadczonego lekarza, człowiek może stracić wzrok na zawsze.
Ale teraz jaszczur zajęty był rozrywaniem swojej ofiary, która zdawała się jeszcze żyć, choć mogły być to tylko wstrząsy spowodowane przez plamiaka. Odgłosy jakie temu towarzyszyły, przyprawiły chłopca o mdłości - Dobra. Widzisz go? - chłopiec twierdząco pokiwał głową - świetnie. Stań teraz tak, jak ci pokazywałem. Lewa noga do przodu, tułów i prawa ręka odchylona do tyłu, dobrze. Wyceluj i rzuć w niego. Od tułowia, wtedy kij poleci z większą prędkością. Tak, jak cię uczyłem. Tylko szybko, on może sobie pójść.
Chłopiec patrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma. Nie wydawało mu się, żeby był już na to gotowy. Nie, był nawet pewien, że nie był. Srogie oczy ojca, zdawały się mówić coś całkowicie przeciwnego. Chłopiec przybrał pozycję.
Patrzył teraz na jaszczurkę, która rozrywała jakąś zwierzynę ze smakiem. To mógłbym być ja, pomyślał, żeby dodać sobie sił. Zamrugał oczami. Ciągle się wahał. Ojciec był niezadowolony.

- No!

Powiedział to trochę za głośno. Plamiak odchylił zakrwawioną głowę od ofiary i zaczął się rozglądać. Podniósł ją wyżej na długiej, groteskowej szyi i przez chwilę obserwował miejsce gdzie stali myśliwi, ale nie zauważył ich i wrócił do ofiary. Chłopiec przypomniał sobie swój sen.
Wnętrzności ojca.

Z krzykiem rzucił zaostrzonym kijem w jaszczura. Ten ponownie podniósł głowę na tej okropnie wyglądającej szyi i odwrócił się w stronę, z której usłyszał wrzask. Kij, który leciał wycelowany w głowę, na miejscu której znalazła się teraz szyja, przebił ją. Jaszczur tylko zacharczał, i zaczął wierzgać z bólu. Włócznia, przebiwszy plamiaka, wbiła się w drzewo stojące za nim, przez co chłopiec mógłby powiedzieć, że nie był bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Zwierzę, próbując zrozumieć, co się stało i uwolnić się, swoim wierzganiem zaczęło rozrywać przebitą szyję coraz bardziej, aż w końcu zwiesiło martwą głowę, która trzymała się na drobnej nici łusek.
Ojciec nie posiadał się ze szczęścia. Od razu przybiegł zobaczyć, jak wygląda przyszły obiad. Chłopiec stał w krzakach, oddychał ciężko i nie był z siebie zadowolony. Na wołanie ojca, podszedł zobaczyć, co właściwie zrobił.
Widok był to okropny. Wisząca głowa w końcu okazała się za ciężka, zerwała się z cienkiej nitki i upadła rozlewając trochę lepkiej krwi. W tym samym momencie upadła i długa szyja, z której przy uderzeniu w ziemię wylały się razem z krwią nieprzełknięte resztki martwej zwierzyny, która leżała obok jaszczurki. Odór, jaki unosił się z obu ciał, skręcał w środku.

- Świetny rzut! teraz nie trzeba się będzie męczyć z gruczołami, które wytwarzają jad. Wiedziałem, że się postarasz - ojciec dumnie położył chłopcu rękę na ramieniu.

Młody myśliwy zwymiotował.

***

- Powinnaś być dumna ze swojego syna - powiedział zadowolony ojciec wchodząc do domu - to właśnie on upolował tego plamiaka!

- Naprawdę? - spytała zadowolona matka - No, no, to chyba mamy w domu nowego mężczyznę!

Chłopca ta uwaga wcale nie ucieszyła. Domyślał się, że teraz będzie musiał częściej chodzić na polowania z ojcem, aż w końcu będzie musiał chodzić samemu. Ta myśl szczególnie go niepokoiła.
Wcale nie chciał wracać do lasu o tej porze. Ani już w ogóle nie chciał tam wracać. Czuł się okropnie. Wcześniej widział, jak jego ojciec zabija te zwierzęta, jak w ich oczach powoli gaśnie ten płomień, ten sam płomień życia, który widział w oczach każdego zwierzęcia i każdego człowieka. Nie potrafił znieść widoku tego niemego cierpienia, jakie biło z przerażonych oczu, kurczowo trzymających się życia jeszcze przez bolesną chwilę spoglądania na swojego zabójcę. Chłopiec nie wiedział, nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy były to tępe spojrzenia bezmyślnych zwierząt, czy ostatnie spojrzenia istot rozumnych, pełne nienawiści i pytań. Z racji swojego uczucia do orchidei skłaniał się ku tej drugiej możliwości i nie potrafił nie myśleć o tym, jak zareagowałaby na to jego orchidea i czy w jej świecie postrzegany jest teraz jako morderca.
Rozumiał oczywiście, że jest to coś jak naturalna kolej rzeczy. Przecież zwierzęta zabijały się prawie codziennie w ciągłej walce o przeżycie. Ale jest to ich piętnem - one nie potrafią tworzyć, myśleć - napędzane są instynktem, który nie daje im wyboru - i wiedzy - i każe zabijać się nawzajem. Ale skoro nie potrafią myśleć, to dlaczego zawsze patrzą, świdrują wzrokiem, jakby jednak wiedziały? Czy jeśli są naprawdę rozumne, to czy w takim razie według ich prawa nie popełnia żadnego przestępstwa? Ale to przecież stawia go na równi ze zwierzętami. A co powiedział ojciec? Że ludzie to zwierzęta. Tylko trochę mądrzejsze. Ale co na to orchidea? A może dlatego nie chce mu się objawić? Może dlatego, że i on jest zwierzęciem i w ostateczności mógłby zabić i ją? Może nie pokaże mu się aż do momentu, gdy stanie się kimś innym, lepszym? Kiedy przestanie być zwierzęciem? Nie! On jest człowiekiem! To nie jego wina, że jest tutaj, teraz, zachowuje się jak zwierzę i żyje jak zwierzę. To zostało mu narzucone, przez czasy, przez otoczenie. Gdyby był gdzie indziej, byłby całkowicie inny. Przecież nie zabił z własnej woli, nie chciał zabić. Zabić... Zakończyć czyjeś życie. Przeciąć cienką, wiotką nić, która stanowi o czyimś losie. W mgnieniu oka wydać decyzję, która dla innej istoty jest najważniejszą. Czy on ma prawo o tym decydować? Czy ktokolwiek ma prawo o tym decydować?
W doskonałym świecie? Nie. Na tym? Każdy.
Przecież nikt nie dba już o opinię czy uczucia innych. Bandyci wiele razy napadali na ich dom. Napadali na swoich braci, tak jak widział w lesie walczące ze sobą wilki - które nawet bardziej niż

ludzie są do siebie podobne - tak widział i ludzi walczących ze sobą. Czy w takim razie i on będzie musiał walczyć ze zwierzętami, a nawet i z ludźmi? Czy dlatego ojciec zabiera go ze sobą, żeby nie był jak te mniejsze zwierzęta padające ofiarą większych? Żeby zamiast być motylem - choć pięknym i niewinnym - być pająkiem, który uchwyci go w swoją sieć? Żeby zrozumiał, że inaczej się nie da? A przynajmniej nie tutaj, nie na tym świecie. Może w świecie orchidei, ale nie tu. A co na to wszystko orchidea?
Otworzył książkę na swojej stronie. Patrzyła na niego tak samo, jak zawsze - z uśmiechem, który jest tak szczery i radosny, że chłopiec od razu poczuł się o wiele lepiej. Wszystkie żale i troski spłynęły po nim jak z wodospadu. Jeśli ona nie czuła do niego urazy po tym, co zrobił, to znaczyło, że mu wybaczyła. To znaczyło, że wciąż miał szansę dostać się kiedyś do niej. Może po prostu uwzględni jego położenie, kiedy w końcu się z nią spotka? Tak, innego wyjścia nie ma, przecież w innym wypadku nie spotkałby jej w ogóle. A to jest niemożliwe.
Czuł się o wiele lepiej, choć obiad nie był już tak smaczny jak kiedyś.

***

- Mamo - powiedział chłopiec, kiedy leżał już w łóżku - opowiedz mi bajkę.
Matka chłopca usiadła na brzegu łóżka i odgarnęła włosy za ucho.
- Bajkę? Nie jesteś już za duży na bajki?
- Nie - zaśmiał się chłopiec - nigdy nie będę za duży na bajki.
Matka uśmiechnęła się
- No dobrze. To opowiem ci o śpiewającym Drzewie.
- Nie - przerwał jej chłopiec - tę już znam.
- Ale przecież ją lubisz!
- Wiem, ale chcę taką, której nie znam.
- Taką, której nie znasz? No dobrze. Wcześniej jej nie opowiadałam, bo jest dla dorosłych chłopców. A ty - spojrzała na zegar ścienny, który pokazywał północ - już jesteś dorosłym chłopcem, prawda?
- Mhm. - uśmiechnął się.
- Na urodziny opowiem ci bajkę o Płaczącym Lisie.
- Dlaczego płakał?
- Dowiesz się, jak opowiem!
- No dobrze, opowiadaj.
Matka lekko zniżyła głos i zmieniła ton na spokojniejszy - Dawno temu, choć nie tak bardzo dawno temu, w pewnym lesie, może nawet tym, żyła sobie rodzina lisów. Był tata-lis, mama-lis i mały lisek - ich syn. Żyli sobie szczęśliwie w norce. Ale jakiej norce! Była pięknie urządzona! Przed wejściem leżało dużo liści, tak żeby mogły sobie wycierać łapki, zanim wejdą do domu z brudnymi. A w środku mieli wszystko, czego potrzebowali. Tata-lis lubił malować, więc rysował piękne obrazy na ścianie ziemnej grubym patykiem, który kiedyś znalazł. Duży, zygzakowaty korzeń pobliskiego drzewa przechodził przez środek nory, co podobało się mamie-lis, bo była lisicą wyrafinowaną i nie lubiła jeść na ziemi. Dzięki korzeniowi mogła jeść na stole z całą rodziną. A mały lisek, jak to u małych lisków bywa, po prostu sobie po niej biegał, kiedy nie mógł wychodzić - była bardzo duża. Krótko mówiąc, żyli szczęśliwie.
Ale pewnego dnia, kiedy rodzice liska wyszli na polowanie, wrócił z niego tylko tata-lis. Był bardzo przygnębiony, bo mamę-lis zastrzelili ludzie. Był bardzo zły na siebie, że nie mógł jej pomóc i powoli, z dnia na dzień, przestawał przejmować się domem i tym, co się w nim działo. Jedli mniej, a cały czas, jeśli nic nie robił, to próbował namalować obraz mamy-lis, ale był wściekły i nie potrafił.
Ponieważ ciągle był zmartwiony i zachowywał się tak, jakby wcale go tam nie było, mały lisek spędzał coraz mniej czasu w domu. Wychodził z niego prawie, że na całe dnie i robił to, co robiły inne liski w jego wieku - bawił się. Biegał po lesie, zaprzyjaźniał się z innymi zwierzętami. Choć też tęsknił za mamą, wiedział, że nie może zachowywać się tak, jak jego tata. Postanowił więc pewnego dnia, też coś upolować i pochwalić się tacie. Ale, niestety, tego samego dnia tata-lis także

postanowił iść coś upolować, bo długo już nie jedli. Kiedy wyszedł z norki, zobaczył przed nią ślad krwi. Oczy nabiegły mu łzami - uznał, że zabili i małego liska. Wściekły i przygnębiony zakopał wejście do norki od środka, zniszczył wszystkie obrazy i przysiągł sobie, że już nigdy nie wyjdzie na świat zewnętrzny, a potem zmęczony zaczął płakać. Płakał dzień i noc, miesiąc i rok. Nie przestawał płakać, nie wychodził z domu. Aż w końcu nawet i jego duża norka nie mogła pomieścić tylu łez - zalała się do pełna, a tata-lis w nich utonął.
Gdyby tylko nie oddał się w pełni żalowi, wiedziałby, że to po prostu mały lisek upolował ptaka. Próbował odkopać wejście do norki, wołał tatę, ale on nic już nie słyszał. I z tego powodu mały lisek też zaczął płakać, tak jak jego ojciec. Ale na szczęście, przechodziła tamtędy stara i doświadczona wilczyca, która nigdy nie mogła mieć dzieci. Przygarnęła liska i traktowała go, jakby był jej synem. Wychowała go na dzielnego lisa, który pewnego dnia założył swoją rodzinę. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie. - pogładziła chłopca po głowie.

- Wiesz co?
- Tak?
- Chyba nie jestem wystarczająco duży na tę bajkę.
- No cóż. Teraz, już musisz do niej dorosnąć. Śpij już.
- Dobranoc.
- Dobranoc. Wszystkiego najlepszego.

***

- Ubieraj się - głos ojca wybudził go ze snu. Już nawet zapomniał, co mu się śniło - Ubieraj się, przecież jedziemy dzisiaj do miasta. Są twoje urodziny, pamiętasz? - zapytał ze śmiechem. Krótka pamięć chłopca często była obiektem ojcowskich żartów i reprymend.
- Ale jest tak wcześnie - odpowiedział bardzo niewyspany.
- Karawana do miasta przejeżdża tylko o tej porze, nic na to nie poradzę. Sam chciałeś jechać w urodziny. Chcesz zostać w domu?
- Nie.
- To wstawaj.

Gdy siadał przy stole, był na tyle zmęczony, że nawet nie pamiętał kiedy i czy w ogóle się umył, jakby robił to tylko na wyuczonych odruchach. Ale musiał się umyć. Przecież na stole leżała butelka napoju gazowanego, którą znalazł w wiaderku ze studni - schłodzoną naturalnie. Była to miła niespodzianka, nawet nie widział kiedy ojciec ją kupował, ani, że w ogóle ją kupował. śniadanie też było bardzo dobre - mięso z konserw. Z jakiegoś powodu wolał je bardziej od świeżego i choć było bardzo drogie, ojciec mu je kupił. Znowu - nie wiadomo kiedy, nie wiadomo gdzie. Urodziny zawsze były dniem miłym i pełnym niespodzianek, co powtarzał sobie chłopiec. Zawsze otrzymywał więcej uwagi niż zwykle i choć jego prośby nie zawsze mogły zostać spełnione, znakomita większość z nich była wysłuchiwana.
Nie mógł zgłębić tego zjawiska jeszcze bardziej, ponieważ nakręcany zegar ścienny zaczął wybijać godzinę, o której przejeżdżają karawany. Przemyślenia na temat tego, co było i co będzie na urodzinach, trzeba zostawić na wolną chwilę. Teraz trzeba wychodzić i czekać.

Ojciec ubrany był tak, jak zawsze się ubierał, kiedy miał odwiedzić miasto. Miał na sobie luźne jeansy i jedyną wełnianą koszulę, która musiała być bardzo droga. Z kolei matka ubrana była w białą sukienkę, która z pewnością była droższa od koszuli ojca i miała ten śmieszny, duży, okrągły kapelusz. Też biały. Jeśli w mieście wszystkie kobiety noszą takie kapelusze, to musi być tam bardzo śmiesznie.
Na drodze pojawiła się karawana.

- Cholera - zaklął niezadowolony ojciec.

Nic dziwnego, okazało się, że była to karawana towarowa. To oznaczało, że po pierwsze całą drogę trzeba będzie iść na piechotę samemu, po drugie nikt nie będzie się zatrzymywał na niczyje życzenie i po trzecie priorytetem strażników nie są ludzie, ale towary. Znaczyło to, że jeśli będą strzelać do "pasażerów" straż nie kiwnie palcem, ale jeśli ktoś będzie miał ochotę skrzywdzić wiezione dobra materialne, straż ma obowiązek bronić ich własną piersią. Ale okazało się, że

przywódca straży był wyrozumiałym człowiekiem. Kiedy zauważył trójkę ludzi kazał się zatrzymać. Konie ciągnące duży wózek napakowany różnymi skrzyniami wyglądały na zadowolone z postoju, otyły jegomość idący blisko nich wyglądał na jednocześnie zadowolonego i zdenerwowanego, człowiekowi podróżującemu najwyraźniej z synem i jego psem nie robiło to różnicy, a pięciu strażników wysłuchało po prostu rozkazu.

- Domyślam się, że chcecie jechać z nami? - zapytał od razu człowiek, którego twarz zdobiło - albo szpeciło - kilka blizn - kapitan straży.

- Tak.

- Już mamy tutaj mały tłumek, ale wydaje mi się, że zdołamy was gdzieś wcisnąć. - uśmiechnął się - Ale ostrzegam, że to będzie długi marsz i jeśli nie dacie rady, będziemy musieli was zostawić. Na konia też nikt nie wsiądzie, nie chcemy przemęczać zwierząt. Wybacz, mały. - mrugnął okiem do chłopca, który uśmiechnął się na ten gest. - Mamy umowę?

- Mamy.

- To świetnie, bo nie lubię się zatrzymywać bez potrzeby. - zagwizdał głośno na palcach i wskazał ręką do przodu. I tak zaczęła się podróż do miasta.

Chłopiec od początku drogi przypatrywał się dużemu psu, którego olbrzymi jęzor poruszał się w takt jego głośnego oddechu. Jego właściciel, chłopak trochę niższy od niego, uznał to za dobry moment na nawiązanie rozmowy.

- Wabi się Tof. Ale mama woli mówić na niego Tofik. Chociaż, moim zdaniem, Tof za tym nie przepada, albowiem to duży pies. Duże psy powinny mieć duże imiona, silne. Tof takim jest. Więc to tylko naturalne, że winno mówić się na niego Tof. Nie sądzisz?

- Chyba. - rozwlekła wypowiedź tego chłopaka trochę go zdenerwowała. Może dlatego, że używał słów, których znaczenia chłopiec nie znał. A może dlatego, że gadał bzdury.

- Hm. Nie jesteś najwspanialszym interlokutorem, nieprawdaż? - nadął się i spojrzał na ojca chłopca. Uśmiechnął się złośliwie - Twój tata chyba też nie miałby o czym konserwować z moim tatą. Jak się już pewnie domyśliłeś, bowiem jest to oczywiste dla bystrego obserwatora, mój tata jest naukowcem. Doktorem, ściśle rzecz biorąc. Kiedyś będzie sławny na cały świat.

- Aha. - przemądrzały ton tego dzieciaka zaczynał go mocno denerwować - Widzisz, mój ojciec jest myśliwym. I, jak tak patrzę na twojego, to myślę, że jest bardziej dzielny niż twój.

- Nawet jeśli - odpowiedział naburmuszony - to nie widzę absolutnie żadnego powodu, aby mój ojciec miał cokolwiek zabijać. To bestialskie i barbarzyńskie.

Choć chłopiec po części musiał się z nim zgodzić, to jednak miał nieodpartą chęć utrzeć mu nosa - A co byś wtedy jadł, gdyby nie było myśliwych, mądralo?

- Mięso konserwowe. - odpowiedział tryumfalnie.

- A skąd jest mięso konserwowe? Ktoś je musiał wcześniej upolować, żeby było, nie? Upolować i zabić. Możesz mi wierzyć, ja widziałem, jak wyglądają zwierzęta na chwilę przed obiadem. Nie każdy może się tym zajmować. Powinieneś dziękować mojemu tacie, że możesz dzięki niemu jeść.

Przemądrzalec przez chwilę był zdenerwowany, ale szybko się rozchmurzył. - To naturalne. Wy - troglodyci - zabijacie, my - inteligenci - korzystamy.

- Tak - powiedział chłopiec po chwili namysłu - ale zobacz. Myśliwi nie potrzebują inteligentów do polowań i mogą jeść bez nich. Inteligenci potrzebują myśliwych do polowań i bez nich nie mogą jeść. I co ty na to?

- Mój ojciec jest lekarzem. - mówił już z mniejszym przekonaniem niż poprzednio - Czy twój ojciec umie leczyć rany i pomógłby ci, gdybyś był chory?

- Coś tam umie - odparł chłopiec - ale raczej mniej niż twój. Wydaję mi się, że i myśliwi, i inteligenci są tak samo ważni.

- Wiesz co? - odpowiedział syn doktora - Chyba mamy rację w tym względzie.

Chłopiec przewrócił oczami. Chyba on miał rację w tym względzie.

- A jakie zwierzęta upolował twój tata?

- Różne. Wilki, muflony, nawet dzika. Ale najbardziej niebezpieczny z nich wszystkich jest plamiak. Pieprzona jaszczurka - dodał szeptem i rozejrzał się, czy nikt nie usłyszał.

- Plamiak? Masz na myśli salamandrę? Ale to nie jaszczurka, to płaz.

- Płaz? A kto tak powiedział?
- Mój tata.
- A mój ojciec powiedział, że to jaszczurka.
- Bo twój tata to imbecyl.
- Tak? A twój to idiota.
- Nie, bo twój!
- Wcale, że nie!
- Wcale, że tak!
- Nie-e!
- Ta-ak!
- Mój ojciec pobiłby twojego tak, że zapomniałby jak się nazywa!
- Nieprawda! - odpowiedział chłopak, który był tak czerwony i zdenerwowany, że prawie się popłakał - Chodź Tof, nie będziemy marnować czasu z plebsem! Tof! - jego pies wcale nie miał zamiaru odchodzić ot tak, bez uprzedniego powąchania chłopca - Tof, chodź! - mądrala mocno pociągnął psa za ogon i przeszli na drugą stronę karawany.
Jechali jakiś czas, a Słońce na niebie jechało razem z nimi. Na latającym morzu nie było nawet jednej chmurki, więc o tej porze roku było niewiarygodnie ciepło. Co jakiś czas przepływało w nim kilka dużych ptaków. Niektóre lądowały na czubkach drzew, by zaraz potem wlecieć gdzieś w środek lasu. Chłopiec zastanawiał się, czy droga wiodąca zaraz przy jego granicy nie jest zbyt niebezpieczna. Podbiegł do przywódcy straży i pociągnął go za rękaw. Ten tylko spojrzał na niego i zaraz wrócił wzrokiem do oglądania okolicy.
- Co jest, mały?
- Zastanawiałem się, czy nie ma innej drogi. Ta wydaje mi się być bardzo niebezpieczna.
Mężczyzna zaśmiał się
- No cóż, to taka trasa. Nie ma innej i zdaję sobie z tego sprawę. Ale, jak to mówią, jest ryzyko, jest zabawa. Poza tym dużo mi za to płacą. No i jeśli stracimy kogoś po drodze, to zostanie mi to potrącone tylko z czystości sumienia, a nie z kieszeni.
Chłopca najpierw zdziwiła ta prawdomówność, a potem zdenerwowała. Odszedł od niego bez słowa, ale kapitan nie przejął się tym zbytnio. Kiedy wracał do ojca, żeby poprosić, aby wziął go na barana, bo już jest trochę zmęczony, zaczepił go otyły jegomość z białym ręcznikiem owiniętym wokół głowy i chyba trochę za małymi spodniami tego samego koloru.
- Jedziesz do miasta, chłopczyku? - zapytał przesłodzonym tonem. udawał niewiedzę i sympatię bardzo kiepsko.
- Jadę.
- Tamta para to twoi rodzice, prawda?
- Prawda.
- A mógłbyś, któreś z nich tu zawołać?
- Mógłbym. Ale po co?
- Bo chciałbym o coś ich zapytać.
- Ale czemu nie możesz zapytać o to mnie, skoro już rozmawiamy?
- A masz przy sobie jakieś pieniądze?
- Nie.
- No właśnie. Zawołaj, zawołaj, nie będziesz żałował.
Chłopiec podszedł do ojca i zaprowadził go do kupca.
- Dzień dobry panu! - mówił trochę innym głosem niż tym, którym rozmawiał z chłopcem. Był trochę głośniejszy.
- Dzień dobry.
- Odnoszę nieodparte wrażenie, że dziś jest jakiś dzień specjalny.
- Tak. Mój syn ma urodziny.
- Och, to wspaniale! - zaklaskał w dłonie - Sto lat, sto lat, chłopcze! Sto lat! A spójrz na to - wyciągnął z kieszeni coś okrągłego, do czego przymocowany był sznurek z pętlą. Nałożył pętelkę na palec - To jojo. Popatrz. - wypuścił jojo z rąk i kiedy spadało na dół, szarpnął ręką do góry, jojo

wróciło po sznurku do jego dłoni - Zobacz, jakie fajne! Mogę to sprzedać przy specjalnej, urodzinowej zniżce za, powiedzmy, piętnaście?
Jeden ze strażników, który był najbliżej, wybuchnął śmiechem
- Smykałkę do ludzi to ty faktycznie masz! - podszedł bliżej i zwrócił się do ojca chłopca, a kupiec wyraźnie się zdenerwował - Nie tak dawno wypytywał mnie o różne rzeczy, niby z grzeczności. Kiedy dowiedział się, że mam małego synka w mieście, od razu wyjął ten szmelc i próbował mi go wcisnąć. Bez urodzinowej zniżki, za dziesiątaka.
Kupiec tylko westchnął
- Na premię już nie licz.
- W dupie mam twoją premię. I tak płacisz nam więcej niż bierzemy za tę trasę.
Kupiec zrobił się czerwony i milczał przez chwilę, aż zapytał oskarżającym tonem - Jak ty się wyrażasz przy dziecku? - odwrócił się do ojca chłopca. Ale ani chłopca, ani jego ojca już przy nim nie było. Spuścił głowę i opuścił jojo do ziemi, a kiedy już do niego wróciło, schował je do kieszeni. Jechali jakiś czas, a Słońce jechało wraz z nimi. Żadna chmura nie przepływała przez niebo, więc było im coraz goręcej. Chłopiec użył swojego ojca jako środka lokomocji i wcale mu to nie przeszkadzało. Przeciwnie, kiedy zobaczył, że ojciec tego przemądrzalca, także wziął swego syna na barana, ale zbyt długo nie wytrzymał, bardzo się z tego ucieszył. Był dumny ze swojego ojca. No i widział świat z pozycji dorosłego. Dorośli widzą o wiele więcej od dzieci, ale czasami zachowują się tak, jakby widzieli mniej. Na przykład ten kupiec od razu zrobił na nim złe wrażenie, ale ojciec był przez chwilę zainteresowany. Może nawet i kupiłby tę niepotrzebną zabawkę. Trochę to dziwne.
- Ha! - ucieszył się po cichu jeden ze strażników - Co za durne zwierzę. - stwierdził celując ze swojej strzelby w siedzącego nieopodal czarnego wilka.
- Co robisz, kretynie? - krzyknął wędrowny kupiec - Chcesz nas wszystkich zabić?
- O co chodzi, grubasie? - odparł strażnik odsuwając strzelbę od twarzy - Przeszkadza ci, że za drogie futro nie zapłacą tobie, a mnie?
- Nie - oburzył się kupiec i zaczął mówić coraz szybciej - Ale nie wiesz, że zabicie czarnego wilka przynosi pecha? Chcesz go zastrzelić na trasie kupieckiej? Idioto? - dodał po chwili namysłu.
- Zabobony i ciemnota. Za takie futro dostanę w mieście fortunę.
- Nie! - kupiec podszedł do niego i złapał za strzelbę - Jeśli ktoś coś wie o chciwości i dobrym interesie, to na pewno jestem to ja, ale kiedy będziesz martwy, to nikomu tego nie sprzedasz!
- Zaraz ty będziesz martwy - odpowiedział zdenerwowany strażnik przybliżając twarz do momentalnie skurczonej twarzy kupca - jeśli nie puścisz mojej Hanny, tłusty dzbanie. I wtedy na pewno niczego już nie sprzedasz.
Kupiec na chwilę otworzył oczy w największym zdziwieniu, a potem spojrzał na kolbę broni - kilka nacięć faktycznie układało się w jej imię. Puścił strzelbę, ale wciąż stał przy strażniku.
- Tak, zabieraj te spocone łapska. I przestań szturchać mnie swoim obmierzłym balonem. Odsuń się.
- Nie zabijesz tego wilka.
- Dobrze. To w takim razie zabiję ciebie. Będę miał tyle mięsa, że dostanę więcej niż za jego futro. Cholera, gdybym poszedł z tobą do najbliższej wioski, gdzie panuje nieurodzaj, zostałbym ludowym bohaterem. - odpowiedział tonem, który snuł niepowtarzalnie fantastyczne plany.
- Przecież ja ci płacę! - odkrzyknął kupiec nienaturalnie wysokim głosem.
- No to mi nie zapłacisz. - odpowiedział strażnik z paskudnym uśmiechem.
Mózg kupca wykonał niewiarygodnie szybkie kalkulacje i otrzymał niezadowalające wyniki. Z jednej strony była śmierć spowodowana zabiciem czarnego wilka, z drugiej śmierć spowodowana strzałem w głowę. I do tego obie w najbliższym czasie. Rozejrzał się tylko desperacko wokół siebie, ale nikt nie chciał mu pomóc. Chłopiec chciał z jednej strony przyznać mu rację, ale z drugiej nie podobały mu się jego motywy. Sprzeciwiał się zastrzeleniu wilka tylko we własnym interesie. Nie chodziło mu o życie tego zwierzęcia, tylko o życie własne. Gdyby był to zwyczajny wilk, już by leżał martwy. Ale żaden zwyczajny wilk nie siedziałby sobie tak po prostu pod drzewami na trasie karawan.

- Dość - wtrącił stanowczo przywódca straży - Nikt nikogo nie będzie zabijał. Zrozumiano? A pan niech wraca do koni.

- Tak - odparł przez zęby strażnik i jeszcze mamrotał coś pod nosem z pochmurną miną.

Wilk siedział przez chwilę pod drzewami i obserwował przejezdnych swoimi niebieskimi ślepiami, aż czmychnął do lasu, nieprzejęty.

Jechali jakiś czas, a Słońce jechało wraz z nimi. Droga, powoli, ale zdecydowanie, zmierzała do lasu, zostawiając za sobą wyżyny i pagórki, zielone pola i jasny horyzont. Na tej samej drodze, prosto z lasu, wychodziła grupa ludzi. Nie mieli koni, ani wózków, więc nie była to inna karawana. Strażnicy mocniej złapali za strzelby.

- Kobiety i dzieci na tył - powiedział kapitan. - Lepiej, żeby mężczyźni też mieli jakieś bronie.

- Ale ja żadnej nie mam - odpowiedział jękliwie kupiec.

- To będziesz robił chociaż za tarczę.

- Cicho - skarcił strażnika-łowcę dowódca. - Wejdź pan na koń, w razie czego będzie pan uciekał.

Kupiec niezgrabnie wgramolił się na jednego z koni i prawie się na nim położył. Ojciec chłopca wyjął swój stary rewolwer i zwrócił się do matki - Weź go na tył, jeśli coś się będzie działo, uciekajcie. Matka przez chwilę trzymała dłoń ojca, po czym wzięła chłopca za rękę i zaczęła ciągnąć go do tyłu.

Rozległy się huki strzałów. Jej ciało upadło na ziemię, jak upada marionetka, której sznurki zostają przecięte. I wtedy zapanował chaos. Przestraszone konie zarżały i stanęły na tylnych nogach, przez co kupiec spadł na wózek. Strażnicy rozproszyli się, każdy w inną stronę i zaczęli oddawać strzały. Wózek z kupcem pojechał szybko do lasu, ciągnięty przez przerażone konie, tratując kilku bandytów. Reszta z nich także się rozproszyła i strzelała. Dowódca straży oberwał dwa razy w klatkę piersiową i upadł na ziemię. Przemądrzały syn doktora szturchał jego ciało, ale bez rezultatu. Ojciec strzelał wściekle, trochę na oślep, aż sam został postrzelony. Ale chłopiec żadnej z tych rzeczy nie widział. Zaczął biec. Nie odwracał się. Słyszał strzały i krzyki. Ktoś chyba zastrzelił tego psa, bo usłyszał zagłuszony skowyt. Biegł. Nie odwracał się. Co tam się dzieje? A jeśli odwróci się i zobaczy nad sobą bandytę? Biegł. Strzały ucichły, ale krzyki nie. Jeden pocisk uderzył w piach obok jego nóg. Biegł szybciej. Nie odwracał się. Wiedział, że nie ma po co. Nie było już słychać krzyków. Tylko śmiechy. Wstrętne, obrzydliwe śmiechy. Biegł dalej.

Trawa. Słońce. Drzewa. Nogi bolą. Pieczą. W płucach coś płonie. Trawa. Słońce. Drzewa. Obejrzał się za siebie. Nic tam nie było. Zatrzymał się. Usiadł. Oddychał bardzo ciężko, zaczął kaszleć. Był czerwony i spocony, wyczerpany. A przecież musiał jeszcze dojść do domu. Ciężko było mu myśleć od tego zmęczenia. Za drzewami zobaczył chyba oczy czarnego wilka. Przestraszony wstał i zaczął iść do domu. To już chyba niedaleko, poznał to miejsce. Przejeżdżali tędy zaraz za domem.

Niebo było bezchmurne i błękitne. Drzewa stały w bezruchu, ciemnozielone. Droga była piaszczysta i żółta. Lekki zefir gładził chłopca delikatnie po twarzy. Dzień był upalny i piękny.

Łzy były gorzkie i palące. Przez mgłę oczu zobaczył w końcu dom. Ciągle tam stał. A więc nie cały świat legł w gruzach. Więc nie był to zły sen, tylko zła rzeczywistość. Otworzył drzwi, dom był pusty. Pusty. Napił się resztki napoju, jaka została przed wyjazdem i położył się na łóżku. Pomimo chaosu i bólu w jego głowie, wpadł w objęcia snu tak ciężko, jak kamień wpada w wodę.

***

Obudził się nagle. Wycieńczony i zdenerwowany. Głodny. Samotny. Przypomniał sobie, dlaczego tak jest. Łzy znowu zaczęły napływać do oczu, natrętne i męczące, jak muchy, które ciągle krążą wokół głowy pomimo tego, że wciąż i wciąż się je odgania. Złapał za kołdrę i ścisnął ją, chciał ją zgnieść. Nie potrafił. Chciał krzyknąć, ale tylko otworzył usta, żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Skulił się i leżał tak, z zaciśniętymi dłońmi i otwartymi ustami. Zaczął uderzać w łóżko ze złości, w myślach zadawał, nie, wykrzykiwał komuś, sam nie wiedział komu, tylko jedno pytanie: dlaczego? Nikt nie odpowiadał. Usłyszał czyjeś kroki na ganku.

Zdenerwowanie i gorycz natychmiast ustąpiły miejsca przerażeniu. Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w drzwi oczekując najgorszego. Dłonie zaczęły się pocić, w głowie zaczęło się kręcić, serce biło tak szybko i mocno, że ten ktoś na zewnątrz prawdopodobnie je słyszał. Pomyślał sobie, że to jest bez sensu, nie tak dawno uciekł śmierci, a teraz znowu musi stanąć z nią oko w oko, tym razem we własnym domu. Szybko zszedł z łóżka, by za nim się schować.
Ktoś zapukał kilka razy w drzwi, ale chłopiec nie odpowiadał. Kiedy się otworzyły, dom wyglądał na pusty. Chłopiec spoglądał spod łoża, jak postać w brązowych, skórzanych butach z podłużnymi czubami spaceruje po jego domu.

- Jest tu kto? - ten głos go zdziwił, nie był to wstrętny głos najeźdźcy, który chce znaleźć i zabić, ograbić i zgwałcić, był to zachrypnięty głos młodej dziewczyny. Zrzuciła z siebie plecak, który - wnioskując z głośności upadku - był wypełniony po brzegi i ciężki.
Chłopiec nic nie odpowiedział. Obserwował buty, które chciały omamić go kobiecym głosem i które właśnie teraz stanęły do niego tyłem. Wychylił się zza łóżka. Niedaleko niego stała postać w czarnej skórzanej kurtce i ciemnych, lekko obcisłych spodniach, które uwydatniały kobiecy kształt w małym stopniu zakryty kurtką. Na jej ramiona padały falowane na końcu, tylko trochę jaśniejsze od kurtki włosy. Dziewczyna szperała w komodzie, w której trzymane były ubrania. Nagle przestała i szybko odwróciła się w stronę chłopca. Widok tej twarzy zdziwił go, zaskoczył, z całą pewnością nie spodziewał się właśnie tego. Była szczupła i podłużna, o jasnoniebieskich oczach, które nie były nawet zdziwione. Wyglądały tak, jakby się do niego uśmiechały. Dziewczyna, która wyglądała na starszą od niego o kilka lat, uśmiechnęła się i odgarnęła powoli kilka włosów zasłaniających twarz. Uśmiech nie był wymuszony, czy też sztuczny. Był serdeczny i szczery. Chłopiec nie potrafił przejść obok tego obojętnie, strach i nienawiść jakie w nim tkwiły, gdzieś się ulotniły ustępując miejsca jakiemuś nieznanemu uczuciu, które sprawiało, że poczuł się trochę lepiej i trochę raźniej, ale próbując pojąć co to za uczucie, od razu w jego głowie pojawił się obraz matki, której już nie było. Której nigdy nie zobaczy. Nie wiedział co się z nim dzieje, czuł, że zaraz znowu wybuchnie płaczem, nie chciał tego robić, choć jakaś jego cząstka mówiła mu, że nic się stanie, że akurat teraz może to zrobić.

- W porządku - powiedziała łagodnie dziewczyna - nie musisz się mnie bać. Nic ci nie zrobię. Myślałam, że dom jest pusty i będę tu mogła wypocząć. Twoi rodzice wrócą niedługo? Mogę im zapłacić...

- Moi rodzice - próbował skłamać, ale nie mógł, jego głos się załamał - moi rodzice wrócą niedługo i... - nie potrafił dokończyć, łzy zaczęły spływać po policzkach. Usiadł na łóżku i zasłonił twarz.
Dziewczyna przestała się uśmiechać i podeszła do niego. Nie zwracał już na nią uwagi, odpuścił wszystkiemu, teraz liczył się tylko on i jego ból, niesprawiedliwość jaka go spotkała i okropna samotność, na którą został skazany. Nie zauważył kiedy obok niego usiadła.
Uspokoił się na chwilę, dopiero kiedy go objęła. Przyłożyła jego głowę do piersi tak, że poczuł ciepło jej ciała i bicie jej serca. Powoli gładziła go po włosach i szeptała, że wszystko będzie dobrze. Nie bronił się przed nią, czuł, że tak właśnie ma być. Zamknął oczy i także ją objął, ścisnął z całej siły, aż skórzana kurtka zaszeleściła, ale z powodu niewyjaśnionej nici porozumienia jaka się między nimi pojawiła, oboje wiedzieli, że wszystko, co się teraz dzieje, cały ten proces jest jak najbardziej naturalny. On znów zaczął płakać, tym razem ze szczęścia, z ulgi jaka go ogarnęła, płakał głośno i spazmatycznie, mógł w końcu wydusić z siebie te emocje, tak jak chciał, wtulił się w jej pierś jeszcze bardziej, a ona tylko gładziła go po głowie, cały czas tak samo szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Położyli się na łóżku w tym uścisku, oboje potrzebujący siebie nawzajem. Kiedy chłopiec w końcu mógł się uspokoić, zasnął momentalnie, odchodząc na chwilę od tych okropnych problemów, które znów powrócą, kiedy tylko się obudzi. Ale teraz to nie było ważne. Ważne było to, że tych dwoje odnalazło w tym momencie upragniony spokój. Spokój, który na pustkowiach nigdy nie trwa wiecznie.

***

Kiedy się obudził, była przy nim. Uspokoiło go to, myśl, że nie jest sam, że ma kogoś na kim może się oprzeć w takiej chwili, że może z kimś porozmawiać. Że może z kimś być. Objął ją trochę mocniej, ale starał się to zrobić tak, żeby się nie obudziła, chciałby się jakoś odpłacić za jej obecność i to był jedyny sposób w jaki mógł to teraz zrobić. Było w niej coś, co go uspokajało, jakaś niewidzialna siła, przez którą czuł się lepiej, bezpieczniej. Nie wiedział skąd i nie wiedział czemu, ale nie musiał tego wiedzieć, było to dla niego zupełnie niepotrzebne, ważne było to, że jest z nią, a ona jest z nim. Że dzięki jakiemuś niezwykłemu zbiegowi okoliczności przestąpiła przez próg jego domu i w nim została i jest w nim teraz. Miał nadzieję, że będzie w nim zawsze.
A jeśli nie? Spojrzał na jej spokojną twarz, na którą opadały kosmyki włosów, piękną twarz, na którą mógłby patrzeć całe życie i nigdy niczego żałować. Nie, pomyślał, ona nie może mnie zostawić, ona nie może odejść. Ona by tego nie zrobiła. Przekonawszy o tym sam siebie, wzruszył się jej dobrocią i poczuł, że łzy znów zbierają się w oczach. Choć były tam one z radości, a nie smutku, szybko się otrząsnął. Przecież on nie może przy niej płakać, jest teraz jedynym mężczyzną w domu. Faktycznie, jest jedynym mężczyzną w tym domu. Wcale nie czuł się dumnie, poczuł się jeszcze gorzej, powód przez który nim jest, był straszny.
Ale teraz tak jest i musi się z tym pogodzić, nie ma innego wyjścia, musi. Nie może już płakać. Nie może narzekać na polowania. Nie może spędzać dni na zabawie. Musi się opiekować domem. Musi się opiekować dziewczyną. Odwróciła głowę w jego stronę, włosy opadły z twarzy odsłaniając ją.

- Nigdy więcej nie będę płakał - wyszeptał do niej chłopiec - Będę się tobą opiekował. Obiecuję.

Znów ścisnął ją delikatnie dziękując jej za obecność. Położył się i już miał zamknąć oczy, kiedy zauważył, w jakim stopniu jej skórzana kurtka jest rozpięta. Koszula z niskim dekoltem sprawiała, że pod kątem na jakim znajdował się chłopiec, doskonale widać było jej lewą pierś. Krew uderzyła do jego głowy. I do rąk. I do czegoś jeszcze, o czym nie chciał myśleć. Poczuł się przez to źle, jakby brudził coś nieskazitelnego, jakby czynił zamach na coś świętego. Zacisnął oczy i zaczął sobie powtarzać, że jeśli je teraz otworzy będzie nikim. Powtarzał to, wykrzykiwał w swojej głowie, ale mimo to, powieki - ciężkie jak ołów - podniosły się powoli. Okrągła, śnieżnobiała pierś stanęła przed jego oczami, ale tylko na chwilę, od razu zacisnął je jeszcze mocniej i powiedział, że był to ostatni raz. Niestety nie był. Lecz teraz spojrzał na nią inaczej, nie jak na część świętości, tylko jak na coś pięknego, co zostało stworzone do podziwiania. W błogim zadowoleniu podziwiał więc, jak w rytmie powolnego oddechu unosi się i opada. Kiedy dziewczyna westchnęła, odwrócił wzrok, był pewien, że się obudziła. Nie mylił się. Uśmiechnęła się i pogładziła go po głowie. Spojrzał na nią. Jej uśmiech, choć miły dla oka, był tak naprawdę smutny, jakby był obarczony jakąś okropną nowiną, czymś, co przyniesie nieuchronne cierpienie i żal. Żadne z nich nie chciało o tym myśleć, patrzyli sobie w oczy i jedyne czym się przejmowali to dziś, teraz.

- Wiesz - zaczęła dziewczyna - mam ochotę na ognisko. Zobacz, już jest ciemno. Rozpalałeś kiedyś ognisko w nocy?

- Tak, kilka razy. Tata lubił opowiadać wtedy różne historie. - wspomnienie o ojcu wywołało nieprzyjemną falę obrazów z przeszłości. Przeszłości przecież tak niedalekiej, a tak już odległej. Przecież jeszcze wczoraj jadł z nim śniadanie popijąc je urodzinowym napojem gazowanym. Urodzinowym. Wczoraj były jego urodziny. W dzień, w który się urodził, umarli jego rodzice. Jak on mógłby obchodzić następne?

- Wczoraj były moje urodziny... - wyartykułował przez przypadek swoje ponure myśli. Na pewno wczoraj? A może to wciąż dzisiaj? Ile czasu spał?

- Tak? No to tym bardziej musimy rozpalić ognisko. Na wszystkiego najlepszego. Zaraz je przygotuję, poczekaj chwilę.

I wyszła razem z ciężkim plecakiem, który w jej ręce nie wyglądał na taki ciężki. Chłopiec poczuł się trochę głupio. To on był mężczyzną, on powinien się tym zająć, a nie ona. To on miał się nią opiekować, a nie ona nim. Co z tego, że jest od niego starsza? Wziął kilka szczap, które niedawno ojciec ułożył w perfekcyjny stożek i wyszedł za dziewczyną na dwór.
Noc była taka, jaki był poprzedzający ją dzień - bezchmurna i ciepła, z wyjątkiem wielu wesoło połyskujących gwiazd układających się w jej naszyjnik. Okrągły Księżyc wisiał na niewidzialnej nitce ponad drzewami delikatnie posrebrzając ich wierzchołki.

- Hej, mówiłam, żebyś poczekał!
- Tak, ale nie mogę tam siedzieć, kiedy ty pracujesz.
- Dżentelmen, co? - dzięki uprzejmości Księżyca, mógł wyraźnie zobaczyć, że się uśmiechnęła. W objęciach jego srebrnego deszczu wydawała się być jeszcze piękniejsza niż w domu.
- Dżentelmen? - zapytał chłopiec, nie wiedział, co to znaczy.
- Tak. Ktoś taktowny i miły.
Teraz uśmiechnął się chłopiec - poczuł się bardzo wyróżniony. Podszedł do małego kręgu ułożonego z kamieni i zaczął układać szczapy, jedna na drugiej w kształcie czworokąta. Dziewczyna szukała w tym czasie różnych suchych liści i innych łatwopalnych rzeczy, które nadawałyby się na rozpałkę. Kiedy wszystko było już przygotowane, sięgnęła do plecaka i wyjęła małe pudełeczko.
- To o wiele wygodniejsze od krzemienia.
Zapaliła jedną zapałkę i zaraz potem paliło się też całe ognisko.
- To sto lat! - chłopiec był w coraz większym podziwie możliwości jej plecaka. Wyglądało na to, że ona ma tam wszystko: tym razem wyjęła dwie butelki napoju gazowanego i dwie puszki zakonserwowanych brzoskwiń.
- Muszę przyznać - zaczęła kiedy zjedli brzoskwinie - że ludzka chciwość ma też swoje dobre strony, choć za bardzo jej nie rozumiem.
- Dlaczego?
- Gdyby komuś aż tak nie zależało na pieniądzach, nie mielibyśmy teraz czym uczcić twoich urodzin. Tych rzeczy nie robią już od dawna, a my jednak je mamy, to znaczy mieliśmy. Przechowywałbyś je, żeby komuś sprzedać, czy byś je zjadł?
- Raczej bym zjadł.
- Ja też. Ale ludzie wolą mieć niż być. Są tacy dziwni.
Chłopiec z jednej strony się z nią zgadzał, ale z powodu jej generalizacji uznał, że ten osąd tyczy się też i jego. Trochę go to zdenerwowało.
- Mówisz tak, jakbyś sama nie nie była człowiekiem.
Zaśmiała się.
- To przez tę noc. W taką gwiaździstą noc do głowy przychodzi wiele myśli. Kiedy tak patrzy się na gwiazdy, na te małe świecące kropki oddalone o setki tysięcy kilometrów, aż chce się zastanawiać nad paroma rzeczami. Nad swoim celem, nad swoim znaczeniem. Jeśli pomyśli się, że niebo jest nieskończone, a takich gwiazd jest niewyobrażalnie dużo, to zadaje się sobie jedno pytanie: Czy ja coś znaczę? Czy ja coś mogę zmienić? świat jest taki ogromny, a ja taka mała... A przecież nie jestem nawet w stanie zwiedzić całej Ziemi. To czy moje istnienie w tak wielkim oceanie ma jakiekolwiek znaczenie? Czy sama muszę je sobie nadać?
- Znalazłaś jakąś odpowiedź?
- Nie. Jeszcze nie. Ale kiedyś chyba znajdę. Życie musi mieć jakiś sens. Inaczej byłoby zbędne. A jeśli jest zbędne, to dlaczego cały czas o nie walczymy? - spojrzała do góry i westchnęła - Jesteśmy tacy mali.
W głowie chłopca dźwięczały jej słowa. Zbędne? Czy życie jego matki i jego ojca było zbędne? Też o nie walczyli. I przegrali. Ale on za nimi tęskni, dla niego nie byli zbędni. Dla niego byli najważniejsi, a teraz ich nie ma.
- Ktoś cię obgaduje. - zauważyła ni stąd, ni zowąd dziewczyna.
- Słucham?
- Ktoś cię obgaduje, masz czerwone uszy.
Ktoś go obgaduje? Ale kto? Bandyci? Wiedzą, że przeżył. Może chcą zabić i jego.
- Przynajmniej tak mawiała moja babcia. - dodała, jakby czytając w jego myślach. - Ja w to za bardzo nie wierzę.
- Ja swojej babci nie znałem. Umarła zanim się urodziłem.
- Lubiłam rozmawiać z babcią, była bardzo mądrą osobą. Wolałam rozmawiać z nią niż z rodzicami.
- Dlaczego?

- Nie umiałam się z nimi dogadać, chyba nawet ich nie lubiłam. Bardziej od nich chyba tylko swojego głosu nie lubię. Mówię cały czas tak, jakbym miała chrypę.

- Nie zauważyłem. - wypalił od razu chłopiec. Skłamał, zauważył to od razu i jej głos bardzo mu się podobał, ale chciał być dla niej miły.

- Tak? - zapytała mrużąc oczy z uśmiechem. - Może po prostu teraz tego nie słychać. - Nic nie słyszałem od samego początku.

- No cóż, może to też przez tę noc. - spojrzała w niebo po raz kolejny. Tym razem jej uwagę zwrócił świecący Księżyc. - Słyszałam, że podczas pełni niektóre wilki potrafią zmienić się w człowieka i spędzić tę noc wśród ludzi.

- Mam nadzieję, że to nieprawda.

- Dlaczego?

- Spotkałem ostatnio wilka i mam nadzieję, że nie spotkam go drugi raz. To był czarny wilk.

- Ale chyba go nie zabiłeś?

- Nie. Nienawidzę zabijania, ale bardzo możliwe, że tego byłbym w stanie zabić. Czarne wilki przynoszą pecha. Ten przyniósł mi nieszczęście.

- Naprawdę uważasz, że to wina czarnego wilka?

- Nie wiem. Może jestem po prostu zły i przestraszony. Boję się tego wilka. Nie chcę spotkać go drugi raz. Nie wiem co się wtedy stanie. Ze mną, z tobą.

- Myślę, że nic się nie stanie. Pewne rzeczy dzieją się, bo musiały się zdarzyć. Myślenie, że to wina czarnego wilka, czarnego kota, czy zbitego lustra to głupota.

- Może masz rację. Ale mimo wszystko nie chciałbym żebyś go spotkała. Ja go spotkałem i - chłopiec musiał przerwać; czuł, że do oczu napływają łzy, a przecież obiecał, że płakać nie będzie.

Na chwilę zapanowała cisza i słychać było tylko trzaskający ogień.

***

Ognisko zaczynało powoli dogasać, tak jak i siła chłopca by przy nim siedzieć. Zresztą, noc także powoli nabierała jaśniejszego koloru. Ale chłopiec jednak zdecydował, że odejdzie dopiero kiedy będzie musiał. Chciał jeszcze posiedzieć z dziewczyną, bo nie wyglądało na to, że razem z nim poszłaby do domu, gdy gwiazdy wciąż świeciły, choć słabszym blaskiem. Nagle zdał sobie sprawę, że ona tu nie zostanie. Może jeszcze na tę noc, na następny dzień, ale nie na zawsze. Spojrzał na nią. Leżała na trawie i patrzyła w niebo poszukując odpowiedzi na pytania znane tylko jej. Czarne włosy leżały w nieładzie na splecionych pod głową rękach. Co jakiś czas mrużyła swoje jasnoniebieskie oczy, po czym unosiła ciemne brwi. Ustami bawiła się wyrwanym źdźbłem trawy. Oddychała powoli unosząc co jakiś czas przeponę. Noga założona na nogę podrygiwała w swoim własnym, powolnym rytmie. To, co widział fascynowało go, przejmowało jak nic innego. Choć wszystko to, co robiła, było czymś zwyczajnym, w jej wykonaniu zamieniało się w magię, widok niesamowity i nieprzeciętny, jakby boski taniec, który wprowadzał w odmienne stany świadomości. Przez samo to, że mógł tak na nią patrzeć, być obok niej, czuł się wyróżniony, jakby dostąpił zaszczytu danego tylko niewielu wybranym. Czuł się lepszym człowiekiem, chciał być lepszym człowiekiem, aby być godnym przebywania w jej obecności. Odwróciła się do niego i - po raz nie wiadomo który - uśmiechnęła się - Ognisko zgasło. Chyba już pora iść spać. Chłopiec tylko przytaknął, nie myślał o sobie jako o kimś, kto mógłby się jej sprzeciwić. A poza tym był już śpiący.

Kiedy szli w stronę domu, złapał ją za rękę. Weszli do środka, chłopiec poszedł w stronę łóżka, dziewczyna wciąż stała przy drzwiach.

- Nie mogę tutaj zostać na tę noc. Nie mam czasu. Ale było mi miło, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Chłopiec musiał usiąść, nogi na chwilę osłabły, ale nie postarał się, żeby tego nie zauważyła. Sam nie wiedział dlaczego.

- Mnie też było miło - głos mówił za niego, nie miał nad nim władzy. - Do zobaczenia.

Siedział na łóżku i patrzył jak ona odchodzi. Zdał sobie sprawę, że szanse na ponownie zobaczenie jej są bardzo nikłe. Zdał sobie sprawę z tego, co powiedział i nie mógł w to uwierzyć.
Zostań. Ona nie może tu zostać, sama mówiła. Nie zostanie, po co jej to mówić. Zostań. Przestań, przecież wiesz, że to nie ma sensu. Zostań. Proszę. Zamknij się, nie płacz! Nie będziesz teraz płakał, obiecałeś sobie! Obiecałeś jej.

- Zostań. - cichy dźwięk jego głosu przetoczył się po pokoju jak lawina, atmosfera w nim panująca zaczęła go przygniatać, spuścił wzrok, jakby powiedział coś złego.

Ona tylko odwróciła się trzymając rękę na klamce, chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Spojrzała na niego swoimi niebieskimi oczami, które teraz zdawały się zmienić kolor na o wiele bardziej ciemniejszy.

- Nie mogę.
- Zostań - ścisnął kołdrę - proszę.

Nie śmiał na nią patrzeć, wiedział, że może przez to zacząć płakać.
Dziewczyna zrozumiała, o co tak naprawdę chodziło chłopcu, zdjęła rękę z klamki, odstawiła plecak i usiadła obok niego na łóżku. Kiedy ułożył się do snu, położyła mu czule rękę na głowie, jak zwykła robić jego matka.

- Zostanę. Nie martw się, zostanę. - skłamała tak wspaniale, z takim artyzmem, że niemal jej uwierzył. Ona sama prawie w to uwierzyła.

Gdy w końcu spokojnie zasnął, lekko musnęła ustami jego policzek, wzięła swój plecak i wyszła po cichu nie zostawiając po sobie niczego, oprócz bolesnego wspomnienia najwspanialszych chwil w jego życiu.

***

Obudził się. Sam. Rozejrzał się, ale w domu nigdzie jej nie było. Jego ciało nagle zrobiło się ciężkie, jakby coś wielkiego przygniatało je do ziemi. Choć wiedział, że właśnie tak będzie, dziwne uczucie pustki, które go ogarnęło, było niewiarygodnie potężne. Zrozumiał, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Nic po niej nie zostało. Dom wyglądał tak samo, jak przedtem. To wszystko równie dobrze mogło się nigdy nie wydarzyć. Nie zostawiła po sobie żadnych dowodów istnienia. A jeśli to wszystko było tylko długim snem? Jeśli on dopiero teraz się obudził po tym, jak uciekł od bandytów? A co jeśli go śledzili? Tropili jak i on wiele razy tropił zwierzynę z ojcem? Ale to uczucie, to, co ona zostawiła w nim samym, było zbyt piękne i zbyt bolesne, aby było nieprawdą. Ona tu była. Ale już nigdy jej tu nie będzie.
Wyjął spod poduszki książkę szukając ukojenia w uśmiechu orchidei. Ale zanim to zrobił, usłyszał kroki na ganku. Odciążyły one jego serce, westchnął z ulgą; znów wszystko jest w porządku. Uśmiechnął się do siebie, nie wierzył, że coś takiego mogło mu się przytrafić dwa razy w życiu.
Wszystko to minęło, kiedy usłyszał, więcej kroków niż powinien był usłyszeć. Złapał książkę i schował się za łóżkiem. Do domu weszły dwie pary butów, żadne nie należące do niej. Ich właściciele mówili męskimi głosami.

- Widzisz tu coś wartościowego?
- Nie bardzo.
- Sprawdź w tej szafie.

Kiedy oddalili się od wejścia, przerażony chłopiec zdecydował, co zrobi. Chwycił pewniej kieszonkową encyklopedię, przeskoczył przez łóżko i wybiegł z domu.
Usłyszał huk strzału i poczuł jak coś małego i gorącego przeszywa jego lewe ramię. Upadł i wypuścił z rąk swoją książkę, która poszybowała do przodu. Leżąc na ziemi czuł palący ból w ramieniu, ale nie płakał, wiedział, że nie może, nie po tym, co jej obiecał. Po prostu nie może. Na ziemi pod sobą poczuł coś mokrego i ciepłego. Spojrzał w dół i zobaczył krew. Swoją krew. Jego głowę przeszył impuls strachu i wtedy zrozumiał. Ręce nagle stały się zimne i wilgotne, a w brzuchu osiadło coś ciężkiego. W oczach pojawiły się łzy. Zdenerwowany i przerażony szybko przetarł je zdrową ręką. Zdał sobie sprawę, że zawiódł ją, nie dotrzymał obietnicy, nie udało mu się, leży tu i płacze, całkowicie załamany. Starał się, naprawdę się starał, przecież nie chciał nigdy

więcej płakać, przecież powiedział, że nigdy więcej nie będzie płakać. Więc dlaczego łzy wciąż lecą? Dlaczego nie chcą się zatrzymać, dlaczego on nie potrafi ich zatrzymać? Dlaczego?
Przygryzł zęby w poczuciu ciężkiej przegranej. Zaciśnięta prawa ręka zaczęła drżeć, lewa leżała bez ruchu, nie miał już w niej czucia; twarz zniekształcona przez ból, jaki teraz odczuwał wyglądała okropnie. Łzy wciąż leciały z jego oczu w coraz większym potoku. Wiedział, że ją zawiódł, zawiódł jedyną osobę, którą tak kochał. Ten czas, który z nią spędził, przecież to były najwspanialsze chwile w całym jego życiu, a on nie potrafił się za nie odwdzięczyć, nie potrafił dotrzymać tak ważnej obietnicy. To, co mu się przytrafiło już nigdy się nie powtórzy, a on pozwolił wszystkiemu pójść na marne. Cała złość, jaka go teraz ogarnęła, uaktywniła adrenalinę, która teraz płynęła przez jego ciało. Zapomniał o bandytach, zapomniał nawet o bólu, zaczął po prostu nienawidzić samego siebie. Ale wiedział, że umrze i nic na to nie poradzi. Nic mu nie pozostało. Tymi łzami, które teraz wymieszały się z jego krwią, odrzucił miłość i wspomnienia, które od tamtej pory były dla niego wszystkim. Zwykła nienawiść przerodziła się w pogardę. Za płacz, za słabość. Zaczął myśleć, że zasługuje na śmierć, ktoś taki, jak on nie zasługuje na życie; kto by go teraz chciał? Chyba tylko orchidea. Poszukując zrozumienia u jego najbliższej przyjaciółki, wstał i zaczął iść do książki, w takim tempie, na jakie pozwalał ból i coraz większy brak sił. Nie zwrócił uwagi, a może nawet już się tym nie przejął, kiedy bandyci do niego podeszli.

- Mo, mo, moja - powiedział na głos, idąc z uporem do swojej książki.

- Twoja co? - zapytał jeden z bandytów ze śmiechem.

- Moja - powiedział chłopak z naciskiem i padł na kolana przy książce, otworzył ją i zaczął szukać ulubionej strony - Moja Orchidea.

Cały czas siedział do bandytów plecami, w końcu znalazł stronę, której szukał. Widząc swój kwiat, odetchnął z ulgą, jakby pogodził się z tym, co ma nadejść. Zobaczył w nim wszystkie chwile jakie z nią spędził. Kiedy patrzył na nią w czasie snu. Kiedy z nią rozmawiał. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Kiedy uśmiechała się do niego. Kiedy go objęła. Kiedy złożył jej obietnicę.
Zamknął załzawione oczy z ogromną goryczą. Bandyta spojrzał z uniesionymi brwiami na drugiego, a ten wzruszył tylko ramionami. Wycelował w chłopaka i nacisnął spust. Prawdę mówiąc, chłopiec nie zdziwił się na widok orchidei, która w końcu wyciągnęła do niego swoje płatki, złapała go za rękę i z wciąż sympatycznie wystawionym językiem wciągnęła do książki.
Ból w ramieniu zniknął, a on leżał na miękkiej trawie, pośród bezkresnych pól orchidei. Wstał i spojrzał na niebo. Było takie, jakie lubił najbardziej, Słońce było już nisko, przez co chmury mieniły się różnymi kolorami, jedne były już niebieskie, inne jeszcze różowe. Spojrzał w przeciwną stronę i zobaczył świecące gwiazdy zanurzone w granatowej toni nieba. Przypomniał sobie, że były właśnie takie, kiedy spędził z nią tamtą noc. Ale najlepsze zostawił na koniec. Kucnął i ostrożnie zerwał jedną orchideę, w miejscu której szybko wyrosła nowa. Kiedy zasmakował jej delikatnej woni, wszystko było dokładnie takie, jak sobie wyobrażał. Jego płuca wypełniła radość, jakby nią oddychał, klatka piersiowa stała się lekka, a fala ciepła i zadowolenia przeszła od płuc do każdego z jego członków, odciążając ciało od wszystkiego. I z tą lekkością zaczął powoli unosić się do góry, wyżej i wyżej, aż pola orchidei zaczęły zmieniać się w podłużne, kolorowe pasma ozdabiające ziemię, aż w końcu stały się tylko fioletowymi plamkami; wyżej i wyżej, gdzie w końcu wylądował w ciemnej toni, o której marzył od dawna, pływał w niej jak w wodzie, tylko że z niesamowitą lekkością; mógł zobaczyć gwiazdy, tak, wokół niego krążyło milion gwiazd, a on wokół nich, każda świeciła jasnym blaskiem wprost na niego, granatowoczarna pustka wypełniona wodą pełna była niesamowitych kształtów, które błyszczały dla niego; wyżej i wyżej, aż i one stały się tylko jarzącymi się punktami, które widział już wcześniej; wyżej i wyżej, aż poczuł niesamowite ciepło, spojrzał w górę i zobaczył Słońce, którego blask niemal go oślepił, ale na tle tego blasku ujrzał znajomą sylwetkę, do której zbliżał się cały czas, do której lgnął już tak długo; wyżej i wyżej; aż jasność stała się tak silna, że musiał przymknąć oczy i ostatnią rzeczą, jaką zobaczył zanim ogarnęła go ta niesamowita światłość, były jej rozpostarte ramiona. Uśmiechnął się. Właśnie w tej chwili odnalazł upragniony spokój. Spokój, który został mu brutalnie odebrany, a którego szukał przez całe życie. Spokój, którego nikt już mu nie odbierze. Nigdy więcej.

A gdzieś na pustkowiach, gdzie chłopca już dawno nie było, ktoś łudząco podobny do niego klęczał nad książką z ręcznie malowanymi kwiatami, wpatrzony w nią nieobecnym wzrokiem. Krew z jego klatki piersiowej nagle trysnęła na obrazek orchidei, a on sam upadł bezwładnie na ziemię. Orchidea uśmiechała się cały czas, kiedy strużka czerwonej krwi spływała powoli po jej fioletowych płatkach.

KONIEC

© 2008 kaznodzieja_nowej_ery

WPÓŁ DO SŁOIKA
(FRAGMENTY DZIENNIKA)

(...) Musiały [zapiski] popowstawać rychło po Rejwachu, a nuż jeszcze w trakcie. Uszło tylko siedemnaście krańcowy kartek, z których czterech zostało całkiem pustych. Nic nie ma z okładki. Udało się nam odcyfrować fragmenty zy sztambucha, jednak wydaje się, że brakuje kart również z tej odratowanej części. Napisy z „Tornada" dosłownie podajemy, żebyście mogli sami zew przeszłości ująć. (...) My kminimy, że niewielu takich wniosków da się wyciągnąć, żeby jakaś metoda na Molocha się podźwigła, bo „Tornado" nic tu o nim nie wspomina nawet... (...)
Konkretnej lektury!

W głębokim poważaniu,
por. Mao Zostao

Mój szary dziennik... Przypadkowy kolor jego okładki stał się cholernie trafną recenzją gorzkich dni, które tkwią w nim opisane. Zwykły notesik z kartkami w kratkę, wyposażony w specjalną szlufkę z czarnej dermy, w którą wetknięto mały ołówek. Kupiłem ten praktyczny komplecik, bo nigdy nie miałem pod ręką kartki papieru chcąc zapisać coś ulotnego: nazwisko jakiegoś ważniaka, numer fajnej niuni, wyniki Totolotka czy błyskotliwe głupstwo, z którego po kilku głębszych śmiałem się z kumplem niemal do posiku. Przypuszczam, że babka w papierniczym - tak samo jak ja - nie spodziewała się, że ten popielaty, kieszonkowy zeszycik zostanie wkrótce zaadoptowany na post-nuklearny pamiętnik zdychającego w winnicy szczura…

***

Miejsce, w którym kibluję to dzieło poprzedniego właściciela tej ziemi oraz jego dwóch synów. Dziad był napiętnowany manią prześladowczą i gorąco wierzył w nuklearne ataki ze strony Europolis. Synowie słuchali tego jak bredni starego ramola, ale pomogli ojcu zbudować przeciwatomowy schron za domem. Kilka tygodni po ukończeniu budowy staruchowi odbiło i, używając strzelby *SPAS 12* jednego ze swoich chłopaków, zastrzelił najpierw jego, a potem siebie. Jego drugi syn sprzedał mi posiadłość nie wliczając kosztu znienawidzonego bunkra w cenę. Miły gest; nigdy nie lubiłem się targować. Na powierzchni nie zostało pewnie wiele rzeczy, o które warto by było się targować.
Wydrążone w ziemi lokum znajduje się jedenaście metrów pod powierzchnią. Wszystkie użyteczne ustrojstwa z wnętrza wyniesiono i jeszcze przed moją kadencją miejsce stało się zwykłą podziemną spiżarnią. Miejsca jest dostatecznie wiele, pomieszczenie mierzy jakieś trzy metry na cztery, minus regały z żarciem. Mam tu mnóstwo zawekowanych pomidorów, kilka słoików leczo, kompoty z gruszek, śliwek i wiśni, a także od cholery powideł i czerwonego wina. Z początku załatwiałem się do słoików po jedzeniu, jednak staram się jeść niewiele, przez co mam skurczony żołądek i nie nadążam już za pustymi słoikami. Nie wyrabiam się też z opróżnianiem butelek, więc wyznaczyłem sobie miejsce w kącie. Odór starej uryny wydaje mi się tak lepki i gęsty, że zdaje się pokrywać skórę. Cieszę się, że kał jest szczelnie zamknięty.

***

Czy człowiek różni się od zwierząt tym, że po przebudzeniu ma świadomość ilości przespanych godzin? Już od dłuższego czasu nie zaczynam notatek od zameldowania daty i godziny. W jakim celu miałbym to robić? Gdyby bóg chciał słuchać, wykrzyczałbym mu w twarz skargę na to, że wszystkie dni wyglądają identycznie i na to, że nie potrafię odróżniać ich od nocy. Na początku było łatwo, bo zmierzch nadchodził z charakterystycznym chłodem. Teraz nie czuję tu żadnego ruchu powietrza ani zmian temperatury. Gdyby był bóg chcący słuchać…

Może powinienem patrzeć optymistycznie na fakt, że czas nie ma już żadnego znaczenia? Cóż, chyba nie mogę narzekać na komfortowy stan rzeczy skoro jem, sram, śpię i śpiewam, gdy czuję taką potrzebę. Moja pierwsza dziewczyna zawsze powtarzała, że szczęśliwi nie mierzą czasu. Pewnie dlatego nie potrafiła ugotować jajka na miękko. Odeszła, gdy pewnego dnia ją o tym poinformowałem.

***

Powstanie naszej federacji z Chinami wywołało międzynarodowe protesty i roszczenia przypominające wielką falę, rozbijającą się o skały. Potem zaczęły się groźne miny i embargo, a w końcu ultimatum ze strony Europolis. Mimo to, czuliśmy się bezpiecznie.
Krótki dzień tylko tym różni się od długiego, że w krótki się umiera. Czwarta wojna światowa trwała pięć dni…

***

Nie czuję już smrodu. Nawet nie muszę oddychać przez usta. Jedynie bóle głowy i mdłości nie pozwalają mi zapomnieć o ciężkim fetorze moczu wypełniającym pomieszczenie. Czuję też kwaśny smak w jamie ustnej. Jest tak nieznośny, że coraz częściej nachodzi mnie myśl o wyjściu na powierzchnię… Chcę się poważnie zastanowić nim wypalę wszystkie świeczki.

***

Ciekawe czy Paryż przetrwał wojnę. Im to chyba i tak wszystko jedno. Zawsze mieli tam burdel na kółkach. No i ta ich wieża Eiffla stercząca bełkotliwie jak AMEN w dziecięcej modlitwie - podobno zbudowano ją tylko po to, by białą flagę było widać już z Pekinu. W dobrych czasach mogli zrobić z niej miliony żyletek albo czegoś równie pożytecznego. Francuzi… nie potrafili robić nawet wina. Psiakrew, że też przed wojną nie nosiłem brody.

***

Zdecydowałem, że wyjdę na zewnątrz, gdy zapaskudzę wszystkie słoiki. Przecież im mniej mam, tym mniej mam do stracenia.

***

Wygląda na to, że pora otworzyć właz. Nawet, jeśli mój dziennik miałby podnieść ktoś znający litery, pewnie i tak nie rozczytałby mojego pisma. Mimo wszystko postanowiłem zostawić trochę czystych kartek na opis tego, co ocalało…

KONIEC

© 2010 Ordynus

NOC ŚWIRA

Jestem nieżywy. Ale mówię. Czy to, do cholery, wpływa jakoś na fakt mojej nieżywości? Pewnie nie. Chociaż zaraz - nie mogę umrzeć. Czasem nawet bym chciał. Widząc moją zieloną, gnijącą twarz, myślicie sobie - „czy on jest trędowaty?”. Łudzicie się nadzieją, że jestem trędowaty. Nie jestem. Możecie jeszcze chwilę tu posiedzieć i pooglądać mnie. Nauczyłem się panować nad odruchami, a na razie nie jestem głodny. Możecie też posłuchać moich zawodzeń, ale nie dotykajcie mojego ciała. Umówmy się, że tak będzie dla was najlepiej.

To wszystko zaczęło się dawno temu. Był wybuch. Grzyby. Deszcz. Najpierw grzyby, a potem deszcz, jeśli wiecie, o czym mówię. Teraz też są grzyby - o, jednego mam tu, pod pachą. Ha!… Co, nie śmieszy was to? No tak - pierdolone gładko skórki. Monty Pythona sobie, kurwa, pooglądajcie, to się może będziecie śmiać. Chociaż to wątpliwe. Teraz, po wojnie, nie ma ani Monty Pythona, ani niegdysiejszego poczucia humoru. Wy niczego chyba nie rozumiecie. To pewnie przez mieszkanie w tych schronach przeciwatomowych. Ciasno, duszno, gorzej niż w dupie. Kiedyś w takim byłem. Co? No, smakowali mi. Chyba jacyś tacy bardziej inteligentni, ale i tak musiałem doprawić te szare komórki. Co się tak dziwicie? Że gniję, to od razu kurwa musi znaczyć, że nie mam gustu kulinarnego? Trzeba było je posolić. Siedem razy…

Lewe półkule smakują bardziej. Sam nie wiem dlaczego. Spytajcie Filipa albo Marka… Chociaż zaraz. Oni by was zjedli, zanim byście otworzyli usta. Dlaczego co? Nie słyszę, gnojku, za cicho burczysz… Dlaczego was nie atakuję? No mówię, kurwa, że nie jestem głodny. Dlaczego mówię? No a co, kurwa, mam tańczyć taniec brzucha? Aaa- chodzi ci o to, czemu potrafię mówić, a pozostałe mózgojady nie? No tak jakoś się udało. Taki ze mnie inteligent, rozumisz. Rozumiesz… Sześć lat podstawówki, potem trzy gimnazjum. Ja pierdolę - to była dopiero apokalipsa, to gimnazjum. Ale jaki kurwa naród, takie jego pierdolone dzieci - pojebusy. Potem ogólniak. No i studia. Nie było kurwa studiów! Bo wtedy właśnie pierdolnęło. Chuj im w dupę - nie dość, że nad ranem zaczęli strzelać, to jeszcze kurwa atomówkami. Przeżyłem - no i chuj, jestem. Trudne?

Przed wojną czytałem. Całkiem sporo. Lubiałem. Lubiłem takiego autora jednego. Jakoś na P się nazywał. Praczet? No jakoś tak. Fantastykę pisał. Ale taką kurwa zajebistą, wiecie. Trochę książek mi zostało. Sobie nimi koloruję świat. Co - jak można kolorować świat? Taka metafora. Kurwa, ja pierdolę. Nie wiesz co to metafora? Przenośnia, kurwa! A chuj tam - nie będę ci tłumaczył. Sam też piszę czasem. Piszę wiersze. Teraz zaczynam nowy. Mam już pierwszy wers:

Pośród odchodów siedzi ta kurewska para.

A wy co? Nie wiecie, co to wiersze? No ja pierdolę, co za otępienie. To co wy umiecie? Po wojnie to myślicie, kurwa, że wam kultura niepotrzebna? Nie mów tak! Nie mów „niepotrzebna”. Już nie chodzi o sam fakt, że to mówisz, ale kurwa źle akcentujesz! Kurwa, ja pierdolę…

I po co tu siedzicie w ogóle? Chcecie usłyszeć jak koloruję świat? Wy macie te popierdolone walizki, a ja mam Praczeta. Jeszcze kilka książek się ostało - to nie moje. Zwinąłem z jakiegoś bunkra. Co to książka? Kurwa mać!

Nieważne. Nie pytajcie o co chodziło z kolorowaniem. Opowiem wam coś - taką historię, co wymyśliłem, żeby przelać na świat moje wynaturzenia. Co? Nieważne. Po prostu, kurwa, nie słuchajcie tych słów, których nie rozumiecie, dobra?

No to słuchajcie: Najpierw…Potem spotkał… W środku… Kurwa… pierdolone… chuj… koniec. Fajna historyjka, nie? Tak - nią sobie koloruję świat. Postacie. Postaci literatury

fantastycznej też przeklinają. Takie krasnoludy na przykład. Klną jak same chuje. Ale teraz nie ma chyba dla nich miejsca, w tym naszym świecie. Są zbyt kolorowe…

Dobra, idźcie już. Dalej tu siedzicie? No wypierdalać!
Poszli już…
Napiszę coś swojego.

Pośród odchodów siedzi ta kurewska para.

KONIEC

© 2010 nie wiem

AZYL

Sophie siedziała przy wejściu do jaskini, samotna istota, w długim i mrocznym korytarzu, którego końca nie sposób było dostrzec, a rozpoczynającym się zaledwie kilka kroków od niej, jaskrawymi barwami burzy piaskowej szalejącej przed wejściem. Lubiła to miejsce, ponieważ znajdowało się na granicy - siedząc tu można było sobie wyobrazić, że za moment usłyszy się odgłosy walki, jęki rannych i chorych, całą rozpacz, w której pogrążony był świat; lecz myśląc o tym jak strasznie musi być na zewnątrz, miało się świadomość, że do Azylu jest zaledwie kilka kroków. Nagle jej cichą zadumę zburzył obcy dźwięk, coś zupełnie innego niż odwieczny świst wiatru w korytarzach jaskiń i szumu kamiennych drobinek, uderzających o ściany Kanionu. Dziewczyna odchyliła lekko głowę i zaczęła z niepokojem nasłuchiwać, szukając jego źródła. Wydawał się dochodzić z, zewnątrz, co tylko potęgowało złowieszcze uczucia. Przypomniała sobie jak zeszłego roku przybłąkał się tu okaleczony niedźwiedź - był stary, brakowało mu tylnej łapy i prawie całkiem oślepł podczas wędrówki, jednak napędził ludziom niezłego stracha zanim go zabito. Już miała wstać i wycofać się w głąb korytarzy, gdy nagle wśród drobinek piasku wirujących w powietrzu przed wejściem, pojawił się zarys postaci, stawiającej ledwo kroki, szukającej po omacku drogi wśród burzy.
Sophie wstała, spięta i niemogąca się zdecydować, co powinna zrobić, nie była przygotowana ani do walki z potencjalnym zagrożeniem, ani do udzielenia pomocy medycznej, co sądząc po chwiejnym chodzie mogło okazać się niezbędne. Kiedy postać przekroczyła granicę burzy i weszła do groty, okazała się być dobrze zbudowanym mężczyzną. Po zrobieniu kilku niepewnych kroków na twardym podłożu, zachwiał się i opadł na kolana, łapczywie wdychając zimne powietrze. Miał chyba nie więcej niż trzydzieści lat, ubrany był w roboczą flanelową koszulę w kratę, oraz mocno zniszczone jeansy. Niósł z tyłu wielki turystyczny plecak, na którym miał po doszywane mnóstwo linek oraz kieszeni wypchanych po brzegi nieokreślonymi przedmiotami. Zdawał się mówić o właścicielu, że jest przygotowany na wszystko, czym kontrastował z bosymi stopami wędrowca.
Przybysz ściągnął z wyraźną ulgą kilka warstw szmat okrywających jego spieczone usta oraz oblepiony mieszaniną zaschniętej krwi i piasku nos i zaczął przecierać oczy.
Sophie podejmując nagłą decyzję, ale zachowując jednak ostrożny dystans zapytała:

- Jesteś cały?

Zaskoczony mężczyzna otworzył przekrwione oczy i spróbował zogniskować wzrok w panującym wokół półmroku, patrząc w kierunku, z którego dobiegł głos. Na jego twarzy malowało się wiele uczuć - od przerażenia po bezgraniczne zdumienie. Klęczał tak chwilę, poruszając bezgłośnie lekko otwartymi ustami, na które cisnęło się tyle pytań, po czym wreszcie wykrztusił:

- Gdzie ja jestem?

Dziewczyna dopiero teraz poczuła się pewniej. Rozluźniła się lekko i na jej wargi wypłynął ciepły uśmiech.

- Jesteś w Azylu. I od dzisiejszego dnia już zawsze będziesz bezpieczny.

Phil pamiętał niewiele z czasu od przybycia do Azylu, do dotarcia pod stację medyczną. Kłębiły mu się w głowie dziesiątki klatek filmu, z którym jakoś nie potrafił się utożsamić. Przypominał sobie później z wielkim trudem mozolną podróż długimi i krętymi korytarzami jaskiń, prowadzącymi raz w górę, raz w dół. Pozostały mu także wspomnienia pierwszego kontaktu z innymi niż Sophie mieszkańcami podziemi. Wszyscy byli bardzo bladzi, wysocy i smukli, a ich oczy były mętne, pozbawione blasku. Niemal wszyscy zachowywali zimny dystans - fizycznie i werbalnie, w stosunku do nieznajomego i miał niejasne wrażenie, że boją się go bardziej niż on ich.
Podróż ciągnęła się w nieskończoność, przedłużana jeszcze dodatkowo rozlicznymi przerwami, które musieli robić by dać Philowi odpocząć. Podczas każdego z tych postojów, jak również i wędrówki, Sophie nieustępliwie milczała. Wraz z mijanymi kilometrami otoczenie nieznacznie zmieniało się. Początkowo gdzieniegdzie na ścianach i suficie zaczęli dostrzegać pojedyncze cegły wyzierające z wydawałoby się jednolitej bryły ścian. Po jakimś czasie skała ustąpiła wreszcie

ceglanemu poszyciu, ono z kolei zmieniło się na końcu w radio-odporny beton podziemnego schronu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał Phil, była ulga, jaką odczuł, gdy uświadomił sobie, że wreszcie może sobie pozwolić na to by stracić przytomność.

Obudził się wśród sterylnych ścian, czegoś, co było niewątpliwie punktem sanitarnym. Leżał na wygodnym łóżku, przykryty czystą, wykrochmaloną pościelą. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilka posłań, otoczonych jakąś skomplikowaną aparaturą. Wśród kształtów, które wyłoniły się, kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do, w pierwszej chwili zbyt jaskrawego światła bijącego od podłużnych lamp na suficie, dostrzegł kilkoro krzątających się wokół ludzi. Mieli oni charakterystyczną budowę, oraz karnację ludzi z Azylu i większość z nich była ubrana w białe kitle, co nie pozostawiało wątpliwości, że są tutejszym personelem medycznym. Tylko jeden starzec wyróżniał się spośród nich.
Nosił wyświechtany, niebieski skafander roboczy, który okrywał skórę koloru przypalonego drewna, kontrastującą mocno z śnieżnobiałymi włosami i brodą.
Kiedy tylko zauważył, że Phil się obudził, ruszył żwawym krokiem w kierunku jego łóżka z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem.

- Och, widzę, że wreszcie odzyskuje Pan siły! - Powiedział podsuwając mężczyźnie do ust szklankę wody, którą ten łapczywie opróżnił; po czym wycofał się na taką odległość od posłania, że Phil mógł go widzieć, ale jednocześnie był zmuszony lekko się unieść. - Nasi lekarze zaczynali się już zastanawiać, czy wyczerpanie nie spowodowało jakichś nieodwracalnych zmian w Twoim mózgu. - Dodał, zwracając się tym razem bardziej nieformalnie. - Przez trzy dni pozostawałeś kompletnie nieprzytomny i tylko wykasływałeś przez sen krew i ten cholerny piach! Miałeś sporo szczęścia, bo udało nam się wmusić w ciebie trochę wody kiedy spałeś, ale po takim wycieńczeniu organizmu, miną tygodnie nim łapiduchy postawią cię na nogi.
Phil powiódł po otoczeniu na wpół niewidzącymi, przekrwionymi oczami.

- Gdzie jestem? - Wyszeptał słabym głosem

- W naszym skromnym punkcie opieki medycznej. Chociaż z tego pewnie już zdałeś sobie sprawę. - Odparł starzec z szerokim uśmiechem. - Znajdujesz się teraz w jednym z najgłębszych pokładów miejsca, które zwiemy Azylem. Nazywam się Merkator i jestem nieoficjalnym przywódcą naszej małej, pokornej społeczności.
Phil opadł ciężko na poduszkę, przestając próbować utrzymać starca w zasięgu wzroku i utkwił spojrzenie w suficie. Do jego łóżka podszedł młody sanitariusz i zaczął pośpiesznie przeprowadzać oględziny. Po zbadaniu tętna i reakcji źrenic rozpoczął zadawanie serii kontrolnych pytań dotyczących początkowo tego, co znajdowało się w najbliższym otoczeniu, następnie przeszedł do rzeczy, które pacjent pamięta o sobie i wydarzeniach z jego przeszłości. Dopiero tutaj pojawił się pierwszy problem…

- Coś jest nie tak z moją głową. - Powiedział Phil ze strachem w oczach - Pamięć mnie zawodzi, mam świadomość tego, kim jestem, ale nie mogę sobie przypomnieć nic od czasu wejścia do jaskini...

- Cóż... - Merkator i medyk spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym starzec posmutniał, co jednak umknęło uwadze rozmówcy - Naprawdę bardzo chciałbym powiedzieć coś, co doda ci otuchy i da nadzieję na poprawę twojego stanu, ale obawiam się, że jeżeli nie oceniam źle źródła amnezji będziesz musiał przywyknąć do tych luk w pamięci...
Mężczyzna uniósł się na łokciach z przerażonym wyrazem twarzy.

- Jak to? Dlaczego? - Wychrypiał.

- Cóż... - Kontynuował Merkator. - To, czego doświadczyłeś spotyka każdego, kto ma dłuższy kontakt z wirującym w Kanionie piaskiem. Coś nienaturalnego zalega pośród jego ścian, prawdopodobnie jakiś rodzaj chemicznego zanieczyszczenia. Nie udało nam się tego jednoznacznie ustalić. W każdym bądź razie ta substancja, lub cokolwiek by to nie było, sprawia, że do pewnych obszarów mózgu nie dociera krew. Te partie, które są odpowiedzialne za naszą pamięć długotrwałą częściowo obumierają. - Merkator spauzował na chwilę i spuścił głowę. - Nie musisz się obawiać stałego upośledzenia, w dalszym ciągu będziesz pamiętał wszystko, co stało się od przybycia tutaj, obawiam się jednak, że wszystko, co przeżyłeś wcześniej może być bezpowrotnie stracone…

Łzy pociekły po twarzy Phila. Właściwie nie wiedział, dlaczego płacze, ponieważ nie potrafił ocenić, co tak naprawdę stracił. Powodem jego rozpaczy była chyba bezsilność wobec faktu, że może się tego nigdy nie dowiedzieć.

- Zostaw mnie. - Powiedział zadziwiająco silnym głosem. - Potrzebuję czasu... Potrzebuję odpoczynku... Potrzebuję... Żeby jakoś to ułożyć... - Dodał i odwrócił się na bok podkulając nogi.

- Rozumiem. Jak chcesz... Ale wrócę tu jeszcze, kiedy się trochę uspokoisz - powiedział Merkator, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kolejne miesiące upłynęły Philowi na powolnej rekonwalescencji i wdrażaniu się w życie bunkra, niestety pomimo usilnych starań w dalszym ciągu nie mógł sobie przypomnieć nic ze swojego poprzedniego życia. Mimo najlepszych intencji lekarze musieli mu w końcu dać ostateczną diagnozę - trwała amnezja. Jak dowiedział się niemal na samym początku, nie wszyscy mieszkańcy Azylu dotarli tu tak jak on. Część z żyjących tu osób była potomkami pierwotnych właścicieli tego miejsca. - Kilkunastu mężczyzn i kilku kobiet, którzy spędzili tu ostatnie dni swojego życia. Oczywiście z powodu niewielkiej puli genetycznej większa część populacji bunkra była obecnie ze sobą w jakiś sposób spokrewniona. Pozostałą część mieszkańców stanowili ludzie przybyli z zewnątrz. Przeważnie asymilowali się dość szybko i często dochodzili do znaczących stanowisk. Jedną spośród wielu takich osób był Merkator. W chwilach wolnych od fizycznej pracy, którą tymczasowo mu przydzielono, Phil szukał towarzystwa Sophie lub Merkatora. Zwłaszcza rozmowy z tym ostatnim były cenne, ponieważ starzec dysponował największą wiedzą spośród wszystkich mieszkańców Azylu. Jako jedyny miał stały dostęp do archiwów przechowywanych na ostatnim sprawnym komputerze, sprawował też funkcję sędziego, więc nic, co działo się w bunkrze nie umykało jego uwadze. Phil starał się podczas rozlicznych rozmów nakłonić Merkatora do wyjawienia tego, co wie o wyglądzie życia na zewnątrz, w nadziei, że uruchomi to jakieś uśpione wspomnienia, starzec początkowo zbywał go kilkoma słowami, nawet nie próbując udawać, że szuka tylko wymówki by zmienić temat. Wraz z narastającą natarczywością mężczyzny, sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, konwersacje kończyły się zazwyczaj na tym jednym temacie i oboje rozchodzili się w pochmurnych nastrojach. Mimo to pytania nie przestały się pojawiać, i czasami Phil czuł, że Merkator jest już blisko złamania się. Jednego z takich wieczorów, kiedy siedzieli jak zwykle przy stole w jednej z wielu opuszczonych sali bunkra, starzec był do tego stopnia zdenerwowany, że poczerwieniał i rozbijając butelkę z wodą rzucił:

- Myślisz, że coś ci to da, że będziesz o nich wiedział? O… -Po czym gasząc nadzieje mężczyzny, westchnął ciężko, wstał i wyszedł, rzucając tylko - Do zobaczenia jutro.

Dopiero po około pięciu miesiącach tama wreszcie pękła.

- Chcesz wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz?! - Wykrzyczał Merkator, zrywając się z krzesła i opierając ręce na stole. - Powiem ci! Śmierć, zniszczenie i cierpienie! Oto, co się dzieje. Być może jesteśmy ostatnim miejscem na Ziemi, do którego ta zgnilizna nie ma dostępu!

- Ale dlaczego? - Zapytał zdumiony Phil, patrząc bezradnie na starca z drugiego końca stołu. - Co tam się stało?

- Nie jesteśmy do końca pewni. - Odparł, siadając na miejsce. - Jakiś rodzaj globalnego kataklizmu. Nie dysponujemy wszystkimi informacjami, mamy tylko dostęp do wiedzy zachowanej w archiwach, a one pochodzą sprzed tego wszystkiego. To, co wiemy pochodzi ze szczątków pamięci tych, którzy przybywali tu przez lata. Kiedy się tu pojawiali, mieli czasami przebłyski wspomnień, często towarzyszyły im nocne koszmary. - Merkator wpatrywał się beznamiętnie w jakiś punkt na ścianie. - Upiekło ci się. Gdybyś tylko widział tych ludzi zanim czas uleczył ich rany... Chodzące wraki... Mieliśmy tutaj wiele przypadków. Ludzi płaczących i krzyczących przez sen, opowiadających o wspomnieniach śmierci, wojny, głodu. Szaleńców błagających by jakiś mityczny Moloch zapomniał o ich istnieniu i pozwolił im żyć. Pamiętam młodego narkomana, który trząsł się przez trzy tygodnie, nie panując nawet nad swoimi potrzebami fizjologicznymi i przez cały ten czas błagał nas żebyśmy dali mu działkę Tornado. - Starzec przeniósł swoje smutne oczy na twarz Phila. - Ale nie mógł sobie przypomnieć, co to jest...

Twarz mężczyzny zdradzała skrajne przerażenie i zdumienie zarazem.

- I przez cały ten czas tkwiliście tutaj, nie próbując się dowiedzieć nic więcej? Żyjecie wygodnie, obżerając się zapasami zostawionymi przez przodków, podczas gdy cały świat cierpi!

- A co mamy zrobić? - Odparł Merkator z cierpkim uśmiechem. - W bunkrze nie mamy nic, co mogłoby nas uchronić przed wpływem piasku... Wysyłaliśmy ludzi na zwiad, ale burze są zbyt częste, pojawiają się nawet kilka razy dziennie, a wystarczy nawet odrobina wiatru i jesteś otoczony wirującym pyłem. Większość osób biorących udział w wyprawach nigdy nie wracała, a ci, którym się udało nie dotarli daleko, nie mamy więc pojęcia jak daleko ciągnie się Kanion. Zresztą to podróż w jedną stronę. Możemy wziąć zapasy oraz sprzęt i zanieść je na zewnątrz, ale w zamian musielibyśmy oddać naszą przeszłość. Tamten świat i tak jest już stracony. Jak już mówiłem wcześniej, być może jesteśmy ostatnim bezpiecznym miejscem na Ziemi. Mam rozkazać wszystkim tym ludziom opuścić schronienie i zmierzyć się z zagrożeniami, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, żeby ratować świat, któremu i tak pewnie nie można już pomóc? - Zapytał z drwiną w głosie.

- Przecież nie możecie tak po prostu czekać na koniec świata! - Wybuchnął Phil.

-Synu, - Przerwał Merkator z powagą w głosie. - Koniec świata nastąpił już siedemdziesiąt lat temu...

-Ale może jeszcze można coś zrobić! - Próbował rozpaczliwie mężczyzna. - Na pewno został ktoś, kogo warto ratować, coś, o co trzeba walczyć! Uleczymy ziemię i naprawimy to, co zostało rozbite! Nigdy nie uwierzę, że jest zbyt późno by wyrwać świat ze szponów rozpaczy! - Te ostatnie słowa wykrzyczane przez Phila z głębi serca odbiły się kilkakrotnie echem w pustych korytarzach Azylu. Próżno jednak było oczekiwać jakiejś reakcji, masowego zrywu nadziei. Ściany zdawały się drwić, powtarzając raz po raz zniekształcone dźwięki.

Starzec przeciągnął ręką po zmęczonej życiem twarzy i przybrał beznamiętną pozę.

- Jeżeli chcesz to idź. Idź i walcz. Idź i zgiń, ale zostaw w spokoju umęczone dusze Azylu. Zanim jednak pójdziesz zastanów się jeszcze, ponieważ nie pozwolę ci zabrać ze sobą nic, co może kogokolwiek, w tym i ciebie, naprowadzić na lokalizację bunkra. Jeżeli odejdziesz, nigdy już tu nie wrócisz. - Starzec spojrzał Philowi prosto w oczy. - I już nigdy nie będziesz bezpieczny.

Stali oboje patrząc na budzące grozę zrywy piasku przed wejściem do jaskini. Wszystkie emocje i niewypowiedziane słowa kotłowały się w ich głowach, lecz nie byli w stanie dać im upustu. Sophie położyła dłoń na sztywnym ze strachu ramieniu Phila.

- Naprawdę musisz iść? - Zapytała, choć tak naprawdę znała już odpowiedź.

- Nie mam wyboru. - Odparł spuszczając głowę.

- Ale dlaczego?! - Wybuchła nie wytrzymując napięcia. - Czego tam szukasz? Po co ci ten trud? Masz tutaj wszystko, co jest ci potrzebne do życia! Przecież nie masz nawet pewności czy uda ci się wyjść z Kanionu, możesz zabłądzić po stracie pamięci i zostać tam na zawsze! A tutaj masz schronienie, pożywienie... - Dodała ściszając głos i spuszczając głowę.

- Dlaczego? Nie wiem... Czuję jakiś zew... Całym sobą buntuję się przeciwko bezczynności wobec tego, co tam się dzieje. - Powiedział wpatrując się pusto w tumany piasku. - Wiem za to, czego szukam. - Kontynuował odwróciwszy wzrok w jej stronę. - Szukam ludzi. Prawdziwych czujących istot, w których cierpienie nie stępiło empatii. I szukam człowieka... Istoty ludzkiej w sobie samym. A to chyba takie chwile jak ta, decydują o naszym człowieczeństwie.

Po tych słowach musnął wargami jej policzek, po czym odwrócił się i ruszył z uśmiechem w nieznane, w poszukiwaniu swojego przeznaczenia.

Burza rozpętała się po kilkunastu minutach, i przygasiła prawie całkiem nadzieję Phila. Żadne słowa ani doświadczenia nie mogłyby go przygotować na spotkanie tego okrutnego żywiołu. Silniejsze podmuchy wiatru, co chwilę zwalały go z nóg i gdyby nie wstawał, w kilka minut byłby kompletnie przykryty grubą warstwą pyłu. Widoczność była zerowa, więc zdecydował się iść przy północnej ścianie Kanionu wodząc ręką po ścianie by się nie zgubić. Zawierucha kierowała całą swoją siłę w stronę, z której przyszedł, więc musiał kroczyć prosto na spotkanie tej manifestacji okaleczonej planety.

Piasek dotkliwie ranił jego ciało, kalecząc skórę, wdzierając się do nosa, ust i oczu; wydawało się, że nie pozostało już żadne miejsce, z którego nie krwawił. To nie jednak przyszłe blizny martwiły Phila najbardziej, a to, że coraz trudniej było złapać mu oddech. Okruchy spustoszyły jego płuca, do tego temperatura wzrosła znacznie, gdy uderzyło w niego niesione z daleka powietrze. Nic nie wskazywało na to by jego podróż miała zostać uwieńczona sukcesem; a najgorsze miało dopiero nastąpić…

Pamięć stracił po około godzinie drogi, mimo rozpaczliwych prób czepiania się niknących nieubłaganie strzępków wspomnień. Upływ czasu przestał dla niego istnieć, cały czas tkwił w nieświadomości tego gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Był bezradny jak nowo narodzone dziecko, wrzucone w sam środek piekła. Raz za razem próbował otwierać oczy, nie zdając sobie sprawy jak wiele razy robił to już przedtem, zawsze jednak jedynym, co widział zanim musiał znów przymknąć powieki była wszechogarniająca biel śmiercionośnego piasku. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że nie może już dłużej, od zawsze tkwił w tym koszmarze, to było jedyne, co znał i nigdy nie miało się skończyć. Chciał płakać, ale łzy wyschły zanim zdążyły wypłynąć, chciał umrzeć, ale nie był pewien czy już nie jest martwy. Po tym jednym strasznym momencie Phil zdał sobie nagle sprawę, że nie słyszy już świstu wiatru. Kiedy zmusił się żeby spojrzeć na to, co go otacza zobaczył, że stoi na płaskiej okrągłej skale otoczonej zewsząd morzem pyłu. Naprzeciwko niego kucał olbrzymi Indianin, z wielką blizną po nożu na gardle. Nieznajomy uśmiechnął się do Phila przyjaźnie i wskazał ręką coś za swoimi plecami. Kiedy mężczyzna skierował wzrok w tym kierunku, zobaczył coś, co sprawiło, że na kilka sekund jego serce zamarło. Ściany kanionu sięgały tutaj kilka metrów w górę i kończyły się zaledwie kilkaset metrów dalej, a w prześwicie, jaki widniał między nimi, w oddali majaczyło coś innego koloru niż wszystko wokoło. Było zielone. Nie zważając na to czy Indianin i wszystko, co się dzieje jest prawdziwe, czy stanowi tylko okrutny żart jego gasnącego umysłu, Phil rzucił się do biegu. W jego serce wstąpiła nowa nadzieja a po policzkach znów popłynęły łzy. Biegł. Musiało się udać…

Minęło już pół roku, od kiedy mieszkańcy Barkstone znaleźli Phila nieprzytomnego na skraju kanionu Sandfalls. Rekonwalescencja przebiegała pomyślnie i szybko odzyskał pełną sprawność fizyczną. Dużo gorzej było z jego psychiką. Z jakiegoś powodu nie potrafił sobie przypomnieć nic, co stało się, od kiedy otworzył oczy w wiosce. Tubylcy opowiadali, że miejsce, z którego przyszedł cieszy się złą sławą. Starsi ludzie snuli historie o ludziach, którzy wyruszali w celu zbadania tych terenów i nigdy nie wracali. Phil jednak nie przejmował się tą czczą gadaniną. Wiedział, że klucz do jego utraconej przeszłości znajduje się w kanionie. Wiedział, że musi tam wrócić...

KONIEC

© 2010 KuroiInuShinu

DREAM

- Miałem sen - krzyczał mężczyzna donośnym zachrypniętym głosem - śnił mi się świat bez maszyn i bez mutantów. Świat bez chorób i bez głodu. Świat, w którym można spokojnie przemierzyć kontynent, świat, w którym nie trzeba nosić broni, świat, w którym nie trzeba się kryć, nie trzeba kraść i nie trzeba zabijać.

- Tiaa... - mruknął Doodi, pociągając solidnie z żelaznej manierki. Skrzywił się i mruknął zadowolony - Tornado musi tu być niezłe.

Krzyczący stał na dużej klatce pełnej kurczaków, pośrodku niewielkiego targu.

- Miałem sen - kontynuował - i śnił mi się świat, który jest możliwy i który możemy, my wszyscy, razem, zbudować!

Dookoła tłoczyło się mnóstwo ludzi, sprzedających, kupujących, kradnących, okradanych, krzyczących i rozpychających się. Grupka dzieci ganiała się w myśl jakiejś nadzwyczaj istotnej gry. Na krzyczącego absolutnie nikt nie zwracał uwagi. Ten jednak, świadom niezwykłego znaczenia swej misji i przesłania swojego snu, niezrażony ignorancją mas, nie przestawał usilnie nawracać mieszkańców Barlowns ze ścieżki obojętności.

- Musimy powstać! Musimy zerwać opaski z oczu i zjednoczyć się, razem zrzucić okowy i pokazać Molochowi i jego przeklętym maszynom...

- Stul tam mordę, powaleńcu - zawołał w końcu ktoś, najwyraźniej niezainteresowany zrzucaniem okowów i zrywaniem opasek - bo mi już łeb napierdala od tych twoich pierdów.

Swą prośbę zaakcentował podgniłym owocem, trafiając krzyczącego wprost między oczy. Paskudna breja pociekła mu po twarzy, przy akompaniamencie śmiechów i pojedynczych oklasków. Pierwszy rzut został potraktowany przez dzieci i młodzież jako swoista zachęta i przyzwolenie. Już po chwili mężczyzna o donośnym, zachrypniętym głosie, który jeszcze niedawno miał sen o wspaniałym świecie, uciekał, potykając się i ociekając nieświeżymi owocami i innym paskudztwem.

- Tiaa... - mruknął Doodi, znów pociągając z manierki i podając ją Olafowi.

- Aha - odparł tamten, patrząc obojętnie za uciekającym mężczyzną - tacy jak my nie mają tu powodzenia.

- Na to wygląda. Nie zakrztuś się.

- Psia mać, z czego ty to pędzisz, z własnych szczochów?

- Naturalnie. Lepszych nie znajdziesz. Twoje zdrowie.

Olaf skłonił głowę, w przesadnie teatralnym geście wdzięczności i pociągnął kolejny łyk, tym razem dużo ostrożniej.

- To gdzie zaczynamy?

- Jak zwykle, mój drogi, jak zwykle tam, gdzie znaleźć można świrów bez przyszłości i bez przeszłości.

Tłoczno, gwarno, głośno i duszno. Tak jest, pomyślał Doodi, miejscowa speluna. Nie różniła się absolutnie niczym od wszystkich miejscowych spelun które już zwiedzili. I jak zwykle, oczywiście ich wejście od razu wzbudziło uwagę. Miejscowi bezbłędnie rozpoznawali przybyszów.

- Strasznie mnie to ciekawi - mówił kiedyś Olaf - jesteśmy tak samo jak oni brudni, śmierdzący, tak samo pijemy, tak samo nosimy gnaty, tak samo łazimy w podartych szmatach. Na dobrą sprawę wyglądamy identycznie jak oni. To jakim kurwa sposobem oni zawsze wiedzą, że nie jesteśmy od nich?

- Wychowywałeś się w mieście, czyż nie eleganciku - odparł mu wtedy Doodi - nigdy tego nie zrozumiesz.

Tłoczno, gwarno, głośno i duszno. I dziesiątki nieprzyjaznych spojrzeń. Powoli podeszli do baru, oparli się i wyciągnęli papierosy. Jak zwykle tłum zgęstniał, przycichł nieco i wlepił w nich wzrok.

- Jak zwykle - mruknął Doodi.

- Nie podoba mi się to miasto - odparł szeptem Olaf - może odpuścimy?

- Daj spokój - Doodi zaśmiał się - pójdzie gładko. Jak zwykle.

Olaf zrobił krzywą minę i zaciągnął się papierosem. Doodi mrugnął do niego zachęcająco zdrowym okiem, po czym sam, widząc, że zainteresowanie, jakie wzbudzają jest już zadowalająco wysokie, zrobił trzy kroki wprzód i zaczął podniesionym głosem, tak, by wszyscy go usłyszeli:

- Rusza ofensywa przeciwko Molochowi. Rick Watson przegrupowuje oddziały w Glasmore. Szukamy ochotników...

- Jak zwykle, co?
- Daj spokój, Oli, miałem to przewidzieć?
- Nie mam przecież do ciebie pretensji. Auć. Bolą mnie nadgarstki.
- Nie masz? To po kiego tak warczysz?
- Przecież muszę pomarudzić nie? Zresztą nie odzywaj się przez chwilę do mnie.
- No problemo. Oli?
- No?
- Masz pomidora na twarzy.
- I co mam z tym niby zrobić.
- Nie wiem. Chiałem jedynie cię poinformować.
- Dzięki. Ty też.
- Co też.
- Też masz pomidora. Chociaż nie, czekaj, to nie pomidor...
- Oli?
- Co znowu, Doodi?
- Czemu nas zakuli?
- Widać nie przepadają tu za wojskowymi.
- Widać nie... Co myślisz, kiedy nas wypuszczą?
- Nie wiem, Doodi. Mam nadzieję, że wypuszczą.

Odkąd zjawił się Watson, wszytko się zmieniło. Wcześniej Doodie miał dość. Nienawidził maszyn, nienawidził Molocha, walczył, dawał z siebie wszystko. Stracił oko i prawą nogę. Kończynę zastąpił protezą, twarz zaś zdobiła mu od tego czasu czarna, piracka przepaska. Walczył, ale miał już dosyć. Bo stracił również wiarę. I wtedy trafił do Oftstow. Niewielka mieścina, w której posterunek miał swoją siedzibę. Kiedy tylko stało się jasne, że Moloch wziął ją na celownik, wojskowi zebrali manatki, wielkomyślnie ogłosili ewakuacje i zwinęli dupę w troki. Oczywiście kilku mieszkańców postanowiło zostać. To nasz dom, to wszystko co mamy, będziemy walczyć, umrzemy za ziemię. Pierdoły. Ale Doodie został z nimi. Nie żeby walczyć. Żeby umrzeć, żeby w końcu to zakończyć. Bo inaczej nie potrafił wycofać się z tej wojny. Ale jego plan się nie powiódł. Bo właśnie wtedy zjawił się Rick Watson. Zjawił się nad ranem, po pierwszej potyczce. Przyszedł znikąd, po prostu wszedł sobie do miasta, jakby chciał się przespacerować. I Rick Watson zebrał tych, którzy zostali, zagonił do pracy. Rick Watson zabrał się za obronę Oftstow. I obronił je.
Tak się zaczęło. Tak coraz więcej ludzi oddało się pod rozkazy Watsona, gotowi za niego walczyć i za niego umierać. Bo on, jako jedyny, wiedział, jak walczyć z Molochem. Potem Watson osiadł w Glasmore i stamtąd organizował rajdy, kąsając maszynę gdzie tylko się dało. Samo miasto zaś stało się jednym wielkim placem boju, maszyny atakowały niemal co noc. Nie chodziło już o miejsce. Moloch nie był głupi - chciał go dorwać, chciał dorwać tego jednego, jedynego kolesia, który tak właził mu za kark. Chciał, ale nie mógł.
Wojna trwała, a Doodie i Olaf, tak jak wielu innych, jeździli po tym, co kiedyś było Zjednoczonymi Stanami, odwiedzali małe miasteczka i wioski i rekrutowali, rekrutowali chętnych do wojny, do walki z maszynami. Do walki pod dowództwem kogoś, kto tę wojnę może wygrać. Wszędzie szło gładko. Wchodzili do knajpy, najgorszej speluny w mieście, a nad ranem wyprawiali w trasę kilku co większych rębajłów i co mniejszych gówniarzy-idealistów. Wszędzie szło gładko, aż do dziś.

Pełnia. Pełnia była tej samej nocy, której wyjeżdżali z Glasmore. Minął już miesiąc. Po miesiącu utknęli skuci, przy pręgierzu w centrum jakiejś zapadłej wioski. Zamiast walczyć.

- Słodko - mruknął Olaf do swoich myśli. Zastanawiał się, czy ktoś przyjedzie ich odbić.

- Myślisz, że ktoś przyjedzie nas odbić? - rzucił Doodi.
- Nawet jeśli, to kiedy?
Obaj milczeli. Woleli o tym nie myśleć, bo rzecz jasna, minie przynajmniej tydzień, zanim ktokolwiek w punkcie zbornym może zwrócić uwagę na ich nieobecność. Przy optymistycznych założeniach. No ale kto w dzisiejszych czasach był optymistą?
Noc była spokojna i cicha, powietrzem oddychało się tu nad wyraz przyjemnie. To nie były ciężkie opary, gazy bojowe, smród palonych włosów i skóry, gryzący dym, pył... To była naprawdę spokojna okolica. Wojna tu nie dotarła. Ile czasu zajmie Molochowi, by przesunąć się aż tutaj? Kiedy ci ludzie otworzą oczy, zrozumieją, że muszą z nim walczyć?
Ktoś się zbliżał. Ciche, delikatne kroki, ostrożne, niewprawnie próbujące się skradać. Z cienia wyszła dziewczyna. Niewysoka, drobna, bardzo młoda. Doodi nie dawał jej więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Prawdopodobnie mniej. Miała na siebie narzuconą obszerną, skórzaną kurtkę, wyraźnie należącą do kogoś o wiele większego od niej, spod niej zaś wystawała lekka, zwiewna sukienka. Kiedy podeszła do nich, zobaczyli, że twarz pokrywa bardzo silny makijaż, zdecydowanie zbyt krzykliwy, mający wywrzeć na patrzącym wrażenie, że jest starsza, niż w rzeczywistości. Mocno podkreślone oczy, usta pokryte zbyt ciemną czerwienią. Włosy miała upięte na czubku głowy.
Uśmiechała się przyjaźnie.
- Hej, chłopaki.
- Buenos dias, ślicznotko. Czyżbyśmy dostali prawo ostatniego życzenia? - Doodi wyszczerzył zęby, przekonany o swoim czarującym wyglądzie. Nie wziął poprawki na zasychającą powoli breję spowijającą jego twarz, włosy i w zasadzie całą resztę.
- Jeszcze nie - odparła dziewczyna - mam dla was ofertę. Mam tu klucz, który zwinęłam szeryfowi. Wyciągam was z kajdan, kradniemy samochód, a wy zabieracie mnie do Glasmore.
- Jak zdobyłaś klucz? - zapytał Olaf
- Po co chcesz z nami jechać? - zdziwił się Doodi
- Panowie - przewróciła oczami - To skąd mam ten klucz naprawdę nie jest tematem do dyskusji. Grunt że go mam, a szeryf w tej chwili słodko sobie drzemie. Ale jeśli nie chcecie, to pójdę i odłożę go, póki jeszcze śpi. Także grzecznie proszę o szybką, męską decyzję.
- Dobra, dobra, pewnie, że się zgadzamy.
Zadowolona szybko i zręcznie wyswobodziła ich.
- Wyszczekana gówniara - mruknął Olaf, rozmasowując nadgarstki
- Wiesz, jak mówią - odparł półgębkiem Doodi, ocierając twarz przedramieniem - darowanemu koniowi...

Miasteczko w środku nocy było jak martwe. Bez problemu przeszli główną ulicą, pewnie i szybko przemieszczając się w świetle księżyca. Nie było trudno. W przeciągu kilku minut byli na obrzeżach. Stał tam, zapomniany przez boga i właścicieli, podrdzewiały, poobijany van. Dziewczyna wskoczyła za kierownicę i zaczęła grzebać coś w okolicach stacyjki
- Wszystko sprytnie obmyśliłaś, co mała?
- Nie marudź kowboju, tylko siadaj, podjedziemy do mojego przyjaciela po trochę paliwa.
Nie jechali długo, ale silnik samochodu ryczał tak przeraźliwie głośno, że obaj mężczyźni w każdej chwili spodziewali się, że zaraz drogę zastawią im zaalarmowani hałasem mieszkańcy miasteczka. Nic się takiego jednak nie stało - bezpiecznie dotarli do małej, ciemnej farmy. Dziewczyna zgasiła silnik i trzy razy cicho trąbnęła.
Z budynku wyszedł mężczyzna o fizjonomii niedźwiedzia. W ręku trzymał strzelbę i próbował wzrokiem przebić ciemność, by zobaczyć, kto siedzi w samochodzie.
- Sisi, to ty?
- To ja - krzyknęła dziewczyna - możemy wejść?
Przywołał ich gestem olbrzymiej ręki. Sisi kiwnęła do obu mężczyzn by poszli za nią i cała trójka ruszyła w kierunku budynku. Olbrzym patrzył na Doodiego i Olafa niezbyt przyjaznym wzrokiem, ale kiedy spojrzał na dziewczynę, twarz rozjaśnił mu ciepły uśmiech.
- Siemasz wielkoludzie.

- Cześć, dziecinko, wchodźcie do środka.
Posadził ich przy stole i poczęstował każdego sporym kubkiem gorącej, czarnej kawy. Doodi mruknął zadowolony, gdy upił łyk - nie pamiętał, kiedy ostatnio trafił mu się tak smaczny napitek. Przez chwilę wszyscy milczeli.
- No to zabieracie mnie ze sobą do Glasmore, tak? - zapytała w końcu dziewczyna
- Słowo się rzekło... - mruknął Doodi.
- Nie wiedziałem, że mamy jeszcze wybór.
Gospodarz zaśmiał się niskim, donośnym głosem.
- Po to tu przyjechaliście, nie? - zauważyła Sisi - szukacie ochotników. Ja jestem ochotnikiem. Pytanie czy naprawdę jedziecie do Glasmore? Czy nie jesteście zwykłymi oszustami.
- Za to nas skuli? - zapytał ze zrozumieniem Olaf - uznali nas za oszustów?
- Jakby nie mogli zapytać... - westchnął Doodi.
- Mniej więcej za to - odparł olbrzymi mężczyzna. Jego głos też przywodził na myśl ryk niedźwiedzia, czy innej większej bestii - osiem miesięcy temu przyjechała tu duża grupa. Wojownicy, żołnierze, na takich własnie wyglądali. Jeden stanął na rynku i zaczął przemówienie. Mówił mniej więcej to samo, co wy dzisiaj, tylko że dużo, dużo lepiej. Porwał tłum, wszyscy chcieli łapać za widły i piechotą biec za Molochem. Następnego dnia rano cała banda wyjechała, a wraz z nimi mnóstwo młodych z naszej wioski. Prawie wszyscy lepsi wojownicy. Pośród nich syn burmistrza.
- Poszli walczyć z maszyną i odwalili kitę, tak? Nic nowego, nie powód żeby mścić się na nas - warknął Doodi z wyrzutem - zresztą teraz jest inaczej, teraz mamy Ricka Watsona...
- Nie przerywaj, synu. Nigdy nie dotarli na front. Kilka tygodni później dowiedzieliśmy się, że nasi goście nie byli żołnierzami. Byli handlarzami niewolników.
Na moment zapadła cisza. W powietrzu unosił się pobudzający aromat kawy.
- Rozumiem - mruknął Olaf - a myśmy przypomnieli wam dzisiaj...
- Właśnie - rzuciła Sisi - więc pytanie brzmi - czy naprawdę jedziecie do Glasmore?
Olaf przełknął ślinę:
- Cóż, nie bezpośrednio, rekrutów zwozimy do punktu zbornego, kilkadziesiąt mil stąd. Tam przechodzą szkolenie i dopiero potem jadą na front. Ale tak, naprawdę szukamy chętnych do walki. Tyle że, koniec końców, nie widze powodów, żebyście mieli mi wierzyć.
- Fakt - odparł gospodarz - ale wyglądacie na porządnych ludzi. Jest was tylko dwóch. I nikt nie przyszedł ratować wam tyłków. A mała uparła się na tego waszego Watsona. Więc chyba musimy zaryzykować. Sisi, chodź ze mną, dam wam trochę benzynki. Musimy porozmawiać, zanim mnie zostawisz.
Wyszli, zostawiając gości w ciasnej kuchni, oświetlonej blaskiem księżyca i płomieniem z małej, bujającej się pod sufitem lampy naftowej.
- Co sądzisz? Zabieramy ją?
- Mamy przynajmniej transport - Doodie wzruszył ramionami - zresztą zbieramy rekrutów, a ona najwyraźniej chce zostać takim. To niech se zostaje...
- W sumie... Ale to gówniara.
- Ja miałem mniej lat, niż ona, jak zamieszkałem na Posterunku. A znam takich, co spędzili na froncie całe swoje życie. I nie zawsze było takie krótkie. Zabierzemy ją do zbornego i niech tamci się martwią, gdzie ją wcisną.
- Spodobała ci się, co?
- Daj spokój, mógłbym być jej ojcem.
- Ale nie jesteś, nie? Dobra dobra, nic już nie mówię.
Co nie przeszkodziło Olafowi rechotać cicho pod nosem, za co Doodi nie omieszkał zdzielić go w tył głowy kantem dłoni.

Dziewczyna ze swym olbrzymim przyjacielem wrócili po niedługim czasie i cała czwórka ruszyła w stronę samochodu. Niedźwiedź wciąż udzielał jej ojcowskich rad, namawiał, by została i zapewniał, że zawsze ma dokąd wracać. Zanim wsiadła do wozu, przytuliła go mocno, a on pocałował ją w czubek głowy i potarmosił włosy.

- Trzymaj się, wielkoludzie - rzuciła, zatrzaskując drzwi.

- A ty nie daj się zabić - odparł tamten cicho.

Od obozu dzielił ich mniej więcej dzień drogi, spodziewali się więc dojechać przed zmrokiem, oczywiście jeśli nie wpadną w jakieś niespodziewane tarapaty. Ale okolica była raczej spokojna, podniszczony van zaś z pewnością nie stanowił obiektu na zachęcający łup dla tych kilku małych okolicznych gangów. Jechali raczej milcząc, głównie dlatego, że samochód wył, jakby go przypalali żywym ogniem, na jakąkolwiek konwersacje nie pozostawiając wielkich możliwości. Mimo to Doodi zdołał zamienić kilka słów z nową towarzyszką podróży.

- To powiedz mi, ślicznotko, czemuś się tak napaliła na Watsona?

Uśmiechnęła się, jak do jakiegoś wspomnienia, bawiąc się zamkiem swojej kurtki. Przez chwilę nic nie mówiła, choć mężczyzna był pewny, że słyszała pytanie.

- Jakiś czas temu - zaczęła, a mówiła niezbyt głośno i Doodi musiał się wysilać, by słyszeć jej słowa - w okolicy Barlowns zatrzymała się grupka motocyklistów. Niby gang, ale w sumie same szczeniaki, młodziki. Przyjechali z południa...

- Poszłaś zarabiać? - domyślił się Olaf.

- Dla mnie i dziewczyn zawsze łatwo było znaleźć... robotę przy takich grupkach. Czasem bili, czasem było przykro. Ale tym razem to byli sami młodzi chłopcy, w dodatku nieśli sporo dobra. A na nas patrzyli tak, że... - zarumieniła się lekko i uśmiechnęła pod nosem - No i był jeden. Wysoki i silny, strasznie przystojny. Bardzo miły. I taki delikatny...

- Szczegółów nam, proszę, oszczędź... - jęknął Doodi.

- No coś ty, ja chętnie posłucham

Dziewczyna spojrzała na nich wilkiem po czym wróciła do swojej opowieści:

- Dużo mówił. I pięknie mówił. Powiedział, że jadą walczyć z Molochem, że z całego kraju zbierają się grupki, mniejsze i większe, które ciągną pod Glasmore, bo w końcu pojawił się przywódca, który może dokopać maszynom. Opowiedział o Ricku Watsonie, o tym, jaki on jest wspaniały, o tym, jak obronił Oftstow... Dużo mówił. Mówił bardzo przekonująco. Znacie Ricka Watsona? Tak osobiście?

- Ja go widziałem tylko kilka razy w Glasmore, ale Doodi był w Oftstow.

- Tak - dziewczyna spojrzała na Doodiego, a ten dostrzegł w jej oczach zdecydowany wzrost zainteresowania - I co, rzeczywiście jest taki jak mówią?

- A co mówią?

- Mówią, że jest wielki jak dąb i silny jak czołg. Że jak krzyknie, to przewacają się ściany. Mówią, że nie używa broni, bo łapie maszyny gołymi rękoma i rozrywa na strzępy. To prawda?

- Nie musi łapać maszyn - odparł Doodi, śmiejąc się - ostatnimi czasy zwiewają, jak tylko pojawi się w okolicy.

Dziewczyna uśmiechnęła się rozmarzona i wlepiła niewidzący wzrok w horyzont. Po chwili podjęła swoją opowieść:

- Tak mi mówił, a ja zapragnęłam pojechać z nimi, zapragnęłam walczyć z maszynami. Tak pięknie o tym opowiadał. Powiedziałam mu to, a on zaśmiał się i zgodził, a potem.... No, w każdym razie kiedy się zbudziłam już go nie było. Zwinęli obóz nad ranem i pojechali. Zostawił mi tylko tę kurtkę. A wczoraj przyjechaliście wy, zobaczyłam was w barze. No i tyle. Jedziemy. Załatwimy Molocha.

- Tak, mała - mruknął Doodi, tym razem to on spoglądał niewidzącym wzrokiem w horyzont - załatwimy skurwiela...

Słońce zachodziło. Od razu widać było, że coś jest nie tak. Coś było cholernie nie tak. Większość namiotów opustoszała, były poprzewracane, wokół walało się pełno sprzętu. Gdzieś przebiegali ludzie, gdzieś indziej leżeli, pijani albo odurzeni tornado czy innym smakołykiem. Rekrutów nie było widać.

- Zaatakowali ich? - zdziwiła się Sisi.

- Nie - odparł Olaf - sami się zwijają. Czy raczej część się zwinęła, część się zwija, a część nie wie, co z sobą zrobić.

- Coś tu jest nie teges - mruknął Doodie - bardzo mi się to nie podoba.

Wjechali powoli pomiędzy cały ten chaos i wyskoczyli z wozu.

- Tędy - rzucił Olaf.

Poszli tam gdzie pokazał, w kierunku większego i mniej dziurawego namiotu, tam gdzie, przynajmniej wcześniej, stacjonowało dowództwo. W środku było dwóch mężczyzn. Jeden siedział przy stole z dużą, brudną butelką czegoś przezroczystego, z której pociągał z ponurą miną. Drugi biegał, pakując do swojego plecaka mapy, amunicję, racje żywnościowe i temu podobne, przydatne drobiazgi.

- Norton, kurwa, co tu się wyrabia?

- Typowo żołnierski porządek, czyż nie? Młodzi na szczęście zwiali szybko, obyło się bez większych awantur, wzięli tylko co mieli pod ręką. Część wraca, część - tu spojrzał przelotnie na siedzącego przy stole kolegę, który właśnie zakrztusił się swoim napojem - część się znieczula. Ja spadam. Mam dość.

- Jak kurna dość? O co chodzi? Trzeba walczyć!

- Przegraliśmy, synku. Podaj mi proszę tamtą skrzynkę. Przegrywaliśmy, przegrywamy, będziemy przegrywać. Tak było zawsze i tak będzie. Nie ma na co liczyć. Ja się zwijam i wam radzę to samo.

- O co ci chodzi - krzyknęła dziewczyna, a tamten spojrzał na nią zdziwiony. Potem popatrzył na Olafa i Doodiego, jakby chciał zapytać, kogo u licha przywieźli, ale pokręcił tylko głową i sam sięgnął po swoją skrzyneczkę. Sisi jednak nie dała się spławić - O co chodzi, Glasmore upadło?

- Nie wiem. Ale to kwestia dni. Może godzin.

- Nie wierzę! - ryknął Doodi - nie wierzę, że Glasmore upadnie, nie, dopóki jest tam Rick Watson!

Norton popatrzył na nich z mieszaniną litości, rozbawienia i zrozumienia. Mina szaleńca, pomyślał przelotnie Olaf.

- O niczym jeszcze nie wiecie, prawda?

- O czym nie wiemy? Ja pierdole, wyrażaj się jasno, mów, w czym rzecz!

- Rick Watson - powiedział Norton, a dookoła wszystko nagle jakby ucichło, uspokoiło się - Rick Watson nie żyje.

Z wczorajszej pełni nie było śladu, za wyjątkiem delikatnej poświaty przebijającej się usilnie przez grubą zasłonę chmur. Ciemne obłoki pokrywały całe niebo. Jak na froncie, myślał Doodi, jak na froncie, kiedyś, dawno temu. Kiedy wszystko było takie proste.

Siedział na dużym płaskim kamieniu, przy starej szosie. Przed sobą miał rozwidlenie dróg. Północ i południe. Widział porozrywany, poszarpany i zżarty przez rdzę wrak i czarne ślady opon. Przez popękany asfalt wyrastały małe kępki żółtej trawy. Brzydki, umierający powoli świat. Za sobą usłyszał kroki.

- W porządku? - Olaf po części zapytał, po części stwierdził

- Nie bardzo.

- Przynajmniej nie strzeliłeś sobie w łeb - rzuciła radośnie Sisi - to dobrze. Musisz oszczędzać kule na maszyny.

Jesteś taka młoda - pomyślał Doodi - ty naprawdę nic nie rozumiesz. Pieprzony dziecięcy romantyzm.

- Masz jeszcze te twoje szczyny? - zapytał Olaf

- Niestety, zabrali mi flaszkę w Barlowns.

Spojrzeli na Sisi z lekkim wyrzutem, ta zaś wyszczerzyła pożółkłe zęby i wzruszyła lekko ramionami.

- Pewnie nie za wielka to strata. Za to zwinęłam to z jednego namiotu.

- Whisky - ucieszył się Olaf - no to odkorkuj, ślicznotko, wychylimy kielicha za Watsona.

Oczywiście nie mieli pod ręką kielichów, każdy po kolei pociągnął więc duży łyk prosto z gwinta. Przez chwilę milczeli, delektując się ciepłem rozchodzącym się po ciele i wsłuchując w brzęczenie komarów. Wszyscy troje patrzyli na północ, choć nic tam nie było widać. Patrzyli w kierunku Glasmore. W końcu ciszę przerwał Doodi.

- Miałem sen - powiedział - taki piękny sen o świecie, w którym walczymy z robotami. W którym, na dobrą sprawę, nie jest ważne nawet to, czy je pokonamy, ważne jest to, że mamy kogoś, kto nas pokieruje. Kogoś, kto daje nam nadzieję. Miałem taki piękny sen... a teraz...
Olaf tylko uśmiechnął się i przyłożył butelkę do ust.

- Goniec, który doniósł o śmierci Watsona - powiedziała niespodziewanie Sisi - mówił, że gdy wyjeżdżał, maszyny się gromadziły. Sama słyszałam. Dużo maszyn, żeby ostatecznie rozwalić Glasmore. Bo pewnie nie spodziewały się już oporu. Mówił, że miasto nie miało nastroju, by się poddać. Tam ludzie wciąż mogą walczyć.

- Zatem, waleczny koleżko, masz prosty wybór. Możesz dalej śnić swoje piękn sny, z których nic nie przychodzi - Olaf wyciągnął w stronę Doodiego whisky - albo zbudzić się i samemu narobić trochę bałaganu.
Doodi spojrzał na niego, przyłożył usta do szyjki butelki i przechylił ją w górę. Następnie wstał. Przed nim, pomiędzy wielkim płaskim kamieniem i podrdzewiałym wrakiem była popękana szosa. Na szosie zaś drogi rozchodziły się. Jedna z nich prowadziła na północ.

KONIEC

© 2010 Exul

NADZIEJA

Mark wpadł zdyszany do dużego, zakurzonego pomieszczenia. Wszyscy obecni obrócili się w jego kierunku i nerwowo wyczekiwali na wieści z patrolu. Jednak nim to się stało upłynęło kilka chwil, gdyż zwiadowca zgiął się w pół i dużymi haustami łapał względnie czyste powietrze. Wiedzieli, że trzeba dać mu czas. Powietrze na zewnątrz od miesiąca było skażone do tego stopnia, że patrolujący musieli być zaopatrzeni w maskę tlenową i butlę z powietrzem do oddychania. Podczas spokojnego spaceru zdawało to egzamin znakomicie, jednak przy zwiększonym wysiłku, jak np. podczas biegu, nie wystarczało. Organizm potrzebował więcej tlenu, niż ten dość prymitywny układ oddychania, mógł dostarczyć go do płuc. Po dwóch minutach Mark uspokoił oddech, wyprostował się i spojrzał na twarze swych towarzyszy, obserwując w ich oczach mieszaninę smutku ze strachem. Ich przeczucia okazały się słuszne. Moloch z każdym dniem rozszerzał swą ekspansję, przeczesując również małe zapomniane miejsca jak to, na środku niczego. Trujące powietrze już od jakiegoś czasu zwiastowało najgorsze. Wiadomo, że nie brało się ono znikąd. Specjalne jednostki latające rozpylały na przestrzeni wielu tysięcy mil to zabójcze paskudztwo. Wszystko po to by wyniszczyć dominujące organizmy żywe. By zwyciężyć najważniejszy gatunek na tej cholernej planecie. By unicestwić ludzkość.

***

Było ich razem pięcioro. Mark przed wojną był bankierem. Dobrze mu się wiodło, miał modny dom z basenem w bogatej dzielnicy Nowego Yorku, wspaniałą żonę i dwoje cudownych dzieci. Mimo stresującej pracy, kochał swoje życie. O tak, był naprawdę szczęśliwy. Teraz został sam. Przeżył, choć nie pamiętał dlaczego i nie wiedział po co. Teraz jako najstarszy i najodważniejszy przewodził grupie w codziennej walce o przetrwanie.
Steve był typowym chłopakiem ze stacji benzynowej. Miał mnóstwo znajomych i potrafił wszystko załatwić. Jego słabością była Jenna, nie potrafił jej niczego odmówić. Pracowała za barem przy tej samej stacji więc widywali się często także za dnia. Gdy tylko media zaczęły trąbić o wojnie, Steve ukradł klientowi Land Rovera za pięć baniek, spakował kilka rzeczy i pognali razem na prowincję do jego wuja, byle dalej od miast. Jake był trzydziestoletnim informatykiem, pracującym dla dużej korporacji. Z racji tego najbardziej orientował się co tak naprawdę się dzieje. Choć teraz już to nie miało większego znaczenia. Gdy pracował dla ruchu oporu, przeprogramowując wrogie roboty, wierzył, że jest nadzieja. Ale wróg zaskoczył tym razem bronią chemiczną. Z zabójczym powietrzem nie można było walczyć. Jego organizacja szybko padła, dobita przez maszyny Molocha, przetrwali tylko Ci, którzy uciekli w porę. Ostatnią osobą jaka dołączyła do ich schronu była Mia, dość młoda i atrakcyjna Chinka, pracująca w New Jersey jako prostytutka. Od najmłodszych lat musiała radzić sobie sama. Jej życie zawsze było trudne, co spowodowało, że była twarda wewnętrznie. Współpracowała z grupą bez zbędnych komentarzy i narzekań. Wiedziała co należy robić by przetrwać.
Tego wieczoru cała piątka siedziała w milczeniu przy palenisku, jedząc swój ostatni posiłek tutaj. Zapadła nieodwołalna decyzja by rankiem wyruszyć dalej na południe. Jak poinformował ich Mark, inna grupa oddalona o dwadzieścia mil na północ przestała odpowiadać na wezwania przez walkie-talkie. Nie było powodu by sprawdzać dlaczego.

***

Terenowe auto szybko wywiozło ich ze strefy skażonego powietrza. Mieli dość solidne zapasy jedzenia i picia, ale należało rozejrzeć się za jakimś bezpiecznym miejscem. W dodatku nie można było ufać nikomu. Każdy obcy mógł okazać się maruderem czyhającym na łatwą zdobycz. Często wykorzystywano dzieci, jako przynętę dla naiwnych podróżnych. Gdy potem puszczano takich wolno, pozbawionych dobytku, mogli oni mówić o dużym szczęściu. Auto prowadził Steve, jedną ręką trzymając za dłoń Jennę. Pozostała trójka siedziała z tyłu. Spał tylko Mark, który jeszcze

odsypiał trudy ostatniego patrolu. Droga była spokojna. Czasami widywali małe grupki ludzi, nie interesujące się jednak nimi wcale. Prawdopodobnie były to głównie rodziny farmerskie zamieszkujące te tereny od lat. Przywiązani do swojej ziemi nie potrafili jej opuścić, zresztą i tak nie mieliby się dokąd udać - z miast już dawno uciekano, a już na pewno nikt się tam nie pchał.
Wielogodzinna jazda zrobiła się monotonna więc Steve postanowił włączyć muzykę. Wóz musiał należeć do jakiegoś fana metalu bo schowek naszpikowany był kompaktami cięższej muzyki. Co prawda Steve się na tym nie znał ale wymowne okładki zdawały się mówić wszystko o zawartości. Włączył jedną na chybił trafił z namalowanym grzybem atomowym i mile się rozczarował. Z głośników popłynęła szybka lecz bardzo przyjemna melodia. Zasłuchał się w niej, dając się wciągnąć w opowieść wokalną prowadzoną przez charyzmatycznego wokalistę. Jazda stała się całkiem przyjemna.

***

Nagle wnętrze auta opanował przez chwilę błysk, następnie pojawiły się kłęby dymu. Mark ocknął się ze snu i stwierdził, że auto stoi przechylone pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. Jake i Mia właśnie wyskakiwali z wnętrza jak oparzeni wprost na jezdnię w stronę spadku auta. Mark sięgnął po pistolet i postanowił wysiąść z drugiej strony. Przednia szyba samochodu była popękana, wokół unosił się czarny dym, więc widoczność ze środka była znikoma. Zdążył tylko dostrzec krwawą miazgę za kierownicą i bezwładne ciało obok, gdy gryzący dym zaczął szczypać go w oczy powodując łzawienie. Dał susa szczupakiem wprost do rowu, padając plackiem na jego dnie. Po chwili znów mógł widzieć ale słyszał tylko strzały po drugiej stronie jezdni.
To musiała być zasadzka. Co za ironia losu, ludzie zabijają się wzajemnie ułatwiając zadanie Molochowi. Mark splunął pogardliwie, zauważając przy tym, że krwawi z ust. Niewiele go to w tej chwili obchodziło. Ścisnął mocniej rękojeść pistoletu i wyjrzał ostrożnie zza niewielkiego pagórka, za którym się znajdował. Napastnicy stali wprost na ulicy. Nie dbając o osłonę walili z broni krótkiej prosto w kierunku jego towarzyszy po drugiej stronie drogi. Czasami jakaś zbłąkana kula wbijała się z impetem w karoserię samochodu. To upewniło Marka, że maruderzy nie wiedzą o jego pozycji. Niewiele się zastanawiając wycelował w najmniejszego z nich i wpakował mu kulę w pierś. Tamten natychmiast padł na plecy i przestał się ruszać. Pozostali dwaj agresorzy zdawali się nie zauważać straty, gdyż nawet nie spojrzeli w jego kierunku. Kolejny strzał dosięgnął nogi drugiego napastnika, który usiadł na asfalcie i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy. Trzeci nagle zorientował się w sytuacji i zaczął uciekać. Mark postanowił oszczędzać amunicję i puścić chłopaka wolno. Jednak po chwili rozległ się jeszcze jeden strzał i tamten upadł na wznak. Mark wyszedł ostrożnie z ukrycia i ujrzał Mię z rewolwerem w dłoniach. Jej twarz jak zwykle pozostawała bez emocji. Ranny odrzucił swoją broń w jej kierunku i zaczął błagać o litość. O dziwo pozwoliła mu odejść. Mia podeszła do Marka i wtuliła twarz w jego ramię. Po raz pierwszy widział jej łzy.

***

Jak się potem okazało zostali tylko we dwoje. Pozostali zginęli w bezsensownej bratobójczej walce. Widocznie ludzie powoli tracili nadzieję na pokonanie Molocha skoro posuwali się do tak desperackich czynów. Czy była jeszcze jakaś nadzieja? Mark zadawał sobie to pytanie codziennie rano. Zawsze odpowiedz brzmiała „nie”, lecz tym razem gdy się przebudził miał u swego boku Mię. Spała spokojnie wtulona w jego pierś. Zatopił dłoń w jej włosy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin oboje się zmienili. Przestali być twardzielami. Wiedział, że to właśnie odróżnia ich od bezmyślnych i bezwzględnych maszyn. Mają serca zdolne wybaczać i kochać. Musi być jeszcze jakaś nadzieja.

KONIEC

© 2010 Kamilos

Apokalipsa inaczej

FAŁSZYWY PROROK

(Więcej opowiadań Michała Galczaka znajdziecie na Horror Online oraz ZombieZone.)

Na najdalszej gałęzi świata przysiadła wrona.

- Kra, kraa! - Zatrzeszczała zgrzytliwym głosem. - Niezła to była zadyma, kraaa! Ptaszysko przekrzywiło łeb i spojrzało na trupa rozciągniętego pod drzewem w rozpaczliwej pozie. On jeden dotarł tak daleko. Jako jedyny dotknął Ostatniego Drzewa. Pozostałe ciała leżały dalej. Rozrzucone byle jak, każde zastygłe w przeraźliwym cierpieniu konania.

- Kraaa, a mówiłam, że nie uda ci się uciec przed Jego gniewem! Kraaa! - Zatrzepotała rozłożystymi skrzydłami. - Nikomu się nie udaaaaa!

Jedyne i zarazem ostatnie drzewo na świecie zatrzęsło się, poruszone silnym podmuchem wiatru. Nieboszczyk poruszył się i przewrócił na bok. Spod kołnierza wypełzła gromada małych, szarych robaków. Zgodnym szykiem skierowały się w stronę ust martwego mężczyzny. Jeden za drugim posuwały się przed siebie robakowatymi ruchami, uparcie zmierzając w kierunku celu, znacząc swoją drogę galaretowatą mazią wydobywającą się z odwłoków. Po chwili pierwsze z nich dotarły na miejsce i zniknęły między rozchylonymi wargami trupa. Ptaszysko ponownie przekrzywiło łeb i zatrzepotało skrzydłami, łapiąc równowagę po kolejnym podmuchu wiatru.

- Kraa, kraa! - Wrona zaśmiewała się do rozpuku. - Oto ciało, oto komunia! Żryj człowieku, kraa! Żryj i żyj!

Ostatni robak schował się w ustach nieboszczyka, ześlizgując się po jego krzywych zębach i opadając na galaretowate podniebienie.

- Mówiłam, ale żaden z was nie chciał mnie słuchać, kraa!

Szare istotki zagłębiły się w mięśniach trupa i zaczęły wgryzać się w mięso poddane procesom rozkładu.

- "Co może wiedzieć jakieś głupie ptaszysko?" - Drwiła wrona. - "Czemu mielibyśmy jej posłuchać?" Terrraz już nikt z was nie przekona się, że warto było wtedy zwrócić uwagę na moje słowa!

W gardle mężczyzny zatlił się niewielki, zielony płomyczek. Blade światełko ruszyło ku górze i wystrzeliło spomiędzy ust nieboszczyka, sprawiając tym samym wrażenie szmaragdowego wydechu oddanego na mrozie.

- Kraa, kraa! A jednak! - Zaskrzeczał ptak

Ciało mężczyzny zakołysało się, lecz tym razem nie był to efekt podmuchu czerwonego wiatru. Prawa powieka uniosła się do góry i odsłoniła zmętniałe, żółte oko, którego fragment od razu wypłynął i spłynął po zmurszałym policzku. Zwęglona ziemia zatrzęsła się i poruszyła Jedynym Drzewem. Wrona sfrunęła na dół i usiadła na kamieniu, obok swojego milczącego rozmówcy. Druga powieka mężczyzny powędrowała do góry, obnażając równie żółtą gałkę oczną. Niebo obniżyło się, a stalowe chmury sypnęły nagle deszczem kłujących, siarczystych igieł. Kilka z nich spadło na głowę człowieka i natychmiast rozpuściło skórę i tak już na wpół dotkniętą rozkładem. Wrona zwinnie schowała się pod skalnym nawisem, siadając na osypującym się piachu.

- Kraa, kraa! - Wrzeszczała w uniesieniu.

Głowa trupa odchyliła się do tyłu i oparła na kamienistym podłożu. Krople żrącego deszczu spływały na usta mężczyzny i topiąc je, wędrowały dalej wprost do jego przełyku.

- Kraa! Oto i krew! Pij, kraa! Pij i żyj, głupcze! - Zaśmiało się ptaszysko.

Mężczyzna zamrugał powiekami i wciągnął w odrętwiałe płuca porcję trującego powietrza. Zaciągnął się nim mocno, po czym oddał wraz z kaszlem, który pozbawił go sporej części tkanki, spływającej po chropowatych kamieniach.

- Kraa, kraa, kraaaa! - Wrona zaniosła się śmiechem.

Nieustannie wiejący wiatr zabrał ze sobą głos ptaszyska i poniósł daleko, dalej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Zabrał go daleko poza ostatnią skarpę tego świata i upuścił w odmęty

nigdy niekończącej się przepaści.

Trup mężczyzny uniósł głowę, która zachybotała się na pozbawionych siły mięśniach szyi. Zasnute bielmem oczy bezskutecznie próbowały wypatrzyć cokolwiek z otoczenia, znaleźć jakikolwiek znajomy element krajobrazu. Widziały jedynie gęstą, białą mgłę i gdzieniegdzie ulotne strzępki w ciemniejszych barwach. Zadziwiająca pustka w głowie człowieka wręcz ryczała i gniotła się między zwojami półkul mózgowych. Mężczyzna wolno podniósł tułów i usiadł, szurając dłońmi po żwirze, w poszukiwaniu oparcia. Głowa zakołysała się, opadając na ramiona i na plecy. Zdławiony dźwięk, jaki wydobył się z jego ust w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Mężczyzna zdziwił się słysząc swój własny jęk. Bezwiednie wykrzywił twarz w grymasie zaskoczenia i dezorientacji. Dolna szczęka opadła na jego pierś i już tak została, niczym przysznurowana do klatki piersiowej niewidzialną liną. Z gardła mężczyzny wydostała się porcja zielonkawego powietrza, a za nią wysypała się gromada obślizgłych, białych robaków, które najwidoczniej zdążyły przejść metamorfozę i stać się być może w ich rozumieniu piękniejszymi i lepszymi. Spłynęły na kolana siedzącego, niczym potok żywych wymiocin.

- Kraa, kraaaa! - Zaśmiała się siedząca nieopodal wrona. - Wyrzygałeś swoją komunię, żałosny Łazarzu! Kraaaaa!

Mężczyzna niezdarnie odwrócił głowę w stronę drwiącego ptaszyska i jęknął donośnie.

Ponownie przez jego usta wylała się rzeka robactwa.

- Ostatnim jesteś, nieszczęśniku! On zadrwił sobie z ciebie, zostawiając cię przy życiu, kraaaa!

Ostatnia larwa wytoczyła się z gardła mężczyzny. Zielonkawe westchnienie ulgi wydęło jego policzki, a napięta skóra popękała w dziesiątkach miejsc. Ze świeżych ran pociekła gęsta, oleista ciecz, zabierając ze sobą fragmenty zwęglonego naskórka. Ból - odwieczny towarzysz każdego istnienia - przeniknął ciało mężczyzny, a ten szarpnął rękami, ciągnąc dłońmi po kamieniach. Na jednym z nich zostały dwa palce, utrącone ostrym kantem twardej skały. Mężczyzna zawył z bólu, ale postanowił podnieść się z ziemi. Coś pchało go do przodu, kazało ruszyć się z miejsca. Pochylił się do przodu i wsparł się na rękach. Niezgrabnymi ruchami spróbował podkurczyć nogi, lecz rozjeżdżały mu się bezwładnie na boki.

- Kraa, kraa, kraaa! - Chichotała wrona, trzepocząc ciemnymi skrzydłami. - Nigdy ci się to nie uda, kraaa!

Mężczyzna zamknął oczy i próbował dalej, wciąż jednak jego wysiłki spływały na niczym.

- Kraa! Pokraaaka! Pokraaakaaa! - Ptaszysko darło się w niebogłosy, zachwycone teatrem jednego widza, jaki rozgrywał się przed jego oczami.

Silny podmuch wiatru sypnął we wronę piaskiem i przegonił z powrotem na drzewo. W oddali rozległo się silne, głośne wycie. Niebo pochyliło się nad ziemią, chłonąc jego dźwięk. Potężny pogłos przemierzał pustkowia w ogromnym tempie, a do Ostatniego Drzewa dobiegał na razie jedynie jego zwiastun, nieśmiała zapowiedź, która swoją mocą zaczynała kruszyć najbardziej zwietrzałe kamienie.

- Kraa! Na długo cię jednak nie oszczędził, farciarzu! - Znów odezwała się wrona. - Zaraz dopierdoli ci potęgą swego głosu i twoja głowa rozpadnie się, jak budowla z piasku! Kraaa!

Mężczyzna bezmyślnie rozejrzał się dookoła, wciąż nie widząc niczego poza gęstą mgłą zmętniałych gałek ocznych.

- Mi nic nie będzie, kraa! - Dogadywało ptaszysko. - Ale ty nie zdzierżysz Jego głosu!

Pod ciężkim niebem ponownie rozległ się złowieszczy pomruk. Mężczyzna zacisnął dłoń na kamieniach, chwytając kilka z nich. Klęknął, czekając aż wrona odezwie się ponownie.

- Kraaa, kraaa!

Kamienie poszybowały, ciśnięte silnym wyrzutem w stronę, z której dobiegał głos ptaka. Kilka z nich ugodziło zwierzę w głowę i w masywny dziób. Z gałęzi dobiegło do uszu mężczyzny bolesne narzekanie wrony. Uśmiechnął się, zadowolony z celnego rzutu. Ptak poderwał się do lotu i zaczął kołować nad nieszczęśnikiem.

- Kraaaa, kraaa! Głupiś i tyle! - Zadrwiło ptaszysko. - Chcesz pozbawić życia jedyną istotę,

jaka poza tobą została na tej nieszczęsnej planecie? Kraaa! Głupiś!
Wrona opadła nagle w dół, celując w głowę mężczyzny. Wbiła się pazurami w jego twarz, dziobem wydłubując jedną z pożółkłych gałek ocznych i unosząc ją ze sobą na drzewo. Ofiara zawyła boleśnie, podnosząc dłonie do zranionego oczodołu.

Ptak przysiadł na gałęzi i przytrzymał zdobycz pazurem. Zakrwawione oko dyndało, huśtane podmuchami wiatru. Wrona co chwilę podskubywała sobie kawałek, za każdym razem podnosząc dziób do góry i delektując się cierpką, nadgniłą tkanką.
Mężczyzna ze zwierzęcym krzykiem przewrócił się na ziemię. Szaleńczymi ruchami chwytał kamienie i ciskał nimi we wszystkie strony.
- Uspokój się lepiej! - Zazgrzytała wrona. - Uspokój się, bo jeszcze pozbawię cię drugiego oka, kraaaa!
Mężczyzna podparł się na ramionach i dźwignął do góry, niepewnie stając na wykrzywionych i łamiących się nogach. Potężny pomruk przetoczył się przez okolicę niczym tajfun, tysiąckrotnie silniejszy od tych, które dotychczas pojawiały się na Ziemi. Ucieszona wrona podskakiwała na gałęzi, szalejąc z radości. Siła Jego głosu odmieniła kierunek wiatru i odegnała w stronę, z której przyleciał. Gałęzie drzewa poruszyły się, a stare włókna w jego pniu zatrzeszczały przeraźliwie. Ziemia zatrzęsła się, powalając mężczyznę na kolana. Kamienie podskakiwały i przetaczały się chaotycznie, nie obierając konkretnego kierunku. Ciężkie chmury przyśpieszyły, przetaczając się po niebie z niebywałą prędkością. Zafascynowane ptaszysko wielkimi oczami przyglądało się puchnącym skroniom leżącego mężczyzny. Jego skóra pokryła się bąblami, które pękały jak dojrzałe purchawki, rozsiewając dookoła drobniutkie kropelki krwi. Ocalałe oko nabrzmiało i wyszło z oczodołu, by po chwili eksplodować z głuchym trzaskiem. Kości i stawy mężczyzny zatrzeszczały, rozrywane od środka z niesamowitą siłą.
- Kraa, kraa, kraa! - Wrona darła się jak oszalała.

Nagle wszystko ucichło. Chmury zatrzymały się w miejscu i zawisły nieruchomo. Wszystko dookoła zamarło, niczym zatrzymany kadr filmu.
- Kraa? Co jest, do cholery? - Zawołało zaskoczone ptaszysko.
Z dołu spojrzała w jej stronę para pustych oczodołów. Pod nimi pojawił się uśmiech. Szeroki, tryumfujący. Rozciągnięte usta zaczęły pękać we wszystkich miejscach. Zachrypnięty śmiech wypluwał z gardła mężczyzny fragmenty pleśni. Człowiek podniósł się z ziemi i zachwiał. Niezgrabnym krokiem zaczął oddalać się od Drzewa. Co chwilę padał na kolana, podczołgiwał się na nich kawałek i znów wstawał. W końcu dopadł do najbliższego ciała. Pochylił się nad nim i uraczył jego usta porcją robactwa, wydobytą z własnych trzewi. Życiodajna komunia pobudziła zwłoki. Łańcuszek cudownego zmartwychwstania ruszył w dalszą drogę. Kolejni przywróceni wskrzeszali tych, którzy znajdowali się najbliżej nich. Po pewnym czasie kilka setek powstałych ludzi otaczało Ostatnie Drzewo i siedzącą na nim wronę. Ptaszysko z niedowierzaniem rozglądało się na boki, kręcąc przy tym łbem.
- Niemożliwe! Kraaa, to niemożliwe!
Z dołu złowieszczo uśmiechały się w jej kierunku poszarzałe oczodoły tego, który miał być ostatnim. Dumnie i z satysfakcją. Tak, jak oczy pozostałych ludzi zgromadzonych pod drzewem. Trzy wyblakłe słońca udały się na spoczynek, niemal jednocześnie chowając się za horyzontem. Ustępowały miejsca czwartemu, które z całym swym majestatem wkroczyło na firmament i objęło Ziemię swoim ponurym, czarnym blaskiem.

Wrona z przerażeniem zatrzepotała skrzydłami. Brunatne promienie nowego słońca musnęły ich końcówki i przypaliły pióra. Ptak zaskrzeczał boleśnie i skulił się, próbując uniknąć zabójczego światła. Pod drzewem wciąż stali ci, którzy jeszcze niedawno byli zupełnie martwi. Stali nieruchomo, wlepiając wzrok w fałszywego proroka miotającego się na gałęzi.
- Kraaa! To nieprrrawda! - Zawodziła żałośnie wrona.
Pojedynczy błysk wystrzelił z czarnego słońca i uderzył w ptaszysko. Rozległo się głuche klaśnięcie i w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała wrona, została w powietrzu jedynie

chmura czarnych piór.

Słońce rozbłysło z całą siłą i majestatem, rozpoczynając tym samym panowanie na ziemskim niebie. Czule ogrzało twarze swoich dzieci - nowych ludzi, którzy dostawali z powrotem do swych rąk umęczoną planetę.

KONIEC

© 2007 Michał 'mihaugal' Galczak

Wszyscy nienawidzą króla

Istniał sobie świat, w którym przebiegli ludzie walczyli o władzę. Co na tronie zasiadł jakiś władca, szybko strącał go ktoś inny. Po wielu latach ciągłych przepychanek, wymyślnych intryg i skrytobójstw do władzy doszedł najprzebieglejszy. Postanowił zapobiec kolejnym próbom przejęcia władzy i niemal całą zawartość królewskiego skarbca przeznaczył na budowę niezwykłej armii robotów czytających w myślach. Maszyny miały za zadanie wykrywać i likwidować ludzi nienawidzących obecnego władcy.

Po kilku miesiącach od uruchomienia robotów armia nieoczekiwanie przestała działać. Zaintrygowany król przejrzał więc raporty i uśmiechnął się, bo nie było już nikogo, kto by źle o nim myślał. Patrząc na kolejne strony statystyk osłupiał, albowiem okazało się, że został ostatnim człowiekiem na świecie. Wyszedł na balkon swojego pałacu, aby spojrzeć na bezludną krainę. Stojąc tak z wzrokiem wbitym w dal, pomyślał chwilę i znienawidził sam siebie.

KONIEC

©2009 Łukasz 'Uqahs' Mazur

Poniższa Antologia podlega ochronie prawnej w myśl ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. O prawie autorskim i prawach pokrewnych. Wszystkie zamieszczone w niej utwory są intelektualną własnością ich autorów, którzy wyrazili zgodę na ich publikacje na łamach czasopisma internetowego Trzynasty Schron (ISSN 1899-6396). Kopiowanie, zamieszczanie utworów, lub ich fragmentów bez odpowiedniej zgody jest zabronione i może prowadzić do kroków prawnych.
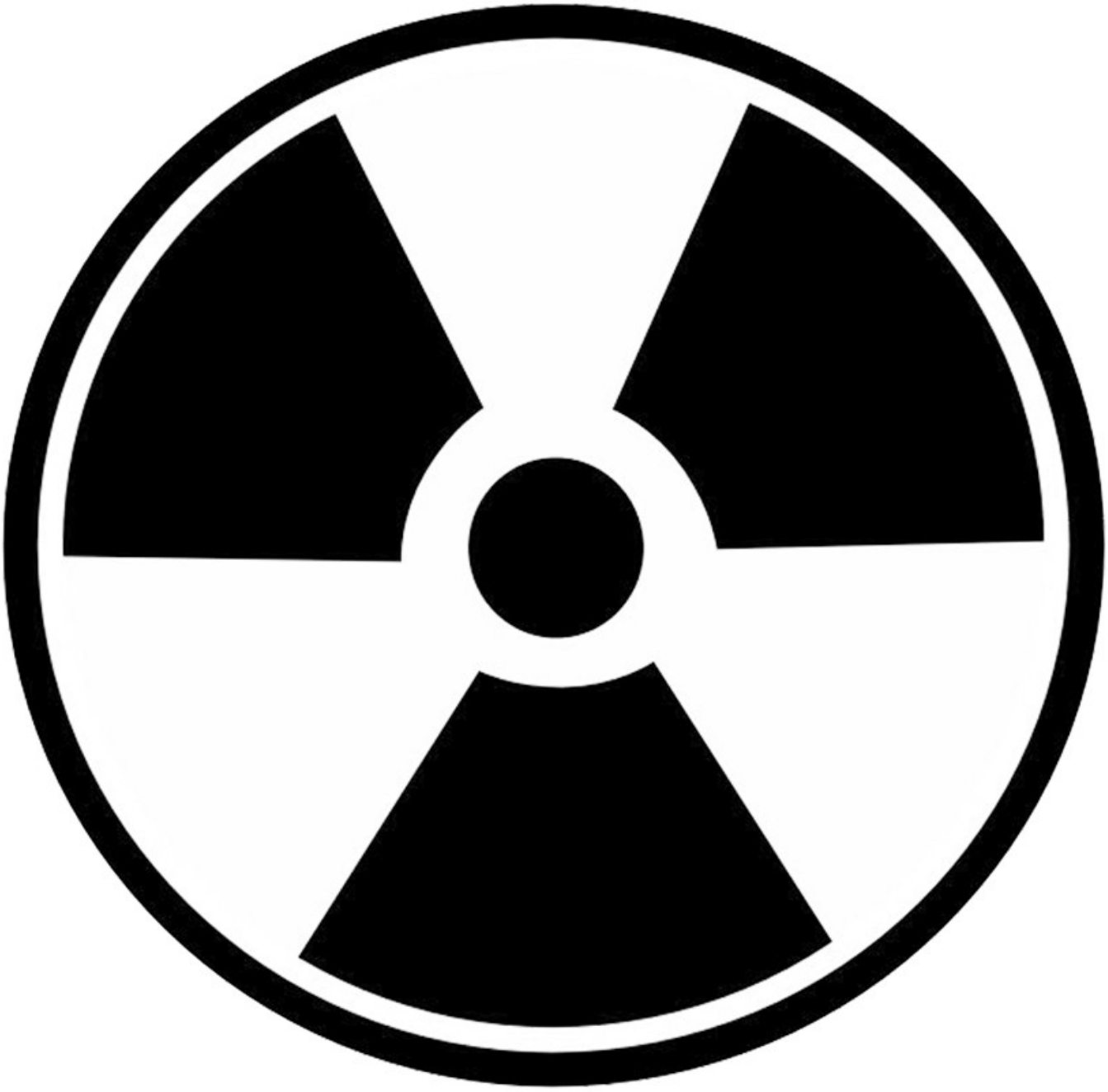
W ramach tych restrykcji możliwe jest:
- wydrukowania antologii na własny użytek.
- użycie fragmentu wstępu w ramach prawa cytatu.